

Oczy do wynajęcia

Jonathan Kellerman



calibre 0.9.27

Jonathan Kellerman

Oczy do wynajęcia

(Private eyes)

Przełożył Eryk Benner

Moim dzieciom,

które zmieniły mój sposób widzenia świata

Szczególne podziękowania dla Beverly Lewis, której wprawne oko i nadzwyczajna cierpliwość spowodowały wiele zmian w powieści.

Geraldowi Petievichowi za jego spojrzenie z odmiennej perspektywy.

A

również

Terri

Turner

z

Kalifornijskiego

Departamentu

Sprawiedliwości za jej nieocenioną pomoc i dobre słowo.

Na każdego czyha wymysł jego własnej wyobraźni.

HUGH WALPOLE

Rozdział 1.

Praca terapeuty nie ma końca.

Wszak nie znaczy to, że pacjentom nie można pomóc.

Więź, która powstaje i umacnia się w ciągu wielu spotkań, każde po czterdzieści pięć minut – związek jaki rodzi się, gdy opłacone oczy mają wgląd w czyjeś prywatne życie – daje możliwości pewnego rodzaju nieetycznych nadużyć.

Niektórzy pacjenci wychodzą, żeby nigdy nie wrócić. Niektórzy nigdy nie rezygnują z terapii. Większość jednak znajduje się gdzieś pośrodku – zaczepiając się lekko zaledwie wypuszczonymi, delikatnymi listkami pnączy, przeżywając na przemian okresy euforii i depresji.

Zgadywanie, kto jak zareaguje na terapię jest tak nieracjonalne, jak przewidywanie wyników gry w ruletkę w Las Vegas albo stanu giełdy na Wall Street. Po para latach praktyki zrezygnowałem ze stawiania jakichkolwiek hipotez.

Nie zdziwiłem się też wcale, kiedy po przyjściu do domu pewnego późnego lipcowego wieczora dowiedziałem się, że Melissa Dickinson zostawiła mi wiadomość.

Musiało minąć z dziesięć lat od czasu, kiedy przestała przychodzić do mojego gabinetu, który niegdyś prowadziłem w posępnym, wielopiętrowym biurowcu w okolicy Beverly Hills.

Była dobrą pacjentką.

Nie tylko dlatego zatrzymałem ją w pamięci. Powodów było znacznie więcej...

Być psychologiem dziecięcym to idealne zajęcie dla kogoś, kto pragnie odnosić sukcesy. Stan dzieci polepsza się stosunkowo szybko i wymagają one znacznie mniej zachodu niż dorośli. Rzadko umawiałem się na spotkania częściej niż raz w tygodniu. Z Melissą zaczęło się od trzech razy, ze względu na jej poważny stan i specyficzne okoliczności. Po ośmiu miesiącach zmniejszyliśmy do dwóch razy w tygodniu, a po roku terapie odbywały się raz na tydzień.

Po dwóch latach leczenia rozstaliśmy się.

Stała się całkiem inną dziewczynką, ale nie byłem całkiem zadowolony, ponieważ jej sytuacja rodzinna, główna przyczyna problemów, wcale się nie zmieniła.

Czemu jednak miałbym ją leczyć wbrew jej woli?

„Mam już dziewięć lat, doktorze Delaware. Chcę swoje sprawy wziąć we własne ręce.”

Wysłałem ją w świat, oczekując jakiegoś znaku. Nie odezwała się przez parę tygodni. Gdy sam zadzwoniłem, miłym, ale stanowczym głosem poinformowała mnie, iż czuje się dobrze i zadzwoni na pewno, jeśli tylko znajdzie taka potrzeba.

No i zaszła.

Długo nie widzieliśmy się.

Ma teraz dziewiętnaście lat.

Trzeba zapomnieć o przeszłości i przygotować się na spotkanie z zupełnie

obcą osobą.

Zerknąłem na numer telefonu, który zostawiła.

Zaczynał się na 818. San Labrador.

Poszedłem do biblioteki i pogrzebałem chwilę w archiwum. Znalazłem jej teczkę.

Ten sam początek numeru, zmieniły się tylko ostatnie cztery cyfry.

Jeżeli się nawet gdzieś przeprowadziła, mieszka nadal w tym samym mieście.

Sprawdziłem datę ostatniego spotkania. Dziewięć lat temu. Urodziła się w czerwcu. W ubiegłym miesiącu obchodziła osiemnaste urodziny.

Ciekawe, jaka jest teraz. Czy się zmieniła?

Czemu się nie odzywała.

Rozdział drugi

Po dwóch sygnałach ktoś odebrał.

– Halo? – głos nieznajomej, młodej kobiety.

– Melissa?

– Tak.

– Mówi Alex Delaware.

– Witam! Nie sądziłam... Bardzo dziękuję za telefon. Myślałam, że zadzwonisz nie wcześniej niż jutro. Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle się odezwiesz.

– Dlaczego?

– W książce telefonicznej... Przepraszam na chwilę.

Odłożyła słuchawkę. Słyszałem odgłosy przytłumionej rozmowy.

Za moment powróciła.

– W książce telefonicznej nie było adresu twojego gabinetu. Nie było żadnego adresu. Tylko nazwisko bez stopnia naukowego. Nie wiedziałam, czy to ten sam Delaware, czy jeszcze prowadzisz gabinet. Słyszałam, że pracujesz jako ekspert w sądzie.

– To prawda.

– Ach tak! Więc pewnie...

– Zawsze jestem do usług dla moich byłych pacjentów. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Jak ci się żyje, Melisso?

– Dobrze – odrzekła pośpiesznie. Niewyraźne odgłosy, jakiś śmiech. –

Pewnie się zastanawiasz, czemu dzwonię po tylu latach, prawda? Tym razem nie chodzi o mnie. Chodzi o mamę.

– Rozumiem.

– Nic strasznego... Och, kochanie, nie teraz. – Znow odłożyła słuchawkę.

Znow jakieś rozmowy. – Naprawdę przepraszam. Nie mogę teraz swobodnie rozmawiać. Czy mogłabym przyjść... do ciebie?

– Naturalnie. Która godzina ci odpowiada?

– Im wcześniej, tym lepiej. Mam teraz czas. Koniec szkoły.

– Gratuluję.

– Dzięki. Dobrze mieć to za sobą.

– Pewnie. – Spojrzałam w kalendarz. – Może jutro w południe?

– Świetnie. Naprawdę bardzo się cieszę.

Opisałam jej, jak trafić do mojego domu. Podziękowała i wyłączyła się, zanim zdążyłam się z nią pożegnać.

Jak na rozmowę poprzedzającą spotkanie zdobyłem bardzo mało informacji.

Inteligentna, młoda osobka. Wyrażała się jasno, konkretnie. Czy coś ukrywa?

Pamiętając ją jako dziecko, nie dziwiłem się, że o czymś nie chce mówić, a jednocześnie sama nie potrafi sobie z tym poradzić.

Chodzi o mamę.

To mogło wiele znaczyć.

Może poszukuje odpowiedniego psychoterapeuty? Więc jutrzejsza wizyta będzie prawdopodobnie krótką poradą. I wystarczy na następne dziewięć lat.

Zamknąłem jej teczkę pewien swych zdolności przewidywania.

Z powodzeniem mógłbym grać na automatach w Vegas albo zyskownie obracać akcjami na giełdzie.

Następnych parę godzin spędziłem pracując. Pisałem artykuł na temat moich doświadczeń z dziećmi zaatakowanymi zeszłej jesieni przez snajpera w szkole. W trakcie pisania odżyły niemiłe wspomnienia, silniejsze, niż mogłem się tego spodziewać; sztuka polegała na tym, żeby zachować tamten nastrój, nie roniąc nic z profesjonalnego, naukowego podejścia.

Rozpocząłem od czwartego rozdziału – pięćdziesiąt pięć stron rażąco niezręcznej prozy. Byłem przekonany, że nigdy nie uda mi się wszczepić ludzkich uczuć w gęstwinę terminów naukowych, indeksów, bibliografii i odnośników, o których zresztą zawsze zapominam.

O wpół do dwunastej odłożyłem pióro i oparłem się wygodnie, wciąż

siedząc przy biurku. Moje oczy powędrowały na teczkę z aktami Melissy.

Otworzyłem ją i przeczytałem:

„18 października 1978 r.”

Pamiętam, że tamten rok był bardzo upalny. Zaśmieczone ulice i smog nad miastem. W Hollywood od dawna nie było tak ciepłej jesieni. Niedawno otrzymałem pracę czasowego wykładowcy w Zachodniej Klinice

Pediatrycznej. Wybierałem się do zachodniej części miasta, gdzie miałem parę umówionych wizyt.

Wykład był chyba udany. Behawioralna analiza nerwic występujących u dzieci. Same fakty i liczby, podane jak na szkiełku mikroskopowym. Wtedy myślałem, że dokonałem, rzeczy niesłychanych. Sala wypełniona była pediatrami, którzy w większości prowadzili prywatne gabinety. Zbiegowisko ludzi, którzy zadają zbyt dużo pytań, chcąc koniecznie znaleźć jakiś błąd, zamiast skupić się na znaczących wątkach odczytu.

Z pytaniami uporałem się w piętnaście minut i właśnie wychodziłem z sali, kiedy podeszła do mnie młoda kobieta. Miałem wrażenie, że widziałem ją gdzieś przedtem.

– Doktor Delaware? Jestem Eileen Wagner.

Miała miłą, okrągłą twarz i spięte wysoko orzechowe włosy, ładne rysy, szerokie biodra. Ubrana była w białą męską koszulę, zapiętą pod samą szyję, tweedową spódnicę, sięgającą do kolan, i wygodne trzewiki. W ręku trzymała nową, czarną torbę podróżną, składającą się z dwóch części połączonych rodzajem zawiasu. Przypomniałem sobie, gdzie widziałem Eileen: rok temu w House Staff Roster, była po trzecim roku, stopień

doktora medycyny otrzymała w którymś z ośmiu najlepszych uniwersytetów w Stanach, zwanych potocznie Ivy League.

– Witam panią doktor – powiedziałem, akcentując ostatnie słowo.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Dłoń miała pulchną, bez biżuterii.

– Rok temu w Four West wygłosił pan wykład na temat patologicznych lęków. Byłam tam. Podobało mi się bardzo.

– Dziękuję.

– Dzisiaj również. Chciałabym panu polecić pacjenta, jeśli jest pan zainteresowany.

– Oczywiście.

Przełożyła torbę z jednej ręki do drugiej.

– Pracuję w Pasadenie w Fundacji Medycznej Cathcart, ale nie leczyłam tego dziecka. Zadzwonilo do naszego telefonu zaufania. Z początku nikt nie wiedział, co z tym począć. Skierowano je do mnie, ponieważ byłam jedynym pediatrą. Kiedy dowiedziałam się, w czym rzecz, natychmiast pomyślałam o panu. Ma to ścisły związek z pana dzisiejszym odczytem.

– Z prawdziwą przyjemnością służę pomocą, ale mój gabinet znajduje się w innej części miasta.

– Nic nie szkodzi. Przyjadą do pana, stać ich na to. Wiem, ponieważ parę dni temu skontaktowałam się z nimi. To jest mała dziewczynka. Ma siedem lat. Właściwie to z jej powodu tutaj przyszedłam. Miałam nadzieję usłyszeć coś, dzięki czemu będę mogła jej pomóc. Teraz jednak widzę, że przekracza to moje możliwości. Tutaj trzeba specjalisty.

– Objawy nerwicy?

Skinęła głową.

– Ona żyje w nieustannym, gorączkowym niepokoju. Różnorodne, złożone stany lękowe i zaawansowana nerwica.

– Usłyszałem przed chwilą, że skontaktowała się pani z nimi. Czy to znaczy, że rozmawiała pani przez telefon?

Uśmiechnęła się.

– W Yale uczono nas, że „skontaktować się” oznacza wizytę domową.

– Zwykle nie rozpieszczęm pacjentów i muszą się pofatygować do mojego gabinetu, ale tym razem sprawa jest bardziej złożona. Jej matka cierpi na agorafobię i nie wychodzi z domu od lat.

– Jak długo?

– Powiedziała „od lat”. Było widać, że ciężko jej o tym mówić, więc nie nalegałam i skupiłam się na dziecku.

– Słusznie – rzekłem. – Co to za dziecko?

– Dziewczynka ma na imię Melissa i boi się wszystkiego – ciemności, hałasów, jaskrawego światła, samotności, nowych sytuacji, sprawia wrażenie napiętej i roztrzęsionej. Może to cechy genetyczne, a może tylko naśladuje zachowanie matki. Mieszkają w ogromnym domu. To jedna z tych niesamowitych posiadłości w północnej części Cathcart Boulevard w San Labrador. Klasyczny San Labrador – hektary ziemi wokół, ogromne pokoje, oddani służący, ochroniarze i strasznie wysokie ogrodzenia. Matka siedzi w swoim pokoju jak lady z epoki wiktoriańskiej, oddając się wiecznej hipochondrii.

Przerwała, dotykając ust koniuszkiem palca.

– Jest taką wiktoriańską księżniczką o niezwyklej urodzie. Z pewnym zastrzeżeniem: jedna strona jej twarzy pełna jest blizn. Zauważyłam lekki paraliż tej części twarzy – nieznaczne zablokowania mięśni w czasie mówienia. Gdyby nie była tak piękna – o tak regularnych rysach – nikt nie zwróciłby na to uwagi. Nie spostrzegłam zmian patologicznych. Rany zostały dobrze zagojone. Z pewnością była operowana przez najlepszych chirurgów plastycznych. Wygląda to na poparzenie albo na jakieś głębokie rany cięte. Może to właśnie jest źródłem jej problemów?

– A ta dziewczynka?

– Nie miałam okazji się jej przyjrzeć. Widziałam ją przez moment, kiedy wchodziłam. Mała, o delikatnej budowie, milej powierzchowności, bardzo dobrze ubrana – zwykle dziecko z bogatej rodziny. Kiedy odezwałam się do niej, natychmiast uciekła. Podejrzywałam, że schowała się gdzieś w pokoju matki, ponieważ w czasie rozmowy wciąż słyszałam jakieś odgłosy. Matka jak gdyby niczego nie zauważała, więc i ja nie zwracałam na to uwagi. Miałam i tak szczęście, że w ogóle mnie przyjęła.

– Nieprawdopodobne.

– Właśnie. Po prostu upiorne, chociaż matka była czarująca, ujmująca, taka subtelna.

– Wiktoriańska księżna – rzekłam. – Czy w ogóle nie wychodzi z domu?

– Tak powiedziała. Wyznała również, że to ją upokarza, ale nie na tyle, żeby zmusić do opuszczenia rezydencji. Kiedy zaproponowałam, żeby przyszła do mojego gabinetu, znieruchomiała jak sparaliżowana i zaczęły drżeć jej ręce. Zgodziła się jednak, żeby Melissę zobaczył psycholog. To

wszystko.

– Dziwne.

– Nasza praca w ogóle jest dziwna.

Uśmiechnąłem się.

– Przyjmuje pan wyzwanie? – zapytała.

Czy ta kobieta rzeczywiście pragnie pomocy?

– Najważniejsze jest to, że chce jej sama dziewczynka. To ona zadzwoniła do telefonu zaufania.

– Ma siedem lat i sama zadzwoniła?

– Dyżurna, która odebrała telefon, również nie mogła uwierzyć. Kiedyś zadzwonił do nas jakiś nastolatek z trądzikiem młodzieńczym, którego skierowano do dermatologa. Melissa zapewne zobaczyła naszą reklamówkę w lokalnym programie telewizyjnym i zapisała numer. Zatelefonowała po dziesiątej w nocy.

Eileen podniosła czarną torbę i otworzyła zamek. Wyjęła kasetę magnetofonową.

– Mam przy sobie dowód rzeczowy. Każda rozmowa jest rejestrowana.

Poprosiłam, żeby skopiowano mi nagranie.

– Jak na swój wiek, Melissa jest wyjątkowo rozwinięta – zauważyłem.

– Właśnie. Szkoda, że nie spędzę z nią więcej czasu. Jest bardzo dobrze

ułożonym dzieckiem, a przez to podatnym na terapię. – Przerwała na

chwilę. – Jakże musiała cierpieć! Kiedy przesłuchałam nagranie,

zadzwoniłam pod numer, który zostawiła dyżurnej. Matka nie miała pojęcia,

że Melissa gdzieś telefonowała. Kiedy wytłumaczyłam jej, co zaszło, zaniósła

się żalnym płaczem. Kiedy jednak poprosiłam ją, żeby przyszła do mnie na rozmowę, odrzekła, że nie może, że jest chora. Domyśliłam się, że to może mieć związek z jakimś zaburzeniem psychicznym i zaproponowałam, że sama przyjdę. W ten oto sposób doszło do tej nieprawdopodobnej wizyty.

Podala mi kasetę.

– Proszę tego posłuchać. Coś w tym jest. Przynależałam jej, że porozmawiam z psychologiem. Ośmieliłam się podać jej pana nazwisko.

Jednakże ostateczna decyzja należy do pana.

Wziąłem taśmę.

– Miło mi, że pomyślała pani właśnie o mnie, ale, prawdę mówiąc, wątpię, czy będę mógł jeździć do San Labrador.

– Melissa może sama przyjeżdżać. To znaczy przywiezie ją służący.

Pokręciłem przecząco głową.

– W takich wypadkach wymagana jest aktywna współpraca matki.

Zmarszczyła czoło.

– Tak wiem. Tak byłoby najlepiej. Czy nie zna pan jednak metody, która nie wymagałaby obecności rodziców? Chodzi o minimalne choćby zmniejszenie jej niepokoju. Cokolwiek, co by uchroniło jej psychikę przed całkowitym pomieszaniem. Im trudniejsze zadanie, tym większy splendor sukcesu.

– Może – odrzekłem – jeśli matka nie zniweczy mojej pracy.

– Mam nadzieję, że tego nie robi. Trudno jest przewidzieć jej reakcję, ale odniosłam wrażenie, że rzeczywiście kocha Melissę. Poczucie winy może być pomocną okolicznością. Proszę pomyśleć, co też musiała czuć, kiedy

dowiedziała się, że jej własne dziecko zadzwoniło do telefonu zaufania. Ona wie bardzo dobrze, że nie powinno się tak wychowywać dzieci. Jednocześnie jednak nie potrafi pozbyć się własnych lęków. To musiał być dotkliwy cios.

Wygląda na to, że teraz jest odpowiedni czas, żeby wykorzystać jej poczucie winy. Jeśli dziecku się polepszy, może wpłynie to pozytywnie na stan matki.

– A gdzie jest ojciec?

– Nie ma. To wdowa. Mąż zmarł zaraz po urodzenia Melissy. Atak serca.

Chyba był od niej dużo starszy.

– Z jednej, krótkiej rozmowy dowiedziała się pani niemało szczegółów.

Eileen zarumieniła się.

– Czasem udaje mi się. Nie chcę, żeby zakłócał jej pan życie i żądał spełnienia standardowych warunków koniecznych przy tego rodzaju terapii.

Gdyby mieszkali bliżej, to i tak niczego by nie zmieniło. Matka nigdzie nie wychodzi. Dla niej pokonać kilometr, to jakby wyruszyć w podróż na Marsa.

Jeśli teraz zrazi się do psychologów, już nigdy nie podejmie żadnych prób leczenia, więc trzeba tu kogoś, kto się zna na rzeczy. Po wysłuchaniu pana wykładów wiem, że jest pan odpowiednim człowiekiem. Gdyby przyjął pan tę sprawę, mogłabym się zrewanżować następnymi pacjentami.

– Dobrze.

– Pewnie pan myśli, że zbyt się w to angażuję. Może to i prawda, ale siedmiolatka, która dzwoni w ten sposób... W dodatku ten dom – uniosła

brwi. – Musiałabym zamknąć gabinet, gdybym poświęcała każdemu

pacjentowi tyle uwagi. Chociaż i tak daję z siebie, ile mogę. – Znow sięgnęła

do torby podróźnej. – Proszę, oto potrzebne dane.

Podala mi kartkę z notatnika ze stemplem apteki, na której było napisane piórem: „Pacjent: Melissa Dickinson, urodz. [21.VI.71](#) r. Matka: Gina Dickinson.” I numer telefonu.

Wložylem kartkę do kieszeni marynarki..

– Wielkie dzięki – rzekła z ulgą w głosie. – Przynajmniej nie będzie kłopotu z wypłatą honorarium. Oni nie korzystają z usług publicznej służby zdrowia.

– Kto ich leczy?

– Według słów matki mają w Sierra Madre lekarza rodzinnego, który dawniej opiekował się Melissą – szczepienia, szkolne badania okresowe.

Fizycznie jest to bardzo zdrowe dziecko. Nie kontaktowali się z nim od lat.

Chyba z powodu matki.

– Dlaczego?

– Wszystkiemu winne są te blizny. Jest jeszcze inna sprawa. To wciąż ten stary San Labrador – jego mieszkańcy nie potrafią się pogodzić z dwudziestym wiekiem. Jednak ona chce współpracować – wiem to z pewnością. Może nawet zostanie jej stałym lekarzem. Tak czy inaczej będę zobowiązana, jeśli przyśle mi pan wyniki leczenia. Jestem tym bardzo zainteresowana.

– Oczywiście – odparłem. – Wspomniała pani o szkolnych badaniach okresowych. Czy pomimo stanów lękowych Melissa uczęszcza do szkoły?

– Do niedawna tak. Służący zawozili ją i odbierali ze szkoły. Wywiadówki przeprowadzano telefonicznie. Prawdopodobnie to lokalny obyczaj i nie ma w tym nic niezwykłego, ale nie jest to najlepsze dla dziecka. Rodzice nigdy nie pokazali się w szkole. Melissa jest bardzo zdolną uczennicą, ma same

piątki. Matka nie omieszkała pokazać mi świadectw córki.

– Co znaczy „do niedawna”?

– Ostatnio wystąpiły objawy fobii szkolnej: narzekanie na samopoczucie, płacz rankiem przed pójściem do szkoły. Mówiła, że boi się gdziekolwiek iść.

Matka nie nalegała i pozwalała jej zostać. Według mnie są to objawy chorobowe.

– Na to wygląda.

– Chce odgrodzić się od środowiska zewnętrznego. To logiczna konsekwencja jej stanu.

– Przybieranie rodzaju kolczugi – orzekłem. – Widzę, że mamy tu do czynienia z potężną zbroją.

Pokiwała głową.

– Gdyby udało się to wyeliminować, czyż nie byłoby to wspaniałe osiągnięcie?

Przyjmowałem pacjentów przez całe popołudnie. W końcu nie było już nikogo. Kiedy uporządkowałem rzeczy na biurku, wysłuchałem taśmy.

Głos kobiety: Halo, telefon zaufania, słucham.

Głos dziecka (ledwo słyszalny): Halo.

Głos kobiety: Proszę mówić.

Cisza.

Głos dziecka: Czy to (gardłowy głos, jakieś dźwięki w tle)... szpital?

Gk: To jest telefon zaufania przy Klinice Cathcart. Czym mogę służyć?

Gd: Potrzebuję pomocy. Jestem...

Gk: Słucham?

Cisza.

Gk: Proszę mówić dalej.

Gd: Ja... Ja się boję.

Gk: Czego się boisz, kochanie?

Gd: Wszystkiego.

Cisza.

Gk: Czy w pobliżu znajduje się coś lub ktoś, czego się obawiasz?

Gd: ...Nie.

Gk: Nie ma nikogo?

Gd: Nie ma.

Gk: Czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

Cisza.

Gk: Kochanie?

Gd: Nie.

Gk: Nie ma żadnego niebezpieczeństwa?

Gd: Nie ma.

Gk: Jak ci na imię, dziecko?

Gd: Melissa.

Gk: Melissa i jak dalej?

Gd: Melissa Anne Dickinson. (Zacząła literować nazwisko.)

Gk: Melisso, ile masz lat?

Gd: Siedem.

Gk: Czy dzwonisz z domu?

Gd: Tak.

Gk: Czy znasz swój adres?

Placz.

Gk: Uspokój się. Czy coś niepokoi cię? Dobrze się czujesz?

Gd: Ja się tylko boję... zawsze.

Gk: Zawsze się czegoś lękasz?

Gd: Tak.

Gk: Czy jednak teraz nic ci nie przeszkadza, czy nie obawiasz się czegoś w tej chwili? Czegoś albo kogoś w twoim domu?

Gd: Tak.

Gk: Co to jest?

Gd: Nie. Teraz nic. Ja... (Pochlipywanie)

Gk: Co ci dziecinko?

Cisza.

Gk: Czy zdarza się, że zaczynasz się bez powodu czegoś bać?

Gd: (Szeptem) Nie.

Gk: Czy twoja mama wie, że dzwonisz?

Gd: Nie. (Placz)

Gk: Czy byłaby zła, gdyby się dowiedziała, że dzwonisz?

Gd: Nie. Ona jest...

Gk: Słucham Melisso.

Gd: ...dobra.

Gk: Masz dobrą mamę?

Gd: Tak.

Gk: I nie boisz się mamy?

Gd: Nie.

Gk: A twój tata?

Gd: Nie mam taty.

Cisza.

Gk: A może boisz się kogoś innego?

Gd: Nie.

Gk: Czy wiesz, czego się dokładnie boisz?

Cisza.

Gk: Melisso?

Gd: Ciemności... włamywaczy... czegoś nieokreślonego.

Gk: Ciemności i włamywaczy. I czegoś nieokreślonego. Kochanie, jak to, czegoś nieokreślonego?

Gd: Och, wszystkiego... wszystkich rzeczy. (Płacz)

Gk: Dobrze, moja mała. Pomożemy ci. Nie odkładaj słuchawki przez jedną chwilę, dobrze? (Trzaski)

Gk: No dobrze. Jesteś tam?

Gd: Tak.

Gk: Grzeczna dziewczynka. Czy znasz adres, ulicę, przy której mieszkasz?

Gd: (Bardzo szybko) Sussex Knoll dziesięć.

Gk: Możesz powtórzyć?

Gd:

Sussex

Knoll.

Dziesięć.

San

Labrador.

Kalifornia.

Dziewięć-jeden-jeden-zero- osiem.

Gk: Doskonale. Mieszkasz w San Labrador? To jest bardzo blisko od nas, od kliniki.

Cisza.

Gk: Melisso?

Gd: Czy jest taki lekarz, co mnie wyleczy? Bez zastrzyków?

Gk: Oczywiście, że jest. Wkrótce go zobaczysz.

Gd: (Mówi coś niewyraźnie.)

Gk: Co powiedziałaś?

Gd: Dziękuję.

Trzaski na łączach i kompletna cisza. Wylączyłem magnetofon i wykręciłem numer, który zapisała mi Eileen Wagner. Odpowiedział skrzeczący męski głos:

– Rezydencja Dickinsonów.

– Proszę z panią Dickinson. Mówi doktor Delaware. Dzwonię w sprawie Melissy.

Mężczyzna odkaslnął – Pani Dickinson nie może teraz rozmawiać.

Prosiła jednak przekazać, że Melissa zjawi się u pana w gabinecie, kiedy pan sobie tylko zażyczy, w godzinach pomiędzy trzecią a czwartą trzydzieści.

– Kiedy będę mógł porozmawiać z panią?

– Nie wiem, ale poinformuję panią o pana telefonie. Jaki dzień panu

odpowiada?

Otworzyłem książkę wizyt.

– Środa, godzina czwarta.

– Dobrze, doktorze. – Wyrecytował mój adres. – Czy to adres aktualny?

– Tak. Chciałby jednak porozmawiać z panią Dickinson przed środą.

– Przekażę to pani.

– Kto przywiezie Melisę?

– Ja, proszę pana.

– A pan się nazywa...

– Dutchy. Jacob Dutchy.

– Jaki jest pana stopień pokrewieństwa z...

– Pracuję u pani Dickinson. A jeśli chodzi o honorarium, czy zależałoby panu na jakimś szczególnym sposobie rozliczenia?

– Może być czek.

– W jakiej wysokości?

Wymieniłem mu opłatę za godzinę.

– Dobrze. Do widzenia, doktorze.

Następnego ranka posłaniec doręczył mi szarą kopertę. Wewnątrz znajdowała się mała różowa koperta, a w środku kartka wytworzonego papieru listowego. W niej zaś leżał czek.

Czek opiewał na trzy tysiące dolarów. Miał adnotację: „Opłata za leczenie

Melissy.” W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku suma taka

starczała na opłacenie czterdziestu spotkań terapeutycznych. Pieniądze

pochodziły z konta długoterminowego „Pierwszego Banku Powierniczego” w

San Labrador. W lewym górnym rogu było wydrukowane:

R.P. DICKINSON, ADMINISTRATOR

DEPOZYTU RODZINNEGO OD DNIA 5.XI.71

SUSSEX KNOLL 10

SAN LABRADOR, KALIFORNIA 91108

Na papierze czerpanym ze znakiem wodnym Crane było u góry napisane ozdobnym charakterem pisma: „Regina Paddock Dickinson”.

Poniżej zaś: „Drogi doktorze Delaware! Dziękuję, że zgodził się Pan leczyć Melisę. Pozostaniemy w kontakcie. Szczerze oddana Gina Dickinson.”

Perfumowany papier. Mieszanina rózu i powietrza alpejskiego. Nie zmieniło to jednak faktycznej treści listu:

„Nie dzwoń do nas, plebejuszu. To my będziemy się kontaktować z tobą.

Załączamy smakowity czek w razie jakiegokolwiek sprzeciwu.”

Wykręciłem numer rezydencji Dickinsonów. Tym razem odebrała kobieta. W średnim wieku, francuski akcent, głos nie tak skrzekliwy jak u Dutchy’ego.

Inny tembr, ale ta sama pieśń: „Nie można rozmawiać z Madame. Nie, niestety, nie wiadomo, kiedy będzie można.”

Zostawiłem swoje nazwisko. Zatrzymałem wzrok na czeku, wpatrując się w cyfry. Leczenie jeszcze się nie rozpoczęło, a już straciłem panowanie nad sytuacją. Tak nie powinno się robić. To nie leży w interesie pacjenta.

Jednakże sprawę powierzyła mi Eileen Wagner.

A głos na kasecie zwracał się do mnie, mówił bezpośrednio do mnie:

„...taki lekarz, co mnie wyleczy? Bez zastrzyków?”.

Długo nad tym myślałem. Postanowiłem w końcu, że ten jeden jedyny raz mogę odstąpić od moich zasad. Ciekawe, czy uda mi się porozumieć z tą małą dziewczynką i na tyle jej pomóc, żeby zadziwić wiktoriańską księżnę. Stanę się Doktorem Wybawicielem.

Wtedy nie odmówią mi niczego.

Czek zrealizowałem w porze lunchu.

Rozdział trzeci

Dutchy miał pod sześćdziesiątkę, był średniego wzrostu. Skłonny do tycia. Czarne jak smoła włosy nosił przylizane, z przedziałkiem po prawej stronie. Policzki lekko wydęte, usta nadzwyczaj ostro zarysowane. Miał na sobie dobrze skrojony, ale staroświecki, niebieski, frakowy garnitur, nieskazitelnie białą koszulę w maciupkie kwadraciki, zawiązany na sposób angielski granatowy krawat i czarne, pedantycznie wyglansowane, staromodne półbuty na grubej podeszwie. Gdy otworzyłem drzwi gabinetu, mężczyzna i dziewczynka stali na środku poczekalni. Ona z pochyloną głową wpatrywała się w dywan, on z miną znawcy badał porozwieszane na ścianach reprodukcje. Bynajmniej nie wprawily go w zachwyt. Zwracając się w moją stronę, w dalszym ciągu miał na twarzy wyraz dezaprobaty.

Wyglądał jak burza gradowa w górach Montana, lecz dziewczynka ściskająca mu rękę była prawdziwym aniołem.

Na swój wiek niska, z prawie dorosłą, kształtną twarzą, należała do tych dzieci, które stykają się z przeciwnościami losu właściwymi ludzom o wiele starszym. Miała łagodne rysy twarzy i gładką, brzoskwiniową cerę.

Proste, orzechowego koloru włosy, przewiązane wysoko kwiecistą wstążką, sięgały prawie do pasa. Oczy miała duże, szaroniebieskie, rzęsy długie, nos lekko zadarty, z paroma piegami, i uroczy dołeczek na brodzie poniżej wąskich, wilgotnych ust. Ubrana była niezwykle oficjalnie: różowa sukienka z bufami i z białą jedwabną szarfą zawiązaną z tyłu, różowe podkolanówki z frędzelkami i białe buciki z mocnej skóry, zapinane na metalową sprzączkę. Pomyślałem o Alicji z Krainy Czarów.

Stali oboje w bezruchu. Wiolonczela i pikolo połączone w dziwaczny duet.

Przedstawiłem się z ukłonem i uśmiechnąłem się do dziewczynki.

Odpowiedziała obojętnym spojrzeniem. Ku mojemu zdziwieniu, nie wyczulem strachu.

Absolutnie żadnej reakcji. Na razie szło gładko, biorąc pod uwagę to, w jakim celu się tu zjawili.

Jej prawa dłoń ginęła w wielkiej dłoni Dutchy'ego. Gdy wyciągnąłem do niego rękę, wydawał się zaskoczony moim zachowaniem. Przywitaliśmy się.

– A więc teraz wychodzę – powiedział. – Seans trwa czterdzieści pięć minut, prawda doktorze?

– Tak jest.

Zwrócił się ku drzwiom.

Spoglądałem na dziewczynkę, oczekując, że zaprotestuje. Stała jednak w milczeniu, patrząc na dywan z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia.

Dutchy zrobił następny krok i zatrzymał się. Zagryzając policzek, odwrócił się i dłonią musnął jej włosy. Słabo, jak gdyby uspokajająco

uśmiechnęła się do niego.

– Do widzenia, Jacob – rzekła wysokim, gardłowym głosem. Takim samym jak na kasecie.

Poczerwieniał, jeszcze mocniej zagryzł policzek, opuścił ramiona i coś wymamrotał. Rzucił ostatecznie spojrzenie w moją stronę i już go nie było. Gdy drzwi zamknęły się, rzekłem:

– Wygląda na to, że Jacob jest twoim dobrym przyjacielem.

– Jest zaufanym służącym mamy.

– Ale również zajmuje się tobą.

– On zajmuje się wszystkim.

– Wszystkim?

– Całym gospodarstwem – niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę. – Nie mam taty, a mama nie wychodzi z domu, więc Jacob wykonuje bardzo wiele czynności.

– Jakie na przykład?

– Mówi, co mają robić Madeleine, Sabino, Carmela i różni dostawcy.

Czasem przygotowuje posiłki – kanapki i przekąski. Jeśli nie ma zbyt dużo pracy. Madeleine gotuje obiady i kolacje. Poza tym jest kierowcą wszystkich samochodów. Sabino prowadzi tylko ciężarówkę.

– Wszystkich samochodów – powtórzyłem. – Macie ich dużo?

Skinęła głową.

– Dużo. Mój ojciec bardzo lubił samochody i kolekcjonował je, zanim umarł. Mama trzyma je w ogromnym garażu, chociaż nimi nie jeździ. Jacob je uruchamia i troszczy się, żeby niepopsuty się im silniki. Są też ludzie,

którzy je co tydzień czyszczą. Jacob pilnuje, żeby dobrze wykonywali tę pracę.

– A więc Jacob jest bardzo zapracowanym człowiekiem.

– Tak. A ile ty masz samochodów?

– Tylko jeden.

– Jaki?

– Dodge dart.

– Dodge dart – powtórzyła i zacisnęła usteczka w zamyśleniu. – Takiego nie mamy.

– Nic nadzwyczajnego. Dość stary i z dużym przebiegiem – wyjaśniłem.

– Mamy jeden taki. Cadillac knockabout.

– Cadillac knockabout? Nie słyszałem o takim modelu.

– Właśnie nim przyjechaliśmy. Cadillac fleetwood knockabout z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. Jest cały czarny. Jacob mówi, że to prawdziwy koń pociągowy.

– A ty lubisz samochody?

Wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo.

– A zabawki. Masz ulubione zabawki?

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo.

W gabinecie mam trochę zabawek. Może chciałabyś je obejrzeć?

Wzruszyła ramionami po raz trzeci, lecz pozwoliła mi się wprowadzić do pokoju. Kiedy znaleźliśmy się w środku, poczęła gorączkowo rozglądać się i

nerwowo szperać oczyma po stole, półce z książkami, kuferku z zabawkami.

Ciągle od początku powtarzała tę czynność. Silnie spłotła dłonie.

Podszedłem do szafy, gdzie znajdowały się zabawki, otworzyłem ją i

zwróciłem się do Melissy:

– Mam tu mnóstwo gier i lalek. Znajdzie się również papier i ołówek. Są też kolorowe kredki, jeśli chcesz malować.

– Czemu mam to robić? – spytała.

– Co robić, Melisso?

– Bawić się i rysować. Mama mówiła, że będziemy rozmawiać.

– Twoja mama nie myliła się. Będziemy rozmawiać, ale czasem dzieci, które do mnie przychodzą, chcą pobawić się trochę, a kiedy przyzwyczajają się do nowego miejsca, rozpoczynamy sesję.

Coraz szybciej poruszała splecionymi palcami. Spuściła oczy.

– Zabawa i rysowanie pomagają dzieciom lepiej wyrazić własne uczucia, uzewnętrznić je – powiedziałem.

– Ja potrafię uzewnętrzniać uczucia przez rozmowę.

– Świetnie, zabieramy się więc do rozmowy.

Usadowiła się na skórzanej kozetce. Ja usiadłem, w fotelu naprzeciwko.

Rozejrzała się raz jeszcze i ułożyła ręce na fałdzie sukienki, patrząc mi prosto w oczy.

– No dobrze – zacząłem. – Na początek powiem, kim jestem i dlaczego tu przyszedłeś. Otóż jestem psychologiem. Czy spotkałaś się już z tym słowem?

Splotła palce i kopnęła obcasem w obicie kozetki.

– Ja mam problem, a ty jesteś takim lekarzem, co pomaga dzieciom,

które mają problemy, i nie robisz zastrzyków.

– Bardzo dobrze. Czy Jacob ci o tym powiedział?

Potrząsnęła główką.

– Moja mama. Doktor Wagner powiedziała mamie o tobie. Ona jest przyjaciółką mamy.

Pamiętałem, co mówiła Eileen Wagner o krótkiej pogawędce z dzieckiem kryjącym się w wielkim, prawie pustym domu. Ciekawe, z kim też Melissa może się przyjaźnić.

– Pani Wagner przyszła do twojej mamy właśnie z twojego powodu.

Ponieważ zadzwoniłaś do telefonu zaufania.

Jej drobne ciałko stężało, ręce zaczęły się jeszcze szybciej poruszać.

Spostrzegłem, że poduszcзки palców miała zaczerwienione, lekko otarte.

– Tak, ale ona lubi moją mamę.

Spuściła oczy.

– Właśnie – rzekłem, powracając do właściwego tematu – pani Wagner miała rację na temat zastrzyków. Ja nigdy ich nie robię. Mówiąc szczerze, nie mam zielonego pojęcia, jak się je robi.

Nie zrobiło to na niej spodziewanego wrażenia. Uparcie patrzyła na własne buciki. Zwarła kolana i zaczęła nimi poruszać na boki.

– Chociaż zdarza się – kontynuowałem – że wizyta u doktora, który nie robi zastrzyków, może przestraszyć dziecko. Jest to coś nowego.

Niewiadomo, czego się spodziewać.

Podniosła główkę i zmrużyła zielone oczy.

– Ja się ciebie nie boję.

– Bardzo dobrze – uśmiechnąłem się. – Ja się też ciebie nie boję.

Spojrzała na mnie wzrokiem wyrażającym częściowo pobłażanie, ale bardziej pogardę. Tym właśnie skwitowała sławetne poczucie humoru doktora Delaware.

– Co więcej, nie tylko nie robię zastrzyków dzieciom, które do mnie przychodzą. Nie robię im absolutnie nic. Po prostu z nimi współpracuję.

Taka praca zespołowa. Opowiadają mi o sobie, a kiedy dowiem się już o nich wystarczająco dużo, pokazuję im, jak się mają nie bać. Ponieważ ludzie uczą się bać, trzeba się tego oduczyć.

W jej oczach błysnęła iskierka zainteresowania. Rozluźniła kolana, lecz nie rozplotła palców.

– Ile dzieci tu przychodzi? – zapytała.

– Dużo.

– Ile?

– Nawet ośmioro w ciągu dnia.

– Jak się nazywają?

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– Czemu?

– Tajemnica. I nie powiem nikomu, że ty dzisiaj do mnie przyszedłeś, chyba że uzyskam od ciebie specjalne pozwolenie.

– Dlaczego?

– Ponieważ dzieci, które tu bywają, mówią o swoim życiu prywatnym.

Pragną intymności. Wiesz, co to znaczy?

– Intymność to jest jak chodzenie do łazienki i zamykanie za sobą drzwi?

– Otóż to. Gdy dzieci opowiadają o sobie, zdarza się, że wspomną o rzeczach, o których nie powiedzą nikomu innemu. Moja praca polega między innymi na tym, żeby wszystko zachować w tajemnicy. Wszystko, co odbywa się w tym pomieszczeniu, jest objęte ścisłą tajemnicą. Nawet nazwiska ludzi, którzy tu przychodzą, objęte są tajemnicą zawodową. Właśnie dlatego są tu drugie drzwi. – Wskazałem je. – Prowadzą do przedpokoju. Można wyjść z gabinetu bez przechodzenia przez poczekalnię i bez oglądania innych ludzi. Chcesz zobaczyć?

– Nie, dziękuję.

– Czy teraz coś cię niepokoi?

– Nie.

– Czy możesz powiedzieć mi, czego się lękasz?

Milczenie.

– Melisso!

– Wszystkiego.

– Lękasz się wszystkiego?

Splonęła rumieńcem wstydu.

– Łatwiej będzie, jeśli zaczniemy od jakiejś jednej rzeczy.

– Włamywaczy i złodziei – wyrecytowała jednym tchem.

– Czy ktoś mówił ci o pytaniach, jakie dzisiaj będę ci zadawał?

Milczenie.

– To był Jacob?

Skinęła głową.

– I twoja mama?

– Nie. Tylko Jacob.

– Czy Jacob powiedział ci, jak masz odpowiadać na te pytania?

Wyraz niezdecydowania na twarzy.

– Jeśli zrobił to, nic się nie stało. Starał ci się pomóc. Chcę tylko, żebyś mówiła to, co czujesz. To ty jesteś gwiazdą tego programu.

– Powiedział, żeby siedzieć prosto i mówić wyraźnie całą prawdę.

– Prawdę o tym, czego się lękasz?

– Tak. Może wtedy mi pomożesz.

– Jacob jest wyjątkowo inteligentnym człowiekiem i jest dobrym opiekunem, ale tutaj wszystko, co powiesz, musi pochodzić wyłącznie od ciebie. Możesz mówić, o czym tylko zechcesz.

– Chcę mówić o włamywaczach i złodziejach.

– A więc porozmawiamy o tym.

Czekałem. Melissa milczała.

– Jak wyglądają ci włamywacze i złodzieje?

– To nie są prawdziwi włamywacze – odparła głosem wyrażającym najgłębszą pogardę. – Istnieją tylko w mojej wyobraźni.

– A jak wyglądają w twojej wyobraźni?

Znów milczenie. Zamknęła oczy. Poruszała splecionymi palcami w gwałtownym tańcu chaotycznych figur. Kołysała lekko całym ciałem, zapadając w oszalamiający trans. Na jej zaciśniętych ustach pojawił się nerwowy grymas. Wydawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

Pochyliłem się nad nią i rzekłem:

– Melisso, nie musimy rozmawiać o tym teraz.

– On jest taki wielki – szepnęła wciąż z zaciśniętymi powiekami. Nie płakała. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że ten wyraz jej twarzy był oznaką silnej koncentracji. Jej gałki oczne pod powiekami wirowały w zawrotnym tempie. W pogoni za mirażami wyobraźni.

– Jest taki wielki... z wielkim kapeluszem... – Nagle jej oczy się uspokoiły. Ręce rozluźniły się i wyprostowane w łokciach poczęły zataczać kręgi w powietrzu. – ...i w długim płaszczu...

– I co?

Zamarła bez ruchu z uniesionymi rękoma. Usta rozwarły się lekko, lecz nie wydały żadnego dźwięku. Na jej obliczu odmalował się wyraz uspokojenia. Zapadła w sen.

Hipnoza.

Spontaniczne przejście w stan hipnozy?

To nierzadkie u dzieci w jej wieku: u małych dzieci świat realny i świat wyobraźni nie dzieli wyraźna granica, nawet inteligentne dzieci łatwo poddają się hipnozie. Wystarczy połączyć to z pustelniczym trybem życia, jaki prowadzi, o czym mówiła Eileen Wagner, i staje się jasne, że gdy mała zamyka oczy, czuje się tak, jakby zasiadała przed ekranem w kinie.

Zapewne czasem są to męczące obrazy, jakiś krwawy horror...

Ręce opadły na sukienkę, złączyły się i znów rozpoczęły swój taniec. Była jakby w pół transie. Milczała.

– Włamywacz nosi wielki kapelusz i długi płaszcz – rzekłem, nieświadomie obniżając głos i cedząc słowa. Staralem się podążać tropem jakimi wskazała. Taki to los terapeuty.

Siedziała cała napięta. Nie odpowiadała.

– Coś jeszcze? – zapytałem łagodnie.

Wciąż milczała.

Doświadczenie zdobyte w toku setek takich wizyt podpowiadało mi, żeby to ciągnąć.

– Czy on ma coś jeszcze oprócz kapelusza i płaszcza? Co ma w ręce?

– Worek – odrzekła ledwo słyszalnie.

– Dobrze. Włamywacz ma worek. Po co?

Żadnej reakcji.

– Żeby napelnić go zrabowanymi rzeczami?

Gwałtownie otworzyła oczy, ręce spadły jej z kolan, zwisając po bokach.

Znów zaczęła się kołysać coraz szybciej. Głowę trzymała sztywno na jakby skamieniałej szyi.

Pochyliłem się i dotknąłem jej ramion. Były kruche jak kosteczki ptaka, pokryte bawełnianym materiałem.

– Czy chcesz pomówić o tym, do czego włamywacz używa worka?

Zamknęła powieki, wciąż się kołysząc. Zatrzęsła się i objęła mocno. Po policzkach spłynęło parę łez. Chusteczką wytarłem jej oczy, spodziewając się, że mnie odepchnie. Nie uczyniła tego.

Pierwsze spotkanie było szokujące. Wszystko szło znakomicie, ale jakby za szybko. Mogło to zniweczyć całą terapię. Dotykając chusteczką jej policzków, szukałem w myślach sposobu, żeby to tempo jakoś spowolnić.

Jej jedno słowo wystarczyło, żebym zapomniał o rozmyślaniach.

– Dzieci.

– Włamywacz wkłada do worka dzieci?

– Tak.

– Więc ten włamywacz to kidnaper?

Otworzyła oczy, wstała wpatrzona we mnie, wzniosła ręce jak do modlitwy.

– To jest morderca! – wykrzyknęła z całych sił. Trzęsła się przy każdym słowie. – Mikoksi z kwasem!

– Mikoksi?

– Mikoksi z kwasem! Z parzącą trucizną! Mikoksi tym ją oblał, a teraz wróci i poparzy ją znowu, i mnie też!

– Melisso, kogo on tym oblał?

– Mamę! A teraz wrócił!

– Gdzie jest ten. Mikoksi?

– W więzieniu, ale on wyjdzie i znowu nas skrzywdzi.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo on nas nie lubi. On kiedyś lubił mamę, ale potem oblał mamę zatrutym kwasem. Chciał ją zabić, ale tylko poparzył jej twarz. Mama nadal pozostała piękna i wyszła za męża, i ja się urodziłam!

Zerwała się i zaczęła chodzić po gabinecie. Trzymała się za skronie, pochylona i mamrocząca coś pod nosem niczym małeńka staruszka.

– Kiedy to się zdarzyło?

– Przed tym, jak się urodziłam. – Kołysała się na ugiętych nogach, z twarzą zwróconą do ściany.

– Czy Jacob ci o tym powiedział?

Skinęła głową.

– Czy mówiłaś o tym z mamą?

Zawahała się. Pokręciła głową.

– Mama nie chce o tym wspominać.

– Dlaczego?

– Bo wtedy robi się smutna. Kiedyś była szczęśliwa i piękna. Ludzie robili

jej zdjęcia. Mikoksi poparzył jej twarz, a potem miała wiele operacji.

– Czy Mikoksi ma jakieś imię?

Zwróciła do mnie szczerze zdziwioną twarzyczkę.

– Nie wiem.

– Jednak wiesz, że teraz jest w więzieniu.

– Tak, ale wyjdzie, a to jest niesprawiedliwe!

– Kiedy ma wyjść na wolność?

Była coraz bardziej zbita z tropu.

– Czy to Jacob powiedział ci, że Mikoksi wyjdzie z więzienia?

– Nie.

– Ale to on rozmawiał z tobą o sprawiedliwości?

– Tak!

– A co oznacza dla ciebie sprawiedliwość?

– Żeby być w porządku!

Zmierzyła mnie wyzywającym spojrzeniem i oparła ręce w tym miejscu

swego płaskiego ciała, które pewnego dnia miało przemienić się w kobiece

biodra. Zmarszczyła groźnie brwi. Wykrzywiła usta i wzniosła palec, którym

pokiwała, patrząc na mnie.

– To nie było w porządku i było bardzo głupie! Należało wymierzyć mu

sprawiedliwość! Powinni byli zabić go kwasem!

– Jesteś bardzo zła na Mikoksiego.

Spojrzała na mnie jak na idiotę.

– To dobrze, że jesteś na niego zła, ponieważ wtedy się go nie boisz. Obie dłonie zacisnęła w pięstki, a potem rozluźniła je i westchnęła.

Opuściła głowę, powracając do splatania palców.

Podszedłem do niej i przyklęknąłem. Nasze oczy znalazłyby się na tym samym poziomie, gdyby tylko chciała na mnie popatrzeć.

– Jesteś niezwykle uzdolnionym dzieckiem i wiele mi pomogłaś, odważnie mówiąc o tym, czego się lękasz. Wiem teraz, jak bardzo chcesz przestać się bać. Pomagałem różnym dzieciom i na pewno pomogę również tobie.

Milczała.

– Jeśli tylko chcesz coś jeszcze powiedzieć o Mikoksim i włamywaczach, to dobrze. Jeśli nie chcesz – to również dobrze. Zostało trochę czasu, zanim Jacob po ciebie przyjdzie. Od ciebie zależy, co teraz zrobimy.

Nawet nie drgnęła, siedząc w milczeniu. Dłuższa wskazówka pękatego zegara zawieszzonego po drugiej stronie pokoju wykonała pół okrążenia.

Dziewczynka podniosła głowę, ale nie spojrzała na mnie, odwracając wzrok.

– Porysuję – rzekła. – Ale ołówkiem. Nie chcę kredek.

Wolno poruszała ołówkiem, z koniuszkiem języka wysuniętym z

półotwartych ust. Miała wyjątkowe uzdolnienia artystyczne, ale z tego, co

rysowała, wyniosłem, że jest zmęczona sesją: uśmiechnięta dziewczynka,

obok uśmiechnięty kocur stojący przed czerwonym domem, drzewo o

pogrubionym pniu z dużą liczbą jablek na gałęziach. Nad całością królowało

wielgachne, złote słońce o promieniach w kształcie liści słonecznika.

Gdy skończyła rysunek, położyła go na moim biurku.

– Możesz to sobie wziąć.

– Dziękuję. Bardzo ładnie rysujesz.

– Kiedy przyjdę znowu?

– Za dwa dni. W piątek.

– Czemu nie jutro?

– Czasem dobrze jest, gdy dzieci mają trochę czasu na przemyślenie tego, co się wydarzyło na ostatnim spotkaniu.

– Ja myślę bardzo szybko – odparła pewnym głosem. – I są inne sprawy, o których jeszcze nie mówiłam.

– Rzeczywiście chcesz przyjść jutro?

– Chcę jak najszybciej wyzdrowieć.

– Więc dobrze, spotkamy się jutro o piątej. Jeśli Jacob będzie miał czas, żeby cię przywieźć.

– Będzie miał – odrzekła poważnie. – On również chce, żebym wyzdrowiała jak najszybciej.

Wyszliśmy drugimi drzwiami. Po przedpokoju spacerował Jacob. W

jednej ręce trzymał papierową torbę. Gdy nas spostrzegł, zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek.

– Jacob, jutro przyjedziemy tutaj o piątej – zakomunikowała Melissa.

Uniósł brwi.

– Chyba nie przyszedłem za wcześnie, doktorze?

– Nie – odparłem. – Właśnie pokazuję Melissie drugie drzwi wyjściowe.

– W ten sposób inne dzieci nie zobaczą mnie i nie dowiedzą się, kim

jestem – wyjaśniła dziewczynka. – To jest intymność.

– Ach tak, rozumiem. – Dutchy przyjrzał się dokładniej przedpokojowi. –

Przyniosłem ci coś, moja panno. Żebyś nie była głodna do kolacji.

Otworzył torbę i delikatnie, końcami palców, wyjął ciastko. Melissa

zapiszczała z uciechy. Wzięła ciastko i podniosła je do ust. Dutchy chrząknął

znacząco. Ciastko zastygło w powietrzu przed otwartymi ustami.

– Dziękuję.

– Uprzejmie proszę, panienko.

Zwróciła się do mnie.

– Czy chcesz gryza?

– Nie, dziękuję pięknie – rzekłem to takim tonem, jakbym zdawał

egzamin z savoir vivre'u.

Oblizala się i zajęła palaszowaniem ciastka.

– Czy mogę prosić pana na chwilkę, panie Dutchy?

Znów spojrzał na ręczny zegarek.

– Na autostradzie jest duży ruch... jeśli teraz nie wyjedziemy...

– W czasie sesji zdarzyło się coś ważnego.

– Prawdę mówiąc...

Zmusilem się do ugrzecznionego uśmiechu.

– Jeśli mam dalej nad tym pracować, musi mi pan pomóc.

Przybrał taki wyraz twarzy, jakbyśmy się spotkali na oficjalnym przyjęciu

w ambasadzie. Znów chrząknął.

– Melisso, przepraszam na chwilę.

Odszedł parę kroków. Dziewczynka odprowadziła go spojrzeniem.

Uśmiechnąłem się do niej.

– To zajmie sekundę – rzekłem i podszedłem do Dutchy’ego.

Znowu rozejrzał się po przedpokoju i założył ręce na piersi.

– O co chodzi, doktorze?

Dopiero z odległości paru centymetrów widać było, jak idealnie gładko jest ogolony. Pachniał wodą toaletową i czystym ubraniem prosto z pralni.

– Opowiedziała mi o tym, co spotkało jej matkę. O niej jakim Mikoksim.

Cofnął się o krok.

– Doprawdy, proszę pana, nie mnie należy o to pytać.

– To jest bardzo ważne. Dotyczy jej stanów lękowych.

– Najlepiej będzie, jeśli jej matka sama...

– Oczywiście. Problem polega na tym, że prowadzę z nią jednostronną korespondencję. Zwykle nie przyjmuję małych pacjentów bez osobistego udziału rodziców. Jednak Melissa potrzebuje pomocy. Potrzebuje koniecznie.

– A ja muszę mieć więcej informacji.

Zagryzł policzek tak silnie, jakby chciał go odgryźć. Melissa stała w drugim końcu przedpokoju, jedząc i patrząc na nas.

– Cokolwiek się wydarzyło, było to przed jej urodzeniem.

– Jeśli chodzi o porządek chronologiczny, ale psychika rządzi się inną logiką.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. W rogu jednego oka pojawiła się

lza nie większa niż diament na pierścionku zaręczynowym.

– Doprawdy, to nie jest odpowiednia chwila. Jestem tylko służącym...

– Dobrze więc – rzekłem. – Nie chcę stawiać pana w niezręcznej sytuacji.

Proszę jednak przekazać pani, że ktoś musi się ze mną natychmiast skontaktować.

Melissa ze zniecierpliwienia przestępowała z nogi na nogę. Po ciastku nie zostało ani śladu. Dutchy spojrział na nią zatroskany.

– Chcę ją zobaczyć jutro o piątej. – Zdawałem sobie sprawę, że nic już nie wskóram.

Skinął głową i przybliżył się do mnie tak, że nasze głowy o mało się nie zetknęły. Wyszeptał mi prosto w ucho:

– Ona nazywa go Mikoksi, ale ten przeklęty zbrodniarz nazywał się McCloskey. Joel McCloskey.

Kiedy się pochylał, sprawiał wrażenie żółwia, który ostrożnie wysuwa głowę ze skorupy. Oczekiwał na moją reakcję.

– Nic mi to nie mówi – odparłem.

Cofnął głowę.

– Czy dziesięć lat temu mieszkał pan w Los Angeles, doktorze?

Skinąłem głową.

– Gazety rozpisywały się o tym.

Chodziłem wtedy do szkoły i interesowałem się tylko podręcznikami.

– Trzeciego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku.

– Jego twarz wyrażała cierpienie. – To... to wszystko, co mogę teraz powiedzieć. Może następnym razem.

– Nie szkodzi. Do widzenia.

– A więc o piątej. – Odetchnął i wyprostował się. Poprawił polity marynarki i odchrząknął. – Mam nadzieję, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

– Tak, nie mogę narzekać.

Melissa wolno skierowała się w naszą stronę. Biała, jedwabna wstążka ciągnęła się za nią po podłodze. Dutchy energicznym krokiem podszedł do swojej podopiecznej i zawiązał końce niesfornej wstążki, a następnie otrzepał okruszki ze spódniczki. Wziął Melissę za ramiona i powiedział, żeby wyprostowała się, bo żadna panienska nie powinna mieć skrzywionego kręgosłupa.

Uśmiechnęła się do niego uroczo.

Opuszczając budynek, wciąż trzymali się za ręce.

Parę minut później miałem już innego pacjenta. Przez całe trzy kwadransy z trudem zmuszałem się, żeby nie myśleć o wiolonczeli i pikolo. Z gabinetu wyszedłem o siódmej. Pięć minut zajął mi dojazd do Biblioteki Beverly Hills. Czytelnia była wypełniona emerytami, sprawdzającymi notowania giełdowe, i nastolatkami, odrabiającymi prace domowe lub przepisującymi je od kolegów. Piętnaście po siódmej siedziałem za przeglądarką mikrofilmów, mając przed sobą kopie „Timesa” z marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Cofnąłem się do czwartego marca. To, czego szukałem, zajmowało lewy górny róg pierwszej strony.

AKTORKA ZAATAKOWANA KWASEM SIARKOWYM

Wczoraj nad ranem w spokojnej dzielnicy mieszkaniowej w pobliżu Hollywood Boulevard miała miejsce zbrodnia mrożąca krew w żyłach. Do tej pory sąsiedzi nie mogą zrozumieć, jak do tego doszło. Ofiarą ataku jest była modelka, a obecnie aktorka zatrudniona w znanym studiu filmowym Apex.

Regina Marie Paddock, lat dwadzieścia trzy, zamieszkała przy Beachwood Drive 2103 pod numerem drugim, została obudzona o godzinie 4.30 nad ranem stukaniem do drzwi przez mężczyznę podającego się za doręczyciela z pilną przesyłką.

Gdy otworzyła drzwi, napastnik wyciągnął butelkę i wylał jej zawartość na twarz kobiety. Poszkodowana z przeraźliwym krzykiem upadła na podłogę.

Oto rysopis podejrzanego: Afrykanin, lat około dwudziestu, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, dobrze zbudowany. Uciekał bez samochodu.

Ofiara z oparzeniami trzeciego stopnia została przewieziona do szpitala „Hollywood Presbyterian”. Lekarze określają stan zdrowia chorej jako „poważny, ale Stabilny”. Jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, ale cierpi bardzo z powodu głębokich oparzeń lewego policzka. Szczęśliwym trafem oko nie zostało uszkodzone.

Rzecznik prasowy Apex powiedział: „Wciąż jesteśmy w szoku po tym wołającym o pomstę do nieba wypadku i wyrażamy głęboki żal z powodu

niezawinionego ataku na naszą utalentowaną aktorkę Ginę Prince (pseudonim artystyczny panny Paddock). Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby przy pomocy odpowiednich służb jak najszybciej ująć sprawcę zbrodni.”

Regina Marie Paddock urodziła się w 1946 roku w Denver w stanie Kolorado. W wieku lat dziewiętnastu przeniosła się do Los Angeles, gdzie pracowała w agencji modelek Flax Agency. Została szybko zauważona i trafiła na okładki czasopism „Glamour” i „Vogue”. Następnie współpracowała z agencją Belle Vue Agency i podpisała umowę z William Morris Agency, skąd otrzymała angaż do studia Apex.

Mimo że dotychczas nie zagrała żadnej roli, rzecznik prasowy studia stwierdził: „Chciano jej powierzyć parę ważnych ról w najnowszych filmach. Giną Prince jest wielce uzdolnioną i piękną kobietą. Zrobimy wszystko, żeby ten nieszczęśliwy wypadek nie wpłynął na jej karierę.”

Policja prowadzi energiczne śledztwo. Wszelkie informacje prosimy kierować bezpośrednio do detektywów Savage i Flores z wydziału dochodzeniowego policji w Hollywood.

W środku artykułu umieszczono pomniejszone zdjęcie z okładki

„Vogue”: owalna twarz, długa szyja, długie proste, jasne włosy ułożone w dziwną fryzurę, która była prawdopodobnie ostatnim krzykiem mody.

Podkreślone łuki brwi, wydatne kości policzkowe, ogromne jasne oczy i śliczne usta. Makijaż zrobiony przez studio Avedon albo kogoś o podobnym stopniu profesjonalizmu.

Jakże kwas zniszczył tę skończoną piękność.

Melissa była bardzo podobna do matki, ale wiele mogło się jeszcze zmienić, zanim dojrzeje.

Przekręciłem gałkę przeglądarki. Krótkie notatki o stanie zdrowia Giny Paddock pojawiały się przez następnych parę dni. Jej stan określano jako „stabilny”. Żadnych poszlak. Znowu wyrazy współczucia od kierownictwa studia filmowego z informacją o nagrodzie w wysokości pięciu tysięcy dolarów dla każdego, kto przyczyni się do ujęcia sprawcy. I żadnych już zapewnień o dalszej karierze filmowej modelki.

Dwa tygodnie później:

ARESZTOWANIE PODEJRZANEGO O ATAK KWASEM

DZIĘKI ANONIMOWEJ INFORMACJI

Policja aresztowała podejrzanego o atak kwasem, który oszpecił aktorkę Ginę Prince (Regina Marie Paddock).

O aresztowaniu w południowym Los Angeles Mehina Louisa Findlaya, lat 28, poinformował szef policji Bryce Donnemeister na konferencji prasowej zwołanej w komendzie głównej policji. Findlay był notowanym przestępcą. W ostatnim czasie zwolniony został warunkowo z więzienia w Chino, gdzie odsiedział osiemnaście miesięcy z trzyletniego wyroku za wymuszenie.

Findlay, znany recydywista, wcześniej był skazywany za napad, pobicie i kradzież samochodu.

„Materiały dowodowe przekonują nas, że złapaliśmy właściwego człowieka” – oświadczył Donnemeister. Odmówił jednak odpowiedzi na pytanie, czy ofiara zidentyfikowała przestępcę. Stwierdził tylko, że do aresztowania doszło po anonimowym telefonie.

Panna Prince wciąż przebywa na leczeniu w szpitalu „Hollywood Presbyterian”. Jej stan oceniany jest jako dobry. Prowadzone są przygotowania do operacji plastycznych twarzy.

Po trzech dniach:

WŁAŚCICIEL AGENCJI MODELEK

ARESZTOWANY W SPRAWIE O ATAK KWASEM

Właściciel agencji modelek, która w przeszłości zatrudniała Ginę Prince

(Regina Marie Paddock), został schwytany wczoraj wieczorem jako główny podejrzany w sprawie o okrutny zamach, o którym pisaliśmy w ostatnich dniach. Joela Henry'ego McChskeya, lat 34, aresztowano w pokoju hotelu „Flamingo”, gdzie ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem. Tymczasowo osadzono go w areszcie śledczym w Las Vegas na podstawie nakazu sądowego. Szef policji w Hollywood oświadczył, że do aresztowania doszło na podstawie zeznań innego podejrzanego, Mehina Findlaya, lat 28, aresztowanego 18 marca. „Na tym etapie śledztwa ustalono, że Findlay był tylko wykonawcą zbrodni. McCloskey wynajął go.”

Donnemeister przyznał, że w roku 1967 Findlay pracował dla McChskeya w charakterze „ochroniarza”. Szef policji odmówił dalszych komentarzy.

McCloskey wychował się w New Jersey, na początku śpiewał w klubie nocnym, a w 1962 roku przybył do Los Angeles, gdzie szukał pracy jako aktor. W końcu otworzył agencję modelek Belle Vue Agency. Po przejściu panny Prince z większej i bardziej wpływowej agencji Flax Agency, jak utrzymują hollywoodzkie źródła, bez powodzenia próbował zostać menadżerem Giny.

McChskeya i pannę Prince łączyła bliska znajomość do czasu odejścia Prince z agencji Belle Vue i podpisaniu nowego kontraktu z William Morris Agency na cykl zdjęć próbnych. Wkrótce potem szczęście odwróciło się od Belle Vue i 9 lutego bieżącego roku McCloskey ogłosił bankructwo.

Na pytanie, czy zemsta jako motyw zbrodni jest brana pod uwagę,

komendant odpowiedział: „ Wstrzymuję się od wszelkich komentarzy do czasu zakończenia oficjalnego dochodzenia.”

Panna Prince wciąż przebywa w szpitalu „Hollywood Presbyterian”, gdzie poddawana jest skomplikowanym operacjom plastycznym.

Poniżej znajdowało się zdjęcie: niski, ciemny, o drobnej budowie mężczyzna prowadzony przez dwóch rosłych policjantów, przy których wyglądał jak karzelek. Miał na sobie sportową bluzę, długie spodnie i rozpiętą na piersiach białą koszulę. Nisko pochylał głowę, a długie włosy przysłaniały mu twarz. Przypominał zaszpeconego Jamesa Deana, który nie golił się przez parę dni.

Po chwili znalazłem epilog sprawy. McCloskey zaplanował zbrodnię i opłacił zbira. Melvm Findlay przyznał się do napadu i zeznawał przeciwko McCloskeyemu. McCloskey został oskarżony o usiłowanie zabójstwa i współudział w zamachu. Wniesienie ostatecznego oskarżenia przez prokuratora miało zająć trzy miesiące.

Sam proces trwał krótko. Prokurator rozdał ławnikom zdjęcia Giny Prince z czasów, kiedy była wziętą modelką, a potem zdjęcia zniekształconej twarzy kobiety zrobione w szpitalu zaraz po zamachu. Ofiara pojawiła się na chwilę na sali rozpraw obandażowana i łkająca. Chirurdzy stwierdzili trwałą deformację twarzy.

Melvin Findlay zeznał pod przysięgą, że McCloskey wynajął go do „spalenia twarzy tej (niecenzuralne słowo) dziwki, a jeśli nie przeżyje ataku, to nie będzie się tym martwił”.

Prokurator przedstawił taśmę z zeznaniem McCloskeya, które obrona

starala się bezskutecznie podważyć. Nagranie odtworzono publicznie:

McCloskey płacząc przyznawał się do wynajęcia Findlaya, żeby oszpecił on Ginę Prince.

Linia obrony nie polegała na poddawaniu w wątpliwość faktów, ale na udowodnieniu, że McCloskey nie był w pełni poczytalny, co nie udało się z powodu odmowy McCloskeya poddania się badaniom psychiatrycznym.

Psychiatra sądowy oświadczył, że obserwując McCloskeya w celi, można było określić go jako „niechętnego do jakiegokolwiek kontaktu i pogrążonego w depresji, ale myślącego trzeźwo, bez poważniejszych zaburzeń psychicznych”. Werdykt skazujący ława przysięgłych wydała po dwugodzinnej naradzie.

W czasie ogłaszania wyroku sędzia nazwał McCloskeya „wyjątkowo nikczemną bestią ludzką, i najbardziej odrażającym oskarżonym, jakiego miał nieszczęście spotkać w całej dwudziestoletniej karierze sędziowskiej”.

Następnie odczytał długą listę oskarżeń, skazując McCloskeya na dwudziestotrzyletni

pobył

w

San

Quetin.

Wydawało

się,

że

usatysfakcjonowało to wszystkich. Nawet McCloskeya, który zaraz po

rozprawie zwolnił obrońców i nie skorzystał z prawa do apelacji.

Po zakończeniu procesu dziennikarze próbowali zrobić wywiad z przysięgłymi. Wybrali oni spośród siebie rzecznika, który powiedział:

„Żeby sprawiedliwości stało się zadość, powinniśmy byli zastosować zasadę: oko za oko, ząb za ząb. Tej kobiecie nic nie zwróci urody, ale nie spoczęliśmy, aż McCloskey otrzymał najwyższy wyrok dopuszczalny prawnie przy takim oskarżeniu.” Człowiekiem, który wypowiedział te słowa, był czterdziestosześcioletni

Jacob

P.

Dutchy,

jeden

z

pracowników

przedsiębiorstwa Dickinson Industries w Pasadenie.

Mikoksi z kwasem.

Dwadzieścia trzy lata w San Q.

Za dobre sprawowanie wychodzi się po odsiedzeniu połowy kary.

Apelacje i odwołania mogą dodatkowo skrócić okres więzienia. A więc wkrótce powinien wyjść – jeśli jeszcze tego nie uczynił.

Bez wątplenia Dutchy musiał znać dokładną datę zwolnienia. Byłem

przekonany, że nie zapomniał o sprawie i śledził losy więźnia. Nie

wiedziałem tylko, jak Dutchy i matka wytłumaczyli cały wypadek Melissie.

Dutchy. Interesująca postać. Dokonał oryginalnej metamorfozy.

Z ławnika przeobraził się w oddanego sługę. Wyświetlenie tej kwestii bardzo mnie pociągało, ale nie miałem nadziei na odkrycie prawdy. Biorąc pod uwagę okoliczności, będę miał dużo szczęścia, jeśli uda mi się w ogóle dowiedzieć czegoś więcej o tej sprawie.

Dumałem o skrytości i przywiązaniu Dutchy'ego. Czy i nie ten sam stan beznadziejności, ta sama subtelność cierpiącej księżnej przyciągnęła również Eileen Wagner?

Czymże jest dorastanie pod opieką takiej matki?

Mężczyźni z workami...

Identyczne sny miały dzieci, które leczyłem do tej pory.

Nie opuszczało mnie jednak nieodparte wrażenie, że to dziecko jest inne.

Nie wygram łatwo tej sprawy.

Zjadłem wyśmienitą kolację w restauracji Nate'n Al przy Beverly Drive:

duszona wołowina z ryżem, w towarzystwie ludzi z branży filmowej, rozprawiających o terminach kontraktów. Wróciłem do domu i zadzwoniłem do San Labrador.

Tym razem automatyczna sekretarka głosem Dutchy'ego oznajmiła, że nikogo nie ma w domu i łaskawie ośmielała mnie do pozostawienia wiadomości.

Powtórzyłem, że żądam natychmiastowej rozmowy z panią domu.

Rozdział czwarty

Telefon milczał do końca wieczora i przez pół następnego dnia. O piątej po południu postanowiłem, że znów wypytam Dutchy'ego – tym razem nie zasłoni się „niezręczną sytuacją”.

Lecz Dutchy nie pojawił się. Zamiast niego Melissę przywiózł

Meksykanin – człowiek pod sześćdziesiątkę, niski, przysadzisty i nad wyraz umięśniony pomimo swojego wieku, z cienkim wąsikiem i zakrzywionym nosem. Ręce miał tak zgrubiałe i zbrązowiałe, że przypominały pień drzewa cedrowego. Miał na sobie ubranie robocze koloru khaki, buty z gumową podeszwą, a brzuch zasłaniał poplamionym, beżowym, płóciennym kapeluszem.

– To jest Sabino – poinformowała mnie Melissa – opiekuje się naszym ogrodem.

Przywitałem się, podając swoje nazwisko. Ogrodnik uśmiechnął się nieporadnie i odrzekł cicho:

– Hernandez Sabino.

– Dziś przyjechaliśmy ciężarówką – ciągnęła Melissa – i patrzyliśmy na wszystkich z góry.

– Gdzie jest Jacob? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Jest czymś zajęty.

Gdy wymieniłem imię Dutchy’ego, Hernandez jeszcze bardziej się wyprostował.

Powiedziałem, mu, że Melissa będzie wolna za czterdzieści pięć minut.

Wtedy zauważyłem, że nie ma zegarka.

– Proszę tutaj poczekać, jeśli pan sobie życzy – rzekłem – albo proszę przyjść o piątej czterdzieści pięć.

– Zgoda – odparł, ale nie poruszył się.

Wskazałem mu krzesło.

– Ach tak – wystękał i usiadł, wciąż ściskając kapelusz obiema rękami.

Wprowadziłem Melissę do gabinetu.

Trudny jest los uzdrowiacza: nie należy zwracać uwagi na drażniący sposób bycia dorosłych i myśleć tylko o dziecku.

Tego dnia musiałem się szczególnie mocno skoncentrować.

Melissa zaczęła mówić natychmiast, gdy tylko zajęła miejsce na kozetce.

Nie podnosząc wzroku, recytowała listę strachów, lęków i obaw głosem śpiewnym i zdecydowanym. Najwyraźniej solidnie przygotowywała się do sesji. Mrużyła oczy, a jej głos przybierał na sile, przechodząc w jękliwy krzyk. Wtedy urywała, drżąc z przerażenia, jakby wyobraziła sobie coś, czego nie sposób przekazać słowami.

Zanim zdążyłem cokolwiek wtrącić, znowu mówiła szeptem, jakim dzieci zwierają się ze swoich najskrytszych tajemnic, a chwilę potem skrzekliwym głosem, jak z radia z zepsutym potencjometrem.

– Potwory... coś wielkiego...

– Co to takiego?

– Nie wiem... coś złego.

Znów zamilkła. Jej dolna warga poczęła drżeć. Położyłem dłonie na jej napiętych ramionach. Otworzyła oczy i rzekła:

– Wiem, że to wszystko moja wyobraźnia, ale nie potrafię się przestać bać.

– Koszmary bywają bardzo męczące.

Mówiłem spokojnym głosem, a ona wprowadzała mnie w swój świat.

**Dalem się ponieść jej słowom, wyobrażając sobie te pomrukiujące,
szczyrzące długie ostre kły, zamaskowane kapturami hordy bezkształtnych
cieni, czyhające w ponurym zmierzchu. Drzwi do pułapki osnute mrokiem.
Drzewa przeistaczające się w wiedźmy, krzaki – w zdradliwe oparzeliska,
księżyc – w potworny, żarłoczny ogień.**

**Siła empatii. I nie tylko to. Wspomnienia innych nocy, jakże dawno
temu, kiedy jako chłopiec leżałem w łóżku, wsłuchujący się w wiatr nad
Missouri... Oderwałem się od tych reminiscencji i skupiłem na jej słowach:**

– ...I dlatego nienawidzę snu. Sen przynosi sny.

– Jakie sny?

Zadrżała i potrząsnęła główką.

**– Robię wszystko, żeby nie zasnąć, ponieważ razem ze snem przychodzą
te sny.**

**Wziąłem jej dygoczącą dłoń i uspokoiłem ją dotykiem, używając przy tym
techniki uśmierzania lęków, polegającej na monotonnym szepcie –
mruczeniu.**

– Czy śnisz jeden zły sen każdej nocy? – zapytałem.

– Czasem więcej niż jeden. Mama powiedziała, że kiedyś było ich siedem.

– Siedem złych snów jednej nocy?

– Tak.

– Czy je pamiętasz?

Uwolniła rękę, zamknęła oczy i poczęła mówić bezbarwnym głosem.

**Siedmioletni psychiatra prezentujący przypadek kliniczny na konferencji
naukowej. Przypadek pewnej bezimiennej dziewczynki, która budzi się ze**

snu zlaną zimnym potem w łóżku swojej mamy, rzucając się jak w ataku epilepsji, z gwałtownie bijącym sercem, palcami kurczowo zaciśniętymi na prześcieradle, żeby nie spaść nagle w bezdenny, olbrzymi, czarny wykop. I chociaż palce ma wbite w pościel, czuje, jak wszystko wzlatuje wysoko, niczym latawiec z urwanym sznurkiem, żeby spaść potem w bezdenną otchłań. Płacząc w ciemności, szuka ciepłego ciała matki, której ramiona obejmują ją w łagodnym, sennym uścisku.

Leżąc na plecach, zmrożona strachem, wpatruje się w sufit, próbując wmówić sobie, że pelzające po nim cienie nie są – nie mogą być – prawdziwe. Wdychając perfumy mamy, wsłuchuje się w jej pochrapywanie. A gdy upewnia się, że mama śpi głęboko, przytula się do jej twarzy. Do nieuszkodzonego policzka... zawsze do tego samego policzka.

Otworzyła oczy. Rzuciła raptowne spojrzenie na drzwi.

Więzień, któremu nadarza się sposobność ucieczki.

Pochyliłem się nad nią i powiedziałem, że się spisała na medal i że resztę czasu możemy spędzić na rysowaniu i zabawie.

– Boję się swojego pokoju – rzekła.

– Dlaczego?

– Jest taki wielki.

– Zbyt duży dla ciebie?

Zawstydzila się, jakby z nieoczekiwanego poczucia winy.

Poprosilem, żeby opowiedziała mi o swoim pokoju.

Zaczęła go barwnie opisywać.

Wysoki sufit z freskami, a na nich kobiety w fantazyjnych strojach.

Różowe dywany, różowo-szare owieczki i kotki na tapecie, którą mama wybrała specjalnie dla niej, gdy była jeszcze w kołysce. Zabawki. Pozytywki, szklane figurki, trzy domki z lalkami, zoo z wypchanymi zwierzętami. Łoże z baldachimem, sprowadzone z bardzo daleka, nie pamięta dokładnie skąd, z poduszkami i wielkimi, miękkimi przytulankami napełnionymi gęsim pierzem. Okna z koronkowymi firankami zaokrąglone u góry, sięgające prawie sufitu. Okna z kawałeczków kolorowych szkiełek, które rzucają kolorowe światło na twarz i dłonie. Fotel przed oknem z widokiem na trawnik i kwiaty. Sabino, który każdego dnia krząta się po ogrodzie; chciała kiedyś do niego pomachać, ale bała się zbliżyć do okna.

– Wielki pokój – ocenilem.

– To nie jest jeden pokój, ale parę połączonych. Sypialnia, łazienka, pokój z szafami na ubrania i lustrami. Pokój do zabawy – tam znajduje się większość zabawek, ale wypchane zwierzęta są w sypialni. Jacob nazywa ją ochronką, co oznacza pokój dziecienny.

Ściągnąłem brwi.

– Czy Jacob traktuje cię jak małe dziecko?

– Nie! W kołysce nie śpię od czasu, gdy skończyłam trzy lata.

– Czy podoba ci się taki wielki pokój?

– Nie! Nienawidzę go!

W jej oczach znów odmalowało się poczucie winy. Dwie minuty do końca sesji. Zauważyłem, że nie poruszyła się od czasu, kiedy usiadła.

– Wykonałaś wspaniałą robotę. Bardzo dużo się przy tobie nauczyłem.

Chyba już na dziś dosyć.

– Nie chcę być sama. Przenigdy.

– Nikt nie lubi być sam przez długi czas, nawet dorośli się tego obawiają.

– Ja nigdy nie chcę być sama. Gdy skończyłam siedem lat, po raz

pierwszy poszłam sama do łazienki, z zamkniętymi drzwiami i z

intymnością. Zmarszczyła czoło jakby w oczekiwaniu ataku z mojej strony.

– Kto chodził z tobą do łazienki do tej pory? – zapytałem.

– Jacob, mama, Madeleine albo Carmela, zanim skończyłam cztery lata.

Wtedy Jacob powiedział, że jestem już panienką i tylko kobiety mogą ze mną

chodzić. A kiedy skończyłam siedem lat, poszłam pierwszy raz sama.

Plakałam, bolał mnie brzuch, a raz nawet zwymiotowałam, ale jakoś to

wytrzymałam, że nikogo ze mną nie ma. Z przymkniętymi drzwiami, bo

nigdy ich nie zamykam. Nigdy.

Znowu groźnie zmarszczyła czoło.

– Szczerze gratuluję.

Nachmurzyła brwi.

– Czasem się denerwuję. Chcę, żeby ktoś ze mną był, ale nikogo o to nie

prosiłam.

– Doskonale – orzekłem – sama zwyciężyłaś lęki.

– Tak – odparła zdumiona. Chyba po raz pierwszy przewyciężenie

własnej słabości, nabrało dla niej znaczenia.

– Czy mama i Jacob powiedzieli ci, że to wielki sukces?

– Aha – rzekła z cieniem rezygnacji w głosie – oni zawsze mówią miłe

rzeczy.

– To jest naprawdę wielki sukces. Wygrałaś ciężką bitwę i możesz wygrać

następne – pokonać pozostałe lęki. Jeden po drugim. Będę walczył po twojej stronie. Wybierzemy lęk, który należy zniszczyć, i wspólnie obmyślimy strategię dla jego pokonania, krok po kroku. Niespiesznie. Żeby się nie bać. Możemy zacząć na następnej sesji – w poniedziałek.

Powstałem z fotela.

Nie poruszyła się.

– Ja chcę jeszcze rozmawiać.

– Również tego chcę, ale nasz czas dobiegł końca.

– Tylko troszkę – jęknęła.

– Naprawdę musimy już kończyć. Zobaczymy się w poniedziałek. To jest zaledwie...

Wzięłem ją za ramiona. Odepchnęła mnie, a jej oczy napelniły się łzami.

– Melisso, przykro mi. Chciałbym, żeby... Szybko wstała i pogroziła mi palcem.

– Jeśli masz mi pomagać, to dlaczego nie chcesz pomóc teraz? – Tupnęła nóżką.

– Ponieważ nasze spotkanie ma określone granice czasowe.

– Czemu?

– Myślę, że wiesz.

– Bo musisz leczyć inne dzieci?

– Tak.

– A jak się one nazywają?

– Nie mogę o tym mówić.

– Czy one są ważniejsze ode mnie?

– Nie są ważniejsze. Jesteś dla mnie bardzo ważna.

– To czemu mnie wyrzucasz?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, załapała się łzami i pobiegła do poczekalni.

Podążyłem za nią, rozmyślając o nieprzekraczalności trzech kwadransów, o bałwochwalstwie zegara. Wiedziałem również o znaczeniu ograniczeń w stosunku do każdego dziecka, a szczególnie do tego, które zostało skazane na lata dzieciństwa w straszliwej, pozbawionej granic krainie baśni.

Nie ma rzeczy straszniejszej od baśni...

Kiedy wszedłem do poczekalni, stała już uczepiona ręki Hernandeza, płaczliwie powtarzając:

– Sabino, idziemy!

Sabino był zakłopotany i zatroskany jednocześnie. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Jest trochę zdenerwowana – wyjaśniłem. – Proszę przekazać pani, że oczekuję jej telefonu.

Odpowiedział pustym spojrzeniem.

– *Su madre* – rzekłem. – *El teléfono*. Następną sesja w poniedziałek o piątej. *Lunes. Cinco*.

– Aha – wystękał. Wciąż wpatrywał się we mnie, miętosząc kapelusz.

Melissa tupnęła nogą i krzyknęła:

– Nigdy! Nigdy tu nie wrócę! Nigdy!

Mocno pociągnęła za twardą, zbrązowiałą rękę. Hernandez nie poruszał się i wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku. Miał załzawione oczy, ciemne i smutne, jakby rozpamiętywał zasłużoną reprimendę.

Pomyślałem o wysiłkach podejmowanych dla ochrony tego dziecka przed najmniejszym dyskomfortem psychicznym, o wysiłkach, które spełzały na niczym.

– Do zobaczenia. Do poniedziałku – rzekłem.

– Przenigdy! – krzyknęła z całych sił i wybiegła.

Hernandez włożył kapelusz i podążył w ślad za nią.

Pod koniec dnia sprawdziłem, czy nie zostawiono mi wiadomości z San Labrador.

Zachodziłem w głowę, jak Hernandez porozumiewa się z Jacobem.

Przygotowałem się na formalną rezygnację z dalszej terapii. Nie otrzymałem żadnych nowych informacji tego wieczora ani następnego dnia. Może nie stosuje się takiej kurtuazji w stosunku do plebejusza?

Zadzwońłem do domostwa Dickinsonów. Po trzecim sygnale słuchawkę podniósł Dutchy.

– Dzień dobry, doktorze – powiedział jak zwykle grzecznie.

– Chciałbym się upewnić co do poniedziałkowej sesji.

– Poniedziałek – odparł. – Tak, mam zanotowane. Piąta po południu, prawda?

– Tak.

– Czy przypadkiem nie miałby pan czasu wcześniej? Zatłoczone autostrady...

– Panie Dutchy, mogę zaoferować tylko tę godzinę.

– Więc o piątej. Dziękuję za telefon, doktorze.

– Jeszcze chwilę – powiedziałem szybko. – Muszę wiedzieć o jednej

rzeczy. Ostatnio Melissa opuściła mój gabinet z płaczem.

– Tak? Gdy zjawiała się w domu, była w dobrym nastroju.

– Czy nie mówiła, że nie chce przyjść w poniedziałek?

– Nie. A o co poszło, doktorze?

– Nic poważnego. Chciała zostać dłużej. Kiedy wyjaśniłem, że to niemożliwe, wybuchnęła płaczem.

– Rozumiem.

– Zapewne niczego się jej nie odmawia.

Milczenie.

– Zwracam na to uwagę – kontynuowałem – ponieważ brak ograniczeń może być tu jednym z problemów. Dla dziecka jest to jak dryfowanie po oceanie bez kotwicy. Pożądane byłyby pewne zasadnicze zmiany w sposobie egzekwowania dyscypliny.

– Panie doktorze, to nie należy do moich kompetencji.

– Naturalnie. Przypominam sobie. Proszę więc przekazać słuchawkę pani Dickinson, żebym sam mógł z nią o tym porozmawiać.

– Obawiam się, że pani Dickinson jest w tej chwili niedysponowana.

– Mogę poczekać. Albo przedzwonię za jakiś czas, jeśli da mi pan znać, kiedy pani będzie dysponowana.

Westchnął.

– Doktorze, nie potrafię przenosić gór.

– Chyba tego nie żądam?

Milczał pokaszując.

– Czy mógłby pan przekazać wiadomość? – zapytałem.

– **Oczywiście.**

– **Proszę powiedzieć pani Dickinson, że sytuacja staje się dla mnie zbyt uciążliwa i chociaż rozumiem stan, w jakim się znajduje, jeśli w najbliższym czasie nie zdecyduje się na rozmowę ze mną, będę zmuszony przerwać leczenie Melissy.**

– **Doktorze Delaware, proszę... nie wolno panu przerwać leczenia Melissy. Jest to tak dobre i bystre dziecko... To byłaby niewyobrażalna strata, gdyby...**

– **Gdyby co?**

– **Doktorze, proszę...**

– **Panie Dutchy, usiłuję być cierpliwy, naprawdę staram się zrozumieć, o co tu właściwie chodzi. Nie żądam, żeby pani Dickinson wychodziła z domu – chcę tylko porozmawiać. Wiem, w jakim jest stanie. Dowiedziałem się o wydarzeniach z przeszłości. Czy nie może nawet rozmawiać przez telefon?**

– **To wina lekarzy. Przeszła tak wiele operacji, tyle wycierpiała.**

Rozkładali ją na części, żeby wszystko potem złożyć na nowo. Nie mam pretensji do lekarzy. Chirurg plastyczny, który kierował zespołem, był cudotwórcą. Doprowadził jej twarz prawie do stanu przed wypadku, ale nie potrafił wyleczyć jej wnętrza... Proszę dać mi więcej czasu. Postaram się jej uzmysłwić, że chodzi o jej dziecko.

Teraz ja westchnąłem.

– **Pani zdaje sobie sprawę... ze swojej sytuacji – ciągnął dalej. – Jednak po tym, czego musiała doświadczyć...**

– **Boi się lekarzy – rzekłem – a jednak spotkała się z doktor Wagner.**

- Tak – przyznał. – To było bardzo dziwne... Nie w jej stylu.
- Chce pan powiedzieć, że w tym jednym przypadku zapomniała o swojej fobii?
- To nie było dla niej łatwe.
- Jednak uczyniła to. I nic się nie stało. To mogło zadziałać jak autoterapia.
- Doktorze...
- Czy to dlatego, że jestem mężczyzną? A gdybym był kobietą?
- Nie! – wykrzyknął. – Skądże! To absolutnie nie w tym rzecz.
- Chodzi o wszystkich lekarzy – odparłem. – Bez względu na płeć.
- Właśnie – przerwał na moment. – Proszę, panie doktorze, o odrobinę cierpliwości.
- Dobrze, ale tymczasem potrzebuję trochę faktów. Szczegółów.

Przeszłość Melissy. Struktura rodziny.

- Czy musi pan to wiedzieć?
- Tak. I to już teraz.
- Dobrze – odparł z wysiłkiem. – Wtajemniczę pana, do pewnych granic, które wyznacza moja rola w tej sprawie.
- Co ma pan na myśli?
- Nic takiego. Dostarczę panu te informacje.
- Jutro w południe – zaproponowałem. – Zjemy razem lunch.
- Ja nie jadam lunchu, doktorze.
- Więc będzie mi pan asystował, panie Dutchy. W każdym razie to pan będzie mówił.

Wybrałem miejsce w połowie drogi pomiędzy zachodnią częścią Los Angeles a San Labradorem, takie uznałem za dostatecznie konserwatywne dla jego upodobań: restauracja „Pacific Dining Car” przy Szóstej Ulicy w pobliżu Witmer, parę przecznic na zachód od centrum, z mrocznymi salami, lśniącymi meblami, mahoniową boazerią, czerwonymi skórzanymi obiciami i lnianymi serwetkami. Tam gdzie finansisci, prawnicy dużych korporacji, urzędnicy administracji federalnej i stanowej podczas jedzenia rozprawiają o nowo powstających koalicjach i krucjatach, o sporcie, o stratach i zyskach. Przybył wcześniej i oczekiwał mnie przy stoliku. Miał na sobie ten sam niebieski garnitur albo identyczny. Gdy zbliżyłem się, lekko się podniósł i złożył ceremonialny ukłon.

Zająłem miejsce, skinąłem na kelnera i zamówiłem wino chivas. Dutchy poprosił o herbatę. Czekaliśmy w milczeniu, aż nas obsłużą. Odnosił się do mnie chłodno, a zarazem sprawiał wrażenie jakby wytrąconego ze swojego specyficznego rytmu życia i budził szczerą litość: postać przeniesiona prosto z dziewiętnastego wieku do odległej i budzącej obrzydzenie przyszłości, bez możliwości powrotu czy choćby adaptacji.

Moja wczorajsza złość przeminęła i pragnąłem uniknąć jawnej konfrontacji. Rozmowę rozpocząłem od wyrażenia wdzięczności za znalezienie czasu dla mojej osoby. Nie odpowiedział słowem, trwając w kamiennym milczeniu. Zastanawiałem się, czy ktoś kiedykolwiek zwracał się do niego po imieniu.

Kelner wniósł napoje. Dutchy uważnie zbadał herbatę z wyrazem wrodzonego malkontenctwa angielskiego lorda, podniósł filiżankę, wypił

mały łyk i odstawił szybko.

– Czy nie za gorąca? – zapytałem.

– Nie, w sam raz.

– Jak długo pracuje pan u Dickinsonów?

– Dwadzieścia lat.

– A więc długo przed procesem.

Skinął głową i ponownie podniósł filiżankę, lecz nie zbliżył jej do ust.

– To że zostałem wytypowany do ławy przysięgłych, było zarządzeniem

Opatrzności. Z początku nie przyjąłem tego z entuzjazmem. Chciałem

zrezygnować, ale pan Dickinson odwiódł mnie od tego. Powiedział, że jest to

mój obywatelski obowiązek. – Zadrżały mu wargi.

– Kiedy zmarł pan Dickinson?

– Siedem i pół roku temu.

Przed narodzeniem Melissy? – spytałem zaskoczony.

– Pani Dickinson oczekiwała Melissy, kiedy to się stało. – Wzdrygnął się i

spojrzał w stronę, skąd nadchodził kelner z bloczkiem do przyjmowania

zamówień, budzący respekt, mówiący dobrze po angielsku czarny jak

węgiel, afrykański kuzyn Dutchy’ego.

Zamówiłem kawałek krwistej polędwicy wołowej. Dutchy zamówił

sałatkę z krabów.

Kiedy kelner odszedł, zapytałem:

– W jakim wieku zmarł pan Dickinson?

– Miał sześćdziesiąt dwa lata.

– Jak to się stało?

– Na korcie tenisowym.

Wargi zadrżały mu mocniej, ale reszta twarzy była jak skamieniała.

Wziął do ręki filiżankę.

– Czy połączyło ich właśnie to, że był pan członkiem ławy przysięgłych?

– Tak, i to właśnie uważam za zrządzenie Opatrzności. Pan Dickinson poszedł ze mną na rozprawę. Pozostał na sali i... zakochał się. O tej sprawie wiedział już z gazet, zanim zostałem powołany. Parę razy wspomniał nad poranną gazetą, że to wstrząsające wydarzenie.

– Czy znał panią Dickinson przed napadem?

– Nie, na pewno nie. Początkowo zainteresował go sam problem.

– Problem?

– Współczucie jej, że utraciła urodę. Pan Dickinson był wielkim esteta.

Większość życia spędził nad upiększaniem swojego świata. Był dogłębnie poruszony jej tragedią. Gdy zostałem wyznaczony na przysięgłego, powiedział, że będzie mi towarzyszył, ale obaj musimy zachować zimną krew i nie powinniśmy rozmawiać o sprawie. Był na wskroś uczciwym człowiekiem. Diogenes mógłby go stawiać za wzór.

– Esteta – stwierdziłem. – Czym się właściwie zajmował?

Popatrzył na mnie ostro.

– Mówię o panu Arturze Dickinsonie.

– O, święta niewiedzo. Nie chcąc wyjść na kompletnego ignoranta, strzeliłem:

– Oczywiście. Ten filantrop.

Nie przestawał świdrować mnie lodowatym wzrokiem.

– Jak doszło do ich spotkania? – spytałem.

– Rozprawa zainteresowała pana Dickinsona. Po usłyszeniu jej zeznań, gdy zobaczył jej twarz w bandażach, złożył wizytę w szpitalu. Tak się złożyło, że był akurat fundatorem bloku chirurgicznego, na którym leżała.

Porozumiał się z lekarzami i zagwarantował jej najlepszą opiekę.

Sprowadził najslawniejszego chirurga plastycznego – profesora Albano

Montecino z Brazylii, geniusza skalpela. Ten człowiek zrewolucjonizował

swoją dziedzinę. Pan Dickinson zapewnił mu komfortowe warunki pracy, do

jego wyłącznej dyspozycji oddano jedną z sal operacyjnych.

Pot zrosił mu czoło. Wyciągnął chusteczkę i otarł je delikatnie.

– Jak się nacierpiała – rzekł ze smutkiem – przeszła siedemnaście

operacji. Siedemnaście transplantacji. Miesiące rekonwalescencji, długie

okresy unieruchomienia. Łatwo pojąć, dlaczego woli teraz żyć w samotności.

Pokiwalem głową.

– Czy operacje zakończyły się powodzeniem?

– Profesor Montecino był zadowolony, uznał to za największy triumf w swojej karierze.

– A ona podzielała jego zdanie?

– Nie mam prawa tego komentować – odrzekł z niesmakiem.

– Jak długo trwały te operacje?

– W sumie pięć lat.

– Więc właśnie wówczas zaszła w ciążę?

– Tak... ciąża przerwała proces leczenia operacyjnego. Zmiany

spowodowane wzmożoną aktywnością gruczołów hormonalnych stanowiły

pewne zagrożenie. Profesor Montecino orzekł, że trzeba odczekać i poddać ją szczegółowym obserwacjom. Sugerował nawet... spędzenie płodu. Jednak ona odmówiła.

– Czy to była zaplanowana ciąża?

Dutchy zamrugł oczyma i cofnął się z nieukrywaną niechęcią. Po raz kolejny zachował się jak żółw – jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Łaskawy panie, nie interesują mnie pobudki moich pracodawców.

– Przepraszam, ale ze względu na Melissę chcę poznać jak najwięcej szczegółów.

Odchrząknął.

– Pomówmy więc o Melissie.

– Opowiedziała mi o swoich lękach. Czy mógłby mi pan powiedzieć o swoich odczuciach?

– O moich odczuciach?

– O pana spostrzeżeniach.

– Moje spostrzeżenia są takie, że Melissa jest małą, bezbronną istotą, która lęka się wszystkiego.

– Na przykład czego?

Zamyślił się na chwilę.

– Choćby hałasów. Skrzypiące drzewa, odgłosy kroków, a nawet muzyka potrafią przestraszyć ją do lez. Również dzwonek przy drzwiach.

– Czy zdarza się, że drzemie na jawie?

– Tak, często. Wtedy mówi do siebie. – Umilkł, oczekując komentarza z

mojej strony.

– Czy jaskrawe światło również ją niepokoi?

– Tak – odparł, jakby zdziwiony własnymi słowami. – Pamiętam pewien przypadek sprzed paru miesięcy. Jedna z opiekunek zakupiła aparat fotograficzny z lampą błyskową. Przechadzała się po domu, wyprobowując świeży nabytek. – Znowś spojrział na mnie ze szczerą dezaprobatą. – Zrobiła zdjęcie Melissie, kiedy jadła śniadanie. Na długo wytrąciło to ją z równowagi.

– Jak to się objawiało?

– Płakała, krzyczała, nie chciała jeść. O mało się nie udusiła od spazmów.

– Napad diakoptyczny – powiedziałem bardziej do siebie niż do niego.

– Słucham, doktorze?

– Napadowe zaburzenia oddechu typu Cheyne’a Stokesa, połączone z zamroczeniem świadomości.

– Tak, chyba tak. Co można na to poradzić?

Podniosłem rękę, pragnąc uprzedzić jego pytania.

– Opowiedziała mi o koszmarach, które śnią się jej stale.

– To prawda – przyznał – czasem ma kilka takich snów w ciągu nocy.

– Jak się wtedy zachowuje?

– Nie potrafię tego opisać. Jest wtedy ze swoją mamą.

Zmarszczyłem brwi.

– Chociaż owszem, przypominam sobie parę takich wypadków. Zalewa się wtedy łzami. Płacze i krzyczy. Omdlewa. Wtedy nie można się do niej zbliżyć.

– Czy mówiła kiedyś, co to za koszmary?

– Czasem.

– Jednak nie zawsze?

– Nie zawsze.

– Czy są to spójne opisy?

– Mówi o potworach, upiorach. Nigdy nie starałem się tego spamiętać.

Usiłowałem raczej ją uspokoić.

– Trzeba zwrócić na to baczniejszą uwagę. Proszę zapisywać to, o czym

mówi w czasie snów. – Zdałem sobie sprawę, że mówię głosem

nieznoszącym sprzeciwu, pragnąc, żeby teraz on poczuł się jak dwójkowy

student. Badanie reakcji obronnych lokaja?

Najwyraźniej jednak Dutchy dobrze się czuł w roli człowieka

śluchającego i wykonującego polecenia.

– Dobrze, proszę pana – odparł, podnosząc filiżankę do ust.

– Czy jest przytomna, kiedy budzi się ze snu?

– Nie – odparł. – Czasem siedzi na łóżku z wyrazem przerażenia na

twarzy, wykrzykując niezrozumiałe słowa i wymachując rękoma.

Próbowaliśmy... próbowałem ją ocucić, ale bez powodzenia. Czasem zrywała

się z łóżka i chodziła w kółko, krzycząc wciąż w półśnie. Czekaliśmy, aż się

uspokoi, a wtedy kładliśmy ją do łóżka.

– Do jej łóżka?

– Nie. Do łóżka jej matki.

– Czy ona nigdy nie śpi w swoim własnym łóżku?

Potrząsnął głową.

– Nie. Zawsze z matką.

– No dobrze. Chciałby powrócić do jej koszmarów. Czy udało się panu cokolwiek zrozumieć z jej krzyków?

– Nie. To właściwie nie były słowa. Tylko przeraźliwe... wycie. –

Wzdrygnął się.

– To, co pan opisał, jest stanem majaczeniowym – rzekłem. – To nie są zwykle koszmary, które mają miejsce, jak inne sny, w fazie płytkiego snu.

Stan majaczeniowy pojawia się, gdy śpiący budzi się zbyt gwałtownie z głębokiego snu. Mówiąc ogólnie, nie ma się wtedy pełnej świadomości.

Omamy mogą się układać w wizje o charakterze urojeń obrazowych. Czy ona się moczy w nocy?

– Od czasu do czasu.

– Jak często?

– Mniej więcej cztery, pięć razy w tygodniu.

– Czy starano się temu zaradzić?

Pokręcił głową.

– Czy to ją denerwuje, że się moczy?

– Chyba wcale się tym nie przejmuje.

– Więc rozmawiał pan z nią na ten temat?

– Tylko żeby jej wytłumaczyć, że młode panienki powinny dbać o osobistą higienę. Nie dało to żadnego rezultatu, więc zrezygnowałem z dalszych uwag. Nie jestem po to, żeby ją strofować.

– Co na to jej matka? Jaka jest jej reakcja na moczenie się córki?

– Każe zmieniać prześcieradła.

– Przecież to jej łóżko jest moczone. Czy to jej nie denerwuje?

– Wcale. Doktorze, co znaczą te ataki, to majaczenie, z medycznego punktu widzenia?

–

Prawdopodobnie

mamy

do

czynienia

z

uwarunkowaniem

genetycznym. Majaczenie, moczenie się nocne i niekontrolowane

pobudzenie ruchowe może występować u wszystkich członków rodziny. Od

strony fizjologicznej; prawdopodobnie ma to coś wspólnego z zachwianiem

równowagi hormonalnej w ośrodkach mózgowych.

Wyglądał na poruszonego.

– Nie jest to groźne, ma tylko charakter destabilizujący. I zwykle samo przechodzi, bez specjalnej kuracji, w okresie dojrzewania.

– A więc czas pracuje dla nas?

– Tak. Nie znaczy jednak, że mamy nic nie robić. To można leczyć. Nie mamy do czynienia ze zwykłą fizjologią. Stres podwyższa częstotliwość występowania ataków i przedłuża okres ich trwania.

Kelner podał nam zamówione potrawy. Jedliśmy w milczeniu i chociaż

Dutchy powiedział przedtem, że nie jada lunchu, wcinał swoją salatkę z

krabów, aż mu się uszy trzęsły.

Kiedy skończyliśmy, zamówiłem podwójną kawę z ekspresu, a Dutchy napelnił filiżankę herbatą.

Po wypiciu kawy rzekłem:

– Powracając do sprawy: czy są dzieci z poprzedniego małżeństwa?

– Nie. Chociaż rzeczywiście pan Dickinson był już przedtem żonaty. Nie mieli jednak dzieci.

– Co stało się z pierwszą żoną pana Dickinsona?

– Zmarła na białaczkę. To była wspaniała kobieta. Małżeństwo trwało tylko dwa lata. Pan Dickinson ciężko to przeżył. To dlatego bez reszty poświęcił się kolekcjonerstwu.

– Co kolekcjonował?

– Malarstwo, grafikę, rytownictwo, antyki, arraszy. Posiadał niezrównane poczucie smaku, wyszukiwał poniszczony dzieła sztuki i niektóre sam restaurował – posiadał tę umiejętność jeszcze za czasów studenckich.

Restaurowanie – to była jego największa pasja.

Pomyślałem, że również odrestaurował swoją drugą żonę. Dutchy spojrział na mnie ostrym wzrokiem, jakby czytał w moich myślach.

– Co jeszcze oprócz hałasów i jaskrawego światła budzi strach Melissy?

– Ciemność. Samotność. Czasem nie ma żadnego powodu.

– Co to znaczy?

– Doświadcza wstrząsu psychicznego bez wyraźnego powodu.

– Jak objawia się ten „wstrząs”?

– Podobnie, jak to już opisywałem: płacz, przyśpieszony oddech, bieganie z krzykiem. Zdarza się, że pada na podłogę i uderza w nią nogami.

Albo chwyta najbliższą stojącą osobę i wpija się w nią jak... pijawka.

– Czy to występuje, gdy się jej czegoś odmówi?

– Oczywiście również wtedy. Nie lubi, gdy ogranicza się ją w jakiś sposób.

– Więc miewa ataki hysterii.

– Dawniej były to zwykłe lęki. Teraz wpada w panikę.

– Czy mówi, czego się lęka?

– Potworów, czegoś złego, nieokreślonego. Czasem skarży się, że słyszy

hałasy albo widzi i słyszy różne rzeczy.

– Rzeczy, których nikt inny nie widzi ani nie słyszy?

– Tak – głos mu zadrzał.

– Czy to pana niepokoi bardziej niż pozostałe objawy?

– Kto tam się w tym rozezna – odparł cicho.

– Jeśli podejrzewa pan psychozę albo jakieś inne poważne zaburzenie

psychiczne, to jest pan w błędzie. Chyba że nie powiedział mi pan

wszystkiego, na przykład o samookaleczeniach albo o rozdwojeniu

osobowości.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – odrzekł pospiesznie. – Myślę, że to jej bujna

wyobraźnia.

– Otóż to. Wyobraźnię ma rozwiniętą prawidłowo, tylko, o ile zdołałem

zauważyć, zbyt silnie łączy ją z rzeczywistością. To normalne, że dzieci w jej

wieku widzą i słyszą rzeczy, o których dorośli nie mają pojęcia.

Popatrzył z powątpiewaniem.

– To rodzaj gry z krainy fantazji. Teatr dzieciństwa. Dzieci wymyślają

różne dramaty i przemawiają do wymagowanych przyjaciół. Jest to jakby

autohipnoza, niezbędna dla prawidłowego rozwoju.

Nie komentował, ale słuchał uważnie.

– Fantazje mogą spełniać funkcje terapeutyczne. Mogą wyraźnie obniżyć intensywność lęków, dając dziecku wrażenie kontroli nad ich życiem.

Jednak w pewnych wypadkach, gdy dziecko jest nadwrażliwe,

introwertyczne, kiedy żyje w stresogennym środowisku, ta sama zdolność

tworzenia obrazów w psychice może prowadzić do nerwic. Po prostu obrazy

stają się nazbyt realne. Wspomniał pan, że jej ojciec był utalentowanym

renowatorem dzieł sztuki. Czy przejawiał jakieś zdolności artystyczne?

– Oczywiście. Z wykształcenia był architektem, ale z powołania

malarzem.

– Kiedy przestał malować?

– Kiedy stwierdził, że nie jest dostatecznie utalentowany, aby całkowicie

poświęcić się malarstwu, zniszczył wszystkie swoje płótna i zajął się

kolekcjonerstwem. Podróżował po świecie. Ukończył architekturę na

Sorbonie – uwielbiał Europę. Wzniósł wiele wspaniałych budowli, zanim

wynalazł zastrzał.

– Zastrzał?

– Tak – tłumaczył takim tonem, jakby miał przed sobą przedszkolaka. –

Nie słyszał pan o zastrzale Dickinsona? Jest to specjalnie utwardzona

konstrukcja stalowa, której używa się w budownictwie.

– A pani Dickinson? Była aktorką. Czy zajmowała się innymi dziedzinami

sztuki?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Jak długo cierpi na agorafobię?

– Ona wychodzi z domu – odrzekł.

– Tak?

– Spaceruje po ogrodzie.

– I nigdzie więcej?

– Nie.

– Jak duży jest ten ogród?

– Dwa i pół hektara.

– Czy spaceruje z jednego końca do drugiego?

Odchrząknął. Zagryzł policzek.

– Lubi raczej okolice domu. Czy coś jeszcze, doktorze?

– Jak długo tak żyje?

– Od... od samego początku.

– Od napadu?

– Tak. Kiedy zaraz po ślubie pan Dickinson wprowadził ją do domu,

znajdowała się w trakcie leczenia, ciągle okropnie przerażona. Nigdy nie

wychodziła z pokoju. Z polecenia profesora Montecino leżała godzinami

nieruchomo. Transplantowane miejsca należało utrzymywać w idealnej

czystości. Przy każdym ruchu musiała zachować daleko idącą ostrożność.

Zamontowano specjalne filtry, które miały uchronić ją przed najmniejszym

pyłkiem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę pielęgniarki krzątały się wokół

niej, wykonując zabiegi, zastrzyki, opatrunki i zmieniając kompresy, co

sprawiało jej okropny ból. Nie mogłaby od tego uciec, nawet gdyby chciała. A

potem ciąża. To całkowicie przykuło ją do łóżka. Gdy była w czwartym

miesiącu ciąży, pan Dickinson... odszedł, a ona... To było dla niej jedyne bezpieczne miejsce. Nie opuszczała go. W pewnym sensie wiąże się to w logiczną całość. Pragnęła być w bezpiecznym miejscu. Czy rozumie pan?

– Tak, rozumiem. Lecz problem polega na tym, żeby dowiedzieć się, gdzie Melissa czuje się bezpiecznie.

– Tak, naturalnie – odparł, unikając mojego spojrzenia.

Przywołałem kelnera i zamówiłem jeszcze jedną kawę. Kiedy ją podano,

Dutchy zapytał:

– Proszę mi wybaczyć, ale co pan przewiduje w przypadku Melissy?

– Przy współpracy rodziny rokowania są dobre. Ma motywację, jest

bystra i poczyniła wiele istotnych spostrzeżeń jak na dziecko w jej wieku.

Zabierze to jednak trochę czasu.

– Tak, oczywiście.

Nagle pochylił się w moją stronę, drżąc z niepokoju, co było dziwne u tak zrównoważonego człowieka. Przez moment pomyślałem, że chwyci mnie za rękę.

– Proszę jej pomóc, doktorze. Zrobię wszystko co w mojej mocy dla ratowania jej zdrowia.

Twarz mu poszarzała, a ręka ciężko opadła na stół.

– Pan jest bardzo oddany tej rodzime.

Zamrugnął oczyma i odwrócił wzrok, jakbym odkrył jakąś jego sekretną ułomność.

– Tak długo, jak będzie tu przychodziła, będę ją leczył. A pan może mi pomóc, mówiąc mi to, czego potrzebuję.

- Tak, oczywiście.
- Co ona wie o McCloskeyu?
- Nic.
- Wspomniała jego nazwisko.
- On jest dla niej tylko nazwiskiem. Dzieci słyszą różne rzeczy.
- Otóż, właśnie. Usłyszała całkiem dużo. Wie o tym, że zaatakował jej matkę kwasem, ponieważ jej nie lubił. Co jeszcze wie?
- Nic. Dzieci lubią podsłuchiwać, ale w domu nie mówią o nim często.
- Panie Dutchy, dzieci dorabiają sobie własne fakty do podsłuchanych historii. Byłoby więc lepiej dla Melissy, gdyby dowiedziała się, co naprawdę spotkało jej matkę.

Tak mocno ścisnął filiżankę, że zbieleły mu kłykcie.

- Co pan proponuje?
- Żeby ktoś spokojnie wytłumaczył jej, dlaczego McCloskey napadł na panią Dickinson.

Odprężył się.

- Tak, wiem, co ma pan na myśli. Jest jednak pewien problem.
- Co takiego?
- Ten bandyta nigdy nie przyznał się, dlaczego to uczynił. A teraz proszę mi wybaczyć, doktorze, ale jestem zmuszony pana opuścić.

Rozdział piąty

W poniedziałek Melissa była w wyśmienitym nastroju, chętna do rozmowy i grzeczna. Żadnych reminiscencji po testowaniu mojej odporności na presję, które miało miejsce na ostatniej sesji. Wyczuwało się

w niej jednak pewną rezerwę. Zapytała, czy może porysować.

Zachowywała się jak zwykły pacjent na pierwszym spotkaniu.

To, co wydarzyło się do tej pory, było wstępem, teraz następowało rozwinięcie.

Zacząła od symbolicznego nawiązania do dzieła, które zaprezentowała na pierwszej sesji, następnie dodała temu większego wyrazu, z niebem pozbawionym słońca, plamami szarości i złowieszczymi fantasmagoriami.

Rysowała osowiałe zwierzęta, anemiczne ogrody, odosobnione dzieci w nienaturalnych pozach, przechodząc do coraz to innych tematów.

Po dwudziestu minutach natrafiła na motyw, przy którym pozostała: ciąg domów bez okien i drzwi, z ciemnego kamienia, otoczonych gajami uschniętych drzew pod posępnym, ołowianym niebem. Na następnych rysunkach pojawiły się szare postacie w okolicach domów. Szarość przeszła w czern. Sylwetki mężczyzn w kapeluszach i długich płaszczach, dźwigających wielkie worki. Rysowała z taką furją, że darła kartki papieru. I zaczynała od nowa.

Ołówki i kredki woskowe znikaly jak polana obracane w popiół w gorącym ogniu. Niszczyła ze złośliwą satysfakcją własne rysunki. Trwało to przez dobre trzy tygodnie. Pod koniec każdej sesji opuszczała gabinet, maszerując jak żołnierz.

W czwartym tygodniu ostatnie dziesięć albo piętnaście minut spotkania spędzała na zabawie, grając w domino, w kości lub w wojnę. Bez słowa. Była na przemian albo niezadowolona, albo wyraźnie rozradowana.

Czasem przyprowadzał ją Dutchy, ale częściej Hernandez, który wciąż

spoglądał na mnie z dużą nieufnością. Potem poczęli się pojawiać inni opiekunowie: ciemni, smukli młodzieńcy, wnoszący ze sobą zapach potu po dniu ciężkiej pracy, uderzająco do siebie podobni. Melissa wyjaśniła, że jest to pięciu synów Hernandeza.

Przychodziła też starsza, tęga kobiecina w wieku Dutchy'ego, z wysoko upiętymi włosami i policzkami jak patelnie. Mówiła z silnie francuskim akcentem. To Madeleine, kucharka i służąca, zawsze spocona i przemęczona.

Znikali zaraz po tym, jak Melissa przekraczała próg gabinetu, a zjawiali się punktualnie pod koniec sesji. Ich nienaganna punktualność i unikanie kontaktu wzrokowego wyraźnie świadczyły o naśladowaniu zwyczajów Dutchy'ego. Sam Dutchy pokazał się zaledwie parę razy i nie wchodził nawet do poczekalni. Zapomniał też, że prosiłem go o relacjonowanie snów Melissy.

Z biegiem czasu przywiązywałem do tego coraz mniejszą uwagę, bo Melissa czuła się coraz lepiej. Bez niego. Bez pomocy kogokolwiek. Po dziesięciu tygodniach terapii była innym dzieckiem, układnym, całkowicie spokojnym, nie splatała palców i nie biegała po pokoju. Nauczyła się czarująco uśmiechać, bawić i śmiać się z moich dowcipów z czasów młodości. Zachowywała się jak dziecko. I chociaż wciąż odmawiała rozmowy na temat swych lęków – na temat jakichkolwiek istotnych problemów – to z czasem w rysunkach było coraz mniej fantastycznych tworów, a mężczyźni z workami poczęli znikać. Okna i drzwi zakwitwały jak wiosenne pączki, a domy, chociaż ciemne, stały w równych rzędach.

Ukończone rysunki pokazywała z prawdziwą dumą.

Rzeczywisty postęp? A może specjalnie przy mnie udawała wesoły nastrój?

Dzięki wiedzy o tym, jaka jest poza gabinetem, mógłbym skorygować swoje wysiłki. Jednak osoba, która mogłaby mi o tym powiedzieć, unikała mnie jak zarazy.

Nawet Eileen Wagner gdzieś zniknęła. Dzwoniłem parę razy do jej gabinetu i chociaż było to w godzinach pracy, odpowiadała automatyczna sekretarka. Czyżby wzięła urlop?

Zadzwoń do Towarzystwa Pediatrycznego, żeby upewnić się, czy nie zmieniła adresu, lecz nie mieli żadnych nowych informacji. Znowu zadzwoniłem do jej biura i zostawiłem wiadomość na sekretarce. Bez odzewu.

Bardzo dziwne, biorąc pod uwagę żywe zainteresowanie, jakie okazała na początku, ale wszystko w tej sprawie było dziwne.

Pamiętając to, o czym wspominała Eileen na temat fobii szkolnej, zapytałem dziewczynkę, gdzie się uczy. Odnalazłem numer telefonu i zadzwoniłem. Przedstawiłem się jako lekarz Melissy, a sekretarka pomyślała, że jestem pediatrą. Poprosiłem o połączenie z wychowawcą. Pani Vera Adler potwierdziła, że Melissa opuściła parę tygodni w pierwszym semestrze, lecz od niedawna chodzi na wszystkie lekcje i jest bardziej kontaktowa.

– Czy miała jakieś problemy z nawiązywaniem stosunków z innymi dziećmi?

– Nie, nie powiedziałabym tego. Nie była jednak szczególnie towarzyska.

Żyła zamknięta we własnym świecie. Teraz jest lepiej. Czy chorowała na coś?

– Nie, to nic wielkiego – odparłem.

– Niepokoił się jej nieobecnościami, ale teraz jest już dobrze: To

bardzo miłe i niesłuchanie zdolne dziecko – pisze testy w granicach

dziewięćdziesięciu procent poprawności. Jesteśmy szczęśliwi, że już przez

to przeszła...

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Zadowolony z uzyskanych

wiadomości zabrałem się do pracy.

W czwartym miesiącu terapii Melissa zaczęła traktować gabinet jak drugi

dom. Uśmiechnięta szła do stołu, gdzie rysowała. Znała każde zadrapanie na

ścianie, ustawienie książek, które stale porządkowała. Ujawniała rzadką

wrażliwość na szczegóły otoczenia.

Była dzieckiem którego receptory nieustannie pracowały na wysokich

obrotach. Czy życie tak intensywnie prowadzone mogło być wolne od

niepokojów?

Na początku piątego miesiąca oznajmiła, że jest gotowa na rozmowę.

Poinformowała mnie, że chce wspólnie walczyć z lękami, właśnie tak jak

mówiłem na pierwszym spotkaniu.

– Doskonale. Wiec od czego chciałabyś zacząć?

– Od ciemności.

Przypomniałem sobie wszystko to, czego nauczyłem się jako samodzielny

terapeuta. Przede wszystkim musiała zacząć rozpoznawać objawy

zdeenerwowania – co się czuje, gdy przychodzi strach. Następnie ćwiczyliśmy

techniki relaksacyjne, gdyż pamiętałem jak łatwo poddawała się hipnozie. Na jednej z sesji nauczyła się tak manipulować autohipnozą, że bez trudu zapadała w trans w ciągu paru sekund. Zaopatrzyłem ją w system znaków palcami, za pomocą których mogła się komunikować będąc po tamtej stronie rzeczywistości. A w końcu zajęliśmy się uodparnianiem jej na stresy. Posadziłem ją na krześle i poprosiłem, żeby zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że samotnie siedzi w ciemnościach. W ciemnym pokoju. Jej ciało zaczęło się naprężać. Podniosła palec wskazujący. Powiedziałem, żeby pomyślała o czymś przyjemnym. Kiedy rozluźniła się poprosiłem, żeby wróciła do zaciemnionego pokoju. I tak w jedną i drugą stronę. Po tygodniu dawała już sobie radę z wyimaginowaną ciemnością i była gotowa na stawienie czoła rzeczywistości.

Poruszałem

żaluzjami

w

oknach

gabinetu,

żeby

stopniowo

przyzwyczajala się do zapadającego mroku. Przedłużałem czas, kiedy była w półmroku, przypominając o większym rozluźnieniu się.

Po jedenastu spotkaniach całkowicie zaciemniałem gabinet i liczyłem

głośno sekundy, przygotowany na to, żeby w razie jakiejś negatywnej reakcji natychmiast odsłonić okno.

Każdy jej sukces nagradzałem gratulacjami i tanimi, plastikowymi zabawkami, z których dziewczynka ogromnie się cieszyła.

Pod koniec miesiąca mogła spokojnie siedzieć w całkowitej ciemności – zdarzało się, że sam czasem traciłem równowagę – gawędząc o szkole przez całe spotkanie.

Wkrótce polubiła ciemności jak nietoperz. Zaproponowałem, żeby popracować nad snem. Zgodziła się z uśmiechem.

W ciągu mojej praktyki w klinice miałem styczność z paroma przypadkami dzieci cierpiących na majaczenie. Byłem zaskoczony ogromem zniszczeń, jakie poczyniło to w psychice małych pacjentów. Żaden psycholog ani psychiatra nie wiedział, jak leczyć takie zaburzenia. Oficjalnie nie było na to żadnego środka za wyjątkiem tabletek psychotropowych i nasennych, których efekty uboczne były trudne do przewidzenia.

Poszedłem do przyszpitalnej biblioteki i zacząłem szperać po książkach.

Natrafilem na wiele teorii, ale żadna z nich nie dotyczyła praktycznego leczenia. Bardzo mnie to przygnębiło. Długo rozmyślałem i doszedłem do wniosku, że powinienem spróbować czegoś z pokrewnej dziedziny: terapia behawioralna. Należy działać systematycznie, nagradzając dzieci za to, że nie poddają się majaczeniu, i obserwując, co się będzie działo dalej.

Było to coś bardzo prymitywne. Teoretycznie bez sensu. Mój przełożony zrobił mi awanturę. W jaki sposób nieświadome zachowanie – zachodzące w czasie fazy głębokiego snu – może być wyrugowane za pomocą świadomości? W jaki sposób tradycyjna terapia psychoanalityczna może zmierzyć się z tak poważną dewiacją?

Badania wykazały jednak niewyobrażalną zdolność pacjentów do kontroli własnego ciała. Uczono ich jak podnosić i obniżać ciepłotę ciała, ciśnienie krwi, a nawet nie reagować na dotkliwy ból. Na zebraniu zespołu psychiatrów poprosiłem o pozwolenie na rozpoczęcie próbnego leczenia stanu majaczeniowego, argumentując, że nie ma nic do stracenia. Wyrażono mnóstwo wątpliwości, ale w końcu dano mi wolną rękę.

Udało się. Wszyscy moi pacjenci trwale zdrowieli. Inni psychologdzy zastosowali również ten pomysł i doszli do podobnych wyników. Mój przełożony polecił napisać o tym artykuł do specjalistycznego czasopisma i umieścić jego nazwisko jako współautora. Wysłałem artykuł. Za pomocą testów i badań statystycznych przekonałem sceptycznych recenzentów do moich idei i praca została opublikowana. W ciągu roku wielu terapeutów potwierdziło moje odkrycie. Otrzymywałem mnóstwo próśb o kopie artykułu. Dzwoniono z całego świata z propozycjami, że bym poprowadził wykłady.

Czyniłem to tego dnia, kiedy podeszła do mnie Eileen Wagner. Przez ten wykład trafiłem do Melissy.

Teraz Melissa była gotowa na poddanie się terapii, lecz istniał jeden problem: powodzenie moich technik terapeutycznych zależało od współpracy z rodziną. Ktoś musiał prowadzić dokładny zapis zachowań pacjenta w czasie snu.

Udało mi się złapać Dutchy'ego, zanim zdążył uciec. Utkwił we mnie smutny wzrok i zapytał:

– O co chodzi, doktorze?

Wręczyłem mu notes, dwa zatemperowane ołówki i przekazałem polecenia. Przed snem Melissa ma się rozluźnić. On ma zapisywać jej majaczenia. Noce bez majaczeń mają być nagradzane nowymi zabawkami, które uwielbiała dostawać. Noce z majaczeniem należy pozostawić bez słowa komentarza.

– Ależ doktorze – odrzekł – ona ich nie miewa.

– Czego nie miewa?

– Majaczeń. Od tygodni śpi spokojnie. I nie moczy się. Popatrzyłem na Melissę, która stała za nim. Ujrzałem połowę twarzy, lecz wystarczyło to, żeby dostrzec uśmiech. Szczerze się cieszyła. Sposób, w jaki reagowała, był najlepszym dowodem poprawy zdrowia.

– Melisso, jestem z ciebie bardzo dumny – rzekłem.

– A ja jestem dumna z ciebie, doktorze Delaware – powiedziała śmiejąc się. – Jesteśmy dobranym zespołem.

Zdrowiała w zadziwiającym tempie. Na przekór moim teoriom.

Uzdrowiała samą siebie.

„To są czary – powiedział kiedyś jeden z moich profesorów. – Czasem będziesz widział poprawę, nie potrafiąc wyjaśnić przyczyn zjawiska. Zanim zastosujesz swoje techniki, o których myślisz, że są takie znakomite, uwierz w czary.”

Teraz poczułem się jak czarnoksiężnik.

Nigdy nie poruszaliśmy kluczowych tematów, takich jak śmierć, cierpienia i samotność. Mikoksi z kwasem.

Pomimo częstych spotkań nie miałem wiele do zapisywania w jej teczce z

przebiegiem leczenia. Zastanawiałem się, czy moja rola nie ograniczyła się do bycia ekskluzywną opiekunką. Mogło być o wiele gorzej. Stały mi przed oczyma skomplikowane przypadki, których miałem mnóstwo od czasu rozpoczęcia praktyki. I podziękowałem Panu Bogu za to, że byłem czarnoksiężnikiem przez czterdzieści pięć minut trzy razy w tygodniu.

Po ośmiu miesiącach oznajmiła, że lęki zniknęły. Ryzykując, że to się jej nie spodoba, zaproponowałem, żeby zmniejszyć liczbę sesji. Zgodziła się bez oporów, chociaż oczekiwałem jakiejś reakcji obronnej z jej strony. Po roku spotykaliśmy się tylko raz na tydzień. Nie były to teraz takie sesje jak poprzednio, więcej było w nich zabawy, mniej dramatu.

Terapia przestawała być potrzebna. Odniosłem zwycięstwo. Pomyślałem, że może to zainteresować Eileen Wagner, ale dowiedziałem się, że odłączono jej telefon. Zadzwońłem do jej kliniki, gdzie poinformowano mnie, że zlikwidowała praktykę i zrezygnowała z pracy w szpitalu, nie zostawiając żadnego adresu.

Osobliwy wypadek. Jednak to nie ona znajdowała się w centrum mojej uwagi. Mogłem sobie darować jeszcze jedno sprawozdanie.

Wszystko więc ułożyło się zadziwiająco pomyślnie.

Pacjent i lekarz uśmiercający demony.

Cóż może być godniejszego chwały?

Trzycyfrowe czeki z banku napływały o czasie.

Gdy pozostało parę dni do jej dziewiątych urodzin, zjawiała się z

prezenterem. Ja dla niej nic nie miałem, ponieważ wiele lat temu

postanowiłem, że nie będę dawał prezentów żadnemu z moich pacjentów.

Jednak ona jak gdyby tego nie zauważyła, poddając się podniosłej atmosferze uroczystości.

Upominek był zbyt ciężki, żeby go mogła udźwignąć. Do gabinetu wniósł go Sabino.

Wielki koszyk z owocami owiniętymi w ciekawą bibułkę, sery, małe buteleczki markowych win, puszki kawioru, małe, jesiotr, krem orzechowy, słoiki dżemów i kompotów z firmowego magazynu w Pasadenie.

W środku znajdował się bilecik.

DOKTOROWI DELAWARE, Z WYRAZAMI MIŁOŚCI, MELISSA D.

Na odwrocie był rysunek domu. Najlepszy, jaki kiedykolwiek wykonała – starannie wycieniowany, z licznymi oknami i drzwiami.

– Melisso, to jest naprawdę piękne. Ogromnie ci dziękuję.

– Nie ma za co. – Uśmiechnęła się i nagie zalala się łzami.

– Co się stało, moja mała?

– Ja chcę...

Odwróciła się twarzą w stronę półki z książkami.

– O co chodzi, Melisso?

– Chcę... Jest już chyba odpowiedni czas... zakończyć... Zamilkła, splatając nerwowo palce.

– Chcesz powiedzieć, że już pora na to, żeby przerwać kurację?

Kilkakrotnie szybko kiwnęła głową.

– Moja droga, spisałaś się wspaniale. Jestem z ciebie niezmiernie zadowolony. I jeśli chcesz dalej radzić sobie sama, rozumiem to. Nie martw się. Możesz przyjść tu zawsze, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Wytarła łzy z policzków i popatrzyła na mnie.

– Mam już dziewięć lat, doktorze. Teraz mogę sama zadbać o siebie.

– Jestem o tym przekonany. I nie myśl, że sprawiasz mi przykrość. Znowu rozplakała się.

Podszedłem i objąłem ją. Pochlipując oparła czoło o moją pierś.

– Wiem, że to niełatwe – rzekłem. – Obawiasz się, że możesz mnie zranić. Prawdopodobnie myślałaś już o tym od jakiegoś czasu.

Pokiwała główką.

– To bardzo miłe z twojej strony. Doceniam to, ale nie martw się – już się z tym pogodziłem. Pewnie, że będzie mi Ciebie brakowało, ale zawsze pozostaniesz w mojej pamięci. To, że przestaniemy się widywać na regularnych sesjach, nie znaczy, że zerwiemy ze sobą kontakt. Będziemy do siebie dzwonić, pisać listy. Możesz mnie odwiedzić w każdej chwili.

– Czy inni pacjenci tak robią?

– Oczywiście.

– A jak się nazywają? – zapytała z łobuzerskim uśmiechem. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

– Najważniejsze, że już wyzdrowiałaś. Opanowałaś wszystkie swoje lęki.

Podziwiam cię.

– Naprawdę mogę sama zadbać o siebie – powtórzyła, ocierając oczy.

– Jestem tego pewien.

– Mogę – powtórzyła, spoglądając na wielki koszyk. – Czy jadałeś kiedykolwiek krem orzechowy? Smakuje całkiem inaczej niż prażone orzeszki...

Tydzień później zadzwoniłem do niej. Odebrał Dutchy. Zapytałem, jak Melissa sobie radzi.

– Bardzo dobrze, doktorze – odrzekł. – Zaraz ją poproszę.

Słuchawkę podniosła Melissa. Była miła, ale jakaś odległa. Powiedziała, że ma się dobrze i zadzwoni, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie zadzwoniła.

Dzwoniłem jeszcze parę razy. Mówiła zbyt słodkim głosem, jakby pragnęła jak najszybciej zakończyć rozmowę.

Parę tygodni potem, przeglądając książkę przychodów, zdałem sobie sprawę, że zapłaciła za dziesięć spotkań, które się nie odbyły. Wypisałem czek i przesłałem go do San Labrador. Następnego dnia otrzymałem szarą kopertę doręczoną przez posłańca. Wewnątrz znajdował się czek starannie podarty na trzy części i kartka papieru listowego.

„Drogi doktorze Delaware! Z wyrazami uznania, szczerze oddana Ginq Dickinson.”

Ten sam piękny charakter pisma osoby, która obiecała mi dwa lata temu, że pozostanie ze mną w kontakcie.

Wypisałem drugi czek na tę samą kwotę i przekazałem go na konto funduszu dla dzieci upośledzonych.

Zająłem się następnym pacjentem.

Rozdział szósty

Kiedy odłożyłem teczkę, dochodziła pierwsza w nocy. Ogarnęło mnie znużenie. Położyłem się do łóżka i zasnąłem. Wstałem o siódmej i poszedłem pod prysznic. Jak tylko ubrałem się w szlafrok, usłyszałem dzwonek.

Na ganku z rękoma w kieszeniach stał Milo. Miał na sobie żółty golf z dwoma podłużnymi zielonymi pasami, jasnobrązowe spodnie i wysokie adidasy do koszykówki, które niegdyś były białe. Jego czarne włosy osiągnęły niespotykaną długość, grzywka całkowicie przysłaniała brwi, a baki sięgały niemalże poziomu dolnej szczęki. Pełną twarz, poznaczoną dołeczkami po przebytych trądziku, pokrywał trzydniowy zarost, a jego zielone oczy poszarzały – straciły zwykły blask, nabierając barwy bardzo starego szkła.

– Przed dobrymi wiadomościami zamykasz się na cztery spusty. Gdy przychodzą złe, bez patrzenia otwierasz przed nimi podwoje – orzekł.

– Skąd wiesz, że bez patrzenia? – zapytałem, i usunąłem się na bok, dając mu przejść na pokoje.

– Potęga obserwacji – postukał się w czoło, kierując się prosto do kuchni.

– Dzień dobry, panie detektywie. Zabierasz mi cenny czas przeznaczony na odpoczynek.

Wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Co się stało?

– A co się miało stać? – odkrzyknął z głową zanurzoną w lodówce. Kolejny raz wprasał się w siebie tylko właściwym, rozbrajającym stylem.

A wpadał tu coraz częściej.

Cóż miał innego do roboty?

Odbył właśnie połowę kary – sześciomiesięcznego zawieszenia w obowiązkach służbowych. Większość ludzi z jego wydziału najchętniej widziałaby go w pace, ale mieli cichą nadzieję, że spodoba mu się życie

zwykłego obywatela i że nigdy nie wróci. Tylko się oszukiwali.

Wyciągnął chlebek z prażonym ryżem, pastę z lososia i mleko, znalazł nóż i talerz i zabrał się do przygotowywania śniadania.

– Co tak wybaluszasz oczy? – zapytał. – Nigdy nie widziałeś, jak się robi coś do jedzenia?

Poszedłem się przebrać. Kiedy wróciłem, stał oparty o blat szafki i zajadał tost z pastą, popijając mlekiem prosto z kartonu. Wyraźnie przytył – brzuch przybrał rozmiary właściwe zawodnikom sumo, wypychając nylonową koszulkę.

– Co zaplanowałeś na dzisiaj? – zapytał. – Pomyślałem, że moglibyśmy pograć w golfa.

– Nie wiedziałem, że umiesz grać w golfa.

– Nie umiem, ale każdy musi mieć jakieś hobby, prawda?

– Przykro mi, ale jestem zajęty.

– Ach tak. Mam się wynieść?

– Nie, nie chodzi o pacjentów. Muszę trochę popisać.

– Autentyczna umysłowa robótka – stęknął.

– Ciężki kawałek chleba.

– Co, brak weny?

Pokiwałem głową.

– Chcesz, to cię wyręczone – zaproponował.

– W czym?

– Napiszę d, co trzeba.

– Nie wyglupiaj się.

– Nie, poważnie. Pisanie zawsze przychodziło mi z łatwością.

Niedoceniano jednak mojej prozy, uznano ją za zbyt brukową. Tak ujął to mój recenzent.

Ugryzł tost. Okruchy posypały mu się na koszulkę, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Wielkie dzięki, ale nie potrzebuję kryminału – odparłem i zająłem się zaparzaniem kawy.

– Jaka to różnica? – perorował z zapchanymi ustami. – Nie masz do mnie zaufania?

– To jest artykuł naukowy. Dla czasopisma psychologicznego.

– No i co?

– Więc będą suche fakty. Sto stron faktów.

– Wielka mi rzecz. To wcale nie trudniejsze od artykułu o zabójstwie. –

Przebierał palcami po opakowaniu chleba. – Rozdział pierwszy: krótki opis zbrodni. Rozdział drugi: fakty w kolejności chronologicznej. Rozdział trzeci: lista ofiar.

Wetknął kromkę w usta.

– Oto klucz do olśniewającego raportu – mówił przeżuając –

pozbawionego śladów uczucia. Należy zastosować moc skrótów i

tautologicznych określeń dla stworzenia nudy, od której można dostać

kręćka. Oficer śledczy czytając zdrzemnie się nad tym i może się zdarzyć, że

nie spostrzeże, że ktoś komuś groził śmiercią. Tymczasem znajdą ciało i

niczego nie uda się już uratować. No powiedz, czy to tak bardzo różni się od

tego, co zamierzasz napisać?

Zaśmiałem się.

– Sądziłem dotąd, że mój artykuł coś zmieni. Dziękuję za otwarcie mi oczu.

– Nie ma sprawy. To moja praca.

– A gdy już o tym mowa, co tam na mieście?

Wlepił we mnie ponury wzrok.

– Po staremu. Cholerne gryzpiórki szczerzą zęby w uśmiezkach. Tym razem wynaleźli psychoanalityka.

– Nie sądziłem, że potrzebujesz pomocy lekarza.

– Nazwali to zmianą przebiegu reakcji stresowych. Reszta dopisana małym drukiem, którego nie można odczytać.

Potrząsnął głową.

– Ci wszyscy popierdoleńcy o świńskich ryjach mówili ze mną takim spokojnym, miłym tonem, jakbym był niebezpiecznym wariatem.

Wypytywali o moje zdolności przystosowawcze. O poziom przeżywanego stresu. Czy dzielam ich szczerzy niepokój? Zauważyłeś, że ludzie, którzy tak mówią, zwykle kłamią? Nie zapomnieli oczywiście, żeby mnie delikatnie powiadomić o tym, że wszystkie koszty leczenia zostały pokryte przez wydział – dlatego wydział otrzymał kopie wyników badań poziomu cholesterolu, trójglicerydów i tak dalej. Pytali, czy czuję się na siłach powrócić do pełnienia obowiązków w służbie czynnej.

Zaklął szpetnie.

– Banda bezdusznych bałwanów. Zaśmiałem im się w nos i rzekłem, że to zabawne, bo nie pytali o poziom mojego stresu ani trójglicerydów, kiedy

wykonywałem codzienną robotę.

– Jak zareagowali na taką galanterię?

– Uśmiechnęli się jeszcze szerzej i zaległa cisza. Można było oszaleć. Bez wątpienia to ten pieprzony psychoanalityk ich przekabacił. Bez obrazy.

Myślą tylko o jednym – unicestwić jednostkę.

Spojrzał na karton z mlekiem.

– Odtłuszczone. Dobrze. To tak a propos trójglicerydów.

Napełniłem wodą pojemnik w ekspresie i nasypałem na filtr łyżeczkę kawy kenyan.

– Powiedz chamom jedno słowo – ciągnął – a jeszcze bardziej zaczną

upierać się przy swoim. Tym razem z marszu przeszli do gadania o

emeryturze. Jakie są aktualne notowania na giełdzie, jak inwestować, gdzie

dodać, gdzie ująć, gdzie mądrze ulokować kapitał. Jak spokojny wiódlbym

żywot posiadając dzisiaj to, co mam dostać za czternaście lat. Kiedy się na to

nie połasilem, obok marchewki pokazali kij, tłumacząc, że emerytura może

być mrzonką w pewnych okolicznościach, że teraz jest najlepszy czas na

odejście w stan spoczynku.

Zajął się następną kromką.

– I co ty na to?

– Pozwoliłem się im nagadać, a potem wstałem i oznajmiłem, że mam

ważne spotkanie, i spłynąłem.

– Jeśli zdecydujesz się odejść, pozostaje jeszcze korpus dyplomatyczny.

– Słuchaj, mam tego potąd. Dali mi pół roku zawieszenia, dobrze.

Odebrali spluwę, odznakę i pensję, dobrze. Niech jednak te pierdoły dadzą

mi święty spokój. To wszystko jest gównem. Pewnie, nie spodziewałem się niczego lepszego, biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania – spojrzał na mnie z triumfalnym uśmiechem.

– Piątka z plusem za prawidłową ocenę sytuacji.

– Obraza przełożonego – uśmiechnął się. – Czyż to nie piękne, co?

– Nie wspomniałeś o wystąpieniu telewizyjnym.

– Mamy epokę mediów, do cholery. Szefunio nie pokazał się od

najlepszej strony. Popamiętaj mnie w telewizorni.

– Z pewnością. A co się stało temu Friskowi?

– Jego ładniutki nosek zagoił się pięknie. Nowe zęby prawie takie same

jak stare – zadziwiające, jak w ostatnich latach rozwinęła się technika

chirurgii stomatologicznej. Będzie jednak wyglądał odrobinę inaczej. Nie jak

Tom Selleck, już bardziej będzie przypominał Karla Maldena. Nie jest to

najgorsze

dla

wyższego

funkcjonariusza

policji,

prawda?

Taka

powierzchność świadczy o mądrości i doświadczeniu.

– Czy wrócił do pracy?

– Nieee. Wygląda na to, że potrzebuje dłuższej rekonwalescencji. W

końcu jednak wróci. Wyniesiony na wyższe stanowisko, żeby się piąć coraz

wyżej i robić kredą robotę.

– On jest zięciem szefa. Masz szczęście, że cię z miejsca nie wylali.

Odłożył karton i spojrzal z wyrzutem.

– Myślisz, że gdyby mogli mnie skreślić, to by tego nie zrobili? Oni nie mają możliwości ruchu i doskonale zdają sobie z tego sprawę. To dlatego bawią się w podchody.

Uderzył ręką o blat szafki.

– Mendy, użyli mnie na pierdoloną przynętę. Rick powiedział mi, że można by z tego zrobić ogólnokrajową batalię o prawa obywatelskie, która nie schodziłaby z pierwszych stron gazet przez całe miesiące. Miałbym kupę forsy. Rickowi bardzo na tym zależało. Odmówilem, bo to nie o to chodziło – kupa cholernych, sprzedajnych polityków spierałaby się bezkońca o mało znaczące detale. To była sprawa, którą załatwia się w pojedynkę. Pojawienie się w telewizji było najlepszym ubezpieczeniem – parę milionów świadków, którzy mogą poświadczyć prawdę. Dlatego przylałem mu dopiero wtedy, gdy oświadczył, jakim to jestem wielkim bohaterem i wręczył mi oficjalną pochwałę. Nikt nie mógł powiedzieć, że czułem się niedoceniony i zrobiłem to z osobistej zemsty. Cały wydział powinien mi być wdzięczny, że zmasakrowałem mu gębę. A jeśli Frisk ma trochę oleju w głowie, też powinien być mi wdzięczny i będzie lepiej dla niego, jeśli zejdzie mi z drogi. Na zawsze. Mam w dupie jego koligacje rodzinne.

Oczy mu pojaśniały, a cera nabrała koloru głębokiej czerwieni. Z grzywą zasłaniającą czoło i grubymi wargami przypominał rozjuszonego goryla.

Zacząłem bić brawo.

Obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem i roześmiał się.

– No, rozruszałem się trochę. Na pewno nie masz ochoty na golfa?

– Wybacz, ale naprawdę muszę dokończyć ten artykuł, a w południe

przychodzi pacjent. Mówiąc szczerze, uganianie się za piłeczką po zielonych łąkach nie jest moim ulubionym zajęciem.

– Wiem, wiem. Nie lubisz ruchu. Założę się, że twoje trójglicerydy mają się wspaniale.

Wzruszyłem ramionami. Kawa była gotowa. Napelnilem dwie filiżanki.

Podąłem mu jedną.

– A czym jeszcze wypełniasz swój drogocenny czas? – zapytałem.

Wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Robiłem koronki, rzeźbiłem w masie papierowej, robiłem wycinanki,

sztydelkowałem. Kleiłem stateczki i jachty z patyków po lodach. Z początku myślałem, że się zajmę ogrodnictwem, opalę się i popracuję fizycznie.

Powrócę na rolę, do moich korzeni.

– Chciałeś uprawiać ziemniaki?

Zaśmiał się.

– Chciałem uprawiać wszystko, co się dało. Niestety, wszystko popsuł

Rick, który w tamtym roku zasadził te cholerne, nikomu niepotrzebne

kaktusy – mięsiste, potrzebujące mało wody. Zmniejszyliśmy zużycie wody –

takie proekologiczne działanie – ale dla ziemniaków za sucho. Trudno,

machnąłem na to ręką. Wpadłem na to, żeby majsterkować – po naprawie

wszystko, co było zepsute wokół domu. Kiedyś byłem złotą rączką, na

wychowaniu technicznym w liceum wyuczyłem się różnych zawodów. Kiedy

mieszkałem sam, robiłem za hydraulika, za elektryka. Właściciel domu uwielbiał mnie. Okazało się jednak, że nie ma nic do naprawienia. Rick wynajął do tego celu pomocnika, znajomego z Fidżi, jego byłego pacjenta. Przyciachał sobie paluchy piłą elektryczną, a Rick pięknie mu je przyszył. Miał akurat ostry dyżur. Uratował paluszki i zdobył dozgonną wdzięczność. Facet pracuje dla nas przeważnie za friko, gotowy na każde zawołanie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Więc jeśli znowu nie wsadzi gdzieś palców, moja pomoc jest całkiem zbędna. Niech tam. Przeżyję i jego. Co mi jednak zostało? Robienie zakupów? Gotowanie? Bieganie pomiędzy pogotowiem a szpitalem? Poza tym Rick nie je w domu. Więc łapię, co mi wlezie w rękę i napycham się tym. Czasem zajdę na strzelnicę i popykam sobie. Przeczytałem dwa razy wszystkie książki z półki i mam dość tej papierowej sieczki.

– A praca społeczna?

Zatkał uszy obiema rękami i skrzywił się.

– Wysłuchiwałem tego codziennie od wielce altruistycznego doktora

Silvermana. Otwarta Klinika dla Nosicieli AIDS, bezdomne dzieci, Armia Zbawienia i tak dalej. „Musisz odnaleźć sens życia, Milo.” Jedyne problem, że czułem się z nimi cholernie parszywie. Jakbym był od nich lepszy.

Przecież oni wszyscy skończą na ulicy. Ten palący ból brzucha, z którym się budziłem...

Przychodził nie wiadomo skąd. Tylko mi nie mów, że to

posttraumatyczny syndrom stresowy. Miałem to kiedyś – zaraz po wojnie – ale wiedziałem, że z czasem mi przejdzie. Nie chcę mieć kontaktów z

**niektórymi ludźmi, szczególnie cierpiącymi. Nie mam nadmiaru
współczucia na sprzedaż. Każdy powinien zająć się własnym życiem i
doprowadzić je do porządku.**

– Czas leczy rany – odrzekłem – ale czas ucieka.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– A to co? Dobre rady?

– Znam gorsze rzeczy.

Uderzył się w pierś obiema rękami.

– No dobrze, słucham, bardzo proszę.

Milczałem.

**– Dobra – rzekł, spoglądając na zegar ścienny. – To ja idę. Postukam
sobie w małe białe pileczki, udając, że ma to jakiś sens.**

Skierował się do drzwi. Kiedy podniosłem ramię, przystanął.

– Zjemy dziś razem kolację – rzekłem. – Będę wolny około siódmej.

W pomocy społecznej dają cienkie zupki. – zauważył.

– Ty zapraszasz – odparłem.

– Co, nie masz randki?

– Nie mam.

– A co z Lindą?

– Linda wciąż w Teksasie.

– Myślałem, że miała przyjechać tydzień temu.

– Miała, ale przedłużyła pobyt. Ze względu na ojca.

– Serduszko?

Skinąłem głową.

– Czuję się coraz gorzej. Właściwie Linda powinna być tam stale.

– Przykro mi to słyszeć. Przekaż jej moje najlepsze życzenia. Mam nadzieję, że mu się polepszy.

– Dzięki i życzę ci dobrej zabawy.

Zrobił krok i zatrzymał się.

– A więc teraz czeka cię trochę roboty. Przeszkodziłem ci.

– Nie jest tak źle. Moja oferta jest aktualna. Zjemy razem kolację.

– Doskonale. Jeść mogę zawsze. – Poklepał się po brzuchu. – A jeśli spłodzisz coś do wieczora, przynieś rękopis. Wujek Milo oceni wartość twego dzieła.

– Dobra. Mógłbyś jednak znaleźć sobie pożyteczniejsze hobby.

Rozdział siódmy

Kiedy wyszedł, zasiadłem do pisania. Nie wiadomo czemu szło mi łatwiej niż do tej pory. W południe drugi raz tego dnia odezwał się dzwonek u drzwi.

Tym razem zerknąłem przez wizjer. Ujrzałem osobę nieznaną, ale nie całkiem mi obcą: twarz dziecka nałożyła się na fotografię z gazety sprzed dwudziestu lat. Zdałem sobie sprawę, że Melissa nie jest teraz o wiele młodsza od jej matki w momencie zamachu. Otworzyłem drzwi i rzekłem:

– Dzień dobry, Melisso.

Odpowiedziała z uśmiechem:

– Doktor Delaware! W ogóle się nie zmieniłeś.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

– Wejdz.

Weszła do środka z dłońmi splecionymi przed sobą.

Prawie zupełnie przeobraziła się w dojrzałą kobietę i wyglądało na to, że stanie się olśniewającą pięknością. Kości policzkowe jak u modelki, jasna karnacja. Proste włosy pociemniały, wpadając lekko w brąz, i sięgały do pasa. Równo przycięta grzywka. Poniżej pięknych brwi widniały zielone, szeroko rozstawione oczy. Młoda Grace Kelly.

Miniaturka Grace Kelly. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, łagodnie zaznaczoną linię bioder i delikatne kości. Wielkie, złote klipsy w kształcie koła. Uszy jak muszelki. Trzymała w ręce torebkę z cielecej skóry. Ubrana była w doskonale skrojoną, poszerzaną u dołu bluzkę, dżinsową spódniczkę sięgającą kolan, skarpety i mokasyny. Zapewne zgodnie z modą obowiązującą w San Labrador.

Wskazałem na krzesło w dużym pokoju. Usiadła, krzyżując nogi. Objęła kolana i rozejrzała się wokół.

– Masz bardzo ładny dom.

W pałacu, gdzie się wychowywała, z pewnością znajdowały się pokoje znacznie ładniejsze. Podziękowałem za łaskawą uwagę i usiadłem.

– Dobrze znowu cię widzieć – rzekłem.

– Też cieszę się z naszego spotkania. Wielkie dzięki, że nie musiałam czekać w kolejce.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Nie miałaś trudności z odnalezieniem mojego domu?

– Nie. Przecież właśnie od tego są różne nieocenione przewodniki.

– Tak. To prawda.

– To zadziwiające, że tak wiele informacji można pomieścić w jednej książce.

– Właśnie.

– Nigdy nie byłam w tych okolicach. To bardzo ładne miejsce.

Uśmiechnęła się ze sztuczną nieśmiałością. Układna, młoda dama. Czy to moja zasługa? Czy zachowuje się tak kulturalnie robiąc zakupy?

Czy sama chodzi do sklepu?

Czy ma przyjaciół?

Dziewięć lat temu całkowicie zaskoczyła matkę pewnym telefonem.

I rozpoczęła batalię.

Uśmiechnąłem się, z trudem powstrzymując się przed analizowaniem jej osobowości.

Siedziała wyprostowana, może odrobinę sztywna. Zachowanie, biorąc pod uwagę okoliczności, całkiem zrozumiałe. Brak oznak niepokoju. Dłonie splecione na kolanach. Żadnych nerwowych ruchów palcami.

– Minęło sporo czasu – rzekłem, żeby przerwać męczącą ciszę.

– Dziewięć lat. Trudno uwierzyć.

– Tak. Jestem niesłychanie ciekaw, co porabiałaś.

– Nic nadzwyczajnego – wzruszyła ramionami – chodziłam do szkoły.

Pochyliła się, wyprostowała ramiona i mocniej objęła kolana. Kosmyk włosów przysłonił jej oko. Odrzuciła go i kolejny raz rozejrzała się po pokoju.

– Moje gratulacje z powodu zdania matury.

– Dzięki. Dostałam się na Harvard.

- **Fantastycznie. Podwójne gratulacje.**
- **Sama byłam tym zaskoczona.**
- **Chyba nikt w Harvardzie nie wątpił w to, że zostaniesz przyjęta.**
- **Dziękuję za dobre słowo, ale myślę, że miałam dużo szczęścia.**
- **Średnia pięć?**

Nieśmiały uśmiech. Dłonie wciąż złączone na kolanach.

- **Oprócz gimnastyki.**
- **Wstydz się, moja droga.**

Znów rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu czegoś.

- **A więc kiedy wyjeżdżasz do Bostonu? – spytałem.**
- **Nie wiem... Żądają mego potwierdzenia w ciągu dwóch tygodni.**

Powinnam wkrótce powziąć decyzję.

- **Nie podjęłaś jej jeszcze?**

Zwilżyła wargi koniuszkiem języka i skinęła głową. Nasze spojrzenia spotkały się.

- **To właśnie... na tym polega mój problem. Z tym przyszłam.**
- **Jechać czy nie jechać do Harvardu?**
- **Chodzi tu o mamę. – Znów zwilżyła wargi, odkaszlnęła i zaczęła się lekko kołysać. Następnie ze stolika wzięła kryształowy przycisk do papieru i spojrzała przez niego, mrużąc oczy. Badła odbłask złotawego, południowego światła, wpadającego przez okno w jadalni.**
- **Czy twoja mama nie zgadza się na wyjazd?**
- **Nie, ona... Ona chce, żebym jechała. Zgadza się całkowicie, nawet mnie do tego zachęca.**

– Lecz to cię nie przekonuje?

Odłożyła przycisk. Przesunęła się na samą krawędź krzesła i podniosła obie dłonie, jakby zasłaniając się nimi.

– Nie jestem pewna, czy sobie poradzi.

– Z daleka od ciebie?

– Tak. Ona jest... To takie... – Drgnęła. Poczęła splatać dłonie, co mnie bardzo zaskoczyło.

– Czy ona wciąż... jest w takim stanie?

– W dalszym ciągu ma agorafobię, ale czuje się lepiej. Przeszła leczenie.

W końcu udało mi się ją przekonać do kuracji, która pomogła.

– Nie jesteś jednak pewna, czy mimo to poradzi sobie, gdy wyjedziesz?

– Tak, nie jestem pewna...

Potrząsnęła głową. Na jej twarzy pojawił się wyraz nieczłowieckiego zmęczenia, który ją znacznie postarzał. Pochyliła głowę i otworzyła torebkę.

Po chwili poszukiwań wyjęła gazetę z zaznaczonym artykułem.

Czasopismo „Style życia”, artykuł z lutego ubiegłego roku, zatytułowany:

Promyk nadziei dla ofiar chorobliwych lęków; małżeństwo specjalistów zwalcza fobie.

Podniosła przycisk i znów zaczęła się nim bawić. A ja zająłem się czytaniem.

Był to artykuł o Leo Gabneyu, psychologu klinicznym zamieszkałym w

Pasadenie, który niegdyś wykladał w Harvardzie, i o jego żonie Ursuli

Cunningham-Gabney, psychoanalityku, byłym pracowniku tejże znakomitej uczelni. Na załączonym zdjęciu para terapeutów siedziała naprzeciwko

pacjentki, która była odwrócona tyłem tak, że jej twarz pozostawała niewidoczna. Gabney miał otwarte usta, jakby coś mówił. Jego żona zerkala na niego kątem oka. Na twarzach obu lekarzy malowała się nieskazitelna uczciwość. Poniżej było napisane dużymi literami: DR LEO I DR URSULA GABNEY ŁĄCZĄ SWOJE FACHOWE UMIEJĘTNOŚCI. MARIA CIERPI NA OSTRY PRZYPADEK AGORAFOBII. Ostatnie słowo zostało zakreślone czerwonym kółkiem.

Powróciłem wzrokiem do fotografii. Wiele słyszałem o Gabneyu.

Przeczytałem wszystko, co napisał, ale nigdy nie poznałem go osobiście. Ze zdjęcia wynikało, że miał około sześćdziesiątki. Potargane siwe włosy, wąskie ramiona, ciemne, zapadnięte oczy za masywnymi, w czarnej oprawce okularami, okrągła twarz. Nosił białą koszulę i ciemny krawat. Zawinał rękawy do łokci. Ręce miał cienkie i kościste, prawie kobiece. Wyobrażałem go sobie jako potężnego tytana, a okazał się krasnoludkiem.

Jego żona była brunetką. Miała ten rodzaj urody, że w Hollywood mogła dostać rolę nieszczęśliwej starej panny czekającej na królewicza z bajki. Była ubrana w luźną, ręcznie tkaną sukienkę zakrywającą szyję. Przewieszona przez ramię chustka w różnobarwne wzory. Krótko ścięte włosy. Okulary na łańcuszku. Mogłaby być córką Gabneya.

Podniosłem wzrok. Melissa wciąż obracała kryształ, udając, że jest całkowicie pochłonięta zabawką.

Klasyczna reakcja obronna.

Na śmierć zapomniałem o istnieniu tego przycisku. Francuski antyk.

Prawdziwe cacko wyszukane na zakurzonej półce sklepiku z antykami w

Leucadii. Robin i ja... klasyczna reakcja obronna, polegająca na

zapominaniu przeszłości.

Artykuł napisany był w przesadnie pochwalnym tonie przez kogoś, kto

silił się na bezstronność. Podkreślano pionierskie badania nad

zaburzeniami emocjonalnymi: „Olbrzymi sukces w leczeniu weteranów

wojny koreańskiej, gdy klasyczna psychologia była bezradna, genialne

odkrycia w dziedzinie badań nad frustracją i procesem uczenia się u ludzi.”

Przypomniano jego eksperymenty ze zwierzętami i badania kliniczne na

Harwardzie. Trzydzieści lat pracy twórczej: artykuły do czasopism i

dysertacje naukowe.

Nie cierpiał na brak weny.

Ursula Cunningham-Gabney była studentką męża. Miała doktoraty z

psychobiologii i medycyny.

Gabneyowie byli stałymi wykładowcami wydziału medycznego na

Harvardzie, zanim przenieśli się do Kalifornii i założyli tam prywatną

klinikę. Gabney tłumaczył przeprowadzkę jako „potrzebę spokojniejszego

trybu życia i chęć przesunięcia ciężaru badań z uniwersyteckich na

prywatne”.

Tak opisywał nowatorstwo w podejściu do leczenia:

„Zdolności mojej żony predestynują ją do wyszukiwania i oznaczania

takich zaburzeń fizycznych jak hipertymia, która miewa podobne objawy jak

w wypadku zaburzeń emocjonalnych. Ursula posiada również niezrównane

wyczucie przy ordynowaniu najnowszych antystresowych środków

farmakologicznych.”

„Kilka nowych, testowanych przeze mnie medykamentów rokuje duże nadzieje – skonstatowała doktor Ursula – lecz nie są one wystarczającym środkiem. Wielu lekarzy traktuje tabletki jako magiczne panaceum na wszystkie dolegliwości i przepisuje je bez należytej, racjonalnej kalkulacji strat i zysków. Z naszej praktyki wynika, że najlepsze rezultaty daje połączenie terapii behawioralnej i rozumnej terapii farmakologicznej.”

„Niestety – dodał pan Gabney – przeciętny psycholog jest ignorantem w dziedzinie farmakologii, a jeśli nawet uczył się jej, to nie potrafi właściwie dawkować lekarstw. Zaś typowy psychoterapeuta nie ma zgoła pojęcia o terapii behawioralnej.”

„Leo Gabney brał udział w poważnych dysputach pomiędzy specjalistami na temat leczenia takich schorzeń jak agorafobia – lęk przed otwartą przestrzenią (np. na ulicach, placach).”

„Przy leczeniu agorafobii należy połączyć różne metody terapeutyczne. Nie ograniczamy terapii do gabinetu, ale wkraczamy do domu chorego, jego miejsca pracy, wszędzie, gdzie wymaga tego sytuacja.”

Znów czerwone zakreślenia na słowach „agorafobia” i „dom chorego”.

Tutaj następował szczegółowy opis przypadków klinicznych, które ominąłem.

Skończyłem.

Melissa odłożyła przycisk.

– Słyszałeś o nich?

– Słyszałem o Leo Gabneyu. Jest bardzo znany w środowisku, przeprowadził wiele ciekawych badań.

Podalem jej gazetę. Włożyła ją z powrotem do torebki.

– Gdy to przeczytałam, pomyślałam, że jest idealne dla mojej mamy.

Szukałam czegoś takiego od dawna. Kiedy skończyłam piętnaście lat, zrozumiałam, co znaczy jej choroba, do której zresztą przyzwyczaiałam się z czasem. Zaczęłam czytać coraz więcej książek z psychologii. Uczyłam się interpretowania zachowań ludzi. Uprzytomniłam sobie, jak musiało być jej ciężko – jakże musiała cierpieć. Ponieważ ją kochałam, miałam obowiązek jej pomóc. Z początku unikała rozmów na ten temat, twierdziła, że czuje się bardzo dobrze i że powinnam zająć się raczej sobą. Nie dawałam za wygraną. Kiedy otrzymałam bardzo dobrą ocenę albo nagrodę w szkole, znów wracałam do tego, dając jej do zrozumienia, że zasługuję na to, żeby brać mnie poważnie. W końcu zaczęłyśmy ze sobą szczerze rozmawiać. Jak było jej ciężko, jak zawsze pragnęła być taka jak inne matki, ale za każdym razem, gdy próbowała wyjść na zewnątrz, nie potrafiła przemóc panicznego strachu. To nie był tylko uraz psychiczny. Nie mogła złapać oddechu, czuła się uwięziona, bezradna, bezużyteczna i winna za to, że nie otacza mnie odpowiednią opieką.

Znowu objęła kolana, kolysząc się. Spojrzała na przycisk, a potem na mnie.

– Mówiłam jej, że jest wspaniałą matką. Wtedy z płaczem dowodziła, że to nieprawda, że to ja zawsze byłam dobrym dzieckiem. Powtarzała przez łzy, że jest szczęśliwa, bo jestem od niej lepsza. Bo przecież mogłabym wyjechać stąd, oglądać miejsca, w których ona nigdy nie była, i robić rzeczy, których ona nigdy nie robiła.

Umilkła. Odetchnęła głęboko.

– Nie było łatwo tego słuchać i patrzeć na jej cierpienia – rzekłem.

– Tak – jęknęła z oczami pełnymi łez.

Odwróciłem się i sięgnąłem po chusteczkę jednorazową. Minęła dobra chwila, zanim mogła mówić dalej.

– Powiedziałam jej – pociągnęła nosem – że wcale nie jestem lepsza od niej i nigdy nie byłam. Tylko dlatego przełamalam własne lęki, bo otrzymałam pomoc. Od ciebie. I że to za jej sprawą trafiłam do ciebie.

Pomyślałem o dziecięcym głosiku z kasyety telefonu zaufania, listy pisane na wykwinnym papierze listowym i telefony bez odpowiedzi.

– I że teraz ja pragnę znaleźć pomoc dla niej. Przyznała, że faktycznie potrzebuje pomocy, ale jej choroba jest nieuleczalna. Pośród łez zwierzyła się, że lekarze wzbudzają w niej paniczny lęk – zdaje sobie sprawę, że to głupie i dziecinne, ale strach jest silniejszy od niej. Nie odważyła się nawet na telefoniczną rozmowę z tobą – o czym nie wiedziałam – i że wyleczyłam się niezależnie od niej. Ponieważ byłam silna, a ona jest słaba. Powiedziałam na to, że siła nie jest czymś przyrodzonym, że trzeba się jej nauczyć. Ona również jest silna na swój sposób. Doświadczyła tak wiele cierpień i nieszczęść, a jednak pozostała wspaniałym, dobrym człowiekiem. Nawet jeśli nie wychodziła z domu i nigdy nie robiła tego, co wszyscy, zawsze była lepsza niż inne matki. Bardziej kochająca.

Bez słowa pokiwałem głową.

– Gryzło ją poczucie winy, a przecież była wspaniała, cierpliwa, rozumiejąca. Nigdy nie podnosiła głosu. Kiedy byłam mała i nie mogłam

zasnąć – zanim mnie wyleczyłeś – brała mnie w objęcia, całowała i powtarzała, że jestem cudowna, piękna, że jestem najlepszą na świecie dziewczynką i że czeka mnie świetlana przyszłość. Nawet jeśli nie dawałam jej zasnąć przez całą noc, nawet jeśli moczyłam się w łóżku i śliniłam prześcieradła, przytulała mnie. Szeptala, że mnie kocha, że wszystko będzie dobrze. Taka była. A teraz ja chcę jej pomóc – odplacić za jej opiekę.

Wytarła twarz mokrą chusteczką. Podąłem jej nową.

– Po długich miesiącach rozmów w końcu wyzbyła się obaw i zgodziła się, żebym znalazła lekarza, który przychodziłby do niej do domu. Przez jakiś czas nic nie zrobiłam, bo nie widziałam, gdzie kogoś takiego szukać.

Zadzwońłam tu i ówdzie, ale wszędzie mówiono, że nie prowadzą leczenia w domu pacjentów. Pomyślałam, że nikt nie bierze mnie poważnie z powodu mojego wieku. Nosiłam się z zamiarem, żeby zadzwonić do ciebie.

– I czemu tego nie zrobiłaś?

– Nie wiem. Może wstydziłam się. Grupie, co?

– Wcale nie.

– Wtedy właśnie natrafiłam na ten artykuł. Zadzwoniłam do kliniki i porozmawiałam z panią Cunningham. Powiedziała, że może pomóc, ale chory sam musi do niej zadzwonić. Nalegała na to, twierdząc, że pacjenci muszą mieć motywację. Odniosłam wrażenie, że jest tak, jak z zapisami do liceum – mają zatrzęsienie podań, a wybierają tylko nieliczne.

Powiedziałam o tym mamie i dałam jej numer telefonu. Przestraszyła się nie na żarty i dostała ataku.

– Czym się to objawia?

– Robi się biała, chwyta się za piersi. Dostaje silnych drgawek, oddech ma nieregularny, świszczący. Jakby nie mogła złapać powietrza w płuca.

Czasem traci przytomność.

– Bardzo niepokojące.

– Właśnie. Gdy ktoś to widzi po raz pierwszy, może się przestraszyć, ale ja się z tym wychowałam. Wiedziałam, że to nic takiego. Kiedy atak minął – zwykle nie trwa to dłużej niż parę minut, jest potem bardzo zmęczona i śpi parę godzin – nie dałam jej zasnąć. Objęłam ją, pocałowałam i zaczęłam pocieszać, bo widziałam, że czuje się strasznie. Potem zapytałam, czy nie chciałaby pozbyć się tych ataków. Skończyć z tym raz na zawsze.

Rozszlochala się i powiedziała, że tak, chce z tym skończyć. Obiecała, że spróbuje, lecz nie teraz, bo jest zbyt rozbita. Uwierzyłam, ale przez parę tygodni nic się nie działo. W końcu moja cierpliwość się wyczerpała.

Poszłam do jej pokoju, wykręciłam numer kliniki, poprosiłam doktor Ursulę i wręczyłam słuchawkę mamie. Zaczęła rozmawiać z doktor. Przez większość czasu milczała albo przytakiwała, lecz w końcu umówiła się na pierwsze spotkanie.

– Jak długo trwa już terapia?

– Około roku.

– Czy leczą ją oboje Gabneyowie?

– Na początku przychodzili oboje. Z czarną walizką i ze stosownym ekwipunkiem. Podejrzewam, że leczyli ją farmakologicznie. Potem zjawiała się sama pani doktor, zaopatrzona jedynie w notes i długopis. Spędzały długie godziny w pokoju mamy – codziennie, nawet w soboty i niedziele.

Całymi tygodniami. Zaczęły schodzić na dół i przechadzały się po domu, gawędząc jak dobre przyjaciółki.

Przy słowie „przyjaciółki” zmarszczyła czoło.

– Nie potrafię powiedzieć, o czym rozprawiały, ponieważ pani doktor rygorystycznie odgradzała mamę od wszystkich.

Znów zmarszczyła czoło.

– Minał miesiąc i wyszły na dwór. Do ogrodu. Trwało to bardzo długo,

bez widocznego postępu. Wszystko to mama robiła również przed

rozpoczęciem kuracji. Wydawało się, że ten stan rzeczy będzie trwał w

nieskończoność, a w dodatku nikt nie raczył mnie informować na bieżąco,

co się dzieje. Zaczęłam się zastanawiać, czy doktor kontroluje sytuację. Czy

postąpiłam właściwie, sprowadzając ją do domu. Raz spróbowałam ją

zapytać, ale zareagowała bardzo nieprzyjemnie.

Przerwała, splatając nerwowo palce.

– Co się stało?

– Zatrzymałam panią doktor po skończonej sesji, gdy wsiadała do

samochodu, i zapytałam, jak się miewa mama. Zbyła mnie uśmiechem

odrzekła, że wszystko jest w najlepszym porządku, dając mi jasno do

zrozumienia, że to nie mój interes. Następnie zapytała, czy mam jakieś

problemy – ale nie w ten sposób, jak ty o to pytałeś. Czułam, że usiłuje

zapanować nade mną za pomocą analizy mojej osoby. Tego było za wiele.

Miałam jej serdecznie dosyć!

Podniosła głos, który prawie przemienił się w krzyk. Gdy zdała sobie z

tego sprawę, zaczerwieniła się i zasłoniła usta.

Uśmiechnąłem się zachęcająco.

–

Dopiero

potem

zrozumiałam.

Potrzebowały

intymności.

Przypomniałam sobie, jak to było z moją terapią. Wciąż zadawałam ci te same pytania o inne dzieci, żeby sprawdzić, czy potrafisz dotrzymać tajemnicy. A gdy nie udawało mi się ciebie podejść, czułam się wspaniale, jak po dobrze spełnionym obowiązku. To było okropne, prawda?

– Nie. To jest całkowicie normalne – odrzekłem.

Zaśmiała się.

– Zdał pan egzamin, doktorze Delaware. – Zaczerwieniła się jak piwonia.

Odwróciła głowę. – Tak bardzo mi pomogłeś.

– Jestem szczęśliwy. Dziękuję, że to powiedziałaś.

– To musi być miła praca. Ciągle mówisz ludziom, że wszystko jest w porządku i żeby się nie martwili. Nie sprawiasz bólu jak inni lekarze.

– Czasem leczenie może okazać się bardzo bolesne, ale w sumie wychodzi to na dobre.

– Więc czemu już się tym nie zajmujesz? Przepraszam, że się w to wtrącam.

– Nie szkodzi, tutaj nie ma tematów tabu, chociaż nie zawsze otrzymasz odpowiedź.

Zaśmiała się perliście.

– Proszę, znowu mówisz, że wszystko w porządku.

– Bo to prawda. Dotknęła palcem przycisku.

– Dziękuję. Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Nie tylko za to, że uwolniłeś mnie od leków, ale za to, że pokazałeś, że ludzie mogą się zmienić

– mogą zwyciężyć. Trudno to pojąć, kiedy tkwi się w czymś tak głęboko.

Zamierzam studiować psychologię. Chcę zostać terapeutą.

– Byłabyś bardzo dobrym psychologiem.

– Naprawdę tak myślisz? – pojaśniała.

– Tak. Naprawdę. Jesteś inteligentna. Posiadasz zdolność empatii. I jesteś cierpliwa – widać to jasno po twoim stosunku do mamy. Masz anielską cierpliwość.

– Ja ją kocham. Nie wiem, czy nie straciłabym cierpliwości przy kimś innym.

– Prawdopodobnie byłoby ci łatwiej.

– Tak. Chyba masz rację. Czasem chciałam na nią krzyczeć, żeby się wreszcie z tego otrząsnęła. Nie mogłam jednak. Jest moją matką. Zawsze była dla mnie dobra.

– Teraz jednak, kiedy pokonałaś tyle przeciwności, żeby przekonać ją do leczenia, musisz przypatrywać się spokojnie, jak spacerują sobie po ogrodzie przez całe miesiące. I nic się nie dzieje. To wystawia twoją cierpliwość na ciężką próbę.

– Waśnie. Zaczęłam tracić zaufanie do Ursuli. Aż nagle któregoś dnia udało się jej wyprowadzić matkę za bramę. Przeszły parę kroków

pochodniku i znowu miała atak. Był to jednak pierwszy raz, kiedy opuściła posiadłość. Pomimo ataku nie wycofały się. Ursula dała jej jakiś środek w inhalatorze, taki sam, jakiego używają astmatycy, i pozostały tam do czasu, aż mama się uspokoiła. Powtórzyły to następnego dnia. Matka znów miała atak – przykro było patrzeć. Potem mama wychodziła już z domu i nic się nie działo. Zaczęły przechadzać się po ulicy. Ramię w ramię. A parę miesięcy temu matka usiadła za kierownicą samochodu. To jej ulubiony mały rolls-royce silver dawn z pięćdziesiątego czwartego roku, ale utrzymany w idealnym stanie. Montowany ręcznie – na specjalne zamówienie. Mój ojciec jeździł nim po Anglii. Był jednym z pierwszych pojazdów ze wspomaganie kierownicy i z przyciemnianymi szybami. Potem ojciec podarował go mamie. Darzyła to auto wielkim sentymentem. Najpierw z Ursulą ćwiczyły manewry przed domem, a potem wyjechały na ulicę. Teraz mama jeździ z Ursulą albo z kimś ze służby do kliniki w Pasadenie i z powrotem. Może to nie wygląda na wielkie osiągnięcie, ale rok temu nie marzyliśmy o takim postępie. To fantastyczne, prawda?

– Pewnie. Jak często jeździ do kliniki?

– Dwa razy w tygodniu. W poniedziałki i czwartki na terapię grupową. Z innymi kobietami z podobnymi problemami. Jestem tak bardzo z niej dumna. Nie chcę tego zaprzepaścić.

– Przez wyjazd na Harvard?

– Przez cokolwiek, co by to zrujnowało.

– Twoja mama ma bardzo delikatną naturę.

– Tak, bardzo jest delikatna! Z tego powodu, że tak wiele przecierpiała.

– Czy pytałaś Ursulę o ewentualne konsekwencje twojego wyjazdu?

– Nie – odparła pochmurniejac. – Nie pytałam.

– Rozumiem. Nie lubisz jej zbyt, chociaż tak wiele zrobiła dla twojej matki.

– To prawda. Ona jest taka... bardzo zimna.

– Czy tylko to zraziło cię do niej?

– Już mówiłam. To jej analizowanie mojej osoby... Myślę, że mnie nie lubi.

– Dlaczego tak myślisz?

Potrząsnęła głową. Jeden z klipsów rozbłysnął w świetle.

– To jej... niedobre fluidy, które wydziela. Wiem, że to niczego nie wyjaśnia, ale ona mnie po prostu wyprowadza z równowagi. Sposób, w jaki bez słowa daje mi do zrozumienia, że bym zajęła się własnymi sprawami.

Więc jakże mogę zapytać ją o tak osobistą rzecz? Mam wrażenie, że chce mnie wyeliminować z życia mamy.

– Czy próbowałaś rozmawiać o tym z twoją matką?

– Mówiłam z nią o leczeniu parę razy. Wyjaśniła, że ciężko pracują z panią doktor i że to musi potrwać. Powiedziała, że jest mi wdzięczna za to, że znalazłam terapeutę, ale teraz chce sama zająć się sobą. Nic nie odrzekłam, nie chciałam uczynić czegokolwiek, co mogłoby to... zrujnować.

Splatała nerwowo palce.

– Czy czujesz się trochę odstawiona na boczny tor?

– Nie. Nie chodzi o to. Pewnie, że chciałabym wiedzieć więcej – choćby z powodu moich zainteresowań psychologią. Jednak to nie jest aż takie

ważne. Najważniejsze, że są widoczne efekty.

– Czy wątpisz w dalszą poprawę?

– Nie wiem. To dzieje się bardzo wolno, a ja nie mam już cierpliwości.

– Więc chociaż widzisz postępy, to nie jesteś pewna, czy możesz ją opuścić?

– Właśnie.

– I czujesz się trochę sfrustrowana tym, że Ursula nie informuje cię o niczym?

– Jestem mocno sfrustrowana.

– A Leo Ganey? Może byłoby ci łatwiej z nim pomówić?

– Nie – odparła. – W ogóle go nie znam. Jak powiedziałam, pokazywał się tylko na początku. Typowy naukowiec – szybki w ruchach, wszystko notuje, wydaje polecenia. On jest szefem w tym związku – dodała ze złośliwym uśmiechem.

– Chociaż twoja matka twierdzi, że chce, żebyś jechała, nie jesteś przekonana, czy sama sobie poradzi. Jednocześnie czujesz, że nie ma nikogo, kto by ci pomógł z tego wybrnąć.

Skinęła głową i uśmiechnęła się kącikami ust.

– Jestem w kropce. To niemądre, prawda?

– Wcale nie.

Znowu mówisz, że wszystko w porządku. Oboje uśmiechnęliśmy się.

– Kto z otoczenia twojej mamy może się nią zająć?

– Jest służba. I Don – jej mąż. Nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

– Kiedy wyszła za mąż?

– Parę miesięcy temu. Poczęła splatać palce.

– Parę miesięcy temu – powtórzyłem w zamyśleniu.

Skrzywiła się.

– Sześć.

– Czy możesz mi o tym opowiedzieć?

– Nazywa się Don Ramp. Aktorzyna. Grywał kowbojów i żołnierzy. Teraz prowadzi restauracje. W Pasadenie. Nie w San Lab, ponieważ w San Lab jest ustawowa prohibicja, a on sprzedaje wszystkie rodzaje piwa. To jego specjalność. Piwo i mięso. Pierwszorzędne żeberka. Knajpa nazywa się „Pod Pucharem i Szpadą”. Pełno tam zbroi i mieczy. Jak w starodawnej Anglii. Straszna głupota, ale w San Labrador wygląda to egzotycznie.

– Gdzie się spotkali?

Splatała palce coraz szybciej.

– To ja ich skojarzyłam. Kiedyś znalazłam się w „Pod Pucharem” z przyjaciółmi. Jakaś szkolna uroczystość. Don witał wszystkich gości. Kiedy dowiedział się, kim jestem, przysiadł się i powiedział, że kiedyś znał mamę.

Wiele lat temu. Kiedy pracowała w studiu filmowym. Oboje podpisali kontrakt w tym samym czasie. Zaczął wypytywać, co się u niej dzieje. Gadał i gadał, jakie to były cudowne lata, jakiej niezwyklej była urody i jak utalentowana. Mówił, że też jestem piękna. – Wzruszyła ramionami.

– Uważasz, że nie jesteś piękna?

– Ależ doktorze Delaware! W każdym razie, zachowywał się bardzo kulturalnie i był pierwszym człowiekiem, który pamiętał matkę z czasów hollywoodzkich. Ludzie z San Labrador tworzą zamknięte środowisko.

Kiedyś inny aktor – prawdziwa gwiazda, Brett Raymond – zapragnął się przenieść do San Lab. Kupił stary dom, żeby go zburzyć i postawić nowy.

Wszyscy plotkowali na temat jego pieniędzy, brudnych pieniędzy, bo studia filmowe są w rękach żydowskich, a żydowskie pieniądze to brudne pieniądze. Brett Raymond podobno sam był Żydem, ale próbował to ukryć.

Tak czy inaczej, plotki na tyle obrzydziły mu życie, że zmienił zdanie i wyniósł się do Beverly Hills. Ludzie zaś orzekli, że bardzo dobrze, bo każdy powinien wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Sam więc widzisz, że nie mogłam znać ludzi z branży filmowej, a kiedy Don zaczął rozprawiać o dawnych czasach, pomyślałam, że nadarza się rzadka okazja powrotu do szczęśliwej przeszłości.

– To nie powód, żeby od razu się żenić.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Zaprosiłam go do nas – to miała być niespodzianka dla matki. Nie rozpoczęła jeszcze leczenia. Szukałam czegokolwiek, co by ją rozruszało.

Żeby zaczęła spotykać się z ludźmi. Zjawił się z trzema tuzinami róż i ogromną butlą taittingera. Powinnam widzieć, że obmyślił... plan. No wiesz, róże i szampan. Zaczął zaglądać do nas coraz częściej. Spędzał tu całe popołudnia, zanim otwierał swój lokal. Przynosił steki, kwiaty.

Przyzwyczailiśmy się do tego. A sześć miesięcy temu, gdy mama zaczęła opuszczać ogród, ogłosili, że zamierzają się pobrać. Tak po prostu.

Sprowadzili sędziego pokoju i zawarli ślub w domu.

– Więc on już był, kiedy przekonałaś mamę do rozpoczęcia kuracji?

– Tak.

– Jak się do tego odnosi?

– Nie wiem – odparła. – Nigdy go nie pytałam.

– Nie wyrażał jednak sprzeciwu?

– Nie. On się niczemu nie sprzeciwia.

– Jaki to człowiek?

– Czarujący. Wszyscy go lubią – rzekła z niesmakiem.

– A ty co o nim myślisz?

Odrzuciła włosy z czoła i wpiła we mnie palące spojrzenie.

– Co o nim myślę? On nie wchodzi mi w drogę.

– Czy uważasz, że jest uczciwy?

– Myślę, że on jest... zerem intelektualnym. To bufon. Typowe

Hollywood.

W jej słowach zabrzmiał stereotyp, z którego jeszcze przed chwilą kpiła.

Zdała sobie z tego sprawę i dodała:

– Wiem, że to, co mówię, jest w stylu mieszkańca San Labrador, ale sam

musisz zobaczyć, żeby zrozumieć. Jest opalony nawet w zimie, żyje dla

tenisa i nart, zawsze uśmiechnięty, nawet wtedy, gdy nie ma się z czego

śmiać. Mój ojciec był kimś. Mama zasługuje na coś lepszego. Gdybym

wiedziała, że to zajdzie tak daleko, nigdy bym go nie zapraszała.

– Czy miał dzieci?

– Nie. Był kawalerem do tej pory.

Sposób, w jaki to powiedziała, skłonił mnie do zadania następnego

pytania:

– Podejrzewasz, że poślubił twoją matkę dla pieniędzy?

– Tak sędzę. Don nie należy do biednych, ale do mamy mu daleko.

Machnęła ręką, tak szybko i niezręcznie, że zatrzymałem ten gest, w pamięci.

– Czy obawiasz się, że potrzebowałaby obrony przed nim w razie twojego wyjazdu na Harvard?

– Nie, ale nie wyobrażam sobie, żeby potrafił się nią zaopiekować. Nie rozumiem, dlaczego się pobrali.

– A służba do opieki nie wystarczy?

– Trzeba jej znacznie więcej.

– A Jacob Dutchy?

– Jacob – głos jej zadrżał. – Jacob... umarł.

– Jaka szkoda!

– Rok temu. Miał raka. To nie trwało długo. Opuścił dom zaraz po diagnozie i zamieszkał w domu starców. Nie wiem gdzie. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział go w chorobie. Potem... Potem ktoś z personelu powiadomił mamę, że on... Nie było pogrzebu, tylko kremacja. Bardzo to przeżyłam, że nie mogłam mu pomóc. Mama powiedziała, że pomogłyśmy mu przez to, że pozwoliłyśmy mu zrobić tak, jak sobie życzył.

Znów lzy. Znów chusteczki higieniczne.

– Pamiętam go jako wytwornego dżentelmena.

Pochyliła głowę.

– Dobrze, że chociaż nie cierpiał długo.

Czekałem, aż zacznie mówić. Ponieważ milczała, rzekłem:

– Przytrafiło ci się ostatnio niemało. Widzę teraz, jak trudno jest ci

właściwie ocenić sytuację.

– Och, doktorze Delaware! – wykrzyknęła. Wstała, podeszła do mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję. Poczulem zapach wody toaletowej. Zbyt silny jak na jej wiek. Bardziej pasowałby do starej ciotki. Pomyślałem, jak samotnie musiała przedzierać się przez życie. Wśród małych radości i wielkich nieszczęść.

Szeptalem słowa pocieszenia, które wydawały się tak niezbędne. Kiedy przestała płakać, delikatnie ją odsunąłem.

Szybko wróciła na krzesło. Popatrzyła zawstydzona, splatając palce.

– Już dobrze. Nie musisz zawsze ukrywać swoich uczuć.

Mimowolna reakcja terapeuty. Robić tak, żeby pacjent zawsze znajdował się w komfortowej sytuacji psychicznej. Mówić tylko dobre rzeczy. Czy jednak w tych okolicznościach powinienem tak czynić? Zaczęła chodzić po pokoju.

– Nie potrafię uwierzyć, że tak się rozkleiłam. To jest takie... A chciałam być taka... zasadnicza. Miała to być konsultacja, a nie...

– Nie terapia?

– Tak. Naprawdę sądziłam, że ze mną wszystko w porządku, że nie potrzebuję leczenia. Pragnęłam ci udowodnić, że się trzymam.

– Melisso, nic ci nie jest. Przeżywałaś nieprawdopodobnie stresogenny okres. Zmiana stylu życia matki. Utrata Jacoba.

– Tak – przyznała. – Bardzo go kochałam.

Odczekałem chwilę i podjąłem główny wątek.

– A teraz Harvard. To jest bardzo ważna sprawa. Nie można tego

lekceważyć.

Ciężko westchnęła.

– A gdyby wszystko się jakoś ułożyło, pojechałabyś?

– Wiem, że to wielka szansa – moja świetlana przyszłość. Muszę jednak mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

– Co mogłoby ci pomóc?

Potrząsnęła głową i uniosła rękę.

– Nie wiem. Sama chciałabym wiedzieć.

Popatrzyła na mnie. Uśmiechnąłem się i wskazałem krzesło. Podeszła i usiadła.

– Co przekonałoby cię, że twojej matce nic nie zagraża?

– Jeśli będzie zdrowa! Normalna! Jak ludzie! Może to brzmi tak, jakbym się jej wstydzila, ale ja się tylko o nią martwię.

– Chcesz mieć pewność, że potrafi zadbać o siebie?

– To potrafi. Zamknięta we własnym pokoju. To jej domena. Teraz, kiedy wychodzi, podejmuje próby przemiany. I to ją przeraża.

– Rozumiem.

Zapadło milczenie.

– Prawdopodobnie nie warto ci przypominać, że nie możesz bez końca odpowiadać za matkę, jakby to ona była twoim dzieckiem. Może to przekreślić twoje życie, a jej poczynić wiele szkód.

– Tak. Wiem. Oczywiście masz rację.

– Czy ktoś ci już o tym mówił?

Zagryzła wargę.

– Noel. Noel Drucker. Jest moim kolegą – nie moim chłopakiem. To znaczy, lubi mnie, ale ja nie jestem pewna, co do niego czuję. Jest wyjątkowo dobrym człowiekiem.

– Ile ma lat?

– Jest starszy ode mnie o rok. Rok temu został przyjęty na Harvard, teraz wziął urlop dziekański, żeby popracować i oszczędzić pieniądze na studia.

Jego rodzina nie jest bogata. Ma tylko matkę. Pracował przez całe życie i jak na swój wiek jest bardzo dojrzały. Kiedy jednak mówi o mojej mamie, wolałabym tego nie słyszeć!

– Nigdy nie odkrywałaś przed nim własnych uczuć?

– Nie. On jest bardzo wrażliwy. Nie chciałam go urazić. Wiem, że ma dobre intencje.

– Widzę, że przejmujesz się losem wielu ludzi.

– Chyba tak. – Uśmiechnęła się.

– A kto zatroszczy się o Melisę?

– Sama się o siebie troszczy – stwierdziła z tą pewnością i siłą, która dziewięć lat temu wprowadziła mnie w zdumienie.

– Wiem, że to potrafisz, ale nawet zawodowi opiekunowie potrzebują atmosfery bezpieczeństwa, stworzonej przez kogoś bliskiego.

– Noel stara się mną opiekować, ale mu nie pozwalałam. To okropne tak go frustrować, prawda? Jednakże on po prostu nie rozumie sytuacji mamy.

Nikt tego nie rozumie.

– Czy Noel i twoja mama lubią się nawzajem?

– Rzadko się widują, ale trudno nie lubić tak uroczonego chłopca jak Noel.

Sam się przekonasz. On też ją lubi, ale powtarza, że czynię jej więcej złego niż dobrego taką opieką. Że powinna sama sobie pomóc.

Melissa wstała i okrążyła pokój. Dotykała mebli. Udawała, że zachwyca się obrazami wiszącymi na ścianach.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Zwróciła się do mnie.

– Pomyślałam, żebyś porozmawiał z mamą. A potem powiedziałbyś mi, co myślisz.

– Chcesz, żebym ocenił jej stan i stwierdził, czy poradzi sobie, gdy wyjedziesz na Harvard?

Parę razy nerwowo zagryzła wargę, dotknęła jednego z klipsów i przyglądała włosy.

– Ufam w twój trzeźwy osąd. To, co uczyniłeś dla mnie, sposób, w jaki spowodowałeś we mnie zmiany... było jak czary. Jeśli powiesz, że z czystym sumieniem mogę ją opuścić, zrobię to. Nie zważając na nic.

Przed laty to ja widziałem w niej czarodzieja, ale nie należało o tym mówić.

– Tworzyliśmy zgrany zespół. Wtedy okazałaś siłę i odwagę, a i teraz to czynisz.

– Dziękuję. Więc mógłbyś...?

– Chętnie pomówię z twoją matką. Za jej zgodą. I jeśli Gabneyowie się zgodzą.

Zachmurzyła się.

– Na co ich zgoda?

– Muszę mieć pewność, że nie zakłócę procesu leczenia.

– Dobrze. Mam nadzieję, że Ursula nie będzie wynajdywała przeszkód.

– Obawiasz się tego?

– Nie, ale ona lubi panować nad sytuacją. Nie mogę znieść myśli, że każe mamie mieć przede mną tajemnice. To nie ma nic wspólnego z leczeniem.

– Jakie tajemnice?

– Nie wiem – odparła. – W tym rzecz: nie mam żadnego dowodu, same przeczucia. Wiem, że wyrażam się mgliście. Noel twierdzi, że cierpię na paranoję.

– To nie paranoja. Zamartwiasz się o matkę. Opiekowałaś się nią przez długie lata. To byłoby nienaturalne, żebyś tak po prostu, nagle...

Rozluźniła się. Fala napięcia minęła. Rozchyliła usta w uśmiechu.

– Znowu zaczynam swoją śpiewkę, co? – zapytałem.

Parsknęła śmiechem.

– Jeszcze dzisiaj skontaktuję się z Ursulą.

– Dobrze.

Podeszła bliżej i podała mi numer do kliniki.

– Nie bój się. Damy sobie radę.

– Jestem tego pewna. Zadzwoń bezpośrednio do mojego pokoju – to jest numer telefonu, pod którym znalazłeś mnie wczoraj.

Wróciła do stolika, chwyciła torebkę i zawiesiła ją przed sobą na poziomie bioder. Typowy gest obronny.

– Coś jeszcze?

– Nie – odrzekła, patrząc na drzwi – na dzisiaj chyba wystarczy.

– Na dzisiaj – powtórzyłem z uśmiechem.

Skierowała się ku drzwiom.

Nacisnęła klamkę i rzekła:

– Jeszcze raz dziękuję.

Mówiła przez zaciśnięte gardło. Miała napięte ramiona. O wiele bardziej niż kiedy się zjawiała.

– Melisso, jesteś pewna, że nie przeoczyliśmy czegoś istotnego? Nie ma pośpiechu. Mamy mnóstwo czasu.

Spojrzała mi prosto w oczy. Powieki jej zatrzepotały jak skrzydła ptaka klatce. Ramiona jej opadły.

– To on – szepnęła – McCloskey. Wrócił do Los Angeles. Jest na wolności. Nie wiem, do czego jest zdolny!

Rozdział ósmy

Zaprowadziłem ją z powrotem do pokoju i posadziłem na krześle.

– Chciałam to powiedzieć na samym początku, ale...

– To diametralnie zmienia znaczenie twojego wyjazdu.

– Prawdę mówiąc, bałabym się nawet bez niego.

– Kiedy dowiedziałaś się, że wrócił?

– Miesiąc temu. W telewizji pokazano program o ofiarach więźniów zwalnianych warunkowo. W paru stanach uruchomiono telefony, pod którymi można dowiadywać się o zwalnianiu kryminalistów z więzień pod nadzór kuratora i ewentualnie składać apelację od tej decyzji. Dowiedziałam się, że wyszedł parę lat temu. Staralam się dowiedzieć czegoś więcej. Minęło sporo czasu, zanim otrzymałam odpowiedź z więzienia. Radzono mi, że bym

skontaktowała się z Wydziałem Zwolnień Warunkowych. Zmarnowałam mnóstwo czasu. W końcu kazano mi wypełnić oficjalny druk podania o informację. Udało mi się przez to przebrnąć i dostałam adres jego ostatniego miejsca pobytu. Tutaj, w Los Angeles! Tylko że nikt z personelu lokalnego Wydziału Zwolnień ostatnio go nie widział – McCloskey zniknął.

– Kiedy opuścił więzienie?

– Sześć lat temu. Dowiedziałam się tego od Jacoba. Trudno było cokolwiek z niego wyciągnąć, ale chciałam wiedzieć, chciałam zrozumieć.

Opierał się, ale nie dawałam za wygraną. W końcu, gdy skończyłam piętnaście lat, oświadczył, że przez cały czas miał McCloskeya na oku. Jakiś czas temu został zwolniony i opuścił granice stanu. – Zacisnęła małe piąstki

i
potrząsnęła

nimi.

–

Zbrodniarz

odsiedział

trzydzieści lat

z

dwudziestotrzyletniego wyroku i wyszedł za dobre sprawowanie. To śmierdząca sprawa. Nikogo nie obchodzi ofiara. Powinni go skazać na komorę gazową!

– Czy Jacob wiedział, dokąd wyjechał McCloskey?

– Do Nowego Meksyku. Potem do Arizony i Teksasu. Pracował z

Indianami w rezerwach. Według Jacoba McCloskey chciał przekonać

Wydział Zwolnień, że jego resocjalizacja została zakończona pomyślnie.

Prawdopodobnie Wydział dał się wywieść w pole. McCloskey został

zwolniony spod opieki kuratora i teraz może robić, co mu się żywnie

podoba. Człowiek z Wydziału Zwolnień, niejaki Bayliss, powiedział, że nic tu

nie może poradzić!

– Czy podejrzewał, że McCloskey może być groźny dla twojej mamy?

– Nie miał na to żadnych dowodów. Nie wiadomo jednak, czego się

spodziewać po takim przestępcy.

– Czy próbował się skontaktować z twoją matką?

– Nie, ale może to zrobić w każdej chwili! On jest nienormalny – ten

rodzaj szaleństwa nie mija bez śladu.

– To prawda.

– A więc stanowi realne zagrożenie, prawda?

Nie miałem prostej odpowiedzi na to pytanie.

– Rozumiem twoje obawy – powiedziałem, nie będąc zadowolony z takiej

odpowiedzi.

– Jakże mogłabym zostawić mamę? Może to jest znak – zbrodniarz

wrócił i nie powinnam wyjeżdżać. Tutaj też są dobre szkoły. Uniwersytet

Kalifornijski w Los Angeles i Uniwersytet Południowej Kalifornii gotowe są

mnie przyjąć. Co za różnica, gdzie się kończy studia?

Jakże różniła się teraz od tej osoby, z którą rozmawiałem parę minut

wcześniej.

– Z twoimi zdolnościami wszędzie możesz zdobyć dobre wykształcenie.

– Czy jest jakiś szczególny powód, że chcesz jechać na Harvard?

– Nie wiem... Prawdopodobnie chcę coś udowodnić samej sobie.

– Nic więcej?

– Noel też bardzo chce, żebym wyjechała. Poza tym, to najlepszy uniwersytet w kraju. Nawet nie sądziłam, że zostanę przyjęta. – Potrząsnęła głową. – Czasem sobie myślę, że jest łatwiej słabszym uczniom. Mniej mają rozterek.

– Każdy na twoim miejscu miałby kłopot z wyborem. I jeszcze ten McCloskey. Musisz uświadomić sobie gorzką prawdę: nie zdołasz ustrzec matki przed nim.

– Innymi słowy – rzekła gniewnie – powinnam dać sobie spokój?

– McCloskeyem powinien się zająć zawodowiec. Trzeba wy badać, dlaczego wrócił i co zamierza. Jeśli okaże się, że jest niebezpieczny, należy przedsięwziąć odpowiednie środki.

– Na przykład?

– Wzmocnienie ochrony osobistej. Czy twój dom jest dobrze strzeżony?

– Chyba tak. Jest system alarmowy, wysokie ogrodzenie. Po ulicy regularnie chodzą patrole policji. W San Labrador notuje się mało przestępstw, bo policja pracuje jak firma ochroniarska. Czy to nie wystarczy?

– Powiedziałas mamie o McCloskeyu?

– Oczywiście że nie! Nie chciałam, żeby znowu się źle poczuła.

– A pan Ramp?

– Nikt nie wie. Nie chcieli ze mną rozmawiać, więc i ja się nie śpieszę.

– **Może Noel?**

– **Tak, on wie – powiedziała zmieszana.**

– **Jak na to zareagował?**

– **Powiedział, żeby nie zawracać sobie głowy. No cóż, to nie jego matka.**

– **Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, czy wystarczą takie zabezpieczenia.**

– **Nie wiem. Są od tego specjaliści.**

– **Jak do nich dotrzeć?**

– **Chwileczkę – zastanowiłem się – może będę mógł ci pomóc.**

– **Znajomości w sądzie?**

– **Coś w tym rodzaju. Tymczasem zrobmy to, co zaplanowaliśmy.**

Pomówię z Gabneyami i zapytam się, czy nie widzą przeciwwskazań,

żebym zobaczył się z twoją matką. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli,

dam ci znać i zorganizujesz spotkanie w najbliższym czasie. Jeśli pojawią się

przeszkody, pomyślimy nad innym rozwiązaniem. W obu przypadkach

musimy wznowić nasze spotkania. Co ty na to?

– **Może jutro? O tej samej godzinie, jeśli znajdziesz czas.**

– **Doskonale.**

– **Dziękuję i przepraszam. Jestem w gorącej wodzie kąpana.**

– **Nic nie szkodzi – zapewniłem i po raz drugi odprowadziłem ją do drzwi.**

– **Dziękuję.**

– **Trzymaj się, Melisso.**

– **Nie bój się o mnie – odrzekła. Wyglądała jak uczeń, któremu zadano**

za dużo lekcji.

Kiedy wyszła, zastanowiłem się, czemu z początku pominęła milczeniem parę ważnych faktów: powtórne małżeństwo matki, swego chłopaka, śmierć Dutchy'ego, powrót McCloskeya. W końcu powiedziała to jakby mimochodem. Z zachowaniem sztucznego dystansu, który wydawał się rodzajem samoobrony.

Ze wszystkim musiała się uporać sama – ze stratą, ostatecznymi decyzjami, stopniową utratą panowania nad biegiem wydarzeń.

Samoobrona była w tym wypadku normalną reakcją.

Utrata kontroli musiała być dla niej najdotkliwszym ciosem. Poczucie władzy było nierozłącznym elementem wieloletniej opieki nad matką.

Przyzwyczała się, że jest przewodnikiem mamy.

Odegrała rolę swata. Wyszukała terapeutę.

Pokonały ją jej własne sukcesy: zepchnięta na ubocze przez terapeutkę, zmuszona dzielić się matką z jej nowym mężem.

Jeśli dodać do tego typowe napięcia i konflikty dojrzewającej dziewczyny, otrzymamy mieszankę wybuchową.

Któż faktycznie troszczył się o Melissę?

Kiedyś tę rolę spełniał Jacob Dutchy.

Chociaż prawie go nie znałem, wiadomość o jego śmierci poruszyła mnie.

Oddany sługa, zawsze gotów na każdy rozkaz. Posiadał wyjątkową... prezencję.

Dla Melissy oznaczało to ogromną stratę.

Jaki wpływ miało to na jej kontakty z mężczyznami? Na budowę

wzajemnego zaufania?

Jeśli jej stosunek do Dona Rampa i Noela Druckera mógł o czymś

świadczyć, sytuacja nie przedstawiała się dobrze.

A ludzie z Cambridge w Massachusetts, którzy żądali szybkiej decyzji,

potęgowali tylko jej rozterki.

Kto faktycznie obawiał się rozstania?

Jej lęki nie były całkowicie bezpodstawne.

Mikoksi z kwasem.

Dlaczegoż po prawie dwudziestu latach od ogłoszenia wyroku McCloskey

powrócił do Los Angeles? Trzynaście lat odosobnienia i sześć pod kontrolą

kuratora. Miał teraz pięćdziesiąt trzy lata. Może szukał miejsca, gdzie

mógłby w spokoju złożyć swoje kości? A może czas spędzony w San Quentin

zużył na pielęgnowaniu nienawiści i fantazji o krwawej zemście?

Ogarnęło mnie nagle zwątpienie. To samo poczucie utraty wiary we

własny kunszt lekarski, jakiego doświadczyłem dziewięć lat temu,

sprzeniewierzając się podstawowym regułom dla wyleczenia załęknionego

dziecka.

Poruszałem się jak bezdomny ślepiec.

Mimo to dziewięć lat temu wyzdrowiała.

Czary.

Ile jeszcze królików los ukrywał w swym magicznym cylindrze?

Automatyczna sekretarka w klinice Gabneyów podała numery pagerów

obu lekarzy. Ani słowa o pozostałym personelu. Pozostawiłem wiadomość

dla Ursuli Cunningham-Gabney, przedstawiając się jako terapeuta Melissy

Dickinson. Poprosilem o telefon. W ciągu następných godzin odebrałem parę telefonów, ale żadnego z Pasadeny.

Dziesięć po siódmej przybył Milo. Miał na sobie to samo ubranie, w którym widziałem go rano, pobrudzone teraz trawą na kolanach i z plamami potu pod pachami. Wyglądał na znużonego.

– No i co, trafiłeś do dolka?

Pokręcił głową. Wyciągnął z lodówki piwo i otworzył je.

– To nie dla mnie. Nie bawi mnie uganianie się po chaszczach za małą piłką.

Łatwo zgadnąć, że nie było to uganianie się, lecz mozolne przeszukiwania kępek wysokiej trawy.

Uśmiechnął się.

– Mój drogi, wysoka trawa rośnie tylko na przedmieściach duży chmiast.

– Pił piwo, przechylając głowę do tyłu. Gdy opróżnił butelkę, zapytał: – A teraz dokąd pójdziemy?

– Dokądkolwiek zechcesz.

– Znasz mnie, zawsze pożądałem wielkiego świata. Spójrz, nawet odpowiednio się ubrałem na tę okazję.

Wylądowaliśmy w taniej restauracji meksykańskiej na Pico, koło

Dwudziestej Alei, w owej gorszej części Santa Monica. Wdychaliśmy spaliny

z ulicy, siedząc przy piknikowym stole z blatem pociętym ostrzami

syczoryków. Zajadaliśmy parujące placki, nafaszerowane wieprzowiną i

marynowanymi warzywami, popijając z jednorazowych kubeczków

coca-colę classic z drobno pokruszonym lodem.

Zajęliśmy miejsce na popękany asfaltowym chodniku pomiędzy barem i kasą. W pobliżu wałęsała się grupa bezdomnych. Paru z nich obserwowało nas, jak odbieraliśmy jedzenie i szukaliśmy wolnych miejsc. Najwyraźniej mieli zamiar wyżebrać coś od nas. Milo trzymał ich na odległość, przypatrując się im wzrokiem policjanta.

Jedliśmy, rozglądając się na boki.

– Dla ciebie starczy, co?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wstał i skierował się w stronę kasy. Jedną rękę włożył do kieszeni. Wykorzystując okazję, zbliżył się do mnie człowiek w moim wieku, brudny, sama skóra i kości, ze zmierzwioną brodą.

Wykrzywił usta w przymilnym uśmiechu, kłapiąc przy tym bezzębnymi szczękami. Wymachiwał jedną ręką. Drugą, zastygłą w skurczu, trzymał przy ramieniu jak skrzydło ptaka.

Podąłem mu jednodolarowy banknot. Schwycił go ze zdumiewającą precyzją. Odszedł, zanim Milo powrócił z tekturowym pudełkiem pełnym paczuszek owiniętych żółtym papierem.

Milo widział wszystko. Zmarszczył się z niesmakiem.

– Po co to?

– To był człowiek upośledzony umysłowo – odparłem.

– Albo udawał.

– Jeśli nawet, jaka to różnica?

Z dezaprobatą pokręcił głową. Odwinął placek i ugryzł go. Przelknął i rzekł.

– Jeśli tak dalej pójdzie, te męty zaleją nas jak szarańcza.

Jeszcze trzy miesiące temu nie powiedziałby tak.

Spostrzegłem, że reszta włóczęgów obserwuje Milo z wyraźną niechęcią.

– Nie byłbym tego taki pewien – odrzekłem.

Wskazał palcem na pacuszki z jedzeniem:

– Częstuj się, to dla ciebie.

– Może potem – odparłem i wypilem colę, która straciła już bąbelki. Po

chwili zapytałem: – Gdzie byś szukał informacji o byłym więźniu?

– Jakich informacji?

– Jak się sprawował w więzieniu, co teraz porabia.

– Ten gość jest na zwolnieniu warunkowym?

– Nie. Teraz jest już wolny jak ptak.

– Prawdziwe wcielenie cnót, co?

– Trzeba by to ustalić.

– Jak długo jest na wolności?

– Około roku.

– Za co siedział?

– Napad, usiłowanie zabójstwa, planowanie morderstwa. Oplacił zbira,

żeby rozprawił się z pewną osobą.

– Oplacił zbira? – Wytarł utłuszczone wargi.

– Zapłacił za poważne uszkodzenie ciała.

– Chodzi o to, żeby się wywieźć, czy więzienie go zmieniło?

– A jeśli sprawa jest subtelniejsza?

– W jakim sensie?

– To ma związek z moim pacjentem.

– Więc jest ściśle tajna?

– Na tym etapie.

– To niewielki problem – odrzekł. – Powinno się, jeśli się jest glina, bo

zwykli śmiertelnicy tracą na to pół życia, pamiętać o związku

przyczynowo-skutkowym. Przeszłość jest najlepszym wyznacznikiem

przyszłości. Pierwszy krok to kartoteka delikwenta. Federalna i stanowa.

Trzeba pomówić z jakimś gliniarzem, który go znalazł przed rozprawą.

Następnie materiały prokuratorskie – orzeczenia biegłych, psychologów.

Krok trzeci to rozmowa z ludźmi z więzienia – określić dokładny czas

odsiadki. Potem pogawędka z bubkami, którzy siedzieli z nim w jednej celi.

Dla rozwiązania języków trzeba mieć na nich porządnego haka. Następnie

należy skontaktować się z jego byłym kuratorem. Kuratorzy zwykle

prowadzą jednocześnie parę spraw, a większość czasu zabiera im

przekładanie papierków na biurku. Ostatnim krokiem jest ustalenie listy

jego znajomych. Nic skomplikowanego, ale w ostatecznym wyniku na wiele

to się nie zda. Więc jeśli masz pacjenta, który się boi zemsty, powiedz mu,

żeby był ostrożny. Niech zakupi duży pistolet i zapozna się z instrukcją

obsługi, może też kupić dużego psa obronnego.

– Czy tropem, który opisałeś, mógłby pójść wynajęty adwokat?

Zmierzył mnie zdumionym wzrokiem.

– Zwyczajny adwokat? Nigdy. A jeśli nawet, to zajęłoby wieki. Udałoby się to

jednak prywatnemu detektywowi, pod warunkiem, że miałby znajomości w

policji.

– Jak na przykład były glina?

Skinął głową.

– Wśród detektywów jest wielu emerytów. Płaci im się za godzinę, a bogaty klient byłby niezłą gratką.

– Jesteś zainteresowany?

Odłożył placek.

– Co takiego?

– Mała prywatna konsultacja. Coś dla rozrywki. Czy możesz podjąć się takiej pracy w czasie zawieszenia?

– Jestem normalnym obywatelem, mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Czemu jednak miałbym się za to brać?

– To lepsze od uganiania się za pileczkami w brudnej trawie.

Uśmiechnął się i znowu zaczął jeść.

– Do diabła – mruknął. – Nawet nie wiedziałbym jakiego zażądać honorarium.

– Czy to znaczy, że zastanawiasz się nad propozycją?

– Tylko głośno myślę. Ten twój pacjent jest ofiarą?

– To córka ofiary. Ma osiemnaście lat. Leczyłem ją, kiedy była jeszcze dzieckiem. Dostała się na uniwersytet w innym stanie i ma wątpliwości, czy może tam pojechać.

– Bo opryszek wrócił na stare śmieci?

– Nie podejmuje decyzji z powodu jeszcze paru okoliczności, ale obecność tego bandyty uniemożliwia jakikolwiek ruch. Nie mogę zachęcić jej do wyjazdu, kiedy ten złoczyńca czai się gdzieś w pobliżu.

Pokiwał głową przeżuając.

– To bogata rodzina, dlatego wspomniałem o adwokacie. Gdybyś ty się tym zajął, miałbym pewność, że sprawy potoczą się odpowiednim torem.

– Daj spokój. – Podniósł kołnierzyk koszulki i przybrał tajemniczy wyraz twarzy. – Pan Milo Marlow albo pan Milo Columbo... który z nich tym razem wkroczy do akcji? A ty kim będziesz? Watsonem Nowej Fali? Dobra poinformuj tę miłą rodzinę, że jestem zainteresowany.

– Dzięki.

– Nie ma problemu – odrzekł i troskliwie obejrzał poplamione ubranie. – Nie dobry klimat na taki strój.

Zjedliśmy wszystko i wypiliśmy. W drodze do samochodu napotkaliśmy jeszcze jednego włóczęgę – grubasa o trudnej do zidentyfikowania rasie.

Uśmiechał się głupio, robiąc wygibasy jak paralityk. Milo zmierzył go wzrokiem, sięgnął do kieszeni i wyjął garść drobniaków. Rzucił nimi w żebraka i wytarł dłoń o spodnie.

Doktor Ursula Cunningham-Gabney zadzwoniła do mnie, kiedy nie było mnie w domu. Zostawiła numer telefonu, pod którym mogłem ją zastać wieczorem. Wykręciłem numer i usłyszałem niski, modulowany głos kobiety.

– Pani Cunningham-Gabney?

– Przy telefonie.

– Mówi doktor Delaware. Dziękuję za telefon.

– Czy przypadkiem Alex Delaware?

– Tak. Ten sam.

– Znam pana badania nad nyctophobią u dzieci. Wraz z mężem

umieściliśmy to w bibliografii dotyczącej nerwic i zaburzeń nerwowych,

które rok temu wydrukował „The American Journal of Psychiatry”

– Dziękuję. Ja również znam pani prace.

– Gdzie pan praktykuje? Ponieważ nie interesują nas dzieci, moglibyśmy przysyłać panu pacjentów.

– W zachodniej części miasta, ale nie pracuję jako terapeuta. Jestem teraz biegłym sądowym i doradcą.

– Rozumiem. Z wiadomości, jaką dostałam, wynika, że jednak był pan kiedyś terapeutą.

– Melissy Dickinson. Wiele lat temu byłem jej lekarzem. Teraz przyszła do mnie z pewnym problemem.

– Melissa to bardzo energiczna dziewczyna.

– Stoi przed ważną decyzją.

– Tak. Oczywiście. Cieszę się, że w końcu zwróciła się do kogoś o pomoc.

– Obawia się, jak matka zareaguje na wyjazd na Harvard.

– Matka jest z niej bardzo dumna i zachęca ją do wyjazdu.

– Tak. To wiem od Melissy. Jednakże ona jest wciąż niespokojna.

– Całkiem bez powodu.

– Więc jej matce nie grozi niebezpieczeństwo nawrotu choroby?

– Jeśli nawet, to w minimalnym stopniu. Jestem pewna, że Gina, pani

Ramp, pragnęłaby zostać sama. Melissa ze swoją skłonnością do poświęceń jest chyba odrobinę... uciążliwa.

– Czy to jest opinia matki?

– Nie, pani Ramp nigdy by tego nie powiedziała. Jednak to wyczuwam.

Mam nadzieję, że zachęci pan Melissę do szybkiego wyjazdu. Wiem, że nie ma wiele czasu. Harvard nie lubi długo czekać – znam to z autopsji. Należy się szybko decydować. W grę wchodzi wiele formalności.

Mając na myśli McCloskeya, zapytałem:

– Czy pani Ramp jakieś niepokoje mogłaby przenieść na Melissę?

– Przenieść? Chodzi panu o przemieszczenie emocjonalne? Nie, wręcz przeciwnie – jest pewne ryzyko przemieszczenie obaw Melissy na jej matkę.

Pani Ramp okazała się jednym z najtrudniejszych moich pacjentów cierpiących na agorafobię. Poczyniła jednak ogromne postępy i będzie tak nadal, jeśli stworzy się jej odpowiednie warunki.

– Chce pani powiedzieć, że Melissa stanowi przeszkodę w osiągnięciu postępów w terapii?

– Melissa ma najszczerze chęci. Rozumiem co czuje. Dorastając obok takiej matki, stała się przedwcześnie dorosła. Teraz jednak jej nadzwyczajna opieka przeszkadza matce.

– O jaką nadzwyczajną opiekę chodzi?

– Melissa przesadnie podkreśla własną obecność w trakcie ważnych momentów terapii.

– Nie rozumiem.

– Dobrze, wyjaśnię to. Jak pan wie, leczenie agorafobii odbywa się *in vivo* – w naturalnym otoczeniu pacjenta, gdzie narażony jest on na maksymalne natężenie lęków. Jej matka i ja przechadzamy się po okolicznych ulicach. To powolny lecz stabilny proces. Lęki są ściśle dozowane i znajdują się pod stałą kontrolą. Melissa ciągle jest w pobliżu i

przygląda się ze sceptyczną miną. Jest to śmieszne, ale daje całkowicie niepożądany efekt. Tak więc ustaliłam porządek dnia, żeby pokrywał się z rozkładem zajęć Melissy w szkole. Teraz ukończyła liceum i jest bardziej... narzucająca się.

– Czy kiedykolwiek pani z nią o tym rozmawiała?

– Próbowałam, ale Melissa nie wykazała najmniejszego zainteresowania rozmową ze mną.

– Zabawne, ona widzi to akurat odwrotnie.

– Czyżby?

– Twierdzi, że kiedy pragnie zdobyć od pani informacje, jest notorycznie zbywana.

– Tak, to jest typowa reakcja neurotyczna. Rozumiem jej sytuację. Ma silne poczucie zagrożenia i odczuwa zazdrość. Nie jest jej z tym łatwo, lecz ja muszę całą uwagę poświęcać pacjentowi. Melissa mogłaby znaleźć pomoc u pana – albo u kogoś innego, jeśli pan nie jest skłonny uporządkować jej spraw osobistych.

– Ona chciałaby, żebym pomówił z jej matką. Aby ostatecznie wyjaśnić sprawę wyjazdu na Harvard. Czy się pani zgadza? Nie chciałbym przeszkadzać w planach terapii.

– O co zamierza pan zapytać panią Ramp?

– O jej odczucia związane z wyjazdem Melissy. Zgodnie z tym, co pani powiedziała, pytanie to nie budzi żadnych wątpliwości. Po spotkaniu w cztery oczy jasno ocenię sytuację, a moje spostrzeżenia przekażę Melissie.

– I skłoni ją pan do podjęcia właściwej decyzji?

- Właśnie.**
- Nie widzę przeszkód. Pod warunkiem, że ograniczy się pan do owego tematu.**
- Czy powinienem coś szczególnie omijać?**
- Przy tym stanie rzeczy proszę raczej mówić jedynie o karierze akademickiej Melissy. Tak będzie prościej.**
- Nie sędzę, żeby cokolwiek było w tej sprawie proste.**
- To prawda – głos jej lekko zadrżał. – Czy jednak nie na tym polega urok psychologii?**

Zadzwońem do Melissy o dziewiątej. Słuchawkę podniosła zaraz po pierwszym dzwonku.

- Skontaktowałem się z odpowiednim człowiekiem – jest policjantem na urlopie i ma trochę wolnego czasu. Jeśli wciąż chcesz przeświecić McCloskeya, da się to zrobić.**

- Chcę – odparła. – Zatrudniam go od zaraz.**
- To może zabrać trochę czasu i sporo pieniędzy.**
- To już moja rzecz.**
- Zamierzasz płacić mu z własnej kieszeni?**

- Pewnie.**
- Uzbiera się tego niemała sumka.**
- Mam własne pieniądze. Zapłacę tobie, więc czemu nie miałabym...**
- Melisso...**

- Nie ma sprawy. Potrafię kalkulować. Mam ponad osiemnaście lat, a to znaczy, że jestem do tego uprawniona. Jeśli mam odejść i rozpocząć**

niezależne życie, czemu nie zacząć od zaraz?

Gdy wahalem się, co odrzec, dodała:

– Nie ma innego wyjścia. Nie chcę mówić mamie, że on wrócił.

– A Don Ramp?

– Też nie chcę go w to mieszać. To nie jego sprawa.

– W porządku. Jutro omówimy szczegóły. Rozmawiałem z Ursulą i zgodziła się na spotkanie z twoją mamą.

– Dobrze. Już mówiłam z matką i jest gotowa zobaczyć się z tobą jutro.

Czyż to nie cudowne?

– W porządku. Będę jutro w południe.

– Dzięki. Zorganizowałam dla nas lunch na mieście.

– To nie jest konieczne.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

– Wiesz, jak tutaj trafić?

– Wiem, jak dojechać do San Labradoru.

Podawała mi dane orientacyjne. Zapisalem je i rzekłem:

– No to do jutra.

– Doktorze Delaware...

– Słucham.

Matka się trochę obawia ciebie, chociaż mówiłam, jaki jesteś miły. Boi

się, co o niej myślisz w związku z tym, że tak cię potraktowała w przeszłości.

– Powiedz jej, że rozumiem ją, a okrutnym zwierzem staję się jedynie przy pełni księżyca.

Nie zaśmiała się.

– Nie będę ani trochę szorstki. Możesz mi zaufać.

– Mam nadzieję.

– Poszukujesz teraz własnej osobowości, widząc, jak usamodzielnia się twoja matka. Wiem, że to trudne. Sporo wysiłku kosztował cię już sam telefon do mnie. Nie bój się, damy sobie radę.

– Nielatwo jest tak bardzo kochać...

Rozdział dziewiąty

Cztery tunele, ozdobione misterną mozaiką, dawały początek autostradzie łączącej Los Angeles i Pasadenę. Obecnie żadna rada miejska nie zaakceptowałaby takiego zbytku, lecz w dawnych czasach pierwsza w mieście bezkolizyjna magistrala odurzała ludzi jak ówczesna swoboda obyczajów.

Teraz trasa szybkiego ruchu była brudnym, pozbawionym uroku asfaltowym szlakiem. Po obu stronach trzypasmowej jezdni stały senne klony i domki ciągnące się od Victorian Relic aż po Tabacco Road.

Bezsensownie rozstawione tablice informacyjne pojawiały się i znikaly bez ostrzeżenia. Betonowe konstrukcje wiaduktów pobrązowiały ze starości i rzucały długie ponure cienie. Za każdym razem, kiedy jechałem tamtędy, nachodziły mnie myśli o Nathanaelu Wescie i Jamesie M. Cainie – bohaterach zapewne zmyślonej, mrocznej opowieści z południowej Kalifornii.

Myślałem również o Las Laboradoras i o tym, w jaki sposób dzielnice klasy średniej Pasadeny, Sierra Madre i San Labrador łączy się w

architektoniczny trójkąt na drugim końcu autostrady.

Las Labradoras. Farma Dziewcząt.

Napotkałem je na wiele lat przed poznaniem Melissy. Patrząc w przeszłość, podobieństwo tych doświadczeń było uderzające. Czemu nie zauważyłem tego przedtem?

Były to kobiety, które między sobą nazywały się „dziewczętami”.

Dwadzieścia parę dawnych członkiń żeńskich korporacji studenckich.

Wyszły za mąż bogato, w młodym wieku. Dzieci wysłały do szkół, a same szukały sposobów wypełnienia wolnego czasu, szukały sensu istnienia.

Dobrze czuły się w grupie, więc połączyły się w rodzaj stowarzyszenia – elitarnego klubu, wskrzeszając beztroski okres studiów. Ich kwaterą główną

stał się domek wypoczynkowy należący do „Cathcart Hotel” – gniazdko

warte dwieście dolarów za dobę, łącznie z oddzielnym pomieszczeniem

kuchennym, otrzymały za darmo, ponieważ mąż jednej z nich miał udziały w

tym przedsiębiorstwie, a mąż drugiej okazał się właścicielem banku, w

którym „Cathcart Hotel” zaciągnął pożyczkę inwestycyjną. Po krótkiej

fascynacji działalnością polityczną, w czasie okręgowych wyborów

„dziewczęta” rozglądały się za czymś nowym, czemu mogłyby oddać się bez

reszty i tym samym usprawiedliwić własny, odrobinę bezsensowny, żywot.

Praca w szpitalu wydała się ponętną alternatywą, więc całą swą

niewykorzystaną energię skierowały na odremontowanie i prowadzenie

małego sklepiku z podarkami w Klinice Fundacji Medycznej Cathcart.

Syn jednej z członkiń klubu zapadł na rzadką i dotkliwą chorobę.

Przeniesiono go do Zachodniej Kliniki Pediatrycznej, jedyne miejsce w

Los Angeles, gdzie leczono tego typu schorzenie. Dziecko przeżyło, ale chorobę udało się jedynie zaleczyć, a „dziewczęta” postanowiły właśnie tutaj rozpocząć swoją działalność.

Mijał właśnie trzeci rok od czasu, kiedy rozpocząłem program psychologiczno-rehabilitacyjny dla szczególnie chorych dzieci i ich rodzin.

Mój przełożony wezwał mnie do swojego gabinetu i poprosił, żebym znalazł jakiś kącik „dziewczętom”, tłumacząc się problemami budżetowymi i podkreślając potrzebę „włączania się w pozytywne działania mieszkańców okręgu”.

W pewien majowy wtorek włożyłem trzyczęściowy garnitur i udałem się do „Cathcart Hotel”. Jedząc krewetki i popijając lurowatą kawę, zapoznałem się z „dziewczętami”.

Wszystkie miały około trzydziestu pięciu lat, były jednakowo inteligentne i atrakcyjne, wielce czarujące. Przekonane o powinnościach ludzi szlachetnie urodzonych i bogatych względem potrzebujących i biednych.

Studia kończyły w latach sześćdziesiątych. Cztery lata pobytu na Uniwersytecie Południowej Kalifornii czy gdzieś indziej zrobiły swoje. Były przekonane, że ich mężowie, dzieci, styl ich życia – to wróg, z którym należy walczyć. Radykalne poglądy buzowały w nich niby wielki płomień w kotłowni parowca na Missisipi.

Pojechałem moim dodge’em dartem, który ledwo się trzymał ze starości.

Pomimo garnituru i schludnej fryzury, zapewne byłem dla nich

uosobieniem Poważnego Niebezpieczeństwa. Przyjęły mnie jednak

nadzwyczaj ciepło, wysłuchując z uwagą mojej przemowy po zakończeniu

lunchu. Nie odrywały ode mnie oczu, gdy opowiadałem o chorych dzieciach, nieuleczalnych chorobach i przebiegu uciążliwych zabiegów operacyjnych. Kiedy skończyłem, wszystkie miały wilgotne oczy, przekonane jak nigdy o potrzebie niesienia natychmiastowej pomocy.

Zdecydowałem, że najlepiej przydadzą się jako opiekunki rodzin chorych dzieci, umożliwiając rodzicom nieskrępowany dostęp do ich pociech. W szpitalu obowiązywały wciąż uaktualniane szczegółowe przepisy dotyczące kontaktów z chorymi. „Dziewczęta” miały pracować dwie godziny tygodniowo, ubrane w fartuchy uszyte przez siebie. Miały się uśmiechać i roztaczać opiekę nad smutnymi odwiedzającymi. To zajęcie, według mojego przełożonego, powinno zaspokoić ich filantropijne skłonności bez wnikania w prawdziwą ciężką pracę.

Ustaliłem program kursu. Wykłady, listy lektur, wycieczki do szpitala, pisanie raportów i ćwiczenia praktyczne.

Były pierwszorzędnymi studentkami. Skrupulatnie zapisywały każdą informację, czyniły mądre uwagi. Zapytywały pół żartem, czy zamierzam je również przebadać.

Po upływie trzech tygodni zakończyły kurs. Kierownik kadr wręczył im dyplomy przyozdobione różowymi wstążeczkami. Na tydzień przed ustaleniem imiennego planu pracy otrzymałem list, ręcznie pisany na śnieżnobiałym papierze.

„Las Laboradoras, Domek B, Catfacart Pasadena, Kalifornia 91125

Drogi, kochany doktorze Delaware! W imieniu moich Sióstr i swoim pragnę wyrazić podziękowanie za uwagę i poświęcenie, jakie okazał nam

pan w ciągu ostatnich tygodni. Wszystkie „dziewczeta” są zgodne co do tego, że nauczyły się wiele i że było to nieporównywalne z żadnym innym doświadczeniem. Niestety, nie będziemy mogły uczestniczyć w programie «Witamy w naszym. szpitalu» z powodu pewnych ważnych przeszkód.

Mamy nadzieję, że związane z tym kłopoty wynagrodzi niewielki datek na prezenty świąteczne dla pacjentów Zachodniej Kliniki Pediatrycznej.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia noworoczne i szczerze podziękowania za wspaniałą pracę.

Z wyrazami szacunku,

Nancy Brown, Przewodnicząca, Las Laboradoras”

W książce telefonicznej znalazłem domowy numer telefonu pani Brown i zadzwoniłem do niej następnego dnia o ósmej rano.

– Och, dzień dobry! – zawołała na powitanie. – Co słyhać?

– Po staremu. Właśnie dostałem twój list.

– Tak. Bardzo mi przykro. Wiem, że tak się nie powinno robić, ale byłyśmy do tego zmuszone.

– Napisałaś o jakichś ważnych przeszkodach. Może mogę w czymś pomóc?

– Nie. Niestety, ale... To nie ma nic wspólnego z tym kursem. To chodzi o... otoczenie.

– Moje otoczenie?

– O warunki w szpitalu. Większość „dziewcząt” nie miała pojęcia, że to tak daleko.

– Za daleko czy za niebezpiecznie?

– Za daleko i za niebezpiecznie. Większość naszych mężów również uważa, że to za daleko.

– Nigdy nie mieliśmy tego typu problemów. Będziecie pracowały w ciągu dnia i parkowały na dobrze strzeżonym parkingu.

Milczenie.

– Pacjentom nigdy nie przydarzyło się nic złego – zapewnilem.

– No... wiesz, jak to jest.

– Chyba tak – odrzekłem. – Dobra. Trzymaj się ciepło.

– Wiem, że to brzmi niepoważnie. Mówiąc szczerze, myślę, że nasza reakcja jest przesadzona – próbowałam to im wyperswadować. Lecz nasz statut mówi, że jeśli uczestniczymy w czymś, to wszystkie razem.

Przeprowadziliśmy głosowanie i tak wyszło. Bardzo przepraszam za kłopot.

Mam nadzieję, że szpital przyjmie nasz podarunek.

– Co do tego nie mam wątpliwości.

– Do widzenia. Miłego dnia.

Liścik na drogim papierze, pieniądze na odczepnego, rozmowy na odczepnego. Taki jest styl San Labrador.

Rozmyślałem o tym, jadąc przez Arroyo Seco, a następnie przez California Boulevard i Cal Tech. Minąłem parę bezkolizyjnych pętli, pędząc przez opustoszałe ulice peryferii. Przy Cathcart Boulevard skręciłem na szosę wschodnią w stronę San Labrador.

Święty Farmer.

Taka kanonizacja nie spodobałaby się Watykanowi.

Historia tego miejsca sięgała czasów, kiedy okolica zwolniona była

ustawowo od płacenia podatków.

Niegdyś tereny te należały do rodziny H. Farmera Cathcarta, posiadającej prywatną kolej i kopalnię na wschodzie. Posiadłość obejmowała również San Labrador, który prawa miejskie otrzymał pięćdziesiąt lat temu.

Cathcart przybył do Południowej Kalifornii na przełomie wieków, a przyciągnęły go możliwości szybkiego pomnożenia fortuny. Polubił to miejsce i zaczął wykupywać domy, linie kolejowe, hotele, gaje pomarańczowe i wielkie obszary ziemskie na wschodnich krańcach Los Angeles. Zakupił również olbrzymią działkę u podnóża góry San Gabriel. Po wybudowaniu tam przepysznego pałacu, otoczył go przepięknymi ogrodami i nazwał San Labrador.

Kiedy jego posiadłości sięgały już prawie Wielkiego Kanionu, zabrakło mu pieniędzy. Zatrzymał parę hektarów ziemi, a resztę począł wyprzedawać. Parcelował ogrody i sprzedawał je różnym ziemskim potentatom. Działki miały nie mniej niż hektar, a sięgały czterech. Resztę majątku wydzierżawił i żył odtąd z procentu, co pozwoliło mu napawać się pięknem natury i otoczyć się zbytkami cywilizacji. Postarał się również o prawne potwierdzenie specjalnych praw i zarządzeń, które miały obowiązywać w San Labrador. Nie zdążył wydać wiele ze swojego majątku – zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku na gripę. Zgodnie z ostatnią wolą wszystkie swoje dobra przekazał miastu San Labrador, które miało powstać w ciągu dwóch lat. Okoliczni właściciele ziemscy zajęli się realizacją testamentu. Wille i ziemie należące do Cathcarta stały się własnością władz stanowych, a

ogrody przeszły w ręce prywatne.

Po wojnie ziemię tę podzielono na mniejsze działki i sprzedano je wzbogaconym mieszkańcom. Jednakże pozostały zasady: żadnych „kolorowych”, Azjatów, Żydów czy Meksykanów. Żadnych mieszanych par. Zakaz sprzedaży napojów alkoholowych. Żadnych klubów nocnych, teatrów czy „miejsc rozrywkowych”. Centrum handlowe ograniczało się do ośmiu przecznic Cathcart Boulevard. Tylko dwa supersamy. Architektura nie mogła odbiegać stylem od okresu Hiszpańskiej Restauracji, a plany nowych budynków miała zatwierdzać konserwatywna rada miejska.

Władzom stanowym i federalnym nie podobały się rasistowskie zasady, lecz jakoś uciszono niezadowolonych i San Labrador pozostał „biały” jak lilia. Jego oryginalne prawa oparły się naporowi czasu i sporom wewnętrznym. Może dlatego, że miały niepodważalne podstawy prawne. A może dlatego, że wielu prawników i dwóch prokuratorów okręgowych, którzy mieszkali w San Labrador, maczało w tym palce.

Tak czy inaczej, wewnętrzne regulacje prawne miasta pozostały nienaruszone. Jechałem wzdłuż Cathcart i wydawało się, że nic się nie zmieniło od czasu, kiedy byłem tu ostatni raz. Jak dawno temu? Chyba trzy lata. Wystawa Turnera w muzeum miejskim. Spacer do biblioteki i po okolicach. Razem z Robin...

Ruch na ulicach był niewielki, ale samochody poruszały się leniwie.

Jezdnia była przedzielona szerokim pasem zieleni. Po południowej stronie ciągnęły się sklepy, usytuowane w pawilonach handlowych w stylu Hiszpańskiej Restauracji. Budynki zdawały się malutkie w porównaniu z

chińskimi drzewkami pistacjowymi o złotych lodygach, które H. Farmer Cathcart kazał zasadzić wiele lat temu. Gabinety lekarskie, dentystyczne... mnóstwo ortodontów. Sklepy z odzieżą damską i męską w stylu lat pięćdziesiątych. Zatręśnienie pralni chemicznych, kwiaciarni, pracowni dekoratorów wnętrz, banków i agencji maklerskich. Wrażenie robiły trzy biura sprzedaży i najmu nieruchomości, które zajmowały całe dwie przecznice. Wiele przedstawicielstw handlowych znanych przedsiębiorstw. Wywieszki i tablice w stylu wiktoriańskim. Brak miejsca, gdzie można byłoby coś zjeść, napić się, odpocząć. Dobrze oznakowana trasa turystyczna w kierunku muzeum.

Metys, ubrany w jednolity niebieski uniform, pchał niegdysiejsze urządzenie do sprzątania chodników. Przechadzało się paru starszych ludzi. Oprócz tego ulice świeciły pustkami.

Wokoło wielki świat. Każdy szczegół doprowadzony do perfekcji. Z wyjątkiem nieba, jakby posypanego popiołem. Ponieważ konta bankowe i znajomości nie mogą zapewnić dobrego położenia geograficznego, okoliczne góry tonęły w ciemnych chmurach. Wiatry znad oceanu przyganiały tu smog, który zalegał w dolinach. Z tego powodu powietrze w San Labrador było bardzo zanieczyszczone.

Zgodnie ze wskazówkami Melissy minąłem sześć przecznic za centrum handlowym, skręciłem w pierwszą ulicę w lewo, przejeżdżając przez przerwę w zielonym pasie, i dotarłem do Cotswold Drive. Następnie jakiś kilometr jechałem pod górę krętą drogą wysadzaną drzewami w kształcie wysokich stożków. Zieleń zapewniała przyjemny, chłodny cień. Wszędzie

panowała cisza, jakby po wybuchu nuklearnym. Odczuwalny w całym Los Angeles brak ludzi tutaj był wyjątkowo dotkliwy.

Przede wszystkim z powodu braku samochodów. Nie było ani jednego auta na poboczach. Za to na każdym miejscu zakazy parkowania i tablice z cennikiem mandatów dla nieostrożnych kierowców. Po obu stronach ulicy na wzniesieniach porośniętych przystrzyżoną trawą stały wielkie domy kryte czerwoną dachówką. Dachy wznosiły się coraz wyżej w miarę posuwania się w górę wzgórza.

Na samym szczycie droga rozwidlała się jak języczek węża: Essex Ridge na zachód, a Sussex Knoll na wschód. Nie było stąd widać żadnego budynku – jedynie euforbie i różne odmiany jałowca, na skraju dębowych zagajników.

Zmniejszyłem prędkość i posuwałem się wolno, aż ujrzałem ręcznie rzeźbioną sosnową bramę okutą solidnymi nitami, pokrytymi patyną. Była to taka twarda sosna, z której budowane są świątynie buddyjskie albo bary w ekskluzywnych restauracjach. Wrota osadzone były na żelaznych słupach. Po obu stronach ciągnął się trzy i półmetrowy żywoplot. Cyfra „1” znajdowała się na lewym, a „0” na prawym skrzydle bramy. Na lewo od „1” był osłonięty przed śniegiem i deszczem domofon.

Zatrzymałem się, wysunąłem rękę za okno i nacisnąłem przycisk.

Usłyszałem głos Melissy.

– Delaware?

– Witaj, Melisso.

– Chwileczkę.

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, po czym wrota wolno otworzyły się do wewnątrz. Wjechałem na stromą, kamienną alejkę, która musiała być przed chwilą spryskana, ponieważ powietrze było jeszcze pełne drobinek wody.

Minąłem piętnastometrowe, niezwykle równo zasadzone cedry, które wydzielają intensywny słodkawy zapach, i duży dom dla służby, który mógłby pomieścić parę rodzin z klasy średniej. Następnie pojawił się drugi rząd drzew – zagajnik sięgających nieba sosen monterey. Ciągnęły się one przez parę chwil, żeby ustąpić miejsca swoim mniejszym kuzynom – powyginanym cyprysom. Na klombach pełno było purpurowych rododendronów oraz białych i różowych kamelii.

Panowała niezmacona niczym cisza. Pomyślałem o Ginie Dickinson, która gdzieś tutaj wiezie samotny żywot. Walczy ze swoją chorobą i odnosi sukcesy.

W końcu drzewa pozostały w tyle i moim oczom ukazał się trawnik wielkości stadionu, z tak świeżym rajgrasem, jakby posianym tydzień temu. Na jego skrajach rosły begonie i jaśmin. Z prawej strony, pośród cyprysów, dostrzegłem jakiś ruch, błysk metalu. Dwóch, nie, trzech mężczyzn odzianych w kombinezony koloru khaki. Byli zbyt daleko, żebym mógł rozpoznać rysy twarzy. Czyżby synowie Hernandeza?

Ogrodnicy ścinali gałęzie sekatorami. Tablica z zakazem używania broni pneumatycznej i narzędzi mechanicznych. Następna restrykcyjna regulacja prawna miasta czy prawo wprowadzone przez samego właściciela?

Alejka kończyła się na podjeździe w kształcie idealnego półkola, otoczonego palmami daktylowymi. Pomiedzy sękatymi pniami palm

widniały szerokie schody z kamiennymi balustradami. Schody prowadziły do domu o barwie brzoskwini, który posiadał trzy kondygnacje i był przeogromny.

Ta

monumentalna

budowla

zaprojektowana

została

przez

utalentowanego architekta. Subtelnie modelowane narożniki, elewacje,

bogate ozdoby. Wysokie łukowate okna mieniły się witrażami. Balkony,

werandy, okapy, rynny i wykusze okien wykonane z wapienia w kolorze

kawy. Kolumnada z piaskowca. Dachówki ułożone w mozaikę. Doniczki ze

srebrnikiem o szarych liściach, chociaż ustawione niesymetrycznie,

przyciągały wzrok trudną do opisaną wewnętrzną harmonią.

Jednak cała budowla – rodzaj pustelni – była przygniatająca i smutna.

Niby opustoszałe muzeum. Dobre miejsce na wycieczkę, lecz mieszkając tu

na stałe, trzeba mieć dużą odporność psychiczną.

Zatrzymałem samochód i wysiadłem. Szczęk sekatorów przeplatał się ze

śpiewem ptaków i szumem drzew. Ruszyłem schodami w górę. Nie

potrafiłem sobie wyobrazić, jak mógłbym tu mieszkać jako małe dziecko.

Główne wejście było tak szerokie, że zmieściłaby się w nich ciężarówka

dostawcza: podwójne drzwi z polerowanego dębu okute pokrytymi patyną

żelaznymi ćwiekami. Każde ze skrzydeł składało się z sześciu grubych płyt, a

na nich wyrzeźbione były sceny z życia wieśniaków w stylu szkoły Chaucera.

Przez chwilę przyglądałem im się, a potem nacisnąłem guzik dzwonka.

Drzwi otworzyły się i ujrzałem Melissę. Ubrana była w białą, poszerzaną u dołu sukienkę, obcisłe niebieskie dżinsy i bielutkie tenisówki. Laleczka w domu zbyt dużym dla niej.

– Jest tu trochę miejsca, prawda?

– Piękna budowla.

Uśmiechnęła się z ulgą.

– Projekt wykonał mój ojciec. Był architektem.

Jedyna informacja o ojcu, jaką otrzymałem od niej w ciągu dziewięciu lat. Ciekawe, czego się jeszcze dowiem w czasie tej wizyty. Lekko wzięła mnie pod ramię i wprowadziła do środka.

– Chodź, oprowadzę cię.

Zaraz za drzwiami ujrzałem hol z ornamentem, który zwykle umieszczany jest na gotyckich wieżach. Z tyłu wijące się, zielone marmurowe schody. Nad schodami znajdowały się niezliczone, wielkie, milczące galerie, których przeznaczenia nie sposób było się domyślić.

Katedralne, kasetonowe sufity, boazerie o lustrzanym połysku, gobeliny, arras, kryształowe żyrandole, orientalne dywany na podłogach z ręcznie malowanymi płytkami i parkietem z francuskiego orzecha, obramowanych marmurową terakotą. Taki przepych i blichtr na każdym kroku, że po jakimś czasie poczułem przesyty.

Już kiedyś miałem to uczucie. Dobre dwadzieścia lat temu, kiedy jako

licealista wagonami drugiej klasy podróżowałem z plecakiem po Europie,

wydając dziennie cztery dolary. Odwiedziłem wtedy Watykan. Podziwiałem z szeroko otwartymi oczyma inkrustowane złotem ściany, skarbcę, gdzie przechowywano dzieła sztuki na wieczną chwałę Jednego Boga.

Przystawałem co chwila i przyglądałem się turystom i włoskim rolnikom z południa, którzy również nie potrafili ukryć podziwu. Mieszkańcy wiosek nigdy nie opuszczali komnat bez wrzucenia grosza do puszek na jałmużnę, które ustawione były w pobliżu wszystkich drzwi...

Melissa opowiadała i komentowała, niby wynajęty przewodnik w muzeum. Znaleźliśmy się w pokoju wypełnionym książkami. Miał on pięć ścian, ale nie było w nim ani jednego okna. Wskazała na obraz powieszony nad kominkiem, oświetlony oddzielnym reflektorem.

– A to jest Goya, Książę Montero na koniu. Ojciec kupił go w Hiszpanii wówczas, kiedy ceny były o wiele niższe niż teraz. Nie zależało mu na niczym szczególnie modnym, a portretów nie ceniono wysoko. Teraz domy aukcyjne bez przerwy ślą do nas listy. Ojciec miał nosa, żeby pojechać do Anglii i przywieźć stamtąd kolekcję rycin z okresu prerafaelowskiego, które wówczas według powszechnej opinii uchodziły za pretensjonalne. Również szkło od Tiffaniego w latach pięćdziesiątych znawcy oceniali wyjątkowo nisko, uważając je za zbyt frywolne.

– Znasz się na tym – stwierdziłem.

Zaczerwieniła się.

– Nauczono mnie.

– Jacob?

Pokiwała głową i odwróciła się.

– Myślę, że wystarczy na dzisiaj.

Poszła do drzwi.

A sama interesujesz się sztuką?

– Niewiele wiem o sztuce, na pewno nie tyle co ojciec i Jacob. Po prostu lubię rzeczy piękne. Pod warunkiem, że nikt przez nie nie cierpi.

– Jak to?

Zmarszczyła czoło. Opuściliśmy pokój wypełniony książkami i minęliśmy wielkie pomieszczenia z ręcznie malowanym belkowanym sufitem.

Przeszliśmy przez wysokie oszklone drzwi. Zobaczyłem trawniki, drzewa i kwiaty, brukowane alejki, rzeźby, basen do kąpielii, wypełniony ametystową wodą, miejsce do opalania i ciemnozielony kort tenisowy, otoczony siatką, po której pięło się dzikie wino. Z oddali dochodziły nas odgłosy odbijanej piłki.

Jakieś sto metrów na lewo od kortu znajdował się długi, niski budynek.

Miał on dziesięć albo więcej drzwi. Niektóre z nich były uchylone. Na wybrukowanym kostką placu stały antyczne automobile z długimi maskami. Jakiś człowiek w szarym kombinezonie kawałkiem miękkiej skóry energicznie polerował przednią szybę niezwykłego auta. Po kształcie rury wydechowej odgadłem, że to był duesenberg, ale dla pewności zapytałem Melisę.

– Tak, masz rację – odparła, wpatrzona gdzieś daleko przed siebie.

Przeprowadziła mnie pod wiatą, gdzie stały rozmaite dzieła sztuki.

Doszliśmy wreszcie do pałacu.

– Czasem coś, co jest takie piękne i bez skazy, może się potem okazać

przekleństwem.

– Myślisz o McCloskeyu?

Włożyła ręce do kieszeni dżinsów i skinęła głową.

– Dużo o tym myślałam. Czemu on wrócił? Czego chce?

– Może niczego. Może to nic nie znaczy. Zbada to wszystko mój przyjaciel.

– Mam nadzieję. Kiedy może zacząć?

– Skontaktuję się z nim jak najszybciej. Nazywa się Milo Sturgis.

– Dobre nazwisko. Budzi zaufanie.

– Bo i on sam jest człowiekiem solidnym.

Weszliśmy do domu. Wielka, otyła kobieta w białym stroju polerowała

blat stołu. W jednej ręce trzymała zmiotkę z ptasich piór, w drugiej szmatkę.

Obok jej kolan stała otwarta puszka z pastą. Lekko odwróciła głowę i nasze

spojrzenia spotkały się. Ta byk Madeleine, posiwiata i pomarszczona, ale

wciąż dobrze trzymająca się. Z wyrazu jej twarzy odgadłem, że mnie

rozpoznała, ale bez słowa powróciła do przerwanej pracy.

Weszliśmy do głównego holu. Kiedy Melissa dotknęła już poręczy

zielonkawych schodów, zapytałem:.

– A wracając do McCloskeya... Jak oceniasz własne bezpieczeństwo?

– Własne bezpieczeństwo? – Zatrzymała się z nogą na pierwszym

stopniu. – Czemu o to pytasz?

– Wspomniałaś o pięknie, które przemienia się w przekleństwo. Czy

miałaś na myśli własną urodę?

– Własną urodę? – zaśmiała się nienaturalnie, za szybko, za głośno. –

**Proszę za mną, doktorze, na górę. Pokażę ci prawdziwie zjawiskową
piękność...**

Rozdział dziesiąty

**Na górze znajdowała się sześciometrowa rozeta wykonana z czarnego
marmuru**

obramowana

złotymi

promieniami

słońca.

Francuskie

małomiasteczkowe meble na krzywych nóżkach, ustawione wzdłuż ścian

korytarzy, były wprost nieprzyzwoicie bogato inkrustowane innymi

gatunkami drewna. Renesansowe malowidła – cherubini, harfy, religijna

ekstaza na obliczach – i tapeta w kolorze starego porto. W holu śnieżnobiałe

zasłony z falbanami. Dwie kobiety w bieli odkurzały dywany. Korytarz po

drugiej stronie był zaciemniony i pusty. Bardziej przypominał hotel niż

muzeum. Smutna, ciężka atmosfera uzdrowiska po zakończeniu sezonu.

Melissa skręciła w bok. Minęliśmy pięć białych drzwi z czarnymi i

złotymi klamkami o kształtach fantazyjnych roślin.

Przystanęliśmy przy szóstych drzwiach. Melissa zapukała.

– Proszę – usłyszeliśmy głos z wewnątrz.

Melissa otworzyła drzwi.

Przygotowany na kolejną dozę przepychu znalazłem się w małym,

zwykłym pokoiku. Pomalowany na szaro, oświetlony był pojedynczym

mlecznobiałym żyrandolem.

Białe drzwi zajmowały czwartą część ściany. Pozostałe ściany były nagie, jeśli nie liczyć jednej jedynej litografii, przedstawiającej matkę z dzieckiem, której autorką musiała być Cassat. Obrazek wisiał nad różową, z szarymi frędzelkami, niewielką kanapą. Sosnowy stolik do kawy i dwa sosnowe krzesła tworzyły miejsce do konwersacji. Na stoliku lśniła chińska porcelana. Na kanapie siedziała kobieta.

– Dzień dobry, doktorze Delaware – rzekła wstając. – Jestem Gina Ramp.

Miły głos.

Podeszła bliżej. Poruszała się z wdziękiem i zarazem jakoś niezgrabnie.

Głowę miała nienaturalnie przekrzywioną, jakby pragnęła ustrzec się przed spodziewanym uderzeniem.

– Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, pani Ramp.

Podawała mi rękę.

Wysoka – co najmniej o dwadzieścia centymetrów wyższa od córki –

wciąż miała figurę modelki. Ubrana była w sukienkę z delikatnej szarej wełny, sięgającą kolan, z długimi rękawami. Bez dekoltu z dużymi, bocznymi kieszeniami. Na nogach miała sandały na płaskim obcasie. Złote kolczyki w uszach. Oprócz tego żadnej biżuterii. Ani śladu perfum.

Włosy miała jasne, ze srebrnymi pasmami. Krótkie i proste, uczesane z przedziałkiem. Wyglądała chłopięco. Bardzo skromnie.

Twarz blada, owalna, stworzona do obiektywu. Wydatny, prosty nos, wyraźnie zarysowana broda, ogromne szaroniebieskie oczy z zielonymi

plamkami. Kuszące usta ze starej fotografii miały teraz bardziej dojrzały wyraz. Lekko umalowana. Gęste brwi i dołeczki w policzkach.

Miała czterdzieści trzy lata, wiedziałem to z wycinka starej gazety. Wiek lekko odcisnął swe piętno na urodzie tej kobiety, w jakiś niewytłumaczalny sposób przydając jej zniewalającego uroku.

Z uśmiechem zwróciła się do córki, ukazując mi lewą stronę swego oblicza.

Skóra mocniej naciągnięta, o barwie kości słoniowej, gładka jak powierzchnia szkła. Zarys dolnej szczęki zbyt ostry. Powieka lewego oka nieznacznie opuszczona. Skóra poniżej poznaczona gęstą siateczką białych blizn.

Na szyi trzy różowawe paski – jakby ktoś uderzył ją, pozostawiając odcisk palców. Lewa strona ust była nienaturalnie prosta. Gdy się uśmiechała, wyglądało to jak ironiczny grymas.

Znów podniosła głowę. Jej skóra załamała światło pod innym kątem.

Spojrzała z kamiennym wyrazem twarzy na stolik z porcelaną.

Upadła Wenus.

– Dziękuję ci, kochanie – uśmiechnęła się do Melissy. Lewa strona jej ust pozostała nieporuszona.

A więc rozmowa miała odbyć się w cztery oczy, bez udziału Melissy.

Również uśmiechnąłem się do niej. Patrzyła na nas w napięciu. Wreszcie również dołączyła się do naszego festiwalu uśmiechów.

– Chodź do mnie, dziecinko – rzekła jej matka i wzięła ją w ramiona.

Kołysząc się lekko, pogłaskała długie włosy córki.

Melissa zrobiła krok do tyłu, spojrzała na mnie i oblała się rumieńcem.

– Czuję się bardzo dobrze. Możesz iść – rzekła Gina Ramp.

– Dobrej zabawy – odparła Melissa, ledwie panując nad swoim głosem.

Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie i wyszła.

Pozostawiła drzwi otwarte. Gina Ramp podeszła i zamknęła je.

– Proszę się rozgościć, doktorze – zachęciła, ponownie obracając głowę w lewo, żeby tylko zdrowa strona była widoczna. – Kawy?

– Nie, dziękuję. – Usiadłem na krześle, a ona powróciła na kanapę.

Usiadła na krawędzi wyprostowana z nogami skrzyżowanymi w kostkach, z dłońmi na kolanach – identyczną pozycję wczoraj u mnie przybrała Melissa.

– Dobrze, że mogłem się z panią zobaczyć.

– Tak, spotkaliśmy się wreszcie – uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Wcale nie jestem taką antypatyczną osobą, jak pan sądzi.

– Oczywiście, że nie – odrzekłem nazbyt żarliwie. Spojrzała na mnie przeciągle. Zagryzłem wargi, zły na swoją nerwową reakcję. Wyprostowała nogi, podniosła głowę, jakby na polecenie niewidzialnego reżysera.

Zwracała się do mnie tylko prawym profilem. Sztywna i ugrzeczniona, jak premier udzielający wywiadu dziennikarzom.

– Nie jestem tu po to, żeby panią osądzać. Idzie o Melissę i jej wyjazd na uniwersytet.

Zacisnęła wargi i skinęła głową.

– Pomógł jej pan bardzo. Pomimo mojej postawy.

– Nie – odrzekłem. – Z powodu pani postawy. Zamknęła oczy i

westchnęła. Zaciśnęła palce na kolanach.

– Proszę się nie obawiać. Przebyłam długą drogę. Potrafię stawić czoło gorzkiej prawdzie.

– Prawdą jest to, że Melissa stała się wspaniałą kobietą w dużej mierze dzięki miłości i wsparciu, jakie otrzymała od pani.

Otworzyła oczy i wolno pokręciła głową.

– To miło z pana strony, ale chociaż wiedziałam, że jej szkodzę, nie potrafiłam poradzić sobie z tym wszystkim. Myśli pan zapewne, że mam bardzo słabą wolę, ale...

– Wiem, niepokoje mogą być tak samo uciążliwe, jak paraliż.

– Niepokoje, co za oględne słowo. To jest o wiele gorsze, to jest jak umieranie. Znowu i znowu. Żyć na granicy śmierci i nie znać dnia ani godziny... – Wzdrygnęła się, odkrywając przecie mną oszpecony policzek. – Czuję się jak w potrzasku. A ona odziedziczyła to po mnie.

Milczałam.

– Czy wie pan, że przez trzynaście lat nigdy nie byłam na wywiadówce?

Nigdy nie oglądałam szkolnych zawodów sportowych, nie uczestniczyłam w wycieczkach klasowych, ani nie poznałam nigdy rodziców i dzieci, które przyjaźniły się z moją małą. Nie byłam dobrą matką. Melissa musi mnie za to potępić, a może nawet nienawidzić.

– Czy kiedykolwiek to okazała?

– Nie, oczywiście że nie. Melissa jest dobrym dzieckiem. Nie powie tego,

co ma rzeczywiście na myśli. – Pochyliła się. – Ona zawsze musiała sama sobie radzić, zawsze musiała zachować się jak dorosła. To ja jej uczyniłam, z

powodu własnej słabości. – Położyła obie dłonie na kanapie. – Wyrosła na przedwcześnie dojrzałą kobietę. Ograbiłam ją z dzieciństwa, więc wiem, że kipi gniewem.

– Nie zamierzam przekonywać panią, że zapewniła jej pani doskonale wychowanie, a pani lęki nie miały na nią żadnego wpływu. Biorąc jednak pod uwagę wszystkie okoliczności, widzę, że jest pani dla niej osobą kochającą bezinteresowną miłością. A i ona to widzi.

Obiema dłońmi ścisnęła głowę, jakby poczuła nagły ból w skroniach.

– Kiedy moczyła pościel, pani nie była o to zła. To znaczy więcej niż obecność na wywiadówkach.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Twarz jej drgnęła. Znów odwróciła się do mnie profilem. Uśmiechnęła się.

– Teraz rozumiem pana metodę – rzekła – imputuje pan własny punkt widzenia z takim przekonaniem, że trudno to zakwestionować.

– Nie jestem tu po to, żeby cokolwiek imputować – odrzekłem niemal bezwiednie.

Zagryzła wargi. Podniosła jedną dłoń i dotknęła uszkodzonego policzka.

– Tak. Oczywiście. Tylko że właśnie nad tym pracuję... uczciwość i prawdomówność. Próbuję zobaczyć siebie taką, jaką jestem naprawdę. To jest element mojej terapii. Ma pan jednak rację. Nie mną się dzisiaj zajmujemy, tylko Melissa. Co mogę dla pana zrobić?

– Z pewnością wie pani o jej rozterkach związanych z wyjazdem na uniwersytet. To właśnie o panią chodzi. Melissa obawia się, że jej odejście może zniweczyć postęp w leczeniu, jaki osiągnęła pani do tej pory. Musi

mieć pewność, że pani stan się nie pogorszy. I że pani chce, żeby wyjechała.

Jeśli pani tego rzeczywiście chce.

– Doktorze Delaware – odrzekła, patrząc mi prosto w oczy – naturalnie, że tego chcę. I już to jej mówiłam. Powtarzam to jej ciągle. To dla niej niezwykła szansa. Ona musi jechać!

Jej żarliwość wprawiła mnie w lekkie zakłopotanie.

– To jest dla niej przełomowy okres. Wyrwanie się z domu. Rozpoczęcie nowego życia. Będę za nią tęsknić, ale dopiero teraz patrzę na nią tak, jak powinnam patrzeć od zawsze. Uczyniłam ogromny postęp. Jestem zdolna do milowych kroków. Patrzę na życie z innej perspektywy, ale nie potrafię wykazać tego Melissie. Nie zmieniła swojego stosunku do mnie.

– Jakże miała go zmienić?

– Za bardzo o mnie dba. Zawsze stara się być blisko. Ursula – doktor Cunningham-Gabney – próbowała to jej powiedzieć, ale Melissa nie chciała słuchać. W dodatku obie się nie lubią. Gdy staram się jej powiedzieć, jak dobrze się czuję, poklepuje mnie i mówi: „Wspaniale, mamó” i odchodzi. Nie, nie potępiam jej. Tak długo się mną opiekowała, że teraz muszę za to płacić. – Przez chwilę siedziała w milczeniu. – Nie miałam ataku przez ostatnie cztery tygodnie. Oglądam świat po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna i czuję, że sobie poradzę. To jak urodzić się na nowo. Nie chcę, żeby Melissa marnowała sobie życie z mojego powodu. Co mam powiedzieć, żeby ją przekonać?

– To, co właśnie teraz usłyszałem. Może jednak ona nie jest gotowa tego zrozumieć?

– Nie chcę tak po prostu powiedzieć, że jej nie potrzebuję. Mogłabym ją tym dotknąć. Poza tym nie byłoby to prawdą. Ja jej bardzo potrzebuję. Żadna matka nie czuje tego do swojej córki. Pragnę być zawsze z nią. Cunningham-Gabney i ja chciałyśmy przekonać jakoś Melisę, ale ona zatyka sobie uszy.

– Dochodzi tu jej osobisty, wewnętrzny konflikt, który nie ma nic wspólnego z panią i pani terapią. Każda osiemnastolatka odczuwa niepokój przed pierwszym wyjazdem z domu. Życie, jakie dotychczas prowadziła, izolacja w tym domu, jeszcze bardziej to potęguje. Skupiając się na pani, próbuje uciec od własnych lęków.

– To miejsce – rzekła, rozkładając ramiona – jest monstrualne, prawda? Artur był kolekcjonerem i zbudował muzeum.

W jej głosie odczułem skrywaną gorycz, ale trwało to ułamek sekundy. Po chwili ciągnęła już innym tonem:

– Nie dlatego, że miał na względzie jedynie własne zainteresowania. Był miłośnikiem piękna, wierzył, że ulepszony świat. Oprócz tego posiadał niebywały smak. Ja nie mam zrozumienia dla przedmiotów. Mogę podziwiać wspaniałe obrazy, ale nie zbieram ich – to nie leży w mojej naturze.

– Czy zastanawiała się pani nad przeprowadzką? Słaby uśmiech.

– Brałam pod uwagę mnóstwo możliwości. Kiedy drzwi raz się otworzą, trudno nie przekroczyć progu, ale my, Ursula i ja, pracujemy wspólnie i sama nie powinnam się nigdzie wypuszczać. Jeszcze długa droga przede

mną. Nawet jeśli byłabym gotowa, nie zrobię tego, ponieważ Melissa jest dla

mnie najważniejsza. – Dotknęła porcelanowego imbryka. Uśmiechnęła się.

– Zimny. Może posłać po świeżą kawę? A może coś pan zje?

– Nie. Bardzo dziękuję.

**– Wracając do tego, co pan powiedział na temat unikania własnych
konfliktów poprzez skoncentrowanie się na innej osobie. Jeżeli problem na
tym właśnie polega, to w jaki sposób możemy się tego pozbyć?**

**– Melissa musi się przyzwyczaić do pani postępów, ale nie gwałtownie,
stopniowo. To zajmie trochę czasu. Szczerze mówiąc, może pani nie zdążyć
jej przekonać, żeby jechała na Harvard.**

Zmarszczyła czoło.

– Myślę, że jeszcze coś komplikuje sytuację – zazdrość.

– Tak, wiem – odparła. – Ursula to zauważyła.

**– Melissa ma powody, żeby być zazdrosna. Dużo zmian spadło na nią jak
grom z jasnego nieba, nie licząc pani terapii: śmierć Jacoba, pani ślub. –**

**„Powrót szaleńca”, dodałam w duchu. – W dodatku to ona sama jest po
części przyczyną tych zdarzeń. Ona znalazła terapeutę i zaprosiła pani męża.**

**– Tak, to prawda. To ona sprowadziła psychologa. Zmusiła mnie do
leczenia, za co niech ją Bóg błogosławi. Otworzyła okno w mojej celi. Czasem
czuję się tak głupio, że nie zrobiłam tego wcześniej i przez te wszystkie lata...**

Nie rzekła nic na temat swego małżeństwa, więc nie nalegałam.

Nagle wstała i zacisnęła pięść.

**– Muszę ją jakoś przekonać. – Na oszpeconym policzku pojawiło się
 napięcie, a paski na szyi pobielały. – Jestem przecież jej matką, na miłość**

boską!

Cisza. Z oddali dochodziło wycie odkurzacza.

– Teraz na pewno nie miałaby pani kłopotów, żeby ją przekonać. A może by ją pani zawołała i porozmawiała teraz?

– Tak – odparła po zastanowieniu się. – Dobrze. Niech tak będzie.

Przeprosiła, otworzyła drzwi i wyszła. Usłyszałem oddalające się kroki, a potem jej głos. Wstałem i zajrzałem do sąsiedniego pokoju.

Siedziała na brzegu łóża z baldachimem w niewielkiej białej sypialni z sufitem ozdobionym freskami. Malowidła przedstawiały kurtyzany w Wersalu pośród uciech życia przed nastaniem potopu.

Siedziała lekko pochylona. Zapomniała o oszpeconym policzku, przyciskając złotą słuchawkę. Stopy opierała o dywan śliwkowego koloru.

Łoże było zasłane cieniutkim atlasem, a aparat telefoniczny stał nie opodal na stylowym stoliku nocnym. Po obu stronach łóżka znajdowały się okna z zasłonami o złotych frędzlach. Bogato zdobione ramy luster, zatrząsienie koronek i obrazy o ciepłych barwach. Tyle francuskich antyków, że zaspokoilyby potrzeby Marii Antoniny.

Pokiwała głową, coś powiedziała i odłożyła słuchawkę na widełki.

Powróciłem na swoje miejsce, zjawiała się po chwili.

– Już tu idzie – powiedziała. – Czy chce pan być przy tym?

– Jeśli Melissa nie będzie miała nic przeciwko temu.

Uśmiechnęła się.

– Nie będzie. Bardzo pana lubi. Uznaje pana za swego sprzymierzeńca.

– Jestem jej sprzymierzeńcem.

– Naturalnie – odrzekła – potrzeba nam w życiu sprzymierzeńców,

prawda?

Parę minut potem na korytarzu rozległy się kroki. Gina powitała córkę we drzwiach. Wzięła ją za rękę i przyciągnęła do siebie. Następnie położyła obie dłonie na ramionach dziewczyny i spojrzała na nią ze wzruszeniem tak, jakby miała udzielić błogosławieństwa.

– Jestem twoją matką, Anno Melisso. Popelniałam wiele błędów, byłam słabą i niedobrą matką, ale to nie zmienia faktu, że jestem twoją matką, a ty jesteś moim dzieckiem.

Melissa spojrzała na nią z nieukrywanym zdziwieniem, a potem zwróciła głowę w moją stronę.

Uśmiechnąłem się do niej ośmielająco i spojrzałem na jej matkę. Melissa uczyniła to samo.

– Wiem, że moja słabość bardzo ci ciążyła, ale teraz wszystko się zmieniło. Należy o tym zapomnieć.

Na te słowa Melissa zeszywniała.

Gina spostrzegła to i jeszcze bardziej ją przytuliła. Melissa nie opierała się.

– Chcę, żebyśmy zawsze były blisko siebie, dziecinko, ale równocześnie pragnę, byśmy obie miały własne życie.

– Mamy je, mamo.

– Nie, nie, kochanie. Kochamy się, martwimy się o siebie, jesteś najlepszą córką, jaką można sobie wymarzyć, ale jesteśmy zbyt uzależnione od siebie. Musimy się uniezależnić. Przeciąć krępujące więzy.

Melissa cofnęła się odrobinę i spojrzała w twarz matki.

– Co ty mówisz?

– Mówię, dziecinko, że masz przed sobą niepowtarzalną szansę. Wielką przyszłość. Zasłużyłaś na nią. Jestem z ciebie taka dumna – cały świat stoi przed tobą otworem, jesteś inteligentna, masz liczne uzdolnienia i potrafisz je rozwijać. Więc nie trać szansy, nalegam, żebyś podjęła tę jedyną właściwą decyzję.

Melissa wyrwała się z jej objęć.

– Nalegasz?

– Nie, nie chcę... To znaczy...

– A jeśli ja nie chcę tej szansy? – zapytała Melissa łagodnym, ale zdecydowanym tonem.

– Myślę tylko, że powinnaś jechać, Anno Melisso. – Pewność Giny gdzieś się ulotniła.

Melissa uśmiechnęła się.

– Dobrze, mam, ale ja też mam prawo wyboru.

Gina znów przycisnęła ją do piersi, ale twarz Melissy ani drgnęła.

– Oczywiście, dziecinko. Pragnę tylko uświadomić ci, że nie musisz obawiać się o mnie, ponieważ czuję się dobrze, a będę czuć się jeszcze lepiej.

Melissa spojrzała na nią bez uśmiechu. Gina ścisnęła ją mocno, patrząc gdzieś w przestrzeń.

– Twoja matka dobrze to przemyślała i jest przekonana, że poradzi sobie sama – rzekłem.

– Tak?

– Tak, sama sobie poradzę – powtórzyła Gina nieco podniesionym głosem. – I oczekuję, że uszanujesz moje zdanie.

– Szanuję wszystko, co mówisz, ale to nie znaczy, że muszę się z tym zgadzać.

Gina otworzyła i zamknęła usta.

Melissa cofnęła się o krok. Założyła kciuki za pasek dżinsów.

– Proszę, dziecinko – rzekła Gina.

– Nie jestem żadną dziecinką.

– Nie. Nie. Naturalnie, że nie. Przebacz, że tak cię nazywam, stare przyzwyczajenie. Tego właśnie pragnę – zmian. Pracuję nad zmianami, wiesz przecież, jak ciężko pracuję. To oznacza inne życie. Dla nas wszystkich. Chcę, żebyś pojechała do Bostonu.

Melissa spojrzała na mnie wyzywająco.

– Odpowiedz swojej mamie – rzekłem najłagodniej, jak potrafiłem.

Spojrzała na Ginę, a potem na mnie. Zmrużyła oczy.

– Co się tutaj dzieje?

– Nic, ale... Nic. Porozmawialiśmy szczerze z doktorem Delaware.

Pomógł mi zrozumieć niektóre sprawy. Teraz widzę, dlaczego go polubiłaś.

– Doprawdy?

Gina chciała odpowiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

– W waszej rodzinie zaszły zasadnicze zmiany. Nikomu nie jest z tym łatwo. Twoja matka poszukuje sposobu, żeby ci powiedzieć, że czuje się dobrze i nie jesteś już zobligowana do ustawicznej opieki nad nią – rzekłem.

– Tak – wtrąciła się Gina – właśnie. Naprawdę czuję się już całkiem

dobrze, kochanie. Możesz rozpocząć własne życie. Możesz być sobą.

Melissa nie poruszyła się. Uśmiech znikł z jej ust. Splatała nerwowo palce.

– Wygląda na to, że dorośli już zdecydowali, czym powinnam się zająć.

– Och, kochanie – westchnęła Gina. – To nie tak!

– Nikt niczego nie zdecydował. Najważniejsze, żebyście rozmawiały ze sobą.

– Damy sobie radę, prawda, kochanie? Zwyciężymy – rzekła pani Ramp.

Chciała podejść do córki, żeby ją objąć.

Melissa cofnęła się do drzwi. Oparła się o framugę.

– No to pięknie – wyszeptała. Jej oczy zabłysły. Wskazała na mnie palcem. – Nie tego od ciebie oczekiwałam.

– Kochanie! – wykrzyknęła Gina.

Zerwałem się z miejsca.

Melissa potrząsnęła głową i ruchem ręki nakazała mi, że bym się do niej nie zbliżał.

– Melisso, przecież... – chciałem załagodzić wybuch.

Przerwała mi w pół zdania.

– Oczywiście! Teraz wszystko rozumiem! Trzęsąc się ze złości wybiegła z pokoju.

Widziałem, jak z rozwianymi włosami biegnie korytarzem.

Chciałem pobiec za nią, ale pomyślałem, że tutaj będę użyteczniejszy.

Odwróciłem się do Giny, poszukując odpowiednich słów.

Jednak ona nie mogła mnie słuchać.

Jej twarz przybrała upiorny wyraz. Chwyciła się za piersi. Szeroko otwartymi ustami z trudem łapała powietrze. Zaczęła dygotać.

Drgawki nasilały się. Podbiegłem do niej. Odepchnęła mnie, przecząco kręcąc głową.

Sięgnęła do kieszeni i szukała czegoś, trwało to wieki. W końcu wyjęła niewielki, biały plastikowy inhalator z końcówką w kształcie „L”. Włożyła ją do ust i przymknęła powieki. Plastikowa rurka objęła się o zęby. Nasze spojrzenia się spotkały, lecz wiedziałem, że jest nieobecna duchem.

Nacisnęła zawór inhalatora.

Usłyszałem ciche syknięcie. Jedną ręką przytrzymała inhalator, a drugą nerwowo szukała oparcia. Wstrzymała oddech na parę sekund, odetchnęła głęboko i osunęła się bezwładnie na kanapę.

Pierś jej falowała. Stałem przy niej, obserwując, jak powoli dochodzi do siebie. Następnie usiadłem obok. Wciąż drżała. Czulem wibracje na kanapie.

Uspokajała oddech. Na przemian zamykała i otwierała oczy. Twarz miała pokrytą potem. Spojrzała na mnie i znów zamknęła oczy. Dotknąłem jej ręki. W odpowiedzi lekko uściśniła moją dłoń. Skórę miała chłodną.

Siedzieliśmy tuż obok siebie w bezruchu, bez jednego słowa. Próbowana coś powiedzieć, ale bez rezultatu. Patrzyła w sufit. Jej oczy napelnily się łzami.

– To był niewielki atak – rzekła słabym głosem – przez cały czas kontrolowałam sytuację.

– Tak, wiem.

Wciąż trzymała w pogotowiu inhalator. Popatrzyła na niego i włożyła do

kieszeni. Pochyliła się, wzięła mnie za rękę i znowu lekko ją uściśniła.

Oddychała rytmicznie.

Byliśmy tak blisko, że mógłbym usłyszeć bicie jej serca, lecz skupiłem się na innych dźwiękach – nasłuchiwałem kroków. Myślałem, co będzie, jak wróci Melissa i ujrzy nas w tak dziwnej pozycji.

– Zawołać kogoś?

– Nie, nie. Już mi lepiej.

– Co jest w inhalatorze?

– Środek powodujący rozkurcz mięśni. Opracowali go Gabneyowie.

– Jest świetny, ale ma krótki czas działania.

Jej twarz pokrywał pot. Oszpecony policzek wyglądał jak z plastiku.

– No ładne rzeczy – westchnęła.

– Może trochę wody?

– Nie, nie. Już mi dobrze. Naprawdę. To był niewielki atak, pierwszy od czterech tygodni... Ja...

– To była niełatwa konfrontacja.

Przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła:

– Melissa!

Krzycząc, wybiegła z pokoju.

Podążyłem w ślad za Giną. Zbiegła po tylnych, spiralnych schodach.

Bąłem się, żeby nie zgubić jej w tym ogromnym domostwie.

Rozdział jedenasty

Schody prowadziły do holu za wielką spiżarnią. Weszliśmy do kuchni, w

której można by organizować bankiety. Ściany były żółte, a podłoga miała

heksagonalne, ceramiczne wzory. Wzdłuż ścian stały lodówki i zamrażarki, znajdowała się tu lada do krojenia mięsa i mnóstwo półek. Na hakach wisiały mosiężne garnki.

Żadnych kuchennych zapachów. Na jednej z półek stał puchar pełen owoców.

Gina Ramp prowadziła mnie dalej. Minęliśmy drugą, mniejszą kuchnię i pomieszczenie na zastawę stołową. Jadalnia, o ścianach pokrytych boazerią, była wielka jak sala konferencyjna. Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, nawołując Melisę.

Odpowiadała nam cisza.

W końcu trafiliśmy do pokoju o suficie z malowanymi belek. We drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni ubrani w kostiumy do tenisa. Trzymali w rękach rakiety, a na szyjach mieli pozawieszane ręczniki. Obaj wysocy i umięśnieni.

Młodszy miał jakieś dwadzieścia pięć lat. Długa żółta grzywa sięgająca ramion. Pociągła twarz z małymi ciemnymi oczyma i dołeczek na brodzie tak głęboki, że można w nim było ukryć diament. Takiej opalenizny, jaką miał, nie nabywa się w ciągu jednego sezonu.

Drugi mężczyzna – na oko pod pięćdziesiątkę – wyglądał jak dawny atleta, który stara się utrzymać kondycję. Mocno zarysowana szczęka i błękitne oczy. Króciutko ostrzyżone czarne włosy z szarymi kosmykami, szare wąsiki idealnie dopasowane do długości ust. Ogorzała cera. Facet jak z reklamy papierosów Marlboro.

Zdziwiony uniósł brwi, i zapytał:

– Gino, co się stało? – Głos miał dźwięczny, wzbudzający zaufanie.

– Don, czy widziałeś Melissę?

– Tak, jakąś minutę temu. – Spojrzał na mnie. – Czy coś...

– Wiesz, gdzie jest teraz?

– Pojechała z Noelem.

– Z Noelem?

– Pracował przy samochodach. Wypadła z domu jak z procy, coś mu

krzyknęła i oboje pojechali. Corvetta. Coś nie tak, Gino?

– O Boże! – jęknęła.

Mężczyzna z wąsikami objął ją ramieniem i spojrzał na mnie pytająco.

– Co tu się dzieje?

Gina zmusiła się do uśmiechu.

– Nic, Don. To jest doktor Delaware. Ten psycholog, o którym ci mówiłam. Próbowaliśmy porozmawiać z Melissą o Harvardzie, ale tylko się zdenerwowała.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował czule, niczym amant filmowy.

– Doktorze, to jest mój mąż, Donald Ramp. Don, Alex Delaware.

– Bardzo mi miło. – Ramp podał mi dużą, ciężką dłoń, którą uścisnąłem.

– Zapewne nie odjechali daleko. Jeśli chcesz, mogę ich poszukać i sprowadzić – zaproponował Don.

– Och, nie! – Dotknęła jego policzka. – Oto cena mieszkania pod jednym dachem z nastolatką, kochanie. Jestem pewna, że niedługo wróci. Może pojechali zatankować benzynę?

Młodszy mężczyzna zajął się podziwianiem sufitu. Robił to z

zapamiętaniem, które musiało być udawane. Gina zwróciła się do niego.

– Jak się masz, Todd?

– Dziękuję. A jak się pani czuje?

– Nic nadzwyczajnego. Jak dziś poczynął sobie Don?

Blondyn uśmiechnął się, ukazując białe, lśniące zęby jak w reklamie pasty do zębów.

– Poprawił kroki. Teraz musi tylko pracować nad sobą.

Ramp odchrząknął i przeciągnął się.

– Stare kości odmawiają posłuszeństwa. – Spojrzał na mnie. – Doktorze, to jest Todd Nyquist. Mój trener tenisa. Zmusza mnie do niemałego wysiłku.

Nyquist uśmiechnął się szeroko.

– Nie tylko cierpię, ale w dodatku płacę za to – zaśmiał się Ramp.

Wszyscy się uśmiechnęli, ale jakoś nieszczerze.

Ramp popatrzył na żonę.

– Na pewno nie przydam ci się, złotko?

– Nie, Don. Po prostu poczekamy na nią. Zaraz wróca. Noel nie skończył jeszcze pracy, prawda?

Ramp wyjrzał przez drzwi.

– Chyba skończył. Isotta i delahaye są nawoskowane i wypolerowane.

– A więc pojechali po benzynę. Kiedy wróca, dokończymy rozmowę z doktorem. Możesz wziąć prysznic, kochanie.

Napięty głos. Wszyscy wokół byli napięci.

Miałem wrażenie, że wpakowałem się w środek tajnego zebrania spiskowców.

– Komuś drinka? – zapytała Gina.

– Ja dziękuję – odrzekł Ramp. – Idę pod prysznic. Było mi miło pana poznać, doktorze. Dzięki za wszystko.

– Nie ma za co – odrzekłem, nie mając pojęcia, za co mi dziękował.

Końcem ręcznika wytarł twarz, mrugnął okiem nie wiadomo do kogo i odwrócił się. Przystanął i rzucił przez ramię do Nyquista:

– Będziemy w kontakcie, Todd. Do środy.

– Tak jest, panie Ramp – odrzekł Nyquist z uśmiechem. Następnie zwrócił się do Giny: – Może być pepsi albo cokolwiek, co jest zimne i słodkie.

Ramp popatrzył na niego, jakby chciał zostać, ale w końcu wyszedł.

Nyquist wyprostował się, przyglądził włosy i począł sprawdzać naciąg rakiety.

– Poproszę Madeleine, żeby coś panu przygotowała – rzekła Gina.

– Wielkie dzięki – odparł Nyquist już bez uśmiechu. Pozostawiliśmy go i przeszliśmy do frontowej części domu.

Zatopiliśmy się w miękkich fotelach w komnacie wypełnionej niezrównanymi dziełami sztuki. Każdą wolną przestrzeń pokrywały lustra, które zmniejszyły mnie do wielkości krasnala.

Potrząsnęła głową.

– To okropne, ale cóż mogłam zrobić?

– Potrzeba czasu, żeby przywykła.

– Otóż to, że nie ma czasu. Trzeba wysłać zawiadomienie na Harvard.

– Jak powiedziałem, nie byłbym taki pewny, że Melissa zdecyduje się przed upływem ostatecznego terminu.

Nic nie odrzekła.

– Podejrzewam, że minie rok, zanim się przyzwyczai. Pojmie sens zmian.

Do Bostonu może się przenieść w przyszłym roku.

– Chyba tak, ale ja naprawdę chcę, żeby pojechała. – Dotknęła

oszepeczonego policzka. – Myślę wyłącznie o niej. Ona musi wyjechać, opuścić to miejsce. Ten świat został stworzony dla niej, tylko dla niej, ale to może ją wpędzić w chorobę.

– Myśli pani, że jeśli teraz nie wyjedzie, to nie wyjedzie już nigdy?

Westchnęła.

– Każde piękno może zostać okrutnie zniszczone. Dom bez drzwi. Proszę mi wierzyć.

Drgnąłem. Nie udało mi się tego ukryć.

– Co się stało?

– Powiedziała pani: „Dom bez drzwi”. W czasie terapii Melissa rysowała domy bez drzwi i okien.

– Mój Boże! – jęknęła.

Wyjęła z kieszeni inhalator.

– Czy kiedykolwiek użyła pani tego określenia w jej obecności?

– Nie, nie sędzę, to byłoby okropne, gdybym tak postąpiła.

– Dlaczego? To mogło jej pomóc, uświadomiła sobie problem, aby następnie się z nim rozprawić. Po jakimś czasie zaczęła rysować domy z drzwiami. Wątpię, czy to miejsce było tym samym dla niej, czym dla pani.

– Jest pan pewien?

– Nie jestem pewny niczego – odparłem łagodnie. – Po prostu myślę, że

pani więzienie nigdy nie stało się jej więzieniem.

Staralem się mówić delikatnie, ale słowa te musiały ją zranić.

– Tak. Ma pan świętą rację. Ona jest kimś innym niż ja. Więc myśli pan, że bez ryzyka może tu jeszcze pomieszkać.

– Przez jakiś czas.

– Jak długo?

– Aż pogodzi się z myślą o wyjeździe. Wiem, że jest silną dziewczyną.

Nic nie odrzekła, patrząc na trzymetrowy stojący zegar o tarczy wykonanej ze skorupy żółwia morskiego.

– Może wybrali się na przejażdżkę?

– Noel nie skończył pracy – zauważyłem.

Wstała i obeszła wolno pokój ze wzrokiem wbitym w podłogę. Ja zająłem się oglądaniem obrazów. Flamandzki, holenderski i włoski Renesans. Znane dzieła. Wiszące tu płótna miały intensywniejsze barwy niż te, które oglądałem w muzeum. Parę z nich miało przepyszne ramy. Pamiętałem, jak Jacob Dutchy wyznał, że jedną z pasji Artura Dickinsona była renowacja dzieł sztuki. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo ten człowiek ingerował w życie mieszkańców tego domu.

Monumentalny pałac.

Mauzoleum.

Gina zawołała z drugiego końca pokoju.

– Czuję się okropnie. Chciałabym panu podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Proszę mi wybaczyć. I przyjąć wyrazy szczerego szacunku.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Znowu spojrzała na zegar.

– Mam nadzieję, że zaraz wrócą.

Jednak nie wrócili.

Upłynęło pół godziny – trzydzieści długich minut wypełnionych urywaną rozmową i pochwałami holenderskiej sztuki wypowiedzianymi przez zajętą własnymi myślami panią domu. Jakbym słyszał starego Jacoba. Ciekawe, od kogo Dutchy przejął ten sposób mówienia.

W końcu odeszła od obrazów i rzekła:

– Prawdopodobnie wybrali się na przejażdżkę. Nie ma sensu, żeby pan na nich czekał. Przepraszam, że zatrzymałam pana tak długo.

Odprowadziła mnie do drzwi. Otworzyła je.

– Kiedy się pojawi, czy powinnam od razu z nią porozmawiać?

– Nie. Nie śpieszyłbym się. Trzeba poczekać, aż będzie gotowa. Jeśli chce pani, żebym jej asystował, a i Melissa się na to zgodzi, mogę przyjechać.

– Chyba jednak jest teraz na mnie bardzo zła i uważa, że ją zdradziłem.

– Przykro mi, nie chciałam popsuć waszych stosunków.

– Nic wielkiego się nie stało – odparłem. – Najważniejsze są stosunki pomiędzy wami.

Skinęła głową. Zbliżyła się i dotknęła mojej twarzy tak, jak to wcześniej uczyniła z mężem. Nie ukrywając swoich blizn, pocałowała mnie w policzek.

Znów byłem na autostradzie. Znów na planecie Ziemia. Uwięziony w korku ulicznym, słuchałem piosenek Gipsy Kings i usiłowałem nie myśleć o tym, że zawałęm sprawę.

Kiedy dotarłem do domu, zadzwoniłem do Mila.

- Czego? – warknął do słuchawki.**
 - Boże, co za miłe powitanie.**
 - Nie udawaj, że nie wiesz, w jakim tkwię głównie. O co chodzi?**
 - Chcesz podjąć pracę dla mojej ekspacjentki?**
 - Tak. Myślałem o tym, pięćdziesiątkę za godzinę plus wydatki, to rozsądna cena. Spodoba się szanownemu klientowi?**
 - Nie miałem okazji rozmawiać o warunkach finansowych, ale nie przejmuj się – pieniędzy jej nie zabraknie. Ma dostęp do góry szmalu.**
 - Co w tym dziwnego?**
 - Ma dopiero osiemnaście lat.**
 - Chcesz, żebym pracował dla dziecka, Alex? Jezu, co ty mi wciskasz?**
 - Słuchaj, Milo, to nie jest zwykła nastolatka. Musiała wyjątkowo szybko dorosnąć – za szybko. Oprócz tego posiada własne zasoby. Zapewniła, że z pieniędzmi nie będzie problemu. Chcę ją tylko poinformować o szczegółach umowy, nic więcej. Myślałem, że porozmawiam o tym dzisiaj, ale pojawiły się pewne komplikacje.**
 - Jak Boga kocham, czy wyglądam na niańkę?**
 - Milo, co to za różnica?**
 - Jezu! – zawołał i zamilkł na chwilę. – Dobra, powiedz wreszcie, o co chodzi. Kogo oszpecono i czym?**
- Opisałem napad na Ginę Ramp.**
- Wygląda mi to na sprawę McCloskeya. Znasz go?**
 - Słyszałem. Uczono mnie o tym w akademii policyjnej. Procedury i techniki stawiania pytań.**

– Poważnie?

– Poważnie. Sprawa była strasznie pokręcona. A facet, który prowadził zajęcia z tego przedmiotu – Eli Savage – uchodził za oryginała.

– W jakim sensie „pokręcona”?

– Jeśli chodzi o motyw zbrodni. Każdy glina lubi klasyfikować, zasufladkować, zredukować motywy do minimum. Pieniądze, zazdrość, zemsta, namiętności czy seks – są w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach motywami najkrwawszych zbrodni. Ten wypadek nie pasował do niczego. O ile pamiętam, coś zaszło pomiędzy McCloskeyem i ofiarą, ale rozstali się jak przyjaciele, na pół roku przed tą sprawą. Żadnych kłótni, bijatyk, przepychanek, listów miłosnych czy anonimowych telefonów, które są nierozłącznym atrybutem motywu seksualnego. W dodatku ona nie miała żadnego faceta, z którym by chodziła albo mieszkała, więc zazdrość też odpada. Pieniądze nie są przekonujące, ponieważ nie łączyły ich żadne interesy, a on zapłacił sporo oprychowi, który odwalił brudną robotę.

Spekulowano, że może to zemsta, że obwiniał ją za kłopoty finansowe – miał agencję modelek. Nie zapomina się takich spraw. Pamiętam, jak pokazano nam jej zdjęcia przed wypadkiem, po i w czasie leczenia – leżała bardzo długo w szpitalu. Wtedy nie potrafiłem sobie wyobrazić drania, który mógłby zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi. Teraz nie mam takich problemów, minął słodki okres niewinności. Tak czy inaczej upadek jego agencji nie miał nic wspólnego z jej odejściem. McCloskey miał problemy z picciem i narkotykami. Wyszło to w trakcie przesłuchań. Powtarzał policjantom i prokuratorowi, że zmarnował życie, i błagał, żeby uwolnili go

od dalszych cierpień.

– Więc czemu to zrobił?

– To wielki znak zapytania. Odmawiał wyjaśnień, nawet kiedy mocno naciskano. Za każdym razem, kiedy pojawiała się pytanie o motyw, udawał niemego. Nawet najlepsi psychopatology nie pomogli – nie odkrył tajemnicy swej zbrodni. Ludzie, którzy go znali, twierdzili, że to mały, parszywy gnojek.

– Nawet mały gnojek potrafi ukąsić.

– Może też zostać wybrany do rady miejskiej. A może był zwykłym sadystą i zrobił coś, o czym w głębi ducha marzył? Taki rodzaj barbarzyńskiego, prymitywnego odruchu. Tak czy inaczej sprawa utknęła w martwym punkcie. Nie odpowiedział na żadne zasadnicze pytanie. Chociaż teraz niema to żadnego znaczenia – liczy się tylko to, że odsiedział swoje, a siedział długo, i że to my odizolowaliśmy go i oddaliśmy na przebadanie psychoanalitykom. Po ilu latach wyszedł?

– Odsiedział trzynaście lat z dwudziestotrzyletniego wyroku. Został zwolniony za dobre sprawowanie. Potem przez sześć lat pozostawał pod opieką kuratora.

– Zwykle nadzór kuratorski trwa trzy lata. – Skrzywił się w uśmiechu. – Oto zbrodnia i kara. Oszpeć kogoś, zgwałć dziecko, a potem uczęszczaj do biblioteki, czytelnik, zaprzyjaźnij się z psychologami, a wyjdiesz po połowie wyroku. – Zamilkł. – Trzynaście, tak? A więc wyszedł już jakiś czas temu. Dlaczego dopiero teraz wrócił do miasta?

– Większość czasu spędził w Nowym Meksyku i w Arizonie. Pracował w

rezerwatach Indian.

– Szczwany lis.

– Sześć lat to długi okres.

– Kto wie, jak sprawował się przez te sześć lat, ilu Indian zakatrupił. W

każdym razie tych sześciu lat nie przesiedział w cholernym więzieniu,

zajadając własne gówno. A może nasz ptaszek „odnalazł Jezusa” i się

nawrócił?

– Tego nie wiem.

– A co wiesz?

– Tylko to, że skończył mu się nadzór, jest zupełnie wolny. Jego ostatnim

kuratorem był człowiek o nazwisku Bayliss, który albo przeszedł na

emeryturę, albo się do niej zbliża.

– Wygląda na to, że nasza osiemnastolatka nie zasypuje gruszek w

popiele, co?

– Dowiedziała się o tym od starego służącego – nazywał się Dutchy, typ

superlokaja. Śledził losy McCloskeya od zakończenia procesu. Zasłużył się

całej rodzinie. Niedawno umarł.

– Czy McCloskey usiłował skontaktować się z rodziną?

– Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, nie. Ofiara i jej mąż nie mają

pojęcia, że wrócił do miasta. Wie tylko ta dziewczyna, Melissa, i strasznie się

tym denerwuje.

– Nie bez powodu.

– Myślisz, że może być niebezpieczny?

– Któż może wiedzieć? Z jednej strony mamy informacje, że wyszedł z

więzienia sześć lat temu i nie wykonał żadnego ruchu. Z drugiej jednak strony wiemy, że opuścił rezerwat i przyjechał tutaj. Może ma jakieś plany, a może nie ma. Powinniśmy to jak najszybciej wymacać.

– *Ergo...*

– Tak, *ergo*. Już czas wyostrzyć wzrok. Jeśli ona mnie zaakceptuje, to się tym zajmę.

– Dzięki.

– Słuchaj, Alex, jeśli nawet okaże się, że ma on jakiś zwykły, prozaiczny powód, dla którego wrócił, nie spałbym spokojnie.

– A to czemu?

– Już ci mówiłem – problem motywu. Nikt nie wie, czemu to zrobił. Nie ma nawet wiarygodnych domysłów. Może te trzynaście lat trochę go rozmiękczyły i wygadał się koledze z celi. Na pewno dużo rozmawiał z więziennymi psychologami. Jeśli nie, to znaczy, że jest tajemniczym skurwysynem. Kompletnym świrem. A to mi się nie podoba. I na miejscu tamtych zacząłbym się bać.

Rozdział dwunasty

Kiedy odłożył słuchawkę, pomyślałem, żeby zadzwonić do San Labrador, ale doszedłem do wniosku, że Melissa i Gina potrzebują trochę spokoju.

Usiadłem na brzegu stawu i wrzucałem do wody okruchy chleba. Ryby były żywsze niż zwykle, ale nie interesowały się jedzeniem. Pływały szybko jedna za drugą w grupach po trzy, cztery sztuki. Ścigały się i pluskały.

Zbliżyłem twarz do lustra wody, ale ryby zignorowały mnie.

Wtedy zrozumiałem. Samce uganiały się za samiczkami.

Okres godowy. Błada ikra, delikatna jak piana mydlana, migotała w promieniach zachodzącego słońca.

Po raz pierwszy miałem własny staw. Może to ma jakieś ukryte znaczenie? Zastanawiałem się, czy ryby zjadają jajeczka przed zapłodnieniem. Czy młode mają szanse przeżycia.

Poczułem nagły imperatyw, że powinienem je ratować, lecz wiedziałem, że nie mam na to wpływu. Specjaliści od hodowli potrafią zarybić staw każdym gatunkiem ryby albo pozbawić je szans na rozmnożenie przez zebranie ikry do wiader.

Mogłem tylko czekać.

Poczułem się jak impotent.

Wróciłem do domu i przygotowałem kolację: pieczeń wołową, sałatkę i piwo. Zjadłem w łóżku, słuchając Mozarta w wykonaniu Perlmana i Zukermana z płyty CD. Zatopiłem się w muzycznej krainie. Tylko mały fragment świadomości czuwał, gdyż oczekiwałem na telefon z San Labrador.

Koncert skończył się. Telefon nie zadzwonił. Automatycznie zmieniłem dysk. Cud techniki. Odtwarzacz CD był prawdziwym dziełem sztuki.

Upominek od człowieka, który przedkładał maszyny nad towarzystwo ludzi.

Inny duet zajął miejsce na mojej domowej scenie: Stan Getz i Charlie Byrd.

Rozbrzmiały brazylijskie rytmy. Telefon milczał.

Oderwałem się myślami od muzyki. Skupiłem się na Joelu McCloskeyu.

Więzienie musiało dać mu się we znaki, lecz swoje motywy zatrzymał głęboko ukryte. Jakże mocno wstrząsnął Giną Paddock. Na całe życie

pozostały jej blizny i nieopisany strach. Lata izolacji, śmiertelne lęki. Brak skutecznej pomocy.

Chwyciłem za słuchawkę i zadzwoniłem do San Antonio.

Odezwał się gardłowy kobiecy głos. W tle słyhać było telewizor. Chyba nadawano jakąś komedię, gdyż co chwila rozbrzmiewał śmiech.

Macocho.

– Dzień dobry, pani Overstreet. Tu Alexander Delaware, dzwonię z Los Angeles.

Chwila ciszy.

– A, dzień dobry, dzień dobry. Jak się pan miewa?

– Dobrze, a pani?

Westchnęła przeciągle.

– Mogłoby być lepiej.

– A jak się miewa pan Overstreet?

– Nie ustajemy w modlitwach o lepsze jutro. A jak sprawy w Los Angeles?

Nie zaglądaliśmy tam od lat. Założę się, że wszystko jest coraz większe, szybsze i głośniejsze. Szkoda, że nie widział pan Dallas i Hustonz czasów mojej młodości – wtedy to było życie, zanim przyszły te kłopoty.

Zaklęła.

– Ale życie jakoś się toczy.

– Jeśli człowiek ma szczęście, to wszystko w porządku. – Znów

westchnęła. – Dostyc filozofowania, to niczemu nie służy. Pewnie chciałby pan porozmawiać z Lindą?

– Jeśli jest w pobliżu.

– Ona jest zawsze w pobliżu. Nigdy nie opuszcza domu, chociaż wciąż jej powtarzam, że się nie godzi, żeby dziewczyna w jej wieku siedziała w domu i udawała pielęgniarkę. Oczywiście nie chcę też, żeby co wieczór gdzieś znikala, jak czynił to jej stary. Mówię panu, że to siedzenie nie przyniesie niczego dobrego. Szczególnie dla niej. Pan wie, co mam na myśli?

– Tak, oczywiście.

– Ja to sobie tak tłumaczę: co z tego, że człowiek czuje się bezpiecznie, kiedy nie może poznać prawdziwego smaku życia. Trzeba ryzykować, a wtedy się wygrywa. I trzeba mieć szczęście.

– Tak, święta prawda.

– Zaraz, zaraz... powiem jej, że pan dzwoni, że to rozmowa międzymiastowa.

Odgłosy odkładanej słuchawki na coś twardego. Wołanie, a w tle wybuchy śmiechu w telewizorze.

– Lindo, do ciebie! Lindo, telefon! To on, wiesz kto. Szybko, międzymiastowa!

Kroki i głos:

– Możesz przełączyć do drugiego pokoju?

– Poczekaj jedną chwilkę – już mam. Dolores, możesz już odłożyć!

Trzask odkładanej słuchawki. Cisza. Szybki oddech.

– Cześć Alex.

– Cześć.

– Jak długo musiałeś wysłuchiwać jej głędzenia?

– Całą wieczność – odparłem.

Zaśmiała się smutno.

– Mam wrażenie, że i mnie minęło na tym pół życia. Co tam u ciebie?

– Dobrze. A jak się miewa ojciec?

– Czasem lepiej, czasem gorzej. Jednego dnia czuje się dobrze, drugiego nie wstaje z łóżka. Lekarze mówią, że konieczna jest operacja, ale teraz jest za słaby, żeby ją przetrzymać. Wciąż nie są pewni, jakie postępy poczyniła choroba. Teraz musi leżeć w łóżku i odpoczywać. Przyjmuje lekarstwa i zbiera siły do powtórnych badań. Co innego można zrobić? Tak to jest. Co u ciebie? Chyba już pytałam o to, prawda?

– Dużo pracy.

– To dobrze.

– Karasie złożyły ikrę.

– Nie dosłyszałam?

– Karasie w stawie złożyły ikrę. Po raz pierwszy.

– Świetnie – odparła. – Więc będziesz ojcem?

– Na to wygląda.

– To duża odpowiedzialność.

– Tym bardziej, że dziątek będzie cała kupa.

– Przynajmniej nie będą się marnowały okruszki.

Oboje zaśmialiśmy się.

– Byleś w szkole?

– W ubiegłym tygodniu. Wydaje się, że jest całkiem dobrze.

– Z tego, co wiem, jest bardzo dobrze. Rozmawiałam z Benem parę dni temu. Dostał awans, teraz to ważna persona.

– To miły człowiek, dobrze zorganizowany. Dobrze, że go poleciłaś.

– Fakt – znów westchnęła. – Nie wiem, czy sama znajdę pracę, kiedy się to wszystko wreszcie skończy.

– Jestem pewien, że znajdziesz. Planujesz wrócić?

– Nie – odparła ostro. – Jakże bym mogła?

Milczałem.

– Już nie wytrzymuję. Takie oczekiwanie to istne piekło. Czasem sobie myślę, że czekanie jest najgorszą rzeczą na świecie. Jeszcze gorszą od... No, dosyć o tym. Takie jest życie, człowiek dojrzewa i musi stawić czoło gorzkiej rzeczywistości.

– Czy jednak tego nie za dużo na tak słabą istotę?

– Nie jestem wcale taka słaba... Dzięki, że przyjechałeś miesiąc temu.

– Te trzy dni, które spędziłeś ze mną, były najpiękniejsze w moim życiu.

– Chcesz, żebym znowu przyjechał?

– Tak, bardzo, ale wiem, że nie powinieneś się odrywać od pracy.

– Mnie też należy się odpoczynek.

– To miłe z twojej strony, ale... nie, dziękuję. Sama muszę być przy nim.

Zapewnić mu najlepszą opiekę.

– O ile zdołałem się zorientować, Dolores nie kwapi się z pomocą?

– Dobrze to ująłeś. Ona nigdy nie spotkała się z czymś takim. Żyła w szczęśliwej niewiedzy o ludzkich nieszczęściach. Dla niej to całkowicie nowe doświadczenie. On czuje się coraz gorzej, a ona udaje, że tego nie widzi. I wciąż gada i gada. Dzięki Bogu jestem w pobliżu i mogę go przed nią uchronić. Ona jest jak zła pogoda.

– **Wiem, wiem. Zauważyłem.**

– **Biedaczek.**

– **Można wytrzymać.**

Cisza. Wyobraziłem sobie jej delikatne rysy, blond włosy.

– **No tak – rzekła zmęczonym głosem.**

– **Czy mogę coś dla ciebie zrobić na odległość?**

– **Nie, dzięki. Nic nie przychodzi mi do głowy. Myśl o mnie dobrze. I**

uważaj na siebie.

– **Ty również, Lindo.**

– **Będzie dobrze.**

– **Wiem. Musi być.**

– **Chyba słyszę, jak kaszle... Na razie i do zobaczenia.**

– **Na razie. Pa.**

Przebrałem się w szorty, koszulkę z krótkimi rękawami i trampki. Słońce

już zaszło. Pociemniało. Wyszedłem do ogrodu z latarką i stanąłem nad

brzegiem stawu. Zaświeciłem w wodę. Ryb nie było widać.

Odpoczynek po igraszkach? Trochę ikry zniknęło, ale przy drugim brzegu

sporo jej wciąż unosiło się na wodzie.

Wróciłem do domu. Kiedy stałem pod prysznicem, zadzwonił telefon.

Pospiesznie się wytarłem i pobiegłem odebrać. Na pewno z San Labrador.

Córka i matka pogodziły się.

– **Halo?**

– **Alex? – usłyszałem znajomy, ale dawno niesłyszany głos. Aż zakręciło**

mi się w głowie.

– Witaj, Robin.

– Wszystko w porządku? Co tak ciężko dyszysz?

– Właśnie brałem kąpiel. Przybiegłem z łazienki.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie, skądże. Co słyhać?

– Niewiele. Chciałam ci tylko powiedzieć dzień dobry.

Nie była w najlepszym nastroju, ale dawno już przestałem być ekspertem od jej nastrojów.

– Dzień dobry. Jak tam życie?

– Świetnie. Pracuję dla Joni Mitchell nad nowym instrumentem.

– Wspaniale!

– Robota trudna, ale lubię to. A co u ciebie?

– Też moc pracy.

– To dobrze.

To samo powiedziała Linda. Ten sam ton. Wpływ etyki protestanckiej, czy coś bardziej osobistego?

– Jak tam Dennis?

– Odszedł.

– Ach tak...

– Nie to, co myślisz. Rozstaliśmy się bez awantur.

– To ładnie.

– Nie jestem głazem i nie będę udawała, że wszystko jest w porządku.

– Nie jest. Nie było od samego początku. Pomiędzy nim a mną zawsze była jakaś pustka. Nie zrozum mnie źle, czasem byliśmy naprawdę

szczęśliwi, ale to coś całkiem innego niż z tobą.

– Nigdy już tak nie będzie.

– Tak – odparła. – Nie sądzę, że to kiedykolwiek powróci. Spróbuj mnie zrozumieć.

Zaczęły mi drgać powieki.

– Rozumiem.

– Alex – rzekła wysokim tonem – tak mi ciężko...

– Co się stało?

– Czuję się okropnie. Chciałabym, żeby ktoś ze mną był... przyjaciel...

– Jestem twoim przyjacielem – jak z oddali słyszałem własny głos.

– Alex – rzekła cichutko. – Mógłbyś przyjechać?

– Pewnie. Już jadę...

Do Venice jechałem jak we śnie. Zaparkowałem na tyłach domu

towarowego „Pacyfik”, obojętny na graffiti i odór śmieci, nieprzyjazne cienie i hałasy, które wypełniały uliczkę.

Kiedy zbliżyłem się do jej domu, otworzyła przede mną drzwi. Wewnątrz

palilo się słabe światło. Słodki zapach drzewa i gorzkawa woń pokostu,

dochodzące z pracowni, oraz jej perfumy, których nie znałem, tworzyły

upajającą mieszankę. Poczulem palącą zazdrość, a jednocześnie pożądanie.

Miała na sobie szaro-czarne, narzucone na ramiona kimono, sięgające

podłogi. Dostrzegłem wypukłości pod jedwabiem. Szczupłe nadgarstki,

nagie stopy.

Jej płomienne gęste loki opadały na plecy i ramiona szeroką strugą.

Ushminkowała się i zrobiła cienie na powiekach. Twarz w kształcie serca,

którą tak dobrze znałem. Wciąż przepiękna. Lecz było w niej coś nowego, obcego, co mnie zasmuciło.

Jej ciemne oczy paliły się wstydem i pożądaniem. Zmusiła się, żeby spojrzeć mi prosto w oczy.

Jej wargi drgnęły, a całym ciałem wstrząsnął znany dreszcz. Dotknęła mojej ręki i okryła ją pocałunkami.

Wziąłem Robin w objęcia. Poczulem, jak tuli się każdą częścią ciała.

Odnalazłem jej usta. Podniosłem ją i zniosłem do sypialni.

Płomień uniesienia, który nas pożerał, wciąż zyskiwał na sile, lecz wyzbyłem się wszelkich obaw.

Pierwszą rzeczą, jaką poczułem rano, było zakłopotanie – zawrót głowy, lekki kac, chociaż poprzedniego wieczoru nie piłem alkoholu. Usłyszałem wycie wiertarki albo jakiegoś innego elektrycznego urządzenia.

Miejsce koło mnie było puste. Są rzeczy, które się nie zmieniają.

Usiadłem na łóżku. Robin była w drugim pokoju. Polerowała elektryczną szlifierką tylną część pudła rezonansowego gitary. Instrument umieszczony był w imadle. Stała pochylona, ubrana w kombinezon roboczy, w okularach ochronnych i w masce na ustach i nosie. Włosy miała spięte wysoko. Pod jej nogami wały się wióry.

Przyglądałem się przez chwilę jej spokojnym ruchom, potem ubrałem się. Nie słyszała mnie, kiedy do niej podszedłem, wciąż skupiona na precyzyjnym oszlifowywaniu cennego drzewa.

W końcu odłożyła szlifierkę i zdjęła maskę. Na jej okularach zebrał się różowy osad.

– To jest właśnie dla Joni. – Odkręciła imadło i podniosła instrument.

Odwróciła go i pokazała w całej okazałości. – Nic nadzwyczajnego, ale zamiast klonowego, ma różany tył i boki, wygięte bardzo delikatnie. Bardzo jestem ciekawa jego brzmienia. – Z dużą wprawą umocowała gitarę z powrotem w imadle. Wzięła szlifierkę. – Dobrze spaleś?

– Dobrze. A ty? Masz ochotę na śniadanie?

– Nie bardzo – odparła. – Mam jednak pełną lodówkę, czuj się jak w domu.

– Też nie jestem głodny.

– Przepraszam. – Zabębniła palcami po szlifierce.

– Za co?

– Że nie chcę śniadania.

– Więc to tak? Ładne rzeczy – rzekłem z przesadną naganą w głosie.

Uśmiechnęła się. Spojrzała na gitarę, potem na mnie.

– Wiesz, jak to jest. Siła przyzwyczajenia. Wstałam wcześniej, o piątej piętnaście. Wciąż o tym myślę. – Poglądziła tylną część gitary i lekko uderzyła w nią koniuszkami palców. – Wciąż nie wiem, jaki dać gryf. – Ten jest brazylijski – wskazała wąski kawałek drewna, jakby beleczkę przeciętą wpół. – Zwieńczona będzie podrywającym się do lotu łabędziem. Wiesz, ile musiałam się natrudzić, żeby go dostać? A teraz to mozolne szlifowanie.

Dzisiaj idzie mi całkiem dobrze i nie chcę przerywać pracy. Która godzina?

– Dziesięć po siódmej.

– Żartujesz? Nie mogę uwierzyć. Pracowałam bez przerwy dwie godziny.

Znów dotknęła szlifierki.

– Widzę, że jesteś w transie. Teraz nie możesz przerwać – rzekłem.

Pocałowałem ją w czoło. Przytrzymała mnie za przegub jedną ręką, a drugą zdjęła okulary. Miała zaczerwienione oczy. Kiepska uszczelka czy lzy?

– Alex, ja...

Położyłem palec na jej ustach i pocałowałem w policzek. Poczulem perfumy zmieszane z wonią pyłu i potu. Powróciła nieoczekiwana fala wspomnień.

Przycisnęła do piersi moją rękę. Poczulem rytm jej serca.

– Alex – rzekła, patrząc na mnie – nie ukartowałam tego, samo tak się ułożyło. Musisz mi uwierzyć. To prawda, co mówiłam o przyjaźni.

– Nie ma za co przepraszać.

– A jednak czuję, że jest.

Nic nie odrzekłem.

– Alex, co będzie dalej?

– Nie wiem.

Puściła moją rękę i odwróciła się.

– A co z tą nauczycielką? – zapytała.

Nauczycielka. Powiedziałem jej kiedyś, że Linda jest dyrektorką szkoły.

Chciałem się nią pochwalić.

– Jest w Teksasie. Ma chorego ojca.

– Coś poważnego?

– Szwankuje mu serce. Stan jego zdrowia nie jest zadowalający. Szybko

zatrzepotała rzęsami. Czy przypomniała sobie własnego ojca, który podciął sobie żyły? A może to tylko pył?

– Alex – rzekła. – Wiem, że nie mam prawa pytać, ale jak... jak wam się układa?

Podszedłem do warsztatu i oparłem się o niego dwoma rękoma.

Spojrzałem w górę na poszarzały sufit.

– W ogóle się nie układa – odparłem. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Ona tak chce?

– Nie mam pojęcia, czego ona chce, ale mam nadzieję, że to nie przesłuchanie? – odparłem gniewnie.

– Wybacz mi. Mam bardzo dużo różnych spraw na głowie, wszystko się pomieszało... Nie myślałam o niej. A teraz nagle jesteśmy razem. Wczoraj...

Jak długo nie byliśmy ze sobą? Dwa lata?

– Dwadzieścia pięć miesięcy – odparłem. – Kogo jednak może to obchodzić?

Opuściła dłonie na moją pierś, dotknęła uszu i szyi.

– To jakby dwadzieścia pięć godzin – rzekłem. – Albo dwadzieścia pięć lat.

Głęboko westchnęła.

– Pasowaliśmy do siebie. Alex, to, co przeżyliśmy, jest jak tatuaż. Trzeba ciąć, żeby go usunąć.

– A ja myślę, że jak haczyk połknięty głęboko.

Odsunęła się.

– Sama wybierz sposób, żeby się tego pozbyć. Tak czy inaczej będzie bolało.

Spojrzeliliśmy na siebie, próbując jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

Nie udało się.

– Może zdarzy się coś nowego, niespodziewanego? – rzekła z nadzieją.

Nasuwała mi się cała masa bezładnych odpowiedzi, ale ona mówiła dalej:

– Cóż szkodzi o tym pomyśleć? Nic przecież nie tracimy.

– Nic z tego nie wyjdzie. Zbyt wiele jest ciebie we mnie.

Jej oczy zwilgotniały.

– Cóż więc mogę zrobić?

– Życzę dobrego szlifowania – odwróciłem się i odszedłem.

Zawołała za mną.

Przystanąłem i obejrzałem się. Stała z rękami na biodrach. Wyglądała jak

mała dziewczynka pozostawiona bez opieki. Łzy spływały jej po twarzy.

Odszedłem. Nie można mieć wszystkiego.

Postanowiłem, że cały dzień spędzę na jakimś spokojnym zajęciu, bo

inaczej oszaleję. Udałem się do biomedycznej biblioteki na uniwersytecie w

poszukiwaniu książek potrzebnych do mojego artykułu. W katalogu

komputera znalazłem dużo materiału, ale potem okazało się, że niezbyt

pasuje on do tego tematu. Pracowałem do południa, lecz nie osiągnąłem

wiele.

Po wyjściu z budynku biblioteki znalazłem budkę telefoniczną i

połączyłem się ze swoją domową automatyczną sekretarką. Było sześć

pozostawionych wiadomości, żadnego pilnego przypadku ani telefonu z San

Labrador. Załatwiłem wszystkie telefony i pojechałem do Westwood Village.

Zapłaciłem słono za parking i znalazłem małą kawiarenkę. Przeczytałem

gazetę, przeżuważając kurczaka.

Kiedy dotarłem do domu, była już trzecia. Obejrzałem staw. Troszeczkę więcej ikry, ale mniej ryb.

Rozrzuciłem pożywienie. Zebrałem parę liści. Trzecia dwadzieścia.

Następne pół godziny zabrało mi pobieżne posprzątanie domu.

Poszedłem do gabinetu i zacząłem pracę nad artykułem. Szło mi nadzwyczaj gładko. Dopiero po dwóch godzinach oderwałem oczy od zapisanych kartek papieru.

Myślałem o Robin. Wiadomo – siła przyzwyczajenia.

Pasowaliśmy do siebie...

Ogrom samotności zmusił nas do zbliżenia się.

Haczyk wędki.

Muszę pracować.

Reakcja obronna.

Chwyciłem za pióro i skupiłem się na jednej, jedynej myśli. Praca, praca, praca... Była siódma, kiedy wstałem od biurka. Zadzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę.

– Delaware! – usłyszałem podniesiony głos Melissy.

– Co się stało?

– Matka!

– Co z nią?

– Zniknęła! O Boże! Musisz mi pomóc. Nie wiem, co robić!

– Dobrze. Uspokój się i opowiedz wszystko dokładnie.

– Ona zniknęła! Zniknęła! Nie mogę jej nigdzie znaleźć. Nie ma jej w domu ani w ogrodzie. Przeszukałam każdy zakamarek, wszyscy szukali.

– Jak długo jej nie ma?

– Od wpół do trzeciej! Pojechała do kliniki, gdzie była umówiona na godzinę trzecią. Miała wrócić o piątej trzydzieści, a już jest... cztery po siódmej. Oni też nie wiedzą, gdzie się podziała. O Boże!

– Jacy oni?

– Gabneyowie. Tam właśnie pojechała, miała uczestniczyć w sesji terapeutycznej... od trzeciej... do piątej. Zwykle jeździła z Donem... albo z kimś innym. Sama raz ją zawiozłam. – Zakrztusiła się, jakby nie mogła złapać oddechu.

– Jeśli tracisz oddech, weź papierową torebkę i oddychaj w nią wolno.

– Nie... nie, już dobrze. Muszę ci powiedzieć... wszystko.

– Słucham.

– Tak, tak. Na czym to skończyłam? O Boże!

– Zwykle ktoś z nią jedzie, ale tym razem...

– Miał ją zawieźć Don, ale koniecznie chciała jechać sama! Nalegała!

Mówiłam jej, że to nierozsądne, ale uparła się, że sobie poradzi!

Wiedziałam, że tak będzie, i miałam rację! A ja nie chcę mieć racji! Nie obchodzi mnie moja racja i własne zdanie! O Boże, chcę tylko, żeby wróciła i żeby było wszystko jak dawniej!

– Czy pojawiła się w klinice?

– Nie! A oni do nas zadzwonili dopiero o czwartej. Powinni byli natychmiast dać znać, prawda?

– Ile czasu zajmuje droga do kliniki?

– Dwadzieścia minut. Najwyżej. Przeznaczała na to zwykle pół godziny.

Powinni byli się domyślić, kiedy ona... Gdyby zadzwonili od razu, znacznie pręcej rozpoczęlibyśmy poszukiwania. Nie ma jej od ponad czterech godzin. O Boże!

– Może zmieniła zdanie i pojechała gdzie indziej?

– Gdzie mogła pojechać?

– Nie wiem, ale po rozmowie z twoją matką jestem przekonany, że mogła postąpić wbrew dotychczasowym zwyczajom. Nie jest to wyjątkowy przypadek, że pacjent pragnie zmierzyć się ze swoimi lękami na własną rękę, samotnie.

– Nie! – wykrzyknęła. – Nie zrobiłaby tego, a jeśli nawet, to

zawiadomiłaby mnie. Wie, że bym się zamartwiała. Don też. A nie

powiedziała mu ani słowa. Don wezwał policję, ale nie znaleźli ani jej, ani samochodu...

– Czy wzięła rolls-royce'a?

– Tak...

– Więc nie będzie trudno ją znaleźć nawet w San Labrador.

– To dlaczego nikt jej nie widział? Jakże to możliwe, że nikt jej nie widział?

Przypomniałem sobie opustoszałe ulice.

– Jestem pewien, że ktoś ją zauważył. To stary samochód. Nawet rolls-royce może się zepsuć.

– Niemożliwe. Noel dba o to, żeby samochody były we wzorowym stanie.

A nawet gdyby coś się stało, to by zadzwoniła. Ona jest jak dziecko. Nie ma szans na przeżycie, nigdy nie była zdana na samą siebie. O Boże, a jeśli miała

atak za kierownicą i samochód stoczył się do rowu? Jeśli teraz leży gdzieś i

potrzebuje pomocy? Ja tego dłużej nie zniosę. Już nie mogę, nie mogę!

Zaszlochala tak głośno, że odruchowo odsunąłem słuchawkę od ucha.

Usłyszałem, jak z trudem łapie powietrze.

– Melisso...

– Ja jestem... mdleję... nie mogę... oddychać...

– Odpręż się – rozkazałem. – Możesz oddychać. Potrafisz świetnie

oddychać. Oddychaj. Oddychaj spokojnie.

Zakrztusiła się.

**– Oddychaj. Oddychaj. Wdech... wydech. Wdech... wydech. Czujesz, jak
mięśnie rozluźniają się. Czujesz się zrelaksowana, wypoczęta. Rozluźnij się.**

– Ja...

– Rozluźnij się, Melisso. Nic nie mów, tylko oddychaj i rozluźnij się.

Coraz głębiej i głębiej – wdech... wydech. Wdech... wydech. Twoje ciało

staje się ciężkie, coraz bardziej rozluźnione. Pomyśl o przyjemnych

rzeczach, że twoja matka stoi w drzwiach. Nic jej nie jest. Wszystko dobrze

się skończyło.

– Ale...

– Słuchaj mnie. Rób, co mówię. Twój zły nastrój jej nie pomoże. Musisz

być w jak najlepszej formie, więc oddychaj i rozluźnij się. Siedzisz

wygodnie?

– Nie, ja...

– Znajdź sobie krzesło i usiądź.

– Dobrze.

– Teraz rozsiądź się wygodnie, tak jak lubisz. Rozluźnij wszystkie mięśnie. Oddychaj rytmicznie i głęboko. Każdy oddech sprawia, że coraz bardziej i bardziej się rozluźniasz.

Cisza.

– Melissa?

– Już dobrze... czuję się dobrze.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Tak – wyszeptała.

– Musisz trochę poczekać. To zajmie nie więcej niż pół godziny.

– Dobrze.

– Wytrzymasz? Pozostanę przy telefonie, aż się uspokoisz.

– Nie... Już mi lepiej. Przyjedź prędko. Proszę.

– Już jadę.

Rozdział trzynasty

Po ciemku puste ulice wydawały się jeszcze bardziej samotne. Kiedy wjechałem w Sussex Knoll, we wstecznym lusterku pojawiły się dwa reflektory i pozostały tam. Lśniły jak księżyc. Kiedy skręciłem w bramę z numerem „10”, nad dwoma białymi światłami zamigotało czerwone.

Zahamowałem i wyłączyłem silnik. Pozostałem w samochodzie. Odezwał się głos wzmocniony megafonem:

– Proszę wysiąść.

Uczyniłem to. Radiowóz otarł się prawie o mój tylny zderzak i stał z włączonym kogutem. Poczulem zapach benzyny i gorąco bijące od silnika policyjnego wozu. Czerwień migotała na mojej białej koszuli.

Drzwi do strony kierowcy otworzyły się i wysiadł policjant. Jedną rękę trzymał w pogotowiu na biodrze. Był wysoki i miał szerokie bary. Coś podniósł. Światło latarki oślepiło mnie i odruchowo przesłoniłem oczy. Ręce wysoko w górę, żebym je widział. Podniosłem ręce. Światło przesunęło się po mnie. Zmrużyłem oczy.

– Jestem Alex Delaware, lekarz Melissy. Oczekują tu mnie. Policjant podszedł bliżej. Skierował swój halogen na bramę. Z ciemności wynurzył się młody, biały mężczyzna. Kapelusz miał głęboko wciśnięty na czoło.

– Kto pana oczekuje? – Zniżył snop światła na moje spodnie.

– Rodzina.

– Jaka rodzina?

– Dickinson-Ramp. Melissa Dickinson zawiadomiła mnie o tym, co się wydarzyło, i natychmiast przyjechałem. Czy pani Ramp się pojawiła?

– Jak się pan nazywa?

– Delaware. Alex Delaware. – Ruchem, głowy wskazałem domofon. –

Czemu pan nie zadzwoni i nie sprawdzi?

Zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Mogę opuścić ręce?

– Proszę przejść tutaj i położyć ręce na bagażniku. – Nie spuszczając ze mnie wzroku, podszedł do domofonu. Rozległ się głos Dona Rampa:

– Słucham?

– Mówi Skopek, z policji San Labrador. Jestem przy pana bramie.

Mam tu człowieka, który podaje się za przyjaciela rodziny.

– Kto to?

– Pan Delaware.

– Ach, tak. W porządku. Dziękuję.

Ktoś obok odezwał się głośnym i rozkazującym tonem:

– Coś jeszcze, Skopek?

– Melduję, że nie.

– Trzymaj oczy szeroko otwarte.

– Tak jest. – Skopek wyłączył latarkę.

Brama poczęła się wolno otwierać.

Uruchomiłem silnik i wrzuciłem pierwszy bieg. Policjant wsadził głowę przez okno.

– Przepraszam za opóźnienie – rzekł bez cienia żalu.

– Takie rozkazy?

– Właśnie.

Jupitery, reflektory halogenowe i latarnie rozmieszczone pomiędzy drzewami tworzyły scenerię, której nie powstydzilby się Walt Disney. Przed willą stał wielki buick sedan. Miał boczne szperacze i długie anteny.

Otworzył mi Ramp ubrany w niebieski blezer, szare flanelowe spodnie, koszulę w białe paski, z apaszką. Pomimo elegancji, wyglądał na zmęczonego i podenerwowanego.

Przywitał się ze mną, nie podając mi ręki. Natychmiast odszedł i sam musiałem zamknąć drzwi.

Skierowałem się do holu. Jakiś mężczyzna stał przed zielonymi schodami. Pstrykał palcami. Kiedy zbliżyłem się, podniósł wzrok i przyjrzał mi się.

Miał około sześćdziesięciu lat. Metr osiemdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany, z wydatnym brzuchem, krótkie, szpakowate, błyszczące włosy, pospolite rysy, szeroka twarz koloru surowej wątroby. Nosił okulary w stalowych oprawkach, kształtna broda okalała małe, mięsiste wargi. Ubrany był w szary garnitur, kremową koszulę, krawat w szaro-czarne prążki z wpiętą wolnomularską szpilą. W klapie znaczek z flagą amerykańską. Pager przypięty do paska. Ogromnych rozmiarów półbuty.

Wciąż bacznie mi się przyglądał.

– Doktorze, to jest szef naszej policji, Clifton Chickering. Doktor Delaware, psychiatra Melissy.

Po oczach Chickeringa poznałem, że byłem tematem ich rozmowy. Po następnym, ironicznym spojrzeniu wiedziałem już, jakie ma zdanie o psychiatrach. Domyśliłem się, że zmieniając moją profesję na psychologa, nie zyskam jego przychylności, jednak wyjaśniłem, że jestem psychologiem, nie psychiatrą.

– Doktorze – Chickering spojrział na Rampa, który skinął głową – czemu, do diabła, nie powiedział pan, że ten bandyta jest w mieście?

– McCloskey?

– Czy wiadomo panu o innym zbirze, który zagraża mojej żonie? – wtrącił Ramp.

– Melissa prosiła mnie o zachowanie tajemnicy. Musiałem spełnić jej życzenie.

– Na Boga! – Ramp odwrócił się i począł nerwowo chodzić po holu.

– Czy zna pan powód, dla którego kazała trzymać to w tajemnicy? –

zapytał Chickering.

– Czemu sam pan jej nie zapyta?

– Zrobiłem to. Powiedziała, że nie chciała niepokoić matki.

– To jest właśnie odpowiedź.

Chickering zaburczał coś pod nosem. Spojrzał na mnie z bezsilnym gniewem.

– Mnie mogła powiedzieć. – Ramp zatrzymał się. – Na miłość boską, gdybym wiedział, nie doszłoby do tego.

– Czy są jakieś dowody, że w zaginięciu wmieszany jest McCloskey?

– Mój Boże! – wykrzyknął Ramp. – On się zjawił, a ona zniknęła. Czego trzeba więcej?

– On jest w mieście od sześciu miesięcy.

– Jednak moja żona pierwszy raz samotnie opuściła dom. Zaczaił się gdzieś i napadł na nią.

Zwróciłem się do Chickeringa.

– Z tego, co widzę, trzymał pan rękę na pulsie. Czy jest zatem możliwe, że przez całe sześć miesięcy McCloskey kręcił się po sąsiedztwie niezauważony?

– Nie sądzę – odrzekł policjant. – Prawda, Don? Jeśli jednak maczał w tym palce, przyskrzynimy ptaszka.

– Cliff, skąd ta pewność? Przecież go jeszcze nie masz! – zapytał z irytacją Ramp.

Chickering zmarszczył brwi.

– Mamy jego adres i wszystkie dane. Przyskrzynimy go bez trudu.

– A jeśli się gdzieś ukrył? Co wtedy?

– Don – odparł Chickering. – Rozumiesz...

– Nie, nie rozumiem! – zawołał Ramp. – Na co nam jego cholerny adres, kiedy pewnie zaszył się w gdzieś i zaciera ręce z uciechy!

– To typ zwykłego rzezimieszka. Tacy wracają na miejsce zbrodni. Ramp spojrział na niego z pogardą i znów zaczął chodzić tam i z powrotem.

Chickering nie dawał za wygraną.

– Powiadomiliśmy policję stanową, okręgową i posterunki w Pasadenie i w Glendale. We wszystkich komputerach patroli w całym stanie są dokładne informacje. Tablice rejestracyjne rolls-royce’a są na listach poszukiwanych samochodów. Niestety, McCloskey nie ma własnego auta, ale wszystkie podejrzane wozy są sprawdzane.

– Ile jest samochodów na liście poszukiwań? Dziesięć tysięcy?

– Każdy policjant go szuka.

Ramp, nie zwracając uwagi na jego słowa, wciąż chodził.

Chickering zwrócił się do mnie.

– Powinien był pan powiedzieć mi o McCloskeyu.

– Powinien był, do cholery! – zaklął Ramp.

– Rozumiem, co panowie o mnie myślą, ale nie miałem wyboru. Melissa jest już dorosła.

– Dorosła? Ona dorosła? – zawołał Ramp.

– Don, to nie twój interes! – rozległ się z góry schodów ostry głos. To była Melissa. Ubrana w męską koszulę i dżinsy. Włosy w nieładzie.

Zeszła pewnym krokiem, wymachując rękoma jak żołnierz.

– Melisso... – wykrztusił Ramp.

Stała przed nim z głową wysoko uniesioną, z zaciśniętymi piąstkami.

– Zostaw go w spokoju. On nic nie zawinił. To ja mu kazałam. Nic nie mówił, bo mnie posłuchał, więc się odczep.

Ramp poczerwieniał.

– To już wiemy...

– Zamknij się, do cholery! Nie chcę słyszeć tych bredni! – wrzasnęła

Melissa.

Ramp pobladł. Poczęły mu drżeć ręce.

– Nie powinna się panienka tak denerwować – rzucił nieśmiało

Chickering.

Melissa odwróciła się do niego i pogroziła mu pięścią.

– Nie waż się mówić, co mam robić. Powinieneś wykonywać swoje obowiązki. Masz starać się, żeby twoi przyglupi gliniarze znaleźli mamę, a nie przesiadywać z nim tutaj, popijając naszą whisky.

Oblicze Chickeringa nabrzmiało nienawiścią, potem blado się uśmiechnął.

– Melisso! – rzekł Ramp.

– Melisso! – powtórzyła, naśladowując jego gniewny ton. – Nie mam czasu na te bzdury! Macie znaleźć moją matkę. Więc nie szukajcie kozła ofiarnego.

– To właśnie czynimy – odparł Chickering.

– W jaki sposób? Patrolując okolice? Ona nie jest już w San Labrador.

Gdyby była, już by ją znaleziono.

Zapadła cisza, a potem Chickering zapewnił solennie:

– Robimy wszystko, co w naszej mocy.

Zabrzmiało to nieprzekonywająco. Wiedział to. Popatrzył na Rampa, polem na Melisę.

Zapiął przyciasną marynarkę i zwrócił się do Rampa:

– Mogę zostać tu tak długo, jak sobie życzysz, ale lepiej będzie, jeśli osobiście pokieruję poszukiwaniami.

– Oczywiście – rzekł Rampa.

– Odnajdziemy ją. Możesz być spokojny.

Don wzruszył ramionami i odszedł. Zniknął w tylnej części domu.

– Miło mi było pana poznać, doktorze. – Palcem, niby lufą rewolweru, wskazał na Melisę i rzekł: – Żegnam, panienko.

Wyszedł na dwór. Kiedy drzwi zatrzęsły się, Melissa westchnęła:

– Idiota. Każdy wie, że to idiota. Każde dziecko się z niego wyśmiewa w San Labrador nie ma przestępstw, więc nie ma wiele do roboty. Policja zaczepia ludzi, którzy nie wyglądają na bogaczy.

Mówiła szybko i pewnie. Z paniki, którą słyszałem w jej głosie, gdy do mnie zadzwoniła, nie pozostało ani śladu.

– Tak to jest w małym mieście – zauważyłem.

– To jest prawdziwa dziura. Nic się tu nie dzieje – spuściła głowę – tylko że tym razem to moja wina. Powinna była powiedzieć jej o nim.

– Niema żadnego dowodu, że to McCloskey. Niemożliwe, żeby ktoś się tu kręcił i pozostał niezauważony.

– Tak. Chyba masz rację. Ale gdzie ona jest? Co się stało?

– Możliwe, że nic jej nie jest, że wypuściła się gdzieś samotnie.

– Innymi słowy – uciekła?

– Może wybrała się na przejażdżkę, a potem postanowiła ją przedłużyć.

– Niemożliwe! – pokręciła gwałtownie głową. – Niemożliwe!

– Kiedy rozmawiałem z twoją matką, odniosłem wrażenie, że się nad czymś poważnie zastanawia – może zapragnęła trochę wolności?

Wciąż potrząsając głową, odwróciła się.

– Rozprawiała o milowych krokach, jakie pragnie uczynić, o tym, że stoi przed otwartymi drzwiami i chce przekroczyć ich próg. Że nie czuje się najlepiej w tym domu. Myślała o przeprowadzce, ale dopiero po twoim wyjeździe.

– Nie! Niczego ze sobą nie wzięła. Sprawdziłam jej pokój. Są wszystkie walizki. Znam każdą jej sukienkę. Nie wzięła żadnych ubrań.

– Nie powiedziałem, że to wcześniej świadomie zaplanowała. To mogło pojawić się spontanicznie. Poddawała się impulsowi.

– Nie. Ona jest bardzo ostrożna. Nie zrobiłaby mi tego.

– Mama bardzo cię kocha, ale mogła... odurzyć się nieoczekiwalnością.

Chciała poczuć, że może decydować o sobie. Kiedy wsiadła do swego ulubionego auta, poczuła się wolna i pojechała, gdzie oczy poniosą. To nie ma nic wspólnego z miłością do ciebie. Czasem, kiedy przychodzi coś nowego, zmiany mogą następować lawinowo.

Zagryzła wargi, ledwo powstrzymując wybuch płaczu.

– Naprawdę myślisz, że nic jej nie jest?

– Musimy zlokalizować jej miejsce pobytu, ale nie zakładajmy najgorszego.

Parę razy odetchnęła głęboko.

– Poczula się wolna i pojechała wprost przed siebie. – Zamyśliła się. –

Nie, nie rozumiem. Ona by tego nie zrobiła.

– Mama cię kocha, ale...

– Tak. Kocha mnie, a ja chcę, żeby wróciła!

Usłyszeliśmy kroki. Ukazał się Ramp.

Melissa przyjęła groźną postawę.

– Bardzo mi przykro. Nie ma sensu kogokolwiek oskarżać. Proszę mi

wybaczyć, jeśli pana uraziłem.

– Nic nie szkodzi.

Melissa odwróciła wzrok.

Ramp podszedł do mnie, uścisnął mi rękę i rzekł do Melissy:

– Wiem, co czujesz... ale jesteśmy razem. Musimy współpracować, żeby

ją odzyskać...

Nawet na niego nie spojrzała.

– Czego ode mnie chcesz?

Oniemiał. Chciał być dobrym ojcem, a ona go zignorowała.

– Wiem, że Chickering nie jest najinteligentniejszy, nie mam do niego

więcej zaufania niż ty. Więc połączmy siły. Na miłość boską, razem jesteśmy

w stanie coś przedsięwziąć.

Wyciągnął obie ręce i zastygł bez ruchu. Na jego twarzy malowało się

nieudawane cierpienie. Chyba, że był lepszym aktorem niż Laurence Olivier.

– Jak tam sobie chcesz – odparła niewzruszenie.

– Powinniśmy czuwać przy telefonie. Czy coś do picia, doktorze?

– Kawę, jeśli pan tak miły.

– Naturalnie.

Poszliśmy za nim do tylnego pokoju z oszklonymi drzwiami i belkowanym sufitem. Ogród za oknem, trawniki i kort tenisowy były oświetlone. Basen emanował szafirową poświatą.

Ramp chwycił za słuchawkę.

– Proszę kawę do tylnego pokoju. Trzy filiżanki. – Po czym zwrócił się do mnie: – Proszę się rozgościć.

Usiadłem w wygodnym krześle. Melissa oparła się o krzesło obok.

Ramp stał. Twarz mu stężała.

Chwilę później weszła Madeleine i bez słowa postawiła tacę z kawą.

Ramp podziękował, odprawił ją i sam napełnił filiżanki. Czarna dla mnie i dla niego, dla Melissy ze śmietanką i cukrem. Wzięła do ręki filiżankę, ale nawet nie umoczyła ust.

Ramp i ja łyknęliśmy kawy.

– Zadzwoń jeszcze raz do Malibu – rzekł Ramp. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odczekał chwilę i nacisnął widelki. Czynił to nadzwyczaj spokojnie, jakby delikatne obchodzenie się z aparatem mogło spodobać się jakiemuś nieznanemu bóstwu, które odpowiadało za całe zajście.

– Co jest w Malibu? – zapytałem.

– Nasz... domek letniskowy Giny. Nad samą plażą. Tylko to przyszło mi do głowy.

– To idiotyczne. Ona nienawidzi wody – rzekła Melissa.

Ramp znów podniósł słuchawkę, wykręcił numer, odczekał chwilę i

wyłączył się.

Napiliśmy się kawy. Melissa odstawiła filiżankę.

– To nie ma sensu.

Zanim Ramp zdołał wykrztusić słowo, zadzwonił telefon. Melissa rzuciła się pierwsza.

– Tak, ale najpierw ja muszę o tym wiedzieć... Tak, do cholery, tylko ja za to odpowiadam... Co! Och, nie – to bez sensu. Jakże może być pan pewien?

To bez sensu... Nie, mogę sama... Nie, to ty mnie posłuchaj, ty...

Otworzyła usta i rzuciła słuchawkę.

– Wyłączył się.

– Kto?

– Chickering! Ten kretyn po prostu się wyłączył!

– Co mówił?

Wciąż patrzyła z niedowierzaniem na telefon.

– McCloskey, Znaleźli go. Był w Los Angeles. Policja go tylko przesłuchała i puściła wolno!

– Chryste! – Ramp wykręcił numer trzęsącymi się palcami. Rozluźnił kołnierzyk i uśmiechnął się przepaszająco. – Cliff? Mówi Don Ramp.

Melissa powiedziała, że... Rozumiem... Wiem. Jest taka. Bardzo mi przykro, ale... Dobrze. Wiem, wiem. Tak, tak... – Zmarszczył czoło i pokiwał głową. –

Jak to było? Aha... aha... Jakże możesz być pewien? To jest skończony bandyta... Tak... Tak, ale... Są przecież jakieś sposoby... Dobrze, tak zrobię.

Dziękuję. Będziemy w kontakcie.

– Przepaszal za odłożenie słuchawki – powiedział Ramp do Melissy. –

Poszukiwania twojej mamy nie ustają, a ty... ty go wciąż obrażasz. Chce, żebyś wiedziała, że robi wszystko, żeby ją znaleźć.

Oczy Melissy nabiegły łzami.

– Mieli go i wypuścili...

Ramp przytulił ją do siebie. Nie protestowała. Okropnie pobladła.

Bezsilna. Zdradzona. Więcej życia jest w twarzach figur woskowych.

– Na komisariacie wyjaśniono, co robił przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Nie było podstaw, żeby go choćby tymczasowo aresztować. Musieli go zwolnić. Zgodnie z prawem.

– Idioci – mruknęła. – Cholerni idioci! Nie musiał robić tego osobiście, on wynajmuje zbirów, żeby za niego wykonywali brudną robotę.

Wyrwała się Rampowi, ukryła twarz w dłoniach i wybuchła spazmatycznym płaczem. Ramp spojrział na mnie.

Zbliżyłem się do Melissy. Stała odwrócona plecami, przy ścianie.

Wyglądała jak dziecko odbywające karę. Pochlipywała.

Ramp przygarbił się.

Obaj wiedzieliśmy, że potrzebowała ojca, ale żaden z nas nie pasował do tej roli.

W końcu uspokoiła się, lecz wciąż stała pod ścianą.

– Trudno mieć zaufanie do Chickeringa. Może więc sprowadzić prywatnego detektywa? – zaproponowałem.

– Twojego przyjaciela! – zawołała Melissa.

Ramp spojrział na nią ze zdziwieniem. Popatrzyła na mnie i rzekła:

Wytłumacz mu.

– Wczoraj z Melissa uzgodniliśmy, że zatrudnimy detektywa do śledzenia

McCloskeya. Mam odpowiedniego człowieka. Zgodził się zająć sprawą.

Prawdopodobnie może również pomóc w poszukiwaniach pana żony. Jeśli ją odnajdziemy, sprawa McCloskeya wciąż pozostaje aktualna. Naturalnie jestem pewien, że pana adwokaci też kogoś zaproponują...

– Nie – wtrąciła Melissa. – Ja chcę twojego przyjaciela. Liczy się czas.

Ramp rzucił spojrzenie na Melissę, a potem na mnie.

– Nie wiem, z czyich usług korzystają moi adwokaci. Nigdy nie mieliśmy takich problemów. Czy ten pański przyjaciel naprawdę jest taki dobry?

– On już powiedział, że jest dobry. Chcę go i mu zapłacę – orzekła

Melissa.

– To nie będzie konieczne. Ja zapłacę.

– Nie, ja. Ona jest moją matką i będzie, jak mówię.

Ramp westchnął.

– Pomówimy o tym później. Może tymczasem zechciałby pan zadzwonić do swego znajomego?

Znowu odezwał się telefon. Tym razem Ramp był pierwszy.

– Słucham. Dzień dobry, pani doktor... Niestety, jeszcze nie... Tak, rozumiem...

Melissa wycodziła przez zaciśnięte zęby:

– To jej wina. Gdyby zadzwoniła od razu, wcześniej rozpoczęlibyśmy poszukiwania.

Ramp zakrył ucho.

– Proszę? Źle słyszę... Och, to bardzo ładnie z pani strony. Nie, nie ma

żadnej potrzeby... Chwileczkę. – Zasłonił słuchawkę dłonią i spojrzął na

mnie. – To Cunningham-Gabney, powiedzcie jej, żeby przyjechała?

– Czy ma jakieś informacje, które pomogą ustalić miejsce pobytu pani

Ramp?

– Niech pan sam ją o to zapyta. – Wręczył mi słuchawkę.

– Mówi Alex Delaware.

– A, pan Delaware. Jestem bardzo poruszona dzisiejszym wypadkiem.

– Czy Melissa i jej matka posprzeczały się?

– Czemu pani pyta?

– Rano zadzwoniła do mnie Gina. Była bardzo zaniepokojona, ponieważ

Melissa spędziła noc w towarzystwie jakiegoś chłopca.

– Bardzo możliwe, ale chyba to mało istotna okoliczność.

– Doprawdy? Każdy stresogenny czynnik mógł poważnie rozstroić Ginę.

Melissa patrzyła mi prosto w oczy.

– Więc może się spotkamy, żeby przedyskutować wszystkie okoliczności,

które mogą wyjaśnić sprawę?

Milczenie.

– Ona tam jest, prawda?

– Tak.

– Dobrze, ale pojawiając się tam, tylko sprowokuję ją do wypowiedzania

inwektyw pod moim adresem. Może raczej pan przyjedzie do mojego biura?

– W porządku – odparłem. – Jeśli Melissa się zgodzi.

– To dziecko zbyt się szarogęsi – syknęła.

– Możliwe, ale nie narzekam na to.

– Dobrze. Proszę więc ją zapytać.

Zakryłem mikrofon słuchawki.

– Co powiesz na to, żebym się z nią spotkał? W klinice. Dowiedziałbym się więcej szczegółów. Może wpadnę na jakiś ślad?

– Dobry pomysł – wtrącił Ramp.

– Pewnie – rzekła gorzko Melissa – możesz jechać.

– Zostanę tak długo, jak tylko zechcesz.

– Nie, nie. Jedź natychmiast. Nic mi nie będzie.

Podniosłem do ust słuchawkę.

– Będę za pół godziny, pani Cunningham-Gabney.

– Mów mi Ursula. Nie czas na grzeczności. Wiesz, jak tu trafić?

– Melissa mi powie.

– Czekam.

Przed wyjściem zadzwoniłem do Mila. Nie było go w domu. Na automatycznej sekretarce był nagrany głos Ricka. Ciekawe, czy podziękuje mi za wprowadzenie go w wielki świat. Zostawiłem wiadomość, że w ciągu najbliższych paru godzin będę w klinice Gabneyów, a potem pojedę do domu.

Kiedy zbierałem się do wyjścia, zadźwięczał dzwonek u drzwi. Melissa wybiegła z pokoju. Ramp podążył za nią. A ja za nim.

W drzwiach stał czarnowłosy dwudziestoletni chłopak. Wszedł do środka. Zrobił taki ruch, jakby chciał objąć Melissę, ale powstrzymał go widok Rampa.

Był niewysoki i bardzo szczupły, o oliwkowej karnacji. Miał pełne usta,

duże piwne oczy i gęste brwi. Włosy kręcone, krótko ostrzyżone. Był ubrany w marynarkę, ciemne spodnie, białą koszulkę i czarny, szeroki krawat. W rękę trzymał kluczyki od samochodu. Rozejrzał się nerwowo.

– Coś nowego?

– Nie, nic – odparła Melissa.

Zrobił krok w jej stronę.

– Dzień dobry, Noelu – rzekł Ramp.

Chłopiec spojrział na niego.

– Dzień dobry, dzisiaj jest mały ruch i Jorge sam daje sobie radę. Melissa chwyciła go za rękaw.

– Chodź, jedziemy.

– Gdzie chcecie jechać? – zapytał Ramp.

– Poszukać jej – odparła Meiissa.

– Czy myślsz, że...

– Tak, myślę. Idziemy. – Pociągnęła Noela za sobą.

Chłopiec posłał Rampowi błagalne spojrzenie.

Ramp zerknął na mnie. Milczałem jak sfinks.

– No dobrze, masz wolny wieczór. Bądźcie jednak ostrożni...

Zanim skończył, już ich nie było.

– Chce się pan czegoś napić?

– Nie, dziękuję. Jadę do kliniki.

– Tak, oczywiście.

– To niełatwy kawałek chleba – rzekłem.

– Melissa jest naprawdę bardzo bystra, aż czasem trudno to znieść.

– Słyszałem, że leczył pan ją w dzieciństwie.

– Tak, to prawda. Przez dwa lata.

– Dwa lata – powtórzył machinalnie. – Więc spędził z nią pan więcej czasu niż ja. I pewnie zna ją pan lepiej ode mnie.

– To było dawno temu. Poznałem ją od innej strony.

Pogładził wąsy i poprawił kołnierzyk.

– Ona nigdy mnie nie zaakceptowała i prawdopodobnie nigdy tego nie uczyni.

– Może się zmieni.

– Doprawdy?

Otworzył drzwi i ukazał się nam krajobraz jak z Disneya. Powiało zimną bryzą. Zdałem sobie sprawę, że nie zapytałem Melissy o drogę do kliniki.

– Nie ma sprawy – odrzekł Ramp na moje pytanie. – Znam tę drogę na pamięć. Wiele razy jeździłem tam z Giną.

Rozdział czternasty

W drodze do Pasadena przyglądałem się podjazdom mijanych domów, przeszukiwałem wzrokiem zakamarki i zaciemnione uliczki.

Odruch bezwarunkowy, nieracjonalny, ponieważ po San Labrador krążyły patrole policyjne. I to one, o wiele lepiej niż ja, prowadziły poszukiwania. Jeden z radiowozów jechał za mną przez jakiś czas, zanim zorientowano się, że nikomu nie zagrażam.

Ulice były opustoszałe. Miasto umarłych.

Domy,

które

nie

zdradzają

swoich

sekretów

przypadkowym

przyjeźdnym. W którym z nich ukryty był sekret Giny?

Chociaż dodawałem otuchy Melissie, sam nie byłem przekonany do teorii o nagłych wakacjach z dala od domu i rodziny.

Z tego, co zdążyłem zauważyć, Gina była zbyt słaba, zbyt krucha, żeby unieść ciężar spotkania z rzeczywistym światem.

Nie ustawałem w poszukiwaniach, które odradzał rozum, ale nakazywały przeczucia.

Klinika Gabneyów zajmowała wielki teren na pograniczu bogatej dzielnicy mieszkaniowej i kwartału sklepów, sklepików i restauracji. Kiedyś był to budynek mieszkalny. Miał dwie kondygnacje. Przed kliniką rozciągał się wspaniały trawnik. Bujny pas zieleni osłaniały trzy gigantyczne sosny. Na ganek rzucał cień drewniany, nadzwyczaj szeroki okap. Ściany i okna ozdobione były drewnianymi płaskorzeźbami. Dach wystrzelał wysoko w niebo. Całość była oryginalnym połączeniem drewna i czerwonej cegły.

Żadnej informacji o klinice.

Od frontu posesję odgradzał niski murek z wjazdem bez bramy. Po lewej stronie był drugi wjazd. Jego wąska, drewniana brama była uchylona. Zaraz za nią stał biały saab turbo 9000, który uniemożliwiał zaparkowanie drugiego pojazdu. Pozostawiłem swój samochód na ulicy – Pasadena była

bardziej tolerancyjna niż San Labrador – i w dalszą drogę wyruszyłem pieszo.

Na drzwiach domu znajdowała się biała porcelanowa tabliczka o długości sporego cygara, z wymalowanym czarnymi wersalikami napisem GABNEY, i kołatka w kształcie głowy lwa, trzymającego w zębach żelazny pierścień.

Zastukałem.

Chwilę potem na ganku zapaliła się lampa i otworzyły się drzwi. Przedemną stała Ursula Cunningham-Gabney. Miała na sobie ciemnoczerwoną sukienkę z wysokim, falbaniastym kołnierzem. Buty na wysokim obcasie podkreślały jej szczupłą sylwetkę.

Krótkie ścięte włosy, które pamiętałem ze zdjęcia, zastąpiła długa, jasnobrązowa grzywa. Na szyi miała perłową kolię. Piersi kształtne, nie za duże, a nogi bardzo, bardzo długie. Jej twarz wydała mi się młodsza i ładniejsza niż na zdjęciu. Ursula nie miała więcej niż trzydzieści lat. Ładna szyja, łagodnie zarysowana broda, wielkie orzechowe oczy. Choć jej twarz nie potrzebowała makijażu, była umalowana. Usta podkreślone miała czerwoną szminką.

– Pan Delaware? Proszę wejść.

– Alex – odrzekłem. – Zapomniałaś?

– Oczywiście, Alex. – Uśmiechnęła się przepaszająco. Wprowadziła mnie do wielkiego holu. Parkiet na podłodze, lśniąca dębowa boazeria. Hol był obwieszony płótnami z nastrojowymi pejzażami Kalifornii – żadna galeria nie powstydzilaby się takiej kolekcji. Pomiędzy oknami wisiał zegar z wielką tarczą.

Po lewej stronie znajdował się duży pokój gościnny. Przez uchylone drzwi widać było dębowe ściany i inne obrazy – Park Narodowy Yosemite, Wielki Kanion, wybrzeże Monterey. Czarne krzesła z wysokimi oparciami ustawione były w krąg. Ciężkie zasłony zakrywały okna. Na prawo znajdował się pokój, który niegdyś był zapewne jadalnią, a teraz pełnił rolę poczekalni, z paroma kanapami i stolikiem z kolorowymi pismami.

Ursula szła pewnym, szybkim krokiem. Unosił się za nią zapach perfum.

Nic do siebie nie mówiliśmy.

Przystanęła i otworzyła drzwi.

Weszliśmy do pokoju, który kiedyś prawdopodobnie należał do służby.

Był niewielki, słabo oświetlony, z szarymi ścianami i niskim sufitem. Stały tu dwa biurowe krzesła o długich wygodnych oparciach, standardowe biurko i trzy długie półki z książkami. Ścianę po lewej stronie pokrywały dyplomy i świadectwa. Pojedyncze okno było zasłonięte szarą firanką.

Obok półek wisiał jeden jedyny obraz: Cassat w ozdobnych ramach.

Pastelowe barwy. Matka z dzieckiem.

Wczoraj widziałem podobne płótno tej samej malarki w innym, również szarym, skąpo umeblowanym pokoju.

Czyżby zdublowanie wystroju gabinetu dla lepszego efektu terapii? A może powinowactwo dusz?

Ursula usiadła za biurkiem. Założyła nogę na nogę. Włożyła okulary i przyjrzała mi się uważnie.

– Czy są jakieś nowe wiadomości?

Pokręciłem głową.

Zmarszczyła brwi i poprawiła okulary na długim, prostym nosie.

– Jesteś młodszy niż myślałam.

– To samo pomyślałem o tobie. W niezłym tempie zrobiłaś dwa doktoraty.

– Dwa lata wcześniej poszłam do szkoły. Potem na Harvardzie moim mistrzem i promotorem stał się Leo Gabney – to on pomógł mi ominąć parę

barier

dotyczących

wieku

studentów.

Ukończyłam

medycynę

i

psychobiologię, ale tematy prac doktorskich zasugerował mi Leo – jeden z psychopatologii, a drugi z pogranicza chemii i psychologii, pewien rodzaj terapii farmakologicznej.

– Niesamowite. Musiałaś w to włożyć masę roboty.

– Tak, ale to był najszczęśliwszy okres mego życia.

Zdjęła okulary i położyła dłonie płasko na blacie biurka.:

– Jak możemy pomóc w poszukiwaniach?

– Myślałem, że ty coś mi poradzisz.

– Przecież to ty widziałeś ją ostatnio.

– Ale to ty spotykałaś ją codziennie.

Pokręciła głową.

– Sesje odbywały się od dwóch do czterech razy w tygodniu, zależnie od jej samopoczucia. Ostatni raz widziałam ją we wtorek – w dniu, kiedy do mnie zadzwoniłeś. Czula się dobrze, dlatego zgodziłam się, żebyś ją zobaczy!

O co właściwie pokłóciła się z Melissą?

– Usiłowała przekonać córkę, że czuje się dobrze i że akceptuje jej wyjazd na studia do Bostonu. Melissa wpadła w gniew i wybiegła z pokoju. Jej matka dostała ataku, ale sama sobie poradziła – użyła inhalatora i środkiem na rozluźnienie mięśni.

– Tranquizone. Łączymy z nim wielkie nadzieje. Mój mąż i ja jak pierwsi używamy go w tego rodzaju terapii. Jego największą zaletą jest to, i działa selektywnie na sympatyczny układ nerwowy, a w ogóle nie ingeruje w pracę układu przywspółczulnego. O ile wiem, nikt nie wykrył żadnych efektów ubocznych ani szkodliwego działania na centralny układ nerwowy. Co oznacza, że jest mało prawdopodobne, by się od niego uzależnić. Jedyną słabością tego preparatu jest to, że działa bardzo krótko.

– Dla niej wystarcza. Uspokoila się stosunkowo szybko.

– Uzmysławiamy naszym pacjentom, że mogą przezwyciężyć ataki, ale muszą wierzyć we własne siły i skuteczność lekarstwa. To odnosi skutek.

Oprócz tego staramy się, żeby w chwili ataku mieli zdolność trzeźwej oceny sytuacji; jakby patrzyli na siebie z zewnątrz. Nie mogą wpadać w panikę, powinni działać zgodnie z planem – zażyć lek i skupić się na rytmicznym oddechu. Muszą pojąć, że atak jest wyzwaniem, a nie tragedią.

– Przekonałem się, że ona potrafi sprostać takiemu wyzwaniu. Jak się uspokoila, natychmiast przypomniała sobie scysję z Melissą, ale atak się nie

powtórzył.

– Co wtedy zrobiła?

– Pobiegła szukać córki.

– Dobrze, dobrze. Prawidłowa reakcja.

– Niestety Melissa pojechała samochodem ze swym kolegą. Zostałem z panią Ramp i przez pół godziny oczekiwaliśmy na jej powrót. Potem wyszedłem.

– W jakim była nastroju?

– Martwiła się zniknięciem córki, ale wydawała się całkiem spokojna.

– Kiedy pojawiła się Melissa?

Powiedziałem, że nie wiem.

– Wynika z tego – rzekła – że Gina przeżyła to bardziej, niż okazywała.

Zadzwoiła do mnie dziś rano i powiedziała, że doszło do sprzeczki. Nie robiła z tego tragedii. U naszych pacjentów staramy się wykształcać poczucie pewności siebie, więc nie drażylam tego tematu. Wiedziałam, że jeszcze o tym pomówimy. zaproponowałam, żeby się spotkać w cztery oczy albo spróbować rozważyć ten problem w grupie. Wybrała grupę – spotkanie miało się odbyć właśnie dzisiaj – ale gdyby nic z tego nie wyszło, miała potem porozmawiać tylko ze mną. Dlatego byłam zdziwiona, że się nie pojawiła – sądziłam, że to będzie dla niej ważne spotkanie. Zadzwoiłam do niej do domu. Odebrał jej mąż, który potwierdził, że wyjechała o drugiej trzydzieści. Nie chciałam go zbytnio denerwować, ale poradziłam, żeby zawiadomił policję. Wtedy właśnie usłyszałam w tle krzyki.

Urwała. Przynęła się bliżej, tak że jej piersi spoczęły na blacie biurka.

– Pewnie Melissa weszła do pokoju i zapytała ojczyma, co się stało. Kiedy się dowiedziała, wpadła w histerię.

Znowu zamilkła, ale nie zmieniła pozycji. Wyglądało to na niedwuznaczną propozycję.

– Nie lubisz Melissy? – zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

Podniosła ramiona i cofnęła się.

– To nie ma chyba żadnego znaczenia, prawda?

– Właśnie.

Poprawiła nerwowo biustonosz i natychmiast zarumieniła się.

– Widzę – rzekła – że jesteś obrońcą Melissy, ale w tym wypadku mamy do czynienia z kobietą, która miała poważne fobie. Takiej agorafobii nie spotkałam nigdy w całym życiu. Gina może być narażona na różne

stresogenne czynniki – nie wiadomo, gdzie się teraz znajduje – a oprócz tego ma kłopoty z porozumieniem się z ogromnie neurotyczną nastolatką.

Jestem pewna, że zauważyłeś, że ich wzajemne relacje są patologiczne.

– Bardzo możliwe – odparłem. – Jednak nie jest to wina Melissy. Ona zastała już taką sytuację, a Gina ją stworzyła. Dlaczego więc oskarżać ofiarę?

– Ależ ja jestem przekonana...

– Co więcej, nie sądzę, żeby istniała potrzeba łączenia zniknięcia pani

Ramp z jej konfliktem z córką. O ile wiem, pani Ramp nigdy nie

wtajemniczała Melissy w sprawy swojego leczenia.

Odsunęła krzesło parę centymetrów do tyłu, nie spuszczając ze mnie oczu.

- A teraz kto tu oskarża ofiarę?**
- Dobrze – rzekłem – tak do niczego nie dojdziemy.**
- Słusznie, O co więc chodzi?**
- Z pewnością znane ci są okoliczności, które spowodowały jej fobię.**
- Tak – szepnęła, prawie nie poruszając ustami.**
- Człowiek, który spowodował, że oblano ją kwasem, Joel McCloskey, powrócił do miasta.**
- O cholera! Kiedy to się stało?**
- Sześć miesięcy temu, ale nie próbował się kontaktować ani grozić. Nie ma żadnych dowodów, że ma coś z tym wspólnego. Policja go przesłuchała. Miał alibi, więc go zwolnili. Jeśli chciałby cokolwiek zrobić, miał bardzo dużo czasu – był na zwolnieniu warunkowym przez sześć ostatnich lat. Większość tego czasu spędził poza granicami stanu. Nigdy nie próbował się spotkać ani porozmawiać z żadnym członkiem, rodziny.**
- Od sześciu lat?**
- Tak, od sześciu lat. Jednak całkowicie wolnym człowiekiem jest dopiero od sześciu miesięcy.**
- Nic mi nie mówiła.**
- Bo nie wiedziała.**
- Więc skąd ty o tym wiesz?**
- Od Melissy. Sama dowiedziała się tego niedawno.**
- I nic nie powiedziała matce?**
- Nie chciała jej niepokoić bez powodu. Zdecydowała się na wynajęcie prywatnego detektywa, żeby przeświecić McCloskeya.**

– Wspaniale! Wspaniale! – Pokręciła nerwowo głową. – No i jak teraz to oceniasz?

– Wtedy wydawało się bardzo sensowne, że należy chronić panią Ramp przed wszelkim wstrząsami. Jeśli detektyw stwierdziłby, że istnieje zagrożenie, natychmiast by o tym poinformował.

– W jaki sposób Melissa dowiedziała się, że McCloskey wrócił?

Powtórzyłem to, co wiedziałem.

– Nieprawdopodobne. I że potrafiła to zataić...

– Może jej decyzja była błędna. Skąd jednak pewność, że sama byś o tym powiedziała pani Ramp?

– Nie wiem, ale to ja chciałabym o tym zdecydować.

Była bardzo rozgniewana.

Z jednej strony chciałem ją przeproszać, a z drugiej korciło mnie, żeby palnąć wykład o prawidłowych kontaktach z rodziną pacjenta.

– Z całych sił przekonywałam ją, że świat zewnętrzny jest bezpieczny, a tymczasem on był na wolności. – Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Czemu zakładasz, że stało się najgorsze. Może tylko zepsuł się jej samochód? A może postanowiła gdzieś się wybrać w tajemnicy przed wszystkimi? To, że tak chciała jechać sama, wskazuje, iż mogła coś planować.

– Czyżby powrót tego człowieka nie robił na tobie żadnego wrażenia?

Nawet ewentualność, że mógł ją ponownie zaatakować?

– Bywałaś często w tym domu. Czy kiedykolwiek w pobliżu posiadłości zauważyłaś kogoś podejrzanego?

– Nie, ale mogłam nie zwrócić uwagi.

– San Labrador nie jest miejscem, gdzie można kogoś śledzić, samemu będąc niezauważonym. Brak ludzi na ulicach, brak samochodów – wszystko jest obliczone na to, żeby każdy obcy rzucił się w oczy, był widoczny jak na talerzu. Oprócz tego miejscowa policja działa na zasadzie ekskluzywnej agencji ochrony. Obserwowanie przyjezdnych to ich specjalność.

– Nie wątpię – rzekła. – A jeśli nie zaczął się w pobliżu domu? Jeśli tylko przejeżdżał obok niego co jakiś czas? O różnych porach dnia. Żywiąc się nadzieją, że w końcu przypadkiem ją spotka? I dzisiaj tak się stało – Zorientował się, że wyjechała samotnie, i podążył za nią. A może to w ogóle nie był on – przedtem kogoś wynajął, więc mógł uczynić to i tym razem. Fakt, że ma alibi, nie świadczy o jego niewinności. A co wiadomo o człowieku, który oblał ją kwasem – ten, któremu McCloskey zapłacił? Może i on wrócił do miasta?

– Melvin Findlay. Nie jest to człowiek, którego bym wynajął.

– Co masz na myśli?

– Czarny, który kręciłby się samochodem po San Labrador bez żadnego powodu, zostałby natychmiast zatrzymany. Oprócz tego Findlay odsiedział parę ładnych lat za to, że dał się zwerbować do brudnej roboty. Nie sądzę, że byłby tak głupi, żeby ryzykować, iż zostanie powtórnie złapany za to samo.

– Możliwe – rzekła. – Mam nadzieję, że się nie mylisz. Miałam jednak styczność z różnymi typami kryminalistów i możesz mi wierzyć, że inteligencja nie jest ich najmocniejszą stroną.

– À propos typowych zbrodniarzy. Czy pani Ramp powiedziała ci,

dłaczego McCloskey kazał ją oszpecić?

Ursula zdjęła okulary i zaczęła bębnić palcami o biurko. Następnie ostrożnie zdjęła z blatu jakąś nitkę i zrzuciła ją na podłogę.

– Nie, nie powiedziała. Ponieważ sama tego nie wie. Nie ma zielonego pojęcia, dlaczego tamten człowiek nienawidził jej tak bardzo. Mieli krótki romans, ale rozstali się jak przyjaciele. Poświęciliśmy temu wiele czasu.

Znów zabębniła palcami o blat.

– To w ogóle nie pasuje do niej. Zawsze była wzorowym pacjentem, wypełniała wszystkie polecenia. Nawet jeśli faktycznie zepsuł się jej samochód, to pewnie odchodzi od zmysłów, tracąc kontrolę nad sytuacją.

– Czy zabrała ze sobą leki?

– Powinna mieć zawsze pod ręką tranquizone.

– Z tego co widziałem, wie jak używać inhalatora.

Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się nerwowo.

– Jesteś optymistą.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Od urodzenia.

Jej twarz rozpogodziła się. Przez moment myślałem, że uśmiechnie się do mnie, ale rzekła tylko:

– Przepraszam. Muszę coś zrobić.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer dziewięćset jedenaście. Kiedy zgłosił się dyżurny, przedstawiła się jako lekarz Giny Ramp i poprosiła o połączenie z komendantem policji.

Kiedy oczekiwała, podpowiedziałem:

– Nazywa się Chickering.

Skinęła głową, podniosła palec wskazujący i rzekła:

– Komendant Chickering? Mówi doktor Ursula Cunningham-Gabney,

lekarz Giny Ramp... Nie, nie otrzymałam... Kompletnie nic... Tak,

oczywiście... Tak... Na trzecią po południu... Nie, nie przyjechała... Nie, nie

potrafię... Nie, w żadnym razie. – Na jej twarzy pojawił się grymas

zniecierpliwienia. – Zapewniam pana, że była w pełni władz umysłowych.

Bez wątpienia... Nie, żadnych... Nie sędzę, żeby to było konieczne ani nawet

usprawiedliwione... Nie. Zapewniam pana, że jest zdolna do racjonalnych

decyzji... Tak. Tak, rozumiem... Przepraszam, ale chciałabym na coś zwrócić

uwagę. Ten mężczyzna, który ją zaatakował... Nie, nie ten. Ten, który wylał

na nią kwas. Findlay. Melvin Findlay – czy ustalono miejsce jego pobytu?...

Ach tak... Oczywiście. Dziękuję pięknie.

Odłożyła słuchawkę i potrząsnęła głową.

– Findlay nie żyje. Zmarł parę lat temu w więzieniu. Chickering obraził

się, że o to zapytałam – myślał, że chcę podważyć jego kompetencje

zawodowe.

– Czy pytał o stan psychiczny Giny?

– Chciał, żebym potwierdziła, że Gina odczuwała „zaburzenia w

lokalizacji przestrzennej własnej osoby”. Co za dobór słów! – Zmrużyła oczy.

– Chciał, żebym przyznała, że była wariatką. Jakby to rozwiązywało

wszystkie problemy.

– To rozwiązałoby jego problem, gdyby jej nie znaleziono. Któż może być

odpowiedzialny za czyny osoby niezrównoważonej psychicznie?

Zamrugala parę razy oczyma. Wyglądała teraz jak mała krótkowzroczna dziewczynka. Niezwykle uzdolniona i wrażliwa. Mająca trudności z przystosowaniem się. Siedziałem w jej gabinecie i zachodziłem w głowę, czy odnalazła własne miejsce w życiu.

– To moja wina. Wzięłam na siebie odpowiedzialność za nią, a teraz nie wiem, co robić.

Na jej twarzy malowało się zniechęcenie. Spojrzałem na obraz Cassat.

Spostrzegła to i zapytała:

– Przepiękny, prawda?

– Tak.

– Mary Cassat była geniuszem. Niezwykła ekspresja w oddaniu istoty natury dziecka.

– Słyszałem, że nie bardzo lubiła dzieci.

– Poważnie?

– Czy od dawna masz ten obraz?

– Nie, od niedawna. – Dotknęła włosów i znowu nerwowo się uśmiechnęła. – Nie przyszedłeś tutaj, żeby dyskutować o sztuce. Czy jest coś jeszcze, w czym mogłabym pomóc?

– A czy nie przychodzi ci do głowy, że jej zniknięcie mogło być spowodowane amnezją, rozdwojeniem osobowości? Mogła doznać czegoś w rodzaju zapaści i teraz włóczy się gdzieś bez celu, nie wiedząc, kim jest?

Zastanowiła się chwilę.

– Nie podejrzewam niczego podobnego. W zasadzie, pomimo tego, co przeszła, jej ego pozostało nienaruszone. Zawsze uważałam ją za jedną z

bardziej racjonalnie myślących pacjentek. Inni chorzy często nie zdają sobie sprawy, co spowodowało ich patologiczny stan. W jej wypadku myśl o napaści wywoływała niesłychanie silną reakcję stresową. Wielokrotne operacje przedłużyły jej pobyt w łóżku – agorafobia była jej jakby przypisana przez lekarzy. Biorąc pod uwagę to, że w chwili ataku wychodziła z własnego mieszkania, wydaje się prawie racjonalnym odruchem, że nie opuszczała domu. Nie chciała prowokować losu.

– To trzyma się kupy. Podejrzewam, że jeśli nawet wróci sama, nigdy nie dowiemy się, co właściwie się wydarzyło.

– Dlaczego?

– Z powodu stylu życia jaki prowadzi – całkowite odosobnienie. Uważa to za samowystarczalność. Z pewnością jest niezależna finansowo. Kiedy leczyłem Melisę, tajemnice tej rodziny były odpowiedzią na każdy z problemów. Zewnętrzny świat nigdy nie dowiedziałby się o tej sytuacji. Gina ukrywa jeszcze wiele tajemnic.

– To właśnie jest cel terapii. Odkrycie, a następnie pozbycie się sekretów. Osiągnęłam niemało sukcesów w tej dziedzinie.

– Nie wątpię. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że z pewnością jeszcze nie wszystko wyznała.

Wyglądała tak, jakby chciała się rzucić na mnie w obronie Giny. Szybko się jednak uspokoiła.

– Chyba jest w tym wiele racji. Każdy coś ukrywa, każdy ma jakieś miejsce, do którego nie dopuszcza innych. Intymne ogrody, które pielęgnuje. – Odwróciła ode mnie oczy. – Ogrody z lśniącoymi roślinami ze

stali, o stalowych korzeniach, łodygach i liściach. Kiedyś pewien schizofrenik opisał mi taki krajobraz, który bardzo dobrze oddaje stan psychiki ludzkiej. Nawet bardzo głęboko kopiąc, nie jesteśmy zdolni wyrwać „stalowych korzeni”, jeśli same się nie poddadzą.

Spojrzała na mnie z bólem.

– To prawda – rzekłem. – Ty jesteś jednak jedyną osobą, na ręce której

Gina składała bukiety z tych kwiatów.

Słaby uśmiech. Ujrzałem jej zęby, proste i błyszczące emalią.

– Chcesz zająć się moją psychoanalizą?

– Nie. Daruj, jeśli odniosłaś takie wrażenie.

Zmusiła się do szerszego uśmiechu.

– A pozostali uczestnicy twojej grupy nie mogą wiedzieć o czymś ważnym?

– Nie. Nie spotykała się z nimi na stopie towarzyskiej.

– Jak duża jest ta grupa?

– Tylko dwie osoby.

– To niewiele.

– Nie jest łatwo znaleźć pacjentów z odpowiednią motywacją, a jednocześnie na tyle zamożnych, żeby zdołali unieść ciężar finansowy leczenia.

– Jak ma się ta dwójka?

– Wystarczająco dobrze, żeby wychodzić z domu i spotykać się.

– Czy zdecydowałiby się na przesłuchanie?

– Jakie przesłuchanie?

- Rozmowę z policją albo prywatnym detektywem, który został już wynajęty do tego, żeby zająć się McCloskeyem.
 - W żadnym wypadku. To bardzo wrażliwe osoby. Nie wiedzą nawet, że Gina zniknęła.
 - Wiedzą jednak, że się nie pojawiła.
 - Sama absencja na spotkaniu o niczym nie świadczy. Większość z nich czasem opuszcza zajęcia.
 - Czy w przeszłości zdarzało się to pani Ramp?
 - Nie, ale to nie ma znaczenia. Nawet jeśliby ktoś zrezygnował z terapii, nie byłoby to warte odnotowania.
 - Czy nie będą ciekawi, co się stało z Giną, jeśli nie pojawi się do poniedziałku?
 - Jeśli rzeczywiście zapytają, to im odpowiem. Nie chcę jednak ich do tego mieszać, każdy ma prawo do prywatności.
 - W porządku.
- Wykonała taki ruch, jakby chciała założyć nogę na nogę, ale w końcu ustawiła stopy płasko na podłodze. Spojrzała na drzwi za mną.
- Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego Gina chciałaby wyjechać?
 - Na przykład jaki?
 - Wielka ucieczka – odparłem. – Nagła decyzja o zmianie stylu życia.
- Rezygnacja z terapii, pozbycie się wszelkich więzów.
- Pozbycie się wszelkich więzów? – powtórzyła z niedowierzaniem. – To niemożliwe. W żadnym wypadku.

Drzwi wejściowe otwarły się, zanim zdążyła mnie do nich odprowadzić.

Wszedł jakiś mężczyzna. Był to Leo Gabney. Chociaż widziałem go na zdjęciu parę dni temu, z trudem go rozpoznałem.

Gdy zauważył nas, stanął jak wryty.

Miał na sobie czerwono-białą flanelową koszulę, błękitne dżinsy, skórzane buty z drewnianymi, ściętymi obcasami. Do pasa z dużą klamrą wykonaną z brązu, z grecką literą „F”, która – jak podejrzewam – miała wyrażać jego osobowość, przyczepiony był pęk kluczy.

Miastowy kowboj. Brakowało mu tylko mięśni. Miał figurę niemalże chłopcą. Około metra sześćdziesiąt wzrostu. Węższy w ramionach niż jego żona. Ogorzała twarz. Włosy w nieładzie, siwe jak u gołębia. Żywe, niebieskie oczy. Jasne brwi. Sporo zmarszczek, szlachetny, prosty nos z wydatnymi nozdrzami. Szyja bardzo pomarszczona. Spod koszuli widać było kępki jasnego owłosienia na piersi. Cała postać raczej karzełkowata, ale nie wyglądał śmiesznie.

Ucałował żonę w policzek, a mnie obdarzył wystudiowanym spojrzeniem.

– To jest doktor Delaware – przedstawiła mnie Ursula.

– Ach, Delaware! – rzekł Gabney.

Silny głos. Głęboki bas. Akcent z Nowej Anglii.

Wyciągnął dłoń. Była szczupła i miękka – widać nigdy nie pływał żaglówką. Nawet jego kości wydawały się miękkie, jakby wymoczone w occie. Skórę miał wiotką, suchą i chłodną jak skóra jaszczurki w cieniu.

– Pokazała się już?

– Niestety nie – odparła Ursula.

Cmoknął zafrasowany.

– Cholerna sprawa. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

– Właśnie dowiedziałam się, że McCloskey, człowiek, który ją oszpecił, wrócił do miasta.

– Tak? – zmarszczył brwi.

– Policja go zatrzymała, ale miał alibi, więc został zwolniony.

Rozmawialiśmy o tym, że w jego stylu jest wynajmowanie ludzi do brudnej roboty. Człowiek, którego wynajął wtedy, nie żyje, ale to niczego nie przesądza.

– Oczywiście. To przerażające. Nie powinni byli go wypuszczać. Może zadzwonić na policję i wytłumaczyć sytuację?

– Nie sądzę, żeby chcieli o tym mówić. To niemożliwe, żeby zaczął się na Ginę i pozostał niezauważony – to jest San Labrador.

– No i co z tego?

– Miejscowa policja natychmiast wylapuje obcych.

– To mnie nie przekonuje. Zadzwoń do nich. Trzeba zastosować pewien manewr taktyczny – zasugerujemy, że McCloskey mógł posłużyć się kimś innym. Zdarza się że psychopaci powtarzają swe czyny.

– Ale ja...

– Proszę cię, kochanie – wziął ją za rękę – przecież pani Ramp jest w niebezpieczeństwie i musimy zrobić, co tylko się da.

– Naturalnie – odparła.

– Dziękuję, kochanie. Jeszcze jedna rzecz. Przesuń swojego saaba, bo nie mogę podjechać pod dom.

Odwróciła się i szybkim krokiem poszła do swojego gabinetu. Gabney odprowadził ją wzrokiem.. Kołysała lubieżnie biodrami. Kiedy zniknęła za drzwiami, zwrócił się do mnie, po raz pierwszy, od kiedy podaliśmy sobie ręce:

– Delaware, ten od nerwic u dzieci. Przejdźmy do mojego gabinetu.

Wszedłem za nim do wielkiego pokoju o ścianach pokrytych boazerią.

Kiedyś komnata ta mogła być biblioteką. Na oknach wisiały aksamitne zasłony w kolorze borówek, zakończone złotymi frędzlami. Pod ścianami stały rzeźbione półki w stylu późnego baroku z mnóstwem książek. Resztę ścian zajmowały przyciemnione malowidła przedstawiające konie i psy.

Sufit był niski, podobnie jak w pokoju jego żony, ale ozdobiony płaskorzeźbami. Zwisał z niego wspaniały, mosiężno-kryształowy żyrandol z niezliczonymi żaróweczkami w kształcie świeczek.

Przed jedną z półek stało wielkie, rzeźbione biurko. Znajdował się na nim komplet do pisania – pióro i kałamarz, kościany nóż do otwierania korespondencji, stylowa linijka, zielona lampka, kalendarz, stos czasopism specjalistycznych, niektóre zapakowane jeszcze w szare koperty. Całą półkę za biurkiem zajmowały książki z wydrukowanym jego nazwiskiem na grzbietach i segregatory z napisem ARTYKUŁY I RECENZJE, datowane od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku do roku bieżącego.

Rozsiadł się w obitym skórą fotelu za biurkiem i wskazał mi krzesło.

Po raz drugi znalazłem się po tej stronie biurka. I znowu poczułem się jak pacjent.

Za pomocą noża otworzył kopertę z ostatnim numerem „Magazynu

stosowanych analiz behawioralnych”. Obejrzał go i odłożył. Wziął jakieś inne czasopismo, przekartkował je, marszcząc czoło.

– Moja żona jest zadziwiającą kobietą – rzekł, sięgając po trzeci magazyn. – Niezwykle zdolna. Dwa doktoraty w wieku dwudziestu pięciu lat. Trudno spotkać bardziej doświadczonego i oddanego nauce psychiatrę.

Zastanowiłem się, jak się to ma do tego, w jaki sposób potraktował ją przed chwilą.

– Robi wrażenie – skomentowałem.

– Jest niesamowita – odłożył trzeci magazyn. Uśmiechnął się. – Więc się z nią ożeniłem.

Zanim pomyślałem, jak zareagować na taki „dowcip”, ciągnął dalej:

– Pomiędzy sobą mówimy, że ma paradoksalne uzdolnienia. –

Odchrząknął. Wyjął z kieszeni koszuli paczkę gumy do żucia. – Może poczęstuje się pan? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

Rozwinął gumę i począł ją przeżuwać. Jego dolna szczęka pracowała w rytmie pompy olejowej.

– Biedna pani Ramp. W tym stanie powinna być pod stałą opieką.

Żona powiadomiła mnie o wszystkim zaraz po tym, jak zorientowała się w sytuacji. Mamy ranczo w Santa Ynez. Niestety, nikt nie przypuszczał, że może do tego dojść. Co się stało?

– Dobre pytanie – odparłem.

– To mnie bardzo rozstraja. Chcę być w samym środku wydarzeń i służyć wszelką pomocą, ale nie mogę zaniedbywać innych moich obowiązków.

Jego ubranie było świeżo odprasowane. Ciekawe, jakie są te jego

obowiązki. Mając w pamięci jego delikatne dłonie, spytałem:

– Czy jeździ pan konno?

– Troszeczkę – odrzekł, wciąż żując. – Chociaż to mnie nie fascynuje. Nie przepadam za zwierzętami, ale tak się złożyło, że posiadłość kupilem z całym dobrodziejstwem inwentarza. O wiele bardziej potrzebuję przestrzeni.

Myślałem o uprawie winogron. – Na chwilę przerwał przeżuwanie. – Myśli pan, że psychiatra jest zdolny do produkcji wina pierwszej klasy? Znawcy mówią, że nie istnieje receptura na dobre wino. To dar niebios. Na jego ustach znów pojawił się uśmiech.

– Nic z tych rzeczy. Ma pan złe informacje.

– Możliwe. W każdym razie życzę szczęścia. Cofnął się i założył ręce na brzuchu.

– To świeże powietrze tam mnie ciągnie. Niestety, moja żona nie może mi towarzyszyć. Jest alergiczką uczuloną na konie, trawy, pyłki drzew. Oddaje się więc pracy w klinice, a mnie zostawia czas na eksperymentowanie.

Przede mną siedział wielki Leo Gabney, ale nie tak wyobrażałem sobie tę rozmowę. Nie byłem pewny, w jakim celu zaprosił mnie do siebie. Może to wyczuł, gdyż rzekł:

– Znam pana prace.

Wielopłaszczyznowa

terapia

inklinacji

autodestrukcyjnych u dzieci. Analiza psychologicznych implikacji

chronicznych chorób dziecięcych, Kanały komunikacji z chorymi i ich

rodzinami. I tak dalej. Porządna robota. Napisane jasno i zwięźle.

– Dziękuję.

– Dlaczego od paru lat niczego pan nie wydał?

– Pracuję nad czymś, ale większość mojego czasu wypełniają całkiem inne zajęcia.

– Prywatna praktyka?

– Nie. Medycyna sądowa.

– A dokładnie?

– Urazy u poszkodowanych. Opieka nad dziećmi zatrzymanymi w izbie dziecka.

– To musi być wyjątkowo niemila praca. Kontakty z nieletnimi przestępcami.

– Chodzi przede wszystkim o dzieci pozostawione bez opieki, których rodzice leżą w szpitalu lub nie żyją. Z drugiej strony stykani się z dziećmi, które padły ofiarą przestępstwa, bywa, że sprawcami są właśnie rodzice.

– I czasem rodzice nie wypełniają zaleceń sądu?

– Myślę, że najważniejsza jest ochrona interesu dziecka.

– Każdy tak myśli. Chodzi o to, w jaki sposób objawiają się nasze dobre intencje. Konieczna jest instytucja bezstronnego biegłego, który mieszkałby przez jakiś czas w rodzinie, gdzie zachodzi podejrzenie niewłaściwej opieki nad dzieckiem. To musiałby być specjalista psycholog, żeby potrafił odczytać prawdziwe intencje matki czy ojca. Co pan o tym myśli?

– Teoretycznie niezła myśl, ale od strony praktycznej...

– Nie, nie – rzekł, szybko żując gumę. – Ja jestem praktykiem.

Rozwiodłem się z moją pierwszą żoną. Była alkoholiczką i nałogową palaczką, ale dla cholernej sędziny w czasie sprawy rozwodowej najważniejszą okolicznością był fakt, że to kobieta. Sąd przyznał jej wszystko – mój dom, mojego syna i sześćdziesiąt procent majątku, który sam zdobyłem. Niecały rok później zalana w trupa paliła w łóżku papierosa. Dom spłonął, a ja utraciłem jedyne dziecko.

Jego głos stracił dźwięczność. Brzmiał płasko i skrzekliwie. Oparł się łokciami o biurko. Połączył opuszki palców obu dłoni i przez szparę w kształcie kryształu spojrzął na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Bardzo panu współczuję – rzekłem.

– Przeżyłem prawdziwe piekło – powiedział, żując wolno. – Nic mi już nie zwróci syna.

Jego niebieskie oczy zapłonęły.

Pomyślałem, jak posłuszna była mu Ursula. Pewnie zastępowała mu jednocześnie żonę i dziecko.

– Wkrótce po tej tragedii znowu się ożeniłem. Jeszcze przed Ursulą.

Znów pomyliłem się, ale z tamtego związku nie miałem potomstwa. Kiedy spotkałem Ursulę, byłem profesorem zwyczajnym na uniwersytecie i pełniłem funkcję dziekana. Od razu zwróciłem uwagę na jej osobę i jej wyjątkowe zdolności. Jest jedynym promykiem słońca w moim życiu. Czy jest pan żonaty?

– Nie.

– Małżeństwo może być wspaniałą rzeczą. Moje dwa pierwsze

małżeństwa były nieporozumieniem, ponieważ zbyt wiele oczekiwałem.

**Zapomniałem o wszystkim, czego się nauczyłem podczas studiów. Należy
zawsze stosować zasady psychologii w życiu osobistym, drogi przyjacielu.**

Wiedza o ludzkim zachowaniu więcej znaczy niż belkot różnych naukowców.

Znów się uśmiechnął.

– No dość tego wykładu. Czy wyjaśniło się coś w sprawie biednej pani

Ramp?

– Nie. Przyszedłem tu właśnie po to, żeby się czegoś dowiedzieć.

– Skąd pan wie o sprawie McCloskeya?

Wyjaśniłem mu.

– Melissa ukrywa swoje nerwice, starając się kontrolować własną matkę.

Czyż nie mogła jej tego powiedzieć? Co jeszcze wie pan o McCloskeyu?

**– Tylko tyle, że to on wynajął napastnika. Nikt nie wie, dlaczego to
uczynił.**

**– Tak. Nie puścił pary z ust. To nie jest typowe zachowanie u
psychopatów – zwykle uwielbiają rozwodzić się nad własnymi motywami.**

**Może to było ważne w trakcie procesu, ale teraz nie wydaje mi się to
szczególnie istotne. Jej leczenie nie ucierpiało z tego powodu. Należy raczej
zapomnieć o przeszłości, a zwrócić się ku przyszłości. Pani Ramp radziła
sobie coraz lepiej. Myślę, że nie poszło to na marne.**

**– Może jej zniknięcie powiązane jest jakoś z postępem w terapii? Zbyt
gwałtownym postępem. Nagle zdała sobie sprawę z wolności i dała się jej
ponieść.**

– To interesująca teoria, ale odradzaliśmy jej jakiegokolwiek przerwy w

leczeniu.

– Pacjenci mają zwykle własne zdanie.

– Ze szkodą dla siebie samych.

– Myśli pan, że pacjent nie potrafi prawidłowo ocenić, co jest dla niego najlepsze?

– Praktyka wskazuje na to, że nie. W innym razie nie miałbym sumienia kazać im płacić trzysta dolarów za godzinę,

Trzysta dolarów. Biorąc pod uwagę częstość spotkań, trzech pacjentów mogło utrzymywać całą klinikę.

– Czy jest to wspólne honorarium pana i pana żony?

Uśmiechnął się szeroko. Widać było, że oczekiwał takiego pytania.

– Nie. To jest moja osobista stawka. Żona otrzymuje dwieście dolarów.

– Czy przerażają pana takie liczby?

– To o wiele więcej niż ja biorę, ale to wolny kraj.

– Większość życia spędziłem na uniwersytetach i w szpitalach publicznych. Tam płacą grosze. Zdarzało się, że leczyłem za darmo. Teraz biorę tyle, ile jest warta moja wiedza i doświadczenie.

Podniósł srebrne pióro, obrócił je w palcach i odłożył.

– Więc myśli pan, że po prostu uciekła?

– Bardzo prawdopodobne. Mówiła mi wczoraj, że planuje pewne zmiany w swoim życiu.

– Doprawdy? – Jego niebieskie oczy zatrzymały się na mnie. – Jakiego rodzaju zmiany?

– Dała do zrozumienia, że nie lubi swojego domu – że jest za duży i

przynajmniej. Myślała o czymś skromniejszym.

– Co jeszcze?

– To wszystko.

– Jej zniknięcie trudno nazwać zmianą warunków życia na skromniejsze.

– Czy ma pan jakieś podejrzenia, dlaczego zniknęła?

– Pani Ramp jest miłą kobietą. Ma niezwykle urok. Każdy natychmiast

pragnie służyć jej radą i pomocą. Jeśli chodzi o jej przypadek, jest to

książkowy model agorafobii. Przeżyła wstrząs, a następnie, izolując się od

świata zewnętrznego, pragnęła uzyskać poczucie bezpieczeństwa. Stała się

niezwykle zależna od środowiska, w którym się obracała.

– Niezwykle zależna?

– Jest jak dziecko – podobnie jak większość agorafobików. Jej

zachowania nie zmieniają się od wielu lat. Agorafobicy są niezwykle

konserwatystami. Nie zmieniają swoich przyzwyczajzeń za żadną cenę. Każdy

krok w ich leczeniu zabiera mnóstwo czasu. Dlatego nie potrafię zrozumieć

jej naglej, jak to pan nazywa, ucieczki.

– Pomimo tego, że uczyniła duży postęp?

– Jej dotychczasowe sukcesy i osiągnięcia były szczegółowo

monitorowane przeze mnie i moją żonę, i nie mogło być mowy o nagłej

ucieczce.

Ostatnie zdanie nie zabrzmiało przyjaźnie, ale nie rzekłem ani słowa.

Rozwinął następną gumę i wsunął ją do ust.

– Jej leczenie było dokładnie przemyślane. Odpowiednio do ceny, jaką

nam płaci. W każdym razie wierzę, że pani Ramp potrafi poradzić sobie w

każdej sytuacji.

– Więc pan się o nią nie martwi?

– Jestem zaniepokojony, a zamartwianie się jest rzeczą bezsensowną i najczęściej prowadzi do nerwic. Staram się więc stosować we własnym życiu to, czego uczę innych.

Rozdział piętnasty

Odprowadził mnie do drzwi, opowiadając o granicach i zasięgu nauki.

Kiedy mijalem trawnik, zauważyłem, że saab wjechał w głąb posesji. Za nim stał szary range rover. Przednia szyba była pokryta kurzem i piaskiem, z wyraźnymi, śladami wycieraczek.

Prowadząc samochód, rozmyślałem o tym, jakże dziwną byli parą. Na pierwszy rzut oka Ursula zdawała się być lodowatą pięknoscią, która nie zamieniłaby słowa z obcym mężczyzną. Zawsze gotowa do walki o swoje prawa i strefę wpływów – teraz wiedziałem, że nie dało się uniknąć konfliktu pomiędzy nią a Melissą. Jednakże jej chłód stanowił jedynie cienką warstwę ochronną. Pod spodem była niesłychanie wrażliwa. Jak Gina. Może właśnie ten rys charakteru pozwolił jej zrozumieć cierpienia Giny?

Która z nich pierwsza miała ten mały, szary pokój i obrazy Mary Cassat?

W każdym razie Ursula wydawała się poważnie poruszona zniknięciem pani Ramp.

Z drugiej strony, jakby dla kontrastu, Leo nie przejmował się wcale, sprowadzając jej wypadek do typowego modelu z podręcznika patologii, a jej cały ból do naukowego żargonu. Pomimo tej nonszalancji przyjechał jednak

do Los Angeles aż z Santa Ynez – dwie godziny drogi. Więc może martwił się

nie mniej od żony, ale potrafił to lepiej ukryć?

Odwieczne różnice płci.

Mężczyzna ukrywa swe doznania.

A kobieta jest cała uczuciem.

Pomyślałem o tym, jak stracił syna. W jaki sposób mi o tym powiedział.

Zastanawiająca była łatwość, z jaką opowiadał tę historię.

Czy

potrafił

zracjonalizować

każde,

nawet

najboleśniejsze

doświadczenie? A może wynika to z jego ograniczonej wrażliwości?

Może posiadał rzadką zdolność pozostawiania przeszłości za sobą?

Chyba pewnego dnia zadzwonię do niego i poproszę o radę.

Kiedy dotarłem do Sussex Knoll, było kwadrans po dziewiątej.

Radiowozy wciąż patrolowały ulice. Musiałem zostać rozpoznany, ponieważ

nikt mnie nie zatrzymał.

W głośniku domofonu usłyszałem zmęczony głos Dona Rampa.

– Nie, nie ma nic nowego – odparł na moje pytanie. – Proszę wjechać.

Zgrzytnęły wrota. Palilo się jeszcze więcej żarówek, tworząc sztuczne

wrażenie dnia. Oświetlenie było jaskrawe i zimne.

Żadnego samochodu przed domem. Ramp stał w progu.

– Żadnych zmian! – krzyknął, zanim wspiałem się po schodach. – Co

powiedzieli Gabneyowie?

– Nic, co posunęłoby sprawę do przodu. – Opowiedziałem mu, jak Ursula zadzwoniła na policję, pytając o Melvina Findlaya.

Opuścił głowę zrezygnowany,

– Czy Chickering odezwał się?

– Dzwonił jakieś pół godziny temu. Nic nowego. Prosił, żeby się nie przejmować, bo pewnie nic jej nie jest. Łatwo mu tak mówić, to nie jego żona zniknęła. Zapytałem, czy poinformował FBI. Wyjaśnił, że oni nie będą interweniować, zanim nie dostaną dowodów na to, że nastąpiło porwanie.

Wkroczą dopiero wtedy, kiedy sprawa wyjdzie poza obręb okręgu Los Angeles. – Podniósł ręce i bezwładnie je opuścił. – Nie chcę nawet myśleć o tym, że mogła zostać porwana, ale...

Zamknął drzwi. W holu paliły się światła, ale reszta domu była pogrążona w ciemności.

Z wyciągniętą ręką udał się na poszukiwania kontaktu w pierwszym pokoju.

– Czy żona mówiła panu, dlaczego McCloskey to zrobił?

Stał i spojrzał na mnie przez ramię.

– Czemu miałbym o to pytać?

– Żeby ją lepiej zrozumieć.

– Jak to?

– Często ofiary zbrodni szukają odpowiedzi na różne pytania – chcą poznać charakter przestępcy i jego motyw, aby racjonalnie opisać

zdarzenie i umieć skutecznie unikać podobnych wypadków. Czy ona kiedykolwiek to robiła? Przecież nikt nie wie, czym kierował się McCloskey.

– Ona też nie miała pojęcia, o jego motywach. Mówiąc szczerze, nie prowadziliśmy na ten temat wielu rozmów – pobraliśmy się niedawno, Powiedziała mi kiedyś, że ten bandyta odmówił wszelkich wyjaśnień. Policja nic z niego nie wyciągnęła. Był alkoholikiem i narkomanem, ale to niczego nie tłumaczy.

– Jakiego używał narkotyku?

Znalazł wreszcie kontakt i zapalił światło w wielkim pokoju, w którym wczoraj z Giną oczekiwałem powrotu Melissy. Wydawało się, że wczorajsza dzień należy do odległej przeszłości. Na barowym stoliku stała karafka z napojem w kolorze bursztynu. Obok stały szklanki do whisky. Podał mi jedną. Odmówiłem gestem ręki. Nalał sobie trochę tego napoju, zawahał się, dolał więcej, odstawił karafkę i lyknął ze szklanki.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Nigdy nie znałem się na narkotykach.

Wystarcza mi to – podniósł szklaneczkę – i piwo. McCloskey to był kawał cwaniaka. Widywałem go w studio. Przyssał się do Giny. Takie nic. Zero. W Hollywood pełno takich typów. Beztalencie, tylko wyszukiwał dziewczęta do zdjęć.

Poszedł w głąb pokoju.

– Czy Melissa już wróciła? – zapytałem.

Skinął głową.

– Jest u siebie na górze. Poszła tam od razu. Nie wyglądała najlepiej.

– Czy Noel jest z nią?

– Nie. Wrócił do mojej restauracji. Pracuje tam, parkuje samochody, pomaga w nagłych wypadkach, czasem zastępuje kelnerów. To dobry chłopak. Będą z niego ludzie. Musi jednak zrozumieć, że Melissa jest nie dla niego.

– Nie dla niego? W jakim sensie?

– Jest zbyt inteligentna, zbyt ładna, zbyt żywa. On jest w niej zakochany

na zabój, a ona robi z nim, co zechce. Taka już jest. Zawsze postawi na

swoim, bez względu na okoliczności. – Jakby dla złagodzenia krytycznego

opisu dodał: – Na pewno nie jest snobką. – Ruchem ręki wskazał na pokój. –

Czy wyobraża pan sobie, co znaczy wychować się tutaj? Ja urodziłem się w

Lynwood, kiedy tamte okolice były zamieszkane w większości przez białych.

Mój ojciec był niezależnym kierowcą ciężarówki. To znaczy, że często nie

mógł znaleźć pracy. Łatwo wpadał w gniew. Żyliśmy na skraj unędry. Często

chodziłem po ulicach głodny. Jednak nie stoczyłem się. Nie znaczy to, że

Melissa jest zła, jest jednak przyzwyczajona do stawiania na swoim. Jeśli

czegoś pragnie, będzie to miała. Przy chorej matce szybciej wydorowała. –

Usiadł na kanapie. – A co z tym detektywem, czy się pan z nim

skontaktował?

– Jeszcze nie. Spróbuję teraz.

Podniósł się szybko i podał mi telefon komórkowy. Połączyłem się z

domem Milo. Odezwała się automatyczna sekretarka, a potem usłyszałem

męski głos.

– Halo?

– Rick? Mówi Alex Delaware. Jest Milo?

– Cześć Alex. Właśnie wróciliśmy do domu. Byliśmy na okropnym filmie.

Chwileczkę.

Po chwili do telefonu podszedł Milo.

– Słucham.

– Jesteś gotów zacząć wcześniej?

– Jak to?

– Potrzeba detektywa.

– Nie można poczekać do rana?

– Coś się zdarzyło. – Popatrzyłem na Rampa. Opowiedziałem, co zaszło, wspomniałem o zatrzymaniu McCloskeya i o śmierci Melvina Findlaya.

Oczekiwałem, że Milo skomentuje te wydarzenia. Zamiast tego zapytał:

– Wzięła ze sobą jakieś ubrania?

– Według Melissy – nie.

– A skąd ona wie?

– Mówi, że zna dokładnie zawartość szafy matki. Jest w stanie ocenić, czy zniknęła choćby najmniejsza część garderoby.

Ramp spojrział na mnie ostro.

– Nawet bielizna?

– Nie sądzę, żeby coś takiego tam było.

– Czemu?

Ramp wciąż wlepiał we mnie wzrok. Nie ruszył drinka.

– To nie ma znaczenia.

– Widzi mi się, że mężulek jest w pobliżu.

– Otóż to.

– Więc zapytam z innej beczki. Co zrobiła lokalna policja, oprócz

bezsensownego patrolowania okolicy?

– Obawiam się, że nic więcej. Ich działania nie odniosły żadnego skutku.

– To prawda, że gliniarze nie grzeszą inteligencją, ale cóż mają począć?

Chodzić od domu do domu i wkurzać miliarderów? Minęło parę godzin od

zniknięcia i nie ma powodu do paniki. Jeśli jednak pojechała takim

wózkiem, ktoś musiał ją zobaczyć. Pewnie wciągnęli jej rejestrację na listę

zaginionych samochodów?

– Zajął się tym komendant policji.

– Zwąchałeś się z samym wielkim szefem?

– Był tutaj.

– Osobisty kontakt z obywatelami. Ach, ci bogacze.

– A FBI?

– Nic z tych rzeczy. Nie włączają się, dopóki nie ma wiarygodnych

dowodów

zbrodni,

najchętniej

takiego

rodzaju,

jaki

uwielbiają

dziennikarze. Chyba że twój zasobny przyjaciel ma odpowiednie znajomości

w administracji federalnej.

– Na przykład?

– Kogoś, kto mógłby zadzwonić do Waszyngtonu. Jednak nawet w takim wypadku musi upłynąć parę dni, zanim federalni zaczną dochodzenie. Bez dowodów rzeczowych wyślą paru agentów wyglądających na aktorów.

Położą trochę po domu w swoich nieodłącznych płaszczkach i będą szeptali do krótkofalówek, żeby sporządzić głupi raport. Ile upłynęło czasu? Sześć godzin?

Spojrzałem na zegarek.

– Prawie siedem.

– Alex, to nie piekarnia. Co jeszcze masz mi do powiedzenia?

– Niewiele. Właśnie wróciłem od jej psychiatrów. Nie mają żadnych podejrzeń.

– Znam te typy. Są świetni w zadawaniu pytań, gorzej jest z odpowiedziami.

– Masz do nich jakieś pytania?

– Przyjdzie na to czas.

Ramp popijał alkohol, zezując na mnie znad szklanki.

– Jak chcesz.

– W sumie pozostaje czekać. Zwykle czynności w razie zniknięcia dotyczą finansów, kart kredytowych, czeków, ale to można sprawdzić w godzinach pracy banków. Czy dzwoniście po szpitalach?

– Pewnie policja to zrobiła. Jeśli chcesz...

– Parę telefonów nie zaszkodzi. Więcej zrobię stąd, niż gdybym stracił pół godziny na dojazd do ciebie.

– Jednak byłoby lepiej, gdybyś przyjechał.

– Tak?

– Tak.

– Trzęście portkami, co?

– Jakbyś zgadł.

– Chwila – milczenie. – Dobra. Doktor Silverman nie jest tym

zachwycony. Chyba go poproszę, żeby poszukał mojego krawata.

Ramp i ja czekaliśmy, nie mówiąc wiele. On wciąż popijał i coraz głębiej zapadał się w miękkie poduszki kanapy. Ja rozmyślałem o Melissie, która

będzie strasznie zaniepokojona, jeśli jej matka wkrótce się nie pojawi.

Pomyślałem, czy nie powinienem pójść do niej i zobaczyć, w jakim jest

stanie, ale zdecydowałem, że trzeba dać jej odpocząć. Teraz najważniejszą rzeczą jest sen.

Minęło pół godziny, a potem jeszcze dwadzieścia minut. Kiedy

zadźwięczał dzwonek, podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Milo ubrany

był w swój zwykły ubiór. Granatowa przeciwdeszczowa kurtka, szare

spodnie, biała koszula, brązowy połyskliwy krawat i półbuty tego samego

koloru. Był starannie ogolony i widać było, że niedawno zajrzał do fryzjera,

gdyż włosy miał krótko ostrzyżone. Już trzy miesiące był na zwolnieniu, a

wyglądał ciągle jak wzorowy funkcjonariusz policji.

Przedstawiłem ich sobie. Ramp obrzucił Mila baczny spojrzeniem,

przymrużył oczy i pogładził wąsy.

Jawna podejrzliwość. Miałem wrażenie, że Ramp chce tym samym dać do

zrozumienia, że nie da się łatwo nabić w butelkę.

Milo to zauważył, ale nie zareagował.

Po dobrej chwili Ramp stwierdził łaskawie:

– Mam nadzieję, że pan nam pomoże.

Upłynęło dobrych parę miesięcy od czasu, kiedy Milo był pokazywany w telewizji, ale Don mógł mieć dobrą pamięć. Aktorzy – nawet ci najgłupszy – zwykle posiadają dobrą pamięć.

– Detektyw Sturgis jest na bezpłatnym urlopie. Pracuje w policji Los Angeles. – Byłem pewien, że już o tym wspominałem.

Ramp ciągle przyglądał mu się. W końcu Milo odwzajemnił się tym samym.

Obaj wpili w siebie zabójcze spojrzenia. Pomyślałem, że tak zachowują się byki przed walką – patrzą spode łba i uderzają kopytem o ziemię.

Pierwszy odezwał się Milo:

– Od tego tu jestem – rzekł i wyrecytował wszystko, co mu powiedziałem na temat sprawy. – Zgadza się? – zapytał.

– Tak – odparł Ramp.

Milo skrzywił się w uśmiechu. Wyjął notatnik z kieszeni kurtki, przerzucił parę stron i zatrzymał gruby paluch na papierze.

– Sprawdziłem, że policja wciągnęła jej nazwisko i numer rejestracyjny samochodu na listę poszukiwań. Zwykle jest to stratą czasu, ale biorąc pod uwagę markę samochodu, może coś z tego wyniknie. Chodzi o rolls-royce’a model z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, sedan, rejestracja AD KR SD. Numer identyfikacyjny auta SOG dwadzieścia dwa.

Zgadza się?

– Tak.

– Jaki kolor?

– Czarny ze srebrnym dachem.

– To lepsze niż toyota – skomentował Milo – bardziej rzuca się w oczy.

Zanim tu przyjechałem, zadzwoniłem do paru szpitali. Nikt z

poszkodowanych z paru ostatnich godzin nie pasował do jej rysopisu.

– Dzięki Bogu – wykrztusił Ramp.

Milo popatrzył w sufit, a potem skierował się do wnętrza domu.

– Niezła chata. Ile pomieszczeń?

To pytanie zaskoczyło Rampa.

– Nie jestem pewien, nigdy nie liczyłem. Chyba coś około trzydziestu, trzydziestu pięciu.

– Ilu z nich używała pana żona?

– Tylko czterech z łazienką. Duży pokój, sypialnia i pokój z książkami, biurkiem, paroma przyrządami do ćwiczeń fizycznych i lodówką.

– Wygląda to na dom w domu – ocenił Milo. – Czy pan również ma taki?

– Tylko jeden pokój – odrzekł Ramp pąsowiejąc. – W pobliżu niej.

Milo coś zanotował.

– Dlaczego pojechała do lekarza sama?

– Nie wiem. Miałem z nią jechać, ale zadzwoniła do mnie o drugiej piętnaście, kiedy byłem w restauracji, powiedziała, żebym nie robił sobie kłopotu i że pojedzie sama. Zapytałem, co się stało, ale odrzekła, że wszystko w porządku. Nie chciałem, żeby przestała wierzyć we własne siły, i dałem za wygraną.

– Trzydzieści pięć pomieszczeń – powtórzył Milo. – Czy często używała

pozostałych pokoi? Czy na przykład przechowywała tam jakieś rzeczy?

– Nic o tym nie wiem. Czemu pan pyta?

– Jak duża jest ta posiadłość?

– Ponad cztery hektary.

– Czy często wychodziła na zewnątrz?

– Lubiała spacerować w okolicach domu. Czasem, jej towarzyszyłem.

Później odbywała przechadzki z Ursulą po pobliskich ulicach.

– Czy oprócz głównej bramy można w jakiś inny sposób opuścić posesję?

– O ile wiem, nie.

– Żadnych alejek od tyłu?

– Nie. Z tyłu graniczymy z dobrami państwa Elridge. Oddziela nas

wysoki, trzymetrowy żywopłot.

– Ile jest pozostałych budynków?

Ramp zamyślił się.

– Jeśli liczyć garaże...

– Garaże? Ile ich jest?

– Dziesięć. Właściwie jeden długi budynek z dziesięcioma wjazdami.

Przeznaczony na kolekcję starych samochodów należących do jej zmarłego

męża. Niektóre z nich są bezcenne. Drzwi są dobrze zamknięte.

Milo pisał szybko.

– Co jeszcze?

Ramp nie mógł jakoś pozbierać myśli.

– Jakie są inne budynki posiadłości? – zapytał Milo.

– Budynki... – powtórzył Ramp. – Szopa z narzędziami ogrodniczymi,

pomieszczenie do obsługi basenu, przebieralnia przy korcie tenisowym. To wszystko.

– A mieszkanie służących?

– Tak, jest jeden budynek przeznaczony dla służby.

– Jak liczna jest służba?

– Madeleine, dwie pokojówki i ogrodnik. Ogródnik z pięcioma synami

mieszka w oddzielnym domu, a pokojówki i Madeleine zajmują pokoje tutaj.

– Kto widział, jak pana żona opuszczała posiadłość?

– Jedna z pokojówek polerowała drzwi wejściowe i widziała, jak Gina wychodziła z domu. Nie sędzę, żeby ktoś zauważył, kiedy wyjeżdżała. Jeśli chce pan przepytac tych ludzi, mogę ich zawołać w każdej chwili.

– Gdzie teraz są?

– W swoich pokojach.

– Kiedy kończą pracę?

– O dziewiątej, ale czasem zostają trochę dłużej w kuchni – rozmawiają i popijają kawę. Odesłałem ich wcześniej, żeby uniknąć atmosfery niezdrowej sensacji.

– Jak zareagowali na zniknięcie pani Ramp?

– Są poważnie zaniepokojeni. Znają ją od dawna, są sumienni i oddani.

– Czy mają państwo inne domy?

– Jeszcze jeden. Na plaży w Malibu. O ile wiem, Gina nigdy tam nie była.

Nie lubi wody – nawet nie pływa w basenie. Mimo to dzwoniłem tam dwa razy, ale nie było nikogo.

– Czy w ostatnich dniach wspominała coś o wyjeździe, o samotnej

eskapadzie?

– Ależ nie, ja...

– Żadnej wzmianki?

– Nie. Chyba wyraziłem się jasno? – Ramp znów poczerwieniał.

Milo czekał, bębniąc długopisem po notatniku.

– To nie ma żadnego sensu – rzekł Ramp po chwili. – Ona chciała rozwijać, a nie ograniczać kontakty z ludźmi. To był główny cel jej leczenia – powrócić do normalnego życia towarzyskiego. Mówiąc szczerze, nie rozumiem, do czego pan zmierza. Przecież nie wybrała się na wakacje! Coś się musiało stać. Czemu nie pojedzie pan do miasta i nie przyskrzyni tego bandyty McCloskeya? Niech się pan lepiej dowie, jaki idiota go wypuścił! – Oddychał ciężko. Żył nabrzmiały mu na skroniach.

– Skontaktowałem się z policjantem, który przesłuchiwał McCloskeya.

Nazywa się Bradley Lewis i nie jest najgorszym gliniarzem. McCloskey ma niepodważalne alibi – pracował w kuchni dla bezdomnych w misji, gdzie aktualnie mieszka. Obierał ziemniaki, zmywał gary i roznosił zupę przez całe popołudnie. Widziało go kilkunastu świadków, łącznie z księdzem, który kieruje ośrodkiem. Nie wychodził od południa do ósmej wieczór. Nie ma więc żadnego powodu, by policja miała go przetrzymywać w areszcie.

– Nawet w charakterze podejrzanego?

– Nie ma przestępstwa, nie ma podejrzanego. Po prostu pewna dama pozostała trochę dłużej poza domem.

– Ależ on jest winny wszelkich nieszczęść w tej rodzinie!

– To prawda, odsiedział jednak swoje. Jest teraz wolnym obywatelem.

Policja nic na niego nie ma.

– A czy pan nie może niczego zrobić?

– Niestety.

– Nie mówię o legalnych sposobach.

Milo uśmiechnął się i westchnął przeciągle.

– Pozostało się tylko modlić.

– Ja mówię poważnie, panie Sturgis.

Nagle Milo przestał się uśmiechać.

– Ja również, panie Ramp. Jeśli o takiej pomocy pan myśli, to pomylił pan adresy.

Odłożył długopis.

– Ja nie miałem tego na myśli... – odparł szybko Ramp przepaszającym tonem.

Milo podniósł rękę.

– Wiem, że nie jest panu łatwo. Wiem, że system policyjny jest nieefektywny. Dowiedziałem się, że po przesłuchaniu policjant odwiózł go do domu, ponieważ facet nie ma samochodu. Nie ma sprawy, mogę tam pojechać, wyciągnąć go z łóżka. Odmówi rozmowy ze mną, ale nie będę na to zważał. W kinie wygląda to bombowo – błyskawiczna akcja. Facet śpiewa jak z nut i dobro zwycięża. W normalnym życiu taki człowiek wynajmuje adwokata i nic nie możemy mu zrobić. W dodatku może zawiadomić prasę i rozgłosić, że jest bezprawnie prześladowany. Wtedy pojawia się pana żona – zepsuł się jej samochód i nie miała pod ręką telefonu. Szczęśliwe zakończenie, ale jej twarz powraca na pierwsze strony gazet. McCloskey

stanie się męczennikiem, a ona spragnioną zemsty psychopatką. Czy tego pan chce?

– Na Boga, to jest nie do pojęcia – Ramp potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Policja będzie miała na niego oko, ale mówiąc szczerze, na wiele się to nie zda. Jeśli nie znajdziemy jej do rana, złożę mu wizytę. Mogę nawet pojechać natychmiast, a kiedy mnie nie wpuści, przysiędę koło drzwi i tam przenocuję. Zapłaci pan siedemdziesiąt dolarów za godzinę plus wydatki i dostanie pan nic nie warty raport. Zmarnowane godziny liczą się tak samo, jak przepracowane efektywnie, ale w cenę moich usług wliczone jest doradztwo.

– Więc co pan proponuje? – zapytał Ramp.

– Są lepsze sposoby zużytkowania mojego czasu.

– Na przykład jakie?

– Na przykład dzwonienie na ostre dyżury szpitali i do nocnych pomocy drogowych.

– To sam mogę zrobić – zauważył Ramp.

– Świetnie. Im więcej ludzi pracuje, tym szybciej wykonamy pracę. Jeśli pan chce, mogę napisać na kartce numery telefonów, pod które warto zadzwonić.

– Gdzie jeszcze?

– Prywatne kliniki. Warto skontaktować się z dyżurnym służby drogowej i sprawdzić, czy jakieś ważne informacje nie utknęły gdzieś na biurku, bo w policji to się zdarza, proszę mi wierzyć. Może pan zadzwonić do linii

lotniczych, agencji turystycznych i wypożyczalni samochodów. Można sprawdzić numery kart kredytowych, jakich używała, zorientować się, czy robiła ostatnio jakieś zakupy. Jeśli nie wróci do rana, skontaktuję się z jej bankiem, żeby dokładnie prześledzić jej ostatnie operacje bankowe, na wypadek, gdyby robiła duże wypłaty. Czy ma pan dostęp do jej kont bankowych?

– Nie, nasze finanse są niezależne.

– Żadnych wspólnych kont?

– Nie, żadnych. – Ramp skrzyżował ręce na piersiach. Wydawało się, że każde słowo kluje go jak szpilka. – Więc sugeruje pan, że ona uciekła?

– Pewnie nie, ale...

– Ja stanowczo twierdzę, że nie uciekła.

Milo westchnął ciężko.

– Panie Ramp, trzeba mieć nadzieję, że pańska żona wkrótce sama się odnajdzie. Jeśli nie, to będziemy mieli typowe zaginięcie. A wówczas trzeba brać pod uwagę wszystkie możliwości. To jest jak z lekarzem, który pobiera od pana krew do badania. Zacytuje panu statystyki, powie, żeby się nie przejmować, że najprawdopodobniej nic panu nie jest, ale próbkę zaraz pośle do laboratorium.

Milo odpiął kurtkę, wsadził obie dłonie do kieszeni spodni i przeciągnął się.

Ramp popatrzył na podłogę, a następnie w zielone oczy Mila.

– Dobrze, niech będzie – rzekł.

– Jak pan sobie życzy. Bo można też po prostu siedzieć i czekać.

– Nie, proszę czynić to, co pan powiedział. Zapewne chce pan otrzymać czek przed rozpoczęciem pracy?

– Zanim stąd wyjdę, chciałbym dostać siedemset dolarów – za dziesięć godzin z góry. Chcę pomówić ze służbą. A potem przejrzeć jej pokoje i rzeczy.

Ramp jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się.

– Postaram się nic nie zabrudzić i nie zrobić bałaganu. Jeśli pan chce, proszę pójść ze mną.

– Nie, nie ma potrzeby. Wskażę panu drogę.

Obaj skierowali się w stronę schodów. Poszedłem za nimi, trzymając się parę kroków z tyłu.

Kiedy weszliśmy na górę, usłyszałem otwierane drzwi. Na korytarzu niedaleko pokoju Giny pojawił się srebrny snop światła. Zobaczyliśmy cień Melissy, a po chwili jej całą postać. Miała na sobie koszulkę i dżinsy. Była w skarpetach. Przecierała oczy, zbliżając się do nas.

Zawołałem ją po imieniu.

Szybko do nas podbiegła.

Ramp pokręcił głową i rzekł:

– Wciąż nic nie ma. To jest detektyw Sturgis, a to jest panna Melissa, córka pani Ramp.

Milo wyciągnął do niej rękę. Uścisnęła ją. Miała suche wargi i podpuchnięte oczy.

– Co pan zamierza uczynić, żeby ją znaleźć? Co ja mam robić?

– Czy byłaś w domu, kiedy wyjechała pani Ramp? – zapytał Milo.

- Tak.
- W jakim była nastroju?
- Dobrym. Troszeczkę podniecona tym, że jedzie sama. – Pomyślałam, że może dostać ataku. zaproponowałam, że z nią pojedę, ale odmówiła podniesionym głosem. Nigdy przedtem tak się do mnie nie odzywała. – Z trudem powstrzymywała się od płaczu. – Powinnam była nalegać.
- Czy wytłumaczyła, dlaczego chce jechać sama?
- Nie. Zapytałam, ale nie odpowiedziała. To nie było w jej stylu. Powinnam od razu się domyślić, że coś jest nie w porządku.
- Czy widziałaś, jak opuszczała posiadłość?
- Nie. Powiedziała wyraźnie, że bym nie jechała za nią, wręcz nakazała. – Zagryzła wargę. – Poszłam do siebie, położyłam się i zdrzemnęłam, słuchając muzyki. Nie wiem, czemu tak chce mi się ciągle spać.
- To nerwy, moje dziecko – stwierdził Ramp.
- Co mogło się jej stać? – zapytała.
- Właśnie to staram się ustalić – odparł Milo. – Twój ojczym zadzwoni w kilka miejsc. A ja chcę rzucić okiem na pokoje i rzeczy twojej matki.
- Gdzie ma dzwonić?
- Nic nadzwyczajnego – rzekł Milo. – Stacje benzynowe, parę okolicznych szpitali – tylko dla pewności.
- Szpitale! – Chwyciła się za piersi. – Och, mój Boże!
- Tylko dla pewności – powtórzył Milo. – Policja z San Labrador pewnie już to zrobiła przed nami, ale powinniśmy wszystko jeszcze raz sprawdzić.
- Szpitale – powtórzyła i zaczęła pochlipywać.

Milo położył rękę na jej ramieniu.

Ramp wyjął chusteczkę i podał mówiąc.

– Proszę. – Gdy pokręciła przecząco głową i wytarła łzy dłońmi, schował chusteczkę do kieszeni i cofnął się parę kroków.

– Dlaczego chcesz zobaczyć jej pokój? – zapytała.

– Żeby bliżej ją poznać, zobaczyć, czy wszystko jest na miejscu. Może zostawiła jakieś ślady? Jeśli chcesz, możesz mi pomóc.

– Czy nie powinniśmy jej szukać?

– Strata czasu – wtrącił Ramp.

Odwróciła się do niego.

– To twoja opinia.

– Nie, to opinia pana Sturgisa.

– Więc daj mu to powiedzieć. Ramp poszarzał i jakby się skulił.

– Idę robić swoje – rzekł i oddalił się od nas szybkim krokiem.

Kiedy odszedł, Melissa odezwała się:

– Powinieneś mieć go na oku.

– Czemu? – zapytał Milo.

– Ona ma o wiele więcej pieniędzy niż on.

Milo zmierzył ją spojrzeniem.

– Myślisz, że to może być jego sprawka?

– Jeśli sądził, że na tym zyska, to kto wie? Lubi ekskluzywne rozrywki –

tenis, posiadłość tutaj, domek nad morzem, ale wszystko to należy do

mamy. Nie mam pojęcia, dlaczego się pobrali. Nawet ze sobą nie śpią,

niczego nie robią wspólnie. On jest jak natrętny gość, który się zasiedział i

którego nie można się pozbyć. Nie rozumiem, czemu go poślubiła.

– Czy się kłócili?

– Nigdy – odparła. – Co ona w nim widziała?

– Nie zapytałaś jej o to? – wtrąciłem.

– Tak, ale nie wprost, nie chciałam urazić jej uczuć. Zapytałam, co lubi u mężczyzn. Odrzekła, że najważniejszą rzeczą jest łagodność i tolerancja.

– Czy tak oceniała Rampa?

– Ja myślę, że on jest zwykłym wazeliniarzem.

– Czy dostanie jakieś pieniądze, gdyby coś się jej przytrafiło?

– Nie wiem.

– To łatwo stwierdzić. Jeśli nie pojawi się do rana, zajrzę do jej finansów.

A tymczasem może natrafię na coś w jej pokoju.

– Dobrze. Nie myślisz jednak, że coś się jej przytrafiło?

– Nie, skądże. Nie trzeba dublować pracy policji i wypuszczać się na poszukiwania. Chociaż niczego nie można pozostawić bez sprawdzenia.

Osobiście przejrzałem policyjną listę zaginionych osób i pojazdów. Jestem sceptykiem od urodzenia. Rolls-royce bardzo rzuca się w oczy. Jeśli to nie poskutkuje, możemy jej dane przekazać policji stanowej i federalnej, a nawet zamieścić ogłoszenia w gazetach. Z tym jednak należy zachować ostrożność.

– A co z McCloskeyem? – krzyknęła Melissa. – Wiesz o nim?

Milo skinął głową.

– To dlaczego nie pojedziesz... i go nie przyciśniesz? Zrobię to sama z

Noelem, jak tylko zdobędę adres tego bandyty.

– To nie jest dobry pomysł. – Milo powtórzył to, co parę minut wcześniej powiedział Rampowi.

– A jednak to jest moja matka i zrobię tak, jak sama uważam.

– A czy twoja mama chciałaby widzieć cię w kostnicy?

Otworzyła usta i zamknęła je. Podniosła głowę.

– Próbujesz mnie nastraszyć?

– Tak.

– To ci się nie uda.

– Wielka szkoda. – Spojrzał na swój zegarek: – Zmarnowaliśmy już piętnaście minut. Chcesz tu stać, czy pracować?

– Oczywiście, że pracować – odparła.

– Gdzie jest jej pokój? – zapytał Milo.

– Tutaj. Proszę tędy. – Poprowadziła nas korytarzem.

Milo patrzył na nią i coś mruczał pod nosem. Dotarliśmy do drzwi, które były otwarte.

– To tutaj. Pokażę, gdzie co jest.

Milo wszedł do pokoju. Ja za nim.

Melissa minęła mnie i spojrzała prosto w oczy Mila.

– Jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego?

– To ja ci płacę, więc traktuj mnie poważnie.

Rozdział szesnasty

Jeśli moja obecność przestanie ci odpowiadać, daj mi znać. A sprawę pieniędzy omów z ojczymem – oświadczył Milo. Wyjął notes i rozejrzał się

po pokoju. Podeszedł do szarej kanapy. Pomacał poduszki.

– To jest poczekalnia dla gości?

– Nie, to jej główny pokój – odparła Melissa. – Nie przyjmowała gości.

Wnętrza zaprojektował mój ojciec. Posiadał dobry gust. Kiedyś było tu inaczej – elegancko, sporo mebli – ale ona kazała wszystko uprzątnąć i mamy dzisiejszy wystrój. Całość zamówiła z katalogu. Nie była szczególnie wymagająca. To jej ulubione miejsce – spędza tu większość czasu.

– Co robiła najczęściej?

– Bardzo dużo czyta. Uwielbia czytanie. Ćwiczy, przyrzędy są dalej – wskazała na następny pokój.

Milo przystanął przy Cassat.

– Jak długo twoja matka ma ten obraz? – zapytałem.

– To prezent od ojca. Była wtedy w ciąży ze mną.

– Czy ma coś jeszcze tej malarki?

– Możliwe. Ojciec kolekcjonował grafiki Cassat. Są przechowywane na trzecim piętrze. Z dala od słońca. Tam nie ma okien.

– Tutaj też nie ma okien – zauważył Milo. – To jej nie przeszkadzało?

– Ona stwarza własną słoneczną aurę – rzekła Melissa.

– Aha. – Podeszedł do szarej kanapy. Zdjął z niej poduszki i ułożył je z powrotem.

– Od jak dawna pokój jest urządzony w ten sposób? – zapytałem.

Oboje spojrzeli na mnie.

– Zwykła ciekawość – odparłem. – Łączę to ze zmianami, jakich doświadczyła ostatnimi czasy.

– To wszystko jest tu od niedawna. Od paru miesięcy – trzech czy czterech. Poprzednie umeblowanie było w stylu ojca – sprzęty niezwykle ozdobne, bogate, unikatowe. Kazała wynieść wszystko na trzecie piętro. Odczuwała coś w rodzaju poczucia winy w stosunku do ojca, który poświęcił wiele zachodu, żeby tak wyposażyć mieszkanie. Wciąż powtarzałam, że to jej własny pokój i może czynić, co się jej podoba.

Milo otworzył drzwi do sypialni i wszedł do niej.

– Tego jednak nie zmieniła? – zapytał, stając naprzeciw łóżka z baldachimem.

– Chyba wolała, żeby zostało tu po staremu – odparła Melissa.

– Na to wygląda – rzekł Milo.

Pomieszczenie miało ze dwadzieścia metrów kwadratowych. Wysoki sufit obity był takim materiałem, z jakiego szyje się suknie ślubne. Pod ścianą stał półtorametrowy marmurowy zegar. Na jego szczycie rozsiadł się złoty orzeł. Fotele w stylu Ludwika XIV, pokryte oliwkowozielonym jedwabnym adamaszkiem z oparciami ozdobionymi motywami kwiatów. Obok dwa stoliki o połączonych blatach, z wymalowanymi na nich scenkami wiejskimi i postaciami ulotnych nimf.

Pośrodku sufitu znajdował się przeogromny kryształowy żyrandol zdobiony srebrem. Łoże okrywała biała, jedwabna narzuta. Na fotelu obok leżał jedwabny szlafrok. Łóżko było ustawione na podwyższeniu. Baldachim sięgał prawie sufitu.

Słabe światelko płynące z kryształowego kinkietu obok łóżka przekształcało biel narzuty w kolor angielskiej musztardy, a śliwkowe

dywany wydawały się szare. Milo zapalił żyrandol i pokój zalał strumień intensywnego blasku.

Pochylił się i zajrzał pod łóżko.

– Żadnego pyłku. Kiedy tu było sprzątane?

– Prawdopodobnie dziś rano. Matka zwykle sama się tym zajmowała, ale odkurzanie zostawiała pokojówkom. Za to sama ścieliła łóżko.

Spojrzałem na chińskie nocne stoliki. Na obu stały telefony z kości słoniowej. Oprócz tego na jednym dostrzegłem wazon z różą, a obok książkę w twardej oprawie.

Wszystkie okna były zasłonięte. Milo podszedł do jednego z ich, odsunął zasłonę, uchylił okno i wyjrzał na zewnątrz. Poczuliśmy powiew świeżego powietrza.

Stał tak przez chwilę, następnie odwrócił się i podszedł do łóżka. Wziął do ręki książkę. Przerzucił parę stron i energicznie nią potrząsnął. Nic z niej nie wypadło. Otworzył drzwiczki stolika nocnego, pochylił się i zajrzał do wnętrza. Było puste.

Spojrzałem na okładkę książki – Paul Theroux *Ekspres Patagonia*.

– To jest książka podróżnicza – wyjaśniła Melissa.

Milo nie powiedział słowa.

Przy łóżku stała orzechowa szafka z wielkim lustrem ozdobionym rzeźbionymi herbami i kwiatami oraz serwantka z drzewa owocowego. Obok buteleczek z perfumami stał na niej marmurowy zegar. Milo otworzył górną część serwantki. Wewnątrz znajdował się dziewiętnastocalowy, kolorowy telewizor sony, co najmniej dziesięcioletni. Na telewizorze leżał program

telewizyjny. Milo przejrzał go.

– Nie ma odtwarzacza wideo? – zapytał.

– Nie lubiła oglądać filmów.

Detektyw przykucnął i otworzył dolne szuflady serwantki. W środku ułożone były atlasowe i jedwabne części garderoby. Bez ceregieli przejrzał je.

– Czego właściwie szukasz? – zapytała Melissa.

– Gdzie jest reszta odzieży?

– Tam – wskazała palcem na rzeźbione, rozsuwane drzwi, ozdobione wykonaną z miedzi i brązu mozaiką z motywem winogron.

Milo bezceremonialnie je rozsunął.

Za nimi znajdował się korytarzyk z trojgiem drzwi. Pierwsze prowadziły do łazienki wyłożonej zielonym marmurem, z lśniącymi lustrami i wpuszczoną w podłogę wanną, w której pomieściłaby się cała rodzina. Za oddzielną płytą lustro ukryta była szafka. Milo zajrzał do środka – aspiryna, pasta do zębów, szampon, szminki i trochę kosmetyków.

– Czy czegoś brakuje?

Melissa pokręciła głową.

– Nie. To wszystko, co tu miała.

Drugie drzwi prowadziły do wnętrza pokoju, ze stolikiem do makijażu i miękkim taboret. Wszystko ułożone było pedantycznie, niczym narzędzia chirurgiczne na sali operacyjnej. Dwie ściany miały boazerię, a dwie pokrywał różowy adamaszek.

Wnęka wypełniona była tylko do połowy. Na wieszakach przeważały

jednoczęściowe suknie w pastelowych odcieniach, trochę było spódnic.

Futra zajmowały tylną część. Niektóre z nich miały przyczepione metki.

Dziesięć par obuwia, w tym trzy pary trzewików na gumowej podeszwie.

Kolekcja różnorodnych dodatków zajmowała długie półki po obu stronach.

Milo pracował bez pośpiechu. Przeszukiwał kieszenie ubrań, obmacywał.

Schylił się, żeby dokładnie obejrzeć podłogę. Nie znalazł niczego i

przeszliśmy do ostatnich drzwi.

Połączenie biblioteki z salą gimnastyczną. Ściany aż do sufitu wyłożone

były dębowymi płytami. Podłogę pokrywał parkiet wypolerowany na wysoki

połysk. Część parkietu zakrywały grube maty. Stacjonarny rower, przyrząd

do wiosłowania, elektryczne urządzenie do masażu bioder i szyi,

chromowane hantle. Na kierownicy roweru wisiał tani kwarcowy zegarek.

Na małej lodówce stały dwie pełne butelki wody mineralnej. Milo otworzył

ją. Była pusta.

Cofnął się i musnął palcami grzbiety książek wypełniających półki.

Znowu Therous. Jan Morris. Bruce Chatwin.

Atlasy. Książki ze zdjęciami krajobrazów. Przewodniki turystyczne z

początków naszego wieku do czasów współczesnych. Przewodniki po

miastach Ameryki i Europy. Roczniki „National Geographic” w skórzanych

okładkach. Książki: *Oceany świata, Historia przyrody, Vademecum*

podróżnika, Nurkowanie sportowe, Kraje egzotyczne.

Po raz pierwszy od momentu wkroczenia do pokojów Giny Milo jakby się

nico ożywił. Trwało to sekundę. Prześledził resztę książek i rzekł:

– Chyba coś mamy.

Melissa milczała.

Ja również.

Nikt nie śmiał ubrać w słowa owych narzucających się myśli.

Powróciliśmy do sypialni. Melissa wyraźnie posmutniała.

– Gdzie przechowywane są książeczki czekowe i inne tego rodzaju dokumenty?

– Nie wiem. Nie jestem pewna, czy w ogóle trzyma je tutaj.

– Czemu?

– Jej sprawami bankowymi zajmuje się pan Anger z Pierwszego Banku Powierniczego. Jest prezesem. Jego ojciec znał mojego ojca.

– Anger – powtórzył Milo i zapisał. – Znasz adres?

– Nie znam dokładnego adresu, ale znajduje się on w Cathcart – parę przecznic od zakrętu, który prowadzi tutaj.

– Ile kont posiadała twoja mama?

– Nie wiem. Ja mam dwa: długoterminowe i na bieżące wydatki. Tak chciał ojciec.

– A twój ojczym z jakiego banku korzysta?

– Nie mam pojęcia.

Czy podejrzewasz, że ma kłopoty finansowe?

– Nie. Nic o tym nie słyszałam.

– Jakiego rodzaju restaurację prowadzi?

– Sprzedaje steki i piwo.

– Dobrze mu idzie?

– Chyba tak. Sprowadza zagraniczne marki piwa. Podobno mieszkańcy

San Labrador znani są z wyrafinowanego smaku.

– Gdy już mowa o napojach – czy mogę prosić o sok owocowy albo wodę sodową z lodem? Jest tu jakaś pełna lodówka?

Kiwnęła głową.

– W kuchni. Przynieść coś dla ciebie, Alex?

– Bardzo proszę – odparłem.

– Może być cola – stwierdził Milo.

Kiwnąłem głową.

– A więc dwie cole – rzekła, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Co jest? – zapytał Milo.

– Skończyłeś tutaj? – odparła Melissa.

Rozejrzał się raz jeszcze.

– Tak – odparł.

Przeszliśmy do holu, Melissa zamknęła drzwi i powiedziała:

– A więc dwie cole. Zaraz wrócę. Kiedy wyszła, zapytałem:

– Co o tym myślisz?

– Co myślę? Że za pieniądze nie kupi się szczęścia, brachu. Tamten pokój

– wskazał kciukiem na drzwi – jest jak cholerny apartament hotelowy. Jakże można żyć w ten sposób, bez pozostawienia śladu własnej osobowości? Co, u diabła, robiła przez całe dni?

– Czytała i ćwiczyła mięśnie.

– Tak – rzekł. – Przewodniki turystyczne. Jak na ironię losu.

Nic nie odrzekłem.

– Co? Myślisz, że straciłem całą zdolność współczucia?

– Mówisz o niej w czasie przeszłym.

– Mam do ciebie prośbę – nie analizuj mojej osobowości. Nie twierdzę, że umarła, ale że zniknęła. Coś mi mówi, że od dawna chciała się stąd urwać.

W końcu zebrała siły i wypłynęła na otwarte morze. Pewnie pędzi rolls-royce'em gdzieś po autostradzie numer sześćdziesiąt sześć i podśpiewuje sobie przy otwartych oknach.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że zostawiła Melissę.

Zaśmiał się głośno.

– Wiem, że ona jest twoją pacjentką i bardzo ją lubisz, ale najwyraźniej nigdy jeszcze dotąd nie dostała w skórę. Słyszałeś, jak mówiła, że jej mamusia nigdy nie podniosła na nią głosu. Czy to jest normalne? Może mamusia się po prostu znudziła? Widziałeś, w jaki sposób ta mała traktuje Rampa? A do tego daje mi do zrozumienia, że bym się nim zajął. Osobiście długo bym tu nie wytrzymał. Nie mam doktoratu z psychologii dziecięcej, ale jej matka również go nie ma.

– To dobre dziecko. Jej matka zniknęła, więc mógłbyś się od niej odczepić.

– Zanim mamusia się ulotniła, pomiędzy nimi nie układało się najlepiej. Sam powiedziałeś, że jeszcze wczoraj poważnie się pokłóciły.

– Masz rację, czasem trudno z nią wytrzymać, ale z matką łączą ją silne więzy. Są ze sobą bardzo blisko. Niemożliwe, żeby Gina nagle uciekła.

– Bez obrazy – rzekł – ale jak długo znasz tę panią? Raz ją spotkałeś. Była niegdyś aktorką. A jeśli chodzi o ich bliskie związki – pomyśl tylko, czy można nigdy nie wrzasnąć na dzieciaka? Przez osiemnaście lat? Choćby to

było najlepsze dziecko, zawsze zdarzają się do tego okazje. Ta pani musiała tu siedzieć jak na beczce z prochem. Wściekła na McCloskeya za to, co jej zrobił. Nieszczęśliwa z powodu utraty męża. Z niesamowitymi pretensjami do siebie samej, że nie potrafi wyrwać się z tego więzienia. To olbrzymia beczka prochu. Aż wreszcie kłótnia z córką spowodowała wybuch. Miarka się przebrała, kiedy po raz kolejny ta mała chciała postawić na swoim. Mama odczekała i rzuciła wszystko w jasną cholere. Dostyc czytania o egzotycznych krajach – trzeba się ruszyć i je zwiedzić.

– Zakładając, że masz rację, czy jest nadzieja, że ona wróci?

– Tak, prawdopodobnie. Nie wzięła ze sobą dużo rzeczy. Kto jednak wie?

– Co robić? Czekać i modlić się?

– Na modlitwy przyjdzie czas. Kiedy myszkowałem po jej pokojach, chciałem poczuć się w jej skórze. Taka wizja lokalna. I wiesz co, oglądałem już dziesiątki zakrwawionych pokoi, ale takiego niesamowitego miejsca nigdy nie widziałem. Czulo się... pustkę. Złe wibracje. Kiedyś azjatycka dżungla zrobiła na mnie takie samo wrażenie. Martwa cisza, ale wiadomo, że pod jej powierzchnią coś się dzieje, coś się kłębi. – Potrząsnął głową. – Słyszysz, co ja wygaduję? Wibracje! To idiotyczne.

– Nie – odparłem – ja też to czułem. Wczoraj, kiedy tu byłem, ten dom przypomniiał mi opustoszały hotel.

– Moim zdaniem, powinniśmy odczekać parę dni. Jest duże prawdopodobieństwo, że do tego czasu sama się odnajdzie. W tym momencie na dobrą sprawę mogę zakończyć pracę, ale idę o zakład, że ta mała i Ramp nie zrozumieliby mnie i zatrudniliby innego detektywa. W

każdym razie ja ich nie oskubię. Siedemdziesiąt za godzinę to i tak niewiele.

– Mnie mówiłeś o pięćdziesięciu.

– Mówilem. Jednak potem przyjechałem i zobaczyłem domek. A teraz, kiedy obejrzałem wnętrze, żałuję, że nie zażądałem dziewięćdziesięciu.

– Dla każdego inna cena?

– Pewnie. Niech się dzielą bogactwem. Po pół godzinie w tym domeczku jestem gotów głosować na socjalistów.

– Może Gina czuła to samo?

– Jak to?

– Sam widziałeś, ile miała ubrań. Jak przemeblowała swój duży pokój.

Według katalogu. Może po prostu chciała być jak najdalej od tego miejsca?

– A może jest klasyczną odwrotnością snoba? Posiada bogatą kolekcję malarstwa i trzyma ją na strychu.

Już miałem wspomnieć mu o obrazie Cassat w gabinecie Ursuli

Cunningham-Gabney, kiedy weszła Melissa z dwiema szklankami.

Przyprowadziła Madeleine i dwie potężnie zbudowane trzydziestoletnie

Hiszpanki. Jedna miała długie, proste włosy, druga – krótko ostrzyżone. W

białych uniformach pokojówek stanęły na baczność, gotowe na każde skinienie, jak w doskonałym hotelu.

– To jest detektyw Sturgis – rzekła Melissa, wręczając nam colę. – Ma odnaleźć mamę. To jest Madeleine de Couer, Lupe Ortega i Rebecca Maldonado.

– Dobry wieczór paniom – powitał je Milo.

Madeleine złożyła ręce na brzuchu i skinęła głową. Pozostałe dwie

kobiety stały bez ruchu.

– Czekamy tylko na Sabino, ogrodnika. Powinien zaraz przyjść – rzekła

Melissa. – Nie warto tego przeciągać. Możecie je przepytać. Po części już to uczyniłam.

Przerwał jej dzwonek u drzwi.

– Przepraszam na chwilę. – Pobieгла na dół. Z góry schodów

obserwowałem, jak podchodzi do drzwi. Jednakże ubiegł ją Ramp. Otworzył

drzwi i do domu wkroczył Sabino Hernandez z pięcioma synami. Sześciu

mężczyzn ubranych było w sportowe koszulki i jednakowe spodnie. Ustawili

się w paradnym szyku. Jeden z nich miał zawiązaną chustkę na szyi, paru

miało na nogach wyglansowane, białe, skórzane trzewiki. Rozglądali się

wokoło zadziwieni wielkością holu. Ciekawe, jak często zdarzało się im

bywać w tym domu.

Zebraliśmy się w salonie. Milo stał z notatnikiem i długopisem, a tamci

nieśmiało przysiedli na brzegu miękkich krzeseł i foteli. Hernandez bardzo

postarzał się przez ostatnie dziewięć lat – posiwiał, przytył, opadała mu

szczeka i trzęsły się ręce. Nie wyglądał na człowieka zdolnego do pracy

fizycznej. Jego synowie, teraz dorośli mężczyźni, otaczali go jak tyczki, które

podpierają chylące się, chore drzewo.

Milo zadawał pytania, prosząc o jak najdokładniejsze odpowiedzi.

Kobiety patrzyły zwilgotniałymi oczami, mężczyźni mieli jasne spojrzenia.

Znaleźli się świadkowie wyjazdu Giny. Dwaj synowie Hernandeza

pracowali wtedy w ogrodzie. Jeden z nich, Guillermo, przycinał drzewo koło

podjazdu i widział Ginę w samochodzie. Zapamiętał twarz swojej

pracodawcy,

ponieważ

przyciemniane

szyby

samochodu

były

opuszczone.

Señora nie uśmiechała się, miała skupiony, poważny wyraz twarzy.

Obie ręce trzymała na kierownicy.

Jechała bardzo wolno.

Nie zauważyła go i nic nie powiedziała.

To było dziwne, ponieważ señora zwykle jest nastawiona bardzo

przyjaźnie do służby. Nie wyglądała jednak na zdenerwowaną ani

rozzłoszczoną. To było co innego, na co nie mógł znaleźć angielskiego

określenia. Zamienił parę słów z braćmi. Hernandez patrzył prosto przed

siebie, czując się wyłączony z przesłuchania.

– Była zamyślona – orzekł Guillermo. – Jakby skupiona na jednej myśli.

– Czy domyślasz się, o czym myślała? – zapytał Milo.

Guillermo przecząco pokręcił głową.

Milo zwrócił się do reszty z tym samym pytaniem.

Nikt nie wiedział.

Jedna z Hiszpanek zaczęła popłakiwać.

Madeleine skarciła ją.

Milo zapytał Francuzkę, czy chce coś dodać.

Odrzekła, że madame była wspaniałą osobą.

Non. Nie miała pojęcia, dokąd udała się madame.

Non. Madame miała ze sobą tylko torebkę. Czarną torebkę z cielej skóry od Judith Leiber. Jedyłą, jaką posiadała. Madame nie kupowała wielu rzeczy, ale to, co miała, było najwyższej jakości. Madame była... *très dassique.*

Lupe i Rebecca wciąż cichutko pochlipywały.

Hernandezowie podnieśli się ze swych krzeseł.

Wszyscy mieli zakłopotane spojrzenia. Ramp wlepił wzrok w swoją zaciśniętą pięść. Nawet Melissa nie miała zwykłego wigoru.

Milo nie przerywał pytań. Na początku łagodnie, potem naciskając z dużym wyczuciem. Był w tym wyjątkowo zręczny.

Jednakże niczego więcej nie dowiedzieliśmy się.

Wszystkich ogarnęło poczucie beznadziejności.

Podczas przesłuchania nikt nie odzywał się bez pytania, nikt nie przemawiał w imieniu całej służby.

Dawniej było inaczej.

„Wygląda na to, że Jacob jest twoim dobrym przyjacielem.”

„On zajmuje się wszystkim.”

Nikt nie potrafił zastąpić Dutchy’ego.

Również dzisiaj, kiedy nad owym wielkim domem zawisł palec przeznaczenia i począł go obracać w ruinę.

Rozdział siedemnasty

Milo podziękował pokojówkom, kucharce i ogrodnikom i zapytał, gdzie

mógłby popracować.

– To zależy od pana – odparł Ramp.

– W pokoju na dole – rzekła Melissa i zaprowadziła nas do niedużego pokoju bez okien z obrazami Goi. Na środku stało białe biurko, o wiele za małe dla Miła. Usiadł przy nim. Najwyraźniej nie było mu wygodnie.

Popatrzył na ścianę z półkami na książki.

– Ładny widok.

Ojciec używał tego pokoju jako gabinetu. Jest bez okien dla zapewnienia maksymalnej koncentracji.

– Aha. – Milo otworzył szuflady biurka i zamknął je. Wyjął z kieszeni notatnik i położył go przed sobą. – Są tu książki telefoniczne?

– Proszę bardzo. – Melissa otworzyła szklaną biblioteczkę pod półkami.

Wyjęła parę dużych ksiąg i ułożyła z nich pokaźny stosik. – Na samej górze są prywatne numery z San Labrador. Znajdziesz tu wszystkie zastrzeżone numery.

Milo podzielił książki na dwie kupki.

– Możemy zacząć od numerów kart kredytowych.

– Ona ma wszystkie najpopularniejsze karty – odezwał się Ramp – ale nie znam ich numerów.

– Gdzie przechowuje wyciągi z kont?

– W banku. Pierwszy Powierniczy w San Labrador. Rachunki idą bezpośrednio tam i to bank się nimi zajmuje.

Milo zwrócił się do Melissy.

– Znasz te numery?

Pokręciła głową. Wyglądała jak uczeń, który nie przygotował się do lekcji.

Milo skrzywił się.

– A numer jej prawa jazdy?

Milczenie.

– Dowiemy się w Urzędzie Komunikacji – orzekł Milo, ciągle coś zapisując. – Przejdźmy do rysopisu: wzrost, waga, data urodzenia, nazwisko panińskie.

– Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu – odparła Melissa – około pięćdziesięciu pięciu kilo. Urodziła się dwudziestego trzeciego marca.

Nazwisko panińskie Paddock. Regina Marie Paddock – przeliterowała.

– Rok urodzenia?

– Tysiąc dziewięćset czterdziesty szósty.

– Numer ubezpieczenia publicznego?

– Nie znam.

– Nigdy nie widziałem jej książeczki ubezpieczeniowej – włączył się

Ramp – ale jestem pewien, że numer ubezpieczenia poda panu Glenn Anger na podstawie deklaracji dotyczącej zwrotu podatku.

– Czy nie trzymała żadnych dokumentów w domu? – zapytał Milo.

– O ile wiem, nie.

– Czy policja nie wypytywała pana o te szczegóły?

– Nie – odparł Ramp. – Może dostali te informacje z Urzędu Miasta.

– Właśnie – wtrąciła się Melissa.

Detektyw odłożył długopis.

– Dobrze, czas przystąpić do pracy. – Przysunął telefon do siebie.

Ramp i Melissa nie poruszyli się.

– Możecie tu zostać, ale jeśli jesteście zmęczeni, idźcie się przespać.

Melissa zmarszczyła brwi i opuściła pokój.

– Proszę robić, co do pana należy – rzekł Ramp.

Odwrócił się na pięcie i również odszedł.

Milo podniósł słuchawkę.

Poszedłem poszukać Melissy. Była w kuchni. Stała przy jednej z szafek.

Wyjęła z niej butelkę napoju pomarańczowego i odkręciła nakrętkę.

Sięgnęła do kredensu po wysoką szklankę. Napelniła ją. Czyniła to z roztargnieniem. Trochę napoju rozlało się na blacie szafki. Nie próbowała wycierać.

Nie wiedziała o mojej obecności. Podniosła szklankę do ust i wypila tak szybko, że aż się zakrztusiła. Uderzyła się parę razy w piersi. Spostrzegła mnie. Kiedy kaszel minął, rzekła:

– Zamyśliłam się w trakcie picia. – I dodała cicho: – Wszystko leci mi z rąk.

Urwałem papierowy ręcznik z rolki umieszczonej na ścianie i wytarłem blat.

– Ja to zrobię. – Zaczęła wycierać miejsce, które było już suche.

– Wiem, że bardzo to przeżywasz – rzekłem. – Dwa dni temu dyskutowaliśmy o Harvardzie.

– Harvard – powtórzyła niechętnie. – Wielka mi rzecz.

– Niedługo podejmiesz ważną decyzję.

– Myślisz, że mogłabym teraz wyjechać?

Zgniotła ręcznik i rzuciła go na szafkę. Podniosła głowę, spojrzała mi prosto w oczy.

– Zrobisz to, co uważasz za słuszne – stwierdziłem.

Popatrzyła na butelkę.

– O Boże, przepraszam. Nie zaproponowałam ci.

– Nie szkodzi. Dopiero piłem colę. Jakby nie słysząc moich słów, rzekła.

– Zaraz, tylko wyjmę szklankę. – Sięgnęła do kredensu. Ręka jej drgnęła i szklanka omal nie spadła na podłogę.

– A niech to! – zawołała i wybiegła z kuchni.

Znów poszedłem jej śladem. Przeszukałem całą kondygnację, ale nie

zdołałem jej odnaleźć. Wszedłem po zielonych schodach na górę i

skierowałem się do jej pokoju. Drzwi były otwarte. Zajrzałem do środka. Nie

zobaczyłem nikogo. Zawołałem ją po imieniu. Cisza. Wchodząc tu miałem

dziwne uczucie: niejasne wspomnienie miejsca, w którym nigdy przedtem

nie byłem. Sufit był pokryty freskami przedstawiającymi kurtyzany w

bogatyh sukniach. Zapewne Wersal. Dywan w kolorze malinowego sorbetu.

Ściany z różowo-szarą tapetą. Na oknach koronkowe firany. Łóżko było

miniaturą łóżka matki. Na półkach katarynki, maciupeńka zastawa stołowa i

lalki. Znajdowały się tam trzy domy lalek. I zoo z wypchanymi zwierzętami.

Tak, jak opisała to dziewięć lat temu. Pokój, w którym nigdy nie spała.

Jedyną oznaką tego, że jest już dorosła, było biurko po prawej stronie

łóżka. Stał tam komputer, drukarka atramentowa i leżał stos książek.

Przejrzałem tytuły. Dwa repetytoria maturalne, *Twoja kariera*

naukowa, Przewodnik po uniwersytetach Ameryki Fowlera, broszury

informacyjne z paru renomowanych szkół wyższych. Jeden z Harvardu, z oślimi uszami i zakładką na Wydziale Psychologii.

Książki dotyczące przyszłości, ale wystrój pokoju pochodził z odległej przeszłości. Jej umysł się rozwijał, ale otoczenie pozostawało to samo.

Czyżbym bezpodstawnie wierzył, że przez dziewięć lat całkowicie się zmieniła?

Wyszedłem z pokoju z zamiarem, że poszukam jej na drugim i trzecim piętrze. Natychmiast jednak zrezygnowałem, gdyż byłoby to zajęcie bardzo męczące.

Zszedłem do holu przy wejściu. Nie miałem nic do roboty. Duży, marmurowy zegar wskazywał jedenastą czterdzieści pięć. Mijała dziewiąta godzina od zaginięcia Giny.

Wąłęsałem się od prawie trzydziestu minut.

Czas na odpoczynek. Poszukiwania należy pozostawić zawodowcom.

Poszedłem, żeby powiedzieć Milo, że wracam do domu.

Siedział za biurkiem. Krawat rozluźniony, rękawy podciągnięte do łokci, słuchawkę przytrzymał ramieniem i coś szybko zapisywał.

– Aha... Można mu wierzyć?... Poważnie? Nie wiedziałem, że odwaliliście taką robotę... Aż tak?... Nie do wiary... Chyba muszę o tym pomyśleć... A o której godzinie?... Tak, dobrze. Wiem, gdzie to jest... Tak, tak, oficjalnie, ale nie wiem, czy są faktycznie zaangażowani – San Labrador jest na pewno zainteresowany... Tak, wiem. Wystarczy o tym pamiętać... Tak, wielkie dzięki. Jestem zobowiązany. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

– Dyżurny policji drogowej. Moja teoria ucieczki autostradą nabiera rumieńców. Mam doniesienie, że prawdopodobnie widziano jej samochód.

O trzeciej trzydzieści na autostradzie dwieście dziesięć w pobliżu Azusa, jechała na wschód. To jest jakieś szesnaście kilometrów stąd, jeśli chodzi o czas, wszystko by się zgadzało.

– Co znaczy „prawdopodobnie widziano”, i dlaczego zabrało to tyle czasu, jeśli namierzono ją prawie natychmiast?

– Informatorem okazał się policjant na motocyklu. Leżał sobie w domu po pracy i słuchał służbowego radia. Usłyszał o poszukiwaniach i zadzwonił.

Okolo trzeciej trzydzieści zatrzymał jakiegoś gościa za przekroczenie prędkości. Właśnie wypisywał mandat, kiedy zauważył rolls-royce’a, który jechał z dużą prędkością, ale w przeciwnym kierunku. Wóz miał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę na liczniku i policjant nie zdążył zapamiętać numerów, ale rejestracja była angielska. Czy to jest odpowiedź na twoje dwa pytania?

– Kto prowadził?

– Nie widział z powodu przyciemnionych szyb.

– Zauważył przyciemniane szyby?

– Tak. To był wóz, którego szukamy. Ten policjant jest zapalonym kolekcjonerem starych automobili. Sam ma bentleya z tego samego okresu.

– Głina z bentleyem?

– O to samo zapytałem. Rozmawiałem z morowym facetem, sierżantem z małego komisariatu w San Gabriel. To właśnie on otrzymał tę informację, a

również ma fiola na punkcie starych gratów, kolekcjonuje corvette'y. Wielu
gliniarzy ma takiego świra – pracują po godzinach, żeby kupić sobie te
zabawki. W każdym razie powiedział, że stare bentleye nie są szczególnie
drogie. Jakieś dwadzieścia patyków, taniej jeśli kupisz wraka i
wyremontujesz go własnoręcznie. Rolls-royce'y z tego samego roku są
droższe, bo rzadsze – tych silver dawnów wyprodukowano tylko parę setek.
To dlatego facet zwrócił na niego uwagę.

– Znaczy, że należy prawdopodobnie do niej.

– Niekoniecznie. Człowiek, który go widział, nie był pewien, czy był to
samochód czarny z szarym dachem – równie dobrze mógł być cały czarny,
albo ciemnoszary z jasnoszarym dachem. Auto pędziło zbyt szybko.

– A ile starych rolls-royce'ów mogło tamtędy jechać w tym czasie?

– Więcej niż ci się zdaje. Kiedy dolar był coś wart, kupa tych wózków
trafiła do Los Angeles. W okolicach Pasedeny i San Labrador mieszka pełno
kolekcjonerów. Mamy jednak ponad dziewięćdziesiąt procent pewności, że
to była ona.

– Na wschód autostrada dwieście dziesięć – rzekłem, wyobrażając sobie
tamte rozległe tereny. – Dokąd mogła jechać?

– Gdziekolwiek, ale chwilę później musiała podjąć decyzję – autostrada
kończy się dwadzieścia pięć kilometrów od tamtego miejsca, przed samą La
Verne. Od północy rozciąga się płaskowyż Angeles i nie sądzę, żeby się na
niego porywała. Na południu znajduje się kilka innych autostrad, numer
pięćdziesiąt siedem prowadzi prosto na południe. Jest też numer dziesięć i
parę innych, którymi można dojechać na wybrzeże lub do Las Vegas. A może

zjechała na drugorzędną drogę u podnóża płaskowyżu i zapuściła się w kompletne odludzie, gdzie niczego nie ma.

– Mam nadzieję, że trzyma się blisko cywilizacji.

Pokiwał głową.

– Tak. Myślę o Newport Beach, Laguna, La Jolla, Pauma, Santa Fe Springs. Ciągłe za dużo możliwości, żeby wszystkie sprawdzić. Może zrobiła wielkie koło, kierując się do Malibu.

– Ramp dwa razy tam dzwonił i nikt nie odbierał.

– A co jeśli nie była w nastroju do rozmów?

– Czemu miałyby nagle zmienić kierunek?

– Powiedzmy, że całe zdarzenie spowodował impuls. Prowadziła samochód i nagle wjechała na autostradę. Zboczyła na wschód. Może pojechała zgodnie z pierwszą napotkaną tablicą informacyjną? Kiedy obwodnica się skończyła, postanowiła obrać sobie jakiś cel. Na przykład domek w Malibu. W grę wchodzi arteria numer dziesięć i parę innych możliwości: San Berdo, Palm Springs, Vegas. Poza tym mogła pojechać wszędzie, nawet do Maine. Tam mógł się jej popsuć samochód. Ponieważ miała książeczkę czekową, zmieniła go na inny, a własny zostawiła na poboczu. Żeby wybrać się na taką wycieczkę, trzeba mieć dużo czasu i jeszcze więcej pieniędzy. Ona nie miała ani z tym, ani z tamtym najmniejszych kłopotów.

– Agorafobiczka, która ucieka autostradą?

– Sam powiedziałaś, że zrobiła duży postęp w terapii. Może szosa jej w tym pomogła, coś w niej obudziła. Mogła poczuć się silna i niezależna –

wolna od wszystkiego, a przede wszystkim wolna od lęków. Zapomniała o wszelkich zasadach i ograniczeniach – to dlatego ludzie opuszczają San Labrador.

Rozważyłem tę ewentualność. Przypomniałem sobie, jak po raz pierwszy znalazłem się na otwartej szosie, jadąc do liceum na zachód. Miałem wtedy szesnaście lat. Pierwszy raz w życiu jechałem dalej niż do Rockies i zobaczyłem pustynię w nocy. Ten widok mnie poraził. Byłem jak w transie.

Nisko nad ziemią unosiła się brązowa mgielka, która obejmowała cały basen Los Angeles. Nie było przez nią widać kompletnie nic.

– Możliwe – rzekłem. Wyszedł zza biurka.

– Co teraz? – spytałem.

– Powinniśmy czekać na nowe wiadomości i powiadomić sąsiednie okręgi i stany o poszukiwaniach. Pewnie jest już daleko.

– Albo tylko jej samochód?

Ze zdziwienia uniósł brwi.

– Jak to?

– Możliwe, że coś się jej stało. Że ktoś inny siedzi za kierownicą.

– Tak. Gdybyś jednak był bandziorem, to czy jechałbyś tym samochodem, gdzie oczy poniosą?

– A jeśli to byli przygłupi złodzieje?

– Jak sobie życzysz, ale ja trzymam się swojej wersji – świadoma ucieczka. A takie założenie wcale nie ułatwia pracy.

– Co masz na myśli?

– Ucieczki, szczególnie ludzi bogatych, to jedno z najtrudniejszych zadań

dla detektywa. Bogacze są najgorsi z najgorszych. Zapadają się jak kamień w wodę, bo mogą sobie pozwolić na bardzo dużo. Kupują za gotówkę, nie muszą szukać pracy, nie biorą pożyczek z banku – nie zostawiają żadnych śladów. Ramp i ta mała są najlepszym przykładem. Przeciętny mąż wie wszystko o książeczkach czekowych żony i zna jej numer ubezpieczenia. Zwykle rodziny mają wspólne konta w banku. A ci żyją oddzielnie – jak na innych planetach. To cecha nadzianych gości.

– Oddzielne konta i oddzielne sypialnie? – mruknąłem pod nosem.

– Niezwykła zażyłość, co? Wydaje mi się, że on jej nie zna. Ta Melissa miała rację. Przede wszystkim trzeba odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: czemu za niego wyszła?

– Może poleciała na jego wąsy?

Na jego ustach ukazał się słaby uśmiech. Podeszedł do drzwi. Rozejrzał się po gabinecie pozbawionym okien.

– Zaprojektowane dla lepszej koncentracji. Gdybym tu posiedział trochę dłużej, to bym na pewno zwariował.

Przyszedł mi na myśl inny podobny pokój.

– Kiedy odwiedziłem klinikę Gabneyów, uderzyło mnie podobieństwo gabinetu Ursuli i dużego pokoju Giny. Ta sama kolorystyka, ten sam styl mebli. Poza tym jedynym obrazem w gabinecie Ursuli była grafika Cassat.

Matka z dzieckiem.

– Co to oznacza, panie doktorze?

– Dokładnie nie wiem, ale ten obraz musiał być podarunkiem.

Niesamowicie drogim podarunkiem. Kiedy ostatni raz przeglądałem

katalogi aukcyjne, grafiki Cassat osiągały rekordowe ceny.

– Jakiego rzędu?

– Od dwudziestu do sześćdziesięciu tysięcy za czarno-białe. Za kolorowe znacznie więcej.

– A pani doktor posiada kolorową, prawda?

– Tak, bardzo podobną do tej, która wisi u Giny.

– Ponad sześćdziesiąt tysięcy – powtórzył. – Jak terapeuci reagują na prezenty?

– Nie ma jasnych przepisów, które to regulują, ale przyjmowanie upominków od pacjentów jest uważane za czyn nieetyczny.

– Podejrzewasz, że pani doktor dla własnych celów sterowała pacjentką?

– Może nie aż tak dramatycznie – odparłem. – Myślę o zbyt

zaangażowaniu uczuciowym jednej albo obu stron. Ursula żywi specyficzny rodzaj współczucia dla Giny. Może za tym kryć się coś o wiele silniejszego.

Mam wrażenie, że Ursula zamierzała zachować Ginę tylko dla siebie, nie chciała się nią z nikim dzielić. Melissa bardzo trafnie to wyczuła. Z drugiej strony, może to być zainteresowanie czysto zawodowe. Gina wiele jej zawdzięcza – Ursula pomogła zmienić jej życie.

– I jej przyszłość.

Wzruszyłem ramionami.

– Może jest to nadinterpretacja. Trzeba przyznać, że często również pacjenci mają wpływ na terapeutów. Nazywamy to sprzężeniem zwrotnym.

Ursula mogła zakupić grafikę Cassat, bo zobaczyła taką samą u Giny.

Zarabia tyle, że stać ją na taki wydatek.

– Ile wyciągają?

– Kiedy Gabneyowie pracują razem, od jednego pacjenta liczą sobie pięćset za godzinę. Trzy setki dla niego i dwie dla niej.

– Nie uznają zasady tej samej płacy za tę samą pracę?

– Przeciwnie, ona pracuje o wiele więcej, a dostaje mniej. Mam wrażenie, że to ona odwała całą robotę, a on się tylko obija i wygłasza złośliwe uwagi.

Milo cmoknął.

– Niezła forsa. Pięć stówek za godzinę. Kupa szmalu. Wystarczy znaleźć paru bogaczy cierpiących na jakieś dolegliwości psychiczne i w krótkim czasie można zbić fortunę. Myślisz, że Ursula coś ukrywa?

– Na przykład co?

– Wie o całej sprawie. Jeśli obie panie były tak blisko, Gina mogła poinformować ją o planach wielkiej ucieczki. Może pani doktor po cichu zgodziła się na taki rodzaj terapii? A może nawet pomogła w przygotowaniach? Gina zniknęła w drodze do kliniki.

– Możliwe – odparłem – ale szczerze wątpię. Wydawała się poważnie zaniepokojona zniknięciem Giny.

– A jej mąż?

– On nie był zaniepokojony. Powiedział, że się nie martwi z zasady.

Potrafi wszystko sobie wytłumaczyć.

– Pan doktor leczy samego siebie? A może nie jest tak dobrym aktorem, jak jego żona?

– Sugerujesz znowę całej trójki? Osobiście nie przepadam za spiskową teorią dziejów.

– Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, nie mam uprzedzeń do żadnej idei.

– W grupie Giny były jeszcze dwie kobiety – rzekłem. – Jeśli planowała ucieczkę, mogła wspomnieć o tym którejs z nich. Kiedy jednak zaproponowałem Ursuli, żeby je przepytać, zareagowała bardzo ostro. Stwierdziła, że Gina się z nimi nie przyjaźniła i że w niczym nie pomogą.

Jakby chciała coś ukryć. Nie sądzę, żeby dała się przekonać.

Uśmiechnął się lekko.

– Nie sądzisz, żeby dała się przekonać? Myślałem, że w twojej branży nazywacie to zachowaniem tajemnicy zawodowej.

Poczułem, że robię się czerwony. Poklepał mnie po ramieniu.

– Przepraszam. Jesteśmy przecież przyjaciółmi. A więc idę teraz powiadomić moich klientów, że rozpoznano rolls-royce'a.

Ramp siedział i popijał whisky w pokoju o suficie z malowanymi belek.

Zasłony na oszklonych drzwiach były rozsunięte. Ramp gapił się przymrużonymi oczami w przestrzeń. Policzki miał zarumienione, a koszula wychodziła mu ze spodni. Kiedy weszliśmy, przywitał nas słabym, skrzekliwym głosem.

Milo poprosił, żeby Ramp znalazł Melissę. Połączył się z jej pokojem przez wewnętrzną linię. Kiedy nie podnosiła słuchawki, sprawdził parę innych pomieszczeń. Bez rezultatu. Spojrzał na nas zrezygowany.

– Nie pali się. Znajdziemy ją później – uspokoił go Milo i opowiedział mu, że auto Giny zostało zidentyfikowane na szosie.

– Szosa numer dwieście dziesięć – powtórzył Ramp. – Dokąd mogła jechać?

- Nic nie przychodzi panu do głowy?
- Oczywiście że nie. To nie ma sensu. Czemu miałyby podróżować autostradą? Dopiero od niedawna zaczęła jeździć. To nie trzyma się kupy.
- Dobrze by było powiadomić policję, we wszystkich okręgach naszego stanu, a nawet na obrzeżach stanów sąsiednich.
- Oczywiście. Proszę uczynić to jak najszybciej.
- To należy do policji stanowej. Lokalna policja pewnie już dostała tę informację i podjęła odpowiednie kroki. Jednak chciałbym to sprawdzić.
- Proszę bardzo – rzekł Ramp. Wstał i przeszedł się po pokoju. Z przodu wystawała mu koszula.
- Jechała autostradą – powiedział do siebie. – Nie, to idiotyczne. Czy jest pewność, że to ona?
- Nie – odparł Milo. – Jedynym pewnikiem jest to, że rozpoznano samochód taki jak jej.
- Więc to musiała być ona. Ile silver dawnów ma San Labrador?
- Spojrzał w dół i szybkim ruchem poprawił koszulę.
- Teraz możemy zadzwonić do linii lotniczych, a jutro rano złożymy wizytę w banku, żeby sprawdzić jej finanse.
- Ramp wbił w niego wzrok. Jak ślepiec wymacał fotel i zapadł się w nim, wciąż patrząc na Mila.
- Mówił pan o ucieczce... na samym początku. Teraz jest już pan pewien, co?
- Niczego nie jestem pewien – odparł Milo z taką łagodnością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał. – Podejmuję rutynowe czynności w takich

okolicznościach.

Gdzieś głośno trzasnęły drzwi.

Ramp wybiegł z pokoju i powrócił z Melissą.

Miała na sobie kurtkę koloru khaki i zabłocone buty.

– Sprawdziłam z synami Sabino okolice domu – rzekła. – Tak na wszelki wypadek. Co się dzieje?

Milo powtórzył to, czego dowiedzieliśmy się.

– Na autostradzie? – rzekła Melissa. Palce jej dłoni połączyły się i zaczęła je nerwowo zaciskać.

– To nie trzyma się kupy, prawda? – zapytał Ramp drżącym głosem. Nie zwróciła na niego uwagi i zapytała Milo.

– Więc nic jej nie jest? Co teraz?

Rano pojedę do banku.

– Czemu czekać do rana? Zadzwonię do pana Angera i powiem, żeby tu natychmiast przyjechał. Musi to zrobić. Przecież zajmuje się finansami naszej rodziny.

– Dobrze. Chcę mieć informacje o operacjach bankowych twojej mamy.

– Proszę poczekać, zaraz go powiadomię.

Wyszła z pokoju.

Rozdział osiemnasty

Powróciła z kartką papieru, którą podała Milo.

– Anger oczekuje cię pod tym adresem. Musiałam mu wytłumaczyć, co zaszło, ale obiecał, że pozostanie to między nami. Co mam robić w czasie twojej nieobecności?

– Zadzwoń do linii lotniczych. Sprawdź, czy nikt nie kupował biletu na nazwisko twojej mamy. Mów, że jesteś córką i nie ma czasu na zwłokę. Jeśli to nie podziała, powiedz, że ktoś jest ciężko chory i musisz się z nią skontaktować. Sprawdź lotniska Los Angeles, Burbank, Ontario, JohnWayne i Lindbergh. Pytaj też o jej panięskie nazwisko. Wrócę, jeśli znajdę coś ważnego w banku. Tu jest mój numer domowy.

Napisał go na odwrotnej stronie kartki, którą właśnie dostał. Przerwał ją na pół i wręczył Melissie.

– Dzwoń, jeśli dowiesz się czegokolwiek – rzekła. – Nawet jeśli wyda ci się to mało ważne.

– Ty również – odparł Milo. A zwracając się do Rampa, rzekł: – Proszę się trzymać.

Don w odpowiedzi słabo kiwnął głową.

– Czy przydam ci się na coś? – zapytałem Melissę.

– Nie – odparła. – Dziękuję. Nie jestem w nastroju do rozmowy.

– Rozumiem.

– Zadzwoń, gdy będę cię potrzebowała – rzekła.

– W porządku.

– Na razie – pożegnał wszystkich Milo, kierując się w stronę drzwi.

– Poczekaj, jadę z tobą – zawołałem w ślad za nim.

– Możemy jechać razem – rzekł, idąc w stronę podjazdu – ale gdybym to ja miał możliwość pospania, to bym się nie zastanawiał.

Przyjechał tu porsche'em 928, należącym do Ricka. Do konsoli było zamontowane przenośne radio policyjne. U Mila nigdy nie widziałem czegoś

podobnego. Głośność ustawił tak, że słycać było jedynie przytłumione rozmowy i trzaski.

– Cha! Cha! – zaśmiał się i wskazał palcem gadające pudełko. –Prezent gwiazdkowy.

– Od kogo?

– Ode mnie dla mnie – odparł przyśpieszając. Silnik zawył. – Powinieneś się przespać. Ramp był nie do użytku, a Melissa jest strasznie rozkręcona.

Wkrótce będziesz musiał tu wrócić.

– Nie jestem zmęczony – odparłem.

– Rozruszałeś się?

– Aha.

– Jutro to odcierpisz. Zobaczysz.

– Nie wątpię.

Zredukował bieg i przyhamował.

Brama była otwarta. Skręcił w lewo na Sussex Knoll i jeszcze raz w lewo.

Dojechał do Cathcart Boulevard i przyśpieszył, wychodząc z następnego

zakrętu. Miało się wrażenie, że porsche jedzie po szynach. Dzielnica

handlowo-biurowa była ciemna. Latarnie uliczne rzucały słaby blask.

– Jesteśmy na miejscu. – Wskazał na jasno oświetlony jednopiętrowy

budynek o ścianach z białego wapienia stojący po drugiej stronie ulicy.

Drewniane sztachety ogrodzenia i niewielki trawnik z masztem na flagę.

Nad drzwiami znajdował się napis o złotych literach: PIERWSZY BANK

POWIERNICZY.

– Lokal za mały na porządną ciastkarnię – zauważyłem.

– Decyduje jakość, a nie ilość, pamiętasz?

Zatrzymał się przed bankiem. Po prawej stronie znajdował się parking na dwadzieścia samochodów. Łańcuch pomiędzy dwoma palikami był opuszczony. Jakby zachęcał, żeby wjechać. Na parkingu stał jedynie czarny mercedes sedan. Kiedy wyszliśmy z porsche'a, drzwi mercedesa otworzyły się. Wsiadł z niego jakiś mężczyzna. Zamknął drzwi i podszedł do nas.

– Sturgis – przedstawił się Milo.

Mężczyzna miał na sobie szary gabardynowy garnitur, białą koszulę i żółty krawat w niebieskie kropki. Tego samego koloru chusteczka w butonierce i czarne skórzane półbuty.

– Glenn Anger – odparł mężczyzna. – Mam nadzieję, że pani Ramp nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

– To właśnie chcę ustalić.

– Tędy proszę – wskazał na frontowe drzwi banku. – Alarm jest wyłączony, ale muszę się sam z tym uporać.

Wskazał na cztery zamki wokół klamki. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, wybrał jeden i włożył go w otwór pierwszego zamka, przekręcił i odczekał parę sekund, aż usłyszeliśmy słaby trzask. Pracował szybko i sprawnie. Robił wrażenie doświadczonego włamywacza.

Miał jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szpakowate krótkie włosy, podłużną twarz, która w świetle dnia na pewno okazałaby się opalona. Długi nos, małe usta i uszy. Grube ciemne brwi pomniejszały jego blade oczy. Wyglądał na jakąś pięćdziesiątkę. Jeśli zbudzono go ze snu, to potrafił szybko zebrać siły.

Zanim zajął się czwartym zamkiem, popatrzył na pustą ulicę, a potem na nas.

Milo spojrział na niego obojętnie.

Anger przekręcił klucz i popchnął drzwi o parę centymetrów.

– Jestem zaniepokojony losem pani Ramp. Melissa powiedziała, że to coś poważnego.

Milo skinął głową.

– A czym mogę służyć panu? – zapytał Anger, zwracając się do mnie.

– To jest doktor Alex Delaware – odparł Milo, jakby to wszystko tłumaczyło. – Po pierwsze, chciałbym uzyskać numery kont, kart kredytowych i wyciągi jej ostatnich operacji bankowych. Po drugie, proszę mnie wprowadzić w jej ogólną sytuację finansową.

– Nie bardzo rozumiem – rzekł Anger, wciąż trzymając rękę na klamce.

– Chciałbym, żeby pan odpowiedział na parę prostych pytań.

Anger pchnął ciężkie drzwi i sięgnął do kontaktu.

Boazeria, ciemnoniebieskie dywany i chodniki, mosiężne detale. Sufit z płaskorzeźbą przedstawiającą wielkiego orła. Po jednej stronie trzy okienka kas i drzwi z napisem DEPOZYTY BANKOWE, po drugiej – trzy stoliki z krzesłami. Pośrodku znajdowała się informacja.

Pachniało tu cytrynami i pieniędzmi tak starymi, że zaczynają pokrywać się pleśnią. W opustoszałym banku poczułem się nagle jak złodziej.

Anger poprowadził nas do drzwi z napisem: W. GLENN ANGER, PREZES.

Anger otworzył dwa zamki i rzekł:

– Proszę wejść.

Gabinet był niewielki i zimny. Pachniał tak jak tapicerka nowego samochodu. Znajdowało się tu wielkie biurko ze złotymi przyborami do pisania i lampą o ciemnym abażurze, dwa miękkie fotele, niski, kwadratowy stolik z paroma książkami oprawionymi w skórę. Po prawej stronie biurka, na podstawce na kółkach, stał komputer. Tylną ścianę pokrywały zdjęcia rodzinne: żona – blondynka, przypominająca podtuczoną Doris Day, czwórka złotowłosych synów, dwa piękne psy myśliwskie i kot syjamski, który swym wyglądem nie wzbudzał zaufania.

Na innych ścianach wisiały dyplomy Uniwersytetu Stanford, ryciny Normana Rockwella, oprawiona kopia Deklaracji Niepodległości. Pod sufitem na półce stały puchary z takich dyscyplin sportowych jak golf, squash, pływanie, baseball, trójbój lekkoatletyczny. Niektóre nagrody miały dwadzieścia lat i opatrzone były napisem: „Dla Warrena Glenna Angera”.

Nowsze zdobyli: Warren Glenn Anger Junior i Erie James Anger.

Pomyślałem o dwóch chłopcach, którzy nie przynosili do domu żadnych sportowych trofeów. Chciałem rozpoznać ich na zdjęciu, ale było to niemożliwe. Cała czwórka uśmiechała się bez troski.

Anger zajął miejsce za biurkiem, poprawił mankiety koszuli i spojrzał na zegarek.

My usiedliśmy w fotelach. Oprawione książki okazały się spisami członków największych prywatnych klubów, zrzeszających jedynie mężczyzn rasy białej.

– Jest pan prywatnym detektywem? – zapytał Anger.

– Tak.

– Gdzie się pan kształcił?

Milo wyjął swój notes.

– Na początek struktura majątku pani Ramp. Akcje i inne papiery wartościowe. Większe wypłaty, których dokonała w ostatnim czasie.

Zdziwiony Anger uniósł brwi.

– Do czego potrzebne są panu te wszystkie informacje?

– Zostałem zatrudniony po to, by znaleźć panią Ramp. A dobry myśliwy musi znać swoją zwierzynę.

Anger zmarszczył czoło.

– Jej operacje finansowe mogą rzucić światło na jej intencje – rzekł Milo.

– Jej intencje? – powtórzył bankier. – W jakim sensie?

–

Na

przykład

szereg

znacznych

wypłat

może

sugerować

przygotowywanie się do wyjazdu.

Anger kiwnął głową.

– Rozumiem. Z tym nie będzie kłopotu. A jej struktura majątku?

– Muszę wiedzieć, co wchodzi w grę.

– Co wchodzi w grę? W jakim sensie?

– Muszę wiedzieć, jak długo jest w stanie nie ujawniać się – jeśli zniknęła celowo.

– Chce pan powiedzieć...

– Chcę wiedzieć, kto odziedziczy jej majątek, jeśli zniknęła nie z własnej woli.

Anger poruszył szczękami.

– To brzmi złowieszczo.

– Niekoniecznie. Muszę mieć po prostu więcej informacji.

– Rozumiem. A jak pan myśli, co się stało z panią Ramp?

– Mam za mało danych, żeby cokolwiek myśleć. Dlatego tu jestem.

Anger przechylił swój fotel do tyłu i poprawił krawat.

– Jestem bardzo zaniepokojony jej losem. Pewnie zna pan jej problemy – jej lęki. Na samą myśl, że może być gdzieś daleko, bez nikogo bliskiego... – pokręcił głową i obniżył trochę fotel. – Problem polega na tym, że bank musi zachować pewien określony stopień...

– Wiem, co należy do banku, i nie wątpię, że wykonuje pan swoje czynności w sposób właściwy. Ja zaś poszukuję pani Ramp na zlecenie jej rodziny. Proszę więc przejść do rzeczy.

Anger zastygł w bezruchu. Wyglądał tak, jakby przyciął sobie palec drzwiami.

– Dla kogo pan pracuje?

– Dla pana Rampa i dla panny Dickinson.

– Don o niczym mi nie mówił.

– Jest trochę zestresowany, odpoczywa teraz, ale jeśli pan chce, proszę się z nim skontaktować.

– Zestresowany? – zapytał Anger.

– Jest zaniepokojony o panią Ramp. Im dłużej jej nie ma, tym większy stres. Jeśli dopisze nam szczęście, sprawa rozwiąże się sama i cała rodzina będzie bardzo wdzięczna tym, którzy okazali jej pomoc w tak trudnych chwilach. Ludzie pamiętają o takich przysługach.

– Tak, oczywiście. Mam jednak pewne wątpliwości. A jeśli informacje o stanie majątkowym pani Ramp zostaną ujawnione bez dostatecznego powodu, w dodatku bez odpowiedniego zabezpieczenia prawnego?

– Możemy stąd wyjść natychmiast, ale zanotujemy sobie, że nie uzyskaliśmy od pana spodziewanej pomocy.

– Nie – odparł szybko Anger. – To nie będzie konieczne. Melissa ma odpowiednie plenipotencje. Biorąc pod uwagę... jej stan prawny, myślę, że może ona podejmować takie decyzje pod nieobecność matki.

– Jaki stan prawny?

– Jest jedyną spadkobierczynią majątku matki.

– Czy Ramp nie dostanie niczego?

– Tylko małą sumkę.

– Jak małą?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Takie są rozporządzenia na dzień dzisiejszy. Oficjalnymi prawnikami rodziny są Wrestring, Douse i Cosner. Teoretycznie jest możliwe, że nastąpiły jakieś zmiany w testamencie, ale w to wątpię. W takim wypadku wiedziałbym o tym – mój bank prowadzi całą

księgowość rodziny i otrzymujemy kopie wszystkich dokumentów.

– Jak nazywają się ci prawnicy? – zapytał Milo.

– Wrestling. Douse i Cosner. To stara firma adwokacka. J. Harmon

Douse, stryjeczny dziadek Jima Douse, był Sędzią Najwyższym Stanu

Kalifornia.

– Kto jest osobistym prawnikiem pani Ramp?

– Jim Junior – syn Jima Douse’a. A dokładnie James Madison Douse

Junior.

Milo zapisał wszystkie nazwiska.

– Czy ma pan numer telefonu, pod którym można go zastać?

Anger podał siedem numerów.

– W porządku – rzekł Milo. – Pięćdziesiąt tysięcy przypada na Rampa.

Czy jest to zgodne z umową przedślubną?

Anger skinął głową.

– Według umowy, o ile sobie przypominam, Don zrzekł się wszelkich roszczeń majątkowych w stosunku do fortuny pani Ramp, z wyjątkiem jednorazowej wypłaty w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. To była najkrótsza intercyza, jaką widziałem.

– Kto wpadł na taki pomysł?

– Artur Dickinson we własnej osobie – pierwszy mąż Giny.

– Przemówił zza grobu?

Anger wstał i popatrzył na Mila z odrazą.

– Artur pragnął szczęścia Giny. Był świadomy różnicy wieku, jaka ich dzieliła. I jak jest wrażliwa i krucha. Zaznaczył w testamencie, że mężowie

Giny nie mogą po niej dziedziczyć.

– Czy to jest legalne?

– Powinien pan o to zapytać prawników, a nie mnie. W każdym razie Don nie próbował tej woli podważać. Podpisał wszystkie stosowne dokumenty.

Wykazał najwyższe zrozumienie sytuacji. A nawet więcej – cieszył się z takiego obrotu sprawy. Oświadczył, że nie pragnie nawet tych pięćdziesięciu tysięcy. Gina nalegała jednak, żeby wypełnić w całości wolę Artura.

– Dlaczego?

– Ponieważ Don jest jej mężem.

– To dlaczego nie próbowała dać mu więcej?

– Nie wiem. Musi pan zapytać... Odbyło się to na tydzień przed ślubem.

Większość ludzi nie chce wtedy rozwodzić się na temat finansów.

Jednocześnie Don upewnił ją, że jest mu to obojętne.

– Wygląda na to, że nie poślubił jej dla pieniędzy – zauważył Milo.

Anger obdarzył go lodowatym spojrzeniem.

– Oczywiście, że nie.

– Czy domyśla się pan, dlaczego ją poślubił?

– Pewnie ją kochał.

– O ile pan wie, prowadzą razem niezwykle szczęśliwy żywot.

Anger z powrotem usiadł i skrzyżował ręce na piersiach.

– Czy prowadzi pan śledztwo przeciwko własnemu klientowi?

– Chcę mieć jedynie pełny obraz sytuacji.

– Zapewne dla syntezy. Ja jestem zwolennikiem analizy.

Milo spojrział na puchary.

– Czy zrozumie mnie pan lepiej, jeśli przełożę to na język sportu?

– Obawiam się, że nie.

Milo uśmiechnął się i coś zanotował.

– Dobrze, a więc Melissa jest jedyną spadkobierczynią?

– Zgadza się.

– Kto dziedziczy w wypadku śmierci Melissy?

– Podejrzewam, że jej matka, ale to doprawdy wychodzi poza obszar moich kompetencji.

– Dobrze. Cofnijmy się troszeczkę. O jaki spadek chodzi? Jak duży jest ten majątek?

Anger zawahał się.

– Około czterdziestu milionów. Plus minus. Cała suma jest zainwestowana w jak najbardziej konserwatywne, ale i zarazem pewne przedsięwzięcia.

– Na przykład jakie?

– W kalifornijskie bony skarbowe zwolnione z podatku, bony skarbowe gwarantowane przez rząd federalny, w akcje największych spółek na giełdzie, częściowo w holdingi finansowe i handel nieruchomościami.

Żadnych spekulacji ani szybkich zysków.

– Ile wynosi roczny przychód z tego kapitału?

– Od trzech i pół do pięciu milionów.

– Samo oprocentowanie?

Anger skinął głową. Mówiąc o liczbach, rozluźnił się.

– Artur pracował jako architekt, ale większość kapitału pochodzi z praw

patentowych do jego wynalazku. Sprzedał je przed samą śmiercią. Miał dużo szczęścia, zrobił to w samą w porę. Wkrótce potem na rynek weszły nowe, ulepszone technologie.

– Dlaczego sprzedał patent?

– Chciał więcej czasu poświęcić Ginie – zna pan jej stan zdrowia.

Poinformowano pana o tym okropnym wypadku?

Milo skinął głową.

– Czy domyśla się pan, dlaczego na nią napadnięto?

Anger drgnął.

– Byłem wówczas studentem. Sprawę znam jedynie z gazet.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Co właściwie chce pan wiedzieć? – zapytał Anger.

– Chcę poznać motywy zbrodni.

– Nie mam pojęcia.

– A plotki, które krążyły pomiędzy ludźmi?

– Nie interesuję się plotkami.

– Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości, ale na pewno coś pan słyszał.

– Panie Sturgis – odparł Anger. – Musi pan wiedzieć, że panią Ramp od dawna nikt się już nie interesuje.

– A zaraz po ataku? Co wtedy mówiono?

– O ile sobie przypominam – odparł Anger – panowała zgodna opinia, że dokonał tego wariat, psychopata. Czyż szalenie potrzebuje motywu?

– Chyba nie – rzekł Milo, uparcie patrząc w notes. – Wspomniał pan o

konserwatyzmie w doborze inwestycji. Czy to również był pomysł pana

Dickinsona?

– W całej rozciągłości. Zasady inwestycji kapitałowej szczegółowo określone zostały w jego ostatniej woli. Artur był niezwykle zapobiegliwym człowiekiem

**–
kolekcjonerstwo**

dzieł

sztuki

stanowiło

jedyną

ekstrawagancję, na jaką sobie pozwalał.

– Myśli pan, że był nazbyt konserwatywny?

– Nie mnie oceniać takie rzeczy – odparł Anger. – Chociaż trzeba przyznać, że wpływy, jakie uzyskał z tantiemów za użytkowanie patentu, mógłby zainwestować w bardziej dochodowe interesy i teraz jego majątek sięgałby trzystu milionów. Nalegał jednak, żeby wybierać tylko bezpieczne inwestycje, bez ryzyka. Wciąż szanujemy jego wolę.

– Czy jest pan jego bankowcem od samego początku?

– Nie, to mój ojciec założył bank i znał osobiście Artura.

Anger lekko poczerwieniał. Nie widać było, żeby pamiętano tu o przysłudze, jaką Artur wyświadczył dla banku. Ani w gabinecie, ani w głównej sali nie było żadnego portretu głównego fundatora i tak poważnego udziałowca.

W całym budynku ani śladu Artura Dickinsona, który faktycznie stworzył ten bank. Zachodziłem w głowę, skąd ta niewdzięczność.

– Pan opłaca wszystkie rachunki? – zapytał Milo.

– Tak. Za wyjątkiem małych zakupów i bieżących wydatków na utrzymanie domu.

– Ile płaci pan miesięcznie?

– Chwileczkę – odrzekł Anger i włączył komputer. Odczekał chwilę i coś napisał. Monitor pokrył się rzędami cyfr.

W ostatnim miesiącu wypłaciliśmy w sumie trzydzieści dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt osiem dolarów i trzydzieści dziewięć centów. W poprzednim miesiącu niewiele ponad trzydzieści tysięcy. Wszystko w normie.

Milo wstał, wszedł za biurko i spojrzal na ekran. Anger bez przekonania począł zasłaniać ręką tajne dane. Milo przysunął się bliżej, pochylił się i zaczął notować potrzebne liczby.

– Jak pan zauważył – rzekł Anger – rodzina prowadzi stosunkowo skromne życie, bez zbytków. Większość opłat idzie na pensje dla służby, utrzymanie domu i na składki ubezpieczeniowe.

– Żadnych kredytów?

– Żadnych. Artur kupił domek w Malibu za gotówkę i mieszkał tam dopóty, dopóki nie wybudował nowego domu.

– A podatki?

– Opłacane są z oddzielnego konta. Jeśli panu na tym zależy, mogę podać odpowiednie dane, ale nie wniosą one niczego nowego do sprawy.

– Proszę się nie krępować – odparł Milo.

Anger zacisnął zęby i wystukał coś na klawiaturze. Komputer zabulgotał, jakby przetwarzając komendę. Zauważyłem, że bankier ma lekko podrażnioną skórę na brodzie i policzkach. Golił się przed samym spotkaniem z nami.

– Proszę bardzo – rzekł, kiedy na ekranie pojawiły się żądane informacje. – W ubiegłym roku podatki stanowe i federalne wyniosły około miliona dolarów.

– Więc zostaje od dwu i pół do czterech milionów rocznie.

– W przybliżeniu.

– Co się z tym dzieje?

– Te pieniądze reinwestujemy.

– W giełdę i papiery wartościowe?

Anger przytaknął.

– Czy pani Ramp bierze jakieś pieniądze na osobiste wydatki.

– Jej limit wynosi dziesięć tysięcy miesięcznie.

– Limit?

– Ustalił go Artur.

– Czy ma prawo przekroczyć ten limit?

– Pieniądze należą do niej. Może podjąć, ile sobie zażyczy.

– Czy tak robi?

– Co ma pan na myśli?

– Czy bierze więcej niż dziesięć tysięcy?

– Nie.

- A wydatki Melissy?
 - Pokrywa je osobne konto inwestycyjne.
 - Więc rocznie suma limitu wynosi sto dwadzieścia tysięcy. Od kiedy?
 - Od śmierci Artura.
 - Umarł tuż przed urodzeniem się Melissy, co daje nam ponad osiemnaście lat – wtrąciłem.
 - Osiemnaście razy dwanaście – liczył w pamięci Milo – to około dwustu miesięcy...
 - Dokładnie dwieście szesnaście – poprawił go Anger.
 - Pomnożone przez dziesięć tysięcy daje dwa miliony dolarów. Jeśli pani Ramp chciałaby podjąć te pieniądze i przenieść je do innego banku, mogłaby tę sumę szybko pomnożyć, prawda?
 - Nie ma żadnego powodu, żeby to uczynić – odparł Anger.
 - Więc gdzie są te pieniądze?
 - Dlaczego pan o to pyta? Pewnie wydała je na osobiste potrzeby.
 - Dwa miliony na osobiste potrzeby?
 - Zapewniam pana, że osobie o takiej pozycji nie jest trudno wydać dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie.
 - Chyba ma pan rację.
- Anger uśmiechnął się.
- Łatwo dać się ponieść czarowi sześciu zer, ale, proszę mi wierzyć, taka suma w przeciągu takiego czasu nie jest czymś wyjątkowym. Znam ludzi, którzy wydają więcej na zakup jednego futra.
 - Czy państwo Ramp posiadają jakieś wspólne konta?

– Nie.

– A czy Ramp trzyma pieniądze w tym banku?

– Tak. Będzie jednak, lepiej, jeśli o jego finansach pomówi pan z nim osobiście.

– Oczywiście – odparł Milo. – Proszę jeszcze o numery kart kredytowych.

Palce pana Anger ponownie zatańczyły na klawiaturze.

– Gina posiada trzy karty, American Express, Visa i MasterCard. –

Wskazał palcem na ekranie. – To są ich numery. Poniżej są limity kredytu i suma zakupów za ostatni rok.

– To wszystko? – spytał Milo notując.

– W rzeczy samej.

– Podsumowując, pani Ramp ma pięćdziesiąt tysięcy kredytu na miesiąc.

– Czterdzieści osiem tysięcy pięćset pięćdziesiąt pięć.

– Żadnych zakupów na American Express. W ogóle niewiele wydatków.

– Wygląda na to, że pani Ramp nie kupuje często.

– Nie ma potrzeby – rzekł Anger. – My zajmujemy się wszystkim.

– Ma pan na myśli rodzaj kurateli, jaka stosowana jest wobec dzieci?

– Proszę?

– Styl jej życia przypomina styl życia małego dziecka. Posiada limity, o wszystko dbają inni, żadnych kłopotów, niepotrzebnych decyzji.

Anger zacisnął palce na klawiaturze.

– Lubi pan naigrywać się z ludzi bogatych, ale, o ile zdążyłem zauważyć, nie są panu obce zbytki.

– Jak to?

– Pana porsche na przykład.

– Ach tak – rzekł Milo wstając. – To jest pożyczony samochód.

– Moim zwykłym środkiem lokomocji jest coś o wiele mniej wystawnego.

– Doprawdy?

Milo spojrział na mnie.

– Ty mu powiedz.

– On jeździ motorowerem – rzekłem. – Najlepsza rzecz do śledzenia.

– Za wyjątkiem dni, kiedy pada – wtrącił Milo. – Wtedy zabieram parasol.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w porsche, rzekł:

– Zdaje mi się, że mała Melissa fałszywie oceniła intencje ojczyma.

– Prawdziwa miłość? Przecież nie śpią razem.

Wzruszył ramionami.

– Może Ramp kocha ją za czystość jej duszy.

– A może ma nadzieję, że pewnego dnia podważy wiarygodność testamentu.

– Boże, jaki z ciebie podejrzliwy gość. Jak sobie coś ubzdurasz, jesteś głuchy na wszelkie argumenty. Tymczasem trzeba się zastanowić, gdzie się podział nasz limit.

– Dwa miliony? Widzę, że ta sumka zrobiła na tobie duże wrażenie.

Wolno jechaliśmy bulwarem.

– Posłuchaj, Alex, coś mi tu nie gra. Jej przychód wynosi sto dwadzieścia tysięcy rocznie. Widziałem jej pokój i naprawdę nie wiem, na co to poszło.

Za książki, pisma i wyposażenie salki gimnastycznej zapłacono z innego

konta. Ona nie ma nawet wideo. Dochodzi opłata za leczenie, ale to dotyczy ostatniego roku. Ta kobieta musi mieć jakieś tajemnicze konta i przez osiemnaście lat uskładała sporo szmalu. Może powinienem przeszukać jej pończochy i materac?

– Może za te pieniądze kupiła obie grafiki Cassat?

– Możliwe – odparł – ale i tak sporo zostaje. Jeśli zdeponowała je w innym banku, łatwo ich nie odnajdziemy.

– Jakże mogła założyć konto bez opuszczania domu?

– Po takie pieniądze każdy bank przyjdzie do ciebie.

– Jednak ani Ramp, ani Melissa nie wspominali o wizytach bankierów.

– To prawda – rzekł. – A może po prostu oszczędzała forszę na czarną godzinę? A teraz wzięła całą kasę i zwała?

Zastanowiłem się nad tą ewentualnością.

– No i co? – zapytał.

– Kobieta, która przechowuje miliony dolarów w rolls-royse, jest łakomym kąskiem.

Skinął głową.

– Jak cholera.

Udaliśmy się na Sussex Knoll po mój samochód, lecz brama była zamknięta. Paliły się nad nią dwa reflektory. Świtało.

– Nie ma sprawy. Po samochód przyjadę później – rzekłem.

Milo bez słowa wycofał wóz i dodał gazu. Nie wiedziałem, że jest tak dobrym kierowcą. Jechaliśmy na zachód. Za parę sekund byliśmy w Arroyo Seco. Potem wjechaliśmy na autostradę – opustoszałą, ciemną, smaganą

wiatrem.

Milo nie przestawał spoglądać na boki i we wsteczne lusterko. Szukał.

Kiedy zbliżyliśmy się do miasta, nastawił głośniejszy radiotelefon.

Wysłuchaliśmy się w rozmowy policjantów o przestępstwach i wypadkach.

Rozdział dziewiętnasty

Jak tylko dotarłem do domu, ogarnął mnie nastrój zwątpienia.

Poszedłem więc nad staw, żeby odegnąć smętne myśli. Obejrzałem grudki

ikry, które uczepiły się lodyg roślin przy samym brzegu. Nie pomogło. Z

ciężkim sercem wróciłem do domu i zabrałem się do pisania. Po piętnastu

minutach poczułem senność. Rozebrałem się i padłem na łóżko.

Kiedy otworzyłem oczy, była za dwadzieścia siódma. Piątek. Po godzinie

zadzwoiłem do Melissy.

– Och, to ty – westchnęła zawiedziona. – Właśnie rozmawiałam ze

Sturgisem. Nic nowego.

– Szkoda.

– Zrobiłam dokładnie to, co mi powiedział. Obdzwoiłam wszystkie linie

lotnicze i lotniska – nawet w San Francisco i San Jose. O tych miastach nie

wspominał, ale pomyślałam, że mama mogła pojechać prosto na północ.

Potem zadzwoniłam do wszystkich hoteli i moteli, jakie znalazłam w książce

telefonicznej, ale nigdzie nie było śladu jej nazwiska. Myślę, że on już

zrozumiał, że sytuacja się komplikuje.

– Czemu?

– Bo zgodził się przesłuchać McCloskeya.

– Rozumiem.

- **Czy on jest rzeczywiście dobrym detektywem?**
- **Najlepszym, jakiego znam.**
- **Też tak myślę. Nawet go polubiłam. Potrafi fachowo koordynować poszukiwania. Wiem, że policja jest do niczego. Kiedy zadzwoniłam do Chickeringa, ten pajac dał mi do zrozumienia, żebym się odczepiła. A Don poszedł do pracy! Wyobrażasz sobie? Jak mógł?**
- **A co ty teraz robisz?**
- **Nie ruszam się z miejsca i czekam. I modlę się – nie modliłam się od czasów, kiedy byłam dzieckiem, zanim spotkałam ciebie. Ciągle mam nadzieję, że ona zaraz ukaże się we drzwiach, że padniemy sobie w ramiona i nigdy się już nie rozstaniemy. Aż zaczyna boleć mnie brzuch, kiedy pomyślę, że ona... Muszę tu siedzieć. Nie chcę, żeby zastała pusty dom.**
- **Racja.**
- **Zostało mi jeszcze parę hoteli na północy. Może zadzwonię do Nevady. Mogła już tam dojechać, bo ma szybki samochód. Gdzie jeszcze zadzwonić?**
- **Na przykład do okręgów, które graniczą z naszym stanem.**
- **Dobra myśl.**
- **Czy czegoś ci trzeba? Mogę ci się na coś przydać?**
- **Nie – odparła szybko. – Nie, dziękuję.**
- **Tak czy inaczej zjawię się u ciebie. Przyjadę po samochód.**
- **Rozumiem. W porządku.**
- **Jeśli będziesz chciała porozmawiać, daj mi znać.**
- **Spoko.**
- **Trzymaj się.**

– Lepiej nie blokować tej linii. Cześć.

W słuchawce usłyszałem warknięcie:

– Sturgis.

– To lepsze niż „czego”.

– Człowieku, ja tu pracuję. Co jest?

– Właśnie rozmawiałem z Melissą. Podobno mieliście małą konferencję.

– Ona mówiła, a ja słuchałem. Jeśli to nazywasz konferencją, to ja przepraszam.

– Zdaje mi się, że po uszy wpadła w wir pracy.

– Pracowała przez całą noc. Ależ ma zdrowie!

– Podwyższony poziom adrenaliny we krwi.

– Słuchaj, chcesz, żebym ją zniechęcił?

– Na razie nie. Teraz działa nieświadomie, ale bardzo sensownie. Silny stres łagodzi intensywną pracą, czuje się potrzebna. Martwię się tylko, że jeśli matka Melissy prędko nie wróci, to jej mechanizmy obronne załamają się.

– Tak. Dlatego bądź w pogotowiu. Daj mi znać, kiedy chcesz, żeby przystopowała i pogadala z tobą.

– Jeśli w ogóle będzie chciała słuchać.

– Prawda – odparł.

– A co nowego?

– Kompletnie nic. Oficjalne poszukiwania objęły już obszar całego stanu, a nawet część Nevady i Arizony. Sprawdzane są karty kredytowe. Na razie nie zarejestrowano żadnych dużych zakupów na jej karty. Niewielkie

sprawunki są księgowane dopiero wtedy, kiedy właściciel sklepu wyśle paragon do banku. Minie więc trochę czasu, zanim się czegoś dowiemy. Pozostaje czekać. Dla pewności sprawdziłem miejsca, do których dzwoniła Melissa – linie lotnicze i luksusowe hotele. Nikt nie pasował do rysopisu mamusi. Czekam na otwarcie wydziału paszportowego, bo może starała się o jakąś zagraniczną wizę. Melissa ma zająć się połączeniami lokalnymi. Jej pomoc jest nieoceniona.

– Podobno zgodziłeś się, żeby przepytać McCloskeya.

– Powiedziałem jej, że zrobię to dzisiaj.

– O której godzinie?

– Raczej przed południem. Przedtem pomówię z Douse – radcą prawnym. Ma przekręcić do mnie do godziny dziewiętej. Chcę potwierdzić parę rzeczy, o które zahaczył Anger. Oczywiście jeśli Douse raczy rozmawiać o tym przez telefon. Potem zajmę się McCloskeyem. Mam nadzieję, że znajdę go bez kłopotu, chociaż to Downtown. Podobno mieszka gdzieś w pobliżu posterunku policji. Powinienem wyrobić się do południa.

– Zajedziesz po mnie?

– Widzę, że nie cierpisz na brak czasu.

– Nie narzekam.

– Dobra – odparł – ale ty stawiasz lunch.

Zjawił się o dziewiętej czterdzieści i zatrąbił klaksonem swojego fiata.

Zaparkował przed domem.

– Stawiasz lunch i zapewniasz transport – wskazał palcem na moją seville, którą przyprowadziłem od Melissy. Milo miał na sobie szary

garnitur, białą koszulę i niebieski krawat.

– Dokąd?

– Do Downtown. Poprowadzę cię.

Pojechaliśmy wzdłuż Glen do Sunset, potem drogą czterysta pięć na południe, następnie autostradą na Santa Monica. Milo przesunął swój fotel do tyłu. Do oporu.

– Jak ci poszło z prawnikiem? – zapytałem.

– Taka sam gadka jak z szanownym bankierem. Musiałem go trochę nastraszyć, zanim się rozgadał. Nawet wołał rozmawiać przez telefon, ponieważ był bardzo zajęty. I tak Melissa słono zapłaci za każdą sekundę tej porady prawnej. Na dobrą sprawę powtórzył to, co mówił Anger; Ramp dostaje pięćdziesiąt patyków, a Melissa resztę. Matka dziedziczy w razie śmierci córki. A gdyby obie niespodziewanie odeszły z tego świata, jeśli Melissa nie będzie miała potomstwa, cały majątek idzie na cele dobroczynne.

– Na co dokładnie?

– Na jakieś badania medyczne. Poprosiłem, żeby wysłał mi kopie wszystkich dokumentów, ale odrzekł, że chce mieć zgodę Melissy na piśmie. Nie będzie z tym wielkiego problemu. Zapytałem też, czy się domyśla, na co Gina wydawała swój limit. Podobnie jak Anger wmawiał mi, że sto dwadzieścia tysięcy rocznie nie jest sumą, nad którą warto się zastanawiać. Ruch był słaby do czasu, kiedy minęliśmy duży rozjazd. Wtedy nagle zrobiło się tłoczno.

– Skręć w Dziewiątą Avenue, a potem w Los Angeles Street –

komenderował Milo.

Jechałem zgodnie z jego wskazówkami. Los Angeles Street prowadziła nas na północ. Mijaliśmy sklepiki, które jaskrawymi afiszami informowały klientów o obniżce towarów, hurtownie, które reklamowały się jako najtańsi w mieście, tablice przedsiębiorstw eksportowo-importowych i płatne parking. Od strony zachodniej widać było strzeliste, szklane, błyszczące wieżowe administracji federalnej i stanowej, biurowce dużych firm i budynki banków. Na wschodzie pas zakładów produkcyjnych oddzielał Downtown od Boy Heights.

Downtown pełna była ludzi różnych profesji i różnego stanu umyśli takich, którzy bardzo szybko mówią, takich, którzy po chodnikach nie chodzą, ale biegają, byli też marzyciele, którzy na jawie śnią o milionowych fortunach wygranych w lotto, umalowane sekretarki, ścigające się z niewyspanymi urzędnikami, brudni kloszardzi, mieszkający w kartonowych pudłach i ciągnący wózki pełne podejrzanych śmieci.

Na Sixth Street przeważali włóczędzy. Stojąc w kilkusobowych grupkach okupowali każdy róg. Siedzieli na progach domów albo spali na ławkach pod rozłożystymi drzewami. Zatrzymałem się na czerwonym świetle na Fifi Street. Nie zwracając uwagi na światło, minęła mnie jakaś taksówka i o mal nie przejechała długowłosego blondyna ubranego w koszulkę z krótkimi rękawami i w porwane dżinsy, który przechodził jezdnię na pasach i miał zielone światło. Począł on wykrzykiwać szpetne przekleństwa i zdążył jeszcze wytatuowaną pięścią uderzyć z całych sił w bagażnik mijającego go samochodu. Dwaj policjanci, wypisujący mandat

młodej Meksykance, która w niewłaściwym miejscu przeszła przez jezdnię, przez chwilę obserwowali wściekłego blondasa, a następnie ze stoickim spokojem powrócili do papierkowej roboty.

Przecznicę dalej zobaczyłem dwóch wychudzonych, ciemnoskórych młodzieńców w czapczkach z daszkiem. Pochylili głowy i w geście powitań uderzyli się otwartymi dłońmi podniesionymi wysoko do góry. Zrobili to tak precyzyjnie, z takim niewymuszonym wdziękiem, jakby uczył ich choreograf sam wielki Balanchine. Jeden z młodzianów wyjął zwinięty w rulonik plik banknotów, drugi szybko się pochylił i wyciągnął coś ze skarpetki. Wymiana odbyła się prawie w ruchu. Po jej zakończeniu rozeszli się w przeciwne strony. Transakcja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund.

– Jesteśmy na miejscu. Zaparkuj gdzieś – rzekł Milo.

Wskazał na szeroki, trzypiętrowy budynek o płaskim dachu po wschodniej stronie ulicy. Parter był wyłożony białymi ceramicznymi płytkami, przywodziło na myśl ubikacje na dworcu autobusowym. Fasada powyżej była pokryta bladoniebieskim stiukiem. Na pierwszym piętrze ciągnęły i rzędem zakratowane okna, zbyt wysoko, żeby sięgnąć do nich z ulicy. Reszta budowli była z nieotynkowanej cegły. Czterech albo pięciu mężczyzn wszyscy czarni i obdarci, stało bezczynnie przy frontowych drzwiach, na których znajdował się ozdobny neon DOM MISYJNY WIECZNEJ NADZIEI.

Przed budynkiem nie było miejsca na zaparkowanie. Podjechałem dziesięć metrów dalej i zatrzymałem się przy sklepie z wymalowanym napisem APTEKA. Obok przeszła żwawa grupa młodzieży szkolnej, ponad

dwudziestu młodzieńców i trzy lub cztery dziewczyny. Pokrzykiwali, głośno

dyskutowali, rozdawali sobie kuksańce i wymachiwali rękoma. Obok

zamigał neon z napisem PUNKT HONOROWYCH DAWCÓW KRWI.

Milo wyjął jakąś kartkę z kieszeni, rozłożył ją i umieścił na przedniej

szybie seville. Napis głosił: SAMOCHÓD SŁUŻB SPECJALNYCH.

– Nie zapomnij dobrze go zamknąć – rzekł, zatrzaskując drzwi.

– Następnym razem weźmiemy twój – odparłem, spoglądając na лыsego

mężczyznę, który przemawiał do pobliskiego więzienia.

– To twoja wina! – wykrzykiwał, uderzając otwartą dłonią w pień drzewa.

Pokaleczone dłonie krwawiły mu, ale wciąż się uśmiechał.

– Nigdy. Mój od razu by ukradli – odparł Milo. – Idziemy.

Ludzie, którzy wałęsali się w pobliżu misji, spostrzegli nas z daleka.

Miałem wrażenie, że poruszają się teraz wolniej. Jeden z nich obrzucił

pożądliwym spojrzeniem moje obuwie – brązowe półbuty, które kupilem

przed miesiącem, ale wciąż wyglądały jak nowe.

Wewnątrz budynek był dobrze oświetlony. Duże pomieszczenie o

błękitnych ścianach pełne było ludzi siedzących i leżących na zielonych

plastikowych krzesłach, rozstawionych w przypadkowy sposób. Podłogę

pokrywało szare linoleum. Wysoko na ścianie wisiał drewniany krucyfiks.

Czuć było specyficzny zapach. Mieszanka odorów, jaki wydziela brudne

ciało, woń środka do dezynfekcji i smród wymiocin i potu. Młody czarny

mężczyzna krążył pomiędzy ludźmi. Ubrany był w koszulkę polo i krótkie

spodenki. Trzymał w ręku deskę do pisania z umocowanym do niej

ołówkiem i parę broszurek. Na plakietce identyfikacyjnej, którą miał na

piersiach poniżej wyszytego tygrysa, znajdował się napis GILBERT

JOHNSON, STUDENT-OCHOTNIK. Przechodził się przez tłum, od czasu do czasu coś zapisując. Stał i pochylił się nad kimś. Zamienił parę słów i wręczył ulotkę. Nikt z ludzi prawie się nie poruszał. Nie widziałem, żeby prowadzono jakiegokolwiek rozmowy. Zza uchylonych drzwi dochodziły słowa modlitwy. Poczulem się jak w poczekalni dworcowej zapełnionej podróżnymi, którzy zgubili drogę do domu. Czarny młodzieniec zobaczył nas i podszedł bliżej.

– Czym mogę służyć? – zapytał. Na desce miał listę z nazwiskami.

– Czy jest tu Joel McCloskey?

Johnson westchnął ciężko. Miał ze dwadzieścia parę lat, szerokie rysy twarzy, azjatyckie oczy, wydatny podbródek, kolor skóry niewiele ciemniejszy od opalenizny Glenna Angera.

– Znowu do niego?

– Jest tutaj?

– Najpierw musicie porozmawiać z ojcem Timem. Chwileczkę. Zniknął w korytarzu po prawej stronie krucyfiks i prawie natychmiast wynurzył się w towarzystwie białego, szczupłego człowieka lat około trzydziestu pięciu, który miał na sobie czarną koszulę, koloratkę, białe dżinsy i wysokie biało-czarne adidasy. Ksiądz miał odstające uszy, krótko ostrzyżone jasnobrązowe włosy, zwisające wąsy i szczupłe ramiona.

– Tim Andrus – przedstawił się łagodnym głosem. – Myślałem, że wszystko zostało już wyjaśnione.

– Mamy dodatkowo parę pytań – odparł Milo.

Andrus zwrócił się do Johnsona.

– Wracaj do swoich zajęć, Gilbercie. Zapowiada się ciężka noc, więc nie trać czasu.

– Tak, ojcze. – Johnson obrzucił mnie i Mila przelotnym spojrzeniem i wrócił do ludzi. Paru z nich gapilo się na nas.

Ojciec Tim uśmiechnął się do nich.

– Ostatniej nocy policja spędziła tutaj sporo czasu. Zapewniono mnie, że nikt nie będzie już nas niepokoił.

– Mamy tylko parę pytań.

– To negatywnie wpływa na naszą działalność. Szczerze podziwiam Joela za jego cierpliwość, ale niektórzy mają wrogi stosunek do policji. Wielu z nich jest umyślowo chorych. Niewłaściwe podejście policjanta...

– Jest cierpliwy – powtórzył Milo. – Godny podziwu.

Andrus zaśmiał się, a uszy mu spąsowiały.

– Wiem, co ma pan na myśli. Może i jestem trochę zwariowanym księdzem, który chce naprawić zły świat za pomocą liberalnych metod, okazując miłość, zrozumienie i przebaczenie byłym zbrodniarzom.

Powtarzam – byłym zbrodniarzom. A czy ludzie, którzy ukrzyżowali

Najwyższego, nie dopuścili się największej zbrodni? Znam historię Joela,

znam ją bardzo dobrze. Kiedy sześć miesięcy temu przybył do nas,

zrozumiałem, że nie przebaczył sobie dawnego postępu. Popelnił

prerażającą zbrodnię, więc miałem pewne obiekcje co do tego, czy pozwolić

mu zostać. Jednak najważniejsze jest umieć przebaczyć. Nie mogłem go tak

po prostu odprawić. Przez sześć miesięcy udowodnił, że się nie pomyliłem.

Nikt mu nie dorównuje w bezinteresownym niesieniu pomocy najuboższym i potrzebującym. Nie jest już tym samym człowiekiem, którym był przed dwudziestu laty.

– To wspaniale – odparł Milo – ale jednak chcielibyśmy zamienić z nim parę słów.

– Czy wciąż nie znaleziono tej kobiety, która była...

– Poparzona kwasem? Nie, jeszcze nie.

– Jest mi bardzo przykro. Jestem pewien, że Joel czuje to samo.

– Czemu? Wyraża skruchę?

– On nie może znieść ohydy swojego czynu. Po rozmowie z policją powróciły mu jego dawne wspomnienia. Ostatniej nocy nie spał – modlił się na klęczkach. Kiedy to zobaczyłem, przyłączyłem się do jego modlitwy. On nie mógł mieć nic wspólnego z tym zaginięciem. Sumiennie pracował przez ostatni tydzień i prawie w ogóle nie opuszczał budynku. Pracował na dwie zmiany. Mogę to zeznać pod przysięgą.

– Co należy do jego obowiązków?

– Wszystko, czego aktualnie potrzebujemy. Przez ostatni tydzień pracował w kuchni i sprzątał toalety. Sam prosił o tę pracę.

– Czy ma jakichś przyjaciół?

Andras zawahał się przed odpowiedzią.

– Przyjaciół, których mógłby wynająć do niegodziwych celów?

– Nie to miałem na myśli, ale jeśli już o tym mowa...

Andras stanowczo pokręcił głową.

– Joel wiedział, że policja będzie rozumować właśnie w ten sposób: jeśli

wynajął kogoś wtedy, to czemu nie miałby tego zrobić powtórnie.

– Jeśli chcesz poznać przyszłość, patrz w przeszłość – rzekł Milo sentencjonalnie.

Andras dotknął koloratki i pokiwał głową.

– Ma pan nadzwyczaj trudne zajęcie, a jednocześnie niezwykle odpowiedzialne. Boże, pobłogosław uczciwym policjantom! Jednakże takie podejście prowadzi do fatalizmu. Przekonanie, że nic nie zmienia się na lepsze i wszystko zmierza ku złu, jest bardzo groźne.

Milo spojrział przelotnie na ludzi na plastikowych krzesłach. Ci, którzy gapili się na nas, odwrócili głowy.

– Czyżby ojciec obserwował tu jakieś niezwykle zmiany?

Ksiądz podkreślił koniec wąsa.

– Tyle, żeby wystarczyło to dla utwierdzenia mojej wiary.

– A McCloskey jest jednym z tych, którzy utwierdzają ojca w wierze?

Ksiądz poczerwieniał.

– Jestem tu od pięciu lat. I proszę mi wierzyć, nie jestem naiwny. Nie sądzę, że jak wyjdę na ulicę, to namówię każdego młodocianego przestępcę, żeby nawrócił się tak, jak uczynił to Gilbert. Ale Gilbert miał oparcie w domu, otrzymał dobre wychowanie i wykształcenie. Od samego początku poczułem do niego sympatię. Inaczej było z Joelem, on musiał zapracować na zaufanie, chociaż miał bardzo dobre referencje.

– Skąd?

– Z innych misji.

– W tym mieście?

– Nie. Z Arizony i Nowego Meksyku. Pracował z Indianami. Przez sześć lat pomagał bliźnim. Spłacił swój dług, stając się powtórnie człowiekiem. Dla naszego Kościoła narodził się na nowo. Wszyscy, którzy z nim pracowali, wyrażali się o nim bardzo pochlebnie.

Milo milczał.

Ksiądz uśmiechnął się.

– Teraz pracuje tutaj, ponieważ taką drogę wybrał. Jest wolnym pełnoprawnym obywatelem. A odpowiadając na pytanie, czy ma przyjaciół, powiem, że nie ma – żyje samotny, odmawiając sobie doczesnych radości. Życie wypełnia mu ciężka praca i szczerą modlitwa.

– To brzmi jak życiorys świętego – rzekł Milo.

Nagła złość pojawiła się na twarzy księdza, ale natychmiast opanował się i powiedział nieco drżącym głosem:

– On nie ma nic wspólnego ze zniknięciem tej biednej kobiety. Doprawdy nie widzę, żeby zachodziła potrzeba...

– Ta biedna kobieta nazywa się Gina Marie Ramp.

– Jestem tego świadom...

– Ona również pozostała samotna. Odcięła się od doczesnych radości.

Nie z własnego wyboru. Przez dwadzieścia lat, od czasu, kiedy McCloskey wynajął bandytę, który spalił jej twarz, nie opuszczała swojego pokoju. Bała się o własne życie. Mam nadzieję, że teraz ksiądz zrozumie, dlaczego wielu ludzi jest poważnie zaniepokojonych jej zniknięciem. I mam nadzieję, że ksiądz przebaczy mi, jeśli nie spocznę, zanim jej nie odnajdę. Nawet gdyby oznaczało to narażenie pana McCloskeya na pewne nieprzyjemności.

Andrus pochylił głowę i złożył ręce jak do modlitwy. Przez sekundę myślałem, że się faktycznie modli, ale nagle podniósł głowę i spojrzał na nas smutnym wzrokiem.

– Proszę mi wybaczyć. Mieliśmy ciężki tydzień – umarło dwoje ludzi, następnych dwoje wysłaliśmy do szpitala stanowego z podejrzeniem gruźlicy. Mam kłopoty z łózkami. Na dzisiejszy dzień potrzebujemy ich co najmniej setkę. Żadnych widoków na przyszłość. Biskup również nie ma pieniędzy. – Przygarbił się. – Nie potrzebuję wielkich zwycięstw i osiągnięć, wystarczą mi małe sukcesy. Nie będę ukrywał, że Joel jest moją nadzieją. – Może faktycznie się zmienił, stał się lepszy, ale muszę z nim pomówić – rzekł Milo.

Ksiądz westchnął.

– Zaprowadzę panów. Proszę za mną.

Nie żądał okazania odznak policyjnych. Nie zapytał nawet o nasze nazwiska.

Weszliśmy do ogromnej jadalni, gdzie zapachy jedzenia całkowicie przytłumiły stęchliznę brudnych ciał. Drewniane, składane stoły z zielonkawoniebieskimi, zatłuszczonymi obrusami były ustawione w pięć długich rzędów. Ludzie jedli, ściskając w rękach talerze. Panowała tu atmosfera więziennej stołówki. Niektórzy uśmiechali się, ukazując bezzębne dziąsła.

Wzdłuż tylnej ściany ustawiony był stół z parującymi garami. Ludzie czekali tam w kolejce z talerzami w rękach. Obrazek jak z wiktoriańskiej powieści. Trzy postacie odziane w białe fartuchy i czapeczki wydawały

jedzenie.

– Proszę tu zaczekać – rzekł Andrus.

Stanęliśmy przy drzwiach, a ksiądz podszedł do stołu z garami i szepnął coś do środkowego kucharza. Mężczyzna, kiwnął głową i podał chochlę księdzu. Ojciec Andras przejął jego obowiązki i począł rozdzielać zupę.

Mężczyzna wytarł ręce o fartuch i zbliżył się do nas.

Miał jakieś pięćdziesiąt pięć lat, był przygarbiony. Poplamiony fartuch sięgał mu kolan. Powłóczył nogami, nie odrywając prawie stóp od linoleum.

Ramiona mocno przyciskał do boków. Kosmyki siwych włosów wystawały spod czapki i opadały na szare, spocone czoło. Twarz pociągła i chuda, ale niepomarszczona. Orli nos, białe brwi. Szyję pokrywały obwisłe fałdy skóry.

Twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Dzień dobry – przemówił bezbarwnym głosem.

– Pan Joel McCloskey?

Skinął głową.

– Proszę mi mówić Joel.

Miał otwarte pory na nosie i policzkach. Suche wargi. Oczy prawie całkowicie przysłonięte ciężkimi powiekami, wyraźnie przyżółcone białka i niemal czarne tęczówki. Pewnie miał chorą wątrobę.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pani Ginie Ramp.

– Nie została odnaleziona? – Joel raczej stwierdził to, niż zapytał.

– Nie, jeszcze nie. Czy mógłbyś podzielić się swoimi przypuszczeniami co do jej miejsca pobytu?

McCloskey spojrział na pobliski stół. Jeden z mężczyzn przestał jeść, a

inni rzucali na jego talerz pożądliwe spojrzenia.

– Możemy przejść do mojego pokoju?

– Naturalnie.

Wyszliśmy z jadalni i na korytarzu skręciliśmy w prawo. Minęliśmy dormitorium i zamknięte drzwi z napisem IZBA CHORYCH. Dochodziły stamtąd bolesne jęki, dźwięczące głośnie echem w holu. McCloskey zwrócił głowę w tamtą stronę, ale nie przystanął. Dotarliśmy do pomalowanych brązową farbą schodów prowadzących na górę. Stopnie pokryte były twardą gumą, a poręcz niezwykle brudna. Weszliśmy na trzecie piętro. Tutaj przeważał zapach środka do dezynfekcji. Przy samych schodach, na lewo, znajdowały się drzwi, na których widniało imię JOEL, wymalowane czarnym flamastrem.

McCloskey przekręcił okrągłą klamkę i drzwi się otwały. Przytrzymał je i wpuścił nas do środka.

Pokój miał nie więcej niż pięć metrów kwadratowych. Metalowe łóżko przykryte było szarą, wełnianą narzutą. Na resztę sprzętów składał się drewniany stolik nocny, pomalowany na białe, szafka z trzema szufladami i proste krzesło. Na szafce leżała Biblia, stał mały elektryczny piecyk, klucz do otwierania konserw, celofanowa paczka ciasteczek z orzeszkami arachidowymi, pół słoika marynowanych ogórków i puszka parówek. Nad łóżkiem wisiał kalendarz z Jezusem Miłosiernym. Żółta, upstrzona przez muchy zasłona częściowo zakrywała zakratowane okno. Powyżej krat znajdowała się ściana z szarej cegły. Światło pochodziło z nagiej żarówki umieszczonej pośrodku sufitu z plamami pleśni i grzyba.

Było okropnie mało miejsca. Odruchowo poszukałem czegoś pod ręką, czego mógłbym się chwycić, żeby nie stracić równowagi.

– Proszę usiąść – rzekł McCloskey.

Milo spojrział na łóżko.

– Nie, dziękuję.

Poczułem się jak pasażer metra albo autobusu i pomyślałem o samotności człowieka w tłumie obcych mu istot.

– Więc nasuwają ci się jakieś sugestie?

McCloskey kiwnął głową.

– Od czasu pierwszej wizyty policji dużo o tym myślałem. Mam nadzieję, że pani Ramp na tyle poczuła się zdrowa, że wyruszyła na samotną wycieczkę autem i...

– I co?

– I postanowiła nie wracać.

– Chcesz jej dobra, prawda?

Skinął głową.

– Teraz, kiedy jesteś wolnym człowiekiem i nikt nie ma prawa mówić, co masz robić.

Na jego bladych wargach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Coś cię śmieszy?

– Wolność. Długo musiałem na nią czekać.

– Nie tylko ty, również Gina.

Joel zamknął i otworzył oczy. Usiadł ciężko na łóżku, zdjął czapkę. Na czubku głowy miał łysinę. Włosy wokół niej były siwe i szare, krótko

przystrzyżone

i

odstające.

Dobrze

wyglądałyby

na

głowie

osiemnastoletniego cystersa z nowicjatu, ale u starszego mężczyzny

świadczyły o jednym: nie chodzę do fryzjera, bo sam się strzygę.

Stary człowiek.

Pięćdziesiąt trzy lata, a wygląda na siedemdziesiąt.

– To nieważne, co teraz chcę – rzekł.

– Ważne, jeśli chciałbyś jej zaszkodzić – natarł na niego Milo.

Joel mocno zacisnął powieki. Skóra na szyi zafalowała.

– Ale ja nie chciałem... Ja nie chcę...

– Czego nie chcesz?

McCloskey chwycił czapkę w obie ręce i zaczął szarpać.

– Nie chcę jej zaszkodzić – wyszeptał.

– Chciałeś powiedzieć, że nigdy nie chciałeś jej zaszkodzić?

– Nie, Ja... – Joel wyciągnął szyję i potrząsnął głową. – To było dawno...

– Pewnie – rzekł Milo – ale historia lubi się powtarzać.

– Nie – odparł McCloskey cicho, ale z naciskiem. – Nie, nigdy. Moje

życie...

– Co twoje życie?

– Jest skończone. Wszystko bezpowrotnie odeszło.

– Co odeszło?

McCloskey położył dłoń na brzuchu.

– Wypalił się żar uczuć. – Ręce mu opadły. – Pozostało mi tylko czekać.

– Czekać? Na co?

– Na spokój. Wieczny odpoczynek. – Rzucił przerażone spojrzenie na

Mila, a potem na wizerunek Chrystusa.

– Jesteś religijny, prawda?

– To... mi pomaga.

– W czym ci pomaga?

– W oczekiwaniu.

Milo przykucnął, zniżając się do poziomu Joela.

– Czemu spaliłeś jej twarz? Ręce McCloskeya poczęły drżeć.

– Nie – szepnął i przeżegnał się.

– Dlaczego? Co ona ci zrobiła, że tak bardzo ją znienawidziłeś?

– Nie.

– Daj spokój. Co to zmieni, jeśli powiesz po tylu latach?

Zaczęła mu drżeć głowa.

– Ja... to nie jest...

– Co nie jest?

– Nie. Ja... zgrzeszyłem.

– Wyznaj swój grzech, Joelu.

– Nie... proszę.

Zalał się łzami. Drżał na całym ciele.

– Czyż spowiedź nie jest częścią odkupienia? Szczera spowiedź?

McCloskey językiem zwilżył wargi, złożył ręce i coś wymamrotał pod nosem.

Milo nie rezygnował.

– Co mówisz?

– Odbyłem spowiedź.

– Teraz?

Skinął głową.

Joel położył się na plecach na łóżku. Ramiona skrzyżował na piersiach.

Utkwił nieruchome oczy w suficie, a na ustach ukazał mu się dziecinny uśmiech. Poniżej fartucha miał spodnie, uszyte dla kogoś o dwadzieścia kilo cięższego i dziesięć centymetrów wyższego. Zakładki nogawek były wystrzępione i stwardniałe od czarnego brudu. Podeszwy butów były w paru miejscach dziurawe, z zaschłymi strupami jedzenia. Przez niektóre otwory wyzierała szara skarpetka, przez inne – nagie ciało.

– Dla ciebie wszystko odeszło w zapomnienie. Pomyśl jednak, że możesz pomóc tej kobiecie, której zrujnowałeś życie. Przez lata wszyscy starali się zrozumieć, dlaczego kazałeś ją oszpecić.

McCloskey spojrzał na mnie. Jego oczy poruszały się tak, jakby obserwował ruch uliczny. Wargi poruszyły się bezgłośnie.

Moment niezdecydowania. Liczyłem na to, że lada chwila otworzy się przed nami.

Potrząsnął gwałtownie głową, wstał, odwiązał fartuch i odrzucił go za siebie. Pod spodem miał workowatą koszulę. Rozpiął trzy górne guziki i

rozsunął poły, ukazując pierś pozbawioną włosów.

Skórę miał pooraną straszliwymi bliznami.

Większość powierzchni miała kolor przypalonego mleka. Lewą pierś prawie w całości pokrywała pomarszczona, z naroślami niby lodyga wrzośca, różowa plama. Brakowało sutka, zamiast którego pozostało tylko błyszczące wgłębienie. Czerwona blizna ciągnęła się aż do brzucha.

Rozchylił jeszcze bardziej koszulę, wystawiając na pokaz martwą, poparzoną tkankę. Serce waliło mu z całych sił. Pobladł. Na jego twarzy pojawiły się kropelki potu.

– Ktoś ci to zrobił w Quentin? – zapytał Milo.

McCloskey uśmiechnął się i powtórnie spojrział na Jezusa.

Uśmiechał się z dumą.

– Mógłbym znieść ból dziesięciokrotnie silniejszy od tego, jaki jej zadałem – rzekł hardo.

Skrzyżował ręce na piersi.

– Słodki Jezu – mówił – dzięki Tobie dostąpiłem sakramentu męki i cierpienia.

Począł szeptać coś, co brzmiało jak łacina.

– Życzę ci dobrego dnia – rzekł Milo. A kiedy McCloskey nic nie odpowiedział, poprawił się: – Przyjemnego oczekiwania.

Siwowłosy mężczyzna nie przerywał modlitewnych szeptów.

– Jeśli wiesz coś, co może nam pomóc ją odnaleźć, to i tak nie dostąpisz odkupienia. Takie cierpienia nie zdadzą się na nic.

McCloskey podniósł wzrok. W jego poólkłych oczach pojawił się

zwierzęcy strach, ale trwało to jedną sekundę.

Potem padł na kolana, tak gwałtownie, że musiało go zboleć, i powrócił do modlitw.

Kiedy odjeżdżaliśmy, Milo zapytał:

– Jaka diagnoza, panie doktorze?

– Naprawdę się wzruszyłem, ale czy było to z jego strony szczere?

– Właśnie o to pytam.

– Trudno powiedzieć. Według mnie ktoś, kto wynajął mordercę, za wszelką cenę będzie chciał udowodnić, że z dzisiejszą sprawą nie ma nic wspólnego, i nie zawaha się odstawić takiej szopki, jaką zaaplikował nam McCloskey. Muszę jednak przyznać, że prawie uwierzyłem w jego szczere intencje.

– Tak – odparł – ja też. Czy sprawiał wrażenie schizofrenika?

– Nie stwierdziłem wyraźnych zaburzeń w rozumowaniu, ale mówił niewiele, więc wszystko możliwe.

– Jak myślisz, co wpędziło go w taką depresję?

– Narkotyki, alkohol, więzienie, poczucie winy. Wszystko razem albo każde z osobna.

– No to jesteśmy w domu – zaśmiał się Milo.

Zatrzymałem się na światłach. Spojrzałem przez okno na bezpańskie psy i walające się śmieci. Jakiś starzec spał na chodniku, leżąc na plecach.

Okrutnie chrapał. A może nie był wcale stary, tylko tak wyglądał?

Myślisz, że się nawrócił i ogarnęły go wyrzuty sumienia?

– Nie – odparłem bezwiednie. – Raczej coś pomiędzy tym.

– Pomiedzy! – wybuchł nerwowym śmiechem. Potarł twarz obiema rękoma. Otworzył okno i natychmiast je zamknął. Rozprostował nogi.

– Czy myślisz, że sam to sobie zrobił? – zapytałem.

– Skaleczył się ździebko. Może usiłował popełnić samobójstwo? Albo chciał, żebyśmy tak myśleli? Sakrament męki i cierpienia. To gównie warte.

Nie mógł ukryć obrzydzenia.

– Jeśli wciąż cierpi, to równie dobrze może pragnąć cierpienia innych – rozumowałem głośno.

Pokiwał głową.

– Gadał o poczuciu winy i modlił się. Kompletnie nic z niego nie wyciągnęliśmy. Może wcale nie jest taki chory, jak chciał nam wmówić?

Instynkt podpowiada mi, że to nie on jest głównym sprawcą, ale na pewno wie coś, co by nam bardzo pomogło. Niestety, nie ma sposobu, żeby to z niego wydusić.

– Więc co teraz?

– Muszę znaleźć budkę telefoniczną, żeby sprawdzić, co słyhać u naszej panienci. Jeśli wszystko gra, pojedziemy do pana Baylissa, tego gościa z Wydziału Zwolnień Warunkowych.

– Jest na emeryturze – zauważyłem.

– Wiem. Mam jego adres domowy. Typowa dzielnica klasy średniej.

Będiesz się czuł jak u siebie.

Rozdział dwudziesty

Wypatrzyłem budkę telefoniczną przy Muzeum Zabawek. Zaparkowałem na zakazie postoju, a Milo pobiegł do telefonu. Zauważył mnie dwumetrowy

posterunkowy, który czatował na takich niesfornych kierowców. Widziałem, jak sięga po bloczek mandatowy. Przypominał kota, który upolował upragnioną mysz, ale kiedy spostrzegł, że ma przed sobą SAMOCHÓD SŁUŻB SPECJALNYCH, zaklął cicho i odszedł jak niepyszny. Dawno się tak nie ubawilem. Milo wrócił i pokręcił głową.

– Nic.

– Z kim rozmawiałeś?

– Z policją drogową. Potem z sekretarką Chickeringa i z Melissą.

– Co porabia? – zapytałem, włączając się do ruchu.

– Wciąż na wysokich obrotach. Dzwoni. Powiedziała, że zatelefonował do niej Gabney. Wyraził zaniepokojenie i współczucie.

– Dla niego Gina to kura znosząca złote jajka – rzekłem. – Zamierzasz powiedzieć Melissie o Cassat?

– Po co?

– Tak tylko zapytałem.

– Powiem jej, jakie wrażenie zrobił na nas McCloskey, że wygląda na nieszkodliwego wariata, ale mimo wszystko będę miał na niego oko. To powinno ją uspokoić.

– Zaaplikujesz jej znieczulenie?

– Masz lepszy pomysł?

Najpierw pojechaliśmy Trzecią Avenue, a potem obwodnicą numer dziesięć na zachód. Dotarliśmy do Fairfax i skierowaliśmy się na północ.

Milo zdecydował, że pojedziemy na Crescent Heights, a potem na północ.

Kiedy

minęliśmy

Olympic,

skręcilem

w

Commodore

Sloat.

Przejechaliśmy dzielnicę biurową i dotarliśmy do Carthay Circle. Naszym oczom ukazał się rząd dobrze utrzymanych domów w stylu hiszpańskim, ocienionych rozłożystymi drzewami.

Milo sprawdził adres. Dwie przecznice dalej znaleźliśmy właściwy dom.

Był to niski budynek z cegły o stiukowych ścianach. Obok znajdował się niewielki garaż. Rolę ogrodzenia spełniał starannie przystrzyżony żywopłot.

Na podjeździe stał dwudziestoletni, biały, błyszczący mustang. Niedawno umyty, ponieważ wszędzie były kałuże wody, a obok leżał pedantycznie zwinięty wąż ogrodowy.

Trawnika przed domem nie powstydziłby się rodowity dublińczyk. Na jego obrzeżu rosły kwiaty – kamelie, azalie, śnieżnik, hortensje, begonie, różowe zimowity i białe pustynniki. Środkiem przebiegała wykładana cementowymi płytkami ścieżka. Na lewo rosły trzy niskie brzozy, koło których krzątał się mężczyzna. Zbierał opadłe liście. Miał szpakowate włosy, kurtkę koloru khaki, niebieskie spodnie i kapelusz. Z tylnej kieszeni wystawała mu zamszowa ściereczka do polerowania karoserii samochodu.

Wysiedliśmy. Od strony Olympic dobiegał nas barytonowy zgiełk ruchu ulicznego. Śpiew ptaków stanowił harmonijne dopełnienie pejzażu. Na tej

ulicy nie wałały się śmieci. Kiedy weszliśmy na alejkę prowadzącą do domu, mężczyzna odwrócił się w naszą stronę. Był po sześćdziesiątce, miał wąskie ramiona, długie ręce i ogromne dłonie. Wydłużona twarz przywodziła na myśl psa myśliwskiego. Białe wąsiki, kozia bródka i okulary w czarnych oprawkach. Kiedy zbliżyliśmy się do niego, zdałem sobie sprawę, że ma afrykańskie rysy. Skórę miał tak białą jak moja, lecz pokryta była piegami starości, oczy złotobrązowe.

Jedną ręką opierał się o drzewo.

– Czy pan Gilbert Bayliss? – zapytał Milo.

– A z kim mam przyjemność?

– Moje nazwisko Sturgis. Jestem prywatnym detektywem. Poszukuję pani Giny Ramp, która wczoraj zaginęła. Przed laty padła ofiarą napadu zorganizowanego przez niejakiego Joela McCloskeya, który wyszedł z więzienia przedterminowo i przez parę lat był na warunkowym zwolnieniu pod opieką kuratora.

– Poczciwy stary Joel. – Bayliss zdjął kapelusz. Miał przetłuszczone włosy. – Prywatne poszukiwania, co?

Milo skinął głową.

– Na razie. Jestem na urlopie. Pracuję w Departamencie Policji Los Angeles.

– Urlop na własne życzenie?

– Nie całkiem.

Bayliss przyjrzał się Milo.

– Sturgis. Znam to nazwisko... i twarz wydaje mi się znajoma.

Na twarzy Mila nie drgnął ani jeden mięsień.

– Już wiem. To ty przylałeś drugiemu gliniarzowi w telewizji. Coś w związku z międzywydziałowymi aferami. Oglądając wieczorne wiadomości, nigdy nie można dojść, w czym rzecz. Nie dlatego, żebym był bardzo ciekaw. Już dawno wyszedłem z tego.

– Gratulacje – rzekł Milo.

– Zapracowałem na to. Na ile cię zawiesili?

– Sześć miesięcy.

– Bezpłatny urlop?

– Tak.

Bayliss cmoknął.

– Więc tymczasem zarabiasz na boku. Za moich czasów było to zabronione. Jak idzie?

– Robota jak każda inna.

Bayliss spojrzał na mnie.

– A to kto? Następny niepokorny z twojego departamentu?

– Alex Delaware – odparłem.

– Doktor Delaware – poprawił Milo. – Jest psychologiem i terapeutą córki pani Ramp.

– Melissy Dickinson – teraz ja poprawiłem Mila – rozmawiał pan z nią jakiś miesiąc temu.

– Chyba coś przypominam sobie – odparł Bayliss. – Psycholog. Kiedyś też chciałem zostać psychologiem. Moja praca też się do tego sprowadzała, więc pomyślałem, czemu nie miałbym zarabiać znacznie więcej, a robić to

samo. Zapisalem się na Uniwersytet Kalifornijski. Uzyskalem nawet absolutorium, ale zabraklo czasu na napisanie pracy magisterskiej i na obrone dyplomu. – Podeszedl do mnie. – Co tu robisz? Kazdego analizujesz?

– Wlasnie wracamy od McCloskeya – odparlem.

– Aha – rzekl Bayliss. – Poczciwy, stary Joel. Naprawde podejrzewacie, ze cos uknul?

– Przeprowadzilismy rutynowe przesluchanie – odparl Milo.

– Dostajesz forse za godzine i robisz wszystko, zeby dostac jak najwiecej, co? Ze mną nie pojdzie ci tak latwo. Znam swoje prawa. Jak nie zechce, to nie musze z tobą rozmawiac.

– Zdaje sobie z tego sprawe...

– Dwadzieścia trzy lata spedzilem na nudnej, biurowej robocie.

Musialem wysluchiwać rozkazów i nakazów ludzi, którzy byli kompletnymi durniami. Pracowalem na emeryture, która mialem dostac po dwudziestu pieciu latach. Wtedy mielismy z zoną wybrac się w podróz dookoła swiata.

Dwa lata przed przejściem na emeryture zóna zrobila mi kiepski kawal i opuscila mnie. Wylew. Mam jednego syna w wojsku. Sluzy w Niemczech.

Ozenil się z Niemką i nigdy tu nie przyjezdza. Od dwóch lat zyję samotnie. A przez ostatnie sześć miesięcy juz się przyzwyczailem. Zrozumiano?

Milo wolno pokiwal głową.

Bayliss usmiechnal się i z powrotem nalozyl kapelusz.

– Jeśli jest cos, co moze nam pan powiedziec na temat McCloskeya, co pomogloby w ustaleniu miejsca pobytu pani Ramp, bylismy niezmiernie zobowiazani.

– Poczciwy, stary Joel – rzekł Bayliss. Poglądził bródkę, patrząc na Mila.

– Przez dwadzieścia pięć lat służby setki razy zdarzało się, że chciałem komuś sprawić manto. Nigdy się jednak na to nie zdobyłem. Szkoda było emerytury i podróży, o której marzyliśmy z żoną. Kiedy przyładowałeś temu parszywemu kmiotkowi, wprawilo mnie to w wyśmienity humor. Akurat nie czułem się najlepiej, rozstrząsałem przeszłość, takie marudzenia, co by było, gdyby... To, co wtedy zrobiłeś, bardzo podniosło mnie na duchu. Dlatego cię zapamiętałem. – Znow się uśmiechnął. – Zabawna rzecz. A teraz ot tak sobie przychodzisz na moje podwórko. Widocznie chciało tego przeznaczenie.

Zapraszam na pokoje.

Pokój gościnny był czysto utrzymany, umeblowany ciężkimi, rzeźbionymi sprzętami, które nie były na tyle stare, żeby uchodzić za antyki. Dużo ozdobnych serwetek, porcelanowych figurek, ślady kobiecej ręki. Na ścianie nad kominkiem wisiały w ramach czarno-białe fotografie zespołów

jazzowych;

czarnoskórzy

muzycy

otaczali

młodego,

ogolonego,

wypomadowanego Baylissa. Miał na sobie białą, elegancką marynarkę,

koszulę tego samego koloru i krawat. W rękę dzierżył puzon.

– To była moja pierwsza miłość. Uczyłem się grać muzykę klasyczną, ale w filharmonii nikt nie zatrudniał kolorowych puzonistów, więc przeszedłem

na swing. Przez pięć lat zrobiliśmy parę dużych tras koncertowych. Zespół nazywał się „Skubany Barnaba”. Słyszałeś o nim?

Pokręciłem przecząco głową.

Uśmiechnął się.

– Nikt nie słyszał. Mówiąc szczerze, zespół nie był nadzwyczajny.

Robiliśmy dobrą minę i jakoś szło. Nie chciałem jednak dłużej tego ciągnąć i pojechałem szukać szczęścia do Los Angeles. Trochę pracowałem jako muzyk studyjny. Jeśli słyszałeś *Czarowną miłość* w wykonaniu „Szejków”, to te duperele i ozdobniki w tle są moim dziełem. W końcu wszedłem w skład zespołu Lionela Hamptona.

Podszedł do ściany i wskazał palcem jedno ze zdjęć.

– To jestem ja – pierwsza trąbka. Nie było równie dobrego zespołu. To, jak gram, bardzo podobało się Lionelowi. Potem rynek zaczął wysychać i Lionel zdecydował się na tournée po Europie i Japonii. Ja nie widziałem takiej potrzeby. Wróciłem do szkoły i znalazłem inną pracę. Od tego czasu nie grałem. Moja żona lubiła te zdjęcia... Muszę je zdjąć i kupić jakiś ładny obraz. Może kawy?

Obaj odmówiliśmy.

– W takim razie proszę siadać.

Kiedy zajęliśmy miejsca, Bayliss usiadł w niskim miękkim fotelu, który miał jeszcze dodatkowe poduszeczki dla większej wygody.

– Poczciwy, stary Joel – powtórzył – On już nie wywinie żadnego brzydkiego numeru.

– Dlaczego? – zapytał Milo.

– Jest niczym. Ma całkiem pusto w głowie. Kiedy zapoznałem się z jego aktami, przygotowałem się na spotkanie z groźnym psychopata. A do biura wchodzi chudzielec, chrząka i pociąga nosem. Nie ma w nim żadnych uczuć, o ile wiem, pożąda jedynie zbawienia, na które z utęsknieniem czeka. To jego jedyna obsesja. Mnie nie tak łatwo oszukać. Każdy, nawet najgorszy bandyta, może podkulić ogon i udać, że jest niewiniątkiem. Miałem z takimi do czynienia, ale natychmiast ich rozszyfrowałem. Ci głupcy myśleli, że wystarczy uderzyć w płaczliwe tony, a uwierzę, że autentycznie się nawrócili na uczciwe życie.

– Tak to bywa – rzekł Milo.

– Stary Joel był jednak inny. On nie udawał. Teraz to już pół człowieka, szkielet, strzęp.

– Jak często przychodził do pana?

– Tylko parę razy – cztery albo pięć. Mój wydział polecił mi go jeszcze raz sprawdzić, zanim na stałe osiedli się w Los Angeles. Wiesz, że ofiary mogą się odwoływać od postanowienia Wydziału Zwolnień. Trzeba wykonać mnóstwo papierkowej roboty. Tak było w przypadku Joela. Był on już wolnym człowiekiem, ale chciał współpracować i zjawiał się u mnie bez przymusu, z własnej woli. Nawet go trochę polubiłem.

– Nadzór kuratorski trwa zwykle trzy lata. Czemu w jego przypadku aż sześć?

– Takie były warunki Wydziału. Kiedy wyszedł z Quentin, poprosił o prawo opuszczenia stanu. Wydział Zwolnień wyraził zgodę pod warunkiem, że podwoi czas nadzoru. O ile mnie pamięć nie myli, to znalazł zatrudnienie

w rezerwacie Indian w Arizonie. Przesiedział tam trzy lata i przeniósł się gdzieś indziej – dokładnie nie pamiętam gdzie. I tam spędził następne trzy lata.

– Czemu się przeniósł?

– Misja, w której pracował, straciła fundusze i całą placówkę zamknęto.

To drugie miejsce było prowadzone przez księży katolickich.

– A dlaczego teraz przyjechał do Los Angeles?

– Pytałem o to, ale udzielał wymijających odpowiedzi. Opowiadał jakieś bzdury o grzechu pierworodnym i o zbawieniu duszy. Twierdził, że musi odkupić swój grzech tam, gdzie go popełnił, wtedy może Wszechmogący mu przebaczy. Nie naciskałem, ponieważ nie musiał do mnie przychodzić, a mimo to chciał współpracować.

– Czy wie pan, co on teraz robi?

– Ma pełny etat w misji. Czyści pisuary i zmywa naczynia.

– Czy mówił kiedykolwiek o swojej zbrodni?

– To raczej ja z nim o tym mówiłem, nie on ze mną. Przeczytałem w orzeczeniu sądowym, że mam do czynienia z okrutnym, nieludzkim potworem, nikczemnikiem. Kiedy się u mnie zjawiał, od razu dałem mu do zrozumienia, że wiem, kim jest, że mnie nie wykiwa. Większość z tych typów zarzeka się, że są niewinni jak baranki, ale nie można się dać temu zwieść.

Ich zapewnienia to zwykła zasłona dymna, mydlenie oczu.

Pokiwałem głową.

– Czy z nim było podobnie? – zapytał Miło.

– Nie. Wręcz przeciwnie. Przyszedł do mnie i z miejsca wyznał winę.

Stwierdził, że jest szmatą i nie zasługuje nawet na to, żeby żyć. Przyznałem mu rację i przeczytałem na głos wyrok sądu. Zniósł to z taką rezygnacją, jakby była to przepisana mu przez lekarza terapia. Daję słowo, chodzący trup. Zrobiło mi się go żal, jak się żałuje psa, którego ktoś przez przypadek potracił samochodem.

– Nigdy nie powiedział, dlaczego kazał oszpecić tę kobietę?

– Nie, niestety – odparł Bayliss. – Pytałem o to, bo z akt wynikało, że nigdy nie poznano motywu. Nic jednak z niego nie wyciągnąłem. Nieudało się.

Bayliss podrapał się w brodę. Zdjął okulary, przetarł szkła chusteczką i założył je z powrotem.

– Staralem się użyć znanego sposobu, żeby wymóc zeznania. Przekonuje się gościa, że wyznanie prawdy jest winny swojej ofierze. Kiedy to nie podziało, odwołałem się do jego wiary, mówiąc, że nie uzyska przebaczenia bez wyznania grzechów i szczerzej pokuty. Nic jednak z niego nie wydusiłem.

– Czy domyśla się pan, dlaczego ukrywa prawdę? – zapytałem.

Bayliss wzruszył ramionami.

– To ty jesteś psychologiem.

– W porządku – rzekł Milo. – Dziękujemy pięknie. Czy to wszystko?

– Tak. A co się dzieje z tą panią?

– Wyszła z domu i ślad po niej zaginął.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj.

Bayliss zmarszczył czoło.

– Jeden dzień nieobecności i zatrudniają prywatnego detektywa?

– To jest nietypowa sytuacja – odparł Milo. – Ona przez bardzo długi czas nie opuszczała domu.

– Jak długo?

– Od czasu tego wypadku.

– To wyjątkowo ciężki przypadek agorafobii – wtrąciłem.

– No tak. Teraz rozumiem.

Wyszliśmy na zewnątrz. Bayliss sprawiał wrażenie pogrążonego w zadumie.

– Mam nadzieję, że ona się wkrótce znajdzie – rzekł na pożegnanie. –

Jeśli jest coś, w czym mógłbym pomóc, walcie tu jak w dym. Wątpię jednak, żeby Joel maczał w tym palce.

– Czemu?

– On jest jak wąż, którego przez lata tak deptano, że utracił cały jad.

Jechaliśmy przez Olympic. Chociaż Milo cofnął siedzenie i obniżył oparcie, nie było mu wygodnie. Spoglądał przez boczne okno.

Przy Roxbury zapytałem.

– O czym rozmyślasz?

Nie odwracając wzroku, odparł.

– O takich gościach jak McCloskey. Kto wie, co jest prawdą, a co zwykłym oszustwem? Bayliss jest na sto procent pewny, że McCloskey jest niewinny, ale sam przyznał, że prawie go nie znał. Po prostu wziął za dobrą monetę referencje i dobre sprawowanie – typowa biurokratyczna reakcja.

– Chcesz jeszcze raz przeprobać McCloskeya?

– Jeśli nasza pani nie pojawi się w najbliższym czasie, trzeba będzie tak zrobić. Przedtem jednak dowiem się, z kim siedział w celi i z kim się najczęściej widywał. A ty co zamierzasz?

– Nic specjalnego.

– Jeśli czujesz się na siłach, to pojedź do domku na wybrzeżu. Może się tam zadekowała i siedzi jak mysz pod miotłą. Ja nie mam tyle czasu. W dodatku nie bardzo wierzę w taką ewentualność.

– Dobrze.

– Tu jest adres.

Wziąłem podaną kartkę papieru.

Zerknął na zegarek.

– Jeśli nawet tam była, na pewno przysnęła już gdzie indziej. Co za cholerna robota.

– Tylko mi nie mów, że masz dosyć.

– Nic z tych rzeczy.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Dotarłem do domu. Nie czekały na mnie żadne nowe wiadomości.

Nakarmiłem ryby w stawie, żeby oszczędziły parę pływających jeszcze plamek ikry. Potem wsiadłem do samochodu i skierowałem się na Sunset.

Jechałem na zachód. Dochodziła druga trzydzieści.

Zamierzałem spędzić na plaży całe popołudnie.

Oszukiwałem się, że jadę tam dla przyjemności.

Znalazłem się na szerokiej drodze, która biegła wzdłuż wybrzeża

Pacyfiku. Moim oczom ukazał się błękit wody i dżungla brązowych ciał.

Przedtem bywałem tu nieraz z Robin.

Kiedyś odwiedziłem to miejsce w towarzystwie Lindy. To była nasza druga randka.

Poczułem się bardzo samotny.

Chcąc pozbyć się przykrych wspomnień, oddałem się kontemplacji urokliwej linii wybrzeża, które mieniło się w promieniach słońca.

Nieustające źródło natchnienia dla Kamasutry, kuszące coraz to nowymi doznaniem.

Prawdopodobnie dlatego ciągnęły tu tłumy, nie bacząc na kąśliwe gzy, chmary komarów, korki na drogach, burze, sztormy i zwały piasku, które roznosił wiatr.

Artur Dickinson z pewnością potrafił docenić ten fascynujący pejzaż.

Jego rezydencja znajdowała się osiem kilometrów od Point Durne. Żeby się tam dostać, należało skręcić w Broad Beach Road zaraz za publiczną plażą.

Zachodnia część Malibu. Ciągnęły się tam kilometrami prywatne posiadłości, gdzie kolację jadano przy blasku zachodzącego słońca o niewysłowionej grze barw.

Zgodnie z adresem, jaki dostałem od Mila, dojechałem do końca drogi.

Przede mną rozciągało się pół kilometra białego piasku, ruchomych wydm, które wiatr przewiewał z jednego zbocza na drugie. Brzeg tworzył małą zatokę. Podobnej scenerii nie mogła zaprojektować ręka nawet najgenialniejszego architekta.

Jakieś dwieście metrów od brzegu wznosiła się jednopiętrowa drewniana

wilia z płaskim dachem, pokrytym warstwą brunatnego piasku. Działkę otaczał niewysoki płot z drewnianych sztachet, które tworzyły złudzenie parawanu. Za domem znajdował się kort tenisowy. Na bramie wjazdowej wisiała tablica z napisem NA SPRZEDAŻ. Poniżej był wypisany numer i adres agencji nieruchomości.

Chociaż na bramie widniały ostrzeżenia TEREN PRYWATNY i WSTĘP WZBRONIONY, nie spostrzegłem żadnych dodatkowych zabezpieczeń.

Pchnąłem skrzydło bramy i wszedłem na teren posesji.

Od wewnątrz ogrodzenie ozdabiała kolczaste pnącza o pomarańczowych przylistkach. Zamiast garażu przy samej plaży znajdował się wylany cementem podjazd mogący pomieścić dwa samochody. Teraz zaparkowany był tam tylko volkswagen z uchwytami na narty na dachu. Auto zostało ustawione w ten sposób, że zajmowało cały parking. Nie było miejsca na ukrycie rolls-royce'a.

Skierowałem się w stronę domu, nabierając gorący piasek do butów.

Miałem na sobie marynarkę, krawat i czułem się jak akwizytor, który zaraz będzie usiłował upchnąć jakiś podejrzany towar biednemu klientowi. Jakies sto metrów od brzegu ktoś żeglował na windsurfingu. Wysoko po niebie szybował klucz pelikanów.

Drzwi willi były wykonane z sosny. Miedzianą klamkę pokrywała warstwa śnieży. Okna były brudne. Ktoś napisał na jednej z szyb BRUDAS, zachęcając zapewne do ich umycia. Słysząc było miarowe uderzenia fal oceanu o brzeg.

Zapukałem do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Zapukałem ponownie. Nic.

Zbliżyłem się do najbliższego okna. Zajrzałem do środka.

W półmroku dostrzegłem kuchnię po lewej stronie, sypialnię na półpiętrze i duży pokój na dole. Zwinięty dywan pod jedną ze ścian. Parkiet na podłodze. Niewiele mebli, sofa wykonana z bambusa, zarzucona poduszkami z hawajskimi wzorami, duży fotel, prosty stolik do kawy.

Szklane, rozsuwane drzwi od strony plaży wychodziły na ocienione patio.

Widać było parę składanych leżaków na tle wydm i wody, która stąd wydawała się szafirowa.

Na piasku stał mężczyzna. Podnosił i opuszczał sztangę.

Obszedłem dom.

Todd Nyquist, instruktor tenisa. Miał na sobie krótkie kolorowe spodenki, był ściśnięty szerokim skórzanym pasem, a na dłoniach miał skórzane rękawiczki bez palców. Na każdym końcu sztangi po dwa żelazne dyski. Przymknął oczy z wysiłku. Jego złote, długie włosy były wilgotne i zaczesane do tyłu. Pocił się i wykrzywił usta. Nie pochylał się, poruszał jedynie przedramionami. Trzeba przyznać, że miał ładną muskulaturę.

Ćwiczył w rytm muzyki, która płynęła z głośnika przenośnego magnetofonu stojącego obok.

Rock'n'roll. Thin Lizzie. Piosenka pod tytułem *Nasi chłopcy wrócili do miasta*.

Oblędnie mocne uderzenie. Dla mnie to tortura słuchać takiej muzycznej sieczki.

Wykonał serię szybkich, a potem wolnych ruchów. Kasetę się skończyła i muzyka umilkła. Stęknął głośno, wciąż z zamkniętymi oczami, przykucnął i

położył sztangę na piasku. Oddychał ciężko. Następnie wyprostował się, potrząsnął głową i otarł pot z twarzy. Plaża była prawie pusta. W oddali widać było jedynie jakieś dwie osoby, które przechadzały się przy samej wodzie.

– Dzień dobry – rzekłem.

Todd aż podskoczył. Nie zauważył mnie do tej pory. Spojrzał w moją stronę, przebierając nogami jak tancerz. I uśmiechnął się, wreszcie mnie rozpoznając.

– Pan jest psychologiem, prawda? Spotkaliśmy się u Rampów.

– Alex Delaware – podszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę w jego stronę.

W pantoflach miałem pełno piasku.

Spojrzał na swoje dłonie w rękawiczkach i rzekł:

– Przepraszam, nie jestem w stanie porządnie się z panem przywitać.

Cofnąłem dłoń.

– Trochę ćwiczę. Co to pana sprowadza?

– Szukam pani Ramp.

– Tutaj? – Wydawał się szczerze zdumiony.

– Poszukiwania trwają wszędzie. Poproszono mnie, żeby sprawdzić to miejsce.

– Śmierząca sprawa.

– Czemu?

– Jej zniknięcie jest takie dziwne. Chyba nikt się tego nie spodziewał.

Dlaczego to zrobiła?

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw ją odnaleźć –

odparłem..

– No tak, ale tutaj na pewno jej nie ma. Nie przyjeżdżała tu nigdy, a w każdym razie od czasu, kiedy tu mieszkam. – Odwrócił się w stronę oceanu i odetchnął pełną piersią. – Nie rozumiem, jak można nie korzystać z takiego pięknego domu.

– Rzeczywiście, to dość oryginalne zachowanie – odparłem. – Jak długo pan tu mieszka?

– Półtora roku.

– Płaci pan duży czynsz?

Uśmiechnął się, jakby dumny z tego, że zna jakiś niezwykle ważny sekret.

Ściągnął rękawiczki i poprawił włosy.

– Mam umowę z Rampem – odparł. – Ja mu daję prywatne lekcje tenisa, a on w zamian za to zapewnia mi bezpłatne lokum. Prawdę mówiąc, to nie jest moja główna przystań. Dużo czasu spędzam na podróżach. W ubiegłym roku odwiedziłem Alaskę i Cabo. Uczę tenisa starsze bogate damy, ale również jestem trenerem w Stanowym Klubie Tenisa Brentwood. Mam mnóstwo przyjaciół w mieście. Tutaj śpię raz albo dwa razy w tygodniu.

– To chyba dobra umowa.

– Niewątpliwie. Ma pan pojęcie, ile tutaj wynosi czynsz, nawet jeśli wynajmuje się dom od znajomego?

– Pięć tysięcy miesięcznie?

– Dziesięć poza sezonem, a od osiemnastu do dwudziestu w sezonie.

Jednak Rampowie nie mieli nic przeciwko temu, żebym się zaopiekował ich siedzibą. W zamian za to, jak tylko Don sobie zażyczy, jadę do San Labrador

i trenujemy.

– On sam tu nie przyjeżdża?

Przestał się uśmiechać.

– Nie. Czemu pan pyta?

– Bez powodu. Po prostu jest to dobre miejsce na treningi.

Usłyszeliśmy kobiece głosy. Szły dwie dziewczyny w bikini. Miały nie

więcej niż po osiemnaście lat. Jedna z nich prowadziła psa na smyczy. Pies

ciągnął do wody. Dziewczyna mocowała się z wilczurem, ale wkrótce

zrezygnowała z walki i pozwoliła mu zamoczyć się w oceanie. Pies przestał

szarpać smyczą, kiedy zauważył mnie i Todda. Dziewczyny zbliżały się w

naszą stronę. Nyquist nie spuszczał z nich wzroku. Obie miały długie, gęste,

rozjaśnione słońcem włosy. Jedna blondynka, droga ruda. Wysokie i

zgrabne, z idealną linią bioder. Śmiały się jak na reklamie, perliście, ale

troszeczkę za głośno, żeby uznać to za naturalny odruch. Bikini blondynki

było białe, a płomiennowłosej zielone. Kiedy się do nas zbliżyły, pies stanął,

kichnął i zaczął znowu się wyrywać. Rudowłosa pochylila się i pogłaskała go.

Wyraźnie ujrzałem duże, pokryte piegami piersi. Nyquist mruknął:

– Kto to, do cholery... – A potem wykrzyknął: – Traci! Maria! Cześć! Jak się macie, moje panie?

– Dobrze – odparła ruda z uśmiechem.

– Cześć Todd – rzekła blondynka.

Nyquist wyprężył się i uśmiechnął.

– Jak zwykle wyglądacie cudownie. A stary Berni chce zażyć kąpieli?

– Tak – odparła ruda – jest nieznośny. – I, zwracając się do psa, rzekła: –

Jesteś nieznośny, piesku, prawda? Powinieneś urodzić się rybą.

Jakby rozumiejąc obrazę, pies odwrócił się, zaczął kopać piasek tylnymi łapami i kichnął.

– Chyba piesek się przeziębził – zauważył Nyquist.

– Możliwe – odparła rudowłosa.

– Trzeba pokruszyć i wepchnąć mu do pyska parę witamin C i B12.

– Kto to? – zapytała blondynka. – Nowy przyjaciel?

– Znajomy właściciela tego domu.

– Ach tak – rzekła blondynka. – Zamierzasz podnieść czynsz? – zapytała mnie z zalotną miną.

Uśmiechnąłem się.

– Przepraszam na sekundę – rzekł Nyquist i podszedł do dziewcząt.

Objął je i przyciągnął do siebie, głowa przy głowie, jakby byli zawodnikami drużyny futbolowej. Dziewczyny wyglądały na zdziwione, ale nie oponowały.

Mówił coś do nich, gładząc jednocześnie szyję blondynki i biodra rudowłosej.

Pies obwąchiwał mu nogę i łasił się.

Nyquist klepnął je po pośladkach, a one odwróciły się i odeszły szybkim krokiem. Pies niechętnie podążył za nimi.

– Przepraszam, ale muszę je trzymać krótko. Kobiety mogą być niebezpieczne, kiedy pozwala się im za dużo. – Uśmiechnął się szelmowsko.

W jego zachowaniu było coś fałszywego. Przypomniałem sobie jego rozmowę z Giną parę dni temu. Jakieś napięcie, zmiana tonu głosu, na co

wtedy nie zwróciłem większej uwagi.

„Może być pepsi albo cokolwiek, żeby tylko było zimne i słodkie.”

„Poproszę Madeleine, żeby coś panu przygotowała.”

Starsze kobiety, które uczą grać w tenisa, młode, atrakcyjne dziewczyny, które trzyma krótko. Do tego mężulek, któremu daje prywatne lekcje. Co faktycznie łączyło Nyquista i Ginę Ramp?

Zastanawiające.

– Czy domyślasz się, gdzie może być teraz pani Ramp? – zapytałem.

– Nie, nie mam pojęcia. Nic z tego nie rozumiem. Gdzie mogłaby pójść, kiedy lękała się wszystkiego tak bardzo?

– Czy mówiła z tobą o swych lękach?

– Nie, my... nie, nigdy. Kiedy jednak człowiek obraca się w jakimś środowisku, zaczyna rozumieć pewne rzeczy. – Spojrzał na dom. – Może piwa?

– Nie, dziękuję. Muszę zaraz wracać.

– Rozumiem – rzekł z widoczną ulgą. – Jak widzę, jesteś w dobrej formie. Trenujesz coś?

Widocznie to był jedyny temat, na który potrafił rozmawiać, jeśli nie ciągnęło się go za język.

– Trochę biegam – odparłem.

– Tylko trochę?

– Jakieś osiem do szesnastu kilometrów w ciągu tygodnia.

– Lepiej uważaj, bieganie nie jest najlepsze dla organizmu. Nacisk na stopy jest cztery razy większy niż przy zwykłym chodzie. Można nadwerżyć

ściągną i kręgosłup.

– Ostatnio kupilem urządzenie do treningu jazdy na nartach.

– Bardzo dobrze, popieram. A jeśli od czasu do czasu odwiedzisz siłownię, to uczynisz najmądrzejszą rzecz pod słońcem.

– Dziękuję za radę.

– Nie ma sprawy. Jeśli zdecydujesz się na prywatną lekcję, wystarczy jeden telefon. Zawsze do usług. Nie mam wizytówki, ale możesz się ze mną skontaktować przez Rampów... przepraszam, przez Dona Rampa. –

Potrząsnął głową. – To wszystko jest bez sensu. Mam nadzieję, że wkrótce ją znajdziecie jest taką miłą kobietą.

Wróciłem do samochodu i raz jeszcze spojrzałem na ocean. Nie było widać żagla windsurfingu, ale pelikany wciąż krążyły po okolicy.

Towarzyszyły im mewy i rybitwy. Na horyzoncie przesuwwały się dwa szare punkty w kształcie cygar. Zapewne statki handlowe wypływające w transoceaniczny rejs. Ciekawe, jak to jest być marynarzem i mieszkać na wodzie. Czuć się taką kruszyną rzuconą na niezmierną pustynię oceanu.

Z rozmyślań wyrwał mnie ryk silnika i wesole wołanie:

– Hej! Panie właścicielu!

Biały volkswagea golf kabriolet z otwartym dachem zatrzymał się tuż przy mnie. Za kierownicą siedziała blondynka z plaży. W palcach trzymała papierosa. Miejsce obok niej zajmowała rudowłosa, zajadająca chrupki z papierowej torebki. Obie dziewczyny ubrane były teraz w przejrzyste koszulki z niedopiętymi guzikami. Berni siedział na tylnym siedzeniu, zachwycony jazdą, samochodem.

– Cześć – rzekła rudowłosa. – Ładny samochodek. Trochę stary. Mój ojciec jeździł takim.

Seville miała dziesięć lat. Kiedy ją kupilem, te dziewczyny zaczynały podstawówkę.

– Trzymasz go w garażu, żeby nie ukradli? – zapytała blondynka.

– Aha – odparłem.

– Nieźle. Dobry pomysł.

– Dzięki.

– Naprawdę znasz właściciela tego domku? Bo ja i Traci mieszkamy w Las Flores, ale poszukujemy czegoś bliżej oceanu. Możemy pracować przy małym dziecku w zamian za wyżywienie i mieszkanie. Todd powiedział, że się czegoś dowie od ciebie, ale pomyślałyśmy, że same możemy zapytać.

– Niestety – odparłem – źle was poinformowano. To prawda, znam właściciela tego domku, ale nie pracuję ani w pośrednictwie pracy, ani w agencji wynajmu nieruchomości.

Blondynka wykrzywiła usta w podkówkę. W myślach przyznałem rację przysłowiu, które mówi, złość piękności szkodzi.

– A to gagatek! Mówiłam ci, Mario, że wciskał nam kit.

Ruda zmarszczyła nos i zrobiła smutną minę.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Todd nas wrobił – odparła rudowłosa.

– Jak to?

– Powiedział, że jesteś z agencji nieruchomości i jak się przy tobie zakręcimy, to nam pomożesz. Do niedawna pracowałyśmy w okolicy.

Pilnowaliśmy dzieci Dave'a Dumasa i jego żony, więc kiedy tu przychodzimy, tutejsi właściciele nie przeganiają nas i swobodnie przechadzamy się po plaży. Nie możemy jednak oszukiwać ich w nieskończoność.

– Dave Dumas, ten znany koszykarz?

– Tak, ten sam – zachichotały.

– Opiekowaliśmy się jego dziećmiakami – rzekła blondynka. – I trochę nim, chociaż to duży chłopczyk – zaśmiała się i nagle spoważniała. –

Naprawdę chcemy tu wrócić. Kochamy tę plażę, a oprócz tego w pobliskim Broad jest kawiarnia muzyczna „Trancas Cafe”. Organizują tam niesamowite koncerty. Tydzień temu występował Eddie Van Halen.

– Nie boimy się pracy – włączyła się płomiennowłosa. – A Todd powiedział, że coś dla nas załatwi i żebyśmy się nie martwiły. On miał się wszystkim zająć.

– Fagas! – wykrzyknęła ze złością blondynka. – Jeszcze nas popamięta. –

Nacisnęła pedał gazu tak, że zawył silnik. Pies zaszczekał radośnie, jakby za chwilę miała rozpocząć się dalsza podróż.

– A co chciał w zamian za znalezienie pracy i mieszkania na plaży?

– Na początku udawał, że ma na nas ochotę. Widziałeś, jak nas macał tam na plaży? – Blondynka zwróciła się do rudowłosej: – Mówiłam ci, Mario, Todd jest całkiem inny.

– Udawał, że mu się podobacie?

Znów zachichotały. Rudowłosa wyjęła chipsa z torebki i próbowała karmić nim psa.

– On polubił naszego pieska – rzekła. – Zawsze przynosił mu coś słodkiego do jedzenia.

Podszedłem do Berniego i pogłaskałem go. Futro miał pełne soli i piasku.

Kiedy podrapałem go w szyję, zapiszczał ze szczęścia.

– Więc Todd wystawił was do wiatru?

Na twarzy blondynki pojawiło się zaniepokojenie. Z bliska było widać, że za dużo się opala. Miała lekko zaczerwienione policzki.

– Ty nie jesteś jego przyjacielem, co?

– Nie. Znam ludzi, którzy wynajmują mu ten dom, ale jego samego widziałem drugi raz w życiu.

– Więc ty nie jesteś... – blondynka uśmiechnęła się – panienką?

– Traci! Nie powinnaś tego mówić, tak nie można! – wtrąciła rada.

– A to czemu? – odparła blondynka – Jego inklinacje są obrzydliwe!

– Todd jest homoseksualistą? – zapytałem.

– Na sto procent – rzekła płomiennowłosa.

– Pedzio atleta – zaśmiała się blondynka.

– Facet jest do niczego, zwykła ciota – orzekła ruda. Berni kichnął. –

Nawet ty się z tym zgadzasz, piesku.

– Skąd wiecie, że on jest homo?

– Nigdy go nie podglądałyśmy, nic z tych rzeczy – odparła ruda – ale to się wie. Ciągłe przyjeżdżają do niego przyjaciele. On mówi, że grają w tenisa, że udziela im lekcji, ale raz widziałam taką lekcję. Trzymali się za ręce i całowali. To było dawno, kiedy jeszcze mieszkaliśmy u Dave’a.

– U słodkiego Dave’a. – Znów obie zachichotały.

– A dokładnie kiedy?

Widać było, że intensywnie myślą, jakby rozwiązywały w pamięci trudne zadanie matematyczne. W końcu jedna rzekła:

– Jakies pięć tygodni temu. Ten facet i Todd poszli na plażę. Właśnie lażyliśmy z Bernim nad wodą. Todd wziął tamtego za rękę i pocałowali się, tak jak się całuje z dziewczyną. Ten facet przyjechał dużym białym Merceem z różnymi bajeranckimi srebrnymi dodatkami. Gablota nie z tej ziemi. A tak w ogóle to byli uroczy. Zakochana para na plaży.

– Pamiętasz jak tamten wyglądał?

Wzruszyła ramionami.

– Zwyczajnie, ale był stary.

– Stary?

– Starszy od ciebie.

– Po czterdziestce?

– Nie, starszy.

– Może to był tatuś Todda? – zażartowała blondynka. – Mały Todd całuje się ze swoim ojczulkiem. – Spojrzały po sobie i wybuchnęły śmiechem.

– Nie, niemożliwe. To musiała być prawdziwa miłość. Tamten był całkiem przystojny. Jak podstarzały Tom Selleck, ten aktor.

– Miał wąsy? – zapytałam.

– Chyba tak. Dokładnie nie pamiętam, ale od razu skojarzył mi się z Tomem Selleckiem. Dobrze zbudowany, opalony, zabójczy uśmiech.

– Jaka szkoda, że tacy faceci się marnują – westchnęła druga.

– Wszystko przez to, że są bogaci – rzekła ruda – i jak się znudzą, to

mogą sobie pozwolić na ekstrawaganckie zachcianki.

– No tak, ale w ten sposób? To jest sprzeczne z naturą – blondynka udawała zgorszenie.

– Co ty tam wiesz – odparła ruda ze znaczącym uśmiechem. Znow zachichotały.

– Czy tylko raz widziałyście tego przyjaciela?

– Tak – odparła blondynka. – Słuchaj, więc możesz nam pomóc czy nie?

– Nie jestem agentem, ale znam paru ludzi. W każdym razie mogę popytać. Zadzwońię, jak się czegoś dowiem. Macie jakiś numer telefonu?

– Pewnie – odparła, ale nagle posmutniała.

– Co jest?

– Nie mamy nic do pisania.

– Nie szkodzi. – Poszedłem do seville. Znalazłem długopis i stary rachunek za naprawę samochodu. – Zapiszcie na drugiej stronie – powiedziałem.

Gdy ruda zabrała się do pisania, pies wystawił łeb i przymilnie zapiszczał.

Pogłaskałem go.

– Proszę bardzo – rzekła ruda, oddając mi kartkę i długopis.

Maria i Traci. Pochyłe pismo. Zamiast kropek nad „i” małe serduszka.

Flores Mesa Drive i numer telefonu.

– Zrobię, co będę mógł. To na razie. Cześć, dziewczyny. Powodzenia.

– Nam go nie brakuje.

– Czego nie brakuje?

– Powodzenia. Mamy wszystko, czego zapagniemy, prawda Mario? Koła

golfa zabuksowały, silnik przeraźliwie zaryczał i wóz, wznosząc tumany kurzu, wystrzelił jak z procy.

Odjechały szybko na północ, w stronę Broad Beach Road. Po chwili zniknęły z pola widzenia. Zdałem sobie sprawę, że były w wieku Melissy.

Wycofałem samochód i ruszyłem w drogę powrotną.

Starszy pan i młodzieniaszek.

Starszy, opalony pan z wąsami.

Jednakże mnóstwo jest panów, którzy mają białe mercedesy, wąsy i skłonności homoseksualne.

Ciekawe, czy Don Ramp jeździ takim wozem.

Wydostałem się na autostradę. W gruncie rzeczy nie potrzebowałem żadnego dowodu. To napięcie, jakie zauważyłem pomiędzy Giną a

Nyquistem, wystarczało, żeby się domyślić, że Todd był kochankiem Dona.

Co to może znaczyć?

Czyżby obaj znienawidzili Ginę?

Czy ona wiedziała o tym?

Czy dlatego mówiła, że chce zmienić swoje życie? Zmienić otoczenie?

Oddzielne sypialnie.

Oddzielne konta bankowe.

Oddzielne życie.

Czyżby wiedziała o skłonnościach Rampa jeszcze przed ślubem?

Czemu po tak długim okresie kawalerstwa zdecydował się na żeniactwo?

Bankier i prawnik zapewniali, że nie uczynił tego dla pieniędzy.

Jednak umowy małżeńskie i testamenty można podważyć, a polisy

ubezpieczeniowe mogą być realizowane bez wiedzy adwokatów.

A może rzeczywiście pieniądze nie grają tu żadnej roli? Może Ramp

zdecydował się na ślub, żeby ukryć wstydlive upodobania przed

konserwatywnymi mieszkańcami San Labrador?

Spokojne ognisko domowe, dom, żona i dziecko, które się wciąż buntuje.

Niby typowa amerykańska rodzina.

Rozdział dwudziesty drugi

Było dobrze po piątej, kiedy znalazłem się w domu. Milo gdzieś wyszedł.

Nagrał nową informację na swojej sekretarce. Pewnym głosem biznesmena

prosił, żeby zostawić mu wiadomość i że oddzwoni tak szybko, jak to będzie

możliwe. Na koniec piękne podziękowania. Poprosiłem go, żeby do mnie

zadzwoił, jak wróci.

Wykręciłem numer San Labrador. Usłyszałem głos Madeleine.

***Mademoiselle* Melissa nie czuła się najlepiej i poszła spać.**

Non, *monsieur* również nie ma w pobliżu.

Mówiła to z nieukrywaną satysfakcją.

Czym sobie zasłużyłem na tę wysublimowaną złośliwość?

Poszedłem na pocztę i opłaciłem rachunki. Następnie nakarmiłem ryby,

choć robilem to przed wyjazdem do Malibu. Spostrzegłem, że niektóre

karasie, szczególnie samiczki, są zmęczone, poruszają się bardzo wolno.

Przez trzydzieści minut ćwiczyłem jazdę na nartach.

Zbliżała się siódma trzydzieści.

Piątek wieczór, najlepszy czas, żeby gdzieś wyjść.

Chwyciłem za słuchawkę i wykręciłem numer San Antonio. Jakiś

mężczyzna zawołał chropawym głosem:

– Halo, słucham?

Poprosilem Linde.

– Kto mówi?

– Znajomy z Los Angeles.

– Ach tak. Linda jest w Behar... w szpitalu.

– Coś z jej ojcem?

– Tak. Jestem Conroy, stryj, brat jej ojca. Właśnie przyjechałem z

Houston.

– Nazywani się Alex Delaware. Jestem przyjacielem Lindy. To chyba nic poważnego?

– Mam nadzieję. Rano mój brat miał atak serca. Dobrze, że ambulans zjawił się po trzech minutach, bo byłoby po nim. Okazało się, że oprócz krążenia ma kłopoty z nerkami. Lekarze zabrali go do szpitala. Jest tam teraz cała rodzina. Do domu przyjechałem tylko na chwilę po jego rzeczy.

Miał pan szczęście, że mnie pan zastał. Zaraz wracam do kliniki.

– Nie będę pana zatrzymywał.

– Dziękuję.

– Proszę powiedzieć Lindzie, że dzwoniłem. Jeśli będę mógł się na coś przydać, proszę dzwonić.

– Nie zapomnę i bardzo dziękuję.

Rozłączył się.

Nie powinienem tego robić, ale nie potrafiłem się oprzeć.

– Halo?

– Alex! Jak się cieszę, że dzwonisz. Co porabiasz?

– Wychodzisz gdzieś wieczorem?

Zaśmiała się.

– Masz na myśli randkę? Coś ty. Siedzę kolkiem w domu.

– Nie, nie wierzę.

Znów się zaśmiała. Czemu idzie tak gładko?

– Hm, no nie wiem – rzekła – mama zawsze mi powtarzała, że bym wychodziła z chłopcem tylko wtedy, jeśli termin randki ustalili się co najmniej dwa dni wcześniej, żeby broń Boże nie wychodzić, jeśli chłopiec zaprasza cię w ten sam dzień.

– Kochana mamusia.

– Oprócz tego wmawiała mi masę podobnych głupot. Więc kiedy?

– Za pół godziny.

Wyszła akurat wtedy, kiedy zajechałem pod jej dom. Miała na sobie cienką, jedwabną czarną bluzkę z kołnierzem golfowym i obcisłe czarne dżinsy wpuszczone w czarne zamszowe botki. Szminka na ustach, cienie na powiekach, włosy starannie ułożone. Obudziła we mnie ślepą żądzę. Zanim zdążyłem wysiąść i otworzyć jej drzwi, już przy mnie siedziała. Przysunęła się. Poczulem bijące od niej ciepło. Poglądziła mi włosy i pocałowała prosto w usta.

Złączyliśmy się w namiętym pocałunku, nieświadomi czasu i miejsca.

Ile to trwało? Nie wiem, ale było to jedno z tych najpiękniejszych przeżyć, które ludzie przechowują w pamięci do końca życia.

Kiedy trochę ochłonęliśmy, zapytała:

– Dokąd jedziemy?

– Myślałem o chińskiej restauracji. – Nagle przypomniałem sobie czasy, kiedy jadaliśmy w łóżku zamówione telefonicznie pizze albo kurczaki z frytkami. – Oczywiście możemy zostać w domu i coś zamówić przez telefon.

– Nie. Chcę, żeby to była prawdziwa randka.

Pojechaliśmy do Brentwood, do restauracji „Mandaryn” z kuchnią kantońską i seczuańską, z papierowymi lampionami. Spędziliśmy tam godzinę. Potem udaliśmy się do nocnego klubu w Hollywood. Lubilem to miejsce, miałem związanych z nim wiele przyjemnych wspomnień. Jednak z Lindą nigdy tam nie byłem.

Teraz było tam inaczej: czarne ściany i bramkarze z fikuśnymi kucykami i sterydowymi mięśniami, którzy przechadzali się po sali, rzucając na gości mordercze spojrzenia, tłok jak na ulicy w Kalkucie, kłęby dymu papierosowego. Stoliki okupowali jegomości o nieco otępiałym spojrzeniu i zadowoleni dżentelmeni ze swymi towarzyszkami. Dla nich klub był chwilową przystanią dla wypicia kolejnego kielicha, aby zaraz potem udać się do następnego lokalu. I tak przez całą noc.

Pierwszy akt części artystycznej był podle jakości amatorszczyzną. Ile razy można słuchać wciąż tych samych dowcipów? Smutni kłowni zataczali się na scenie jak pijani łyżwiarze na lodowisku. Nie wzbudzali entuzjazmu, pomiędzy skeczami i gagami na widowni zalegała nieznośna cisza. Tuż przed północą nieco się polepszyło. Na scenie pojawił się młody mężczyzna z kobietą. Ci przynajmniej byli ubrani porządnie. Strojem nie odbiegali od standardu telewizyjnego. Miałem nadzieję, że wystąpią z odświeżonym

programem. Niestety, wśród promiennych uśmiechów zaaplikowali

znużonej

sali

niewybredne

dowcipy

dotyczące

plci,

przygłupich

Meksykanów i leniwych czarnuchów. Mieszanka trudna do strawienia dla człowieka, który ma choć odrobinę dobrego smaku.

Popatrzyłem na Robin. Skinęła głową. Wyszliśmy. Tym razem pozwoliła mi otworzyć drzwi przed sobą. Kiedy wsiadła i zatrzasnąłem drzwi, przytuliła się do nich. W tej pozycji pozostała do końca jazdy.

Zapuściłem silnik i włączyłem się do ruchu. Sięgnąłem po jej rękę. Parę razy ścisnęła moją dłoń i odsunęła się.

– Jesteś senna? – zapytałem.

– Nie, wcale.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– A teraz dokąd?

– Moglibyśmy pokrażyć trochę bez celu?

– Oczywiście.

Pojechaliśmy na zachód ulicą Fountain. Następnie skręciliśmy w La Cienega i minęliśmy Sunset na wysokości Hollywood Hills. Wolno

wspinaliśmy się na szczyt wzgórza, aż dotarliśmy do dzielnicy, gdzie wszystkie ulice nosiły nazwy ptaków. Mieszkali tam sami nadziani faceci, gwiazdy filmowe, sławni reżyserzy i scenarzyści.

Robin wciąż tuliła się do drzwi jak nerwowa autostopowiczka. Oczy miała przymknięte, milczała, odwróciła ode mnie twarz. Skrzyżowała nogi, a jedną rękę położyła na brzuchu, jakby ją bolał.

W końcu odrzuciła głowę do tyłu i wyprostowała nogi. Pomyślałem, że musi być zmęczona i pewnie zasypia. Kiedy jednak włączyłem radio i znalazłem stację z jazzem, szepnęła:

– To jest fajne.

Podróż bez celu. Dawno tak nie jeździłem. Znaleźliśmy się na Coldwater Canyon. Dojechałem do Mulholland Drive i skręciłem w lewo.

Gdzieś skrawki lasu. W przesiekach migają urwiska, wpadające do doliny San Fernando. Ponad czubkami drzew widać było jaskrawe światła domów, restauracji i pędzących ulicami samochodów.

Poczułem się jak władca, który robi przegląd swoich włości. Przedziwne uczucie. Mulholland był w kształcie ogromnego parkingu. Jakże często robiono tu zdjęcia do hollywoodzkich filmów. Jakże wielu było tu ludzi przed nami.

Zwolniłem, podziwiając wspaniały widok. Robin otworzyła zaspane oczy.

– Zatrzymaj się gdzieś tutaj – powiedziała.

Pierwszych parę zjazdów było zajętych przez samochody. Kilka kilometrów od skrzyżowania Coldwater wypatrzyłem wolne pobocze ocienione drzewami eukaliptusowymi. Zatrzymałem się i zgasilem światła.

Byliśmy blisko Beverly Glen, a w każdym razie blisko mojego domu.

Robin wciąż opierała się o drzwi. Spojrzała na dolinę.

– Ładne miejsce – rzekłem, zaciągając ręczny hamulec.

Uśmiechnęła się.

– Widok jak z pocztówki.

– Cieszę się, że jesteśmy razem. – Sięgnąłem po jej dłoń. Tym razem jej ręka była bezwładna, ciepła, ale jakby nieżywa.

– Jak tam twoja przyjaciółka z Teksasu? – zapytała.

– Jej ojciec miał atak serca. Jest w szpitalu. Opuściła boczne okno i wysunęła głowę na zewnątrz.

– Dobrze się czujesz?

– Chyba tak – odparła. – Czemu do mnie zadzwoniłeś?

– Czulem się samotny – odparłem bezwiednie. Nie spodobał mi się żaloszny ton własnej odpowiedzi.

Wzięła moją dłoń i poczęła bawić się moimi palcami.

– Ja też czułam się samotna.

– Teraz jesteśmy razem.

– To nie takie proste. Nie chcę niczyjej litości ani współczucia. Wiem, że lubię użalać się nad własnym losem.

– Nigdy tak o tobie nie myślałem.

Uśmiechnęła się.

– Czemu się śmiejesz?

– Ty nie, ale Denis tak o mnie myślał. Mówił, że uwielbiam wyolbrzymiać własne cierpienia, że skupiam się wyłącznie na nieszczęściach i potrafię

myśleć pozytywnie.

– Zapomnij o nim.

– To nie on mnie rzucił, ale ja jego.

Nic nie odrzekłem.

– Zaszłam w ciążę i zrobiłam skrobankę. Przez cały tydzień nie mogłam się zdecydować, czy mu o tym powiedzieć. W końcu podjęłam decyzję.

Wiesz, że on pochwalił to, co zrobiłam? Zaproponował, że zwróci pieniądze za zabieg. Tego było za wiele. Nie zastanawiałam się ani chwili i prostu wykopałam go na ulicę.

Nagle wysiadła z samochodu i stanęła przed maską. Podszedłem do niej.

Asfalt pobocza był pokryty grubą warstwą martwych liści eukaliptusa. W powietrzu unosił się zapach tabletek od kaszlu. Minęło nas parę

samochodów, nastąpiła cisza i znów przesunęły się światła przejeżdżając aut.

Zaległo nieznośne milczenie.

– Kiedy się upewniłam, że jestem w ciąży, poczułam się bardzo dziwnie.

Wyrzucalam sobie nieostrożność, a zarazem cieszyłam się, że jestem do tego biologicznie zdolna. I poczułam strach.

Milczałem, tłumiąc uczucie gniewu. My zawsze byliśmy ostrożni i zapobiegliwi. Żalowałem, że...

– Pewnie teraz mnie nienawidzisz? – spytała.

– Oczywiście, że nie.

– Masz do tego prawo.

– Robin, posłuchaj, takie rzeczy się zdarzają.

– Tylko innym ludziom.

Zbliżyła się do urwiska. Objąłem ją w pasie, ale odsunęła się ode mnie. To było bardzo proste. Poszłam do mojej ginekolog. Pochwalila, że wykryliśmy to tak wcześnie – jakby to była jakaś choroba. Użyła pompy takiego odkurzacza. Wsadziła go do środka i wyczyściła. Nic nie czułam. Potem miałam skurcze, ale nic poważnego. Przez parę dni brałam tylenol i przeszło mi.

Jej monotony głos podziałal na mnie kojąco.

– Najważniejsze, że nic ci nie jest. – Poczulem się tak, jakbym czytał dialog ze scenariusza, jakbym grał rolę, której nie rozumiem.

– A potem – ciągnęła – przeżyłam prawdziwe piekło. Wciąż myślałam, że ta pompa przez przypadek coś uszkodziła i nigdy nie będę mogła mieć dzieci. A jeśli Bóg ukarze mnie za to, że zabiłam to, co było we mnie, co było żywe, co przeczuwało nadchodzącą śmierć?

Podeszła jeszcze bliżej skraju przepaści.

– Wszyscy rozprawiają o tym w taki abstrakcyjny sposób. To trwało jakiś miesiąc. Doszłam do przekonania, że mam raka. Kiedy jednak zbadał mnie lekarz, okazało się, że jestem zupełnie zdrowa. Po paru dniach uczucie strachu powróciło, ale je przezwyciężyłam. Powiedziałam sobie, że będę żyć i wszystko będzie dobrze. Przez następny miesiąc wylewałam rzewne łzy.

Rozmyślałam, jakby to było, gdyby... W końcu i to minęło, ale jakieś okruchy smutku i niewytłumaczalnej trwogi wciąż we mnie tkwią. To jest we mnie, bardzo głęboko. Czasem, kiedy się uśmiecham, mam wrażenie, że płaczę. To jest jak pustka – dotknęła brzucha – o, tutaj.

Wziąłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie. Wtulila twarz w moją

marynarke.

– Dlaczego właśnie z nim? – szepnęła. Nagle odsunęła się i spojrzała mi prosto w oczy. – On był dla mnie nikim, kompletnie nikim. To było takie brudne i ordynarne. To było jak w tych obleśnych dowcipach, które słyszeliśmy w klubie.

Poczułem wzbierające łzy.

– Czasem leżę w łóżku i nie mogę zasnąć. Myślę, że zostałam skazana na wieczne rozpamiętywanie grzechu.

Staliśmy naprzeciw siebie. Znowu przesunęły się po nas światła samochodów.

– Miała być randka, a masz wzruszającą spowiedź – rzekła.

– Cieszę się, że mi to powiedziałaś.

– Doprawdy?

– Tak. Cieszę się.

– Jeśli mnie znienawidzisz, zrozumieć to.

– Czemu miałbym cię nienawidzić? – Ogarnęła mnie fala naglej złości. –

Nie mam żadnych praw do ciebie. To mnie nie dotyczy.

– Masz rację – rzekła.

Puściłem jej ramiona.

– Nie powinnam była o tym mówić.

– Nie – odparłem. – Nic się nie stało... Chociaż teraz czuję się parszywie.

Wiem, że musiałaś bardzo cierpieć.

– Nie tak bardzo.

– Żałuję, że nie byłem wtedy przy tobie.

Pokiwała głową.

– Pewnie chciałbyś, żebym miała to dziecko, prawda?

– Nie wiem, co bym chciał. Nie ma sensu się zastanawiać, jak bym postąpił. Przecież nie popełniłaś żadnej zbrodni.

– A jednak.

– Nie. – Znów chwyciłem ją za ramiona. – Prawdziwą zbrodnią jest to, gdy ludzie czynią zło rozmyślnie, kiedy zadają cierpienie z zemsty albo chęci posiadania czegoś. Ty nie miałaś większego wyboru. Wskazałem na światła miasta pod nami.

– Do diabła z tym wszystkim! – zawołałem. – Ludzie, którzy są naprawdę źli, którzy wyrządzają zło i sprawiają cierpienie innym, nigdy nie czują się winni, nigdy nie mają najmniejszych wyrzutów sumienia. Tylko jednostki dobre i wrażliwe wyrzucają sobie własne błędy i pomyłki. Zawsze o tym pamiętaj.

Wydawało mi się, że mnie nie słucha.

– To prawda, popełniłaś błąd, ale, na litość boską, niech to nie przekreśli twojego całego życia. Dasz radę, wyjdiesz z tego. Jeśli zechcesz mieć dzieci, to będziesz je miała. Przyszłość należy do ciebie. Ciesz się życiem.

– A ty cieszysz się życiem?

– W każdym razie próbuję, dlatego zaprosiłem na randkę piękną kobietę.

Uśmiechnęła się. Parę łez spłynęło jej po policzkach.

Objąłem ją. Poczulem pożądanie. Zaszlochała cicho.

– Kiedy zadzwoniłaś – rzekła – bardzo się ucieszyłam, ale i zmartwiłam.

– Czemu?

- Że będzie tak jak parę dni temu. Owszem, było mi wówczas bardzo dobrze, ale potem... – Ścisnęła moją rękę. – Nigdy bym tego nie powiedziała, gdybyś nie był moim przyjacielem. To o wiele więcej niż kochanek.
- Ja jestem twoim przyjacielem.
- Nie wiem... nie wiem, czy potrafiłabym bez ciebie...

Wziąłem ją w ramiona.

Przejeżdżający samochód oświetlił nas i na ułamek sekundy rozbłyśliśmy jak pochodnia. Jakiś nastolatek wysunął głowę przez okno auta i krzyknął:

– No dalej, ile można czekać!

Popatrzyliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem.

Pojechaliśmy do mnie do domu. Przygotowałem jej gorącą kąpiel.

Moczyła się przez pół godziny. Kiedy wyszła z łazienki, była zaróżowiona i zmęczona. Leżąc w łóżku, obejrzelśmy kawalek westernu i około drugiej w nocy zasnęliśmy.

Milo nie dzwonił. Żadnych wiadomości z San Labrador. Znów porozmawiałem z Madeleine, która poinformowała mnie, że Melissa jeszcze śpi.

Większość dnia spędziłem z Robin. W południe zjedliśmy posiłek, który był połączeniem śniadania i lunchu, potem wybraliśmy się na zakupy na pobliski bazar z artykułami spożywczymi. Następnie pojechaliśmy nad jezioro pooglądać łabędzie. Lekką kolację zjedliśmy w restauracji, której specjalnością były owoce morza. O siódmej dotarliśmy do domu Robin.

Przez telefon sprawdziłem, czy nie ma wiadomości na mojej sekretarce, a Robin sprawdziła na swojej.

U mnie nie było żadnych wiadomości, za to do Robin kilkanaście razy

wydzwaniał jakiś znany piosenkarz. Trzęsącym się głosem wołał:

– Rob, słuchaj, pilna sprawa. W niedzielę mam koncert w Long Beach.

**Właśnie wróciłem z Miami. Byłem na rybach. Od wilgoci popękał lakier na
mojej ukochanej Patty. Będę czekał na telefon w hotelu „Sunset Marquis”.**

Proszę, zadzwoń jak najprędzej.

– A to klops – rzekła.

– Poważna sprawa.

**– Tak. Jeśli dzwoni osobiście, to będzie moc pracy. Pewnie zarwę całą
noc.**

– Kto to jest Patty?

**– To jedna z jego gitar, Martin D-dwadzieścia osiem z pięćdziesiątego
drugiego roku. Ma jeszcze dwie inne. Laverne i... zapomniałam, jak nazwał
tę drugą. Obie noszą imiona siostr Andrews – jak się nazywała druga siostra
Andrews?**

– Maxene.

**– Właśnie, Maxene. Patty, Laverne i Maxene. Wszystkie z pięćdziesiątego
drugiego roku, w dodatku noszą kolejne numery seryjne. Nie spotkałam tak
podobnie brzmiących gitar, ale oczywiście on musi jutro zagrać na Patty.**

Potrząsnęła głową i poszła do kuchni.

– Chcesz coś do picia?

– Nie, dzięki.

– Na pewno? – wystawiła głowę zza drzwi i spojrzała na telefon.

– Na pewno. Czemu nie zadzwonisz do niego?

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Prawdę mówiąc, jestem, trochę zmęczony. Starość nie radość. Miała coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon.

– Tak, właśnie przyszedłam do domu... Nie, będzie lepiej, jeśli przyniesiesz ją tutaj. Tu również mam odpowiednie narzędzia... W porządku, na razie.

Odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Odprowadziła mnie do samochodu. Pocałowaliśmy się, unikając

rozmowy. Musiała zająć się pracą, a ja nie mogłem cieszyć się życiem.

Miałem ochotę na kimś się wyżyć. Minąłem parę przecznic, zatrzymałem się przy stacji benzynowej i zadzwoniłem do Mila.

Usłyszałem głos Ricka:

– Pojawił się tylko na chwilkę i zaraz znowu wyszedł. Coś się stało.

Powiedział, żebyś do niego zadzwonił. Wziął mój samochód i telefon komórkowy. Podam ci numer.

Zapisałem numer telefonu, podziękowałem i wyłączyłem się. Milo odebrał po pierwszym sygnale.

– Sturgis, słucham.

– To ja. Co jest?

– Samochód został znaleziony parę godzin temu. W pobliżu Kanionu San Gabriel, na tamie Morris.

– A co z...

– Żadnego śladu. Jedynie samochód.

– Czy Melissa już wie?

– Jest na miejscu. Zawiozłem ją osobiście.

– Jak się czuje?

– Na razie w porządku. Wygląda na bardzo opanowaną. Lekarze twierdzą, że jest w dobrej formie, ale nie sądzę, żeby wytrzymała długo. Czy mam coś zrobić? Coś jej powiedzieć?

– Nie opuszczaj jej ani na krok. Jak tam dojechać?

Rozdział dwudziesty trzeci

Chciałem jak najszybciej dostać się do autostrady. Wybrałem drogę przez Lincoln. Na ulicach panował duży ruch. Samochody wlokły się jak za pogrzebem. Nic dziwnego, był koniec tygodnia i ludzie jechali za miasto, żeby oderwać się od codziennych zmartwień i odetchnąć świeżym powietrzem. Na szczęście w Glendale zrobiło się luźniej i wjechałem na autostradę.

Przycisnąłem gaz do dechy. Kierowałem się na północ drogą, którą dwa dni temu zapewne jechała Gina.

Z wolna zapadała ciemność. U stóp gór San Gabriel ciągnęła się pustynia. W świetle dnia zobaczyłbym domy farmerów, prywatne przetwórnice, a w oddali posępne szczyty i pokryte zaroślami wzgórza, lecz noc przysłoniła wszystko swoim litościwym czarnym skrzydłem. Zła pora na poszukiwania. Dwa kilometry przed zjazdem na autostradę numer trzydzieści dziewięć zwolniłem. To tutaj policjant widział pędzącego rolls-royce'a Giny. Pasy przedzielała cementowa barierka, która miała około metra wysokości. Za taką betonową zasłoną nawet znawca samochodów mógł rozpoznać jedynie charakterystyczną przednią maskę pędzącego auta i rozmazany kolor lakieru.

Cud, że w ogóle coś zauważył.

Teraz wiadomo na pewno, że to był jej samochód.

Zjechałem na Azusa Boulevard. Znalazłem się na peryferiach jakiegoś miasta. Miałem wrażenie, że przeniosłem się w czasie do lat pięćdziesiątych.

Mijałem stacje benzynowe z małymi warsztatami, przydrożne hoteliki i sklepy. Wszędzie było ciemno. Gdzieś tam latarnie uliczne oświetlały tablice z napisami: SKLEP Z GALANTERIĄ SKÓRZANĄ, KSIĘGARNIA, DORADZTWO PODATKOWE. Znak czasów współczesnych zjawił się dopiero przy końcu ulicy – całodobowy minimarket. Nie było w nim żadnego klienta, a sprzedawca poziewywał.

Minąłem tory kolejowe i wjechałem na Gabriel Canyon Road. Seville podskakiwała na starym, poniszczonym asfalcie. Po obu stronach ulicy ciągnęły się rzędy smutnych, niskich domków. Następnie minąłem parking dla samochodów ciężarowych, odgradzony od ulicy wysokim, szarym murem.

Żadnych graffiti, które są właściwe większym miastom. Na poboczach zaparkowane były samochody osobowe. Pojawienie się rolls-royce'a w towarzystwie takich marek wywołałoby niesłychaną sensację.

W miarę jak droga poczynała się wznosić, małe zabudowania ustępowały miejsca większym – fermom i prywatnym stadninom koni. Kilometr dalej ujrzałem, znak informujący, że wjeżdżam na teren Parku Narodowego Angeles Crest. Poniżej widniał zakaz rozpalania ognisk i wyszczególnione były zasady rozbijania obozowisk w lesie. Zabita deskami budka strażnika parku stała przy samej drodze. Poczulem w powietrzu słodkawy zapach.

Reflektory seville rzucały dwa szerokie snopy światła. Resztę okrywała nieprzenikniona ciemność.

Włączyłem długie światła i przyśpieszyłem. Po przejechaniu paru kilometrów usłyszałem narastający turkot. Dochodził jakby z góry.

Rozbłysły dwa czerwone światła. Wznosiły się i opadały. Najechały prosto na mnie, żeby po chwili przesunąć się na północ. Silne reflektory poczęły badać ciemność, rozświetlając czubki drzew i szczeliny w załomach skalnych.

Ujrzałem wodę.

Potem cementowy wał. Falochron stykał się z migoczącą powierzchnią jeziora.

Śledząc wędrówkę halogenów helikoptera, zobaczyłem tamę, która wznosiła się jakieś dwieście metrów ponad taflą wody.

Tama miała nowoczesny łukowaty kształt.

Przy drodze stała tablica informacyjna z napisem: ZAPORA I ZBIORNIK WODNY MORRIS. CZĘŚĆ SYSTEMU IRYGACYJNEGO LOS ANGELES.

Od dawna w południowej Kalifornii sztucznie nawadniano pola uprawne i łąki. Od czterech lat trwała tu susza.

Milo powiedział, żebym szukał drogi od strony tamy. Dwie pierwsze były zastawione metalowymi bramkami. Osiem kilometrów dalej droga opadała stromo nad sam brzeg zbiornika. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem.

Pobłyskujące lampy i reflektory, szperacze policyjne ślizgające się po lustrze wody i migające pomarańczowo-białym światłem koguty radiowozów policyjnych. Samochodów było zatrzęsienie, niektóre stały z wyłączonymi

silnikami, a niektóre wciąż produkowały kłęby szarego dymu.

Biało-czarne wozy policji z Azasa, pojazdy inspektorów z Los Angeles, trzy łaziki strażników parku narodowego i ambulans.

Za dżipami stało białe porsche Ricka i wielki biały mercedes 560 SEC z chromowanymi detalami.

Ktoś wyszedł na środek drogi i dał znak, żebym się zatrzymał. Z bliska spostrzegłem, że była to policjantka, młoda blondynka ze związanymi z tyłu włosami. Mundur miała idealnie dopasowany do zgrabnej figury. Pierwszy raz spotkałem stróża porządku, który równie dobrze mógłby być modelką.

Wysunąłem głowę przez okno.

– Niestety, droga jest czasowo zamknięta dla ruchu.

– Jestem lekarzem córki pani Ramp. Proszono mnie, żebym przyjechał.

Zapytała o nazwisko i zażądała dowodu tożsamości. Obejrzała moje prawo jazdy i rzekła:

– Proszę zgasić silnik i poczekać.

Zeszła na pobocze i przez chwilę konsultowała się z kimś przez krótkofalówkę.

– Proszę zostawić tutaj swój pojazd. Może będę musiała go przestawić, żeby nie tarasował przejścia – rzekła. – Niech pan idzie tędy – wskazała na uchyloną bramę. – Uwaga na strome zejście.

Szeroka, leśna ścieżka wiodła wśród paproci i młodych drzew iglastych.

Pod stopami czułem miękką trawę. Widoczne były ślady kół. Stok był rzeczywiście stromy. Pochyłość miała około pięćdziesięciu stopni. Trudno było utrzymać równowagę.

Przeszedłem tak z dwieście metrów, aż w końcu znalazłem się na płaskiej łączce obok drewnianego pomostu. Latarnie zawieszane na wysokich tyczkach rzucały żółtawe światło. Ludzie w mundurach wypatrywali czegoś po lewej stronie pomostu. Rozmawiali ze sobą, usiłując przekrzyczeć jazgotliwy ćwierkot helikopterów, które wisiały nad nimi.

Po chwili zrozumiałem, o czym rozprawiali. Z wody wystawała maska rolls-royce'a, którego przednie koła unosiły nad powierzchnią wody, a cały tył był zatopiony. Otwarte drzwi do strony kierowcy kołysały się na zawiasach umieszczonych w środkowych słupkach nadwozia. Produkcję tego rodzaju drzwi dawno zarzucono, gdyż uznano je za bardzo niebezpieczne.

Przyjrzałem się zbiegowisku. Rozpoznałem Dona Rampa, który był w koszulce z krótkimi rękawkami, i komendanta policji Cbickeringa. Obaj spoglądali na wrak. Ramp jedną ręką dotykał głowy, a drugą wcisnął głęboko w kieszeń spodni. Zastygł w tej nienaturalnej pozie.

Ani śladu Mila. W końcu spostrzegłem go. Stał poza obrębem świateł.

Miał na sobie koszulę w szkocką kratę. Jedną ręką obejmował Melissę. Na ramionach miała ciemny koc. Stali tyłem do samochodu. Milo poruszał ustami, coś mówił, ale trudno było orzec, czy Melissa go słucha.

Skierowałem się w ich stronę.

Kiedy Milo zobaczył mnie, zmarszczył brwi.

Melissa również spojrzała w moją stronę, ale nie poruszyła się. Jej twarz była blada i nieruchoma jak maska z japońskiego teatru Kabuki.

Wymówiłem jej imię.

Nie zareagowała.

Wzięłem jej obie dłonie i lekko je ścisnąłem.

– Wciąż są pod wodą – przemówiła zdławionym głosem.

– Nurkowie – wyjaśnił Milo tonem bezstronnego świadka konwersacji.

Jeden ze śmigłowców obniżył lot i snopami reflektorów począł kreślić fantastyczne figury na tafli czarnej wody. Ktoś krzyknął. Melissa drgnęła i zwróciła się w tamtą stronę.

Jeden ze strażników oświetlił latarką linię brzegową. Naszym oczom pokazał się pletwonurek, który wychodził z wody. Ściągnął maskę i pokręcił głową. Po chwili wynurzył się następny nurek. Na brzegu zaczęli zdejmować butlę z tlenem i ciężkie, ołowiane pasy. Melissa jęknęła żałośnie:

– Nie! – Pobiegła w ich stronę. Podążyliśmy w ślad za nią. Kiedy zbliżyła się do nurków, krzyknęła: – Nie! Teraz nie możecie przerwać!

Nurkowie ułożyli ekwipunek na piasku. Spojrzeli na Chickeringa, który wraz z miejscowym szeryfem nadchodził z drugiej strony. Ludzie patrzyli na nas z ciekawością, tylko Ramp nie odrywał wzroku od rolls-royce'a.

– Jaka sytuacja? – zapytał Chickering. Ubrany był w ciemny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Czubki pantofli miał wypačkane błotem.

Przystanęło za nim paru policjantów gotowych na każde skinienie szefa.

– Ciemno jak diabli – odparł nurek. Rzucił niepewne spojrzenie na

Melissę, następnie ponownie zwrócił się do komendanta: – Kompletnie nic nie widać.

– Więc zapalcie latarki! – zawołała Melissa. – Przecież nurkuje się w nocy!

– Proszę pani – rzekł nurek – my... – Nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Był młody, niewiele starszy od niej. Miał piegi i sumiaste blond wąsy.

Do brody przyczepiła mu się nitka wodorostu. Szczękał zębami.

Drugi pletwonurek był w tym samym wieku.

– Mieliśmy reflektory – rzekł z wysiłkiem. Pochylił się i podniósł czarne pudełko z uchwytem i paskiem zabezpieczającym. – Takie reflektory są na wyposażeniu wojska. Dają żółte światło, najlepsze do tego typu działań...

Rzecz w tym, że tutaj nawet w dzień woda jest czarna jak węgiel. A w nocy...

– Pokręcił głową i zaczął masować ramiona.

W tym czasie blondyn skorzystał z okazji i odszedł od nich parę kroków.

Szybko rozpiął zamek kombinezonu, wyjął ręce z rękawów gumowej pianki i

pochylił się nad nogawkami. Ktoś okrył go kocem takim samym, jaki miała

Melissa. Drugi nurek zerknął na niego z zazdrością.

– Przecież to jest zbiornik wody pitnej! – zawołała Melissa. – Jakże woda może być brudna?

– Nie brudna, ale mętna, nieprzezroczysta. Nie jest zanieczyszczona. To jej naturalny kolor z powodu dużej ilości minerałów. W świetle dziennym jest ciemnozielona... – Spojrzał na policjantów, jakby oczekiwał wsparcia z ich strony.

Na identyfikatorze szeryfa było napisane GAUTIER. Poniżej baretka odznaczeń. Około pięćdziesięciu pięciu lat, poszarzały na twarzy, ze zmęczonymi oczami.

– Jesteśmy tu po to, żeby odnaleźć matkę panienki – rzekł do Melissy, ukazując proste, poczerniałe od żucia tytoniu zęby. – Śmigłowce

skontrolowały okolicę w promieniu paru kilometrów. Obsługa tamy wypożyczyła nam łodzie i sprawdziliśmy każdy centymetr kwadratowy powierzchni zbiornika. Jeśli jednak chodzi o to, co znajduje się pod wodą, w tej chwili nie możemy uczynić nic więcej.

Mówił spokojnym, rzeczowym głosem, starając się przekazać okrutną prawdę w najbardziej łagodny sposób. Jeśli zwłoki Giny znajdowały się pod powierzchnią wody, nie było powodu do nadzwyczajnego pośpiechu.

Melissa zacisnęła pięści i spojrzała na niego.

Chickering zmarszczył czoło i cofnął się o krok.

Melissa przymknęła oczy i zalala się gorącymi łzami. Zasłoniła twarz dłońmi, pochyliła się, jakby pod wpływem silnego ciosu, i znów krzyknęła:
– Nie! Nie!

Milo chciał się do niej zbliżyć, ale go ubiegłem. Wziąłem ją za ramiona i przyciągnąłem do siebie.

Opierała się bez przekonania.

Trzymałem ją silnie. Nagle rozluźniła się, zwiotczała. Dotknąłem jej twarzy – była zimna jak lód. Miałem wrażenie, że mam przed sobą manekina, którego pozycję mogę modelować, jak mi się podoba.

Sprawiała wrażenie przytomnej, oddychała w normalnym rytmie, lecz jej oczy były nieruchome, zapatrzone gdzieś w dal, nieobecne. Wiedziałem, że jeśli ją puszczę, bezwładnie osunie się na ziemię.

Tłum

umundurowanych

mężczyzn

przyglądał

się

tragicznemu

widowisku. Odciągnąłem ją na bok.

Nie przestawała zawodzić. Jeden z policjantów nagle się odwrócił i reszta poszła w jego ślady. Znow ich uwagę przyciągnął rolls-royce.

Chickering i Gautier pozostali na swoich miejscach. Komendant patrzył na mnie. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie i złość. Pokiwał głową i przyłączył się do ludzi na pomoście. Gautier spojrział na niego zdziwiony i odwrócił się do mnie. Widać było, że chciałby coś powiedzieć, pocieszyć, ale brakło mu słów.

– Poradzimy sobie – rzekłem. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to zabiorę ją do domu.

Gautier skinął głową. Chickering patrzył na spokojne lustro wody. Don Ramp stał samotnie po kostki w błocie. Przemienił się w niedołężnego, trzęsącego się starca.

Nie dostrzegał mnie. Choć patrzył w moją stronę, myślami był gdzie indziej.

Helikoptery poczęły się oddalać. W końcu słyhać już było tylko ciche bzyczenie dochodzące z północy. Nagle moje zmysły, pozostające do tej pory w uśpieniu, ożyły z zadziwiającą intensywnością. Posłyszałem, jak fale uderzają o betonowy brzeg, poczułem zapach wody.

Melissa drgnęła. Odczuła to samo.

Cicho szlochała. Jej lament niósł się po wodzie i odbijał się od majaczącej

w oddali ściany tamy.

Milo zmarszczył czoło i przestępował z nogi na nogę. Stał za moimi plecami.

Coś wyrwało Rampa z transu. Przez chwilę wahał się, czy nie podejść do nas. W końcu odwrócił się i odszedł w przeciwną stronę.

Rozdział dwudziesty czwarty

Przy pomocy Mila zaprowadziłem Melissę do mojego samochodu. Milo wrócił do rolls-royce'a, a ja odwiozłem półprzytomną dziewczynę do domu. Jediną rzeczą, jaką mogłem jej zaoferować, była rozmowa. Jednak ona nie była teraz zdolna do jakiegokolwiek wymiany zdań. Odrzuciła głowę do tyłu i przymknęła powieki. Przez całą drogę lekko pochrapywała.

Brama rezydencji przy Sussex Knoll była otwarta. Wziąłem Melissę na ręce i przeniosłem do drzwi wejściowych. Zapukałem. Po jakimś czasie otworzyła Madeleine. Ubrana była w białą bawełnianą suknię zapiętą na guziki pod samą szyją. Na jej szerokiej twarzy nie dostrzegłem śladu zdziwienia. Przybrała pozę człowieka, który cierpi samotnie i nie chce się z nikim dzielić swym nieszczęściem. Minąłem ją i przeszedłem do salonu.

Delikatnie ułożyłem Melissę na miękkiej sofie.

Madeleine na chwilę zniknęła i przyniosła koc i poduszkę. Przyklękała, uniosła głowę śpiącej i wsunęła poduszkę. Zdjęła trzewiki z nóg Melissy i z namaszczeniem okryła ją kocem.

Dziewczyna odwróciła się twarzą do oparcia sofy i podkurczyła nogi, przybierając pozycję embrionalną. Następnie wyjęła rękę spod koca i wsunęła kciuk do ust.

Wciąż klęcząc, służąca odgarnęła kosmyk włosów z twarzy Melissy.

Wstała, poprawiła poły sukienki i spojrzała na mnie jakby w oczekiwaniu sprawozdania.

Wskazałem palcem na śpiącą i przeszliśmy do przeciwległego rogu pokoju.

Stała tuż obok mnie. Oddychała ciężko. Jej duże piersi falowały. Włosy miała związane niezwykle starannie. Bił od niej zapach kwiatowej wody toaletowej.

– Czy znaleziono jedynie samochód, *monsieur*?

– Tak. – Opowiedziałem jej o poszukiwaniach za pomocą śmigłowców.

Jej oczy pozostały suche, ale parę razy wytarła je palcami.

– Możliwe, że pani Ramp zgubiła się w parku. W takim razie zostanie wkrótce odnaleziona – rzekłem.

Madeleine milczała, zacisnęła tylko obie dłonie.

Melissa głośno ssła kciuk.

Służąca spojrzała na nią, a potem zwróciła się do mnie:

– Czy *monsieur* zostanie?

– Przez jakiś czas.

– Będę w pobliżu, *monsieur*.

– Popracujemy na zmianę.

Żadnej odpowiedzi. Nie byłem pewny, czy mnie dobrze zrozumiała, więc rzekłem:

– Będziemy czuwać na zmianę. Ona nie powinna zostać sama.

Żadnej oznaki zrozumienia. Stała nieruchomo, wpatrując się w

przestrzeń niewidzącymi oczami.

– Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

– Nie, *monsieur*.

– Więc możesz iść i odpocząć.

– Nie czuję się zmęczona, *monsieur*.

Usiedliśmy na kanapie. Melissa spała. Służąca kilka razy poprawiała koc, chociaż dziewczyna prawie się nie ruszyła. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Odezwał się dzwonek u drzwi. Poszła otworzyć z gracją, na jaką pozwalały jej obfite kształty. To był Milo,

– Dzień dobry, *monsieur* Sturgis – rzekła na powitanie.

– Dobry wieczór, Madeleine. – Skinął głową i zapytał: – Jak tam nasza dziewczynka?

– Śpi.

Wszedł do pokoju i pochylił się nad Melissa. Wciąż miała kciuk w ustach.

Parę kosmyków włosów opadło jej na policzki. Zrobił taki ruch, jakby chciał dotknąć jej włosów, ale powstrzymał się i wyszeptał:

– Jak długo śpi?

– Drzemiała przez całą drogę.

– Czy to dobry znak?

Obaj odsunęliśmy się na parę kroków. Madeleine zbliżyła się do sofy.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, tak – odparłem.

– Ja z nią zostanę – rzekła służąca.

– Dobrze – zgodził się Milo. – Będziemy na dole w gabinecie. Prawie niezauważalnie skinęła głową.

Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie bez okien, rzekłem:

– Wygląda na to, że masz nową przyjaciółkę.

– Masz na myśli Maddy? Jest poczciwa i parzy wyśmienitą kawę.

Urodziła się i wychowała w Marsylii. Byłem w tym mieście jakieś dwadzieścia lat temu. Zatrzymałem się tam na odpoczynek po pobycie w Sajgonie.

Sekretarzyk zavalony był kartkami papieru zapisanymi przez Mila. Obok na stole leżał stos notatek, dokumentów i telefon komórkowy. Antena słuchawki była wysunięta. Milo ją złożył.

– To stanowisko pracy Melissy – wskazał na stoły – główny punkt dowodzenia. Bystra z niej dziewczyna. Pracowaliśmy przez cały dzień. Nie wpadliśmy na nowy trop, ale nie poddawaliśmy się. Widziałem wiele zawodowych detektywów, którzy załamywali ręce i rezygnowali z pracy po paru godzinach niepowodzeń. Jej zaangażowanie przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

– Miała silną motywację.

– Tak. – Usiadł przy sekretarzyku.

– Jak dowiedzieliście się o samochodzie?

– Zrobiliśmy przerwę na kanapkę o siódmej. Żartowała, że zrezygnuje z Harvardu i zostanie tajnym agentem. Po raz pierwszy widziałem, jak się uśmiecha. W czasie jedzenia zadzwoniłem do dyrekcji parków narodowych. Wiesz, rutynowy telefon. Dzwoniłem tam co parę godzin i nie spodziewałem się, że dowiem się czegoś nowego. Dyżurny poinformował mnie o znalezisku. Melissa zobaczyła moją minę, upuściła jedzenie z wrażenia i

musiałem jej

wszystko powiedzieć. Uparła się, żeby jechać ze mną.

– To lepsze niż czekać.

– Chyba tak. – Wstał i podszedł do stołu. Wskazał na ciemną plamę na grubym perskim dywanie. – O, tutaj upuściła tuńczyka z majonezem. –

Podniósł wzrok na obraz Goi i przetarł oczy. – Zanim to się stało powiedziała mi o swej przeszłości, o tym, co dla niej zrobiłeś. Wiele przeżyła jak na osiemnaście lat. Miała dużo ciężkich doświadczeń.

– Tak – rzekłem – ale widzę, że cię polubiła i darzy zaufaniem.

– Naprawdę nie sądziłem, że sprawy przyjmą taki obrót. Gdzie może się podziewać pani Ramp? Czyżby naprawdę utonęła? – Dopiero teraz zauważyłem, że jest nieogolony i ma przetłuszczone włosy. – Co za pieprzony zbieg okoliczności.

– Kto natrafił na samochód?

– Strażnik parku w czasie patrolu. Zauważył, że jedna z bram była otwarta i postanowił sprawdzić. Tamto miejsce służyło do pobierania próbek wody. Kłódka od bramy zniknęła dawno temu, ale nikt jakoś się tym zbyt nie przejął. To cud, że strażnikowi w ogóle chciało się zejść i sprawdzić teren.

– Nikt z obsługi tamy nie spostrzegł wraku?

Pokręcił przecząco głową.

– Stamtąd do tamy jest parę kilometrów.

Milo znów usiadł za stolikiem, spojrzął na notatki i przerzucił je machinalnie.

– Jak myślisz, co się stało? – zapytałem.

– Po pierwsze, należy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wybrała leśną drogę, a nie jechała główną trasą. Chickering twierdzi, że była niespełna rozumu, zgubiła się, a potem udała się na poszukiwanie schronienia.

Niektórzy przyjęli tę wersję. A ty co o tym sądzisz?

– Możliwe, że tak właśnie było. Jeżeli chciała zażyć swoje lekarstwo, prawdopodobnie musiała poszukać spokojnego miejsca. Skręciła więc w boczną drogę. Dlaczego jednak jej samochód znalazł się w wodzie?

– Wygląda na wypadek – odparł. – Zaparkowała blisko brzegu. Dźwignia zmiany biegów była ustawiona na luz. Znalaziono ślady opon trzydzieści centymetrów od brzegu. W tym modelu, kiedy wyłączy się silnik, należy wrzucić wsteczny bieg. Nie była doświadczonym kierowcą i wszystko wskazuje na to, że wpadła w panikę i samochód się stoczył. Oczywiście takie samochody mają wspomaganie hamulców, ale serwo działa dopiero po paru sekundach. Trzeba mieć sporo siły, żeby hamulce zadziałały od razu.

– A czemu auto nie utonęło?

– W tym miejscu pod wodą znajdują się stalowe pręty, rodzaj schodków. Tylne koła zaklinowały się i samochód nie poszedł na dno.

– Kiedy strażnik odnalazł samochód, drzwi były otwarte?

– Tak. Natychmiast sprawdził, czy nikt nie jest uwięziony w środku.

Woda sięgała siedzeń. Drzwi mogły otworzyć się przypadkowo; otwierają się do tyłu, przymocowane są do środkowego słupka. A może usiłowała wyskoczyć w ostatniej chwili?

– Czemu nie chcesz założyć, że się uratowała?

Spojrzał na papiery leżące na biurku. Zebrał je do kupy i ułożył po lewej stronie.

– W tym przypadku najbardziej prawdopodobne jest to, że albo uderzyła się w głowę, kiedy usiłowała się wydostać, albo sparaliżował ją strach i wpadła do wody. W niektórych miejscach zbiornik ma trzydzieści pięć metrów głębokości. Natychmiast traci się grunt pod nogami. To mogło trwać parę sekund. Melissa twierdzi, że Gina nie była dobrą pływaczką. Od lat nie chodziła na basen.

– Gina nie lubiła wody – odparłem. – Dlaczego w ogóle tam pojechała?

– Któż to może wiedzieć? Może chciała zmusić się do przewyciężenia fobii? Udowodnić sobie, że jest silna, że potrafi poradzić sobie nawet z silnymi lękami. Przeraziła się jednak wody i utonęła.

– No, nie sądzę – rzekłem. – Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy okazało się, że policjant widział jej samochód? Że nie pojechała na północ, ponieważ tam jest płaskowyż Angeles, całkowite pustkowie.

– Co z tego?

– Nie wiem – odparłem – ale teoria tragicznego wypadku opiera się na założeniu, że Gina była sama. A jeśli ktoś jej towarzyszył? Ktoś mógł utopić ciało, tylko z samochodem nie poszło tak łatwo, ponieważ przeszkodziły podwodne pręty.

– A dokąd udała się ta tajemnicza postać?

– Mogła zaszyć się w lesie.

– Kto wie? Może masz rację.

Przerzucił parę kartek i musnął rękoma twarz.

– Nie rozumiem tylko, jak możesz po tylu latach pracy jako terapeuta spodziewać się po ludziach najgorszego. Kogo więc podejrzewasz i jaki był motyw morderstwa?

– Na kogo pada pierwsze podejrzenie, kiedy umiera majątna kobieta?

– Na męża. On jednak nie miałby z tego żadnej korzyści.

– A może jednak to mu się opłacało? Przecież testament można podważyć. Kiedy w grę wchodzi grube miliony, nawet kilku procentowy spadek urasta do poważnej sumy. Nie zapominaj, że polisę ubezpieczeniową mąż dostaje automatycznie, bez zgody sądu. Oprócz tego ma on pewną wstydliwą tajemnicę. – Tu opowiedziałem o mojej wycieczce do Malibu. Odsunął krzesło od stołu i przeciągnął się.

– Nie wiedziałem, że z niego taki gagatek. Trzyma kochanka w domku na plaży. Teraz rozumiem, dlaczego był tak gościnnie i miły, kiedy cię poznał. Pewnie pamiętał cię z telewizji i przestraszył się, że możesz go znać.

– Czemu?

– Mogłeś coś o nim słyszeć w jakiejś gejowskiej knajpie.

– Bez przesady – odparł. – Jestem gejem, ale rzadko odwiedzam tego rodzaju miejsca.

– On chyba również. Człowiek, który mieszka w San Labrador, nie może afiszować się z takim skłonnościami. A może nie myślał wtedy racjonalnie? Może sam twój widok zdenerwował go? Po prostu przypomniałeś mu o jego sekrecie.

– Przestraszył się? – rzekł z niedowierzaniem. – Możliwe, że dowiedział się czegoś o mnie, ale żeby od razu się przestraszyć? Nie sądzę.

– Kiedy spostrzegł, że interesujesz się jedynie Giną, doszedł do wniosku, że nic mu nie grozi.

Milo uśmiechnął się cierpko.

– Nie zajęło ci wiele czasu, żeby go przeświecić.

– Pamiętasz, że to on pierwszy zwrócił uwagę na domek letniskowy.

– Dzwonił tam ze dwa razy. Bał się, że ktoś inny może wpaść na ten pomysł. Nie pomyślał jednak, że mogę pojechać do Malibu na niewinny rekonesans. Oprócz tego miałem dużo szczęścia. Gdybym nie spotkał tych dziewcząt, nie wiedzielibyśmy o niczym, a na niego nie padłby nawet cień podejrzenia.

– Jak wygląda ten Nyquist?

– Blondyn, przystojniaczek, dobrze zbudowany i wysportowany.

Dziewczyny powiedziały, że przychodzili do niego różni „przyjaciele”.

Tłumaczył, że ich trenuje.

– Złoty chłopiec – rzekł Milo. – Jaką przedstawił wersję?

– To, czego się spodziewałem, że nic nie rozumie i za jakiś czas wszystko się wyjaśni. Patrząc jednak wstecz, możliwe, że Gina dworowała sobie z niego.

– Kiedy to było?

– Na samym początku, ale do wczoraj nie zwracałem na to uwagi. Kiedy znalazłem się tu po raz pierwszy, zeszliśmy z Giną na dół w poszukiwaniu Melissy. Właśnie wtedy Ramp i Nyquist przyszli z kortu tenisowego.

Przypadkowe spotkanie. Potem Ramp poszedł wziąć prysznic, a Nyquist pozostał z nami bez wyraźnego powodu. Gina zapytała go, czy nie chciałby

czegoś do picia, a on odpowiedział jakoś zalotnie. Musiała to odczuć, ponieważ od razu go usadziła. Cała rozmowa nie trwała dłużej niż minutę.

Przypomniałem sobie o tym, kiedy dowiedziałem się o inklinacjach Nyquista.

– A może Don grał na dwa fronty? To się zdarza. – Milo uśmiechnął się.

Usiadłem w fotelu.

– Pieniądze, zazdrość i namiętność – rzekłem – wszystkie elementy klasycznych motywów zbrodni skupione w jednym człowieku. Pamiętasz, że według Melissy jej matka cenila u mężczyzn ciepło i tolerancję? Może Ramp spodobał się jej, bo był bardziej niż inni tolerancyjny w stosunku do jej fobii? A jeśli jednak Gina nie była tak tolerancyjna, jak jej mąż, i kiedy dowiedziała się, że Don ją zdradza, wpadła w szal?

– Gina nie musiała wiedzieć, co łączy Todda i Rampa. Sama myślała, że Don był homoseksualistą albo biseksualistą, mogła ugodzić ją w samo serce.

– Przeląła się czara goryczy i Gina zdecydowała się na ucieczkę.

– Ramp nie byłby z tego zadowolony.

– Oczywiście musiałby się pożegnać z pałacem, z domkiem na plaży z kortami tenisowymi. Pewnie przyzwyczaił się do tych zbytków. Jeżeli Gina zażądałaby rozwodu, straciłby nie tylko żonę i wygodne życie. Byłby skończony w San Labrador, skompromitowany.

– Zostalby wykopany z towarzystwa i musiałby zamknąć restaurację.

– Taki przebieg wydarzeń komplikuje jednak fakt, że nie zauważyłem żadnych przejawów wrogości pomiędzy Giną i Rampem. Melissa również, a możesz mi wierzyć, że doszukałaby się tego.

– Tak – westchnął Milo – oboje grali swoje role bez zarzutu. Jednak równie dobrze mogli ukrywać topory wojenne pod zasłoną gestów przyjaźni i szczyrych uczuć. Czyż nie tacy są typowi mieszkańcy San Labrador?

– Prawda, ale czego to dowodzi?

– Czego dowodzi? – odparł. – Jak myślisz, jak zareaguje Chickering czy jakikolwiek inny policjant, kiedy mu zaproponujesz, żeby wziął Rampa pod lupę z powodu jego życia erotycznego? Każdy cię wyśmieje, bo przynależność do mniejszości seksualnej nie może być podstawą do oskarżenia. Czemu jednak ja nie miałbym się zająć Donem i jego złotowłosym przyjacielem? Kto mi zabroni?

– Więc zapowiada się następny dzień spędzony na plaży?

– Właśnie. Przypomnij mi, żebym zabrał kąpielówki.

– Czy widziałeś po raz drugi McCloskeya?

– Tak. Dziś po południu. Kiedy się u niego zjawilem, smacznie spał.

Księżulek zakazał mi go budzić, ale wszedłem tylnymi drzwiami. Joel nie był zdziwiony moją wizytą. Przyjął mnie z uległością właściwą podstarzałym recydywistom.

– Coś nowego?

– Nie. Znowu zademonstrował łzawą wersję religijnego uniesienia.

Wypróbowałem wszystkich bardzo cwanych policyjnych sztuczek, ale nabrał wody w usta. Wiesz, on chyba faktycznie ma nie po kolei w głowie. –

Popukał się w czoło. – Kompletne kuku na muniu.

– Nie wyklucza to możliwości, że wynajął bandytę, który dopadł Ginę.

Milo nic nie odpowiedział. Wyglądał na pochłoniętego jakąś zupełnie

inną myślą.

– Nad czym tak dumasz?

– Zastanawiam się, czy Gina wiedziała o tajemnicy męża. Czy mówiła o tym ze swoimi terapeutami?

– Bardzo możliwe, ale nie sądzę, żeby udało się nam zmusić ich do zeznań. Niechybnie zasłonią się tajemnicą zawodową.

– Czy w stosunku do martwych pacjentów również obowiązuje rzeczona tajemnica?

– Biorąc pod uwagę zasady etyki, to tak. Nie znam prawnej strony zagadnienia. Jeśli chodziłoby o człowieka oskarżonego o jakąś poważną zbrodnię, to musieliby ujawnić to, co wiedzą. W innym razie będą siedzieć cicho i unikać jak ognia rozgłosu.

– Tak – odparł – przypadek pacjentki, która zapewne jest na dnie jeziora, nie jest najlepszą reklamą.

Pomyślałem o czarnej wodzie. Ponad trzydzieści metrów głębokości.

– Jeśli faktycznie jest tak głęboko, to jakie są szanse na wyłowienie ciała?

– Niewielkie. Jak powiedział pletwonurek, widoczność jest fatalna, a obszar poszukiwań ogromny. Poniżej czterdziestu metrów trzeba używać bardzo niewygodnego, ciężkiego sprzętu do nurkowania. Są nikłe szanse na powodzenie akcji. Tudzież nie wydaje mi się, żeby miejscowy szeryf był szczególnie zainteresowany intensyfikacją poszukiwań.

– To szeryf kierował akcją?

– Tak. Cbickering nie miał tam nic do gadania. I, wbrew pozorom, było mu to na rękę. W takich wypadkach zdrowy rozsądek nakazuje uzbroić się w

cierpliwość.

– Co to znaczy?

– Poczekać, aż sama wypłynie.

Przez myśl przemknął mi obraz wydzielającej gazy, opuchniętej, sinej, bezkształtnej masy, która kiedyś była ludzkim ciałem. Jak zareagowałaby na to Melissa? Zastanawiałem się, co jej powiem, kiedy się obudzi...

– Pozostawmy zdrowy rozsądek – rzekłem. – Czy według ciebie są jakieś szanse, że Gina się jednak uratowała?

Na jego twarzy odmalowało się szczere zdziwienie.

– Rezygnujesz z wersji zaplanowanego morderstwa?

– To tylko luźne spekulacje.

– Jeśli tak, to mogła pójść do drogi. Ktoś na pewno udzieliłby jej pomocy.

– Możliwe, że działała pod wpływem szoku. Pomyliła kierunki, straciła orientację, i zagubiła się w gąszczach lasu. Może doznała jakichś obrażeń, straciła przytomność.

– Nie znaleziono żadnych śladów krwi.

– Mógł to być krwotok wewnętrzny albo uraz czaszki.

– Załóżmy, że zablądziła. W takim razie, jeśli helikoptery nie odnajdą jej szybko, nie dawałbym jej dużych szans na przeżycie. Od wypadku minęło ponad pięćdziesiąt godzin i lepiej byłoby dla niej, gdyby się utopiła.

Wstał i zaczął spacerować po pokoju.

– Jednak istnieją co najmniej dwa scenariusze, których nie wzięliśmy pod uwagę. Po pierwsze, mogła dostać się do drogi i ktoś zaproponował, że ją podwiezie, a ten ktoś okazał się niebezpiecznym zbirem.

- Masz na myśli zmotoryzowanego psychopata?
- To jedynie teoretyczne rozważania. Pomyśl tylko, spotyka człowiek na pustkowiu ładną kobietę przemoczoną do suchej nitki. Przyznasz, że taki obraz mógłby niektórych podniecić. Nagle dobry samarytanin przemienia się w zabójcę.
- Nie. To byłoby straszne. Nikt nie zasługuje na tak okrutny los.
- A od kiedy ma znaczenie to, czy ktoś zasługuje na coś czy nie?
- A druga możliwość?
- Samobójstwo. To pomysł Gautiera, miejscowego szeryfa. Zaraz po tym, jak zabrałeś Melisę, Chickering zaczął opowiadać, że jesteś psychoterapeutą. Palnął mówkę na temat problemów psychicznych Giny i Melissy. Twierdził, że w San Labrador roi cię od zwariowanych osobników. Nasz komendant nie darzy zbytnim uczuciem tych, którzy mu płacą. Gautier wysłuchał tego i zapytał, czemu by nie brać pod uwagę samobójstwa. Zbiornik przy tamie jest znanym miejscem samobójców. Ciągle ktoś się tam topi. Chickeringowi bardzo przypadła do gustu taka wersja.
- A co na to Ramp?

– Rampa przy tym nie było. Chickering nie rozgadałby się tak swobodnie w jego obecności. Nie wiedział nawet, że ja wszystko słyszę.

– A gdzie był Ramp?

– Poczul się słabo, więc lekarze z ambulansu zrobili mu EKG.

– I jaki wynik?

– Nic poważnego. Kiedy odjeżdżałem, popijał herbatkę.

– Podejrzewasz, że udawał?

Wzruszył ramionami.

– Nic nie wskazuje na samobójstwo – rzekłem. – Pamiętam, jak z nią rozmawiałem, i nie zauważyłem żadnych symptomów depresji. Wręcz przeciwnie, tryskała energią i optymizmem. Miała za sobą dwadzieścia lat cierpień i odosobnienia. Chciała zmienić życie. Czemu miałyby się zabijać w chwili, kiedy odkryła cudowny smak wolności?

– Wolność może spowodować strach.

– Jeszcze parę dni temu twierdziłeś, że Gina wypuściła się do Las Vegas odurzona nieoczekiwanym uczuciem wolności i niezależności.

– Zaszły pewne zmiany – odparł. – Ty zawsze znajdziesz sposób, żeby utrudnić mi życie.

– Czyż istnieje lepsza recepta na umacnianie przyjaźni?

Rozdział dwudziesty piąty

Poszliśmy sprawdzić, jak się czuje Melissa. Wciąż spała na sofie.

Szczelnie otulona grubym kocem niby kokonem.

Madeleine siedziała koło jej nóg, tylko małą częścią ogromnych pośladków dotykając poduszek. Szydelkowała z zapamiętaniem. Kiedy

weszliśmy, podniosła wzrok.

– Czy się budziła?

– *Non, monsieur.*

– Czy pan Ramp wrócił?

– *Non, monsieur.* – Jej palce zastygły w bezruchu.

– Może powinniśmy ją przenieść na górę?

– *Qui, monsieur.*

Z wielką ostrożnością wziąłem Melisę na ręce i zanieśłem do jej pokoju.

Madeleine i Milo kroczyli tuż za mną. Służąca znalazła kontakt i rozbłysły

przytłumione światła. Następnie zaciągnęła zasłony. Przykryła śpiącą

dziewczynę kołdrą i usiadła na bujanym fotelu obok łóżka. Sięgnęła do

kieszeni spódnicy, wyjęła robótkę i oddała się szydelkowaniu. Poruszała

jedynie palcami, reszta jej ciała pozostawała nieruchoma.

Melissa przekręciła się na plecy. Usta miała półotwarte. Oddychała

rytmicznie pełną piersią.

Milo przez chwilę ją obserwował, a potem szepnął:

– Ja spadam.

Pamiętając o złych snach, które nawiedzały Melisę w przeszłości,

odparłem:

– Pobędę tu trochę.

Skinął głową.

– Ja również zostanę – rzekła Madeleine, nie odrywając oczu od

szydelka.

Pewnym ruchem wyciągnęła czerwoną nitkę z kłębka ukrytego w

kieszeni.

– Będę na dole. Proszę mnie zawołać, kiedy się obudzi.

– *Qui, monsieur.*

Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i pogrążyłem się w głębokich rozmyślaniach. Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po pierwszej.

Zapadłem w błogi sen. Kiedy otworzyłem oczy, czułem się ociężały i miałem przykry smak w ustach. Kolorowe cienie padały mi na ramiona, sprawiając wrażenie tatuażu.

Zły na siebie, podniosłem się z fotela i przeciągnąłem się. Coś strzeliło mi w kościach. Tatuaz zmieniał kształty jak w kalejdoskopie.

Świetlisty błękit, czerwień, szmaragd i amber splotły się w precudną mozaikę barw.

Światło dnia padało na szklany witraż, pod którym stał mój fotel.

Niedziela.

Poczułem się tak, jakbym zszargał świętość, zasypiając w czasie mszy w ławie kościelnej.

Siódma dwadzieścia.

W całym domu panowała niczym niezmacona cisza.

Poczułem w pokoju zatęchły zapach.

Przetarłem oczy, usiłując rozjaśnić myśli. Przyglądziłem pomięte ubranie i dotknąłem nieco nabrzmiałej twarzy.

W łazience dla gości, do której wchodziło się z holu, przemyłem policzki ciepłą wodą z mydłem. Poprawiłem włosy i udałem się na górę.

Melissa wciąż spała. Jej włosy pięknie ścieliły się na poduszce, zbyt

efektywnie na to, żeby same się tak ułożyły.

Scena niczym ze zdjęć pogrzebowych z czasów królowej Wiktorii. Dzieci jak aniołki w trumnach przybranych koronką.

Uśmiechnąłem, się.

Madeleine musiała pracować przez całą noc, ponieważ jej robótka miała teraz około półtora metra długości. Obok fotela na dywanie stały sztruksowe kapcie służącej i aparat telefoniczny, przeniesiony ze stolika nocnego.

– *Bonjour* – rzekłem na powitanie.

Podniosła zmęczone oczy i jeszcze szybciej zaczęła poruszać szydelkiem.

– *Bonjour monsieur* – odparła cicho.

– Czy pan Ramp wrócił do domu?

Zerknęła na Melissę i pokręciła przecząco głową. Poruszyła się przy tym tak, że fotel zaskrzypiał przeraźliwie.

Melissa podniosła powieki.

Madeleine rzuciła na mnie gniewne spojrzenie.

Zbliżyłem się do łóżka.

Służąca poczęła bujać się na fotelu, który rozskrzypiał się na dobre. Nie przerwała szydelkowania.

Melissa spojrzała na mnie.

Uśmiechnąłem się, chcąc ją uspokoić.

Poruszyła bezgłośnie wargami, jakby walcząc z jakąś myślą.

– Cześć – rzekłem.

– I... co... – Patrzyła na mnie rozbieganym wzrokiem. Nagły skurcz przerażenia przebiegł przez jej twarz. Spuściła głowę i przymknęła oczy.

Usiadłem przy niej i wziąłem za rękę. Była miękka i gorąca. Dotknąłem czoła. Było ciepło, ale nierozpalone. Madeleine kołysała się coraz szybciej.

Melissa zacisnęła palce na mojej ręce.

– Ja... co... z mamą?

– Wciąż jej szukają.

– Mamo! – wykrzyknęła, dławiąc się łzami i znów zamknęła oczy.

Madeleine podała jej chustkę i spojrzała na mnie z wyrzutem. Chwilę później Melissa znów spała.

Poczekalem, aż jej oddech zupełnie się uspokoił, porozmawiałem z

Madeleine i zszedłem na dół. Lupe i Rebecca odkurzały dywany w holu głównym. Kiedy je mijalem, odwróciły wzrok.

Wkroczyłem w ocean półcieni, które kładły drzewa okalające dom. Kiedy otworzyłem drzwi seville, ujrzałem białego saaba turbo, który podjeżdżał pod dom. Z auta wysiedli Gabneyowie.

Ursula miała na sobie dopasowaną stalowoniebieską, garsonkę, pod spodem biały golf. Makijaż o wiele uboższy od tego, jaki zaprezentowała w klinice. Brak pudru i pigmentów czynił ją młodszą, ale jednocześnie zdradzał zmęczenie. Włosy były ułożone, ale straciły poprzednią świetność. Jej mąż zmienił strój kowbojski na bawełnianą bluzę z kapturem, beżowe spodnie, zamszowe półbuty, białą koszulę i zielony krawat.

Wziął Ursulę pod ramię. Różnica ich wzrostu była komiczna, ale mój śmiech mógł zostać poczytany za śmiertelną obrazę. Szli do mnie z grobowymi minami niby kondukt żałobny.

– Właśnie otrzymaliśmy tę przerażającą wiadomość – przemówił Leo

Gabney. – Jesteśmy wstrząśnięci.

Otarł zroszone potem czoło. Jego żona zagryzła wargi.

– Jak się czuje Melissa? – spytała łagodnym głosem.

Zdziwiony pytaniem, odparłem:

– Śpi.

– Tak?

– Reakcja obronna.

– Nic dziwnego – rzeki Leo – klasyczny przykład radykalnego odgrozenia się od świata realnego. Mam nadzieję, że jest pan świadom niebezpieczeństw, jakie ten stan może przynieść?

– Jestem w pogotowiu, ale nie zaobserwowałem depresji.

– Czy dostała jakieś środki nasenne? – zapytała Ursula.

– Nie, o ile mi wiadomo.

– To dobrze – odparła – najważniejsze, żeby nie uspokajać jej w sztuczny sposób. – Znow zagryzła wargę. – Jestem wstrząśnięta, to takie... –

pokręciła głową i nerwowo spojrzała w niebo. – Brak mi słów...

– I cóż to da, jeśli się powie, że to potworne? – wtrącił Gabney. – Wobec owego makabrycznego wypadku pozostanie to tylko pustymi słowami. Jakże jest wielka nieadekwatność języka! – Poklepał żonę po ręce. Zerknęła na niego i zwróciła wzrok na brzoskwiniovą fasadę budynku.

– Potworne – powtórzył, jakby zagajając dyskusję na seminarium magisterskim. – Któż mógł to przewidzieć? – Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, ciągnął dalej: – Komendant Chickering uważa, że to samobójstwo, ale on się nie zna na psychologii. Kompletny nonsens. W jej

zachowaniu nie dostrzegłem najmniejszych symptomów załamania nerwowego ani depresji. Przeciwnie, była kobietą sprawną, silną i nadzwyczaj żywą, biorąc pod uwagę to, czego doświadczyła.

Zawiesił głos, chcąc jakby podkreślić wagę ostatniego zdania. Dał się słyszeć śpiew ptaka zwanego przedrzeźniaczem, który imitował głos sójki.

Gabney spojrział na żonę, lecz ona myślami była gdzie indziej.

– Czy w procesie terapeutycznym Gina wspomniała o czymś, co by tłumaczyło, dlaczego pojechała nad tamę? – zapytałem.

– Nie, kompletnie nic – odparł Gabney. – Jej samotna ucieczka sprawia wrażenie wielkiej improwizacji. Nie pasuje do wcześniejszego zachowania. Była niezwykle sumienną pacjentką, co do joty wypełniała wszystkie nasze zalecenia.

Ursula milczała. Nie zauważyłem, kiedy odsunęła się od męża.

– Czy była czymś ostatnio szczególnie zaniepokojona?

– Nie, absolutnie – odparł Gabney. – Pozbywała się stresu, robiła duże postępy.

Odwrócił się do Ursuli. Posłusznie skinęła głową i nie odrywając wzroku od fasady, rzekła:

– Nie. Niczego nie zauważyłam.

– A czemu pan o to pyta? Chyba nie bierze pan pod uwagę samobójstwa?

– Przysunął się w moją stronę. Tęczówka jego jednego oka miała jaśniejszy odcień. Wbił we mnie ostre spojrzenie.

– Nie, skądże. Staram się uzyskać pełny obraz sytuacji – odparłem.

Położył mi rękę na ramieniu.

– Rozumiem, ale pana pytanie mogło sugerować, że coś przeoczyliśmy. –

Westchnął ciężko i znów potarł czoło, chociaż było suche. – Któż wie lepiej od psychologów, że zachowanie ludzkie jest nieprzewidywalne. Jeśli ktoś tego nie chwyta, powinien raczej zająć się fizyką.

Ursula skinęła głową.

– Oczywiście, nie obwiniam jej. Była wspaniałym człowiekiem, ale życie przyniosło jej zbyt wiele cierpień. To jest jeden z tych nieszczęsnych, niezawinionych przez nikogo przypadków, kiedy w nasze losy wkracza ślepe przeznaczenie. – Wzdrygnął się. – Nauczyłem się w życiu jednego, akceptować świat taki, jakim jest, i przyjmować nawet największe, cierpienia.

Dotknął ramienia żony, która szybkim krokiem oddaliła się w stronę schodów, postukując obcasami pantofli na szpilek. Rozcięcie spódnicy odsłaniało długie, zgrabne nogi. Miała dużo seksapilu. Dotknęła rzeźb Chaucera na drzwiach frontowych, jakby drewno miało uzdrawiającą moc.

– Jest nazbyt uczuciowa – rzekł pośpiesznie Gabney.

– To nie żadna wada.

Uśmiechnął się szeroko.

– Proszę poczekać jeszcze parę lat, a zobaczy pan. – Po chwili dodał już innym tonem: – Więc zajmował się pan zdrowiem psychicznym tej rodziny?

– W przeszłości leczyłem Melisę.

– Tak. To bardzo delikatna istota. Proszę nie wahać się, jeśli będzie coś, w czym mógłbym pomóc.

– Chciałbym obejrzeć kartę z przebiegiem leczenia pani Ramp.

– Jej kartę? A to czemu?

– Jak powiedziałem, chciałbym mieć pełny obraz sytuacji.

Skrzywił się w uśmiechu.

– To nic panu nie da. W tej karcie nie ma żadnych... istotnych informacji.

Nie zapisujemy wszystkich myśli, każdego zdania, jakie wypowiadają nasi pacjenci. Nie przywiązujemy również większej wagi do notowania treści snów. Typowy lekarz lubi czuć się potrzebny, więc robi stosy zapisków, żeby nigdy do nich nie sięgać. A jeśli nawet, to okazuje się, że nie wnoszą one niczego nowego. W karcie zapisujemy jedynie ogólne symptomy i w zarysie cele terapii.

– A komentarze dotyczące terapii grupowych?

– Niestety, ich również nie zapisujemy. Owe spotkania nie są w ścisłym tego słowa terapią. Te same objawy występujące u dwóch pacjentów, mogą mieć zasadniczo odmienne przyczyny, więc nie możemy stosować tych samych technik terapeutycznych. Dzięki tym spotkaniom poznają się jednak ludzie o różnym stopniu zaawansowania choroby i o różnych stanach emocjonalnych. Nie chodzi o zawiązywanie przyjaźni, ale o zwykłą wymianę doświadczeń.

– Na pewien sposób uspołecznia pan swoich pacjentów?

– Otóż to. Tworzymy rodzaj forum, agory, gdzie prowadzi się niezobowiązujące dyskusje.

Pamiętając o tym, że Gina na jednym z takich spotkań miała omówić sprawę wyjazdu Melissy, zapytałem:

– Czy pacjenci rozmawiają również o swoich problemach?

– Wolę określać to jako zachęcanie ich do samodzielnego, pozytywnego działania.

– Mam nadzieję, że przypadkiem nie ośmielił pan Giny do ucieczki z domu.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę gumy do żucia. Zdjął papierek z dwóch plasterków i wsunął je do ust.

– Chętnie zrobię panu kopię tej karty – odparł.

– Będę zobowiązany.

– Gdzie mam ją przesłać?

– Pańska małżonka zna mój adres.

– Ach tak. – Spojrzał przelotnie na Ursulę, która odeszła od drzwi wolnym krokiem i schodziła ze schodów. – Więc Melissa śpi? – zapyta k.

Skinąłem głową.

– A mąż Giny?

– Jeszcze się nie pojawił. Co pan o nim myśli?

Wystawił twarz na słońce i jego siwe włosy poszarzały.

– To miły człowiek. Raczej spokojny. Pobrali się niedawno.

– Czy brał czynny udział w leczeniu?

– W pewnym sensie. W każdym bądź razie nie przeszkadzał.

Przepraszam na chwilę.

Odwrócił się, szybkim krokiem podszedł do schodów i wziął Ursulę za rękę. Próbował objąć jej ramiona, na co jednak nie pozwolił mu niski wzrost. Chwycił więc ją w tali i poprowadził do saaba. Pomógł jej wsiąść.

Następnie zbliżył się do mnie i podał rękę na pożegnanie.

– Przyjechaliśmy, żeby pomóc – rzekł – a okazało się, że to my potrzebujemy pomocy. Proszę dobrze opiekować się tym dzieckiem.

Wskazówki Madeleine były precyzyjne. Lokal „Pod Pucharem i Szpadą” odnalazłem bez trudu.

Południowo-zachodnie przedłużenie Cathcart Boulevard, tuż poza granicami miasta. Rozciągał się tam labirynt ekskluzywnych sklepów i punktów usługowych. Rzędy drzewek pistacjowych ciągnęły się aż do granicy z Pasadena, gdzie ich miejsce zajęły kwitnące jacarandy.

Skoro tylko zaparkowałem, rzuciło mi się w oczy coś, czego nie widywałem w San Labrador: Murzyni spacerujący po ulicach. Były tu dwa sklepy monopolowe, jeden z nich nazywał się „Alkohole Świata”, a drugi po prostu „Sklep z Winami”. W oknach wisiały informacje o zniżkach na niektóre francuskie i kalifornijskie.

„Pod Pucharem i Szpadą” znajdowało się w skromnym jednopiętrowym budynku z wielkim parkingiem.. Ściany pokryte były białym, chropowatym tynkiem, spod którego wylaniały się poprzeczne belki. Duże okna i prawie płaski dach. Parking odgradzony był od ulicy stalowym łańcuchem. Stał tam mercedes i dwa inne wozy: brązowy, dwudziestoletni chevrolet monte z białym nadwoziem i czerwona toyota celica.

Dębowe drzwi miały szybki z grubego, kolorowego szkła. Na klamce wisiała tekturowa tabliczka W NIEDZIELE NIECZYNNE. PRZEPRASZAMY.

Zapukałem. Bez rezultatu. Zacząłem stukać, aż poobijałem sobie kostki dłoni.

W końcu drzwi się otworzyły i ujrzałem w nich kobietę z kluczami, po

czterdziestce, dość wysoką, z okazałej wielkości biodrami i piersiami. Miała na sobie sukienkę z krótkimi rękawami, które odkrywały ręce pokryte piegami. Górna część sukni ozdobiona była jaskrawym wzorem. Bujne, platynowe włosy, upięte z tyłu, przewiązane miała ciemnoczerwoną wstążką. Na jej szyi wisiała kamea na czarnej aksamitce.

Wzór dawnej służącej.

Miała regularne rysy twarzy: wystające kości policzkowe, wydatny podbródek, pełne pąsowe usta, mały nos, duże piwne oczy i długie ciemne rzęsy. Kolczyki w kształcie ogromnych kół.

Jej niezwykłą urodę psuły oznaki wieku: zmarszczki i nieznaczne zwiótczenie skóry na policzkach i szyi.

Spojrzała na mnie z taką niechęcią, jakbym był bezczelnym poborcą podatkowym.

– Chciałbym mówić z panem Rampem.

Wskazała na napis na drzwiach. Paznokcie miała polakierowane na karmazynowo.

– Nie umie pan czytać?

– Jestem doktor Delaware, lekarz Melissy.

– Ach tak... Proszę poczekać.

Drzwi zamknęły się i otworzyły po chwili.

– Proszę mi wybaczyć... Powinien był pan... Jestem Bethel. – Podala mi rękę. Zanim ją uścisnąłem, dodała: – Matka Noela.

– Dzień dobry, pani Drucker. Miło mi panią poznać. Wyraz jej twarzy zdradził, że nie często była tytułowana panią.

– Proszę wejść – rzekła.

Zatrzasnęła za mną drzwi.

Światła restauracji były pogaszone, a okna zasłonięte. Minęło parę sekund, zanim oczy przywykły do półmroku. Znaleźliśmy się w długim pomieszczeniu z kabinami obitymi imitacją czerwonej skóry, z dywanami w kolorze miodu. Stoły pokryte były białymi, płóciennymi obrusami. Pod samym sufitem ciągnęły się sosnowe półki z kolekcją kubków, pucharów, i nowych talerzy i spodków. Były ich setki. Na podwyższeniu po prawej stronie stała kompletna zbroja średniowiecznego rycerza w doskonałym stanie. Ściany obwieszane były maczugami, pałaszami i różnymi trofeami myśliwskimi.

Otwarte drzwi prowadziły do jasno oświetlonej kuchni. Na prawo znajdował się dębowy bar z alkoholami i paroma dystrybutorami piwa.

Za barem siedział pochylony Ramp. Obok niego stała szklanka i napoczęta butelka „Wild Turkey”.

W kuchni zabrzęczały talerze, a potem zaległa nieprzyjemna cisza. Bez ludzi i gwaru ożywionych rozmów w restauracji panował przygnębiający nastrój.

Zbliżyłem się do baru. Bethel Drucker spytała:

– Czy coś panu podać?

– Nie, dziękuję – odparł Ramp.

W szklance miał burbona z lodem. Pachniało proszkiem do czyszczenia i alkoholem.

– Może trochę wody? – zapytała.

– Proszę – odrzekł. Dopiero teraz podniósł wzrok i spostrzegł moją obecność. Nie poruszył się.

Bethel weszła za bar i napełniła szklankę wodą „Evian” z plastikowej butelki.

– Dziękuję.

Bethel zniknęła w kuchni.

Kiedy zostaliśmy sami, odezwał się:

– Znalazł mnie pan bez trudu, prawda?

Mówił tak cicho, że musiałem podejść bliżej. Zająłem wysokie krzesło obok niego. Nie poruszył się.

– Zastanawiałem się, czemu nie przyszedł pan do domu.

– Już nie mam domu.

Milczałem.

– Jestem gościem, nieproszonym gościem. Co za cholerny świat... Jak tam Melissa?

– Śpi.

– Jak zwykle, kiedy jest zdenerwowana. Zawsze zasypiała, kiedy chciałem z nią pomówić. – W jego głosie nie wyczułem żalu, ale pokorną rezygnację. – Wiem, że nie miała łatwego życia. Wiem... ale gdyby dała mi jedną jedyną szansę...

Zamilkł i dotknął szklanki, lecz nie podniósł jej.

– Teraz już koniec z tym...

– Jak to?

– Nigdy mnie nie zaakceptowała. Kiedyś wypożyczyła film wideo

podtytułem Ojczym. Oglądała go w kółko. Przysiadłem się do niej, zrobiłem dwie porcje popcornu, chciałem porozmawiać, ale ona zasnęła. – Pochylił się jeszcze bardziej. – Chcę opuścić to miejsce.

– San Labrador?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy powziął pan tę decyzję?

– Dziesięć minut temu. A może myślałem o tym od samego początku? Nie wiem. Co za różnica?

Przez chwilę obaj milczeliśmy. Ściana z tyłu baru pokryta była lustrem, w którym niewyraźnie odbijały się nasze twarze.

– Nie mogę zrozumieć, czemu to zrobiła – rzekł. – Czemu pojechała tam, zamiast do kliniki? Nigdy nie zmieniała przyzwyczajień.

– Nigdy?

Odwrócił do mnie twarz. Był nieogolony, miał podpuchnięte oczy.

Rozbity, stary człowiek. Lustro było dla niego zbyt łaskawe.

– Kiedyś mi wyznała, że jako dziecko miała same piątki. Nie dlatego, żeby lubiła się uczyć. Bała się nauczycieli. Zawsze napięta, zawsze w pogotowiu.

Zastanawiałem się, kim był naprawdę.

– Cbickering jest przekonany, że to było samobójstwo – rzekłem.

– Cbickering to idiota. Przymyka oczy na różne wykroczenia i dostaje za to duże pieniądze. – Potrząsnął głową i spojrział w lustro. – Kiedy jakiś zamożny mieszkaniec Labradoru przychodzi do restauracji i zalewa się do nieprzytomności, Noel nie wydaje kluczyków do samochodu, bo nietrzeźwy nie powinien siadać za kierownicą. Wtedy robi się wielka awantura.

Dzwonię do Chickeringa, a on wysyła jeden ze swoich radiowozów i eskortuje pijanego do domu. Nikogo to nie dziwi. Nikt nie składa skarg, że po ulicach krążą zaprawieni kierowcy. Policja podwozi niektóre starsze damy do sklepu po zakupy albo sprowadza do domu naćpane dzieciaki.

– A jeżeli jest to ktoś z zewnątrz?

– Takich wtrąca się do aresztu – rzekł, uśmiechając się cierpko. –

Jednakże w okolicy nie notuje się wielu przestępstw. Nie mamy żadnej lokalnej gazety, więc nikt nie wie o niczym. Kiedyś żałowałem, tego, bo nie mam gdzie się ogłaszać. Teraz jednak myślę, że dobrze jest, jak jest.

Zakrył twarz obiema dłońmi.

Bethel wyszła z kuchni, niosąc talerz ze stekiem, i sadzonymi jajkami.

Postawiła go przed Rampem i oddaliła się pośpiesznie.

– A jak się panu spodobała plaża? – Kiedy nic nie odrzekłem, ciągnął: –

Przecież mówiłem, że tam jej nie będzie. Czemu mi pan nie uwierzył?

– Detektyw Sturgis prosił, żebym sprawdził to osobiście.

– Ach, Sturgis. Pamiętam. Nie przypadliśmy sobie do gustu. Pan zawsze robi to, o co on poprosi?

– Nie narzekam.

– Nie mówię, że to ciężka praca. Przejazdźka na plażę, piękne słoneczko, a wszystko po to, żeby przeświecić własnego klienta.

– To piękne miejsce – odparłem. – Często pan tam bywa?

Zacisnął zęby i wziął do ręki szklanę.

– Kiedyś tak. Parę razy w miesiącu, ale nigdy nie potrafiłem namówić

Giny. – Wbił we mnie świdrujący wzrok.

Odpowiedziałem tym samym.

W końcu podniósł szklankę. Pił drobnymi haustami.

– A więc ostatnio nie zaglądał pan do Malibu? – spytałem.

– Nie zaglądałem – odparł. – Z początku sądziłem, że Gina się zgubiła i wróci po paru godzinach. Kiedy jednak nie pojawiła się do wieczora tamtego dnia, doszedłem do wniosku, że uciekła świadomie, chcąc się wyrwać na wolność. A dziś okazało się, że to przeklęty wypadek. Boże... powinienem był wiedzieć, że to nie przeze mnie. Żyło się nam wspaniale, pomimo... to było takie... jak...

Jęknął, znowu popił i spojrział w lustro.

– Po co pan tu przyjechał? Zobaczyć, jak wygląda zalamany, stary człowiek?

– Nie. Muszę mieć pełny obraz sytuacji, żeby pomóc Melissie.

– Czy to wiąże się w jakąś sensowną całość?

– Na tym etapie nie.

– Też jesteś?

– Proszę?

– Homo. Gejem.. Mniejsza o nazwę. Jak Sturgis. Jak ja i jak...

– Nie.

– Tym lepiej... Biedna Melissa. Jakim była dzieckiem?

Opowiedziałem mu, podkreślając pozytywne cechy charakteru i bacząc, by nie zdradzić tajemnicy zawodowej.

– Tak – rzekł. – Tak też myślałem. Tak bardzo chciałbym... A niech to wszyscy diabli.

Nagle zerwał się z miejsca, podbiegł do drzwi i zawołał:

– Noel!

Noel wyszedł z kuchni. Miał na sobie czerwoną marynarkę, koszulkę z krótkim rękawem i džinsy. W ręku trzymał talerz.

– Możesz iść – rzekł Ramp. – Ona teraz śpi. Jeśli chcesz, poczekaj, aż się obudzi. Przedtem jednak spakuj moje walizki. I przywieź wszystkie moje rzeczy do restauracji. Będę tu czekał.

– Dobrze, proszę pana – odparł Noel.

Wyglądał na zbitego z tropu.

– Dobrze, proszę pana – powtórzył Ramp, spoglądając na mnie. – Słyszał pan? Oto szacunek należny staremu człowiekowi. Zobacz pan, ten chłopak daleko zajdzie. – I dodał, odwracając się do Noela: – Powiedz mamie, że również jest wolna. Nie jestem głodny. Pójdę się zdrzemnąć.

Chłopiec wrócił do kuchni. Ramp odprowadził go wzrokiem.

– Wszystko się zmieni – wyszeptał. – Wszystko...

Rozdział dwudziesty szósty

Miałem już ruszać, kiedy Noel wyszedł właśnie z restauracji. Spostrzegł mnie i podbiegł do seville. Zamiast czerwonej marynarki miał koszulkę z krótkimi rękawkami, z napisem GREENPEACE, i mały plecaczek.

– Przepraszam pana – zawołał.

Opuściłem okno od strony pasażera.

– Przepraszam pana – powtórzył.

– O co chodzi, Noelu?

– Jak się czuje Melissa?

– Do tej pory spała. Chyba jeszcze nie doszło do niej to, co się stało.

– Ona jest taka... – zmarszczył czoło. – Trudno to wyrazić.

Uchyliłem drzwi.

– Wsiadaj.

Po chwili wahania zdjął plecak, rzucił go na podłogę auta i wskoczył do środka. Następnie podniósł plecak i położył go na kolanach.

– Ładny wóz – rzekł. – Siedemdziesiąty ósmy rok?

– Dziewiąty.

– Nowsze modele są bez porównania brzydsze. Za dużo plastiku.

– Racja – odparłem, wiedząc, że nie wsiadł, żeby rozmawiać o markach samochodów.

Począł bawić się paskami plecaka.

– Chciałeś powiedzieć coś o Melissie i nie potrafiłeś tego wyrazić.

Zmarszczył brwi.

– Ona jest niezwykła, całkiem wyjątkowa. Wystarczy na nią popatrzeć i porównać z innymi. Ładne dziewczyny z San Labrador są strasznie pewne siebie, zarozumiałe, myślą, że cały świat mają u stóp, że wystarczy skinąć paluszką, a każdy padnie przed nimi plackiem.

– Dziewczyny z San Labrador?

Skinął głową.

– W każdym razie takie jest moje odczucie. Może tak jest w całej

Kalifornii, a nawet na całym świecie. Mało podróżowałem, więc nie wiem.

To jeden z powodów, dlaczego chciałem się stąd wyrwać, zmienić

środowisko. Mam dosyć głupich dyskotek, prywatek i przyjęć urodzinowych.

– Wybrałeś Harvard?

– Składałem papiery do różnych szkół i nigdy nie sądziłem, że dostanę się właśnie na Harvard. Kiedy jednak mnie przyjęli, powstał problem pieniędzy. Na pierwszy rok wystarczyło, teraz wziąłem urlop dziekański, żeby zarobić na następne lata.

– I jak ci idzie?

– Nie najgorzej. Tylko że – mocno ścisnął paski – nie wiem, czy powinienem w ogóle wyjeżdżać.

– Dlaczego?

– Jak mógłbym wyjechać, kiedy spadł na nią taki cios? Ona jest taka... wrażliwa. Odczuwa wszystko z o wiele większą intensywnością niż inni ludzie. Jest jedyną poważną dziewczyną, jaką spotkałem.. Po raz pierwszy mogę rozmawiać z kimś bez oporów na każdy temat.

W jego oczach odmalował się szczery ból.

– Przepraszam – rzekł, sięgając do klamki. – Przepraszam, że zanudzam pana własnymi problemami. Mówiąc szczerze, kiedy z panem rozmawiam, czuję się jakoś niezręcznie.

– Czemuż to?

Rozmasował nerwowo szyję.

– Kiedy Melissa dzwoniła do pana, żeby się umówić, byłem z nią w jej pokoju.

Wróciłem pamięcią do owego telefonu. Melissa parę razy przerywała ze słowami: „Och, kochanie, nie teraz...” i odkładała słuchawkę.

– Byłem przeciwny temu – ciągnął – żeby się w ogóle z panem spotkała.

Powiedziałem, że już nie potrzebuje... że sama sobie poradzi. Że ja mogę jej pomóc. Ona jednak odrzekła, że pan był wspaniały i że bym pilnował własnego nosa. A teraz sam rozmawiam z panem.

– Nie przejmuj się. Lepiej powróćmy do tematu. Melissa jest wyjątkową osobą. Zgadza się. Ponadto obawiasz się, że nie jesteś blisko niej, kiedy cię potrzebuje.

Skinął głową.

– Kiedy wybierasz się do Bostonu?

– Na początku sierpnia. Szkoła zaczyna się we wrześniu, ale trzeba jechać trochę wcześniej.

– Co studiujesz?

– Stosunki międzynarodowe.

– Zamierzasz pracować w dyplomacji?

– Nie. Myślę raczej o posadzie w administracji federalnej, na przykład w Urzędzie Ministrów albo w Ministerstwie Obrony Narodowej, a może jako ekspert w Kongresie. Nie chciałbym mieć stanowiska politycznego.

Wolałbym pracę na zapleczu jako fachowiec. Zresztą nie mam szans w dyplomacji.

– Dlaczego?

– W tej dziedzinie ważniejsze jest pochodzenie, nazwisko, koligacje rodzinne niż zdolności i kompetencja. To jest rodzaj ekskluzywnego klubu, do którego nie każdy ma wstęp. Ja mam tylko mamę.

Stwierdzał fakty, w jego słowach nie wyczułem odrobiny żalu.

– Kiedyś zależało mi na pieniądzach. Myślałem sobie, że dobrze by było

zdobyc majątek i mieć znane nazwisko. Teraz jednak zmienilem zdanie. Nie potrzebuję wiele. Mam dużo szacunku dla Melissy, że również prowadzi bardzo skromne życie. Jest zupełnie inna w porównaniu z jej rówieśnikami z tak zwanych dobrych rodzin. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, była w restauracji z przyjaciółmi. Pomagałem trochę matce w obsłudze. Jej znajomi zachowywali się tak, jakbym nie istniał. A Melissa mówiła: „dziękuję, proszę”. Potem, kiedy wszyscy poszli, zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziała, że widziała mnie na zawodach sportowych w Pasadenie. Będąc w liceum, uprawiałem wyczynowo lekkoatletykę, ale zrezygnowałem, kiedy spostrzegłem, że dzieje się to kosztem nauki.

Rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele i poczuliśmy, że nawiązała się pomiędzy nami nic porozumienia. Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa.

– Czy jej mama...

– Nie – odparłem. – Nie ma pewności, ale sytuacja nie jest dobra.

– To jest... okropne. – Potrząsnął głową. – Jakże musi być jej ciężko.

– Czy dobrze znałeś panią Ramp?

– Nie bardzo. Co parę tygodni czyściłem jej samochody. Kiedyś przyszła zobaczyć, jak mi idzie. Prawdę mówiąc, nie darzyła tych aut szczególnym sentymentem. Kiedyś zauważyłem, że ma fantastyczną kolekcję samochodów,

a ona odrzekła, że dla niej to tylko stos gumy i blachy. Dodała natychmiast, że nie chciała mnie urazić i że docenia mój wysiłek. Była bardzo elegancka, może jakby... wyobcowana. Styl jej życia... Dla mnie to było bardzo dziwne i niezrozumiałe, ale Melissa... Myślę, że powinienem okazać więcej zrozumienia. Teraz Melissa pewnie ma mi za złe, że tak surowo oceniałem jej matkę.

– Melissa darzy cię ogromną przyjaźnią.

– Nigdy bym sobie tego nie wybaczył, gdyby... – Zacisnął palce na plecaku.

– Masz tam książki? – spytałem.

– Podręczniki, z których będę się uczył w tym roku. Wiem, że sprawiam wrażenie kujona, ale nie jestem tak zdolny, jak moi rówieśnicy.

– Nie. Wcale nie uważam cię za kujona. Jasno oceniasz własne możliwości, a to się liczy.

– Muszę się dobrze uczyć.

– Dlaczego?

– Żeby nie zawieść oczekiwań mojej mamy i Dona, to znaczy pana Rampa. W ciągu ostatnich dwóch lat bardzo mnie wspomógł finansowo. Zapewnił mi rodzaj prywatnego stypendium.

– Widzę, że dba o ciebie.

– Tak. Ogromnie nam pomógł. Dał pracę mamie, kiedy byliśmy w bardzo ciężkiej sytuacji. Dał nam mieszkanie – mieszkamy nad restauracją.

Oczywiście nie za darmo. Zarabiamy na sobie. Matka jest najlepszą kelnerką w Pasadenie. Kiedy Don jest nieobecny, ona go zastępuje.

Właściwie prowadzi interes. Don jest bardzo hojnym człowiekiem. Kupił mi celicę i załatwił pracę blisko Melissy.

– Wydaje mi się, że Melissa nie podziela twojej opinii o nim.

Przesunął się w stronę drzwi, jakby chciał już wysiąść. Spojrzał na mnie zrezygnowany.

– Był czas, że go lubiła, ale ich stosunki pogorszyły się, kiedy związał się z jej matką. Próbowałem bezskutecznie wytłumaczyć Melissie, że jest tym samym człowiekiem, ale...

Uśmiechnął się niepewnie.

– Ale co?

– Niech to pozostanie między nami. Ona zawsze musi mieć własne zdanie, nie cierpi, kiedy ktoś stara się ją do czegoś przekonać. Nie chodzi o to, że została rozpieszczona. Nie. Pieniądze, uroda i powodzenie wśród przyjaciół nie zdemoralizowały jej. Ona zdaje sobie sprawę, że może się mylić, że są od niej mądrzejsi i inteligentniejsi. Jest w niej bardzo dużo krytycyzmu i lubi się trzymać własnych zasad.

– Powodzenie wśród przyjaciół?

– Pewnie. Jest bardzo lubiana w towarzystwie, chociaż znajomych trzyma na dystans. Mogłaby wstąpić do najlepszych klubów, gdyby tylko chciała. Ona jednak myśli o czymś innym.

– O czym na przykład?

– Przede wszystkim o studiach.

– O czym jeszcze?

Zawahał się.

– O swojej mamie. Czasem myślę, że bycie córką jest dla niej najważniejszym zajęciem. Kiedyś mi powiedziała, że czuje się zobowiązana do opieki nad nią. Chciałem ją przekonać, że nie powinna tak się w to angażować, ale na próżno. To jest bardzo drażliwy temat, a ja nie chcę się z nią kłócić.

Wyskoczył z samochodu, zanim zdołałem zareagować. Patrzyłem, jak wsiada do toyoty i odjeżdża.

Prowadził, trzymając obie ręce na kierownicy.

„Zobaczy pan, ten chłopak daleko zajdzie.” Uprzejmy, zgodny, pracowity, bardzo otwarty.

Na swój sposób męski odpowiednik Melissy – niby brat bliźniak. Coś ich przyciągało do siebie.

Czy ona odwzajemnia jego uczucia?

W każdym razie to dobry chłopak.

A może zbyt dobry, żeby w to naprawdę uwierzyć?

Rozmowa z nim obudziła we mnie instynkt terapeuty. W chłopcu tym było coś, co mnie zaniepokoiło.

A może zająłem się takimi bezpodstawnymi przypuszczeniami, żeby uciec od realnego świata, żeby nie widzieć bolesnych faktów?

Błękitne niebo i czarne odmęty.

Coś białego, co unosi się na wodzie...

Zapuściłem silnik seville i ruszyłem w drogę powrotną.

Melissa obudziła się, lecz pozostała milcząca. Leżała na plecach. Głowę opierała na trzech poduszkach, włosy miała splecione w gruby warkocz.

Przekrwione oczy. Noel siedział obok w bujanym fotelu, trzymając ją za rękę.

Do pokoju weszła Madeleine w czarnej sukni. Poruszała się dostojnie niczym galera, która przybija co chwila do jakiejś przystani. Wycierała kurze, otwierała i zamykała szuflady. Na nocnym stoliku stał rodzaj pucharu wykonanego z dębu i metalu. Opuszczono zasłony, by nie przedostawały się tu oślepiające promienie słoneczne.

Melissa powitała mnie powściągliwym uśmiechem. Uścisnąłem jej rękę i spytałem, czy mógłbym coś dla niej uczynić.

Przecząco pokręciła głową. Madeleine, wciąż uwijając się ze ściereczką i miotelką, rzekła:

– Czy mam zejść na dół, *ma petite choute*, przynieść lunch?

Melisa pokręciła głową.

Madeleine wzięła puchar i zwróciła się do mnie:

– Coś do jedzenia dla pana, *monsieur docteur*?

Zwrot „*monsieur docteur*” oznaczał zapewne, że moje akcje poszły u niej w górę. Ciekawe dlaczego? Warte odnotowania.

Nie jadłem od rana, ale nawet gdybym nie był głodny, to nie mogłem zawieść oczekiwania tej damy.

– Bardzo dziękuję – odparłem. – Prosiłbym o coś lekko strawnego.

– Stek? – zapytała. – Czy kotlety cielęce?

– Poproszę cielęcinę.

Skinęła głową, wsunęła ściereczkę do kieszeni i wyszła.

Pozostając w towarzystwie Melissy i Noela, poczułem się jak

niepotrzebny stary kawaler. Tak dobrze czuli się we własnym towarzystwie, że trzecia osoba to już dla nich tłum krępujących gapiów.

Wyszedłem na korytarz i cicho zamknąłem drzwi. Skierowałem kroki ku tylnej części domu. Natrafiłem na kręcone schody, którymi zbiegła Gina, szukając Melissy po niefortunnej rozmowie na temat Harvardu.

Wszedłem na górę. Znalazłem się w pustym przedpokoju naprzeciw dwuskrzydłowych drzwi z drzewa cedrowego.

W zamku tkwił wielki, stylowy klucz. Przekręciłem go i wkroczyłem w ciemność. Szukając po omacku, natrafiłem na kontakt i zapaliłem światło. Znalazłem się w przeogromnym pomieszczeniu, które sprawiało wrażenie strychu. Miało około trzydziestu metrów długości i piętnaście metrów szerokości. Ściany wyłożone były boazerią, a na podłodze leżała zakurzona klepka sosnowa. Wzdłuż sufitu biegły drewniane belki z doczepionymi do nich żarówkami. W obu końcach sali znajdowały się mansardowe okna przysłonięte ceratą.

Prawa część strychu była zapełniona meblami, stojącymi lampami, kufkami i skórzanymi walizkami, które przywodziły na myśl czasy podróży koleją żelazną. Były tam kolekcje rzeźb w drzewie, brązie i kamieniu, zbiory ozdobnych kałamarzy, staromodnych zegarów z kukułką i kurantami, menażeria wypchanych zwierząt, figurki z kości słoniowej i inkrustowane drogocennymi kamieniami szkatułki. Rozmaitość rogów jelenich, niektóre z nich umocowane do drewnianych tabliczek, a niektóre pozwiązane rzemieniami. Rulony zwiniętych dywanów, skóry, zbiór szkła, które mogło pochodzić od Tiffany'ego. Stojący niedźwiedź polarny o szklanych ślepiach, z

otwartą paszczą, jedną łapę wznosił wysoko, a w drugiej trzymał wypchanego lososia.

Po lewej stronie do ściany przymocowane były dwa rzędy długich kieszeni. W tych kieszeniach-półkach znajdowały się obrazy, niektóre płótna były nieoprawione, a niektóre w bogatych ramach. Po środku stały sztalugi i płaska teczka na szkice. Na sztalugach ustawione było zagruntowane płótno, na którym widać było niewyraźny rysunek ołówkiem.

Obok teczki na szkice stała malowana, sosnowa skrzynia. Podważyłem zardzewiały skobel i podniosłem wieko. Wewnątrz znajdowało się kilkanaście pędzli z sobolowego włosia, pobrudzonych farbą i stwardniałych, co czyniło je bezużytecznymi, pokryta rdzą szpachelka do mieszania farby, tubki z zeschniętymi na kość farbami olejnymi. Na dnie skrzyni było parę kawałków papieru. Sięgnąłem po nie. Całe strony wyrwane z czasopism: „Life”, „National Geographic”, „American Heritage” z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Przede wszystkim krajobrazy. Zapewne miały pobudzać wyobraźnię, być inspiracją. Pomiędzy nimi była fotografia z napisem pięknym wykaligrafowanym czarnym atramentem: „5 marca 1971. Renowacja?”.

Zdjęcie kolorowe na dobrej jakości papierze.

Dwoje ludzi – mężczyzna i kobieta – stojący na tle drewnianych drzwi.

Drzwi z rzeźbami Chaucera.

Kobieta miała wzrost i kształty Giny Dickinson. Figura modelki, gdyby nie wydatny brzuch. Ubrana była w białą jedwabną suknię i białe buciki. Na głowie miała słomiany kapelusz o szerokim rondzie. Blond włosy sięgały

ramion. Twarz była dokładnie obandażowana. Pozostawiono tylko miejsce na oczy.

W jednej ręce trzymała bukiet ciemnoczerwonych róż. Druga spoczywała na ramieniu mężczyzny.

Malutkiego mężczyzny. Nie sięgał nawet do ramienia Giny. Miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Był po sześćdziesiątce. Wątlej budowy ciała. Głowa zbyt duża w stosunku do reszty ciała. Ramiona nadzwyczaj długie, krótkie nogi. Wydatne rysy twarzy i kędzierzawe siwe włosy.

Miał na sobie trzyczęściowy garnitur, zapewne szyty na miarę, ale nawet najlepszy krawiec nie mógł ukryć przyrodzonych braków urody tego malarza i architekta.

Przypomniałem sobie, co mówił o nim Anger, jego bankier: człowiek ten pozwalał sobie na jedną jedyną ekstrawagancję – na kolekcjonowanie dzieł sztuki.

Żadnych fotografii w całym domu...

Esteta...

Przyjął sztuczną pozę, jedną rękę włożył w kieszeń marynarki, a drugą obejmował żonę, zerkając gdzieś w bok. Pewnie zdawał sobie sprawę, że oko aparatu fotograficznego nawet w tak szczęśliwym dniu okaże się dla niego bezlitosne. Jednak wyjątkowa uroczystość wymagała uwiecznienia.

Przechowywał to zdjęcie na samym dnie skrzyni.

Czy było inspiracją, podobnie jak kartki z magazynów?

Przyjrzałem się płótnu rozpiętemu na sztalugach. Były tam naszkicowane dwie twarze. Twarze na tym samym poziomie. Policzek przy policzku.

Sztuka jako rekompensata okrutnej rzeczywistości.

Piąty marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku.

Melissa urodziła się w czerwcu tamtego roku. Ten fakt o wiele tygodni przesunął odsłonięcie największego dzieła Artura Dickinsona.

Coś jednak oprócz tego uderzyło mnie w tym zdjęciu: stary, karłowaty, brzydki mężczyzna. Wysoka, o wiele młodsza, piękna kobieta. Teza i antyteza.

Małżeństwo Gabneyów. Sposób, w jaki Leo usiłował objąć żonę.

Różnica wzrostu nie była tak znacząca jak w przypadku Dickinsona, ale mimo woli nasuwała się pewna analogia.

Może dlatego, że ujrzałem Gabneyów w podobnej sytuacji.

Może nie byłem jedynym, który dostrzegł to podobieństwo.

Nastąpiła identyfikacja terapeuty i pacjenta.

Symetryczne upodobania w męskich typach.

Bliźniaczy styl dekoracji wnętrz.

Kto służył za wzór komu?

Przypomniałem sobie atmosferę gabinetu Ursuli.

Podszedłem do kieszeni z obrazami. Każda była oznaczona: nazwisko artysty, tytuł dzieła, krótki opis, rok wykonania i data zakupu.

Setki przegród, ale Artur Dickinson służył z pedantyczności i kolekcja była ułożona według alfabetu.

Cassat znalazła się pomiędzy Casale i Corot.

W sumie osiem kieszeni.

Dwie z nich puste.

Odczytałem etykiety:

„Cassat M. Pocałunek matki. Papier. 1891. Akwatinta, rylec, miękki podkład. Katalog Breeskina pozycja 149, wymiary 45 na 25 cm.”

„Cassat M. Matczyna pieszczota. Papier. 1891. Akwatinta, rylec, miękki podkład. Katalog Breeskina pozycja 150, wymiary 52 na 30 cm.”

Sześć pozostałych obrazów była oprawiona w ramy. Wyjąłem je ostrożnie. Wszystkie czarno-białe, brak tematu matki z dzieckiem.

Dwie najlepsze grafiki zniknęły.

Jedna trafiła do szarej komnaty pacjentki, a druga do gabinetu pani doktor.

Uprzytomniłem sobie charakterystyczne zachowanie Gabneyów tego ranka.

Leo starał się okazać szczerze współczucie, ale jednocześnie stanowczo zapewniał mnie o nonsensowności teorii samobójstwa.

Zasugerował, że Gina niewłaściwie oceniła własny stan psychofizyczny, po prostu popełniła tragiczną w skutkach pomyłkę.

Ursula zachowywała się całkiem inaczej.

Dotykała drzwi Chaucera, jakby były największą świętością. Albo bezcennym skarbem.

Pomyślałem o niezaksięgowanej gotówce Giny. Dwa miliony...

Czyżby serdeczny podarunek?

Uzależnienie i strach mogły doprowadzić do choroby duszy. A ci, którzy potrafili ją uleczyć, żądali hojnej nagrody.

Przypomniałem sobie, jakie sam otrzymywałem prezenty. W większości

były to wykonane przez dzieci rysunki i figurki z plasteliny. Mój gabinet był nimi zawałony.

Od dorosłych z zasady przyjmowałem jedynie kwiaty i bombonierki, czasem kosze z owocami. Wszystkie inne prezenty zwracałem. Zdarzało się, że w zamian za wyleczenie ktoś polecał mi następnego pacjenta.

Nikt nigdy nie usiłował mi wręczać prawdziwych dzieł sztuki. Byłem święcie przekonany, że nie przyjąłbym ich bez względu na okoliczności.

Formalnie rzecz biorąc, prawo nie zakazywało przyjmowania prezentów.

Najlepsi terapeuci zgadzali się jednak, że każdy cenny prezent, zmniejsza szanse pomyślnego zakończenia leczenia. Może to zachwiać delikatny równowagę relacji pacjenta i psychologa, która jest niezbędnym czynnikiem w terapii.

Widocznie Gabneyowie odrzucali tę zasadę.

Może leczenie oparte na rozmowach telefonicznych i otwartych spotkaniach nieuchronnie prowadziło do odstępstwa od sztywnych zasad.

Ciekawe, co mnie faktycznie łączy z członkami rodziny zamieszkałej w tym domu.

Jakby na to nie patrzeć, właśnie plądrowałem ich stryszek.

Jednak moje intencje były szlachetne.

Czyżby inaczej było z Gabneyami?

Melissa niezwykle podejrzliwie zapatrywała się na związek, który powstał pomiędzy jej matką i Ursulą.

„Ona jest bardzo chłodna” – powiedziała.

Te odczucia zostały pominięte przez wszystkich, nawet przeze mnie z

drugiej jednak strony Melissa obawiała się każdego, kto mógł zająć jej miejsce przy matce.

Czy Melissa źle oceniła sytuację?

Jak to się miało do tego, co przydarzyło się Ginie?

Musiałem złożyć jeszcze jedną wizytę w klinice, ale nie wiedziałem, jak to zaaranżować.

Wstąpić pod pretekstem odebrania karty Giny – żeby nie narażać

Gabneyów na opłaty pocztowe?

Zalóżmy, że tam wejść.

A co potem?

Bóg jeden wie.

Dziś była niedziela. Muszę poczekać.

Tymczasem pożywię się cielęcina. Na pewno będzie znakomita. Jednak jakoś straciłem apetyt.

Odłożyłem zdjęcie do kufra i zszedłem na dół.

Rozdział dwudziesty siódmy

Jadłem samotnie w wielkiej ciemnej jadalni. Nie czułem się tu dobrze.

Kiedy przed godziną drugą opuszczałem dom, Melissa i Noel wciąż byli w sypialni. Rozprawiali o czymś przyciszonymi głosami.

Pierwotnie zamierzałem pojechać do domu, ale skręciłem do kliniki

Gabneyów. Przed budynkiem zastałem stalowoniebieskiego lincolna i mercury'ego z częściowo drewnianą karoserią. Na podjeździe stał saab

Ursuli.

Spotkanie terapeutyczne dzień wcześniej? Nagłe zebranie, żeby omówić

niespodziewaną śmierć jednej z uczestniczek? A może całkiem inna sesja?

Godzina druga. Spotkanie powinno się zakończyć o trzeciej.

Postanowiłem obserwować klinikę i powiadomić Mila.

Musiałem znaleźć telefon. Po drugiej stronie ulicy były budynki

mieszkalne,

lecz

dalej

ciągnęły

się

niskie

pawilony

centrum

handlowo-usługowego. Pojechałem tam. Pierwsza byk restauracja.

Następnie agencja wynajmu nieruchomości, a dalej sklep ze słodyczami i

galeria.

Restauracja wydała mi się najodpowiedniejsza. Zawróciłem i stanąłem

przed nią.

Małe bistro. Nad szybą szyld z napisem LA MYSTIQUE. Pod spodem

ozdobnymi literami z zawijasami było napisane ART NOUVEAU. Po obu

stronach okna do ściany przymocowane były skrzyneczki z begoniami i

białymi petuniami. Na szybie widniał napis PRZEKĄSKI-ŚNIADANIA.

Wewnątrz stoły nakryte obrusami w biało-niebieską kratę, flakoniki ze

stokrotkami i lawendą, białe krzesła i ściany, plakaty reklamujące wakacje

w Europie. W tak zwanej otwartej kuchni za niskim przepierzeniem z

pleksyglasu uwijał się mężczyzna – Hiszpan z toczkiem na głowie. Dwa stoliki były zajęte. Przy każdym z nich siedziały po dwie panie w średnim wieku, ubrane niezwykle elegancko. Pałaszowały sałatki. Kiedy wszedłem do środka, otaksowały mnie dumnym spojrzeniem, po czym wróciły do konsumpcji swoich dietetycznych przysmaków.

Zbliżyła się do mnie kobieta z menu. Korpulentna, z rudymi włosami, które opadały kaskadą loków na plecy. Miała przyjaźnie uśmiechniętą pełną twarz. Ubrana była w sięgającą kolan czarną suknię, która ściśle opinała wydatne piersi.

– Dzień dobry – rzekła dźwięcznym głosem. – Proszę usiąść, gdzie pan sobie życzy.

Dojrzałem, stół przy samym oknie, z którego widać było klinikę.

– Proszę tamten stolik. Przedtem jednak chciałbym zadzwonić. Czy jest tu telefon?

– Oczywiście. Na zapleczu – odparła, wskazując na wahadłowe drzwi na lewo od kuchni.

Aparat był przyśrubowany do ściany pomiędzy toaletami. Po dwóch sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka w domu Mila.

Powiedziałem, że jest parę spraw, które chcę z nim omówić, i że najprawdopodobniej zjawię się u Melissy koło czwartej. Następnie wykręciłem numer galerii sztuki przy Beverly Hills i poprosiłem właściciela.

– Mówi Eugene De Long. Czym mogę służyć?

– Tu Alex Delaware. Cześć.

– Witaj, Alex. Niestety, jeszcze nie dostałem nic Marsha, ale pamiętam o

tym.

– Dziękuję. Dzwonię jednak po to, żebyś mi wycenił dwa obrazy.

Prawdziwe dzieła sztuki.

– Nie ma sprawy. Jednak pod warunkiem, że miałem z nimi do czynienia. O co chodzi?

– Kolorowe grafiki Cassat.

Chwila milczenia.

– Nie chwalileś się, że masz na oku takie perelki.

– Bardzo bym chciał. Potrzebuję informacji dla przyjaciela.

– A ten przyjaciel sprzedaje czy kupuje?

– Załóżmy, że sprzedaje.

– Jasne – odparł. – A o jakie grafiki dokładnie chodzi? Podaję, szczegóły.

– Chwileczkę... – Czekalem parę minut, zanim znowu podniósł

sluchawkę. – Mam przed sobą dane z ostatniej aukcji obrazów podobnych do tych, które cię interesują. Nie wiem, w jakim stanie są te twoje, a raczej twojego przyjaciela, ponieważ stan może radykalnie zmienić cenę. Więc bez obejrzenia trudno ocenić bezbłędnie. W każdym razie w obiegu nie ma wielu takich grafik. Cassat była perfekcjonistką. Niszczyła każdy szkic, a nawet ukończony obraz, jeśli nie spełniał jej bardzo wysokich wymagań. Każda jej praca, pod warunkiem, że jest w przyzwoitym stanie, uchodzi za rarytas. A jeśli stan jest idealny – zachowane marginesy, brak plam – można mówić o klejnocie. Jeżeli znajdzie się odpowiedniego klienta, można wyciągnąć dwieście pięćdziesiąt tysięcy. A może więcej.

– **Za oba, czy za każdy?**

– **Za sztukę, ma się rozumieć. Japończycy na przykład szaleją za impresjonistami, a Cassat jest na samym szczycie ich rankingów. Liczę, że jej najbardziej znane obrazy w niedługim czasie osiągną ceny rzędu kilkunastu milionów. Jej grafiki stanowią mariaż wrażliwości Zachodu i Azji. Cassat pasjonowała się sztuką średniowiecznej Japonii.**

– **Eugene, wielkie dzięki.**

– **Cała przyjemność po mojej stronie. Możesz powiedzieć swojemu znajomemu lub znajomej, że ma w posiadaniu majątek, którego wartość szybko rośnie. Chociaż przez telefon to żadna wycena. Tak czy inaczej, żeby sprzedać cokolwiek Cassat, nie trzeba jechać do Nowego Jorku.**

– **Przekażę.**

– **Bonsoir, Alex.**

Przymknąłem powieki i wyobraziłem sobie owe siedem zer. Potem połączyłem się z moją automatyczną sekretarką. Okazało się, że dzwoniła Robin.

Wykręciłem numer jej mieszkania. Kiedy odebrała, zawołałem:

– **Serwus, to ja.**

– **Serwus. Chciałam się dowiedzieć, jak się miewasz.**

– **Całkiem dobrze. Wciąż jestem w terenie.**

– **W terenie. A gdzie dokładnie?**

– **Okolice Pasadeny i San Labrador.**

– **Ach tak – rzekła. – Wielki świat, wielkie pieniądze.**

– **Uśmiełabyś się, gdybyś wiedziała, jak bardzo masz rację.**

– Nie wątpię.

Oboje zaśmialiśmy się.

– A co tam u ciebie? – zapytałem.

– Też dobrze. Nie narzekam.

– A co słyhać u tego gitarzysty od wyjazdów na ryby?

– Niepotrzebnie płakał. Na jego gitarze znalazłam może dwie niewielkie rysy.

– Chciałbym cię zobaczyć, kiedy wszystko się ułoży.

– Pewnie – odparła. – Kiedy wszystko się ułoży.

Zapadło milczenie.

– Więc do zobaczenia wkrótce – rzekłem, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

– To już lepiej. Pa.

Udałem się do mojego stolika. Zastąłem tam koszyczek z pieczywem i szklanką wody z lodem. Jedna para już wyszła. Dwie pozostałe kobiety pochylały się nad rachunkiem, sprawdzając go za pomocą małego kalkulatora.

Chleb wyglądał apetycznie – parę kromek razowca na miodzie. Ponieważ miałem jednak żołądek zapełniony „lekkim” daniem Madeleine, odsunąłem koszyczek.

Otworzyłem menu. Dwie ostatnie klientki opuściły salę. Rudowłosa kobieta wzięła pozostawione przez nie czeki, przyjrzała się im i pokręciła głową. Wytarła stół i podeszła do mnie z ołówkiem, gotowa do przyjęcia zamówienia. Zamówiłem najdroższą kawę z koniakiem i truskawki.

Najpierw przyniosła truskawki – były wielkie jak morele – a chwilę później parującą kawę.

Uśmiechnąłem się, lecz ona wyglądała na zmartwioną.

– Czy jest pan zadowolony?

– Tak, truskawki są niesamowite.

– Sprowadzamy je aż z Carpenteria. Miałby pan ochotę na świeżą bitą śmietaną?

– Nie, dziękuję. – Znow się uśmiechnąłem i zerknąłem na drugą stronę ulicy. Ciekawe, co też może dziać się w klinice. Obliczałem, ile potrzeba godzin pracy, żeby zakupić kawałek papieru w cenie dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Jak poradzę sobie z Gabneyarni?

Kiedy właścicielka restauracji powróciła parę chwil później, zdążyłem upić niewiele kawy i zjadłem jedynie dwie truskawki.

– Czy nie smakuje panu?

– Nie, ależ skąd. – Łyknąłem kawy, żeby to udowodnić. Następnie wbilem widelczyk w olbrzymią truskawkę.

– Kawę sami importujemy – rzekła. – „Simpson i Veroni” kupują z tego samego źródła, ale liczą sobie dwa razy więcej niż my.

Nie miałem zielonego pojęcia, co to jest „Simpson i Veroni”, ale uśmiechnąłem się i pokiwałem znacząco głową.

– Kto by pomyślał.

Zrobiła taką minę, jakby oczekiwała znacznie większych zachwyków. „O co chodzi?” – pomyślałem. „Mam paść przed nią na kolana z powodu kawy i zachwalać jej wyjątkowo niskie ceny?” Domyślałem się, dlaczego klienci nie

walą drzwiami i oknami do jej lokalu. Ta kobieta może być nie do wytrzymania.

Znów łyknąłem kawy i sięgnąłem do owoców.

Postała jeszcze chwilę nade mną i weszła do kuchni. Zamieniła parę słów z kucharzem.

Zwróciłem się do okna. Spojrzałem na zegarek: druga trzydzieści pięć.

Sesja będzie jeszcze trwała prawie pół godziny. Co powiem Ursuli?

Właścicielka znów się pojawiła. Tym razem pod pachą miała niedzielną gazetę. Usiadła za stołem i zatopila się w lekturze. Kiedy odłożyła główną część popołudniówki i wzięła dodatek, nasze oczy spotkały się. Szybko odwróciła wzrok. Jednym duszkiem wypilem kawę.

– Coś jeszcze? – spytała siedząc.

– Nie, dziękuję.

Przyniosła rachunek. Podałem jej kartę kredytową. Wzięła ją i przyjrzała się. Po chwili powróciła z formularzem potrzebnym przy takiej formie płatności.

– Jest pan lekarzem?

– Psychologiem. Po drugiej stronie ulicy znajduje się klinika. Jestem umówiony na rozmowę z jednym z tamtejszych terapeutów.

– Ach tak. – Popatrzyła z powątpiewaniem.

– Proszę się nie obawiać – rzekłem, uśmiechając się promiennie. – Nie jestem pacjentem. Miałem ciężki dzień. Nagły wypadek.

Ponieważ nie uspokoiło jej to, wyjąłem prawo jazdy i kartę identyfikacyjną nauczyciela akademickiego.

– Jestem naprawdę lekarzem. Wreszcie pozbyła się podejrzliwości.

– A czym zajmują się tamci?

– Dokładnie nie wiem – odparłem. – Czy miała pani jakieś kłopoty z ich powodu?

– Och, nie. Nie przychodzi do nich wielu pacjentów. Nie ma żadnej wywieszki i nie wiedziałabym w ogóle, co tam jest, gdyby nie powiedziała mi o tym jedna z moich klientek. Ciekawe, co mogą tam robić.

– Niestety nie potrafię zaspokoić pani ciekawości. Osobiście specjalizuję się w chorobach dziecięcych. Jedna z moich pacjentek jest córką kobiety, która leczyła się w tej klinice. Przyjeżdżała starym rolls-royce’em z czarno-szarą karoserią.

Skinęła głową.

– Parę razy widziałam ten samochód, ale nie wiem, kto nim przyjeżdżał.

– Ta kobieta zaginęła parę dni temu. Jej córka bardzo to przeżywa.

– Przyjechałem, żeby dowiedzieć się czegoś na miejscu.

– Zaginęła? Jak to?

Pojechała do kliniki na spotkanie terapeutyczne i nikt już jej nie widział.

– Och! – Na jej obliczu odmalował się wyraźny niepokój.

Spojrzałem na nią i wziąłem formularz rachunku.

– Wie pan... – powiedziała i potrząsnęła głową.

– Proszę?

– Nie, to nic takiego... Nie powinnam wtrącać się do spraw, które mnie bezpośrednio nie dotyczą...

– Jeśli pani o czymś wie...

– Nie – rzekła z żalem. – Niestety, nic nie wiem na temat matki pana pacjentki. Chodzi o inną ich pacjentkę – to ta klientka, o której wspomniałam. Powiedziała mi, co jest tam po drugiej stronie. Przychodziła tu regularnie, ale nie zauważyłam, żeby na coś cierpiała. No, wie pan, nie była psychiczna. Wyznała, że boi się niektórych miejsc, taki rodzaj fobii, dlatego uczęszcza na terapię. Podobno z dobrym skutkiem. Pewnie myśli pan, że była wdzięczna tym lekarzom? Otóż wcale nie. Ale to nie moja sprawa. Mam mnóstwo własnych zmartwień.

Wskazała na rachunek.

– Proszę wpisać tę sumę i podpisać.

Zrobiłem to, dodając dwadzieścia pięć procent napiwku.

– Dziękuję – rzekła.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Czemu ta kobieta nie lubiła tej kliniki?

– Pamiętam, w jaki sposób się o niej wyrażała. Wypytywała o lekarzy i pacjentów. – Spojrzała przez okno. – Nie od razu. Dopiero po jakimś czasie.

– Jakie zadawała pytania?

– Jak długo tam mieszkają. Nie miałam bladego pojęcia. Sama niedawno tu się wprowadziłam. Pytała, czy lekarze i pacjenci zachodzą do mojej restauracji. Tu odpowiedź była łatwa. Nikogo z nich nie widziałam. Jedyne Kate mnie odwiedzała. Na imię miała Kate. Nie wyglądało na to, żeby czegoś się bała. Polubiłam ją, była miła i smakowała jej moja kuchnia. Stała się regularną klientką. A pewnego dnia przestała przychodzić. – Pstryknęła palcami. – Ot tak nagle. To było bardzo dziwne, bo nie wspominała o tym, że

kończy kurację. Więc kiedy pan powiedział, że ta kobieta zaginęła, to sobie skojarzyłam.

– Kiedy to było?

Zamyśliła się.

– Jakiś miesiąc temu. Najpierw myślałam, że jedzenie przestało jej smakować, ale do kliniki również przestała przychodzić. Znałam jej samochód. A sesje miała dwa razy w tygodniu: w poniedziałki i czwartki, regularnie jak w zegarku. Kwadrans po trzeciej zawsze już tu była i zamawiała spaghetti, smażone małże, królewskie cappuccino i francuskie ciastko z rodzynkami. Wie pan, u mnie nie ma wielkiego ruchu. Interes się jeszcze nie rozkręcił. Mój mąż strasznie się denerwuje i mówi, żeby się przenieść gdzie indziej. W tamtym tygodniu wprowadziłam nawet śniadania w niedziele, ale nie pomogło. Klientów jak na lekarstwo.

Cmoknąłem, wyrażając tym zrozumienie i współczucie.

Uśmiechnęła się.

– Nazwałam ten lokal „La Mystique”, ponieważ samo miejsce wydawało mi się niesamowicie tajemnicze. A on twierdzi, że jedyną tajemnicą jest odpowiedź na pytanie, kiedy zwinę interes. Dlatego bardzo ceniłam regularność, z jaką przychodziła Kate. Nie rozumiem, co się z nią stało.

– Czy pamięta pani jej nazwisko?

– Po co to panu?

– Szukam ludzi, którzy znali matkę mojej pacjentki. Każdy drobiazg może bardzo pomóc w jej odszukaniu.

Zawahała się.

– Jedną chwilę – rzekła w końcu.

Wsunęła rachunek do kieszeni i poszła do kuchni. Czekając, jeszcze raz rzuciłem okiem na budynek kliniki. Nikt nie wychodził ani wchodził.

Żadnego ruchu w oknach.

Powróciła z żółtą karteczką w ręce.

– To jest adres siostry Kate. Podała go jako zabezpieczenie na samym początku, ponieważ płaciła czekami, a okazało się, że jej чеки są nieważne w Kalifornii. Nawet myślałam, żeby zatelefonować, ale w końcu

zrezygnowałam. Jeśli pan ją spotka, proszę przekazać ode mnie pozdrowienia. Proszę powiedzieć, że od Joyce.

Wziąłem kartkę, na której czerwonym flamastrem było starannie napisane: „Kate Moriarty, z polecenia Robbins 2012 Ashbourne Drive South Pasadena.” I numer telefonu, zaczynający się na siedemset dziewięćdziesiąt pięć.

Włożyłem to do portfela i wstałem.

– Dziękuję pięknie. Bardzo mi smakowało.

– Próbował pan jedynie kawy i truskawek. Proszę wpaść, kiedy pan zgłodnieje. Mamy wspaniałą kuchnię.

Wróciła do swojego stolika i gazety.

Popatrzyłem w okno i dojrzałem ruch. Stateczna, siwa kobieta właśnie wsiadła do lincolna. Drugi samochód już ruszał.

Czas na pogawędkę z Ursulą.

Kiedy jednak wyszedłem z restauracji, okazało się, że moja wizyta nie

dojdzie do skutku. Saab szybko wyjechał z podjazdu i ruszył z piskiem opon.

Mignęła mi tylko twarz siedzącej za kierownicą kobiety.

Zanim doszedłem do seville, saab zniknął mi z oczu.

Ciekawe dlaczego i dokąd pojechała?

Otworzyłem schowek, wyjąłem mapę i zacząłem szukać Ashbourne Drive.

Dom był okazały, zbudowany z czerwonej cegły. Główny wjazd nie miał bramy. Był ocieniony wysokimi klonami i jodłami. Na podjeździe stała półciężarówka, a na trawniku leżały porozrzucane plastikowe zabawki, klocki i samochodziki. Na ganek prowadziły trzy schodki. Na wysokości oczu w drzwiach znajdowały się małe mosiężne drzwiczki.

Nacisnąłem przycisk dzwonka i drzwiczki otworzyły się. Ujrzałem parę ciemnych oczu. W tle mignął ekran telewizora. Oczy zwężyły się.

– Jestem doktor Delaware. Chciałbym się widzieć z panią Robbins.

– Chwileczkę.

Poprawilem ubranie i włosy. Miałem nadzieję, że moja wczorajsza koszula i wymięty krawat nie będą szczególnie razić. Na przebranie się nie było czasu. Małe drzwiczki znów się otworzyły. Tym razem ukazały się niebieskie oczy.

– Słucham? – usłyszałem nosowy głos młodej kobiety.

– Czy pani Robbins?

– Czym mogę służyć?

– Nazywam się Alex Delaware. Jestem lekarzem. Szukam pani siostry, Kate.

– Czy jest pan jej znajomym?

– Nie. Właściwie to nie, ale mamy wspólnych znajomych.

– Jakim jest pan lekarzem?

– Psychologiem klinicznym. Przepraszam za to najście, chętnie pokażę moją lekarską kartę identyfikacyjną.

– Więc proszę to zrobić.

Wyjąłem te same dokumenty, które okazywałem w restauracji.

– Kto jest tym wspólnym znajomym?

– O tym chciałem porozmawiać z Kate. Jeśli nie chce pani z jakiegoś powodu podać mi jej numeru telefonu, zostawię własny, żeby do mnie zadzwoniła.

Błękitne oczy poruszyły się nerwowo na boki. Drzwiczki zatrzęsnęły się i otworzyły się duże drzwi. Na ganek wyszła kobieta po trzydziestce. Krótko przystrzyżone blond włosy. Niebieskie oczy osadzone głęboko, pociągła twarz pokryta piegami. Pełne usta, wydatna broda, uszy lekko odstające, szczególnie widoczne przy krótkiej fryzurze. Miała na sobie bawełnianą koszulę z podłużnymi czerwono-białymi pasami, białe płócienne spodnie i tenisówki bez skarpetek. Kolczyki.

– Jestem Jane Robbins – rzekła. Jej paznokcie były długie, ale niepolakierowane. – Możemy tu porozmawiać?

– Oczywiście – odparłem, pamiętając o swoim pomiętym ubraniu i jednodniowym zaroście.

Cofnąłem się, żeby mogła zamknąć za sobą drzwi.

– Więc czemu poszukuje pan Kate?

Zastanawiałem się, jak dużo mogę powiedzieć. Czy Kate Moriarty opowiadała siostrze o sesjach? Z Joyce w restauracji rozmawiała całkiem otwarcie, ale ludzie zwierzają się z najskrytszych sekretów właśnie obcym.

– To nie jest taka prosta sprawa – rzekłem. – Wolałbym pomówić od razu z pani siostrą.

– Domyślam się. Ja również chciałabym ją zobaczyć, ale nie daje znaku życia od miesiąca. – Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ciągnęła: – Chociaż zdarzało się jej to już przedtem. To specyfika jej zawodu.

– A czym się zajmuje?

– Jest reporterką. Pracuje dla „Boston Globe” i dla „Manchester Union Leader”, ale teraz, o ile wiem, jest wolnym strzelcem. Pisze nową książkę. Jedną już wydała. Na temat zatrucia środowiska pestycydami, pod tytułem *Matka Ziemia*.

Milczałem.

Uśmiechnęła się z pewną satysfakcją.

– Jak łatwo zgadnąć, nie był to bestseller.

– Czy ona pochodzi z Nowej Anglii?

– Nie. Stąd, z Kalifornii. Obie wychowałyśmy się we Fresno, ale pojechałyśmy na wschód do liceum. Jej zdaniem zachód jest pustynią intelektualną i kulturalną.

Rzuciła okiem na zabawki walające się po trawniku i zmarszczyła brwi.

– Czy mówiła coś więcej o swej nowej książce?

– Nie. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, co robi. W jej fachu liczy się dyskrecja.

– Więc nie domyśla się pani, gdzie jest teraz?

– Nie. Nie mara pojęcia. My nie... Rzadko mnie odwiedzała. Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Jak się pan dowiedział, że jestem jej siostrą?

– Użyła pani nazwiska do poświadczenia czeku, który nie pochodził z naszego stanu, stąd pewne trudności z realizacją. Dała mi ten adres właścicielka gospody.

– No to pięknie – rzekła. – Jeszcze by tego brakowało, że bym płaciła za jej zachcianki.

– Czy miała problemy pieniężne?

– O ile mi wiadomo to nie. Niestety, nie mogę pana zaprosić do środka.

Zadałem ostatnie pytanie:

– Więc nie bardzo się pani przejęła jej zniknięciem?

Odparła ostro:

– Zbierając materiały do książki o pestycydach, jeździła po kraju ponad rok. Dzwoniła tylko wtedy, kiedy brakło jej pieniędzy. Zamiast zwrotu pożyczki wręczyła mi książkę z dedykacją. Parę lat temu pojechała do Ameryki Południowej do Salwadoru. Prowadziła jakąś strasznie niebezpieczną sprawę. Nasza matka odchodziła od zmysłów. Kate nic jednak wtedy nie wydrukowała. Więc mogę powiedzieć całkiem uczciwie, nie przejmuję się jej zniknięciem. Pewnie znowu jest na tropie jakiejś nowej intrygi.

– Czym się interesowała?

– Pociągało ją wszystko, co miało w sobie cień tajemnicy. Mówiła o sobie,

że jest reporterem śledczym. Uwielbiała rozprawić o zamachu na

Kennedy'ego.

Zza drzwi dochodziły nas odgłosy telewizora. Szybkim ruchem poprawiła włosy.

– To śmieszne, nawet pana nie znam. Nie powinnam z panem mówić...

Pewnie odezwie się za jakiś czas, a wtedy przekażę, że chce się pan z nią zobaczyć. Gdzie ma pan gabinet?

– W zachodniej części miasta – odparłem. – Czy może mi pani dać jej ostatni adres?

Zastanowiła się.

– Pewnie, czemu nie? Jeśli ona daje komuś mój adres, czemu nie mam dać jej adresu.

Wyjąłem długopis i podstawiając kolano, nabazgrałem numer domu przy Hilldale Avenue.

– To jest Zachodnie Hollywood – dodała. – Niedaleko od pana.

Stała jakby w oczekiwaniu, że coś jej jeszcze powiem.

– Dziękuję pięknie i przepraszam, że panią niepokoiłem.

– Nic nie szkodzi. – Spojrzała na półciężarówkę. – Wiem, że to może zabrzmieć głupio, ale kiedyś próbowałam jej pomóc. Jednak ona nie chciała mnie słuchać... – Dotknęła ust, jakby zmuszając się do milczenia. – Byliśmy bardzo różne. To wszystko. Vive la différence –jest pan psychologiem, więc musi pan w to wierzyć, prawda?

Rozdział dwudziesty ósmy

Na Sussex Knoll przybyłem o czwartej piętnaście. Przed domem stała

celica Noela i brązowy mercedes z napisem DODGER BLUE na tylnym zderzaku i anteną telefonu komórkowego na dachu. Madeleine otworzyła mi drzwi.

– Jak się ona czuje?

– Jest wciąż na górze, *monsieur doctour*. Zjadła trochę zupy.

– Czy pan Sturgis dzwonił?

– *Non*, ale były inne... – Skinęła głową w stronę wnętrza domu i wyduła wargi, wyrażając lekceważenie. Poczulem się tak, jakbym był domownikiem

– Oni czekają – rzekła.

– Na kogo?

Wzruszyła ramionami.

Minęliśmy przedpokój. Wskazała na drzwi i skryła się w głębi domu.

Glen Anger był w towarzystwie łysego mężczyzny około pięćdziesiątki.

Siedzieli, założywszy nogę na nogę, z posępnymi obliczami. Ubrani byli w ciemnoniebieskie dwurzędowe garnitury z chusteczkami w górnych kieszonkach, nieskazitelnie białe koszule. Mieli fularowe krawaty – Angin w różowe wzory, a drugi mężczyzna w żółte.

Kiedy zbliżyłem się do nich na odległość paru kroków, wstali, zapinając marynarki. Łysy miał metr sześćdziesiąt wzrostu i potężną budowę ciała, kwadratową twarz i otluszczoną szyję. Z twardym, szarobrązowym meszkiem, przypominał osowiałego morsa. Jego opalenizna nie ustępowała opaleniznie Angera.

– Przypuszczam, że pana praca dobiegła końca – odezwał się z chłodną satysfakcją. A potem zwrócił się do łysego: – Jim, oto jeden z detektywów

którzy zostali wynajęci w celu odnalezienia Giny.

– Niezupełnie – rzekłem. – Nazywam się Alex Delaware i jestem psychologiem Melissy.

Anger wyglądał na zbitego z tropu.

– Pan Sturgis, detektyw, jest moim przyjacielem. Polecilem go tej rodzinie. Przez przypadek mu towarzyszyłem, kiedy składał panu wizytę.

– Rozumiem. Więc...

– Przepraszam, że wtedy nie wyjaśniliśmy wszystkiego jak należy, ale to był nagły przypadek.

– Tak, nie wątpię – rzekł Anger.

Łysy mężczyzna odkaszlnął.

– Więc jest pan doktorem Delaware?

Skinąłem głową.

– Doktorze, pozwoli pan, że przedstawię partu Jima Douse'a. Pan Douse jest prawnikiem Giny.

Douse uśmiechnął się krzywo. Uścisnęliśmy sobie ręce. Zwróciłem uwagę na spinki do mankietów z monogramem. Miał wielką i nadzwyczaj twardą dłoń – pewnie każdy wolny dzień spędzał na łódce. Ułożył tak palce, że nasze dłonie prawie się nie dotknęły, co mogło oznaczać albo rezerwę, albo to, że nie chciał mi sprawić bólu. Z kieszonki wystawały mu dwa cygara.

– Więc jest pan psychologiem? Czasem korzystam z ekspertyz biegłych w sądzie.

Skinąłem głową, zastanawiając się, czy było to ostrzeżenie, czy próba przełamania pierwszych lodów.

– Jak się miewa nasza panienka? – zapytał.

– Kiedy widziałem ją ostatni raz, spała. Właśnie zamierzałem ją zobaczyć.

– Dzisiaj rano w kościele Cliff Chickering przekazał nam tę okropną wiadomość – włączył się Anger. – Przyszliśmy, żeby zapytać, czy nie będziemy w czymś pomocni. To potworny wypadek. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie.

– Czy poszukiwania zostały przerwane? – spytałem.

– Cliff powiedział, że zawiesił je parę godzin temu. Jest przekonany, że pani Ramp jest na dnie zbiornika.

– O ile wiem, jest również przekonany, że sama tam wskoczyła – rzekłem.

Anger zrobił zdziwioną minę.

– Zasugerowałem Chickeringowi, żeby na poparcie swoich teorii znalazł wiarygodne fakty. – Douse podniósł głowę i podrapał się w szyję.

– To był tragiczny wypadek. Nie powinna była tam jechać – rzekł Anger.

– Przepraszam, panowie. Pójdę do Melissy – powiedziałem.

– Proszę jej przekazać nasze kondolencje – zawołał Anger. – Jeśli tylko zechce nas zobaczyć, będziemy w pobliżu. Proszę nas poinformować, kiedy będzie gotowa na przeprowadzenie odpowiednich zmian.

– Jakich zmian?

– Zmian jej statusu majątkowego – odparł Douse. – Wiem, że nie jest na to odpowiednia pora, ale sprawa musi zostać załatwiona jak najszybciej. Nic szczególnego, rutynowe formularze. Jeśli się tego nie robi, całe mienie

może przejść na rzecz skarbu państwa.

– Ona jest zbyt młoda, żeby zajmować się interesami. Będzie lepiej, jeżeli zrobimy to w najbliższych dniach – dodał Anger.

– Zbyt młoda na co? – spytałem.

– Zbyt młoda, żeby podolać wszystkim formalnościom, a jednocześnie unieść ciężar zarządzania majątkiem – odparł Anger.

– Powinna się zająć innymi sprawami – włączył się Douse. – Czy z punktu widzenia psychologa nie zgodziłby się pan z nami?

Poczułem się jak na posiedzeniu Senatu, gdzie ludzie wymyślają różne najprzedziwniejsze rzeczy.

– Chce pan powiedzieć, że ona nie jest zdolna zarządzać własnymi pieniędzmi?

Zaległa cisza jak makiem siał.

– To wielce skomplikowana sprawa – odezwał się w końcu Douse. – Jest mnóstwo idiotycznych przepisów...

– Z powodu wielkości majątku?

Anger zagryzł wargi i poczerwieniał jak burak.

– Jeżeli nie przedstawi mi pan odpowiednich upoważnień, nie mogę niestety wprowadzać pana w szczegóły – ciągnął Douse. – Ogólnie mówiąc, bez dowodu na to, że nastąpiła śmierć Giny, to znaczy, jeśli nic odnajdzie się ciała, uplynie wiele lat, zanim będzie można formalnie przekazać majątek Melissie. – Przerwał, lustrując mnie ciężkim spojrzeniem. Ani drgnąłem. – Wiele lat. W tym wypadku mamy do czynienia z tak zwanymi kompetencjami łącznymi, więc trzeba będzie załatwiać sprawy najpierw w

urzędach okręgowych, stanowych, a potem federalnych, jeśli chodzi o samo przekazanie. Pozostaje jeszcze przeprowadzenie skomplikowanego procesu nadzoru prawnego. Chodzi o wystawienie odpowiednich pełnomocnictw, a zapewniam pana, że prawo podatkowe jest w tej dziedzinie nadzwyczaj skomplikowane. Oprócz tego należałoby zreformować dotychczasowy fundusz powierniczy, który jest główną częścią majątku.

– Czy ja dobrze usłyszałem? Powiedział pan nadzór? – zapytałem. – O ile wiem, Melissa osiągnęła pełnoletność, więc czemu miałaby chcieć nadzoru?

Anger spojrział na Douse'a, Douse na Angera.

Rozpoczęło się coś na kształt meczu tenisowego na spojrzenia. W końcu piłeczka spadła na pole bankiera.

– Pełnoletność – odparł niepewnie – to jedno, a kompetencje, tu całkiem co innego.

– Czy uważa pan, że Melissa nie ma kompetencji do prowadzenia własnych spraw?

Anger odwrócił wzrok na obrazy wiszące na ścianach.

– Ależ oczywiście, że nie. Chodzi o coś całkiem innego – rzekł Douse, rozkładając ręce. – Jakież osiemnastolatek może sprawować pieczę nad czymś tak ogromnym? Moi synowie na pewno nie potrafiliby podjąć takiego zadania.

– Ani moi – włączył się Anger. – A trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę historię tej rodziny. – Tutaj zwrócił się do mnie: – Zapewniam pana, że również będzie miał pan swój udział.

To zabrzmiało jak zaproszenie do spisku. Czekali na moją odpowiedź,

lecz ja milczałem.

Douse dotknął swej lysej czaszki.

– To wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem. Należy oddać jej zarządzanie majątkiem dopiero wtedy, kiedy dorośnie, za parę ładnych lat.

– To jasne – rzekł Anger. – Jestem ojcem czwórki dzieci i wiem z doświadczenia, jak potrafią być nieodpowiedzialne. Dać dzieciakowi dużo pieniędzy, to jak wręczyć mu nabitą broń.

– Czy ma pan dzieci, doktorze? – zapytał Douse.

– Nie – odparłem.

Obaj wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

– A więc – rzekł Douse, bawiąc się guzikiem marynarki – jestem gotów zaproponować panu funkcję, która będzie zgodna z pana kwalifikacjami.

– Jaką funkcję?

– Czy zgodziłby się pan wystąpić w charakterze eksperta w procesie, który będzie miał na celu wprowadzenie formalnego nadzoru nad majątkiem świętej pamięci Giny? Oczywiście weźmiemy pod uwagę wszystkie pana uwagi i zapewnimy odpowiednią rekompensatę pieniężną.

Zbierze się tego ładna sumka.

– O ile dobrze zrozumiałem, chce pan, żebym jako biegły psycholog wydał opinię, że Melissa jest psychicznie niezdolna do zarządzania majątkiem, w celu uprawomocnienia kurateli nad jej dziedzictwem.

Anger zamrugął nerwowo.

– Nie, to nieporozumienie. Ja niczego od pana nie chcę. Jesteśmy tu, żeby nie doszło do niepotrzebnego uszczuplenia, a może nawet

zaprzepaszczenia majątku. Wszystko odbędzie się w zgodzie z jej interesem.

Działamy jako długoletni przyjaciele rodziny, ojcowie i zawodowi finansiści.

W żadnym wypadku nie chcielibyśmy wpływać na pana osąd sytuacji. Nasza

rozmowa jest wynikiem, ośmielałam się panu przypomnieć, pewnych

strasznych wypadków, w obliczu których zmuszeni jesteśmy podejmować

ślusne decyzje. A mówiąc otwarcie, trzeba się z tą sprawą śpieszyć.

– Należy wyjaśnić jedną rzecz, panie doktorze – rzekł Anger. – To nie są

jeszcze pieniądze Melissy. A w każdym razie nie w sensie prawnym. Cały

proces przekazania kapitału zabierze mnóstwo czasu, wszak maszyna

biurokracji porusza się niezmiernie ociężale. W tym czasie Melissa będzie

miała różne wydatki, choćby na utrzymanie tego wielkiego domu. Jeśli

pieniądze będą zamrożone, narazi to Melissę na duże straty. Z mojego

punktu widzenia wprowadzenie kurateli jest najpraktyczniejszym wyjściem.

– A kto ma zająć się tym nadzorem? Don Ramp?

Douse odkaszlnął i pokręcił przecząco głową.

– Nie – odparł. – To nie byłoby możliwe ze względu na testament Artura

Dickinsona.

– Więc kto?

Znów zapadła złowieszcza cisza. Słyszeć było czyjeś kroki w oddali.

Gdzieś był odkurzacz. Dzwonił telefon.

– Moja kancelaria – rzekł Douse – która miała niebagatelny udział w

pomnożeniu tego majątku. Zachowana więc będzie kontynuacja.

Nic nie odrzekłem. Douse odpiął marynarkę, wyciągnął z kieszeni portfel

ze skóry krokodyla i wyjął śnieżnobiałą wizytówkę. Wręczył mi ją z taką

miną, jakby miała ona nieocenioną wartość.

J. MADISON DOUSE JUNIOR DYPLOMOWANY PRAWNIK

KANCELARIA PRAWNICZA I NOTARIALNA

WRESTING, DOUSE I COSNER

820 S. FLOWER STREET

LOS ANGELES, CA 90017

– Jednym z założycieli tej kancelarii był Sędzia Najwyższy Douse – rzekł

Douse, opuszczając „mój drogi wujek”, co mu policzyłem mimo wszystko na plus. Skromność to rzadka cecha.

Anger zepsuł jednak cały efekt, wtrącając:

– To był wuj Jima.

Douse znów odkaszlnął, ale tym razem przy zamkniętych ustach. Wyszło mu coś w rodzaju przytłumionego kichnięcia. Anger spostrzegł gafę i począł ją naprawiać:

Rodzina Douse’ów i Dickinsonów jest związana od wielu lat

obustronnymi wspólnymi przedsięwzięciami. To byłoby niemożliwe, gdyby nie mieli do siebie głębokiego zaufania. Artur korzystał z usług ojca Jima, ale teraz związki tych obu rodzin są znacznie bliższe. W interesie pana pacjentki jest to, żeby jej majątkiem zajmowali się najlepsi specjaliści.

– A moje zadanie – odparłem – będzie polegało na uporządkowaniu jej emocjonalnych mechanizmów obronnych, które nieświadomie wytworzyli w obliczu nagłej utraty matki?

– Tak – rzekł Anger – właśnie to pozostawimy panu, a sami musimy jak najszybciej wprowadzić w życie nasz wymagający dużo wysiłku projekt.

– Jedynym problemem – przemówił Douse – jest ustalenie

proceduralnego transferu plenipotencji z zachowaniem ciągłości. Niestety, w sprawy wmieszany jest pan Ramp. Zmuszeni jesteśmy zdobyć również jego zgodę. A więc Melissa tym bardziej nie mogłaby zarządzać majątkiem. Biorąc pod uwagę, co przeżyła... jest niezdolna... i jesteśmy zobowiązani...

– Do położenia łapy na jej dziedzictwie? To musi być wyjątkowo niewdzięczne zadanie.

Douse zapiął marynarkę i pochylił się. Zmarszczył groźnie brwi i wykrztusił:

– Widzę, że pan nie zgadza się z nami, ale pana opinia na wiele tu się nie zda w obliczu faktów.

– Możliwe – rzekłem. – W każdym razie bardzo nie lubię, kiedy namawia się mnie do kłamstwa w obliczu majestatu niezawisłego sądu, nawet jeśli pańskie intencje są rzeczywiście uczciwe, w co szczerze wątpię. Chciałbym, żeby pan dobrze zrozumiał to, co powiem. Melissa jest zdolna do prowadzenia własnych interesów, nawet w takich okolicznościach. W jej psychice nie ma śladu jakichkolwiek zaburzeń, które by uniemożliwiały podejmowanie w pełni racjonalnych decyzji. I nie ma tu znaczenia jej młody wiek, ponieważ jest pełnoletnia. W historii znane są wypadki, kiedy młodzi ludzie przejmowali majątki i wiodło im się całkiem dobrze. Założę się, że słyszeli panowie o Howardzie Hughesie i Lelandzie Beldingu. I o ile mi wiadomo, ani banki, ani kancelarie prawnicze nie usiłowały przejmować ich fortun. Czyżby w San Labrador panowały inne porządki?

– To nie ma z tym żadnego związku! – wykrzyknął Anger, pąsowiejąc.

– Jeśli nawet – mówilem – to decyzja o zrzeczeniu się zarządzania

majątkiem należy wyłącznie do Melissy i nikt nie może na nią wpływać.

Douse połączył opuszki palców obu rąk i odsunął je od siebie. Następnie wolno powtórzył ten ruch. Wyglądało to na parodię klaskania. Oczy miał nieruchome.

– Nie prosiłem pana o ocenę naszego planu. Wystarczy, że pan się wycofa. Rozumiem pana obiekcje.

– Co to ma znaczyć? Znajdzie pan fałszywych świadków?

Twarz mu nawet nie drgnęła. Spojrzał na zegarek marki Cartier i znów błysnęła spinka z monogramem.

– Było mi bardzo miło pana poznać, doktorze – rzekł, po czym zwrócił się do Angera. – Glenn, widzę, że przyszliśmy o zlej porze. Wrócimy, kiedy Melissa poczuje się lepiej.

Anger skinął głową. Wyglądał na wyprowadzonego z równowagi.

Najwidoczniej nie potrafił ukrywać własnych emocji.

Douse dotknął jego łokcia i obaj ominęli mnie, zmierzając w kierunku drzwi. I wtedy właśnie stanęli twarzą w twarz z Melissa, która wyszła zza półki z książkami. Włosy miała związane w kucyk. Na koszulkę koloru khaki nałożyła czarną bawełnianą bluzę, a na nogi czarne sandały bez skarpet. W ręce ścisnęła zgniecioną różową chusteczkę higieniczną.

– Melissa! – zawołał Anger, przybierając smutny wyraz twarzy. – Tak jest mi przykro z powodu twojej matki. Czy znasz pana Douse'a?

Douse podszedł, chcąc się przywitać.

Melissa otworzyła swoją, dłoń ze strzępami chusteczki i Douse cofnął wyciągniętą rękę.

– Wiem, kim pan jest, ale nie mieliśmy okazji dotąd się spotkać – rzekła.

– Niestety, poznajemy się dopiero w tak smutnych okolicznościach –
rzekł prawnik.

– Tak. Jakże to miło, że zechciał mnie pan odwiedzić, i to w niedzielę.

– Dni tygodnia nie mają najmniejszego znaczenia, jeśli chodzi o takie
przypadki – włączył się Anger. – Przyszliśmy, żeby zobaczyć, jak się
miewasz, ale pan Delaware poinformował nas, że odpoczywasz i właśnie
mieliśmy wychodzić.

– Panie Douse – rzekła, ignorując bankiera. Podeszła bliżej do prawnika.

– Panie Douse, nie uda ci się zrobić mnie w konia. Zapomnij o tym. I nie waz
się mówić ani słowa, po prostu wynoś się. Obaj się wynoście, natychmiast.

Mój nowy prawnik i bankier skontaktują się z wami w najbliższym czasie.

Kiedy wyszli, wybuchła niepohamowanym płaczem, rzucając mi się w
ramiona.

Noel zbiegł pędem z góry. Stanął jak wryty, widząc, że Melissa tuli się do
mej piersi.

Nieznacznym ruchem głowy zachęciłem go, żeby podszedł.

– Melisso, co ci jest? – zapytał.

Nie przestawała lkać, przyciskając się tak mocno, że poczułem ból w
mostku. Poklepałem ją uspokajająco po plecach.

W końcu odsunęła się. Miała czerwone od łez oczy i płonące policzki.

– A to chłystki! – zawołała. – Jak mogli! Jakże wpadli na tak obrzydliwy
pomysł... Przecież ona nie jest jeszcze...

Nagle poderwała się, podbiegła do ściany i uderzyła w nią z całej siły.

Noel spojrział na mnie zdezorientowany. Skinąłem głową. Pozwoliła mu się zaprowadzić do pokoju obok, gdzie usiedliśmy we trójkę.

Weszła Madeleine. Wyglądała na usatysfakcjonowaną, jakby raz jeszcze sprawdziły się jej wszystkie najgorsze przypuszczenia dotyczące natury ludzkiej. Ciekawe, ile usłyszała z tej rozmowy.

Za Madeleine pojawiły się dwie pokojówki. Powiedziała coś do nich i pośpiesznie odeszły.

Madeleine zbliżyła się do Melissy i objęła jej głowę. Melissa podniosła wzrok i zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Przyniosę ci coś do picia – rzekła wierna służąca.

Melissa milczała.

– Proszę o herbatę dla wszystkich – zadysponowałem.

Madeleine wyszła. Melissa oparła się na ramieniu Noela. Rwała nerwowo chusteczkę na małe kawałki, które opadały na dywan.

Służąca powróciła z herbatą, miodem i mlekiem, niosąc to wszystko na srebrnej tacy. Przyrządziła gorący napój i podała Noelowi, który podniósł filiżankę do ust płaczącej dziewczyny.

Melissa łyknęła herbaty i od razu się zakrztusiła.

Rzuciliśmy się, żeby ją ratować.

Kiedy Melissa złapała oddech, Noel powtórnie zbliżył filiżankę do jej warg. Znowu wypila łyk i znowu zaczęła się krztusić, tym razem jednak o wiele mniej. Kiedy wypila trzecią część filiżanki, Madeleine pokiwała głową z aprobatą i wyszła z pokoju.

Melissa dotknęła dłoni Noela i rzekła:

– Wystarczy, dziękuję.

Odstawił filiżankę.

– A to dranie! Nigdy bym nie pomyślała.

– O kim mówisz? – spytał Noel.

– O moim bankierze i moim prawniku – odparła. – Chcieli mnie oszukać, zabrać wszystko. I to w taki sposób. – Tutaj zwróciła się do mnie: – Dzięki, że wzięłaś mnie w obronę. Teraz wiem, kto jest moim prawdziwym przyjacielem.

Noel wciąż nie rozumiał, co zaszło, więc pokrótce streściłem przebieg rozmowy. Kiedy skończyłem, zawołał, kipiąc gniewem:

– Gnojki! Powinnaś natychmiast znaleźć kogoś na ich miejsce.

Zasugerowałam im, że już kogoś mam, powinieneś widzieć ich miny. –

Uśmiechnęła się zjadliwie. Noel pozostał poważny. – Alex, znasz jakichś dobrych prawników? – zapytała.

– Ci, których znam, specjalizują się w prawie rodzinnym, ale myślę, że będę ci mógł polecić kogoś o stosownych kwalifikacjach.

– Będę potrzebowała również bankiera.

– Prawnik powinien znać jakiegoś uczciwego bankiera.

– Dobrze – odparła. – im szybciej, tym lepiej. Trzeba działać, zanim te psy zaczną kąsać. Musieli już od jakiegoś czasu to szykować. Poproszę Mila, żeby ich sprawdził. Powinien się dowiedzieć, co knują. Pewnie już przedsięwzięli jakieś kroki.

– Kto wie?

– Pewnie okradali moją mamę przez lata... – Zamknęła oczy.

Noel objął ją ramieniem, ale nie uspokoiła się. Nagle podniosła powieki.

– A może Don spiskował z nimi, może to on wszystko ukartował...

– Nie! – zawołał Noel. – Don nie mógłby... Zdjęła jego rękę ze swojego ramienia i rzekła:

– Ty widzisz go tak, ja inaczej.

Noel zamilkł.

Oczy Melissy powiększyły się.

– Och, Jezu!

– Co się stało? – spytałem.

– A może oni brali udział w tym... w tym... co się stało? Może chcieli pieniędzy i...

Zerwała się na równe nogi, odpychając Noela. Jej oczy momentalnie wyschły. Podniosła małą piąstkę i pogroziła nią.

– Ja im pokażę! – zawołała. – Chłystki! Każdy, kto ją skrzywdził, zapłaci mi za to!

Noel wstał. Podniosła rękę, dając mu do zrozumienia, żeby się nie zbliżał.

– Czuję się bardzo dobrze. Wiem, co robić.

Poczęła chodzić po pokoju. Zakreślała koła, trzymając się blisko ściany, jak początkujący łyżwiarz jeżdżący przy bandzie lodowiska. Mruczała coś pod nosem i uderzała się pięścią w czoło.

Śpiąca Królowna, którą zbudził pocałunek zasiewający podejrzenie.

Często się zdarza, że gniew bierze górę nad strachem.

Kiedyś uczyłem się o tym mechanizmie, który został dobrze opisany w fachowej literaturze.

Melissa płonąła straszliwym gniewem. Kiedy tak na nią patrzyłem, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mam przed sobą głodne zwierzę w klatce.

Pomyślałem, że jednak lepsze to od depresji.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Milo pojawił się wkrótce potem. Miał na sobie brązowy garnitur i trzymał w ręku błyszcząca, czarną walizeczkę. Melissa podbiegła do niego i opowiedziała, co zaszło.

– Zajmij się nimi – rzekła.

– Sprawdzę ich, ale to zajmie trochę czasu. A teraz powinnaś wynająć uczciwego prawnika.

– Nieważne, ile to zajmie czasu. Chcę wiedzieć, co oni knują.

– W każdym, razie – rzekł – jeśli coś kombinowali, to teraz musieli zmienić plany.

– To prawda – wtrącił Noel.

– A jak się ogólnie czujesz? – zapytał Milo.

– Już lepiej... Na razie daję sobie radę. Jeżeli chcesz, żeby coś zrobiła, nie ma sprawy.

– Nie. Teraz powinnaś uważać na siebie.

Poczęła oponować.

– Nie – przerwał jej Milo. – Nie zamierzam cię uspokajać i pocieszać.

Musisz być w dobrej formie na wypadek, gdyby tamci znowu natarli.

– Jak to? – spytała.

– Prawdopodobnie zamierzają wnieść sprawę do sądu. W takim wypadku będą usiłowali udowodnić, że nie jesteś przy zdrowych zmysłach.

Postaram się coś na nich znaleźć, ale nie obiecuję, że mi się to uda. Oni będą gromadzić argumenty do generalnego ataku, a im lepiej będziesz wyglądała, tym mniej ich zdobędą. Musisz więc dbać o siebie. – Spojrzał w moją stronę. – Jeśli chcesz koniecznie pokrzyczeć, to krzycz na niego, na tym polega jego praca.

Poszła z Noelem na górę do swego pokoju.

– Czy było tak, jak mi powiedziała? – zapytał Milo.

Pokiwałem głową.

– To para obrzydliwych drani. Niby chcieli zapytać o jej zdrowie, ale zaraz przeszli do meritum. Postąpili zresztą bardzo nieostrożnie, od razu odkrywając karty.

– W większości przypadków odniosłoby to skutek. Niemal każdy nastolatek byłby zachwycony propozycją zdjęcia z niego ciężaru odpowiedzialności za prowadzenie interesów i chętnie by przystał na to, żeby fachowcy zajęli się wszystkim. Również prawie każdy psycholog przystałby na ich propozycję. Oczywiście za pewną rekompensatę za poniesione straty moralne. – Podrapał się w nos. – Ciekawe, czego dokładnie chcieli?

– Łatwo zgadnąć. Zakładali, że dorwą się do złoba.

– Pytanie, jak wiele sobie po tym obiecywali. Czy planowali przejąć cały majątek, czy jedynie chcieli zapewnić sobie stały procent z dochodów. Ci, którzy żyją kosztem ludzi bogatych, po pewnym czasie myślą, że mają prawo do tych kapitałów.

– A może – rzekłem – zrobili parę błędnych inwestycji i boją się, że

wyjdzie to na jaw?

– Tak, możliwe. Musimy jednak odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: czy faktycznie mają jakiś poważny atut w ręku – taki, który przekonałby sędziego? Czy ona wytrzyma, jeżeli dojdzie do procesu? W jakim jest stanie?

– Trudno orzec. Z dolka psychicznego wyszła nadzwyczaj prędko. Biorąc pod uwagę to, co przeżyła, nie widzę żadnych niebezpieczeństw.

– Gdybyś powiedział to w sądzie, byłaby skończona.

– Milo, czterdzieści milionów to duża pokusa. Osobiście nie dałbym aż tyle dziecku. Z pewnością nie ma jednak powodu, żeby ją ubezwłasnowolnić.

Zapewniam cię.

– W każdym razie taki majątek ma dobre strony. Można go szybko stracić i zacząć wszystko do nowa, od zera. Ona jest strasznie inteligentną bestią, więc mogłaby zrobić coś pożytecznego w życiu.

– Utrata majątku jako antidotum na jej kłopoty? Z tego argumentu korzystają jedynie psycholodzy, którzy każą sobie coraz więcej płacić.

Uśmiechnął się.

– Tymczasem prześwietlę Angera i jego kolesia. Chociaż to nie będzie łatwe do przeprowadzenia. Ona potrzebuje bardzo dobrej opieki prawnej.

– Postaram się to załatwić.

– Dobra – rzekł, podnosząc walizeczkę.

– Nowa? – spytałem.

– Właśnie kupilem. Trzeba robić dobre wrażenie. Praca prywatnego detektywa to rzecz trudniejsza niż przypuszczałem.

– Odebrałeś wiadomość, którą zostawiłem na automatycznej sekretarce parę godzin temu?

– Że chcesz ze mną omówić parę spraw? Pewnie, ale byłem zajęty niby pszczołka, która zamiast pyłku zbiera informacje.

Przysunąłem do niego jeden z foteli.

– Nie – rzekł – wyjdźmy stąd na świeże powietrze. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Za chwilę.

Wspiąłem się po schodach do pokoju Melissy. Drzwi były uchylone.

Podniosłem rękę, żeby zapukać, i zerknąłem przez szparę do środka. Na łóżku leżeli Melissa i Noel. Objęci, ale ubrani. Ona targała mu palcami włosy, a on delikatnie gładził jej plecy.

Milo stał w holu, wzbraniając się przed talerzem z jedzeniem, który usiłowała wręczyć mu Madeleine.

– Nie, naprawdę nie jestem głodny – mówił, klepiąc się po brzuchu. –

Wielkie dzięki.

Stara służąca zganila go, jakby był jej niegrzecznym synem.

Uśmiechnęliśmy się i wyszliśmy.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, rzekł:

– Skłamałem. Faktycznie jestem głodny jak cholera, a to jedzonko, które upichciła, jest pewnie znakomite. Jednak to miejsce zaczyna mi działać na nerwy.

– Faktycznie. Tam są niedobre fale – odparłem, wsiadając do samochodu. – Pomyśl, jak musi się czuć Melissa.

– Tak – rzekł, uruchamiając silnik. – Teraz jest całkiem sama. Co proponujesz?

– Wiesz, znam odpowiednią restaurację.

Zbliżał się czas kolacji, ale „La Mystique” świeciła pustkami.

– O Boże, mamy siedzieć za barem? – westchnął Milo.

– Tam jest klinika Gabneyów – wskazałem na wielki brązowy budynek.

Okna były zaciemnione, podjazd pusty.

– Ach tak – rzekł Milo, krzywiąc się. – Mam wrażenie, że tam straszy. –

Zwrócił się ponownie w stronę restauracji. – Więc to jest twój punkt obserwacyjny?

– Nie. To jest spokojna przystań dla steranych żeglarzy.

Joyce była wyraźnie zdziwiona, widząc mnie po raz drugi tego samego dnia. Powitała nas jednak tak, jakbyśmy byli dalekimi krewnymi, którzy nie odwiedzali jej od wieków. Zaprosiła do stołu przy oknie. Ponieważ jednak o tej porze to my bylibyśmy widoczni, a nie klinika, więc wybraliśmy stolik nieco z tyłu.

Zamówiliśmy napoje. Po chwili przyniosła dwa zimne Grolsche. Kiedy napełniała szklanki, rzekła:

– Mam bardzo smaczne filety z okonia, a dla specjalnych gości wyśmienite wino włoskie.

– Ja poproszę okonia – rzekłem.

Milo rzucił okiem na menu.

– A dla mnie *entrecôte*.

– Już się robi.

– Krwisty, z podwójną porcją ziemniaków. Poszła za przegrodę do kuchni i zaczęła się krzątać. Stuknęliśmy się szklankami i napiliśmy piwa. Anger powiedział, że Chickering przerwał poszukiwania Giny – rzekłem.

– To mnie nie dziwi. Kiedy ostatni raz skontaktowałem się z szeryfem, dochodziła druga. Wszyscy byli wykończeni, a nie natrafili na żaden ślad w lesie.

– Więc nasza dama jest w zbiorniku?

– Na to wygląda. – Musnął palcami twarz. – To kto pierwszy?

– Zaczynaj.

– Większość czasu spędziłem w Hollywood. Spotkałem mnóstwo ludzi z show-biznesu.

– Widziałeś Crotty’ego? – zapytałem, przypominając sobie kościstego policjanta, który stał się aktywistą w stowarzyszeniu gejów.

– Nie, Crotty zmarł parę miesięcy temu.

– Tak, myślałem, że AZT potrafi zahamować rozwój AIDS.

– Wpakował sobie kulkę w łeb na własnej farmie za miastem.

– Szkoda faceta.

– Tak, ale chociaż zakończył żywot jak na policjanta przystało... Tak czy

owak oto czego się dowiedziałem w mieście snów: Gina, Ramp i McCloskey od połowy lat sześćdziesiątych należeli do zespołu studia filmowego Apex.

McCloskey nie pracował dla Apex, ale zawsze kręcił się w pobliżu. Utworzył agencję, w której zbierał ładne twarze obu płci. Z tego, co słyszałem, było to szemrane towarzystwo. Jednak na Ginę niczego nie znalazłem. Więc jeśli zgrzeszyła, zrobiła to szybko i po cichu. Większość z nich nigdy nie

rozpoczęło prawdziwej kariery. Studio filmowe traktowało ich jako rynek świeżego mięsa. Podpisywali coś w rodzaju kontraktu z dziećmi, których dziesiątki przyjeżdżały z Iowa każdego dnia, ale z poważnym ograniczeniem praw niedoszłych artystów. Używano ich do zapychania planu ładnymi twarzami i pewnymi częściami ciała, a kiedy pokazywały się zmarszczki, zwalniali ich bez litości.

– Ramp twierdził, że znał McCloskeya tylko przelotnie.

– O ile wiem, znali się jak stare konie.

Milo wziął walizeczkę na kolana i otworzył ją. Wyjął brązową teczkę nu akta. Wewnątrz znajdowało się czarno-białe zdjęcie z logo studia Apex w prawym dolnym rogu. Fotka była zrobiona w ekskluzywnej restauracji, a może była to jedynie scenografia planu zdjęciowego. Skórzane obicia, ściany pokryte lustrami, nakryty białym obrusem stół, srebrne zastawy, kryształowe popielniczki i paczki papierosów. Sześciu młodych ludzi w eleganckich strojach wieczorowych. Wszyscy promienieli fotogenicznymi uśmiechami, palili papierosy a niektórzy podnosili kieliszki do toastu.

Gina Prince z domu Paddock znajdowała się w samym środku. Blond włosy, piękna, w sukni z dużym dekoltem, i wysokim kołnierzem, który podkreślał długość i kształt jej szyi. Uderzające podobieństwo do Melissy.

Don Ramp stał obok uśmiechnięty, opalony, bez wąsów. Joel McCloskey znajdował się po jej drugiej stronie – przylizane włosy, przystojny, po prostu śliczny. Jego uśmiech różnił się od pozostałych. Był niepewny i jakiś posępny. Z papierosa, który trzymał w palcach, pozostał jedynie filtr.

Dwóch następnych twarzy – mężczyzny i kobiety – nie rozpoznałem, ale kobietę z samego brzegu właśnie niedawno miałem okazję spotkać.

– Ta tutaj – wskazałem na ognistą brunetkę w mini – to Bethel Drucker, matka Noela. Teraz jest blondynką. Widziałem ją dzisiaj. Pracuje u Rampa jako kelnerka w jego restauracji. Mieszka z Noelem na górze.

– No to jesteście w domu – rzekł Milo. – Rodzinka w komplecie. – Wyjął jeszcze jedno zdjęcie. – Zaraz, to musi być Becky Dupont, tak brzmiał jej pseudonim artystyczny. Niesamowicie zmysłowa.

– Nie zmieniła się.

– Ładniutka i zmysłowa?

– Tak. Chociaż ma swoje lata.

Zerknął w kierunku kuchni, gdzie uwijała się Joyce i kucharz.

– Nie wydaje ci się, że wszystkie kobiety wyglądają lubieżnie? Powiem ci jedną rzecz, nasza Becky-Bethel lubiła narkotyki. Tak wynika z moich źródeł. Chociaż nie trzeba tu żadnych źródeł. Wystarczy spojrzeć na te oczy.

Wpatrzyłem się w zdjęcie i zrozumiałem, co miał na myśli. Duże, ciemne oczy na wpół przymknięte, obwisłe powieki. Źrenice niewidzące, przymglone, śpiące, nieobecne. Całkiem inne niż u McCloskeya.

– Pasuje do tego, o czym dzisiaj powiedział mi Noel: zawsze wiedział, że narkotyki to świństwo. Z początku chciał się jeszcze z czegoś zwierzyć, ale zmienił zdanie i powiedział, że czytał coś na ten temat. Jest bardzo inteligentny i wie, czego chce. Coś mnie jednak w nim niepokoi, sam nie wiem co.

Oddałem mu fotografię. Zanim ją odłożył, rzekł:

– Wygląda na to, że wszyscy się tu znają. Dawni mieszkańcy Hollywood przenieśli się do San. Labrador.

– A co z tylni dwiema osobami?

– Nie ustaliłem nazwiska tego faceta. Nazwisko dziewczyny brzmi: Stacey Brooks. Zginęła w wypadku samochodowym w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, prawdopodobnie jechała po pijanemu. Nie ma co się dziwić – takie towarzystwo.

– Czy oni byli wykorzystywani jedynie jako statyści?

– Właśnie – tłumy, sceny przyjęć i balów, ludzie stojący w kolejce na poczcie, jednym słowem popychadła. Byli jednak z tego zadowoleni.

Rampowi udało się nawet dostać parę drugoplanowych ról w westernach klasy B i w filmach sensacyjnych.

– A McCloskey?

– Ludzie pamiętają go jako zadzierającego nosa twardziela. Podrzędny typ Marlona Brando, błyszczące emalią zęby, miał mnóstwo znajomości na New Joisey, ale nie robił żadnych większych przekrętów. I jeszcze jedno – szczególnie nienawidził homoseksualistów. Może faktycznie ich nie lubił, a może tylko chciał wyróżnić się bezwzględnością i siłą charakteru. Tylko on żył z Giną. Zapamiętano go jako faceta niemilego, ze skłonnościami do prochów: speed, koka, marycha i LSD. Kiedy jego interesy podupadły, zajął się rozprowadzaniem narkotyków. Zaopatrywał ludzi ze studia filmowego. W końcu musiał sprzedać swoją agencję. Modele, którzy dla niego pracowali, chcieli forsy, a on jej nie posiadał.

– Czy został kiedyś oskarżony o handel narkotykami?

– Nie. A czemu pytasz?

– Tak sobie myślę, czy Gina mogła się jakoś przyczynić do tego, że zaczął mieć kłopoty z prawem. Może myślał, że ona na niego doniosła. To byłby dobry motyw, żeby spalić jej twarz.

– Tak, ale, niestety, według kartotek policyjnych jest on czysty jak łąza, oczywiście przed sprawą z Giną.

Joyce przyniosła pieczywo. Kiedy oddaliła się, rzekłem:

– A co myślisz o tym, że jego niechęć do homoseksualistów była jedynie przykrywką, żeby ukryć fakt, iż sam był gejem? Gina dowiedziała się o tym i wybuchła pomiędzy nimi kłótnia. Może nawet groziła, że go zdemaskuje.

Więc McCloskey opłacił Findlaya, który wykonał brudną robotę. To by wyjaśniało, dlaczego nie chciał mówić o motywach. Mógł bać się ośmieszenia i kompromitacji.

– Jeśli przyjąć taką wersję, należałoby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ona nie wyjawiała prawdy.

– Racja.

– A może – rzekł Milo – było to o wiele prostsze? McCloskey, Gina i Ramp tworzyli paczkę przyjaciół, kiedy nagle Joel został wykluczony z towarzystwa. Pamiętasz, w jaki sposób siedzieli na zdjęciu? Gina wyglądała jak plasterek szynki w kanapce. Pewnie nie ma to żadnego związku z jej zniknięciem, ale możemy dowiedzieć się czegoś więcej na temat pana R.

– Dobrze prosperujący biznesmen, który stara się zapomnieć o niechlubnej przeszłości?

– Tak. Nawet kiedy zaczęliśmy poszukiwania jego żony i McCloskey, był

głównym podejrzanym, Ramp nie napomknął ani słowem o dawnych latach.

Twierdził jednak, że Joel może być winny. Myślisz, że ukrywał coś co mogłoby pomóc nam ją odszukać?

– Jeśli w ogóle jest coś do ukrycia – odparłem. – Czemu Ramp miałby znać motyw zbrodni, jeśli nie znała go Gina?

– Wydaje mi się, że Gina musiała zdawać sobie sprawę ze skłonności Rampa do chłopców, kiedy go poślubiła. W dzisiejszych czasach biseksualiści nie są najlepszym materiałem na stałych partnerów – duże ryzyko zarażenia. Jednakże jej to nie przeszkadzało.

– Oddzielne sypialnie, a więc brak ryzyka.

– Tak. Co ją do niego przekonało?

– W gruncie rzeczy to bardzo miły gość. Tolerancyjny w stosunku do jej stylu życia, a więc i ona była tolerancyjna w stosunku do niego. Oprócz tego Ramp okazał dobre serce – pomógł Bethel, płaci za studia Noela. Może Gina bardziej ceni to od seksu?

– Przyjaciele z dawnych czasów. Ciekawe, co myśli Bethel, wycierając stoły, kiedy jej starzy przyjaciele żyją w luksusach.

– Noel opowiadał, że wspólnie z mamą doświadczyli ciężkich chwil.

Wycieranie stolów może być niemałym sukcesem.

– Założmy – rzekł, biorąc kromkę chleba.

– Wróćmy jednak do Rampa.

– Pojechałem do Malibu pomówić z Nyquistem, ale domek był pusty.

Według sąsiadów, Nyquist spakował się poprzedniej nocy i wyjechał w bliżej nie określonym kierunku. W klubie tenisowym, gdzie pracuje, nie

pokazywał się ostatnio. Miał prowadzić treningi również dzisiaj, ale nie

pofatygował się nawet zadzwonić i je odwołać.

– Ramp również zwija manatki. Kazał Noelowi, żeby spakował mu walizki. Może to wstrząs spowodowany utratą Giny, ale pozostaje sprawą otwartą pytanie, czy zaskarzy prawomocność testamentu, czy wypłaci sobie odszkodowanie z jakiejś polisy ubezpieczeniowej, o której nikt nie ma pojęcia. Nie mówiąc już o brakujących dwóch milionach. Kto inny, jak nie mąż, ma prawo zagarnąć tę sumkę?

– Podejrzenia Melissy sprawdzają się – zauważył.

– Nawet dziecko by spostrzegło, że Ramp z chwilą zniknięcia Giny staje się *persona non grata*. Jaka jednak rola przypadła Toddowi? Może on ją uprowadził, żeby mieć dostęp do owych dwóch milionów?

– W każdym razie Ramp jest wciąż w pobliżu. Widziałem jego mercedesa przed restauracją. Potem zajrzałem do środka. Don był prawie nieprzytomny, śmierdział alkoholem. Bethel uwijała się przy nim jak dobra matka. Wyszedłem i poszedłem trochę po drugiej stronie ulicy.

Obserwowałem restaurację, ale Nyquist nie pojawił się.

– Czekaj, Milo. Jeśli Ramp planuje wielką ucieczkę, to czemu rozpowiada o tym wszystkim na około?

– Stosuje klasyczną zasłonę dymną. Wszem i wobec wyniszczył ważne powody wyjazdu – nieopisana żalność, cierpienie niepotrzebnego, starego człowieka – żeby na niego ani na Todda nie padł cień podejrzenia. A i tak nie może być podejrzanych, póki oficjalnie nie stwierdzono zbrodni. Niestety, nie mogę się rozdzielić, a trzeba jednocześnie odszukać Nyquista i poszperać

w dossier pana Angera i Douse'a. Tym bardziej, że poczynili już oni pewne kroki przeciwko Melissie, I jest raczej pewne, że posuną się znacznie dalej.

Nasza sytuacja nie jest godna pozazdroszczenia, prawda?

– Ano nie jest.

Zadumał się na chwilę.

– Mam pomysł. Zadzwoń do pewnego człowieka, który ma licencję prywatnego detektywa, ale dawno wypadł z obiegu. Nie jest nadzwyczaj błyskotliwy i twórczy, ale dostatecznie pracowity. Zlecę mu śledzenie Dona, a ja zajmę się naszymi finansistami.

– A co z Nyquistem?

– Wątpię, żeby Nyquist wykazał własną inicjatywę i ruszył się choćby na krok z kryjówki.

Podano nasze dania. Milo odkroił kąsek i włożył do ust.

– Całkiem niezłe – stwierdził.

Jedliśmy przed parę minut w milczeniu.

– Teraz moja kolej – rzekłem.

– Czekaj. Znalazłem coś na temat pierwszego męża Giny, Dickinsona. To był karzelek.

– Wiem. Widziałem go na fotografii. Zabłysły mu oczy.

– Gdzie?

– W domu. Na stryżku.

– A więc przerzuciłeś się na archeologię? Gratulacje. Ja nie natrafiłem na żadne jego zdjęcie. Jak wyglądał?

Opisałem mu Artura Dickinsona i Ginę, zmumifikowaną pannę młodą.

– Ładne rzeczy – rzekł. – Pierwszy mężczyśo – kurdupel, drugi – amator chłopców. Wychodzi na to, że nasza dama nie gustowała w prawdziwych mężczyznach.

– Zgodnie z teorią Freuda agorafobia prowadzi do braku zainteresowania seksem. Pożądanie seksualne zostaje niejako wypchnięte ze świadomości przez silne lęki.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście nie dotyczy to każdego przypadku, ale tym razem może być jakimś wytłumaczeniem. To by tłumaczyło moją teorię, że Gina poślubiła Rampa z potrzeby przyjaźni. Fakt, że się kiedyś przyjaźnili, usuwał jej obawy. W dodatku to Melissa ich skojarzyła. Starzy przyjaciele, którzy, schodzą się po latach, to znany motyw.

– Mam coś jeszcze na Artura – rzekł, mrużąc oczy. – Prócz tego, że zbil fortunę na swoim wynalazku, inwestował również w show-biznes. Miał powiązania ze studiem filmowym Apex. Nie ustaliłem, czy finansował filmy z Giną i Rampem, ani czy znał ich przed procesem McCloskeya. Należy jednak wziąć pod uwagę taką ewentualność.

– Tak więc jesteśmy już o krok od pana sędziego.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, że wuj Douse'a był Sędzią Najwyższym Stanu Kalifornia?

Czy pełnił tę funkcję, kiedy zaczął się proces McCloskeya?

Milo zamyślił się.

– Kiedy to było, w sześćdziesiątym dziewiątym? Nie. Harmon Bouse już tam nie pracował. Pamiętam, że był nazywany Żelaznym Harmonem.

Wydawał ciut za surowe wyroki.

– Jeśli nawet nasz sędzia przeszedł na emeryturę, to pozostały mu dobre znajomości. Artur Dickinson był klientem jego firmy. Czy więc wybór

Jacoba Dutchy’ego na ławnika był całkowicie przypadkowy?

– Mój drogi, widzę, że uwielbiasz wynajdywać spiski nawet tam, gdzie ich nie ma.

– Tego nauczyło mnie życie.

Uśmiechnął się i odciął kawałek mięsa.

– Więc mi powiedz, jaki to ma związek ze zbiornikiem wodnym?

– Może nie ma żadnego, ale powinniśmy zapytać o to McCloskeya. Może coś nam teraz powie, może czeka, żebyśmy go przycisnęli i uwolnili od ciężącej tajemnicy? To, co się przydarzyło Ginie, mogło być zwykłą zemstą.

Kiedy wyszedł z paki, opłacił kogoś, a ten dopadł ją i utopił.

– No, nie wiem. Jestem święcie przekonany, że pod względem psychicznym ten facet jest kompletnym zerem. W dodatku nie ma żadnych kontaktów ze środowiskiem przestępczym. A w takich wypadkach to jest nieodzowne. Nieborak siedzi w misji i modli się o rychłą śmierć.

– Ja tego nie kupiłem. Nawet mierny aktor mógłby odegrać przed nami scenkę: popatrzcie, jakim jest męczennikiem, i nie zapomnijcie o mnie w swoich modlitwach.

– Dobra. Dzisiaj do niego wstąpię i zaproponuję jeszcze jedną, szczerą spowiedź. Zanim nie otworzą banków, nie mogę zająć się tropem finansowym.

Zbliżyła się do nas Joyce. Nasze komplementy sprawiły, że pokraśniała.

Dla niej to był dobry dzień. Przyniosła nam kawę i deser na koszt firmy. Milo

zatopił widelczyk w ciastku z podwójną czekoladą, przeżuł kęs i rzekł:

– Niesamowite, bajeczne. Nie jadłem lepszego. – Rozanielona odeszła od naszego stolika.

– Teraz twoja kolej – rzekł Milo. Powiedziałem mu, jaką wartość ma Cassat.

Zagwizdał cicho:

– Dwieście pięćdziesiąt kawalców to nie byle co.

Skinąłem głową.

– Coś tu śmierdzi. Nie jestem jedynym, który podejrzewa Gabneyów o nieczne czyny.

Powtórzyłem mu to, czego dowiedziałem się o Kate Moriarty.

– Reporterka?

– Śledcza reporterka. Kate uwielbiała wynajdywać i tropić intrygi

wszelkiego rodzaju. Pojawiała się zawsze tam, gdzie coś się działo. Robiła to przez całe życie. Ostatnio pracowała w Bostonie. To stamtąd przenieśli się Gabneyowie. Myślę, że coś wywąchała i przyjechała w ślad za nimi.

Przedstawiła się jako agorafobiczka i przeniknęła do grupy pacjentów. W ten sposób miała informacje z samego źródła.

– To trzyma się kupy. Kto płacił za jej leczenie? To przecież poważne sumy.

– Nasza reporterka naciągała siostrę.

– Ciekawe na ile?

– Nie wiem. Możliwe, że ktoś zlecił jej tę robotę, na przykład redakcja

jakiejś gazety albo wydawca. Była w trakcie pisania książki. Nie dała znaku życia od ponad miesiąca. Wynika z tego, że z grupy pacjentów nagle zniknęły dwie osoby. Chociaż siostra Kate utrzymuje, że to normalne. Jednak z całą pewnością wiem, że Kate nie cierpiała na agorafobię. Z tego wniosek, że szpiegowała Gabneyów.

– Mamy więc następny motyw finansowy. Podobnie jak Anger i prawnik, również Gabneyowie chcieli okraść Ginę.

– Trzeci trop to Ramp i Nyquist.

– A w wyniku tego mamy morderstwo.

– Czterdzieści milionów starczyłoby dla wszystkich – rzekłem. – Nawet dwa miliony to duża suma. Najbardziej podejrzewam jednak Gabneyów.

Może wynieśli się z Bostonu z obawy przed skandalem?

– To prawda. Harvard nie lubi skandali.

Pokiwałem głową.

– Jednak Kate nie dała za wygraną i podążyła w ślad za nimi.

Milo dokończył ciastko i oblizał wargi.

– Z tego co wiem, Gabneyowie są znani w środowisku.

– Tak. To powszechnie poważane nazwisko. Leo jest prawdopodobnie najbardziej utytułowanym ekspertem od terapii behawioralnej. Ursula ma

dwa doktoraty. To nie byle co. Musieliby jednak przepracować mnóstwo

godzin, żeby zakupić Cassat. Kiedy po raz pierwszy spotkałem Leo,

opowiadał o utracie jedyne go syna w pożarze. Oskarżał sąd, a nawet cały

system sądowy, o błędne orzeczenie w sprawie rozwodowej z pierwszą żoną.

Może tkwi w nim jakaś zadra, która właśnie teraz się ujawniła?

– Zbrodnia jako prywatna zemsta na systemie sądowniczym? Bardzo możliwe. A Ursula? Jaki jest jej w tym udział?

– Ursula robi to, co każe jej Leo. Jednak wypadek Giny wstrząsnął nią. Może o niczym nie wie? Chciałem z nią pomówić, ale mi uciekła.

– Znalazła sobie niezłego opiekuna, co? Chociaż obraz był w jej gabinecie.

– Może jest wierzchołkiem góry lodowej?

– Dzieła sztuki dla niej, a gotówką dzielą się w odpowiedniej proporcji?

– Wiemy jedynie, ile Gina otrzymywała każdego miesiąca. Anger mógł jednak tak zaprogramować komputer, jak mu się podobało.

– Czemu Gina podarowała tak cenną rzecz?

– Wdzięczność, uzależnienie. Z tych samych powodów członkowie tych sekt oddają nawet życie dla guru.

– A może tylko wypożyczyła ten obrazek na jakiś czas?

– Możliwe.

Zmarszczył czoło i przesunął talerzyk.

– Najpierw Ramp i Nyquist, teraz ci cholerni psychoanalitycy.

Potencjalna ofiara takiej zgrai ma niewiele szans.

– Oni są jak mrówki, które krążą wokół nieżywego chrabąszcza.

Milo rzucił serwetkę na stół.

– Co jeszcze wiesz o Moriarty?

– Jej adres. Zachodnie Hollywood. – Podalem mu kartkę, którą dostałem od Jany Robbins.

– O, jesteśmy sąsiadami. To zaledwie parę przecznic ode mnie. Mogłem

stać przy niej w kolejce w supermarkecie.

– Nie wiedziałem, że robisz zakupy.

– Użyłem metafory. – Podniósł walizeczkę i położył ją na kolanach, następnie wyjął notatnik i zapisał adres.

– Złożę jej niezapowiedzianą wizytę – rzekł. – Jeśli w ogóle jeszcze tam mieszka. Jeżeli nie, wszystko inne będzie musiało poczekać. To jest chyba najwłaściwszy trop.

– Czy mógłbym też dostać taką walizeczkę? Należy mi się jakaś nagroda za zdobyte informacje.

– Sam sobie kup. Jesteśmy na oddzielnym rozrachunku, kolego.

Rozdział trzydziesty

Zapłaciłem rachunek, kiedy Milo gawędził z Joyce, zachwalając jej obsługę i wyśmienitą kuchnię. Wspomniał chyba o wszystkich kłopotach, jakie mają ludzie otwierający własne przedsiębiorstwo. Następnie w naturalny sposób przeszedł na temat Kate Moriarty, lecz nie dowiedział się niczego nowego. Podała nam jej rysopis: po trzydziestce, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, średniej budowy ciała, brązowe, krótko podstrzyżone włosy, dużo piegów na twarzy, co upodabniało ją do Irlandki, błękitno-zielone oczy.

Joyce nagle skrzyżowała ręce na piersi.

– Ale po co to panom? – zapytała.

Milo rozejrzał się po sali. Odczekał chwilę, aż pozostaliśmy jedynymi klientami, i wyjął odznakę policyjną. Otworzyła usta, ale nic nie wyrzekła.

– Proszę nikomu o tym nie rozpowiadać. To bardzo ważne – powiedział

łagodnym głosem.

– Oczywiście. Czy grozi...

– Nie. Nie ma żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa. Prowadzimy rutynowe dochodzenie.

– Czy chodzi o klinikę?

– Tak. Czy coś szczególnego zwróciło pani uwagę?

– Już mówiłam, że przychodzi tam niewiele osób. Zastanawiałam się nawet, co oni tam robią. To jest bardzo dziwne.

– To prawda.

Najwyraźniej cieszyła się, że powierzono jej tak bardzo ważną tajemnicę.

Milo jeszcze raz poprosił, żeby trzymała buzię na kłódkę, i wyszliśmy z restauracji. Ruszyliśmy w drogę powrotną do Sussex Knoll.

– Myślisz, że potrafi zachować milczenie? – zapytałem.

– Kto wie.

– To cię nie martwi?

Wzruszył ramionami.

– W najgorszym razie dojdzie do Gabneyów, że ktoś się o nich wypytywał.

Jeżeli są czyści, to nie ma sprawy. Jeżeli jednak mają coś na sumieniu, mogą się przestraszyć i zrobić jakiś nieprzemyślany ruch.

– Na przykład jaki?

– Mogą sprzedać Cassat. A może mają coś jeszcze, co należało do Giny?

Gina. Wymawiał jej imię z taką swobodą, jakby znał ją od dawna, chociaż w rzeczywistości nigdy się nie poznali. Gliniarz, który ma najpełniejsze informacje, który ma wgląd w intymne życie ludzi. To nie była jedyna osoba,

której nigdy nie spotkał, ale znał bardzo dobrze...

– ...Przeciwko temu – perorował Milo. – Dobrze?

– Co dobrze?

Zaśmiał się.

– Jedź do domu i prześpij się.

– Nie jestem zmęczony. Co mówileś wcześniej?

– Zaproponowałem, żebyś to ty pojechał do Moriarty, ale dopiero jutro rano. Jeśli wynajmowała mieszkanie, pogadaj z właścicielem i wypytaj sąsiadów.

– Na jakiej podstawie?

– Jak to, na jakiej podstawie?

– Nie mam przecież odznaki.

– To sobie kup. Jest taki sklep przy Hollywood Boulevard. Można tam znaleźć wszystko, czego sobie życzysz. To jest jak wielka rekwizytornia teatralna.

– Przecież podszywanie się pod policjanta jest nielegalne.

Na jego ustach pojawił się szatański uśmiech.

– Dobra, dam ci podstawę: powiedz, że jesteś jej starym znajomym ze Wschodniego Wybrzeża i chcesz razem powspominać dawne, dobre czasy.

Albo przedstaw się jako daleki kuzyn, piąta woda po kisielu – cała rodzina się o nią zamartwia, gdzie jesteś, biedna Kate? Rusz głową, wymyśl coś.

– Nie lubię rozpoczynać dnia od steku bzdurnych kłamstewek.

– Och nie. Nie chcę tego słuchać.

W drzwiach domu ujrzeliśmy Noela Druckera z wyladowaną niebieską

walizką.

– Ona jest na górze. Coś pisze – rzekł.

– Co takiego?

– Myślę, że ma to związek z tym facetem z banku i z adwokatem. Ona chce ich zaskarżyć do sądu.

Milo wskazał na walizkę.

– To dla szefa? – zapytał.

Noel skinął głową.

– Wiesz, gdzie zamierza się przenieść?

– Tymczasem zamieszka razem z nami nad restauracją, zanim czegoś nie znajdzie. To był jego pomysł.

– Czy coś mu płacie?

– Nie, wynajmuje nam pokój za darmo.

– To bardzo miłe z jego strony.

Noel znów kiwnął głową.

– To naprawdę dobry człowiek. Chciałbym... – Machnął ręką ze zrezygnowaniem. – Nieważne.

– Musisz się niezbyt dobrze czuć – rzekłem – jesteś jak gdyby zawieszony pomiędzy nimi.

Wzruszył ramionami.

– Przyzwyczajam się.

– Traktujesz to jako praktykę do studiów nad stosunkami międzynarodowymi?

– Nie, to normalne życie.

Wsiadł do czerwonej toyoty i odjechał.

Milo obserwował go, aż celica zniknęła nam z pola widzenia.

– Miły chłopak – rzekł w taki sposób, jakby opisywał niegroźny gatunek zwierzęcia.

Uderzył walizką o nogę i spojrzał na swojego timexa.

– Dziewiąta trzydzieści. Muszę zadzwonić, potem udam się do misji, żeby coś wyciągnąć od pana Umarlaka.

– Jeżeli nie będę potrzebny Melissie, pojedę z tobą.

Zmarszczył brwi.

– A co ze snem?

– To nazbyt męczący sposób spędzania wolnego czasu.

Przez chwilę milczał, w końcu odrzekł:

– W porządku. Tamten gość to kompletny świr, więc możesz się przydać.

Potem jednak zrób mi tę przyjemność, pojedź do domu i się wyśpij.

– Tak jest, mamusiu.

Melissa siedziała w pokoju bez okien. Na biurku obok niej piętrzył się stos papierów.

Kiedy stanęliśmy w drzwiach, gwałtownie wstała i strąciła parę kartek na podłogę.

– Ustalam strategię – rzekła. – Zastanawiam się, jak dopaść tych lotrów.

Milo podniósł kartki, rzucił na nie okiem i położył je na biurku.

– Wymyśliłaś coś?

– Tak jakby. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli prześledzę po kolei każdy ruch, jaki wykonali, każdą transakcję i operację... Od samego początku.

Każę przekazać sobie wszystkie księgi rachunkowe. Tylko w ten sposób znajdę na nich haka.

– Atak jest najlepszą obroną.

– Właśnie! – Klasnęła w dłonie. Jej policzki nabrały rumieńców, oczy zapłonęły, ale nie była to oznaka zdrowia. Milo uważnie się jej przyglądał, ale nie zauważyła tego.

– Alex, czy znalazłeś mi już nowego prawnika?

– Jeszcze nie.

– Dobrze, ale postaraj się to zrobić jak najszybciej.

– Mogę zająć się tym natychmiast.

– Doskonale. – Chwyciła telefon z biurka i rzuciła mi go.

– Chętnie się czegoś napiję – rzekł Milo.

Spojrzała na niego, potem na mnie.

– Chodźmy do kuchni, coś tam znajdziemy.

Pozostałem sam. Wykręciłem numer domowy Mala Worthy’ego. Po trzecim dzwonku usłyszałem głos jego żony, nagrany na automatyczną sekretarkę. Zacząłem mówić, kiedy włączył się Mal.

– Cześć Alex. Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Znalazłem ciekawy przypadek. Rozchodzi się małżeństwo psychologów, sprawa toczy się o trójkę naprawdę pokreconych dzieciaków. Występuję jako rzecznik żony.

Jezu, nie spotkałem jeszcze takiego charakterku. Zapowiada się prawdziwa bitwa.

– I dużo zabawy, jak się domyślam.

– Za mało powiedziane. Jak tam jesteś z czasem, będziesz wolny za pięć

tygodni? – Teraz jestem zajęty, ale do tego czasu powinienem się uwinąć. –

Dobrze. Na pewno ci się spodoba. Ta para, to najbardziej zwariowani ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałem. Strach pomyśleć, że miesza w głowach innym ludziom, ale to również twój zawód, co?

– Właściwie chciałem pogadać o twojej profesji – rzekłem. – Potrzebuję porady.

– O co chodzi?

– Prawo finansowe i prowadzenie spraw majątkowych.

– Chodzi ci o adwokata czy o pomoc prawną?

– Możliwe, że o to i o to. – Opisałem mu ogólną sytuację Melissy, przemilczając nazwiska i liczby.

– Proponuję Suzy LaFamiglia, jeśli twój klient nie ma uprzedzenia do kobiety prawnika.

– W porządku.

– Pytam, bo nie masz pojęcia, jak często ludzie przywiązują do tego wagę

– żadnych kobiet, żadnych mniejszości. Ich strata, bo Suzy jest najlepsza.

Ukończyła ekonomię i prawo, przez jakiś czas pracowała dla dużej firmy.

Prowadziła masę spraw z pełnym powodzeniem, ale nie awansowała, bo miała nieodpowiednią pleć. Więc przeniosła się do Boalt – pierwsza liga.

Uchodzi za wybitnego adwokata. Miała dużo zleceń od ludzi związanych z

filmem i wszystkie wygrywała. W sprawach finansowych sam zasięgam u

niej rady od czasu do czasu. Zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Właśnie tego szukałem.

Podał mi jej numer.

– Century City East, wynajmuje całe piętro jednego z tych błękitnych drapaczy chmur. Przekręcę do ciebie w tej drugiej sprawie. Zobaczysz, spodoba ci się ta para pokrzykujących, wymieniających kuksańce i policzki psychoterapeutów.

Milo wrócił bez Melissy.

– Jest w łazience – rzekł – wymiotuje.

– Co się stało?

– Po prostu zwymiotowała. Dużo mówiła, wyzywała tamtych od chłystków i glist. Coś powiedziałem i naraz wybuchnęła płaczem, zakrzuszyła się.

– Zauważyłem, że obserwujesz ją na zimno, jak detektyw, a potem, kiedy chciałem zadzwonić, wyszedłeś z nią z pokoju. Dlaczego?

Nastroszył się.

– Powiedz dlaczego? – powtórzyłem.

– Niech będzie. Zawsze przychodzą mi do głowy najgorsze myśli. Za to właśnie mi płacą. – Zawahał się. – Chciałem się jej przyjrzeć z bliska, kiedy jest sama, bez ciebie. Bo to jej zachowanie zaczęło mnie niepokoić. Zacząłem główkować i doszedłem do wniosku, że zapomnieliśmy o jeszcze jednej ewentualności. Bardzo szpetnej ewentualności, ale czasem te są najistotniejsze.

– Melissa? – Poczulem ucisk w żołądku.

Odwrócił się do mnie i stanęliśmy twarzą w twarz.

– Słuchaj, Alex, ona jest wyłączną dziedziczką czterdziestu milionów. I zamierza o tę forsę walczyć, kiedy zwłoki leżą jeszcze w trumnie.

- Nie ma żadnych zwłok w trumnie.
- Nie zrozum tego dosłownie, to taki chwyt retoryczny.
- To poroniony pomysł.

Potrząsnął głową.

– To chodziło mi po głowie od samego początku. Uczono mnie myśleć w ten sposób: gdzie wchodzi w grę pieniądze, zawsze szukaj osoby, która może najbardziej skorzystać. Tym razem jakoś nie chciałem tak na to patrzeć.

– Milo, ona walczy, ponieważ przetwarza rozpacz w złość i aktywność. To jest klasyczny mechanizm obronny. Broni się, żeby nie popaść w depresję.

Uczyłem ją tego w czasie leczenia. Wiele razy pisałem o tym w różnych artykułach.

– Słuchaj, ja chcę jedynie się jej przyjrzeć, traktuj to jako rutynową kontrolę.

– Nie mówisz poważnie.

– Nie powiedziałem, że taka możliwość jest prawdopodobna, powiadam jedynie, że coś przeoczyliśmy. A nawet nie my, ja sam. To mnie uczono brać pod lupę nawet najbardziej ohydne przypuszczenia. Zapomniałem o tym.

Nigdy by do tego nie doszło, gdybym prowadził tę sprawę z urzędu.

– Ale nie prowadzisz! – zawołałem, podnosząc głos. – Więc bądź tak dobry i porzuć te myśli.

– Ja tylko podaję informację. Posłańców, choćby przynosili najgorsze wiadomości, nie zabija się.

– Ona nie mogła tego uczynić. Była tutaj, kiedy jej matka zniknęła.

– Mógł to zrobić młody Drucker. Gdzie był w owym czasie?

– Nie wiem.

Pokiwał głową, ale na jego obliczu próżno by szukać zadowolenia.

– Zauważyłem, że on ani razu się jej nie sprzeciwił. To bardzo dziwne.

Czyści automobile i zna w nich każdą śrubkę. Gina mogła go wziąć dorolls-royce'a, na wypadek gdyby nagle auto zepsuło się na drodze. To dlatego niepokoiło cię jego zachowanie.

– Nie powiedziałem, że wyczulem w nim coś nienormalnego.

– Dobrze, niech ci będzie.

– Proszę cię, stary, nie – rzekłem, czując narastający ból głowy. – Tak nie można, nie można.

– Oczywiście, Alex, ja również nie chcę o tym myśleć. Polubiłem tę dziewczynę. Jednak wygląda mi ona na zanedo... zawziętą, upartą.

Nieustannie powtarza, że dopadnie tych padalców. Więc kiedy byliśmy w kuchni, powiadam jej, że jakoś strasznie pali się do tej zemsty, a ona zamilkła i rozryczała się. Poczulem się wszawo, ale z drugiej strony to lepiej, bo zaczęła znowu zachowywać się jak dzieciak, który utracił matkę. Przykro mi, nie chciałem...

– Najprawdopodobniej wcześniej czy później ten wybuch musiał nastąpić. Ty jedynie go przyśpieszyłeś.

– Tak, tak...

Żaden z nas nie powiedział głośno tego, nad czym obaj dumaliśmy: czy ta reakcja była autentyczna?

Nagle poczułem zmęczenie. Usiadłem w fotelu obok stołu. W palcach ścisnąłem kartkę z numerem do Suzy LaFamiglia.

– Właśnie znalazłem prawnika, kobietę. Jest twarda i lubi staczać

pojedyńki. Takiej nam trzeba.

– Interesujące.

– Chciałbym, żeby Melissa wyrosła na kogoś takiego.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Melissa zajrzała do pokoju o pięciu ścianach. Była przygarbiona, miała chwiejny krok, do ust przykleił się jej kawałek papieru toaletowego.

Podąłem jej numer telefonu prawniczki. Podziękowała bardzo cichym głosem.

– Chcesz, żebym zadzwonił w twoim imieniu?

– Nie dzięki – odparła – zajmę się tym jutro.

Usiadła za biurkiem. Bezradnie uśmiechnęła się do Milo.

Milo odpowiedział uśmiechem i utkwiał wzrok w puszcze z napojem. Już nie wiedziałem, komu należy bardziej współczuć.

Melissa westchnęła i podparła głowę obiema rękoma.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

– Nie wiem – odparła. – Chyba zachowuję się... Nie wiem.

Dotknąłem jej ramienia.

– Jak mam ich pobić? – powiedziała. – Jestem zerem. Kto będzie chciał mnie słuchać?

– Tym zajmie się twój prawnik. Teraz powinnaś dbać o siebie.

– Jestem samotna – rzekła po długim milczeniu.

– Wielu ludzi myśli o tobie.

Milo uparcie spoglądał na podłogę.

– Nie. Naprawdę jestem sama – powtórzyła głęboko zamyślona. Jakby coś bezskutecznie próbowała zrozumieć, mając przed sobą przepaść, niezmierną głębię.

– Nie mam już sił. Pójdę się przespać – rzekła.

– Chcesz, żebym został?

– Tak. Boję się samotności.

Milo postawił puszkę na biurku i wyszedł z pokoju.

Powiedziałem Melissie, że wszystko będzie dobrze, że sytuacja nie jest beznadziejna, że wystarczy nam sił i determinacji, że się nie damy. Jednak nie bardzo ją uspokoiłem.

Milo powrócił w towarzystwie Madeleine, która przytuliła Melisę i zaczęła głaskać jej włosy.

– Ja z tobą zostanę, *chérie*. Chodźmy na górę.

W drodze do domu Milo rzekł:

– Chyba przesadziłem.

– Więc już nie myślisz, że udawała?

Milo nagle nacisnął hamulec. Samochodem zarzuciło i stanęliśmy.

Gwałtownie odwrócił się w moją stronę.

– Dość tego! Nie pozwolę się obrażać!

Błysnęły mu zęby. Zacisnął pięści. Aż się go przestraszyłem.

– Słuchaj – rzekłem. – Nie zrozum mnie źle. Mówiłem poważnie. Czyż nie mogła udawać?

– Owszem, ale nie wmawiaj mi, że to ja chcę zrobić z niej psychopatkę! – wykrzyknął, uderzając pięścią w kierownicę.

– Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz! – zawołałem. – Podsuwasz mi

jakieś nowe teorie, a potem wycofujesz się jakby nigdy nic!

– To był tylko taki pomysł, nic więcej.

– Jesteśmy tu po to, żeby pomóc, a nie rzucać pomysły!

Oklapł nagle. Przyglądał włosy.

– Kurczę, co my wyrabiamy?

– To z braku snu – rzekłem, czując, że cały się trzęsę.

– Chyba tak... Nie myślisz, żeby zrezygnować z tej pracy?

– Do diabła! Pewnie że nie!

Zaśmiał się.

– Ani ja... Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem.

– To ja przepraszam. Zapomnijmy o tym.

Oparł ręce na kierownicy i ruszył wolno, nadzwyczaj ostrożnie. Zwalniał

na każdym skrzyżowaniu nawet wtedy, gdy mieliśmy pierwszeństwo i

zielone światło. Rozglądał się dookoła, chociaż ulice były puste. Przy

Cathcart odezwał się:

– Zaczynam się gubić w tym gąszczu przypadkowych wątków. Życie nie jest czarno-białe, nie składa się z dobrych policjantów i złych złodziei, albo jeszcze lepiej – ze szlachetnych policjantów i wstrętnego, niemoralnego świata. To bezsensowne podejście.

„Jak wielką część swojego życia spędził w policji” – pomyślałem. „Co

teraz musi przeżywać, gdy został wydalony przez takich jak on policjantów?”

– Nie zrobiłeś niczego, za co musiałbyś przeproszać. Ja z racji swojego

zawodu stałem od początku na pozycji jej obrońcy. Nie powinienem mieć do

ciebie pretensji, że zaliczyłeś ją do kręgu podejrzanych. Nie wiadomo, dokąd zaprowadzą nas fakty...

– Fakty – mruknął – nie mamy ich wiele...

Chyba chciał powiedzieć więcej, ale pojawił się znak informujący o początku autostrady i dodał gazu.

Dochodziła dziesiąta, kiedy dotarliśmy do Domu Misyjnego Wiecznej Nadziei. Zaparkowaliśmy parę metrów od głównego wejścia. W powietrzu unosił się smród odpadków, śmieci, zapach słodkiego wina i roztopionego asfaltu, ale oprócz tego poczuliśmy woń kwiatów od strony zachodniej, jej ożywczy powiew, jakby bezinteresowny podarunek ogrodów pobliskiej bogatej dzielnicy.

Wejście do misji było dobrze oświetlone. Stało tu sześciu obdartych mężczyzn. Słuchali lub udawali, że słuchają dwóch elegancko ubranych ludzi.

Podeszliśmy bliżej. Ci dwaj byli po trzydziestce. Jeden wysoki, chudy, z króciutkimi blond włosami i ciemnymi gęstymi wąsami. Pomyślałem, że to dość oryginalne połączenie. Okulary w srebrnych oprawkach, szary letni garnitur i bordowe buty zapinane na zamek błyskawiczny. Rękawy marynarki były odrobinę przykrótkie. Miał wielkie dłonie i grube nadgarstki. Trzymał taki sam notatnik, jakiego używał Milo, paczkę papierosów i długopis.

Drugi mężczyzna był niski, korpulentny, ciemny, dokładnie ogolony.

Miał fryzurę w stylu Elvisa Presley’ a, wąskie oczy, duże wargi. Ubrany był w niebieski blezer i szare spodnie. Głównie on mówił.

Obaj stali profilem do nas i żaden nas nie spostrzegł.

Milo podszedł i zawołał:

– Cześć, Brad!

Wyższy mężczyzna odwrócił się. Ciemniejszy urwał, spojrzął na swojego towarzysza, a potem na Mila. Tymczasem bezdomni poczęli z wolna się oddalać.

– Chwileczkę, panowie – rzekł ten ciemniejszy i kloszardzi zatrzymali się. Mamrotali coś pod nosem, rzucając złe spojrzenia.

Brad skinął głową i niski rzekł:

– Proszę za mną, panowie. – Odprowadził grupkę na stronę. Brad patrzył za nimi, aż oddalili się na bezpieczną odległość.

– Cześć, Sturgis. Dobrze, że cię widzę.

– Co jest?

– Słyszałem, że byłeś tu dzisiaj. Więc, chciałbym zamienić z tobą parę słów.

– No?

Policjant przełożył paczkę papierosów do drugiej ręki.

– Dwie wizyty w ciągu jednego dnia? Widzę, że traktujesz swoją pracę bardzo poważnie. Dostajesz forszę od przepracowanych godzin?

– Co się stało? – zapytał Milo.

– Skąd to zainteresowanie McCloskeyem?

– Mówilem ci już parę dni temu.

– To mi powtórz.

– Kobieta, której spalił twarz, zniknęła na dobre. Jej rodzina chciałaby

wiedzieć, czy McCloskey jest z tym jakoś powiązany.

– Co to znaczy „zniknęła na dobre”?

Milo opowiedział mu o tamie Morris.

Blondyn zacisnął palce na paczce papierosów. Zauważył swój mimowolny odruch i zmarszczył brwi. Wrzucił papierosy do plastikowej torebki.

– To pewnie prawdziwy cios dla rodziny – rzekł.

– Nie ma powodu do rozpacz. Nie odnaleziono ciała.

Blondyn krzywo się uśmiechnął.

– Czemu przyjeżdżasz tu po raz trzeci? Już go przesłuchiwałeś, prawda?

– Do tej pory nie udało mi się niczego ciekawego dowiedzieć.

– Więc pomyślałeś sobie, że tym razem przekonasz go, żeby otworzył przed tobą zbolalą duszę?

– Coś w tym rodzaju.

– Coś w tym rodzaju – powtórzył blondyn i spojrzał w kierunku swojego partnera, który wciąż rozmawiał z bezdomnymi.

– Co się dzieje, Brad?

– Co się dzieje? – Blondyn poprawił okulary. – Życie się trochę pokomplikowało.

Zamilkł, wpatrując się w Mila. Wydobył papierosa z kieszeni i włożył go do ust.

– Wygląda na to, że pracujemy nad tą samą sprawą.

Znowu zawiesił głos, oczekując odpowiedzi Mila.

Dochodził nas hałas od strony autostrady. W pobliskiej ulicy rozległ się

brzęk tłuczonej szyby. Partner Brada nie przerywał konwersacji z kloszardami. Z takiej odległości nie mogłem rozróżnić słów. Gromada obdartusów słuchała go znudzona.

– McCloskey miał niefortunny wypadek – rzekł Brad, wpatrując się w twarz Mila.

– Kiedy?

Policjant sięgnął do kieszeni spodni, jakby tam znajdowała się odpowiedź. Wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa. Na moment obłok szarego dymu przysłonił mu twarz. Miał ślady po ospie albo po przedłużającym się trądziku młodzieńczym.

– Parę godzin temu. – Wskazał na mnie dłonią z papierosem.

– Przyjaciel rodziny – odpowiedział Milo na nieme pytanie.

Wysoki mężczyzna nie spuszczał ze mnie podejrzliwego wzroku. Wolno wydychał dym z płuc.

– Doktorze Delaware, to inspektor Bradley Lewis z Wydziału Zabójstw.

Lewis puścił parę kółek z dymu.

– Lekarz, co?

– Lekarz rodzinny, jeśli chodzi o ścisłość.

– Aha.

Usiłowałem sprawić wrażenie poważnego doktora.

– Jak to się stało? – zapytał Milo.

– Co? Ten przykry wypadek? Dostaniesz pewnie wysoką premię za dostarczenie rodzinie tego rodzaju wiadomości?

– Nie sądzę, żeby się bardzo ucieszyli, ale i nie będą wylewać łez. –

Powtórzył pytanie.

Lewis zwlekał z odpowiedzią, w końcu rzekł:

– W bocznej uliczce parę przecznic stąd na południowy wschód, dzielnica przemysłowa pomiędzy San Pedro i Alameda. Wpadło na niego auto, które wygrało w pierwszej rundzie przez nokaut.

– Jeśli to był zwykły wypadek, czemu wy się tym zajmujecie?

– Co za spostrzegawczość. Składam wyrazy uznania – odparł Lewis. –

Czy pan pracował kiedyś w policji?

Zaśmiał się.

Milo milczał. Nie poruszył się.

Lewis zaciągnął się dymem papierosowym.

– Kierowca nie dał żadnych szans ofierze. Samochód go potracił, a następnie zawrócił i przejechał jeszcze dwa razy dla pewności. Na drodze pozostało coś na kształt pizzy ze wszystkimi dodatkami.

Odwrócił się w moją stronę, wyjął papierosa z ust i rozchylił usta w obleśnym uśmiechu.

– Lekarz rodzinny? Pan robi wrażenie prawdziwego dżentelmena, ale pozory mogą mylić, prawda?

Uśmiechnąłem się. Inspektor promieniał. Nad wyraz cieszył się z własnego poczucia humoru.

– Panie doktorze – rzekł i znów się zaciągnął – oczywiście w żadnym wypadku nie mógłby pan, używając swojego mercedesa czy BMW tak, brutalnie potraktować McCloskeya, prawda? Pan chciał tylko wymusić szczerą spowiedź i spokojnie odjechać do domu?

Wciąż uśmiechając się, odparłem:

– Przykro mi, ale przecenia pan moją skromną osobę.

– Samochód był produkcji niemieckiej? – spytał Milo.

Lewis uderzył obcasem o betonowy chodnik i wypuścił dym nosem.

– A co to? Konferencja prasowa?

– Brad, czy masz rozkaz, żeby o tym nie mówić?

– Jesteś prywatną osobą, to wystarczy.

Milo nic nie odrzekł.

– A może nawet podejrzanym – dodał Lewis.

– Ej, ty – rzekł Milo. – Kogo tu próbujesz straszyć?

Milo spoglądał na Lewisa ze złością. Byli tego samego wzrostu, ale Milo

ważył pewnie jakieś dwadzieścia pięć kilo więcej. Lewis wciąż palił z

kamiennym wyrazem twarzy.

I wtedy Milo cicho syknął:

– Gonzales.

Lewis momentalnie stracił całą pewność siebie. Wypłuł niedopalek

papierosa z ust i zacisnął zęby.

– Słuchaj, Sturgis, nie mogę o tym rozpowiadać na prawo i lewo. Nie

możemy o tym mówić, bo rodzina, dla której pracujesz, znajduje się w kręgu

podejrzanych.

– Tę rodzinę stanowi przerażona osiemnastolatka, która właśnie

dowiedziała się, że straciła matkę, ale jej ciało znajduje się na dnie tamy i nie

można sprawić należytego pogrzebu. Szeryf czeka, aż zwłoki same wypłyną.

– Mimo to...

– Chcesz powiedzieć, że ona chciała śmierci McCloskeya, prawda Brad?

Jednocześnie jednak wynajmuje prywatnego detektywa, żeby odnalazł jej

matkę. Od paru dni usiłujemy dotrzeć do świadków, do każdego, kto znał

ofiara. Dlatego tu przyjechaliśmy – nam zależało na żywym, a nie na

martwym McCloskeyu. Jeśli nadal myślisz, że Melissa Dickinson miała coś

wspólnego z tym morderstwem, to proszę cię bardzo. Jednak wtedy będziesz

miał na karku jej adwokata – siostrzeńca Harmona Douse’a, Żelaznego

Harmona. Nie sądzę, żeby spodobały mu się pomysły pewnych policjantów.

Lewis spuścił wzrok. Milczał.

– Nie myśl, że się ugnę – rzekł bez przekonania.

– Nie ma sprawy, Brad. Jak wolisz.

Ciemny inspektor skończył przesłuchiwanie kloszardów i dał im znak

żeby się wynosili. Paru z nich skierowało się w stronę budynku misji, a paru

poszło ulicą. Policjant zbliżył się do nas, wycierając palce o blezer.

– To jest ten sławny Milo Sturgis – rzeki Lewis, zapalając drugiego

papierosa.

Tamten jednak był całkowicie pochłonięty własnymi myślami.

– Coś nowego? – zapytał Lewis.

Policjant jakby obudził się z letargu. Jego brązowe oczy przesunęły się po

mnie.

– To jest lekarz rodzinny – mówił Lewis – tej rodziny, która przejawiała

jakże żywe zainteresowanie naszym denatem.

Drugi policjant nie wyglądał na zdziwionego. Zapiał blezer i popatrzył na

Mila z nieukrywaną pogardą.

– Nazywasz się Esposito, prawda? – spytał Milo. – Kiedyś pracowałeś w Devonsbire.

– Przychodziłeś już wcześniej do denata. Czego dotyczyła rozmowa? – zapytał Esposito.

– Nie chciał mówić.

– Nie o to pytałem – rzekł Esposito z naciskiem. – O co pytałeś denata?

– O jego udział w sprawie zniknięcia matki mojej klientki.

Widocznie Esposito o niczym nie wiedział. Cofnął się i warknął:

– Co macie nam do powiedzenia?

– To, że zbieranie informacji wśród rezydentów misji jest stratą czasu.

Każdy ci powie, że McCloskey był odludkiem i z nikim nie utrzymywał stosunków. Oprócz tego ci goście trzymają się razem i jeden nie będzie sypał drugiego, jeśli to były ich wewnętrzne porachunki.

– Zachowaj dobre rady dla siebie. Zbieram informacje o morderstwie.

– Jak w kiepskim kryminale?

– Żebyś wiedział.

– Obawiam się, że nie zdam ci się na wiele – rzekł Milo.

– Żaden z mieszkańców misji nie ma samochodu, więc zmowa milczenia, nie wchodzi w grę. Oni nie mają co ukrywać – rzekł Lewis.

– Od czasu do czasu dostają jednak jakąś pracę – stwierdził Milo. – Jako kierowcy, dostawcy i tym podobne. A może po prostu McCloskey trafił na kogoś, komu nie spodobała się jego twarz?

Lewis palił w milczeniu.

– Co za błyskotliwa teoryjka – rzekł Esposito. – A ty chcesz coś, jeszcze

dodać?

Pokręciłem głową.

– No to teraz możesz wysilić swoją wyobraźnię – stwierdził Milo.

Lewis wciąż palił papierosa.

– Więc nie masz żadnych podejrzeń? – Esposito najwyraźniej nie zrozumiał dowcipu.

– Może nie mam tak lotnego umysłu, ale nie zamierzam zrezygnować z tej sprawy – dodał Milo, kierując się w stronę misji. Chciałem pójść w jego ślady, ale Lewis krzyknął:

– Sturgis, zaczekaj.

Milo odwrócił głowę i zmarszczył czoło.

– Co zamierzasz tam robić? – zapytał Lewis.

– Chcę zobaczyć się z księdzem – odparł Milo – wypowiadać się.

– Pochwalam – rzekł Esposito, krzywiąc usta – ale to zabierze tyle czasu, że księżulkowi urośnie broda.

Lewis zaśmiał się, ale jakby z przymusu, nieszczerze.

– A może nie nadszedł twój czas? – zapytał.

Myślisz, że moje wyznania może ktoś nagrać?

– Nie, po prostu może nie nadszedł jeszcze twój czas.

Milo oparł ręce o biodra.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinienem tam wchodzić, bo twój denat kiedyś tam zamieszkiwał? Nie masz jednak nic przeciwko temu, żeby przychodzili tam włóczędzy i lachmaniarze? Siostrzeńcowi Harmona bardzo się to spodoba, zobaczysz. Kiedy on i szef policji spotkają się, wymienią parę

zabawnych uwag.

– Sturgis, minęły zaledwie trzy miesiące, a ty gadasz jak ci cholerni cywile.

– Gówno prawda. To ty mi grozisz podsłuchem. To ty nagle stałeś się taki obowiązkowy.

– Nie musimy tego wysłuchiwać – rzekł Esposito i odpiął kurtkę.

Lewis powstrzymał go, dymiąc jak komin. Następnie rzucił papierosa na chodnik, spojrzął na niedopalek i cofnął się.

– Zaczekaj! – zawołał Esposito.

– Pieprz to – rzekł Lewis, przywołując do porządku partnera. Potem popatrzył na mnie. – No, dalej. Jazda.

Milo był już przy drzwiach, kiedy Lewis zawołał za nim:

– Lepiej nie wchodź nam w drogę. I sram na to, ilu prawników stoi za tobą, słyszysz?

Milo popchnął skrzydło dużych drzwi. Zanim się zamknęły, usłyszałem, jak Esposito mruczy pod nosem:

– Ciota.

A potem zaśmiał się hałaśliwie i grubiańsko.

Telewizor stał w dużej niebieskiej sali. Wyświetlano właśnie jakiś cikliwy film sensacyjny. Około czterdziestu par na wpół przymkniętych oczu oglądało tę sieczkę w niemym zachwycie.

Byliśmy w połowie sali, kiedy naszym oczom ukazał się ojciec Tim

Andrus. Popychał aluminiowy wózek z wielką tacą z gorącą kawą w

styropianowych kubeczkach. Ksiądz miał koszulę w kolorze oliwkowym i

wytarte niebieskie dżinsy. Na nogach te same białe, z niezawiazanymi sznurówkami adidas, które już widzieliśmy.

Zmarszczył brwi, zatrzymał się i nerwowym ruchem skierował wózek tak, żeby nas minąć z daleka. Wszedł pomiędzy telewidzów. Stał przy telewizorze, schylił się i powiedział coś do białego młodzieńca, który w o parę numerów za małej koszuli wyglądał jak wyrosnięte dziecko. Miał około dwudziestu lat, był dość korpulentny, z twarzą bez zarostu, przyszczatą.

Ksiądz tłumaczył mu coś cierpliwie. Kiedy młodzian wstał i zaczął roznosić kawę pomiędzy siedzących ludzi, ksiądz podszedł do nas.

– Proszę, odejdźcie stąd. Nie mogę wam pomóc.

– Tylko parę pytań, ojciec – rzekł Milo.

– Przykro mi, panie... nie pamiętam pańskiego nazwiska. Proszę stąd odejść. Im prędzej, tym lepiej dla wszystkich.

– Nazywam się Sturgis, ale ojciec nie może znać mego nazwiska, ponieważ nie przedstawiliśmy się.

– Tak, nie uczyniliście tego. Oprócz tego właśnie dowiedziałem się, że nie jesteście z policji.

– Nigdy tego nie twierdziliśmy.

Spasował.

– Jednak sugerowaliście to swoim zachowaniem. Z oszustwami mam do czynienia każdego dnia, taki jest charakter mojej pracy, ale to nie znaczy, że lubię być oszukiwany.

– Gorąco ojca przepraszam, ale..

– Nie oczekuję przeprosin. Proszę okazać skruchę przez opuszczenie

misji. W tej chwili.

– Czy zmieni to mój wizerunek w oczach księdza, jeżeli powiem, że jestem policjantem na czasowym zwolnieniu?

– Na twarzy ojca Andrusa pojawiło się zdziwienie.

– Co oni ojcu naopowiadali? Że zostałem wylany ze służby? Że zostałem oskarżony o jakieś przestępstwo?

Blade do tej pory oblicze księdza przybrało pąsowy kolor.

– Ja... Nie ma potrzeby wchodzić w te... bezecne występki. Nie mogę nic dla pana zrobić. Joel nie żyje.

– To wiem.

– Więc nie ma powodu, żeby interesował się pan naszą misją.

– Czy domyśla się ksiądz, kto może być odpowiedzialny za tę śmierć?

– Czy to pana rzeczywiście obchodzi?

– Prawdę mówiąc, pytam jedynie dlatego, ponieważ może to pomóc w wyjaśnieniu okoliczności śmierci pani Ramp...

– Czyżby ona... – Andrus przymknął oczy i westchnął. – Przykro mi, nie wiedziałem.

Milo opowiedział mu o tamie Morris. Pomiął makabryczne wątki, których nie szczędził Lewisowi.

Andrus potrząsnął głową i przeżegnał się.

– Czy Joel kiedykolwiek wspominał o tym, że kontaktował się z panią Ramp albo z kimś z jej rodziny?

– Nie. Niestety. Proszę mnie nie męczyć. – Ksiądz spojrział na salę.

Wszystko, co wiem, Joel wyznał mi w czasie spowiedzi świętej, ale jej treści

nie mogę ujawnić. Jego śmierć niczego nie zmienia.

– Oczywiście, że nie. Przyszedłem tutaj dlatego, ponieważ córka pani

Ramp boleśnie przeżywa utratę matki. Była jej jedynym dzieckiem. A teraz

została sierotą. Samotnie musi stawić czoło przeciwnościom losu. Jeśli

ojciec rzuci trochę światła na to, co się stało matce, łatwiej będzie jej znieść

to potworne cierpienie. Takie jest zdanie psychologa.

– Tak. Rozumiem... – rzekł Andrus. – Biedne dziecko... – Zamyślił się. –

Nie ma jednak niczego, co mogłoby jej pomóc.

– Jak to nie ma?

– Joel nie powiedział mi nic takiego, co by wyjaśniało, dlaczego pani

Ramp zginęła. Zresztą gdyby nawet było inaczej, nie mógłbym panom o tym

powiedzieć. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

– Cóż, trudno.

Andrus potrząsnął głową.

– To były ciężkie dni. – Spojrzał na ludzi popijających kawę. – Chyba

powiniennem napić się czegoś gorącego. Może panowie mają ochotę?

– Nie, dziękujemy. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy podejrzewa ksiądz

kogoś?

– Policja uważa, że zrobił to ktoś z tej dzielnicy. Takie rzeczy zdarzają się

tutaj.

– Czy ojciec się z tym zgadza?

– Nie ma powodu, żebym się nie zgadzał, ponieważ widziałem wiele

takich bezsensownych rzeczy.

– Czy uważa ksiądz, że w tej śmierci jest coś dziwnego?

– Nie, chyba nie. – Znowu spojrział na salę.

– Co robił tam McCloskey w chwili wypadku?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie nie zlecałem mu niczego. Ludzie robią sobie piesze spacerunki dla zachowania kondycji fizycznej. Kiedy są w ruchu, mają wyraźny dowód na to, że jeszcze żyją. Daje im to złudzenie, że do czegoś dążą.

– Za pierwszym razem odniosłem wrażenie, że McCloskey rzadko opuszczał misję.

– To prawda.

– Więc nie należał do tych spacerowiczów?

– Nie, chyba nie.

– Czy przypomina sobie ksiądz jakieś inne jego spacerunki?

– Nie, wcale... – Andrus zamilkł. Uszy mu zapłonęły.

– Co się stało, ojczy?

– Z początku podejrzewałem kogoś z rodziny Rampów, że postanowił się zemścić, że zwabił go i zamordował.

– Czemu akurat oni?

– Mieli oczywisty motyw. A samochód jako narzędzie zbrodni sugeruje, że to ktoś z klasy średniej. Nie trzeba się zbliżać do ofiary, ani jej dotykać.

Sterylna metoda zabójstwa.

Ksiądz zapatrzył się w krucyfiks.

– To były złe myśli, ale to, co do niego czułem, cała praca, jaką wspólnie wykonaliśmy... Potem zdałem sobie sprawę, że jestem niesprawiedliwy, okrutny i myślę samolubnie. Podejrzewam niewinnych ludzi, którzy sami

przeżywają wielkie cierpienia. Nie mam do tego prawa. A teraz, kiedy mi pan powiedział o pani Ramp, czuję się...

Znow potrzęsął głową.

– Czy podzielił się ojciec swymi podejrzeniami z policją? – zapytał Milo.

– To było podejrzenie, a raczej nagle skojarzenie. Taka nieoczekiwana myśl, kiedy człowiek jest w szoku, nie kontroluje tego, co mówi i robi. Nie, nie powiedziałem o tym ani słowa. To oni pytali, czy nikt z rodziny Rampów nie kręcił się w pobliżu. Odrzekłem, że tylko panowie.

– Jaka była ich reakcja?

– Zachowywali się tak, jakby to ich w ogóle nie zainteresowało. Jakoś to zbyli. Zaraz zapytali o coś innego. Miałem wrażenie, że nie chcą zajmować się tą sprawą.

– Dlaczego?

– Tak zawsze zachowuje się policja, kiedy wiadomo, że nie będą sprawy nagłaśniać. Przywykłem do tego. Taka śmierć nikogo nie interesuje. Tacy są ludzie. – Opuścił głowę. – Znowu osądzam. Proszę mi wybaczyć. Miałem ciężki dzień.

– Dziękuję ojcu za poświęcony nam czas. Jeśli jednak ksiądz przypomni sobie cokolwiek, co mogłoby pomóc tej biednej dziewczynce, proszę dać mi znać.

Milo wręczył księdzu wizytówkę i jeszcze raz podziękował.

– Powiedziałem panu wszystko, co mogłem powiedzieć. Proszę nie wiązać ze mną wielkich nadziei.

W drodze do samochodu rzekłem:

– „Powiedziałem panu wszystko, co mogłem powiedzieć.” Coś mi się widzi, że McCloskey otworzył przed nim swoją duszę. Tak czy owak nigdy się tego nie dowiemy.

– Racja. Mam jednak pewną praktykę w przesłuchiowaniu księży.

Doszliśmy do auta w milczeniu.

Jadąc z powrotem do San Labrador, zapytałem: Kto to jest Gonzales?

– Co?

– Wymieniłeś to nazwisko przy Lewisie. Zrobiło na nim wrażenie.

– Ach to – odparł, marszcząc czoło. – Stare dzieje. Nazywał się

Gonsalves. Kiedyś Lewis pracował w zachodnim Los Angeles jako zwykły posterunkowy, choć był po studiach wyższych, skończył psychologię.

Strasznie się wymądrzał. Kiedyś spieprzył sprawę niejakiego Gonsalvesa.

Pewnego razu zrozpaczona pani Gonsalves wezwała policję, prosząc, żeby

aresztować jej męża, który jej groził. Lewis, pewny, że jego magisterium

wystarczy za kajdanki i kraty, przeprowadził jedynie rozmowę

ostrzegawczą. Godzinę później mąż poszlachtował żonę na kawałki za

pomocą brzytwy. Lewis był za miękki, nieodpowiedni do tej pracy. Mogłem

zwichnąć mu karierę, ale tego nie uczyniłem. Obgadałem z nim sprawę. Po

tym wypadku stał się ostrożniejszy. Po paru latach dochrapał się inspektora

i przenieśli go do śródmieścia, do centrali.

– Nie wydaje się szczególnie wdzięczny.

– Tak – westchnął Milo – ludzie często zapominają o przysługach.

Przejechaliśmy jakieś dwa kilometry.

– Kiedy zadzwoniłem do niego po raz pierwszy – ciągnął Milo – żeby się

dowiedzieć, gdzie znajduje się McCloskey, był chłodny, ale uprzejmy. Dał wszystkie informacje. Dzisiaj odstawił kiepskie przedstawienie dla swego partnera.

Znów milczeliśmy przez parę kilometrów.

– Masz ładniutką wizytówkę. Kiedy ją sobie sprawiłeś?

– Parę dni temu – usługi na poczekaniu w La Cienega. Za pięćset sztuk zapłaciłem grosze. Też powinieneś mieć coś takiego.

Podał mi wizytówkę. Była cienka, ale twarda. Ekstra.

– Zawsze możesz jej użyć jako wykalaczki.

– Albo jako zakładki do książki.

– Mam jeszcze coś lepszego. Można z nich budować domki, żeby potem je zburzyć.

Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy dotarliśmy do Sussex Knoll, Milo zatrzymał wóz przy mojej seville.

– Co teraz zamierzasz zrobić? – zapytałem.

– Przespać się, zjeść duże śniadanie, a potem pojadę do banku. –

Przestawił dźwignię zmiany biegów na luz.

– A co z McCloskeyem?

– Nie pójdę na pogrzeb.

Nacisnął pedał gazu i uderzył dłonią w kierownicę.

– Domyślasz się, kto go zabił i dlaczego?

– Słyszałeś, co mówił ksiądz?

– Dobra – odparłem.

– No to jadę – rzekł.

Nareszcie znalazłem się w swoim przytulnym domu. Było już zbyt ciemno, żeby sprawdzić, jak się miewa ikra. Wdrapałem się na górę po schodach. Spałem dziesięć godzin. Kiedy się przebudziłem, był już poniedziałek. Zamyśliłem się nad losem Giny Ramp i Joela McCloskeya – połączyły ich cierpienia i strach.

Czy zachodził logiczny związek pomiędzy tamą Morris i tym, co się stało w pewnej bocznej uliczce, czy może McCloskey padł ofiarą młodocianych gangów? Zabójstwo za pomocą samochodu. Pomyślałem o Noelu Druckerze. Miał on łatwy dostęp do aut i mnóstwo wolnego czasu. Czyżby tak kochał Melissę, że byłby zdolny popełnić tę zbrodnię? A jeśli tak, czy uczynił to z własnej inicjatywy, czy stała za tym Melissa?

A sama Melissa? Nie potrafiłem myśleć o niej inaczej niż o bezbronnej sierocie, tak jak ją opisał Milo inspektorom. Miałem świadomość tego, że jest zdolna do nieprzemyślanych czynów, do działania pod wpływem emocji. Widziałem, jak jej rozpacz przekształciła się w niepokonany gniew na Angera i Douse'a.

Cofnąłem się myślą do łóżka z baldachimem, na którym leżeli objęci Noel i Melissa. Czy wtedy obmyślili plan rodowej zemsty?

Pozostaje jeszcze Ramp. Jeśli nie był sprawcą śmierci Giny, to może on wymierzył karę?

Miał wystarczająco dużo powodów, żeby go nienawidzić. Czyżby był kierowcą tamtego samochodu, albo wynajął kogoś? Zafascynowany możliwością perfidnej zemsty – cierpienie zadane w podobny sposób, przy pomocy wynajętego zbir.

Todd Nyquist nadawał się idealnie to tego typu zadania – ktośby skojarzył opalonego, przystojnego tenisistę z bezlitosnym mordercą?

A może Noela wynajął Ramp, nie Melissa?

A może żadne z nich?

Usiadłem na brzegu łóżka.

Naraz przed oczami mignął mi obraz.

Blizny na policzku Giny.

Pomyślałem, na jakie więzienie skazał ją McCloskey do końca jej dni.

Czemu tracę czas na rozpamiętywanie jego śmierci? Życie McCloskeya było marnościami nad marnościami. Któż wspomni go oprócz ojca Andrusa?

Milo miał rację, kiedy przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Próżno zawracam sobie głowę, zamiast wziąć się do porządnej pracy.

Wstałem, przeciągnąłem się i zawołałem głośno:

– Dość płaczu!

Włożyłem czystą koszulę, krawat, lekką tweedową marynarkę i udałem się do Zachodniego Hollywood.

Ulica Hilidale znajdowała się pomiędzy Santa Monica Boulevard i Sunset. Budynek był raczej brzydki, wyblakły, otoczony zapuszczonym żywopłotem. Płaski dach, kryty dachówką, pomalowany był na czarno.

Wyglądało to na robotę amatora. W wielu miejscach farba odpadała płatami.

Żywopłot kończył się wąskim wjazdem z popękany, porośnięty chwastami asfaltem, na którym stał dwudziestoletni żółty oldsmobile.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy i przeszedłem przez wyschnięty

trawnik. Trzy stopnie prowadziły na cementowy ganek. Na lewo od drzwi widniały trzy różne adresy, wypisane czarnymi literami. Skrawek starego plastra osłaniał przycisk dzwonka, a za jego oprawką wciśnięta była kartka z napisem **PROSZĘ PUKAĆ**, zrobionym czerwonym flamastrem. Postąpiłem zgodnie z instrukcją i sekundę potem usłyszałem z głębi domu okrzyk:

– **Zaraz!**

Czekałem cierpliwie.

– **Kto tam? – zza szarych drewnianych drzwi odezwał się zaspany męski głos.**

– **Nazywam się Alex Delaware. Szukam Kate Moriarty.**

– **Że co?**

Propozycje Mila nie przypadły mi do gustu, więc wybrałem półprawdę.

– **Jej rodzina martwi się o nią.**

– **Jej rodzina?**

– **Jej siostra i szwagier. Państwo Robbins, którzy mieszkają w Pasedenie.**

Drzwi otworzyły się i ujrzałem młodzieńca, trzymającego w prawej ręce pędzle malarskie. Na twarzy żadnego wyrazu zdziwienia lub nieufności. I to oko artysty, który ocenia perspektywę.

Miał około trzydziestki. Wysoki, dobrze zbudowany, długie ciemne włosy, zaczesane do tyłu, z dwudziestopięciocentymetrowym kucykiem, twarz duża, otwarta, łagodne rysy, niskie czoło i gęste, nastroszone brwi.

Jego cała sylwetka miała w sobie coś małpiego – raczej przypominał goryla niż szympansa z ciemnymi, zrosniętymi brwiami i czarną szczecina na policzkach, szyi i piersiach. Ubrany był w poliestrową luźną koszulkę,

ozdobioną czerwonymi napisami firmy produkującej sprzęt łyżwiarski, workowate, luźne, pomarańczowo-zielone szorty sięgające kolan i gumowe klapki plażowe. Mięśnie ramion miał okazałe, ale najwyraźniej dawno nie ćwiczył. Jedną rękę poplamioną miał błękitną farbą.

– Przepraszam, że pana niepokoję – rzekłem.

Rzucił okiem na pędzle, potem na mnie.

Wyciągnąłem portfel, odszukałem wizytówkę, którą wczoraj dostałem od Mila.

Obejrzał ją dokładnie.

– Wydawało mi się, że powiedział pan inne nazwisko.

– Sturgis jest moim szefem. Pracuję dla niego.

– Ach, tak. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. – Nie wygląda mi panna takiego, w każdym razie inaczej to wygląda w filmach. Tamci są... postawniejsi i bardziej energiczni.

Uśmiechnąłem się. Wciąż przyglądał mi się.

– Jest pan prawnikiem – rzekł w końcu – raczej adwokatem niż prokuratorem, albo profesorem, naukowcem. W każdym razie tak bym pana obsadził w filmie, panie Marlowe.

– Pracuje pan w tej branży? – zapytałem.

– Nie – zaśmiał się i dotknął pędzlami ust. – Chociaż w pewien sposób mam pracę związaną z filmem. Jestem pisarzem. Jak wszyscy w tym mieście. Nie jestem jednak scenarzystą. Boże, miej w opiece tych nieboraków. – Ryknął niepohamowanym śmiechem. – Miał pan z tym kiedykolwiek do czynienia?

– Nie, nigdy.

– Wszystko przed panem. Każdy ma rewelacyjny pomysł na film albo scenariusz, który pragnie kiedyś przelać na papier, żeby stać się sławnym podziwianym – z wyjątkiem mnie. Ja na chleb zarabiam jako artysta malarz.

Maluję realistyczne scenki i pejzaże, które sprzedaję. – Zamachał pędzlami.

– A oprócz tego zajmuję się normalną literaturą: piszę eseje w postmodernistycznym stylu. Miałem parę publikacji w „Reader” i „Weekly”.

Takie tam różne rzeczy oparte na osobistym doświadczeniu – o muzyce, pieniądzech, o tym, jak żyje się ludziom w Los Angeles, czym charakteryzuje się to miejsce, jakie uczucia wzbudza w ludziach.

– Ciekawe – rzekłem bez przekonania.

– Tak, ale pan najchętniej wykonałby swoją robotę i wrócił do ciepłego łóżeczka.

– To, z czym do pana przychodzę, nie jest moim głównym zajęciem.

– Ach tak? – Przełożył pędzle do lewej dłoni i podał mi prawą. – Richard Skidmore.

Cofnął się i rzekł z zapraszającym gestem:

– Proszę dalej.

Ciemny pokój przesiąknięty był zapachem kawy, jedzenia i terpentyny.

Tapety na ścianach, kinkiety bez żarówek. Ceglany parapet nad kominkiem

obłożony był drewnianymi listwami. Tanie meble, na ścianach plastikowe

rury kanalizacji, zużyta drewniana podłoga. Obrazy w różnych stadiach

tworzenia, słoiki, tubki z farbami, pędzle moczące się w rozpuszczalniku.

Poplamione sztalugi zajmowały środek salonu, wśród stosu pomiętych

papierów, połamanych ołówków i kawałków węgla. W pokoju przylegającym do kuchni znajdował się stół kreślarski wygodne krzesło i kompresor do natryskiwania farby.

Ściany były puste, jeśli nie liczyć jednej kartki papieru przypiętej pinezką nad kominkiem, z trzema linijkami pięknie wykaligrafowanego tekstu:

Dzień szarańczy.

Zmierzch robactwa.

Noc umarłych.

– Moja powieść – rzekł Skidmore. – Jednocześnie tytuły i pierwsze słowa. Resztę napiszę, kiedy będę miał natchnienie. Wiem, co robić, ale nie wiem jak. Ten sam problem miało paru ostatnich prezydentów, prawda?

– Czy poznał pan Kate Moriarty dzięki wspólnym zainteresowaniom?

– Tylko praca, praca i praca. Ile panu płaci ten szefunio Sturgis?

– To zależy od zlecenia.

– Pięknie – rzekł z uśmiechem – typowa wymijająca odpowiedź. Co za inteligencja. Dlatego uwielbiam Los Angeles. Nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś dziwny gość zapuka do twoich drzwi.

Znowu obrzucił mnie sondującym spojrzeniem. Poczulem się jakoś dziwnie.

– Chyba napiszę coś o panu – rzekł, kreśląc w powietrzu zarysy mojej osoby. – Nazwę to Oczy do wynajęcia; oczy, które podpatrują, oczy, które śledzą, są na zawołanie, na skinienie palca kogoś, kogo stać na owe drogie usługi.

Podniósł z fotela parę płócien z fantastycznymi, różnobarwnymi

splotami roślin i odrzucił je na bok.

– Siadaj – rzekł bezceremonialnie.

Uczyniłem to, a on zajął miejsce na drewnianym taborecie naprzeciwko mnie.

– To wspaniale, że wpadłeś – zawołał.

– Czy mieszka tu Kate Moriarty?

– Jej mieszkanie jest z tyłu. Przerobione z garażu.

– Kto jest właścicielem?

– Ja – odparł dumnie. – Odziedziczyłem po dziadku. To był stary dziwak

– ergo wariat. Wyzionął ducha dwadzieścia lat po śmierci babki, a ja byłem jedynym z rodziny, który nie zerwał z nim stosunków. Więc kiedy umarł, dostałem w spadku dom, oldsmobile'a i setkę akcji IBM-u. Zyskała na tym sztuka.

– Pani Robbins twierdzi, że nie widziała Kate od miesiąca. Kiedy była tu po raz ostatni?

– To zabawne – rzekł.

– Co?

– Że jej siostra wynajęła kogoś do poszukiwań Kate. O ile wiem, nie żyły w zgodzie.

– Dlaczego?

– Różnice społeczne, odmienne preferencje i gusty. Według Kate jej siostrunia to typowy produkt Pasadeny – uprawianie miłości nazywa stosunkiem seksualnym, a kiedy chce do toalety, mówi: „Pójdę odwiedzić ciocię.”

– Całkiem inaczej niż Kate?

– Właśnie.

Powtórnie go zapytałem, kiedy widział Kate.

– Jakiś miesiąc temu.

– Kiedy ostatni raz płaciła czynsz?

– Czynsz wynosi sto dolarów miesięcznie, co jest śmieszną sumą. Nie potrafię jednak być tak bezlitosny jak inni właściciele.

– Kiedy po raz ostatni Kate zapłaciła owe sto dolarów?

– Na początku.

– Na początku czego?

– Naszej znajomości. Była bardzo zadowolona, że znalazła coś tak taniego i zapłaciła tysiąc z góry. Może więc mieszkać do końca grudnia.

– Dziesięć miesięcy. Mieszka tu od lutego?

– Na to wychodzi. W tamtej części urządziłem sylwestra dla artystów, pisarzy i genialnych falszerzy dzieł sztuki. Kiedy po nich sprzątałem, wpadłem na pomysł, żeby jedno z pomieszczeń wynająć, a drugie zachować jako składzik na rupiecie.

– Czy Kate była zaproszona?

– Niby z jakiej racji?

– Zajmowała się pisaniem.

– Nie. Poznałem ją po Nowym Roku.

– Jak ją pan spotkał?

– Przez ogłoszenie w „Reader”. Była pierwszą osobą, jaka się pojawiła.

Od razu mi się spodobała. Lubię szczerych ludzi, oprócz tego oddała serce

Safonie.

– Tej z wyspy Lesbos?

– Tej samej.

– Lesbijka?

– Pewnie – uśmiechnął się szeroko. – Widzę, że siostrzyczka kiepsko wprowadziła cię w zagadnienie.

– Chyba tak.

– Jak powiedziałem, różnice społeczne. Proszę się nie dziwić, panie

Marlowe – to Zachodnie Hollywood. Są tu ludzie kompletnie zbzikowani albo starcy. Czasem jedno i drugie.

– Czy Kate miała kochankę?

– Nie zauważyłem, ale i myślę, że nie miała.

– Czemuż to?

– Mówiła, że jest nie kochana. Zachowywała się tak, jakby spotkało ją coś naprawdę bolesnego. Nie rozmawialiśmy wiele, nie było okazji. Ja potrafię przespać cały dzień, a zdarzały się okresy, kiedy Kate nie nocowała w domu.

– Na jak długo znikala?

Zamyślił się.

– Ten okres jest najdłuższy, ale to w jej stylu – ciągle w drodze. Więc może pan przekazać jej siostrze, że Kate prawdopodobnie nic się nie stało.

Może zajmuje się czymś, o czym siostra nie chciałaby w ogóle słyszeć.

– Jak się pan dowiedział, że jest homoseksualistką?

– Nie trudno było zgadnąć, wystarczyło spojrzeć na to, co czyta.

Magazyny lesbijskie. Kupuje je regularnie – kiedyś znalazłem je w

śmieciami. Oprócz tego gazetki przynosi listonosz.

– Jakie gazetki?

Uśmiechnął się leniwie.

– Proszę nie myśleć, że przeglądam jej pocztę, ale czasem listonosz nie chce iść na tyły domu do jej mieszkania i pocztę wrzuca do mojej skrzynki.

Te gazetki pochodzą z różnych organizacji gejowskich. Jakież wnioski?

– Po miesiącu musi być tego niezła kolekcja?

Wstał, poszedł do kuchni i po chwili wrócił z plikiem kopert opiętych gumką, którą zdjął. Oglądał każdy list po kolei i podawał mi. Ułożyłem je w wachlarz i przeliczyłem. Jedenaście.

– Jak na miesiąc to niewiele.

– Przecież powiedziałem, że była raczej nie kochana.

Osiem kopert miało komputerowy nadruk „Do aktualnego lokatora mieszkania”. Pozostałe trzy zaadresowane były na nazwisko Kate Moriarty.

Jeden wyglądał na prośbę o datek na rzecz fundacji wspomagającej nosicieli AIDS. Drugi pochodził z kliniki z San Francisco. Prawdopodobnie chodziło, o podobną sprawę.

Na trzeciej białej kopercie widniała pieczęć z datą sprzed trzech tygodni.

Poczta Cambridge, Massachusetts, nazwisko adresatki napisane na maszynie: „Pani Kate R. Moriarty”. Firmowa koperta miała wydrukowany adres zwrotny w lewym górnym rogu: FORUM GEJÓW I LESBIJEK NA RZECZ WALKI Z DYSKRYMINACJĄ, MASSACHUSETTS AVENUE, CAMBRIDGE.

Wyjąłem długopis i z braku papieru zapisałem adres na paragonie ze

stacji benzynowej, który znalazłem w portfelu.

Skidmore, który wciąż mi się przyglądał, wydawał się tym zaskoczony.

Obróciłem kopertę parę razy i oddałem mu ją z powrotem.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał.

– Niewiele. Co jeszcze może mi pan o niej powiedzieć?

– Brązowe włosy, krótko podstrzyżone. Zielone oczy, okrągła twarz, ubierała się w przyduże rzeczy.

– Miała stałą pracę?

– Nie wiem, możliwe.

– Nigdy nie wspominała o pracy?

– Nie – pochylił się i podrapał najpierw w jedno kolano, a potem w drugie.

– Oprócz tego, że była pisarką? – spytałem.

– To nie zawód, ale przezwisko.

– Czy widział pan jakieś jej teksty?

– Oczywiście. Przez pierwszy miesiąc prawie nie rozmawialiśmy, potem odkryliśmy, że mamy wspólne hobby, no i urządziliśmy wieczorek, w czasie którego chwaliliśmy się własnymi osiągnięciami.

– Jakiego rodzaju?

– Pokazała mi swoją teczkę z wycinkami prasowymi.

– Co to było?

Założył nogę na nogę i podrapał się w głowę.

– Jak to się fachowo nazywa? Rekonstrukcja charakteru osobnika?

– Coś w tym rodzaju – odparłem. – Co miała w teczce?

- Same pytania? Dokąd one prowadzą?
- Nie wiem, ale mam nadzieję, że nie jestem tu na próżno.
- A ja jestem, kapusiem?
- Nie. Źródłem.
- Aha.
- Więc jak było z jej teczką?
- Nie przyglądałem się zbytnio – odparł – jakieś jej artykuły.
- Na jaki temat?

Wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam, w każdym razie jakieś reportaże.
- Mógłbym zobaczyć tę teczkę?
- Jak mam się tam dostać?
- Gdyby miał pan klucze do jej mieszkania...

Pogroził mi palcem i rzekł, udając oburzenie:

- Ależ to wkroczenie na teren prywatny!
- A gdyby pan był przy tym?
- Żadnego poszanowania konstytucji.
- Proszę posłuchać – rzekłem surowym tonem. – To jest poważna sprawa. Może jej grozić duże niebezpieczeństwo.

Ziewnął w teatralny sposób.

- Richard, ja nie żartuję.

Zamknął usta i patrzył na mnie przez moment. Wytrzymałem jego wzrok.

Podrapał się w łokieć, potem w kolano i rzekł:

- Nie żartujesz?

– Ani trochę.

– I nie ma to nic wspólnego z odbiorem długu?

– Jakiego długu?

Siostra pożyczyła jej kupę szmalu, rodzaj bezzwrotnego kredytu. Mąż siostrzyczki wpadł w szal – to chyba jakiś bankowiec.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Po prostu za długo się nie pokazuje.

Znowu się podrapał.

– Kiedy powiedziałeś, że pracujesz dla jej siostry, to do razu pomyślałem, że chodzi o ten dług.

– Nie. Jeszcze raz powtarzam: to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Bez względu na różnice, jakie je dzieliły, jej siostra bardzo się o nią niepokoi, powiem więcej: pan Sturgis bardzo się zaangażował w tę sprawę.

Rozwiązał rzemyk, którym był związany jego kucyk, i rozpuścił włosy, aż przysłoniły mu twarz. Były gęste i błyszczące jak u dziewczyn z okładek. Pochylił głowę i odrzucił je to tyłu.

– Chcesz na to spojrzeć? – zapytał.

– Tak. Oczywiście w twoim towarzystwie.

– Dobrze, w najgorszym razie Kate zrobi mi awanturę, a ja poproszę, żeby poszukała sobie tańszego mieszkania.

Wstał i znów odrzucił włosy do tyłu. Kiedy również wstałem, rzekł:

– Chwileczkę. Czekaj.

Znów poszedł do kuchni i wrócił po chwili, niosąc album w pomarańczowej okładce.

– Czy zostawiła to tutaj? – zapytałem.

– Aha. Dała mi do obejrzenia i zapomniała zabrać. Kiedy to zauważyłem, jej już nie było, więc rzuciłem album do kuchni – mam tu straszny bałagan.

Potem oboje o tym zapomnieliśmy.

Podszedł do taboretu, otworzył album i zaczął przerzucać jego strony.

– Proszę uprzejmie – rzekł.

Wewnątrz było ze czterdzieści czarnych kartek oklejonych plastikiem.

Wycinki artykułów Kate były wsunięte pod plastik.

Artykuły były ułożone w porządku chronologicznym. Pierwszy pochodził sprzed piętnastu laty z „The Daily Collegian”, wydawanym we Fresno, stan Kalifornia. Przez następnych siedem lat drukowała we „Fresno Bee”.

Następne artykuły wycięte były z „Manchester Union Leader” i z „Boston Globe”. Daty wskazywały na to, że w każdym z nich pracowała przez około rok.

Sprawdziłem pod przednią okładką. Pusto. Wróciłem do początku i zacząłem czytać – sprawy społeczności lokalnych, różne uroczystości, sylwetki zasłużonych obywateli. Reportaże z wakacji. Jej skłonności do poszukiwania sensacji rozpoczęły się z chwilą przejścia do „Globe”: seria artykułów o zanieczyszczeniu portu w Bostonie, wykrycie przypadków znęcania się nad zwierzętami w jakiejś dużej firmie farmaceutycznej. Ostatni wycinek był recenzją książki Matka Ziemia, jej dzieła o pestycydach. Komentarz nie był najlaskawszy – recenzent podkreślił entuzjazm autorki, ale i luki faktograficzne.

Sięgnąłem pod tylną okładkę. Było tam parę wycinków. Rozłożyłem je i

zacząłem czytać. Skidmore oglądał palce u nóg i nie zauważył mojego odkrycia.

Artykuły pochodziły z tegorocznego numeru „The Gala”, miesięcznika Unii Gejów i Lesbijek na Rzecz Walki z Dyskryminacją.

Z podpisu wynikało, że Kate jest stałym współpracownikiem pisma.

Trzy eseje: o męskiej dominacji, o rozpowszechnianiu się AIDS i penisie jako narzędziu przemocy, o poszukiwaniu własnego ja i wstręcie do kobiet, czyli mizoginii. Do nich doczepiony był jeszcze jeden artykuł, a raczej zwykła informacja prasowa.

– Co? Koniec? – spytał Skidmore.

– Jeszcze sekundę.

Przeczytałem wycinek. Pochodził z „Globe”, sprzed trzech lat.

LEKARZ PRZEDAWKOWAŁ

Śmierć pracownika Wydziału Psychiatrii na Uniwersytecie Harvarda jest przypisywana przypadkowemu albo samobójczemu przedawkowaniu rzadko spotykanego środka nasennego, który czasem używany jest w hipnozie. Ciało trzydziestosiedmioletniej Eileen Wagner zostało znalezione w jej gabinecie w Klinice Psychiatrycznej Szpitala Beth Israel przy Brookline Avenue. Zgon nastąpił w późnych godzinach nocnych. Policja stwierdziła, że doktor Wagner miała „problemy osobiste”. Ukończyła studia medyczne na Yale, a praktykę odbyła w Fundacji Medycznej Cathcart w Los Angeles. Zanim została przyjęta w poczet pracowników naukowych Wydziału Psychiatrii, pracowała w Światowej Organizacji Zdrowia w Europie.

Podniosłem wzrok na Skidmore'a. Miał przymknięte oczy. Szybko

złożyłem artykuł i wsunąłem go do kieszeni. Zamknąłem album.

**– Wielkie dzięki. Czy mógłbym jeszcze spojrzeć na jej mieszkanie? –
zapytałem.**

Podniósł powieki.

– Chcę się tylko upewnić.

– Upewnić się co do czego? – spytał.

– Czy nie ma jej w środku.

**– Na pewno tam jej nie ma – odparł z rozdrażnieniem. – Tam jej nie ma,
panie Marlowe.**

– Skąd pan wie?

– Widziałem, jak odjeżdżała swoim białym datsunem.

**– A jeśli wróciła na piechotę? Mogłeś jej nie zauważyć – wspomniałeś, że
nie spotykaliście się często.**

– Nie. To niemożliwe.

**– Ale dlaczego by nie sprawdzić? Będziesz mnie obserwował, żebym
niczego nie ruszył.**

Przetarł oczy i wstał.

Poszedłem za nim do kuchni. Wziął pęk kluczy i otworzył tylne drzwi.

**Przeszliśmy przez podwórko. W jednym skrzydle wrót garażu znajdowały
się zwykłe drzwi.**

**– Tylko mi nie mów, panie Marlowe, że mieszkanie w garażu jest
nielegalne. Sam wiem.**

Nagle znieruchomiał.

– Richard, co się stało?

– Czy czujesz ten zapach?

– Nie, ale bo ja wiem?

Zarechotał i zaczął szukać właściwego klucza.

– Jeszcze jedna rzecz – rzekłem. – Jeśli na początku myślałeś, że jestem tu po to, żeby ściągnąć dług od Kate, to dlaczego mnie wpuściłeś?

– To proste – odparł. – Jestem materialistą.

Mieszkanie Kate stanowił jeden pokój o powierzchni około dwudziestu pięciu metrów. Podłoga była wyłożona kolorowym linoleum, ściany pobielone, wapnem. Na podłodze leżał podwójny materac z rozrzuconą pościelą, obok stał drewniany stolik nocny, niewielki okrągły stół i trzy krzesła ze wzorzystymi obiciami. W jednym kącie znajdował się piecyk elektryczny i nieco naczyń, garnków i talerzy, w przeciwległym rogu otwarta drewniana szafa. Wisiały w niej dżinsy i koszulki.

Kate nie zainwestowała w ten lokal pieniędzy siostry. Wiedziałem, na co poszły owe fundusze.

– A to dopiero! – zawołał Skidmore, kręcąc głową.

– Co takiego?

– Albo ktoś tu był, albo ona sama się spakowała.

– Czemu tak myślisz?

Zamachał rękoma niczym uczeń w szkole, który nie potrafi odpowiedzieć na trudne pytanie nauczyciela.

– To tak nie wyglądało, kiedy tu była. Miała dużo bagażu, mnóstwo walizek i toreb podróżnych... Jako stolika używała wielkiej skrzyni. –

Odwrócił się. – A koło materaca było pełno książek.

– Jakich książek?

– Nie wiem, nigdy mnie to nie interesowało... W każdym razie inaczej tu przedtem było. Jakieś pięć albo sześć tygodni temu przyniosłem jej pocztę, a ona siedziała na skrzyni, więc skrzynia tam była.

– Gdzie mogła się podziać ta skrzynia?

– Nie wiem. Chyba była pusta, ale po co komu pusta skrzynia? Więc prawdopodobnie coś w niej było. Jeśli się jednak spakowała, czemu zostawiła ubranie, naczynia i całą resztę?

– Właśnie.

– To bardzo dziwne.

Zobaczyłem coś przy materacu. Kawalki białej gąbki. Schyliłem się i ujrzałem długie podłużne rozcięcie z boku materaca, zrobione czymś tak ostrym jak skalpel.

– Co to? – spytał Skidmore.

– Ktoś przeszukiwał wnętrze materaca.

– O cholera! – zaklął cicho Richard.

Obejrzałem dokładnie resztę pokoju. Nic.

– No i co?

– Czy ten materac należał do niej?

– Tak, ale o co tu chodzi?

– Wygląda na to, że ktoś szukał czegoś, co ukryła. Miała telewizor albo sprzęt muzyczny?

– Tylko radio. Też go nie ma. To jednak nie było włamanie, co?

– Trudno powiedzieć.

– A więc przez cały czas podejrzewałeś najgorsze i dlatego chciałeś tu koniecznie wejść.

– Nie. Niczego nie podejrzewałem, ale teraz to się zmieniło. Co możesz jeszcze o niej powiedzieć?

– Była raczej samotna, nikt jej nie odwiedzał. Nie wiem...

– Dziękuję za pomoc – rzekłem – była nieoceniona.

– Może powinienem sprowadzić ślusarza, żeby założył lepszy zamek?

Kiedy wyszliśmy z garażu, wskazał na podjazd.

– Tędy dojdiesz do ulicy.

Podziękowałem mu jeszcze raz i życzyłem powodzenia w pracy nad sylwetką prywatnego detektywa.

– Nie, to nie dla mnie – odparł i zniknął za drzwiami.

Rozdział trzydziesty trzeci

Pierwsza budka telefoniczna, jaką znalazłem, znajdowała się na deptaku przy Santa Monica Boulevard. Obok było parę nowych sklepów i asfaltowy parking. W przesiąkniętej dymem papierosowym budce wałało się pełno niedopalków i papierków od gumy do żucia. Książka telefoniczna była zerwana z łańcuszka.

Zadzwoniłem do informacji w Bostonie i poprosiłem o numer „Gala”. Nie mieli go, ale podano mi numer Unii Gejów i Lesbijek. Wykręciłem go.

Odpowiedział męski głos:

– Unia, słucham. – W tle rozbrzmiewał gwar rozmów.

– Chciałbym pomówić z kimś z „Gala”.

– Chodzi o zamieszczenie ogłoszeń czy o sprawy wydawnicze?

– Sprawy wydawnicze. Szukam kogoś, kto znał Kate Moriarty.

– Kate już u nas nie pracuje.

– Wiem. Teraz mieszka w Los Angeles, właśnie stąd dzwonię.

Chwila milczenia.

– W jakiej sprawie?

– Jestem znajomym Kate, nie widziałem jej od miesiąca, również jej rodzina jest zaniepokojona, pomyślałem, że ktoś z Bostonu mógłby mi pomóc.

– Tutaj jej nie ma.

– Chciałbym pomówić z kimś, kto ją znał.

Znowu cisza.

– Lepiej będzie, jeśli zostawi mi pan swoje nazwisko i numer telefonu.

Podąłem mu swój numer.

– Mam automatyczną sekretarkę, jestem psychologiem – należę do Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologów. Można również zadzwonić do profesora Seta Fiacre’a na Wydział Psychologii Uniwersytetu Bostońskiego. Proszę o szybki kontakt.

– No, nie wiem. Nasza szefowa, Bridget McWilliams, jest w terenie i wróci dopiero późnym wieczorem.

– Gdzie będzie można ją zastać?

– Niestety nie wolno mi tego zdradzić.

– Proszę jej powiedzieć, że od tego zależy bezpieczeństwo Kate. –

Ponieważ milczał, dodałem: – Proszę wspomnieć nazwisko Eileen Wagner.

– Wagner – powtórzył. – Jak ten kompozytor...

– Właśnie.

Na śmierć zapomniałem, że Seth Fiacre przeniósł się do Bostonu.

Przypomniałem sobie dopiero wówczas, kiedy zastanawiałem się, kto mógłby dać mi referencje. Ten psycholog społeczny opuścił Uniwersytet Kalifornijski w ubiegłym roku. Specjalnością Setha były badania nad kontrolą umysłu, nad kultami i sektami religijnymi.

Znów wybrałem numer informacji w Bostonie i poprosiłem o numer Wydziału Psychologii. Sekretarka poinformowała, że profesor pracuje w Centrum Społecznych Nauk Stosowanych. Następna sekretarka zapisała moje nazwisko i kazała czekać. Po paru chwilach usłyszałem głos Setha.

– Alex, kopę lat!

– Cześć Seth. Jak tam Boston?

– Jest piękny. Wreszcie wróciłem na swoje śmieci. A co tam u ciebie?

– Myślisz o wykładach?

– Nie. Nie bardzo.

– Trudno wrócić do czegoś, czego się dawno nie robiło, prawda?

– Poniekąd.

Zaśmiał się.

– Zapomniałem, że sam jesteś psychologiem. Co porabiałeś?

– Pracowałem jako biegły w sądzie, teraz piszę monografię.

– To całkiem niezłe. Czym mogę ci służyć? Chcesz mi kogoś polecić? Coś związanego z sektami?

– Nie – odparłem – poszukuję informacji o kimś z pracowników

uniwersytetu. Były profesor.

– O kogo chodzi?

– Leo Gabney i jego żona.

– Słyszałem, że się przeniósł w twoje okolice.

– Co o nim wiesz?

– Nie znałem go osobiście, ale znam jego rozprawy i artykuły. Ten człowiek to cała instytucja. Zawsze miałem mu za złe, że chwyta się tak różnych rzeczy, ale to znakomita robota. Ma teraz sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat.

– Niewiele ponad sześćdziesiąt. Razem z żoną otworzył klinikę psychiatryczną w San Labrador – leczenie fobii. Tylko dla bogatych. – Powiedziałem mu, ile Gabneyowie biorą za godzinę.

– No nie! Pozbawiłeś mnie złudzeń. Myślałem, że dostaję tutaj duże pieniądze, a tymczasem to marne grosze w porównaniu z forszą Leo. Co chcesz o nim wiedzieć i dlaczego?

– Leczył matkę mojej pacjentki i wydarzyło się coś niespodziewanego, ale nie mogę cię w to wprowadzić. Mam nadzieję, że zrozumiesz...

– Pewnie. Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego wyjechali z Bostonu? Może znasz jakieś plotki?

– Plotki? – zaśmiał się. – To moja specjalność.

– Czym zajmowali się przez ostatni rok przed wyjazdem?

– Zobaczą, co da się zrobić, ale wiele nie mogę obiecać. Ludzie z Harvardu stanowią hermetyczne grono, dotyczy to nawet studentów, bardzo niechętnie rozmawiają z kimś z zewnątrz.

– Aż tak?

– Zobaczymy. Jak się nazywa jego żona?

– Ursula Cunningham-Gabney. Leo był jej promotorem, bardzo zdolna, dwa doktoraty. O ile wiem, pracowała z mężem na Wydziale Psychiatrii i w klinice uniwersyteckiej.

– Znam tam kogoś, ale to zwykły lekarz medycyny. Wypytam go, może będzie coś wiedział.

– Każdy szczegół jest na wagę złota.

– Rozumiem.

– Tylko proszę, zadzwoń jak najszybciej.

– Dobra. I pomyśl o wizycie u mnie. Moglibyśmy się wybrać na wycieczkę po okolicznych barach.

Wykręciłem numer do Mila. Oczekiwałem automatycznej sekretarki, ale słuchawkę podniósł Rick.

– Mila nie ma. Wydzwaniał przez cały rano i wyszedł godzinę temu.

– Dzięki.

– Słuchaj, Alex, chciałbym ci podziękować za tę pracę. On był naprawdę w kiepskiej formie, bezczynność go wykańczała.

– Wziąłem go dlatego, bo jest najlepszy.

– Ja to wiem i ty wiesz, ale jego trzeba było o tym przekonać.

Popołudniowy ruch na autostradzie opóźnił mój przyjazd do San

Labrador. Rozmyślałem, co łączy Massachusetts i Kalifornię.

Brama do posiadłości przy Sussex Knoll była zamknięta. Zamieniłem słowo z Madeleine przez domofon i zostałem wpuszczony.

Na podjeździe nie było samochodu Mila. Jedynie wiśniowy jaguar XJS.

Drzwi otworzyła mi nieznana kobieta. Średniego wzrostu, o dość okrągłych kształtach. Miała pociągłą twarz, czarne wijące się loki, czarne wielkie oczy i gęste rzęsy. Jej delikatna jedwabna sukienka pasowała na piknik Renoira. Kiedy podniosła rękę, zadzwoniły bransoletki.

– Doktor Delaware? Jestem Susan LaFamiglia.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Miała wąskie i miękkie dłonie, ale nie brakowało im siły. Gruby makijaż był bardzo fachowo nałożony. Mnóstwo pierścionków. Sznur czarnych pereł sięgający brzucha. Jeśli były prawdziwe, kosztowały więcej od jaguara.

– Miło mi pana poznać – rzekła. – Chciałabym pomówić o naszej wspólnej klientce, ale nie teraz, ponieważ jestem w trakcie rozmowy na temat jej finansów. Znajdzie pan czas za jakieś parę dni?

– Oczywiście, jeśli Melissa nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Już to z nią ustaliłam... Czy przyjechał pan, żeby odbyć z Melissą sesję terapeutyczną?

– Nie. Chciałem się dowiedzieć, jak sobie radzi.

– Na razie bardzo dobrze. Byłam zaskoczona jej znajomością prawa finansowego. To niezwykle jak na jej wiek.

– Jest niezwykle zdolna. Czy widziała pani detektywa Sturgisa?

– Był tutaj. Waśnie pojechał do restauracji jej ojczyma. Była tu również policja, żeby przesłuchać Melissę w sprawie śmierci McCloskeya, ale powiedziałam im, że jeszcze jej o tym nie poinformowano i nie należy jej niepotrzebnie niepokoić. Milo zasugerował, żeby raczej porozmawiali z

ojczymem.

Na parkingu przed restauracją stało dużo samochodów: mercedes

Rampa, toyota Noela, brązowy chevy monte carlo, fiat Mila i

ciemnoniebieski buick sedan, który już widziałem.

Kiedy wysiadłem z seville, ujrzałem, że ktoś wypada z restauracji i

biegnie w stronę samochodów.

Była to Bethel Drucker – w białej bluzie, ciemnych spodenkach i

sandałach. Rozwiane blond włosy, podrygujące piersi. Chwilę później

siedziała za kierownicą brązowego chevy. Z piskiem opon ruszyła w stronę

centrum miasta. Bez hamowania pokonała najbliższy zakręt i zniknęła mi z

oczu.

Kiedy tylko umilkł ryk silnika jej samochodu, w drzwiach ukazał się

Noel. Był zmieszany i przestraszony.

– Twoja matka pojechała w tamtą stronę – rzekłem, pokazując kierunek.

– Co się stało?

– Nie wiem – odparł. – Przyszła policja, żeby porozmawiać z Donem.

Byłem w kuchni i coś czytałem. Mama poszła poczęstować ich kawą. Kiedy

wróciła, wyglądała na bardzo zmartwioną. Zapytałem, czy się dobrze czuje,

ale nic nie odpowiedziała.

– Czy wiesz, o czym policjanci rozmawiali z Donem?

– Nie. Byłem w kuchni. Chciałem ją zapytać, o co chodzi, ale wyszła bez

słowa. – Spojrzał na ulicę. – To do niej nie pasuje...

Opuścił głowę smutny, zasepiony. Ciemne włosy, przystojny jak James

Dean. Coś mi zaświtało w głowie.

– Dokąd mogła pojechać? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia. Ona lubi jeździć samochodem, ale zawsze mówi, gdzie jedzie i kiedy wróci.

– Prawdopodobnie coś ją wyprowadziło z równowagi. Może coś związanego z zamknięciem restauracji?

– Dla niej ta restauracja to życie. Przekonywałem ją, że w razie czego bez trudu znajdzie pracę gdzie indziej, ale ona uważa, że to nie będzie to samo, ponieważ... – Przysłaniając oczy dłonią, przyglądał się ulicy.

– Dlaczego, Noelu?

– Słucham? – spojrzał ze strachem.

– Twoja mama powiedziała, że to nie będzie to samo, ponieważ...

– Nieważne – rzekł ze złością.

– Noelu...

– Na mnie czas.

Sięgnął do kieszeni dżinsów, wyjął kluczyki, podbiegł do toyoty i odjechał.

Skierowałem się w stronę restauracji. Na drzwiach widniała tabliczka:

NIECZYNNE AŻ DO ODWOŁANIA.

Wewnątrz paliły się wszystkie lampy, oświetlając każde zadrapanie na boazerii i każdą plamkę na dywanie.

Milo rezydował przy barze z filiżanką kawy w ręce. Don Ramp siedział przy stoliku pod ścianą, obok stała butelka Wild Turkey, szklanka i filiżanka, podobna do tej, jaką miał Milo. Po drugiej stronie stołu stały jeszcze dwie filiżanki. Ramp był w tej samej białej koszuli, którą miał na sobie przy

tamie. Wyglądał tak, jakby wrócił z wycieczki do samych piekieł.

Komendant policji Chickering i Skopek stali nad Rampem. Chickering palił cygaro.

Kiedy komendant mnie zobaczył, ściągnął brwi. Identycznie postąpił Skopek. Milo popijał kawę. Ramp w ogóle nie zareagował.

Miałem wrażenie, że jestem na stypie w męskim klubie.

– Dzień dobry, komendancie! – zawołałem.

– Witam pana, doktorze – rzekł Chickering.

Poruszył dłonią i popiół z cygara opadł na popielniczkę.

Podszedłem do baru i usiadłem obok Mila. Podniósł brwi i uśmiechnął się słabo.

Chickering zwrócił się do Rampa:

– W porządku, właśnie tak zamierzam zrobić.

Nie słyszałem, żeby Don cokolwiek mówił.

Komendant podniósł najbliższą filiżankę, napił się, oblizał usta i podszedł do nas. Skopek podążył jego śladem, o parę kroków za swoim szefem.

– Właśnie staram się ustalić, co się zdarzyło McCloskeyowi. Chciałby pan coś dodać, doktorze? – zapytał Chickering.

– Nie, panie komendancie.

– Dobrze – rzekł i znów łyknął kawy. Bez słowa podał pustą filiżankę

Skopkowi, który odstawił ją na stół obok Rampa. – Niestety nie udało mi się ustalić żadnych nowych faktów. Dziękuję za współpracę.

Skinąłem głową.

– Czy Melissa czuje się dobrze? – spytał.

– Tak. Wszystko w porządku.

– Dobrze – powtórzył i zaciągnął się cygarem. – Czy wiadomo, kto przejmie obowiązki prowadzenia domu?

– Trudno powiedzieć.

– No tak – rzekł – właśnie u niej byliśmy, ale rozmawiała ze swoją prawniczką. Nie wiedziałem, że zmieniła adwokata.

Wzruszyłem ramionami.

– Glen Anger to solidny człowiek – ciągnął. – Tutaj wyrósł. Jest znany od lat.

Milczałem.

– Dobrze – rzekł po raz trzeci – trzeba jechać. – Zwrócił się do Rampa: – Trzymaj się, Don. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Wielu ludzi dobrze ci życzy, zalicza się również do nich sekretarz sędziego okręgowego.

Uważaj na siebie.

Mrugnął do Rampa, który nawet się nie poruszył.

Kiedy Chickering i Skopek opuścili lokal, spytałem:

– Sekretarz sędziego okręgowego?

– Mieliśmy tu ciekawą pogawędkę. Widać policja z Los Angeles wzięła za dobrą monetę niewinne sugestie naszego księdza.

Popatrzyłem w stronę Rampa, który wciąż trwał w bezruchu.

– Czy on też włączył się do dyskusji? – spytałem ściszym głosem.

Milo postawił filiżankę na barze.

– Nie – odparł – jedynie pociągał burbona.

– A co z Nyquistem?

– Ani śladu, ale jego nikt nie szuka.

– Czemu przysłali Chickeringa?

– Żeby uniknąć plotek, a poza tym to czysta formalność.

– Czy dowiedziałeś się czegoś nowego o McCloskeyu?

Pokręcił głową.

– Jaka była reakcja Rampa na wiadomość o jego śmierci?

– Zagapił się na Chickeringa, a potem łyknął burbona.

– Żadnego zdziwienia?

– Może przebłysk, trudno orzec. Jest półprzytomny. To już nie ten sam człowiek.

– Jeżeli nie udaje.

Milo wzruszył ramionami, podniósł filiżankę i odstawił z powrotem.

– Don – zawołał – mogę coś dla ciebie zrobić?

Ramp milczał, ale po chwili wolno potrząsnął głową.

– Więc byłeś w Zachodnim Hollywood? – zapytał Milo przyciszonym głosem.

– Tak, ale pogadajmy na zewnątrz.

Udaliśmy się na parking i opowiedziałem mu o Kate Moriarty i Eileen Wagner.

– Dobrze – rzekł. – Twoja teoria związana z Gabneyem nabiera rumieńców. Prawdopodobnie przeszkrobał coś w Bostonie, wszystko wyszło na jaw, więc przyjechał tutaj i znów narozrabiał.

– Chodzi o wiele więcej – rzekłem. – Eileen Wagner była tą osobą, przez

którą poznałem Melissę i Ginę. Parę lat później umiera w niewyjaśnionych okolicznościach w Bostonie, Gabneyowie jadą do San Labrador, a zaraz potem zajmują się leczeniem Giny.

– Czy możliwe, że Wagner popełniła samobójstwo?

Podalem mu wycinek z gazety.

Przeczytał go.

– Cała sprawa szybko ucichła. Gdyby to nie śmierdziało, na pewno

Moriarty nie schowałaby tego artykułu.

– Właśnie. Wydaje mi się, że Kate coś zauważyła. Wagner pracowała na tym samym wydziale co Gabneyowie. W każdym razie cała trójka знаła Ginę.

– Kiedy spotkałeś Wagner, czy nie uderzyło cię nic w jej zachowaniu?

– Nie, ale nie starałem się jej analizować. Nasza rozmowa trwała zaledwie dziesięć minut i odbyła się przed jedenastoma laty.

– Więc nie ma powodu, żeby ją podejrzewać?

– Chyba nie. Dlaczego pytasz?

– Głośno myślę. Jeśli miała zasady, nie rozmawiała z nikim o Ginie.

– I ja tak sądzę – przyznałem.

– Więc w jaki sposób Gabneyowie mieliby się dowiedzieć o Ginie?

– Pewnie z początku nie wiedzieli, kiedy jednak Wagner dowiedziała się, że specjalnością Gabneyów jest leczenie fobii, mogła napomknąć im słówko.

– Na temat problemów bogaczy?

– Nieszczęśliwa księżna uwięziona w wieży. W takim stylu Eileen

opisywała mi Ginę. Była zachwycona bogactwem Giny. Mogła o niej

wspomnieć Leo albo Ursuli. Kiedy nadszedł czas ucieczki, przyjechali w

nadziei na pozyskanie majątnej pacjentki.

– A może to zbieg okoliczności? – spytał Milo.

– Tak czy owak wciąż nie wiadomo, dlaczego Kate Moriarty trzymała w swoim albumie informację o śmierci Eileen.

– Może Wagner była źródłem informacji Kate na temat szwindlów Gabneyów?

– I może dlatego umarła.

– To jedynie hipotezy – rzekł – zajmiemy się tym, kiedy wrócę.

Tymczasem zostawię to Suzy. Jeśli Gabneyowie zamierzali położyć łapę na majątku Giny, najlepiej oddać to w ręce specjalistki od finansów. Cassat będzie dobrym początkiem.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Do Sacramento. Jadę z polecenia Suzy. Pan Douse miał jakieś kłopoty z tamtejszą Radą Adwokacką, coś w związku z zarządzaniem majątkiem Melissy, ale nie chcieli mówić przez telefon. Żądają pełnomocnictw, które Suzy obiecała mi dostarczyć przed odlotem z Burbank dziś o szóstej dziesiątej. Jutro rano mam pomówić z paroma tamtejszymi bankierami, mam spotkanie w Radzie Adwokackiej. Potem czekam na dalsze dyrektywy od Suzy.

– Napięty plan.

– Ta pani lubi zapiąć wszystko na ostatni guzik. Coś jeszcze?

– Tak. Czy Bethel słyszała, jak Chickering mówił Rampowi o McCloskeyu?

– Tak, właśnie podawała nam kawę. Czemu pytasz?

Powiedziałem, jak szybko stąd odjechała.

– Prawdopodobnie było tego za dużo na jej skolatane nerwy. Zaraz potem zamieniłem parę słów z Noelem. Mówił, że jego matka przeżywała wielki stres, zamartwia się perspektywą utraty pracy. A wiadomość o kolejnej śmierci przepelniła kielich goryczy. Według mnie to nie przypadek, że śmierć McCloskeya tak ją zalała, ponieważ sądzę, że był on ojcem Noela.

Głębokie zdziwienie, jakie odmalowało się na twarzy Mila, było dla mnie największą nagrodą. Poczulem się jak dzieciak, który wygrał z ojcem w szachy.

– Mówisz o przypuszczeniach, czy masz jakieś dowody?

– Od początku coś mnie intrygowało w tym chłopcu. Teraz już wiem co.

Gdy poruszony ucieczką matki pochylił głowę, przypomniałem sobie twarz McCloskeya zaraz po aresztowaniu. Zdjęcie, które widziałem w gazecie.

Podobieństwo jest uderzające. Noel jest średniego wzrostu, ciemny, przystojny. McCloskey miał identyczny typ urody.

– Dawno temu.

– Właśnie. Ktoś, kto nie znał go z dawnych lat, nigdy by nie uchwycił owego podobieństwa.

– Znów jakaś tajemnica przeszłości – rzekł Milo i skierował swe kroki z powrotem do restauracji.

– Obudź się, Don! – zawołał Milo, szarpiąc Rampa.

Don obrzucił go zamglonym spojrzeniem.

– Dobrze – rzekł Milo – wiem, jak ci ciężko jest mówić. Rozumiem. Więc

mrugaj. Jeden raz na tak, dwa razy na nie. Czy Noel Drucker jest synem

McCloskeya?

**Żadnego ruchu. Lecz wyschnięte wargi ułożyły się w słowo „tak” i
wymówiły je szeptem.**

– Czy Noel wie? – zapytałem.

**Ramp pokręcił głową i opadł na stół. Coś strzeliło w jego kręgosłupach
szyjnych, cuchnął jak klatka niedźwiedzia w ZOO.**

– Noel i Joel. Bethel miała smykałkę do układania rymów.

Ramp wyprostował się.

– Noel, bo ona nie mogła... Milo podtrzymał mu głowę.

– Czego nie mogła, Don?

Ramp ogarnął go łzawym spojrzeniem.

– Ona nie umie... Znała Joela... imiona podobnie... brzmiały... więc

Noel... trzy litery te same... żeby zapamiętać.

Popatrzył na butelkę, westchnął i przymknął oczy.

**– Nie umiała czytać, więc nazwała go Noel, ponieważ imię brzmiało
niemal jak Joel? Chciała, żeby przypominało jej tamtego człowieka?**

Skinął głową.

– Czy wciąż jest analfabatką?

– Próbowałem, ale... Ona nie mogła...

**– Jak więc radzi sobie jako kelnerka? – spytałem. – Przecież przyjmuje
zamówienia i czeka.**

Ramp coś zagulgotał.

– Dostyc tego, gadaj! – zawołał Milo.

Ramp wolno podniósł głowę.

– Ona знаła wszystko... całe menu... na pamięć. Kiedy mieliśmy coś... nowego... robiliśmy próbę.

– A realizacja czeków? – spytał Milo.

– Ja... – Nie miał siły dokończyć zdania.

– Ty robiłeś wszystko – rzekłem – opiekowałeś się nią. Jak kiedyś za dawnych czasów. Była zwykłą wiejską dziewczyną, która przyjechała zrobić karierę w Hollywood.

– Pochodziła... z południa...

– Biedna dziewczyna. Wiedziałaś, że nigdy nie wystąpi w filmie, nie mogąc czytać dialogów. Dlatego starałeś się utrzymać to w tajemnicy?

Skinął głową.

– Joel...

– Joel poznał jej sekret?

Pokiwał głową. Ciężko westchnął.

Zdjęcia dla niego.

– Sprawił, że straciła kontrakt ze studiem filmowym, a potem zatrudnił ją jako modelkę do zdjęć?

Przytaknął.

– Jak otrzymała prawo jazdy? – zapytał Milo.

– Napisała test... zapamiętała wszystkie odpowiedzi i pytania.

– Musiało to jej zabrać dużo czasu.

Ramp pokiwał głową i wytarł nos wierzchem dłoni. Znowu głowa mu opadła. Tym razem Milo nie starał się go podnosić.

– Czy kontaktowała się z McCloskeyem w ciągu tych lat? – zapytałem.

Ramp potrząsnął głową ze zdumiewającą energią.

– Nie... ona go nienawidziła... ona tego... nie chciała.

– Czego nie chciała.

– Dziecka. Noela... – Skrzywił się jakby z bólu. – Kochała go, ale...

– Co, Don?

– Zgwałcił ją.

– McCloskey zgwałcił ją i zaszła w ciążę?

Skinął głową.

– Przez cały czas...

– Co, przez cały czas?

– Gwałcił.

– Gwałcił ją przez cały czas?

Pokiwał głową.

– Dlaczego jej nie ochroniłeś? – spytał Milo.

Ramp zaczął szlochać. Łzy ściekały mu na wąsy. Usiłował coś powiedzieć, ale zakrztusił się.

Milo podniósł mu głowę i otarł twarz chusteczką higieniczną.

– Co, Don? – zapytał łagodnie.

– Każdy... – rzekł, zalewając się łzami.

– Każdy ją gwałcił?

– Tak... bo ona nie jest... – Z wielkim wysiłkiem uniósł dłoń i uderzył się w twarz.

– Ona nie jest zbyt inteligentna – rzekł Milo – więc każdy mógł ją

wykorzystywać seksualnie?

Skinął głową. Znów polały się łzy.

– Czy naprawdę każdy?

Ramp zamknął oczy. Na jego ustach pojawiła się ślina zmieszana ze łzami.

– W porządku, Don – rzekł Milo.

Ramp osunął się na blat stołu.

Poszedłem z Milem do baru. Siedzieliśmy przez chwilę, patrząc na

Rampa, który zaczął chrapać.

– Więc ta agencja modelek była po prostu burdelem – rzekłem. – Każdy mógł tam mieć te bezbronne, uzależnione od narkotyków, niepotrafiące pisać ani czytać dziewczyny.

– Skąd wiesz?

– Wywnioskowałem to z zachowania Noela. Rozmawialiśmy o jego matce. Powiedziała mu, że praca w innym miejscu nigdy nie będzie już tym samym. Gdy mi to powtarzał, nagle zdenerwował się i odjechał. Jego reakcja uderzyła mnie. Noel zawsze kontroluje swoje emocje. Jest to typowe dla kogoś, kto wychował się w rodzinie narkomanów albo alkoholików. Jeżeli więc coś wyprowadziło go z równowagi, musiało być dla niego bardzo istotne. A kiedy Ramp zaczął się zwierzać, wszystko ułożyło się w sensowną całość.

– Analfabetka – rzekł Milo. – Żyć tak tyle lat, ciągle w strachu, że ktoś może zdemaskować jej wstydlivy sekret. Ramp wziął ją i jej dziecko pod opiekę, dręczony wyrzutami sumienia.

– Albo ze współczucia. On ma chyba bardzo miękkie serce.

– Tak. – Spojrzał na Rampa i pokiwał głową.

– To tłumaczy, dlaczego Bethel wolala pracować jako kelnerka, a nie mieszkać w luksusach jak Don i Gina. W przeszłości była szmatą, popychadłem. Nie została gwiazdą filmową i wpadła w narkotyki. Listę porażek i upadków kończy ciąża z człowiekiem, którego wszyscy nienawidzili. Niemiała najszcześniejszej przeszłości. Pewnie uwierzyła, że Ramp dał jej więcej, niż na to zasługiwała. A teraz może utracić wszystko.

Musnął palcami twarz,

– No i co? – spytałem.

– Jeśli faktycznie McCloskey ją zgwałcił i wykorzystywał, to dlaczego straciła głowę, kiedy usłyszała o jego śmierci?

– Może to jednak była dla niej jakaś strata? Trudno to racjonalnie wytłumaczyć, ale mogła mieć dla niego odrobinę uczucia, choćby za to, że dał jej Noela.

Milo wstał. Ramp chrapał coraz głośniej.

– A jeśli – rzekł Milo – było to więcej niż odrobina uczucia? Jeśli McCloskey utrzymywał z nią kontakt przez cały czas? Jeśli mieli wspólnego wroga?

– Ginę? – spytałem.

– Oboje jej nienawidzili – stwierdził Milo. – McCloskey z jakiegoś powodu, którego nie znamy, a Bethel z powodu zazdrości. Może coś knuła za plecami Rampa, omamiona wizją fortuny, jaką zdobędą, posługując się szantażem?

– Kogo mieliby szantażować?

– Kto wie? W każdym razie Gina należała do ich towarzystwa.

– O ile mi wiadomo, nic na nią nie znalazłeś.

– Bo o wiele lepiej niż inni potrafiła zachować tajemnicę. Pamiętasz, jak mi powiedziałeś, że powodem problemów w tej rodzinie okazały się sekrety?

Jeśli McCloskey spiskował z Bethel, to gdy usłyszała o jego śmierci, wpadła w panikę.

– Joel i Bethel, Noel i Melissa – rzekłem. – Nie, nie wierzę.

– Wiem, ale to nie ja ich połączyłem. Staram się odtworzyć rzeczywistość.

– A jeśli to Noel przejechał McCloskeya? Jego najprędzej mógłbym posądzić o tego typu morderstwo. Miał stały dostęp do różnych aut. Nie pomyślałeś, żeby sprawdzić, czy żaden z tych samochodów nie ma z przodu wgnieceń?

– Strata czasu. Nie użyłby żadnego z tamtych samochodów. To zbyt łatwo rzuciłoby się w oczy.

– Nikt nie widział rolls-royce’a Giny w okolicach tamy.

– Tego nie wiemy. Szeryf zakwalifikował to do nieszczęśliwych wypadków i zamknął śledztwo. Nie było żadnych poszukiwań świadków.

– Więc dobrze. Noel mógł użyć samochodu, który był zwykle w użytku.

Kiedyś mieli taki – za czasów, kiedy leczyłem Melisę – stary cadillac fleetwood. Muszą mieć podobny, bo dousenbergiem nie robi się zakupów.

Ukrył go gdzieś na terenie posiadłości albo w garażu. A może McCloskey został przejechany ukradzionym wozem – Noel wiedział, jak tego dokonać.

– I w ten sposób ze wspaniałego, uczciwego chłopczyka robi się krwawy morderca?

– Jak powiedziałeś, ludzie się zmieniają.

Oparł się o bar.

– Niezła historyjka. Dzieciak morduje własnego ojca. Czy taki delikwent nadaje się do resocjalizacji?

Nic nie odrzekłem.

Dochodziło nas pochrapywanie Rampa.

– Warto byłoby go obudzić, kto wie, ile jeszcze dałoby się z niego

wycisnąć? – rzekł Milo. Spojrzał na zegarek. – No, muszę jechać na lotnisko.

Chcesz tu zostać? Zadzwoń do ciebie zaraz po wylądowaniu. Przed dziewiątą.

– Dobrze, ale wcześniej chciałem zadzwonić do Bostonu. Co mam robić, kiedy zjawi się Bethel?

– Zatrzymaj ją i dokładnie wypytaj.

– Jakich technik mam użyć?

– Użyj swojego uroku osobistego, doktoratu, bezczelnych kłamstw i czego ci się podoba.

Rozdział trzydziesty czwarty

Ramp zapadł w mocny sen. Uprzątnąłem butelkę, szklankę i filiżanki ze stołu i zanieśliłem do zlewu za barem. Przygasilem światła. Sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Żadnych wiadomości z Bostonu, tylko parę telefonów z miasta, z którymi uporałem się w ciągu pół godziny.

O czwartej trzydzięci zadzwonił telefon: ktoś chciał wiedzieć, kiedy

restauracja „Pod Pucharem” będzie czynna. Odrzekłem, że już wkrótce, i poczułem się jak idealny urzędnik. A w ciągu następnej godziny mówiłem z mnóstwem ludzi, którzy chcieli zrobić rezerwację na wieczór.

O piątej trzydzieści poczułem zimno i przełączyłem klimatyzator na wyższą temperaturę. Zdjąłem obrus z jednego ze stołów i okryłem nim Rampa. Wciąż drzemał. Wielka ucieczka w sen. Z Melissą miał o wiele więcej wspólnego niż się wydawało. O piątej czterdzieści poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie kanapkę z pieczenia i sałatką. Kawa była zimna, więc wziąłem colę. Przyniosłem wszystko do baru i jadłem, spoglądając na śpiącego Rampa. Następnie zadzwoniłem do domu, który on kiedyś nazywał swoim domem.

Odebrała Madeleine. Spytałem, czy jest Susan LaFamiglia.

– *Qui*. Proszę poczekać.

Sekundę później usłyszałem głos prawniczki:

– Dzień dobry, doktorze. Co się stało?

– Jak się czuje Melissa?

– Czy o tym chciał pan ze mną pomówić?

– Jak czuje się w tej chwili?

– Zmusiłam ją do zjedzenia czegoś, co jest już dobrym znakiem. Co może mi pan powiedzieć o stanie jej psychiki?

– W jakim sensie?

– W sensie jej równowagi psychicznej. Takie wypadki mogą być nieprzyjemne w skutkach. Czy Melissa zdoła wystąpić przed sądem?

– Nie można tu mówić o nagłym załamaniu się psychicznym. Melissa jest

pod wpływem silnego stresu. Ma huśtawkę nastrojów. Raz jest zmęczona i chciałaby się wycofać ze wszystkiego, a kiedy indziej gniew pobudza ją do działania. Jej stan nie ustabilizował się. Musiałbym ją poobserwować, zanim ocenilbym, czy jest na tyle silna, żeby wziąć udział w przewodzie sądowym.

– Ciągły niepokój? Coś w rodzaju zespołu maniakalno-depresyjnego?

– Nie, nie ma w tym nic psychotycznego. Jej umysł pracuje całkiem racjonalnie, biorąc pod uwagę to, co przeżyła.

– Kiedy całkowicie dojdzie do siebie?

– Trudno powiedzieć. Na razie może pani ustalić z nią zarysy strategii, ale radziłbym unikać wszystkiego, co kojarzy się z konfrontacją.

– Ona pała żądzą zemsty. To mnie zdziwiło. Po młodej dziewczynie, która straciła matkę, oczekiwałam więcej żalości i smutku.

– To jest związane z zasadami terapii, której była poddana. Zamienia niepokój na złość, żeby w ten sposób móc kontrolować sytuację.

– Rozumiem. Więc nie jest pan w stanie przewidzieć jej zachowań?

– Jak powiedziałem, żeby stwierdzić coś dokładniej, musiałbym ją poobserwować, ale jestem przekonany, że na pewno po jakimś czasie dojdzie do siebie. Nie ma tu niczego, co wskazywałoby na psychozę.

– W porządku. Czy wystąpi pan w sądzie z takim oświadczeniem?

Ponieważ mogą ją oskarżyć o chorobę psychiczną.

– Nawet jeśli tamta strona będzie postępowała niezgodnie z prawem?

– Dopiero kiedy uda się nam obronić, możemy rozpocząć atak. Szukam jakiegoś haka na Douse'a, pewnie Milo panu o tym powiedział. Jim Douse niedawno rozwodził się i adwokaci jego byłej żony twierdzą, że odbyło to się

z naruszeniem prawa. Chodzi o jakieś machlojki w Towarzystwie

Prawniczym. To może okazać się naszą kartą atutową. Bo biorąc pod uwagę sposób, w jaki prowadzono księgi rozrachunkowe, będzie trudno udowodnić malwersacje. Miałam wiele spraw ze studiami filmowymi, których księgowości specjalizują się w tego typu manewrach. W tym przypadku walka będzie ostra i bezpardonowa, ponieważ chodzi o duże pieniądze. Może ciągnąć się latami. Dlatego też stan zdrowia mojej klientki nie może budzić zastrzeżeń.

– Jak na swój wiek trzyma się bardzo dobrze, ale nie znaczy to, że jest niewrażliwa na ciosy.

– Dobrze. Właśnie tu idzie, czy chce pan zamienić z nią słówko?

– Oczywiście.

– Cześć, doktorze – powiedziała Melissa.

– Cześć. Jak się masz?

– Dobrze... ale czy nie moglibyśmy porozmawiać?

– Chętnie. Kiedy?

– Teraz pracuję z Susan i jestem już zmęczona, może jutro?

– Zgoda. Dziesiąta rano?

– Świetnie. Dzięki. Chciałabym przeprosić... byłam ostatnio taka nieznośna.

– Nieprawda, Melisso.

– Jestem... W ogóle nie myślałam... o matce. Chyba... nie dopuszczałam tej myśli, wciąż tylko spałam i spałam. A teraz wciąż o niej myślę. I nie mogę przestać. Bo już nigdy nie zobaczę jej twarzy... i ona nigdy... nigdy więcej...

Rozplakala się. Nastala długa chwila ciszy.

– Jestem tu, Melisso.

– Juz nie bedzie tak samo – rzekla i odlozyla sluchawke.

Szosta dwadzieścia. Ani śladu po Bethel i Noelu. Znowu polaczylem się z automatyczna sekretarka i przesluchalem nagrane rozmowy. Seth zostawil numer telefonu.

Wykręcilem go i uslyszalem głos dziecka.

– Halo?

– Chcialbym mówić z profesorem Fiacre'em.

– Taty nie ma w domu.

– Czy wiesz, dokad poszedl?

Wlaczyl się głos kobiety.

– Dzień dobry. Z kim mam przyjemność?

– Mówi doktor Delaware, umawialem się z profesorem Fiacre'em na telefon.

– Jestem opiekunką dziecka. Profesor powiedzial, że pan zadzwoni, i zostawil numer, pod którym można go zastać.

Zanotowalem, co mi podala, i poprosilem, zeby zapisala mój numer „Pod Pucharem”.

Wykręcilem otrzymany numer. Uslyszalem męski głos:

– Restauracja „Owoce Morza”. Czym mogę służyć?

– Chcialbym mówić z profesorem Fiacre'em. Je u państwa kolacje.

– Czy mógłby pan przeliterowac nazwisko?

Uczynilem to.

– Chwileczkę.

Czekałem. Ramp zaczął się budzić. Podniósł głowę i przetarł twarz brudnym rękawem, rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem i wybałuszył na mnie ślepią.

Chyba mnie nie poznał. Zamknął oczy, podciągnął opadający obrus i powrócił do drzemki.

– Alex? – odezwał się Seth.

– Cześć, przepraszam, że odrywam cię od kolacji.

– Dzwonisz w samą porę, właśnie skończyliśmy jedno danie i podają następne. Niestety, nie dowiedziałem się wiele o państwie Gabney, w każdym razie ich wyjazd nie wyniknął całkowicie z ich inicjatywy. Musieli coś przeszkobać i zostali zmuszeni do opuszczenia Bostonu. Nie wiem jednak, co to było.

– Czy wyrzucono ich z Harvardu?

– Nieoficjalnie. Jeśli chodzi o procedurę, to sami złożyli rezygnację. Nie dotarłem jednak do źródła. Każdy, kto coś wie, trzyma język za zębami. Mówiłem ci, że oni trzymają się razem.

– Czym się zajmowali?

– Fobiami. Staralem się dowiedzieć w bibliotece, co robił, jakie prowadził badania, ale nic nie znalazłem, nie opublikował żadnego artykułu, żadnej rozprawy, kompletnie nic. Przez lata pisał i pisał, aż studenci nie nadawali tego czytać. I nagle przestał. Nie napisał ani słowa. Jakby się wypalił. Ani słowa, jeśli chodzi o prace kliniczne z zakresu psychologii i psychiatrii. Wydał jedynie parę bardzo kiepskich esejów, których nikt by nie

opublikował, gdyby autorem nie był Leo Gabney.

– Jakiego rodzaju?

– Coś z filozofii – wolna wola, istota odpowiedzialności osobowej. Jakieś krytyki determinizmu, jak zmienia się zachowanie jednostki pod wpływem właściwych stymulatorów.

– Nie jest to w stylu wielkiego Leo.

– Może się zestarzał?

– Demencja starcza?

– No, nie aż tak. Znałem paru facetów, którzy po okresie przekwitania porzucili naukę i oddali się rozważaniom filozoficznym.

Przez parę następnych minut wymienialiśmy się grzecznościami, a w końcu pożegnaliśmy się. Potem zadzwoniłem do Unii Gejów, ale usłyszałem nagraną wiadomość, że biuro jest nieczynne. Połączyłem się z informacją w

Bostonie poprosiłem o numer Bridget McWilliams. Mieli tylko kogoś o nazwisku B.L. McWilliams, zamieszkałego przy ulicy Cedar w Roxbury. Zadzwoniłem Odebrał zaspany mężczyzna z meksykańskim akcentem.

Powiedział, że nie zna nikogo o imieniu Bridget.

Dochodziła szósta czterdzieści. Byłem w restauracji ponad dwie godziny zaczynałem mieć dość tego miejsca. Za barem znalazłem parę kartek, długopis i przenośny odbiornik radiowy. Byłem skazany na łagodnego rocka.

Siódma. Kreśliłem jakieś figury na kartce. Żadnego znaku od Noela ani Bethel. Postanowiłem, że zostanę do czasu, aż Milo doleci do Sacramento, potem poproszę go, żeby zwolnił mnie z tego obowiązku. Pojadę sobie do

domu, obejrzą staw, może nawet zadzwonię do Robin... Kolejny raz

sprawdziłem informacje nagrane na mojej automatycznej sekretarce. Jest.

Dzwoniła kobieta o nazwisku Sally Etheridge z Bostonu.

Usłyszałem kobiecy głos.

– Tak, tak, całkiem niezłe... – W tle muzyka. Wyłączyłem swoje radio, tamta muzyka nie ucichła. Rozpoznałem rytmy bluesa, dźwięk oboju i waltorni.

– Pani Etheridge?

– Przy telefonie.

– Mówi doktor Alex Delaware, dzwonię z Los Angeles.

Cisza.

– Zastanawiałam się, czy pan zadzwoni.

– Czym mogę służyć?

– Nie jestem tą osobą, o którą panu chodzi?

– Czy mój numer dała pani Bridget McWilliams?

– Zgadł pan – odparła.

– Jest pani reporterką?

– Nie, jestem elektrykiem.

– Zna pani Kate Moriarty?

– Czy nie posuwa się pan za szybko? – Jakiś śmiech w tle. Chyba trafiłem na małą imprezę towarzyską. To, że niedawno rozmawiałem z kompletnie pijanym Rampem, przeszkadzało mi w ocenie, czy była na lekkim rauszu.

– Kate nie pokazywała się już od miesiąca. Jej rodzina...

– Tak, tak, znam tę śpiewkę. Słyszałam od Bridget. Proszę przekazać

rodzinie, że jest to sprawa Kate, gdzie szuka sobie towarzystwa.

– Jednak tym razem to coś innego.

– Tak pan myśli?

– Tak myślę.

– Na tym polega pana zawód.

– Więc jeśli nic panią nie niepokoi, co znaczył telefon do mnie?

**– Słuszne pytanie... Nawet pana nie znam, więc możemy zaraz się
pożegnać...**

– Chwileczkę.

– Zmiękł pan, co? – zaśmiała się. – Dobrze, dam panu minutę.

**– Jestem psychologiem. W wiadomości zostawionej dla Bridget
wytłumaczyłem, o co mi...**

– Tak, tak, słyszałam. Jest pan cholernym psychoanalitykiem.

– Miała pani złe doświadczenia z psychoanalitykami?

– Nic mi nie dolega, czuję się dobrze.

**– Więc zadzwoniła pani w sprawie Eileen Wagner, prawda? Długie
milczenie. Przez moment sądziłem, że się wyłączyła.**

– Zna pan Eileen?

**– Spotkałem ją, kiedy pracowała w Pasadenie. Poleciała mi pacjentkę, ale
potem znikła mi z pola widzenia. Prawdopodobnie wyjechała do Europy.**

– Chyba tak.

– Czy ona i Kate były przyjaciółkami?

– Och, nie – roześmiała się.

– Kate bardzo interesowała się śmiercią Eileen, znalazłem w jej albumie

wycinek z gazety „Boston Globe”. Czy Kate pracowała wtedy dla „Globe”?

– Nie wiem – odparła schrypniętym głosem. – Czemu miałabym wiedzieć? Co mnie to może, do cholery, obchodzić, co robiła i dla kogo pracowała? Mam do gdzieś!

Teraz wiedziałem, że jest trochę pijana i że trafiłem na bibę.

– Przykro mi, że to panią zdenerwowało.

– Co pan powie? A to czemu? – Nie wiedziałem, co mam odrzec, ale zanim zdążyłem coś wymyślić, ciągnęła dalej: – Nie znamy się, więc czemu miałoby pana obchodzić, co czuję?

– Dobrze. – Poczulem, że nie mam nic do stracenia. – To przyzwyczajenie zawodowe. Lubię uszczęśliwiać ludzi. A na studia poszedłem, aby zostać potakiwaczem, zawsze mówić „tak”.

Zaśmiała się.

– Eileen też lubiła potakiwać. Poszła na psychologię, żeby też zostać potakiwaczem.

Usłyszałem dźwięki piosenki.

– Pani Etheridge?

Cisza.

– Sally?

– Tak, jestem, ale nie wiem, czemu.

– Opowiedz mi o Eileen..

– Nie mam nic do powiedzenia. To strata czasu, cholerna strata czasu.

– Czemu ona to zrobiła?

– A jak myślisz? Bo nie chciała być tym... czym była... Trzeba wciąż

wsluchiwać pieprzenia psychoanalityków, prawników. Myślałam jednak, że już przez to przeszliśmy. Myślałam, że była szczęśliwa. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiła, nie mogę... A niech to wszyscy diabli!

– Może ktoś wmawiał jej, że nie jest w porządku, że powinna się zmienić?

Znowu parę taktów piosenki.

– Może. Nic o tym nie wiem.

– Kate Moriarty coś podejrzewała. Śledziła terapeutów, którzy leczyli Eileen. To dlatego pojechała do Kalifornii.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem. To ona zadawała pytania, nie ja. Nigdy nie mówiła, nad czym pracuje, była skryta. W ogóle prawie jej nie znałam.

– Jak się poznałyście?

– Przez Unię Gejów. Zajmuję się elektrycznością w budynku wydawnictwa i kiedyś powiedziałam jej o Eileen... Strasznie się zapaliła.

Jednak ona nigdy nic nie mówiła, tylko zadawała pytania. Miała zasady – o tym wolno mawiać, a o tym nie wolno... Myślałam, że... ale ona... Nie, pieprzę, mam w dupie, głęboko w dupie! Nie mam zamiaru znowu przez to przechodzić.

Kompletna cisza. Brak muzyki.

Poczekalem chwilę i zadzwoniłem jeszcze raz. Zajęty sygnał.

Spróbowałem pięć minut później, bez rezultatu.

Z wolna składałem wszystko do kupy. Spojrzałem z innej perspektywy na co do tej pory zaszło. Jeszcze jeden kontekst, który zabarwiał suche fakty, sprawiał, że owe fakty stawały się zrozumiałe, cudownie przejrzyste.

Otworzyłem książkę telefoniczną.

Inne miejsce, inny numer kierunkowy.

Ten adres był w książce. Nazwisko i inicjał imienia. Nakręciłem numer.

Po chwili usłyszałem:

– Halo?

Wyłączyłem się bez słowa. W restauracji zrobiło się chłodno. Zrzuciłem jeszcze jeden obrus na ramiona Rampa i wyszedłem.

Rozdział trzydziesty piąty

Przestudiowałem przewodnik i przez następne sto dwadzieścia minut pędziłem autostradą numer sto jeden.

Zapadał przedwieczorny bury zmierzch. Niebo całkowicie pociemniało, kiedy mijalem Santa Barbara. Zjechałem na trasę numer sto pięćdziesiąt cztery w okolicach Goleta i po chwili poszukiwań znalazłem drogę na San Marcos w kierunku jeziora Cachuma.

Najwięcej trudności miałem ze znalezieniem owego miejsca. Było to samotne ranczo przy drodze, bez tablic informacyjnych, bez żadnej latarni.

Za pierwszym razem przeoczyłem je i dotarłem do miasteczka Ballard.

Zawróciłem i jechałem teraz wolniej. W końcu dojrzałem tablicę z napisem: GOSPODARSTWO DOŚWIADCZALNE. TEREN PRYWATNY.

Zgasilem światła. Wysunąłem głowę przez okno. Powiało chłodem.

Poczułem zapach suchej trawy i kurzu. Litery były wykonane z gwoździ wbitych w sosnową deskę przyczepioną do płota.

Nie wyłączając silnika, wysiadłem z seville i podszedłem do bramy.

Naparłem na nią ramieniem, ale nie udało się jej otworzyć. Po paru nieudanych próbach znalazłem spróchniałą sztachetę. Wyrwałem ją i

przecisnąłem się na drugą stronę ogrodzenia. Do bramy przymocowany był skobel i duża kłódka. Dojrzałem wąską drogę rozświetloną gwiazdami, która ginęła wśród drzew. W oddali wznosiły się wspaniałe góry o czarnych, stromych zboczach.

Wróciłem do samochodu i odjechałem jakieś sto metrów, zanim znalazłem miejsce zasłonięte gałęziami drzew, a właściwie nie drzew, lecz krzaków. Rzadkimi, cienkimi, kołysanymi wiatrem. Nie był to najlepszy kamuflaż.

Zaparkowałem i zamknąłem wóz. Wróciłem i przeszedłem przez dziurę w płocie.

Droga była wyboista i zarośnięta. Parę razy o mało się nie przewróciłem.

Kiedy doszedłem do drzew, poczułem zapach sosen. Nie szczędziły mnie komary, gryząc w twarz.

Drzewa rosły blisko siebie, ale nie było ich wiele. Po chwili znalazłem się na polanie oświetlonej srebrną poświatą księżyca. Zatrzymałem się nasłuchując. Krew pulsowała mi w uszach. Stopniowo począłem rozróżniać kształty.

Przede mną rozciągało się pole wielkości stadionu. Gdzieś tam rosły drzewa.

Poczułem zapach cytrusów. Woń była tak intensywna, że prawie poczułem w ustach smak lemoniady, wspomnienie letniego urlopu. Na komarach nie zrobiło to jednak wrażenia, cięły niemiłosiernie.

Szedłem ostrożnie. Krok za krokiem. Pomiędzy liśćmi ujrzałem prostokątne światełka. Obszedłem gaj cytrusowy i prostokąty stały się

oknami.

Dom. Skromnych rozmiarów. Parterowy, z lekko spadzistym dachem.

Trzy zasłonięte okna.

Typowe kalifornijskie ranczo. Cisza. Atmosfera sielanki.

Tak spokojnie, że na moment zwątpilem w trafność moich domysłów.

Jednak zbyt dużo rzeczy pasowało do siebie...

Dojrzałem więcej szczegółów.

Był samochód, którego szukałem.

Na lewo od domu znajdowała się zagroda.

Za nią budynki gospodarskie. Ruszyłem w tamtą stronę. Usłyszałem ciche rżenie i parskanie koni. Poczulem zapach starego siana i nawozu.

Konie poczęły rżeć coraz głośniej. Znalazłem miejsce, gdzie stały.

Dwadzieścia metrów za zagrodą, w stajni bez okien. Obok szopa z sianem. A dalej coś mniejszego.

Z pojedynczego prostokątnego okna sączyło się światło. Cofnąłem się.

Konie uderzały kopytami. Parskały coraz głośniej. Były podenerwowane.

Wstrzymałem oddech. Poczulem jakby drżenie ziemi, ale może to nogi trzęsły się pode mną.

Konie zaczęły szaleć. Usłyszałem skrzyp otwieranych drzwi w małym budynku. Ktoś wyszedł na zewnątrz. Przywarłem do ogrodzenia.

Konie wciąż parskały. Jeden zarżał donośnie.

– Zamknąć się! – zagrzemiał dźwięczny męski głos.

Zapadła cisza.

Mężczyzna stał przez chwilę, a potem zawrócił do domu. Nie domknął

drzwi i przez szparę widać było światło. Odczekałem parę minut w

bezruchu, czując, jak po rękach i po twarzy łażą mi muszki.

W końcu drzwi zamknęły się zupełnie. Uderzyłem się po policzkach

otwartą dłonią i znów odczekałem parę minut.

Za ścianą słyszałem zdenerwowane konie.

Podbiegłem do szopy. Opierając się plecami o ścianę, zbliżałem się do

oświetlonego okna.

Krok po roku. Coraz wyraźniej słyszałem ludzkie głosy.

Jeden głos mówił, drugi mamrotał, zawodził.

Przyciskałem się do nieoheblowanych desek, ale nie potrafiłem rozróżnić

słów.

Gniewny głos.

Wykrzykiwane rozkazy.

Drugi głos protestuje.

Jakiś dziwny trzask, jakby ktoś włączał telewizor.

Piskliwy, spazmatyczny jęk. Coraz głośniejszy.

Ktoś opiera się, walczy, cierpi.

Podbiegłem do okna, skuliłem się i z wolna począłem się podnosić, żeby

zajrzeć do wewnątrz.

Matowa szyba. Dostrzegłem jedynie jakieś niewyraźne sylwetki.

Odgłosy udręki i cierpienia nie ustawały.

Dopadłem drzwi i pociągnąłem je lekko do siebie. Przymknąłem oczy,

kiedy zaskrzypiały.

Odgłosy wewnątrz nie umilkły.

Sięgnąłem do klamki następných drzwi.

Była zardzewiała. Luźna. Przekręciłem ją bardzo wolno.

Powstała centymetrowa szpara. Zerknąłem przez nią, serce zaczęło mi walić niczym młot.

Pchnąłem mocniej i drzwi się otwarły...

Pokój był długi i wąski. Ściany pokryte były płytami pilśniowymi w kolorze popiołu. Podłoga z czarnego linoleum. Światło pochodziło z dwóch wiszących lamp.

Pośrodku pomieszczenia znajdowały się dwa fotele fryzjerskie, w odległości metra od siebie.

Jeden fotel był pusty. Na drugim leżała kobieta w fartuchu lekarskim, przywiązana szerokimi skórzanymi pasami w kostkach, nadgarstkach, w poprzek piersi i bioder. Część włosów na głowie miała wygolonych w szachownicę. Do tych miejsc przymocowane były elektrody, jak również do ramion i do wewnętrznej strony ud. Przewody łączyły się w gruby pomarańczowy kabel, który wijąc się po podłodze, prowadził do szarej blaszanej szafy o wysokości lodówki, ale dwa razy od niej szerszej. Były tam dźwignie, przyciski i oszklone zegary. Niektóre wskazówki drgały.

Drugi kabel połączony z szafą-dyspozytornią, dochodził do metalowego stołu, na którym znajdował się bęben z papierową taśmą i mechaniczne ramię z zamocowanymi do niego paroma pisakami. Kreśliły one linie na wolno przesuwającej się taśmie. Obok stały fiolki z medykamentami i biały plastikowy inhalator.

Ekran telewizyjny na ruchomym wsporniku zbliżył się do piersi kobiety i

pojawiły się na nim nagie piersi z sutkami wielkości jabłka. Następnie ekran przesunął się do twarzy kobiety, do wzgórka łonowego i z powrotem do piersi.

Obok stał mężczyzna. W jednej ręce trzymał czarnego pilota, a w drugiej większego – szarego. Żuł gumę. Kiedy mnie spostrzegł, zastygł w bezruchu.

Kobietą uwięzioną na krześle była Ursula Cunningham-Gabney. Oczy miała czerwone, podpuchnięte i przerażone. Usta zakneblowane niebieską chustką.

Tym mężczyzną z rozwianymi siwymi włosami w czarnej bluzie, niebieskich dżinsach i roboczych butach, na których pozasychały grudki błota, był Leo Gabmey. Wybaluszył na mnie oczy.

Jego żona usiłowała krzyczeć, ale jedynie cicho rzęziła.

Nie patrzył na nią.

Zrobiłem krok w jego stronę.

Pokręcił głową i nacisnął przycisk szarego pilota. Rozległ się trzask prądu, a wskazówka jednego z zegarów poruszyła gwałtownie. Ciało Ursuli poczęło drgać gwałtownie. Gabney jak gdyby nie zauważał swojej żony, wpatrując się we mnie, cofał się.

Zakręciło mi się w głowie od takiego ogromu nikczemności. Zrobiłem drugi krok w jego kierunku.

– Nie ruszaj się, durniu – zawołał Gabney i nacisnął dragi guzik.

Trzask prądu zmienił się w przeraźliwy pisk i następna wskazówka ruszyła w prawo. Poczulem swąd spalenizny. Ursula wyla i trzęsła się, jakby coś ją dusiło. Palce rąk i nóg poruszały się w przedśmiertnych drgawkach.

Wypięzła się. Tętnice i żyły na jej szyi nabrzmiały. Ciało było sztywne niczym suche polano, skóra blada, z wyjątkiem ust, które płonęły czerwienią.

Omam nie zemdlamem, ale nie poddałem się panice. Gabney cofał się tanecznym krokiem, do połowy zasłonięty szarą szafą. Palec wciąż trzymał na szarym pilocie.

Zbliżyłem się do fotela.

– No, dalej – zawołał Gabney. – Ciało jest świetnym przewodnikiem.

Podkręcę napięcie i usmażycie się oboje.

Zamarłem. Ursuli udało się wypluć chustkę z ust. Konwulsyjnie chwytala powietrze otwartymi szeroko ustami, charczała, rzucała głową w obie strony, na policzkach pojawił się krwawy pot, byk wciąż napięta, wargi napuchłe do niewyobrażalnych rozmiarów. Nogi lekko rozsunięte. Do elektrody umieszczonej pomiędzy udami przyczepiona była chusteczka higieniczna.

Z wysiłkiem oderwałem wzrok od Ursuli i spojrzałem na Gabneya.

– Siadaj tam w tyle – rozkazał. – Jeszcze dalej. I podnieś ręce.

Doskonale.

– Ładne laboratorium. Doskonale oprzyrządowanie. Trudno sobie wyobrazić, że wykonał je jeden człowiek – przemówilem.

– Nie próbuj mnie nabierać. Jak się tylko ruszysz, upiekę ją żywcem! – zawołał groźnie.

– Panujesz nad sytuacją, co?

Jego palce przebiegły po guzikach szarego pilota, ale nie nacisnął ich.

– Kontrola. To twój główny cel działania, prawda? – zapytałem.

– Uważasz się za naukowca – odparł – a więc jest to również i twój cel.

Zanim zdążyłem, odpowiedzieć, potrząsnął głową z pogardą na twarzy.

– Opisać, przewidzieć i poddać kontroli. Czyż nie jest to istotą rzeczy?

– Jak to się da pogodzić z twoją koncepcją wolnej woli?

Uśmiechnął się.

– Masz na myśli moją małą rozprawkę filozoficzną? Ładnie z twojej

strony, że pofatygowaleś się ją przeczytać. Gdybyś jednak był taki

inteligentny, za jakiego się uważasz, to byś zobaczył tutaj ogromną wolną

wolą, bo masz przed sobą proces jej kształtowania. – Rzucił okiem na

aparat. – Człowiek, którego najważniejsze cechy osobowości są spaczone,

nigdy nie jest wolny.

Ursula jęknęła głucho.

Zmarszczył brwi.

– Gdzie jest Gina?

Nie odpowiedział. Przez chwilę wpatrywał się w podłogę.

Następnie zza szafy wyciągnął coś, czego dotąd nie zauważyłem.

Łóżko na kółkach. Okratowane. Takie, jakich używa się w zakładach dla

psychicznie chorych.

Leżała na nim nieruchomo Gina Ramp. Oczy przymknięte. Śpiąca albo

nieprzytomna, albo... Ujrzałem jak jej piersi poruszają się. Głowa również

wygolona... podobne elektrody przymocowane do ciała.

– Posłuchaj, idioto – rzekł w końcu. – Teraz podejść tam i poprawię

chustkę, ale palec cały czas będę trzymał na przycisku o największym

napięciu. Jeżeli się ruszysz, twoja droga Gina poddana zostanie elektrycznej kremacji czyli spopieleniu. Nie minie piętnaście sekund i nastąpi śmierć.

Nieodwracalne zniszczenie mózgu nastąpi o wiele szybciej.

Lekko dotknął guzika, a ciało Giny podskoczyło jakby rażone piorunem.

– Nie ruszę się – rzekłem.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, podszedł do fotela żony, pochylił się i podniósł chustkę, która spadła na podłogę. Ponownie ją zgniół i wpakował jej w usta. Zakaszła i zakrztusiła się, ale nie opierała się.

– Rozluźnij się, kochanie – rzekł. Za pomocą czarnego pilota wyłączył telewizor. Odsunął od niej wyciągnik i obdarzył spojrzeniem, które trudno mi było określić – wyrażało wyższość, pogardę, pożądanie i jakby nawet był w tym okrucieństwo uczucia, co przyprawilo mnie o mdłości. Zwróciłem oczy na Ginę, która leżała nieruchomo.

– Nie martw się o nią – rzekł Gabney. – Jest odurzona wodzianem chloralu. Możesz mi wierzyć, dbałem o nią jak o własne dziecko. To bardzo delikatna istota.

– Jesteś parszywym...

– Nie przerywaj mi – rzekł podniesionym głosem i nacisnął przycisk.

Uderzenie prądu poderwało ciało Giny, jakby była szmacianą lalką. Na jej twarzy nie pojawiły się żadne oznaki świadomego bólu. Rozchyliła wargi, a skóra, na jej pobliznionym policzku mocno się napięła.

Kiedy opadła bezwładnie, Gabney ciągnął dalej:

– Jeszcze moment, a dzieło naszego genialnego chirurga plastycznego zostanie zniweczone, zamieni się w krwawą plamę.

– Przestań.

– To było ostatnie ostrzeżenie, zrozumiano?

**Skinąłem głową, w wyobraźni czując już swąd spalonego ciała. Gabney
lypnął na mnie złym wzrokiem.**

– Mamy tu jednak pewien problem – rzekł i dotknął szarego pilota.

– Co takiego?

– Po co w ogóle się w to mieszałeś? Jak się tu dostałeś?

– Jedna rzecz pociąga następną.

**– Jedna rzecz pociąga następną? – powtórzył. – Co to za styl, kto ci
napisał pracę dyplomową?**

Spojrzałem na urządzenia elektryczne.

Twarz mu pociemniała.

**– Nie waż się mnie osądzać. To jest leczenie. A ty złamałeś prawo,
naruszając teren prywatny.**

Nic nie odrzekłem.

– Masz chociaż słabe pojęcie, o czym mówię? – spytał.

**– O seksualnej reorientacji – odparłem. – Chcesz zmienić żonie
orientację seksualną.**

**– Doskonale – zagadał. – Wyśmienicie. Potrafisz opisać to, co widzisz,
ale to przedszkole dla psychologa, początek pierwszego semestru.**

Wpatrując się we mnie, tupnął buciskiem.

– Czy coś przeoczyłem? – zapytałem.

– Czy coś przeoczyłeś? – powtórzył ze złowieszczym śmiechem. –

Wszystko, absolutnie wszystko: racjonalny aspekt mojego działania.

– Czy działaniem racjonalnym jest zmuszanie jej, by stała się normalną osobą?

– A co, nie zgadzasz się z tym?

Zanim zdążyłem cokolwiek odrzec, potrząsnął głową, zaklął i wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał szarego pilota. Wpatrywałem się w niego jak zahipnotyzowany. Pot płynął po mnie strugami. Czekałem na trzask prądu i krzyk bólu.

Gabney opuścił rękę.

– Co za empatia, co za reakcja. Mój drogi, widzę, że masz strasznie miękkie serce, tym gorzej dla twoich pacjentów. – Skrzywił się pogardliwie.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, zbliżył się do Ursuli. Podniósł jej spódnicę, odsłaniając nagie uda.

– Nieskazitelne.

– Za wyjątkiem sińców.

– Nic takiego, czego nie dałoby się wyleczyć. Czasem trzeba oddać się twórczości.

– Twórczości? – powtórzyłem. – Ciekawe określenie na tortury.

Podszedł do mnie na wyciągnięcie ręki. Lekko dotknął przycisków i ciała kobiet zadrgały.

– Czy ty udajesz głupiego?

Wzruszyłem ramionami.

– Tortury mają powodować rany. A ja dostarczam jedynie odpowiednich stymulatorów, aby je nauczyć lepszych manier. To jest jak szczepionka, jak niezbędna operacja chirurgiczna.

Ursula jęknęła przez zakneblowane usta.

Gabney przyjrzał mi się bacznie, nacisnął szarego pilota i obie kobiety znów zadrgały konwulsyjnie.

Zmusiłem się, żeby w ogóle na to nie zareagować.

– Dziwisz się? – spytał.

– Mówisz o leczeniu, a po chwili dajesz upust złości. Czy to nie burzy planu terapii? Czemu leczysz również Ginę? Czy trzymasz ją tutaj tylko dla towarzystwa?

– Zamilcz! – krzyknął.

– Reorientacja seksualna – rzekłem. – Pamiętam, że próbowano tego w latach siedemdziesiątych, ale doświadczenia skończyły się niepowodzeniem.

– To byli prymitywni ludzie, a oprócz tego istnieje przecież postęp technologiczny. Kto wie, może skończyłoby się to sukcesem, gdyby nie opór aktywistów gejowskich. To idioci, nie mają pojęcia, jak się objawia prawdziwa wolna wola.

Znów wzruszyłem ramionami.

– Twój umysł jest zbyt niemrawy i nigdy nie będzie zdolny pojąć genialności mojego zamysłu, ale przedstawię ci parę faktów: kocham swoją żonę, a ona też okazała mi miłość i pozostanę jej za to wdzięczny do końca życia. Jest nieprzeciętną jednostką – pierwsza w rodzinie ukończyła studia. Od pierwszego spotkania wiedziałem, że jest kimś wyjątkowym. Dlatego jej problem nie powstrzymał mnie. Przeciwnie, był wyzwaniem. Zgodziła się na warunki i na rozpoczęcie leczenia. To, co osiągnęliśmy, było wynikiem obopólnej zgody.

– Chciałeś ją podreperować?

– Nie próbuj nazywać tego w ten sposób, ty durniu. Ciężko pracowaliśmy nad rozwiązaniem jej problemu. Jeśli to nie jest leczenie, to co w takim razie? Wyniki tych badań i doświadczeń mogą uzdrowić i uszczęśliwić miliony kobiet na całej kuli ziemskiej. Plan był prosty – nagroda za podniecenie heteroseksualne i kara jako konsekwencja oddania się homoseksualnej przyjemności. To było niesłychane wyzwanie, ponieważ psychika kobiet zasadniczo się różni od psychiki mężczyzn. Badania podniecenia mężczyzn dokonuje się na bardzo prostej zasadzie – jest to stopień naprężenia prącia w specjalnej sztucznej pochwie. Struktura kobiety jest o wiele bardziej... tajemnicza. Na początku myślałem o zbudowaniu podobnego urządzenia nakładanego na lechtaczkę, ale pomysł okazał się niepraktyczny. Nie będę wchodził w szczegóły. I to właśnie ona wynalazła rodzaj sondy do badania wilgotności pochwy. Po analizie wydzielin mogliśmy ustalić bioelektryczne reakcje, jakie zachodzą w czasie podniecenia seksualnego. Początkowe wyniki okazały się bardzo obiecujące. Całkiem inaczej niż w wypadku badań Mastersa i Johnsona.

– Szkoda, że się to nie sprawdziło w życiu.

– Sprawdzalo się. I to przez długie lata.

– Jednakże nie w przypadku Eileen Wagner. Odwrócił się tyłem do mnie.

– To był błąd, błąd mojej żony. Nieodpowiedni dobór pacjentów. Wagner była uczuciowa, skłonna do emocjonalnych gestów. Taka krowa o miękkim sercu chce dobra dla wszystkich, ale ma klapki na oczach. Wydział psychologii jest pełen takich nieudaczników.

– Jeśli miałeś o niej tak niskie mniemanie, to czemu przyjąłeś ją na Harvard?

Potrząsnął głową i zaśmiał się.

– Nie miałem nic do gadania. Ja wysłałbym ją do szkoły pielęgniarek.

Przez miesiąc była asystentką żony. Ursula dowiedziała się o jej seksualnych skłonnościach i spróbowała jej pomóc. W ten sam sposób, w jaki ja pomagałem Ursuli. Od początku byłem temu przeciwny, przeczuwałem, że ta krowa nie nadaje się do doświadczeń – nie miała dostatecznej motywacji, żadnej siły woli. Jej otyłość powinna ją z miejsca wyeliminować. Ale żona zgodziła się.

– Czy była pierwszą pacjentką po Ursuli?

– Tak, ale niestety, jak przewidywałem, nie podolała tej próbie. W żadnym razie nie dyskredytuje to całego mojego pomysłu.

Obrzucił żonę karcącym spojrzeniem. Myślałem, że potraktuje ją nową dawką śmiertelnej elektryczności.

– Tak, samobójstwo to kiepska reakcja na leczenie – rzekłem.

– Samobójstwo? – uśmiechnął się niemal dobrodusznie. Pokręcił głową.

– Zakonotuj sobie, że ta krowa nie była zdolna do jakiegokolwiek samodzielnego działania.

Ursula zaczęła rzeźić.

– Kochanie, przepraszam cię najmocniej, nie miałem okazji ci tego powiedzieć – rzekł Gabney.

– Na Harvardzie wszyscy byli przekonani, że to samobójstwo, ale dowiedzieli się jakoś o twoich doświadczeniach i kazali ci odejść.

– Jakoś! Dobrze sobie! – zawołał. – Ta krowa była kompletną idiotką,

wysyłała listy, zostawiała karteczki na biurku. To było obrzydliwe.

Podszedł do żony i pogładził ją po policzku. Złożył pocałunek na

wygolonej części głowy. Jej oczy były mocno zaciśnięte, nie poruszała się.

– Kochanie, weź pod uwagę, że i ja miałem wrogów na wydziale, mogłem

walczyć i wygrałbym, ale uniwersytet nie mógł dać mi więcej. Stałem w

miejscu, a chciałem się rozwijać. To była dobra pora na wyjazd.

– Do Kalifornii, do San Labrador – rzekłem. – To była sugestia twojej

żony, prawda? Wycieczka na zachód w poszukiwaniu nowych pacjentek.

Możliwości podsunęte przez Eileen Wagner w czasie spotkań, które

przekształcały się w sesje terapeutyczne.

Eileen mówiła o przeszłości, o swoich potrzebach, o problemach

seksualnych.

I wtedy wspominała, jak przed wielu laty spotkała się z czarującą, bogatą

agorafobiczką. Cierpiąca księżna w wieży, sparaliżowana cierpieniem, które

przekazała swej córce.

Wróciłem pamięcią do rozmowy sprzed jedenastu lat.

Eileen w męskiej koszuli, z oryginalną torbą.

Była czarująca, ujmująca, taka subtelna.

„Z jednej, krótkiej wizyty dowiedziała się pani niemało szczegółów.”

Eileen zarumieniła się: „Czasem się to udaje.”

Jej zmieszanie, zażenowanie. Teraz tak oczywiste.

Spotkanie trwało bardzo krótko.

Dało jednak więcej niż specjalistyczna konsultacja lekarska.

Melissa wyczuła coś osobliwego w tej wizycie, zrozumiała jej znaczenie:

„Ona jest przyjaciółką mamy...”

Jacob Dutchy również wiedział – podkreślał strach Giny w stosunku do lekarzy.

Zapytałem: „A jednak spotkała się z doktor Wagner?”

„Tak. To było bardzo dziwne... To nie w jej stylu.”

„Chce pan powiedzieć, że zaszło jakby odwrócenie fobii w tym jednym przypadku?”

„To nie było dla niej łatwe.”

„Czy dlatego, że jestem mężczyzną? A gdybym był kobietą?”

„Nie!” – wykrzyknęła. „Skądże! To absolutnie nie w tym rzecz.”

Gina i Eileen...

Sklonności, z którymi obie walczyły tak długo. Niespełnienie

spowodowało, że Gina poślubiła mężczyznę o groteskowym wyglądzie, który pełnił rolę jej ojca. Po raz drugi wybrała biseksualistę – starego przyjaciela, który znał jej sekret, któremu mogła odwzajemnić się tolerancją, odsuwając od niego podejrzenia o nieprzystojne kontakty seksualne.

Oddzielne sypialnie.

Eileen... Z uczuciem obrzydzenia do samej siebie wyjechała za granicę, żeby zmienić środowisko, zapomnieć o tych problemach.

Przegrała zbyt dużo bitew, wybrała inną strategię, postanowiła zwrócić się o pomoc do Rozumu – na uniwersytet.

Dlaczego wybrała Harvard. Najznakomitsze środowisko naukowe.

Harvard i kochankę-elektryka, która nie miała wystarczająco dużo

cierpliwości.

Potem sekretarzowanie Ursuli.

Nieformalne spotkania.

Wyznania.

Ból namiętności, zażenowanie, smutek – to, o czym nie chciała już

słyszeć Sally Etheridge.

Ursula była cierpliwa.

Zaczęła jednak odgrywać panią doktor.

Żeby najczarniejszy koszmar stał się rzeczywistością.

Niepowodzenie terapii. W najgorszym stylu.

Żegnaj, Bostonie.

Czas wyjechać.

Kalifornia, poszukiwanie księżniczki...

Ursula wiedziała, że może jej pomóc.

Znów odgrywając panią doktor.

Wyjątkowo wysokie opłaty.

Wszystko przebiega prawidłowo.

I wtedy dziecko dzwoni po raz drugi...

– Wspaniałe możliwości – powiedział Gabney. – Takiego właśnie użyła

określenia. Decyzja podyktowana względami finansowymi. Woląłem

Florydę – jest o wiele tańsza, a powietrze sto razy lepsze. Ona jednak chciała

koniecznie do Kalifornii. Nie podejrzewając, o co naprawdę jej chodzi,

zgodziłem się. Wtedy zaczęła się zła passa.

Spojrzał na Ginę z nieskrywanym gniewem, jak człowiek, któremu coś

pokrzyżowało plany.

Z powodu kobiety.

Śmiertelna obraza dla jego męskości.

Nagle pojąłem, że Joel McCloskey również został śmiertelnie ugodzony.

Odrzucony przez kobietę dla innej kobiety.

Jak w kiepskim żarcie.

Tym boleśniesz i trudniejsz do ścierpienia, że nienawidził

homoseksualistów.

Postanowił więc, że zniszczy urodę Giny.

Był jednak zbyt tchórzliwy, żeby zrobić to samemu. Bał się ujawnić swój

motyw, czuł strach przed tym, co ludzie o nim pomyślą.

Czy Gina rozumiała, skąd się wzięły jej cierpienia?

Gabney wydał gniewny ryk. Spojrzał na Ginę, potem na żonę.

– Nigdy jej nie okłamałem, ale ona złamała zasady, obie złamały zasady!

– zawołał.

– Kiedy zacząłeś je podejrzewać?

– Zaraz po tym, jak rozpoczęliśmy leczenie. Nic szczególnego. Subtelne

niuanse, których mężczyzna mniej kochający nigdy by nie zauważył.

Spędzała więcej czasu z nią niż z innymi pacjentami. Dodatkowe spotkania,

które niebyły konieczne z medycznego punktu widzenia. Zmieniała temat

rozmowy, okazując dziwny opór, kiedy chciałem ją sprowokować.

Rezygnowała z wyjazdu na ranczo, choć kiedyś przyjeżdżała tu regularnie.

Pomimo alergii. Wszystko się skończyło, kiedy ona wkroczyła w nasze życie.

– Uśmiechnął się. – Ursula jest tutaj po raz pierwszy od tamtego czasu.

Wymyślała głupie usprawiedliwienia, żeby zostać w mieście, ale mnie nie tak łatwo oszukać. Dobrze wiedziałem, co się święci. Chciałem jednak mieć dowody, więc przerobiłem telefon w jej gabinecie i zacząłem słuchać.

Podsluchiwać je, jak obmyślają swój podły plan.

– Jaki plan?

– Plan ucieczki. – Zakrył ręką oczy. – Miały razem uciec.

Bardzo duże postępy w leczeniu... Melissa to wyczuli. Napotkała wrogość

Ursuli...

– Potwierdzeniem tego było podarowanie jej niesłychanie drogiego obrazu. Czyż to nie ohydne sprzeniewierzenie się etyce zawodowej? Pewnie się pan ze mną zgodzi?

Pokiwałem głową.

– Otrzymywała również pieniądze – ciągnął. – Dla Giny pieniądze nie mają większego znaczenia, bo jest zboczoną dziwką. Jednakże moja żona pochodzi z niezamożnej rodziny i duże sumy robią na niej wrażenie. Tamta dziwka wiedziała o tym. Przekazała Ursuli wielkie sumy pieniędzy. Sekretne konta bankowe! Nazywały to małymi jajeczkami w ich wspólnym gniazdku. I chichotały jak pensjonarki. Planowały wyjechać do ciepłych krajów, żeby tam się kurwić. Oprócz tego, że to szczyt perwersji, jaką straszną stratę poniosłaby nauka! Moja żona miała przed sobą świetną przyszłość. A ta dziwka ją zdemoralizowała i doprowadziła do tego, że Ursula zrezygnowała ze wszystkiego, do czego wspólnie dochodziliśmy przez wiele lat wyrzeczeń. Ta dziwka chciała ją zniszczyć.

Nacisnął przycisk. Gina drgnęła. Ursula, widząc to, jęknęła chrapliwie.

– Zamknij się, kochanie, albo ją usmażę.

Po

policzkach

Ursuli

popłynęły

łzy

bezsilności.

Zamilkła

i

zniechęciła.

– Jeśli nie czujesz się dobrze, możesz o to obwiniać wyłącznie siebie. – W

końcu cofnął palec z przycisku. – Gdybym był egoistą, to bym ją po prostu

zabił – rzekł do mnie. – Ja jednak chcę nadać sens jej plugawemu życiu.

Więc postanowiłem ją oduczyć. A to urządzenie będzie moim narzędziem

pracy. Nauka wkracza pod strzechy.

– Więc postanowiłeś ją porwać.

– Nie, skądże – odparł. – Przyszła tu z własnej nieprzymuszonej woli.

– Niczym pacjent do lekarza.

– Właśnie – uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że zaczynam coś

rozumieć. – Zadzwoń do niej rano, informując, że zaszły zmiany w jej

toku leczenia. Zamiast terapii grupowej będzie miała sesję sam na sam ze

mną. Jej ukochana pani doktor jest chora i ja ją zastąpię. Powiedziałem jej,

że zrobimy duży krok w terapii i zadziwimy postępowaniem Ursulę. Kazałem jej

wziąć rolls-royce'a – wiedziałem, że ma przyciemniane szyby – i zabrać

mnie parę przecznic od jej posiadłości o ściśle określonej godzinie. Kiedy się zjawila, zająłem miejsce kierowcy. Zapytała, dokąd jedziemy. Nie odpowiedziałem. To wywołało symptomy zaniepokojenia, nie była przygotowana na taką ewentualność. Powtórzyła pytanie jeszcze kilkakrotnie, ale ja milczałem. Zaczęła się trząść, co wskazywało na początek ataku. Podąłem jej inhalator z wodzianem chloralu. Oddychała według instrukcji, głęboko i rytmicznie, co było bardzo uprzejme z jej strony. A ja pędziłem sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, bo chciałem jak najszybciej dojechać w bezpieczne miejsce. Kiedy śpi, jest uroczą towarzyszką podróży. Pojechałem nad tamę, gdzie czekał na mnie mój land rover. Przeniosłem ją do rovera, a rollsa zepchnąłem do wody.

– Dużo pracy jak dla jednego człowieka.

– Dla człowieka w moim wieku, co? Jestem w bardzo dobrej formie.

Zdrowy tryb życia. Działalność twórcza.

– Jednakże samochód nie poszedł na dno. Zaczepił się o pręty.

Nic nie odrzekł. Nie poruszył się.

– To było znaczne niedopatrzenie. A skąd wziął się tam land rover?

– Słuszne rozumowanie. Tak, miałem pomoc. Meksykanina, który pomagał nam na ranczo, kiedy hodowaliśmy konie. Moja żona dawniej jeździła konno.

– Pamiętasz Kleofasa, kochanie?

Ursula zacisnęła powieki, znów zalała się łzami.

– Ten Kleofas to był kawał chłopca. Nie miał jednak za grosz rozumu – prawdziwy wół roboczy na dwóch nogach. Miałem już go zwolnić, ponieważ

zostało tylko parę koni. Pomoc przy pani Ramp miała być jego ostatnią pracą. To on podrzucił mnie do Pasadeny, a potem wziął rovera i czekał nad tamą. To on wepchnął rolls-royce'a do wody. Jednak przeliczyliśmy się i auto zawisło na prętach.

– To był karygodny błąd.

– Chociaż Kleofas szczerze się starał.

– Z tego wnioskuje – rzekłem – że to była ostatnia pomyłka w jego życiu, prawda?

– Ależ pan domyślny.

Ursula jęknęła.

– Och, przestań, oszczędź mi tych fochów. Nigdy go nie lubiłaś – ciągle mi powtarzałaś, żeby się go pozbyć, bo to bałwan. Więc zrobiłem to, o co prosiłaś.

Ursula pokręciła głową i poruszyła się na krześle.

– Dokąd potem zabrał pan panią Ramp?

– Na przepiękną wycieczką. Bocznymi drogami Parku Narodowego.

Następnie autostradą numer trzydzieści dziewięć do Mount Waterman, do Mountain High, do Palmdale, do Saugus, do Santa Paula, a w końcu prostą drogą sto jeden na ranczo. Trochę kluczyłem, ale wspaniałe widoki wynagrodziły trudy podróży.

– Nie umywają się jednak do Florydy – zauważyłem.

– Oczywiście.

– A dlaczego tama?

– Daleko za miastem, stosunkowo blisko kliniki, do tego nikt tam nie

jeździ. Wiem, bo byłem parę razy w tych okolicach, żeby sprzedać konie, na których nie chciała jeździć moja żona.

– Czy to wszystko?

– A co jeszcze pan sobie życzy?

– Zastanawiam się, czy przeglądał pan notatki Ursuli, z których wynikało, że pani Ramp panicznie bała się wody.

Uśmiechnął się.

– Ponadto uważam, że pewną nieostrożnością było używać tak rzucającego się w oczy samochodu. Przecież ktoś mógł go zapamiętać.

– A jeśli nawet, to co z tego? Znaleźli samochód i co się stało?

Ogłoszono, że Gina Ramp albo miała wypadek, albo popełniła samobójstwo.

– To prawda – rzekłem, udając, że się głęboko nad tym zastanawiam.

– Każdy szczegół został wzięty pod uwagę, doktorze Delaware. Gdyby

Kleofas powiedział, że został zauważony, moglibyśmy się przenieść w inne

miejsce. Nie przerażało mnie nawet przypadkowe spotkanie z policjantem.

Wytłumaczyłbym, że jestem lekarzem, a to moja pacjentka, która miała atak

nerwowy. Okazałbym dokumenty na poparcie moich słów. Fakty

przemawiałyby na moją korzyść. A kiedy Gina odzyskałaby w końcu

przytomność,

również

nie

podejrzewałaby

niczego.

Czyż

moja

zapobiegliwość nie zasługuje na pochwałę?

– Tak – odparłem. – Nawet poruszając się bocznymi drogami, miał pan mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do celu, poczekać na telefon żony, że Gina nie pojawiła się na spotkaniu, a potem udać niepokój, pojechać do Pasadeny i pokazać się w klinice.

– Gdzie – rzekł – miałem wyjątkową przyjemność spotkania pana.

– A jednocześnie miał pan okazję do sprawdzenia, co wiem na temat pani Ramp.

– Myśli pan, że zabrałbym pana do mojego gabinetu bez powodu? Muszę przyznać, że powiedział pan wtedy coś, co mnie zaniepokoiło – że planowała zmienić życie, otoczenie. Potem zrozumiałem, że miał pan jęzorem dla samego gadania, nie przywiązując większej wagi do swoich słów.

– A potem pana żona odkryła, że to pan jest sprawcą całej tej historii.

– A kiedy obudziła się, była już na krzeselku.

Przypomniałem sobie, jak Ursula pędem wybiegała z kliniki.

Czy kazał jej pan ta przyjechać?

– Zadzwońłem do niej mówiąc, że źle się czuję i błagałem, żeby mi pomogła. A to dobra żona, więc przyjechała natychmiast.

– A jak zamierzał pan wytłumaczyć jej nieobecność pacjentom?

– Poważna grypa. Gdybym się nimi zajął, proszę mi wierzyć, że nie narzekaliby.

– Z grypy znikają dwie pacjentki, a teraz terapeutka, nie sądzę, że

udałoby się to łatwo wytłumaczyć.

– Dwie? Aha! – Uśmiechnął się szyderczo. – Panienska Kate, nasza wścibska reporterka. Wie pan niemało.

Nie wiedząc, czy Kate Moriarty jeszcze żyje, czy jest już martwa, nic nie odrzekłem.

– Panienska Kate już nie będzie wsadzała nosa w moje osobiste sprawy.

Nigdy więcej. Była zupełną arogantką, sądziła, że tak złożone zjawisko, jakim jest agorafobia, da się upozorować. A nieładnie stroić się w cudze piórka, nieładnie. Wyobraża pan sobie, że próbowała mi grozić i oskarżać, kiedy ją złapałem? Siedziała na tym samym krzeselku – wskazał na Ursulę – i jej wkład w doświadczenia był nieoceniony. Pomogła udoskonalić moje techniki.

– Gdzie ona jest? – zapytałem, znając odpowiedź.

– W zimnej, bardzo zimnej ziemi obok Kleofasa. Prawdopodobnie po raz pierwszy jest tak blisko mężczyzny.

Podniosłem wzrok na Ursulę. Jej oczy były szeroko otwarte i pełne przerażenia.

– Więc wszystko doprowadzone do końca – rzekłem. – Jaka zapobiegliwość.

– Nie próbuj mydlić mi oczu.

– Nie jest to moją intencją. Wręcz przeciwnie, mam dużo szacunku dla pana dorobku naukowego. Przeczytałem wszystkie pana publikacje – unikanie reakcji szokowych, teoria ucieczki od paradygmatów, frustracja kontrolowana, uczenie za pomocą dozowanego strachu...

Zerknął przekrwionym okiem.

– Doprawdy? Chcesz mi wcisnąć kit?

– Nie – odparłem. – A jeśli nawet, to cóż mogę panu zrobić?

– Prawda – rzekł, rozluźniając palce – piętnaście sekund do całkowitego usmażenia. Nie zniósłbyś tego, co? Mam również inne zabawki, których jeszcze nie widziałeś.

– Bez wątpienia. I pewnie przekonał pan siebie, że ich użycie jest podyktowane koniecznością rozwoju nauki. Niszczyć, żeby kogoś uratować.

– Nikogo nie zniszczyłem.

– A Gina?

– Ona sama się zniszczyła. Żyje zamknięta w swoim kretowisku, jest samolubna, nikomu niepotrzebna. Przez to, że użyłem jej ciała, nadałem sens jej życiu.

– Nie wiedziałem, że jej życie było pozbawione sensu.

– Jesteś skończonym idiotą. Świat się rozpada, wali się, nie ma już wartościowych jednostek, wokół miernota i błazenada. I tylko ci, którzy są przydatni, usprawiedliwiają swoją nędzną egzystencję.

– Od kogo zależy owa przydatność?

– Od tego, kto ma w ręku odpowiednie stymulatory.

– Musi pan jednak wziąć pod uwagę, że pomimo swoich górnolotnych sloganów nie zauważa pan faktycznych motywów swojego działania.

Skrzywił się.

– Usiłuje pan być analitykiem, mojej osoby?

Pokręciłem głową.

– W żadnym razie. Mam za słabe nerwy.

Milczał.

– Zawiódł się pan na kobietach – rzekłem. – Przegrany proces sądowy z pierwszą żoną. Była alkoholiczką i spowodowała pożar, w którym zginął pana syn. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wspomniał pan też o drugiej żonie – jeszcze przed Ursulą. Czy również nie była nic warta?

– Brak osobowości – odparł. – Nic w środku.

– Czy ona żyje?

Uśmiechnął się.

– Nieszczęśliwy wypadek. Przeceniła swoje umiejętności pływackie.

– Woda – rzekłem. – Użył jej pan dwa razy. Według teorii Freuda w grę wchodzi macica.

– Freud jest do dupy.

– Tym razem jest to jednak dobre wytłumaczenie. Może nie ma to nic wspólnego z nauką i miłością? Może rzecz polega na tym, że nienawidzi pan kobiet – pogardza pan nimi i chce pan nimi rządzić? To sugeruje jakieś bardzo nieprzyjemne doświadczenia z dzieciństwa – odrzucenie albo molestowanie seksualne. Ciekaw jestem, jaka była pana matka.

Opadła mu szczęka, ale szybko się zreflektował i nacisnął przycisk. Coś zaturkotało w maszynierii. Uderzenie iskry elektrycznej było silniejsze niż przedtem.

– Piętnaście sekund! – wrzasnął z szatańskim uśmiechem.

Rzuciłem się na niego. Cofał się, kopiąc i waląc pięściami na oślep, rzucił we mnie czarnym pilotem. Trafił prosto w nos. Zacisnął palce na szarym

pilocie. Ostry swąd palącego się ciała i włosów wypełnił pokój.

Dopadłem go i kopnąłem w brzuch, aż zgiął się wpół.

Musiałem mu wylamać nadgarstek, żeby puścił pilota.

Włożyłem go kieszeni. Gabney leżał na podłodze, trzymał się za rękę i płakał.

Kobiety ciągle jeszcze drgały.

Wyłączyłem agregat, wyrwałem kable i związałem nimi ręce i nogi

Gabneya. Kiedy upewniłem się, że jest unieruchomiony, zająłem się kobietami.

Rozdział trzydziesty szósty

Zamknąłem Gabneya w szopie, następnie zaniósłem Ginę i Ursulę do

domu, okryłem kocami. Ursula napiła się soku jabłkowego, który znalazłem

w lodówce. Dobre zaopatrzenie, pedantyczny porządek. Na półce w kuchni

książka *Jak przetrwać w trudnych warunkach*. Strzelba i pistolet, wiszące

nad stołem. Wojskowy bagnet, będący na wyposażeniu armii szwajcarskiej,

pudełko pełne igieł do zastrzyków i ampulek z insuliną. Profesor wybierał

się na długą wycieczkę.

Zadzwońnię na policję i do Susan LaFamiglia. Zapoznałem ją ze

wszystkimi faktami, a ona zapewniła, że zajmie się całą resztą.

Upłynęło pół godziny, zanim przyjechał ambulans i cztery policyjne

radiowozy z Santa Barbara. Przez ten czas bez trudu odnalazłem zapiski

Gabneya – na stole w jadalni leżało sześć skoroszytów. Przeczytałem jedynie

parę stron i miałem dość.

Następnych kilka godzin spędziłem na rozmowach z policjantami, którzy

wypytywali mnie z grobowymi minami. Susan LaFamiglia przyjechała z młodym mężczyzną w oliwkowozielonym garniturze od Hugo Bossa, z krawatem w stylu retro. Zamienił parę słów z policją i puścili mnie wolno. Okazał się jednym ze współpracowników pani adwokat, ale nigdy nie poznałem jego nazwiska. Pojechał moją seville, a Susan zabrała mnie swoim jaguarem. Nie zadawała żadnych pytań, a ja byłem szczęśliwy, że mogłem się zdrzemnąć.

Umówione spotkanie z Melissą o dziesiątej nie doszło do skutku, ale nie z mojego powodu. Byłem na nogach o szóstej rano. Nakarmiłem rybki. A o dziewiątej trzydzieści stawilem się przy Sussex Knoll. Brama był otwarta i nikogo nie zastałem w domu.

Zauważyłem jednego z synów Hernandeza, który przycinał bluszcz przy ścianie budynku. Zapytałem, gdzie jest Gina. Odrzekł, że w jakimś szpitalu w Santa Barbara. Nie wiedział w którym. Na wszelki wypadek jeszcze raz zapukałem do drzwi.

Kiedy odjeżdżałem, odprowadził mnie smutnym spojrzeniem – może miał pretensję o to, że nie okazałem mu zaufania?

Wyjeżdżając na ulicę, ujrzałem brązowego chevy, który tak wolno zbliżał się w moją stronę, że myślałem, iż stoi w miejscu. Zatrzymałem się i czekałem. Kiedy wjechał na podjazd, wyjrzałem przez okno i przywitałem się z nieco zaskoczoną Bethel Drucker.

– Pan wybaczy – rzekła i chciała wrzucić bieg wsteczny, żeby odjechać.

– Proszę zaczekać. Chciałbym z panią pomówić.

– Nie ma o czym.

– Więc dlaczego zjawiała się tu pani?

– Nie wiem – odparła. Miała na sobie prostą brązową sukienkę, trochę biżuterii i makijaż. Jej reakcja zaskoczyła mnie. – Naprawdę nie wiem – powtórzyła. Wciąż trzymała rękę na dźwigni biegów.

– Przyjechała tu pani, żeby złożyć uszanowanie – rzekłem. – To bardzo miłe z pani strony.

Spojrzała na mnie tak, jakbym mówił w nieznanym jej języku.

Wyszedłem z seville i usiadłem obok niej.

Z początku protestowała, ale wkrótce, jakby przypomniawszy sobie o przeszłości, umilkła, a na jej twarzy pojawiła się smutna rezygnacja.

– Czego pan chce?

– Wie pani, co zaszło?

Skinęła głową.

– Noel mi powiedział.

– Gdzie jest Noel?

– Pojechał tam rano, żeby być z nimi...

– To wspaniały chłopak, dobrze go pani wychowała – rzekłem.

Twarz jej drgnęła.

– Jest tak inteligentny i zdolny, że czasem myślę, iż to nie mój syn.

Miałam szczęście, bo bardzo trudno było mi go skarcić lub ukarać, gdy coś przeskrobał. Teraz jest już dorosłym mężczyzną. Mówił, że chce zostać piłkarzem. A byłby bardzo dobrym sportowcem.

– Czy jedzie na Harvard?

– Nie zwierza mi się ze wszystkiego. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę

jechać. Mam pracę.

– „Pod Pucharem”?

– Tak.

– Czy Don zamierza dalej prowadzić ten interes?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. W każdym razie jeszcze tam pracuję i muszę trochę posprzątać.

– Czy mógłbym zapytać panią o coś osobistego? Tylko jedno pytanie.

– Dobrze, co za różnica? Mogę rozmawiać, tańczyć, pozować do zdjęć – mężczyźni dostają wszystko, czego tylko chcą.

– Nie wiedziałem, że była pani modelką – skłamałem.

– Nie? Byłam znaną modelką. Dzięki temu. – Zaśmiała się, dotykając piersi. – Pracowałam z Giną. Przyjaźniłyśmy się. Tylko że mnie nie podziwiała kobiety, kupujące eleganckie stroje.

– Czy to Joel robił te zdjęcia?

Milczenie. Małe, bielutkie dłonie oparła na kole kierownicy. Na serdecznym palcu miała tani pierścionek.

– Tak. Inni też. I co z tego? Robiono mi bardzo dużo zdjęć. Byłam gwiazdą. Nawet kiedy zaszłam w ciążę, znaleźli się ludzie, którzy dobrze płacili, żeby to zobaczyć.

– Dla każdego coś milego – rzekłem.

Zwróciła się do mnie i powiedziała z rezygnacją:

– Pan ze mnie szydzi?

– Nie – odparłem – ani trochę.

Opuściła rękę na brzuch.

– Pan mnie widział, jak wczoraj odjeżdżałam spod restauracji. A teraz chce pan wiedzieć, dlaczego tak się śpieszyłam. – Nie dała mi dojść do słowa.

– Może to wyda się panu niemądre, że poruszyła mnie śmierć kogoś takiego, ale przyzwyczaiłam się do opinii, że jestem głupia. Co za różnica? Może to

była rzeczywiście głupota, ponieważ on był śmieciem... Nie, proszę mi nie przerywać. Zaraz skończę. On był śmieciem. Nie ma dwóch zdań. Wszystko go denerwowało, wpadał w szal. Musiało być zawsze po jego myśli. Pewnie z powodu narkotyków. Dlatego uważa pan, że to głupota ronić nad nim łzy.

Jednak on mi coś dał. Od nikogo niczego nie dostałam, tylko od niego – w każdym razie w tamtym okresie mojego życia. Do czasu, kiedy pojawił się Don, płakałam z powodu każdego nieszczęścia, jakie spotkało Joela... Don był drugim człowiekiem, od którego coś dostałam. Nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy. Nawet jeśli to robił, ponieważ nie mógł mieć tego, czego naprawdę pragnął, i brał to ode mnie. To nie miało znaczenia, rozumie pan?

W sumie wyszło to mi na dobre. Jedyna cholerna rzecz, jaka liczy się w moim życiu. Więc płakałam, kiedy umarł. Znalazłam spokojne miejsce i wyplakałam się. Potem przypomniałam sobie, jakim był niegodziwcem, i przestałam płakać. A teraz już nigdy nie zobaczy pan moich łez. Czy to jest odpowiedź na pana pytanie?

Potrząsnąłem głową.

– Nie chcę pani osądzać. Miała pani prawo do tych łez.

– Nie jest pan taki głupi. O co więc chce pan zapytać?

– Czy Noel wie, kim jest jego ojciec?

Zawahała się.

– Jeśli nie wie, to zamierza mu pan o tym powiedzieć?

– Nie.

– I nie zamierza pan chronić tej piękniutkiej, niewinnej panienki?

– Przed czym?

– Przed przyjaźnią z Noelem.

– Nie widzę w tym nic złego.

Rozplakała się.

Podałem jej chusteczkę, którą wytarła nos.

– Dziękuję panu. Nie ma sensu niepokoić tej biednej dziewczyny.

– To prawda. Pytałem o Noela nie po to, żeby ochronić ją przed nim.

– Więc po co?

– Może pani to nazwać ciekawością. Chcę ustalić parę szczegółów.

– Z ciekawości? Taki już pana zawód.

– Proszę o tym zapomnieć – rzekłem. – I przepraszam.

– A może on potrzebuje ochrony przed nią?

– Dlaczego?

Spojrzała przez przednią szybę na wielki brzoskwiniowy dom.

– Takie rzeczy mogą zatruć życie, Noe! ciężko by to odchorował... Ale kto

wie... Czy jest pewne, że oni dwoje...

– Są młodzi i wiele się jeszcze może zdarzyć.

– Bo ja nie jestem z tego zbytnio zadowolona. Powinnam tego pragnąć,

ale nie mogę. Tak nie żyją prawdziwi ludzie. To jest życie na niby. A on jest

moim dzieckiem, nie chciałabym, żeby się zmarnował w takim miejscu.

– Wiem, co ma pani na myśli. Mam nadzieję, że Melissa również stąd odejdzie.

– Chyba i jej takie życie dało się we znaki.

– Właśnie.

– Tak – znów przesunęła ręką po piersi.

Otworzyłem drzwi i rzekłem.

– Życzę powodzenia i dziękuję, że poświęciła mi pani chwilę czasu.

– Nie – rzekła – on nie wie. On myśli, że ja również tego nie wiem.

Powiedziałam mu, że to była jedna noc i nie można ustalić ojcostwa.

Uwierzył w to. Był czas... kiedy to robiłam. O tym powiedziałam, mu całą prawdę, bez kłamstw. Musiałam. I nie żałuję.

Podąłem jej rękę.

– Słusznie pani zrobiła, czas to potwierdził.

– Tak.

– Mówiłem poważnie, że Noel to wspaniały chłopak i że to pani zasługa.

Uścisnęła mi rękę.

– Spróbuję panu uwierzyć.

Rozdział trzydziesty siódmy

Milo przyszedł do mnie o czwartej. Pracowałem właśnie nad monografią.

– Douse okazał się niezłym oszustem – rzekł, potrząsając walizeczką,

którą następnie położył na moim biurku. – Jednakże nie ma to już

większego znaczenia.

– Mieć może, jeśli Gina będzie chciała odebrać mu to, co jej zrabował.

– To już całkiem inna sprawa. Jak się masz?

– Dobrze.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A ty?

– Wciąż mam pracę. LaFamiglia polubiła mój styl.

– Kobieta z dobrym smakiem.

– Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

**– Tak. W stawie pokazał się narybek. Rybki przeżyły i rosną. Jestem w
dobrym nastroju.**

– Narybek?

– Chcesz zobaczyć?

– Pewnie.

Wyszliśmy do ogrodu. Milo uśmiechnął się.

– Ładne. Czym je karmisz?

– Pokarmem dla ryb.

– Nikt ich nie zjada?

– Niekiedy. Ale najszybsze przeżyją.

– Aha.

Przysiadł na kamieniu i wystawił twarz do słońca.

– Nyquist wczoraj wieczorem pokazał się w restauracji. Porozmawiał z

**Donem i odjechał. Wyglądało to na pożegnanie. Jego samochód był
załadowany jak na długą wycieczkę.**

– Dowiedziałeś się od detektywa, który miał śledzić Dona?

**– Znam każdy szczegół, nawet dokładną godzinę twojego odjazdu. Ten
człowiek ma głowę do takich rzeczy.**

– Teraz to już nieważne. Mówiłem ci, że skończyłem pisać monografię o szkole w Hale?

– Wszystko wraca do normalności, co? Kiedy zobaczysz się z Melissą?

– Masz na myśli spotkanie terapeutyczne?

– Tak.

– Jak tylko wróci do Los Angeles. Dzwoniłem do niej godzinę temu. Na razie nie chce opuszczać matki. Lekarze powiedzieli, że minie przynajmniej tydzień, zanim Gina będzie mogła podróżować. A i potem, będzie potrzebowała opieki.

– O Boże! – zawołał. – Chyba wszyscy tutaj potrzebują leczenia.

– Wyświadczyłem ci przysługę, co?

– To fakt. Kiedy będę pisał wspomnienia, poświęcę na to zdarzenie cały rozdział. A pani LaFamiglia zaproponowała, że znajdzie mi wydawcę.

– Pani LaFamiglia jest nie do zastąpienia, co?

Uśmiechnął się.

– To było dziecinnie łatwe pogrążyć Douse’a i Angeia. Prawie im współczułem. Jadłeś coś? Jeśli nie, to może zjemy coś porządnego?

– Zjadłem duże śniadanie – odparłem – ale jest miejsce, gdzie moglibyśmy pojechać.

Wyjaśniłem mu.

– O Jezusie, ty nigdy nie masz dość?

– Chcę po prostu wiedzieć. Mogę jechać sam, nie ma sprawy.

– Dobra, powtórz to jeszcze raz, ale spokojnie.

Zrobiłem to.

– Telefon na podłodze? Tylko na tym się opierasz?

– Chodzi o czas.

– Można by sprawdzić zapisy rozmów. Pozostaje jednak pytanie, czy ten telefon był wyrokiem?

– Tak. Dzwoniono z San Labrador do Santa Monica – rzekłem. – Już to sprawdziłem.

– No nie! – zawołał. – To ciebie powinni wynająć jako detektywa.

Budynek wyglądem nie zdradzał swojego przeznaczenia. Jednopiętrowy, zbudowany w stylu wiktoriańskim, z szerokim gankiem. Dzielnica robotnicza w Santa Monica. Od frontu widoczne były na białym tynku drewniane belki starej konstrukcji, pomalowane na żółto. Na ulicy pełno samochodów. Parę stojących na podjeździe. Posesja nieźle zadbana w porównaniu z okolicznymi domami.

– Co my tu mamy? – rzekłem, wskazując jedno z aut. Czarny cadillac fleetwood.

Milo zaparkował porsche'a.

Wyszliśmy, żeby obejrzeć przedni zderzak samochodu. Świeżo zamalowane głębokie wgniecenie.

– Na razie się zgadza – rzekł Milo.

Weszliśmy do środka przez frontowe drzwi, do których przymocowany był dzwonek, obwieszczający wizytę gości.

Duży hol pełen był kwiatów doniczkowych. Słodkawy zapach drażnił nos.

Pojawiła się przystojna kobieta lat około dwudziestu pięciu, o

euroazjatyckim wyglądem. Miała na sobie białą bluzę i czerwoną długą

spódnicę.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

Milo powiedział, kogo chcielibyśmy zobaczyć.

– Czy panowie są rodziną?

– Nie, znajomymi.

– Znajomymi z dawnych czasów – rzekłem. – Jak Madeleine de Couer.

– Madeleine – powtórzyła z uśmiechem. – Bywa tutaj co dwa tygodnie.

Jest bardzo oddana. Oprócz tego jest znakomitą kucharką, wszyscy uwielbiamy jej maślane ciasteczka. Która to godzina... dziesięć po szóstej.

– Możliwe, że teraz śpi. Ostatnio śpi bardzo dużo.

– Czy czuje się gorzej? – zapytałem.

– Psychicznie czy fizycznie?

– Fizycznie.

– Zaobserwowaliśmy nieznaczne pogorszenie stanu jego zdrowia, ale być może jest to w normie. Jednego dnia porusza się, a drugiego nie może wstać z łóżka. Ciężko na niego patrzeć, wiedząc, na co cierpi. To taka straszna choroba, szczególnie dla niego. Zawsze był aktywny, żywy – chociaż pewnie oni wszyscy byli tacy. Nie wiem dokładnie, na czym polega jego choroba. To bardzo rzadki przypadek, rzadszy niż u Lou Gehriga. Prawie wcale nie jest opisany w książkach medycznych.

– A jego stan psychiczny?

Uśmiechnęła się.

– Pan go zna. Robił wiele dobrego. Gotował dla wszystkich, opowiadał historyjki. Wciąż powtarzał, żeby się nie lenić i ruszać się. Nawet personel

rozstawiał czasem po kątach, ale nikt nie miał mu tego za złe, jest taki uroczy. Kiedy przestał... była to wielka strata – westchnęła. – Zobaczmy, może nie śpi.

Podążyliśmy za nią na piętro. Mijaliśmy sypialnie. W każdej stały dwa lub trzy łóżka szpitalne. Leżeli na nich starsi ludzie. Niektórzy oglądali telewizję, inni czytali, drzemali, coś jedli, niektórzy mieli kroplówki podłączone do żył. Otaczali ich młodzi ludzie. Wszędzie panowała cisza. Zaprowadzono nas do pokoju na końcu korytarza. Był mniejszy niż inne, z jednym łóżkiem. Na ścianie wisiał obraz olejny, przedstawiający młodą, piękną kobietę. W prawym rogu widniały inicjały autora A.D.

Każdy drobiazg leżał na swoim miejscu. W powietrzu unosił się zapach wody toaletowej.

Człowiek, który siedział na brzegu łóżka, usiłował włożyć spinkę w nakrochmalone mankiety koszuli. Granatowy krawat, niebieskie serżowe spodnie. Jednakże wszystko za duże, wydawało się, że tonie we własnym ubraniu. Przy łóżku stały staromodne błyszczące półbuty. Trzy identyczne pary znajdowały się na dolnej półce otwartej szafy. Obok stał metalowy balkonik na kółkach, ułatwiający chodzenie.

Białe włosy miał przylizane, z przedziałkiem po prawej stronie. Skóra twarzy była pomarszczona i zwisała luźno jak u buldoga. W ręce trzymał małe kwadratowe spinki z onyksu.

– Przyszli goście – rzekła wesołym głosem nasza przewodniczka.

Siedzący w pokoju człowiek w końcu uporał się ze spinkami i odwrócił się do nas.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, którego miejsce po chwili zajął niezmacony spokój. Jakby spełnił się najgorszy z możliwych scenariusz i nie było już ratunku.

Z wysiłkiem uśmiechnął się do dziewczyny i z trudem powiedział głosem kruchym jak stara porcelana:

– Proszę wejść.

– Mogę coś dla pana zrobić? – zapytała kobieta.

Pokręcił głową.

Odeszła, a ja i Milo weszliśmy do środka.

Zamknąłem drzwi.

– Dzień dobry, panie Dutchy – rzekłem.

Z godnością skinął głową.

– Czy mnie pan pamięta? Jestem Alex Delaware. To było dziewięć lat temu.

Oczy zaszły mu mgłą.

– Dzień dobry, doktorze.

– To jest mój przyjaciel, Milo Sturgis. Pan Sturgis, pan Jacob Dutchy, oddany sługa i przyjaciel Melissy i jej matki.

– Proszę usiąść – rzekł, wskazując krzesło. Drugim meblem był okrągły stół z drzewa orzechowego, na którym stał dzbanek i filiżanki.

– Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Pan – rzekł do Mila – wygląda na policjanta.

– Bo nim jest, chociaż na czasowym urlopie. Tym razem nie jesteśmy tu

oficjalnie.

– Rozumiem. – Dutchy złożył ręce na kolanach. Nagle zacząłem żałować, że w ogóle tu przyszedłem.

– Śmiało, proszę pytać – zachęcił stary dżentelmen.

– Nie musimy o tym rozmawiać. Przyszliśmy tutaj w celach towarzyskich – rzekłem.

Na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Proszę mówić. W jaki sposób wpadł pan na to?

– Wszystko to oczywiście przypuszczenia – zastrzegłem. – Wieczorem, zanim McCloskey został przejechany, Madeleine, siedząc przy łóżku Melissy, gdzieś dzwoniła. Widziałem przy niej aparat telefoniczny. Ona dzwoniła do pana, powiedziała, że Gina nie żyje. I poprosiła, żeby się pan tym zajął. Żeby pan zrobił to, co należy.

– Nie – rzekł. – To nieprawda. Ona... nic...

– Nie sędzę, proszę pana – rzekł Milo, wyjmując z kieszeni kawałek papieru. – To jest wykaz rozmów z pokoju Melissy. Trzy rozmowy w przeciągu godziny do Hospicjum Godnej Śmierci.

– Okoliczności... jakoś... – jękał się Dutcny. – Ona powiedziała... wszystko... czas...

– Widzieliśmy samochód – rzekł Milo. – Cadillaca zarejestrowanego na pana. Interesujące wgniecenie przedniego zderzaka i maski. Jestem pewien, że dla laboratorium policyjnego takie dowody by wystarczyły.

Dutchy zmierzył go wzrokiem, ale bez strachu czy złości. Wydawało się, że szacuje wartość ubrania Mila, który tym razem miał elegancki strój.

– Proszę się nie obawiać – rzekł Milo. – Nie musi pan nic mówić, zresztą i

tak nie użyjemy tego przeciwko panu.

– Madeleine nic o tym nie wiedziała. Nic...

– Nawet jeśli było inaczej, nie ma to znaczenia. Staramy się jedynie

powiązać fakty, żeby wreszcie mieć obraz całości wypadków.

– Ona nie miała z tym nic wspólnego.

– Dobrze – rzekł Milo. – Więc to był od początku do końca pana pomysł.

Dutchy uśmiechnął się szeroko.

– Co... jeszcze... chcecie... wiedzieć? – dukał słowo po słowie.

– Czego pan użył na przynętę, żeby zwabić McCloskeya? – spytał Milo. –

Jego syna?

Znów uśmiech wykrzywił usta Dutchy’ego, ale jego głos przycichł, jak

zamierająca stacja radiowa.

– Oszustwo... ale... jedyny... sposób.

– Czy zadzwoniła do niego Melissa, czy Noel?

– Nie! – zatrząsł się. – Nie! Nie! Przysięgam!

– Proszę się nie denerwować. Wierzę panu.

Dopiero po dłuższej chwili twarz Dutchy’ego przestała drżeć.

– Więc kto zadzwonił do McCloskeya? – zapytał Milo. – Jestem pewien,

że nie pan.

– Przyjaciele.

– Co owi przyjaciele mu powiedzieli?

– Syn... Ma kłopoty... Potrzebna pomoc. – Przerwał na zaczerpnięcie

oddechu. – Ojcowskie... serce... powróż...

- Wiedział pan, że to poskutkuje?
- Nigdy... się... nie wie. Poker.
- I przejechali go pańscy przyjaciele?
- Nie – rzekł, wskazując na siebie. – Ja sam.
- Jest pan w stanie prowadzić samochód?

– Czasem.

– Aha.

– Zrobiłem to. – Twarz mu pojaśniała i zaśmiał się piskliwie.

– Pewnie to głupie pytać dlaczego?

Ociężały ruch głową.

– Nie. Wcale nie.

Cisza.

Dutchy uśmiechnął się i rzekł:

– Pytajcie.

Milo przymrużył oczy.

– Dlaczego pan to zrobił, panie Dutchy?

Poniósł się. Stał na chwiejnych nogach. Ruchem dłoni odmówił przyjęcia naszej pomocy. Uplłynęło wiele czasu, zanim się wyprostował. Dowłókl się do balkoniku na czterech kółkach, na którym się oparł. Triumfował.

Pokonał więcej niż słabość fizyczną.

– Powodem jest moja praca – rzekł.

Rozdział trzydziesty ósmy

– Są takie malutkie – powiedziała. – Czy będą żyły? – One już przeżyły – odparłem. – Teraz muszą dużo jeść, żeby urosnąć.

– Jak to zrobiłeś, że się rozmnożyły?

– Nic nie zrobiłem. To się samo stało.

– Nie wierzę. Musiałeś coś zrobić.

– Nalałem wody.

Uśmiechnęła się.

Staliśmy na brzegu stawu. Pogoda była bezwietrzna, strumyk szumiał cichutko. Jej bosc nogi osłaniała spódnica. Bawiła się listeczkami japońskiej trawy.

– Lubię to miejsce. Możemy zawsze tutaj rozmawiać?

– Oczywiście.

– Tu jest tak spokojnie. – Odrzuciła trawę i splotła palce.

– Jak się ona miewa? – spytałem.

– Dobrze. Czuję, że na coś czekam... na załamanie. Że zacznę krzyczeć i cierpieć od nowa. Jednak ona przychodzi do zdrowia.

– Czy to cię niepokoi?

– W pewnym sensie. Naprawdę jednak boję się tego, że nie wiem wszystkiego. Powiedziała, że niczego nie pamięta i że obudziła się w szpitalu, ale...

– Ale, co?

– Może w ten sposób stara się mnie ochronić? Albo samą siebie?

Pozbywając się tego z pamięci. Tłumiąc to w sobie.

– Ja jej wierzę – rzekłem. – Przez cały czas była nieprzytomna.

Całkowicie nieświadoma tego, co się wokół niej działo.

– Tak. Doktor Levine powiedział to samo... Chyba go lubię. Chętnie

śłucha tego, co się do niego mówi.

– Cieszę się.

– To dobrze, że trafiła na kogoś takiego. – Zwróciła się w moją stronę.

Miała wilgotne oczy.

– Nie wiem, jak ci mam dziękować.

– Już podziękowałaś.

– To, co zrobiłeś... – Wyciągnęła do mnie rękę i zaraz ją cofnęła.

Spojrzała na staw.

– Podjęłam decyzję co do szkoły. Zostanę tu przez najbliższy rok, a potem się zobaczy. Trzy miesiące to za mało. Jest tak wiele spraw do załatwienia.

Dzwoniłam do Harvardu ze szpitala. Podziękowałam za to, że pozwolili mi nie podejmować jeszcze decyzji. Powiedzieli, że zgodzą się na przeniesienie, jeśli moja średnia będzie wystarczająco wysoka.

– Wiem, że będzie.

– Mam nadzieję – jeśli, zorganizuję sobie odpowiednio czas. Noel już wyjechał. Odwiedził mnie wczoraj, żeby się pożegnać.

– Jak poszło?

– Wyglądał tak, jakby czegoś się obawiał. Zdziwiłam się. Sądziłam, że może podejmować niezależne decyzje. Przyszedł z matką. Była strasznie zdenerwowana.

– Zamierzasz utrzymywać kontakt z Noelem?

– Będziemy do siebie pisać, ale wiesz, jak to jest na odległość. Był dla mnie prawdziwym przyjacielem.

– Tak, wiem.

Uśmiechnęła się smutnie.

– O co chodzi? – spytałem.

– Wiem, że on chce znacznie więcej. Czuję, że... Może spotka tam kogoś, kto przypadnie mu do gustu.

Pochyliła się nad wodą.

– Podpływają duże ryby. Czy mogę je pokarmić?

Podąłem jej pudełko. Rzuciła garść pokarmu. Zakotłowało się wodzie.

– Smacznego – rzekła. – Ale obżartuchy... Myślisz, że ona wydobrzeje?

Levine twierdzi, że powróci do normalnego życia.

– Czemu w to wątpisz?

– Może jest przesadnym optymistą?

– Z tego, co wiem, Levine jest realistą. – Wróciłem pamięcią do twarzy

Giny przysłoniętej szpitalną chustą. Plastikowe rurki, metal i szkło.

Delikatna blada dłoń zaciśnięta na mojej ręce. I paraliżująca cisza... – To dobry znak, że ona czuje się coraz lepiej. Trzeba mieć nadzieję, że nie będzie już cierpiała ani odgradzała się od życia. Może to zabrzmieć dziwnie, ale takie przeżycie mogło odegrać rolę terapeutyczną.

– Chyba tak – rzekła szeptem. – Tak wielu spraw ciągle nie rozumiem.

Dlaczego do tego doszło? Skąd wzięło się to zło? Czym zasłużyła sobie na ten los? Jak strasznych rzeczy on dokonał... – Wzdrygnęła się. – Susan powiada, że wystarczy zwłok znalezionych na ranczo, żeby został odizolowany do końca życia. To dobrze. Nie mogłabym znieść myśli o procesie. Jednak kara powinna być większa.

– Większa?

– Tak. On powinien cierpieć. Ty też byłbyś na procesie, prawda?

Skinąłem głową.

– Więc pewnie się cieszysz, że nie będzie żadnego procesu?

– Tak. Dobrze jest jak jest.

– Tylko że ja nie mogę zrozumieć... Dlaczego ludzie robią takie rzeczy? –

Potrząsnęła głową. Podniosła oczy na niebo. Znow zaczęła zaplatać palce.

Coraz mocniej, silniej.

– O czym myślisz?

– O niej. O Ursuli. Levine powiedział, że została wypisana ze szpitala.

Wróciła do Bostonu, do rodziny. To takie dziwne. Przyzwyczaiłam się do tego, że jest wszechwładna i niezależna.

Rozplotła palce. I pogładziła trawę.

– Wczoraj dzwoniła do mamy. A może mama dzwoniła do niej? Właśnie przyjechałam, kiedy rozmawiały. Kiedy usłyszałam, że mama wymienia jej imię, uciekłam do pobliskiej kawiarni.

– Czy takie rozmowy cię denerwują?

– Nie mam pojęcia, co ona ma do zaoferowania mamie. Przecież sama była ofiarą, więc jak może kogoś leczyć?

– Może niczego nie oferowała.

Spojrzała na mnie niechętnie.

– Co masz na myśli?

– To, że jeżeli Ursula jej nie leczy, nie muszą zaraz zerwać wszelkich kontaktów.

– Dlaczego nie?

– Może się przyjaźnią.

– Przyjaźnią?

– Czy to cię niepokoi?

– Nie... ale wciąż uważam, że ona była w jakiś sposób winna. Pomimo tego, że odcierpiała swoje. Była lekarzem mamy. Powinna ją chronić.

– Jeśli tak to czujesz, trzeba coś z tym zrobić.

– Chyba nie będzie to łatwe.

– Zajmie nieco czasu.

Odwróciła się do wody.

– One są takie małe, trudno uwierzyć, że... – Sięgnęła do pokarmu i

znowu rzuciła pełną garść, zagryzając wargi z przejęcia. – Wpadłam wczoraj do restauracji „Pod Pucharem”, żeby odnieść parę rzeczy Dona. Było takie zatrzęsienie gości, że mnie nie zauważył. Nie czekałam i zostawiłam te rzeczy... – Wzruszyła ramionami.

– Nie próbuj załatwiać wszystkiego za jednym zamachem.

– Tak właśnie chciałam zrobić... Jednak to nie jest w porządku, że on

będzie żył w czystym, wygodnym szpitalu dla wariatów. W gruncie rzeczy on i mama są w podobnej sytuacji. Czy to nie absurd?

– On tam zostanie, a ona wyjdzie.

– Mam nadzieję.

– Na pewno.

– I tak nie jest w porządku. To powinno być bardziej... ostateczne. Taki

koniec, jaki spotkał McCloskeya. Trafił do piekła. Czy Milo dowiedział się, kto go zabił?

– Policja niczego nie ustaliła. I jest mało prawdopodobne, że touczyni.

– Po co mają tracić swój czas? Jakby nie mieli nic innego do roboty.

Wrzuciła jeszcze trochę pokarmu do stawu i wytarła dłonie. Znow zaplotła palce. Cicho westchnęła.

Czekałem.

– Codziennie ją odwiedzam i nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czemu się tam znalazła, dlaczego musiała przejść przez to wszystko.

Dlaczego niewinni ludzie muszą tyle cierpieć? Dlaczego spotkała aż dwóch zbrodniarzy? Jeżeli jest Bóg, to dlaczego na to pozwala?

– Dobre pytanie. Na przestrzeni dziejów wciąż powracają te same pytania i wciąż ludzie usiłują znaleźć na nie odpowiedź.

Uśmiechnęła się.

– Jednak nie ma odpowiedzi?

– Właśnie.

– A ja myślałam, że masz monopol na rozwiązanie każdej zagadki.

– Pogratuluj sobie, że pozbyłaś się tej iluzji.

Pochyliła się nad wodą, przytrzymując jedną ręką opadające włosy.

Drugą dotknęła spokojnej tafli stawu.

– Widziałeś tam coś, o czym nie chcesz powiedzieć.

– Jest jednak mnóstwo spraw, o których będziemy rozmawiać. Wszystko w swoim czasie.

– Wiem, wiem. Chciałabym wiedzieć, co to jest odpowiedni czas.

– Rozumiem, co masz na myśli.

Zaśmiała się.

- **No i znowu. Znowu próbujesz mi wmówić, że wszystko jest w porządku.**
- **Bo wszystko jest w porządku.**
- **Doprawdy?**
- **Absolutnie.**
- **No cóż – rzekła. –To ty jesteś ekspertem.**